

**JEAN M. AUEL**

# **WIELKA WĘDRÓWKA**

**(PRZEŁOŻYŁA MAŁGORZATA KORASZEWSKA)**

**SCAN-DAL**

*Dla Lenory,  
ostatniej, która pojawiła się w domu  
i której imienniczka występuje  
na tych stronach,  
i dla Michaela,  
który z nią razem patrzy w przyszłość,  
i dla Dustina Joyce'a oraz Wendy -  
z miłością*

Ayla z Jondalarem stali na polanie, z której mieli szeroki widok na góry. Z uczuciem ogromnej straty patrzyli za odchodzącymi ludźmi. Dolando, Markeno, Carlono i Darvalo doszli aż tutaj, jedyni pozostali z dużego tłumu, który wyruszył razem z nimi z obozu. Inni zawrócili wcześniej. Kiedy ostatni czterej mężczyźni doszli do zakrętu, odwrócili się i pomachali na pożegnanie. Ayla odpowiedziała im gestem "wróćcie", grzbietem dłoni zwróconym ku nim, nagle przytłoczona świadomością, że już nigdy więcej nie zobaczy Sharamudoi. W tym krótkim czasie zdążyła ich pokochać. Przyjęli ją, zaprosili do pozostania z nimi i z radością spędziłyby z nimi resztę życia.

To odejście przypomniało jej opuszczenie obozu Mamutoi wczesnym latem. Oni także przyjęli ją i kochała wielu z nich. Mogła być szczęśliwa, żyjąc z nimi, z tym że musiałaby oglądać zgryzotę Raneca, którą spowodowała. Poza tym jej odejście stamtąd było zabarwione podnieceniem, że idzie do domu mężczyzny, którego kocha. Wśród Sharamudoi nie było żadnych powodów do zgryzoty, co czyniło odejście tym trudniejszym, a chociaż kochała Jondalara i bez wątpienia chciała razem z nim iść, znalazła tu akceptację i przyjaźń, które trudno było tak nieodwołalnie porzucić.

Podróże są pełne pożegnań - pomyślała. Pożegnała się również po raz ostatni z synem, którego zostawiła z klanem... chociaż gdyby została tutaj, któregoś dnia mogłaby popłynąć z Ramudoi w dół Wielkiej Matki Rzeki, aż do delty. Stamtąd mogłaby pójść na półwysep i poszukać jaskini klanu jej syna... ale nie było już sensu o tym rozmyślać. Nie będzie więcej możliwości powrotu, żadnej ostatniej szansy, na którą można mieć nadzieję. Jej życie idzie w jednym kierunku, a życie jej syna w innym. Iza powiedziała jej: "Znajdź swoich własnych ludzi, znajdź własnego towarzysza". Znalazła akceptację wśród ludzi swojego rodzaju i znalazła mężczyznę, który ją kochał. Wiele zdobyła, ale wiele też straciła. Jedną ze strat był jej syn; musi pogodzić się z tym faktem.

Również Jondalar patrzył pełen smutku za ostatnią czwórką, która zniknęła za zakrętem. Byli przyjaciółmi, z którymi mieszkał przez wiele lat i których dobrze poznał. Chociaż ich związek nie był związkiem krwi, uważał ich za bliskich krewnych. Jego pragnienie powrotu do miejsca, z którego pochodził, spowodowało, że tej rodziny już więcej nie zobaczy, i to napawało go smutkiem.

Kiedy ostatni Sharamudoi zniknęli z pola widzenia, Wilk przysiadł na tylnych łapach, podniósł łeb, szczechnął kilka razy i zawył pełnym, wilczym wyciem, które rozbiło spokój

słonecznego poranka. Czterej mężczyźni pojawili się znowu na szlaku poniżej i zamachali po raz ostatni, odpowiadając na wilcze pożegnanie. Nagle dał się słyszeć odzew innego wilka. Markeno rozejrzał się, żeby sprawdzić, skąd dochodzi, po czym poszedł za innymi w dół szlakiem. Ayla i Jondalar odwrócili się i stanęli twarzą do gór o połyskujących szczytach z niebieskozielonkawego lodu.

Chociaż nie tak wysokie, jak te na zachodzie, góry, przez które szli, zostały uformowane w tym samym czasie, w niedawnej epoce tworzenia się gór - niedawnej tylko w stosunku do ociężałe powolnych ruchów grubej kamiennej skorupy pływającej na roztopionym jądrze starodawnej Ziemi. Uniesiony i sfałdowany w szereg łańcuchów górskich w trzeciorzędzie - w orogenezie, która spowodowała ostre wypiętrzenie się całego kontynentu - poszarpany teren najdalej na wschód położonej części rozległego systemu górskiego cały odziany był w zieleni.

Równinę, nadal ogrzewaną resztkami lata, oddzielało od chłodniejszych wzniesień, niczym spódnica, wąskie pasmo drzew liściastych - głównie dębów i buków, ale ze sporą domieszką grabów i klonów. Ich liście zmieniały się już w kolorowy, czerwonożółty gobelin, kontrastujący z głęboką zielenią wyżej rosnących świerków. Narzuta z drzew iglastych, na którą składały się nie tylko świerki, ale także cisy, jodły, sosny i modrzewie, zaczynała się nisko, wspinała po zaokrąglonych ramionach niższych wzgórz i pokrywała strome stoki wyższych gór, mieniając się różnymi odcieniami zieleni. Powyżej granicy lasu widniał kołnierz zielonych łąk, górskich hal, które dość wcześnie pokrywały się śniegiem. Zwieńczeniem był twardy hełm z niebieskawego lodu.

Upał południowych równin ustępował już przed wszechobejmującym mrozem. Chociaż ogólne ocieplenie łagodziło jego najgorsze efekty - międzystadialny okres trwał wiele tysięcy lat - lodowce przymierzały się do ostatniego ataku na ziemię, zanim ich odwrót zamieni się w druzgocącą klęskę tysiące lat później. Ale nawet podczas łagodniejszego, chwilowego zastoju przed końcowym marszem do przodu lodowiec nie tylko pokrywał niskie szczyty i zbocza wysokich gór, lecz także trzymał w kleszczach cały kontynent.

W nierównym leśnym terenie, z dodatkowym utrudnieniem, jakie stanowiła łądka ciągnięta na palach, Ayla i Jondalar znacznie częściej poruszali się pieszo niż konno. Wspinali się na strome zbocza, poprzez granie i ruchome osypiska, schodzili w dół stromych ścian suchych jarów, pozostałych po wiosennych spływach topniejącego śniegu i lodu oraz obfitych górskich deszczach. W nielicznych, głębokich rowach zachowało się trochę wody na dnie. Sączyła się przez warstwę gnijącej roślinności i miękkiego szlam, który wsysał stopy ludzi i zwierząt. W innych woda była czysta, ale wszystkie wkrótce wypełnią się burzliwymi

potokami po jesiennych ulewach.

Na niższych wzniesieniach, w rzadkich lasach liściastych, ich marsz wstrzymywało poszycie i zmuszało ich do przedzierania się siłą lub szukania drogi wokół zarośli i kolczastych krzaków. Sztywne łodygi i ciemiste pędy smakowitych jeżyn stanowiły nie lada przeszkodę. Wczepiały się w ich włosy, ubranie i skórę, dawały się też we znaki zwierzętom. Ciepła, gęsta sierść stepowych koni, zaadaptowanych do życia na mroźnych, otwartych równinach, łatwo zahaczała się o zarośla. Również Wilk, szarpiąc się wśród krzewów, otrzymał swoją porcję zadrapań.

Wszyscy byli zadowoleni, kiedy doszli do strefy drzew iglastych, których wieczny cień nie pozwalał na rozwój poszycia, chociaż na stromych stokach, gdzie korony drzew nie łączyły się w gęsty baldachim, słońce docierało do gleby i pobudzało wzrost zarośli. Nie o wiele łatwiej było jechać w gęstym lesie wysokich drzew, ponieważ konie musiały lawirować między pniami, a pasażerowie unikać nisko rosnących konarów. Pierwszej nocy rozbili obóz na małej polance na pagórku otoczonym przez strzeliste drzewa iglaste.

Granice lasów osiągnęli dopiero wieczorem drugiego dnia podróży. Wreszcie wolni od płaczących się zarośli i toru z przeszkodami z wysokich drzew, rozbili namiot koło wartkiego, zimnego potoku na otwartej hali. Konie zaczęły się paść natychmiast po zdjęciu z nich ciężarów. Mimo że ich tradycyjna karma z suchych włóknistych traw, jakie rosły na niższych poziomach, była całkowicie wystarczająca, słodka trawa i górskie zioła zielonej łąki stanowiły mile widzianą ucztę.

Małe stado jeleni pasło się tu również. Byki pracowicie tarły poroże o gałęzie i skały narzutowe, aby uwolnić je od miękkiej, pokrywającej je skóry z naczyniami krwionośnymi, zwanej scypułem. Było to przygotowanie do jesiennych godów.

- Wkrótce będzie ich sezon przyjemności - skomentował Jondalar, kiedy układali palenisko. - Przygotowują się do walki o łanie.

- Czy walka to przyjemność dla samców? - spytała Ayla.

- Nigdy o tym nie pomyślałem, ale może masz rację, może dla niektórych jest.

- Lubisz bić się z innymi mężczyznami? Jondalar zmarszczył brwi i poważnie zastanowił się nad tym pytaniem.

- Trochę walczyłem. Czasami z takiej czy innej przyczyny człowiek zostaje w to wciągnięty, ale nie mogę powiedzieć, że to lubiłem. Szczególnie jeśli walka jest na poważnie. Nie mam nic przeciwko siłowaniu się albo jakimś zawodom.

- Mężczyźni klanu nie biją się ze sobą. To nie jest dozwolone, ale też mają zawody. Kobiety także, ale innego rodzaju.

- A czym się różnią?

Ayla zastanowiła się przez moment.

- Mężczyźni współzawodniczą między sobą czynami, kobiety zaś tym, co stworzą - uśmiechnęła się - włącznie z dziećmi, chociaż to bardzo subtelne zawody i niemal każda uważa, że wygrała.

Nieco wyżej na hali Jondalar zobaczył rodzinę muflonów i pokazał jej te dzikie owce z potężnymi rogami, które zakrecały się blisko łbów.

- To są prawdziwi wojownicy - powiedział. - Kiedy pędzą ku sobie i zderzają się łbami, brzmi to niemal jak grzmot.

- Kiedy byki, jelenie i barany wpadają na siebie porożem czy rogami, czy myślisz, że one naprawdę walczą? Czy tylko współzawodniczą ze sobą? - spytała Ayla.

- Nie wiem. Mogą się zranić wzajemnie, ale nie robią tego zbyt często. Na ogół jeden się po prostu poddaje, kiedy ten drugi pokazuje, że jest silniejszy. Czasami tylko obchodzą się na sztywnych nogach i ryczą, i wcale ze sobą nie walczą. Może to są bardziej zawody niż rzeczywista walka. - Uśmiechnął się do niej. - Stawiasz interesujące pytania, kobieto.

Rześki, chłodny powiew stał się mroźniejszy, gdy słońce schowało się za krawędzią gór. Wcześniej w ciągu dnia spadł lekki śnieg i roztopił się na otwartych, nasłonecznionych miejscach. Leżał jednak nadal w zacienionych zakamarkach, zapowiadając możliwość zimnej nocy i solidniejszych opadów.

Wilk zniknął wkrótce po postawieniu przez nich skórzanego namiotu. Kiedy nie wrócił o zmroku, Ayla zaczęła się niepokoić.

- Jak myślisz, może powinnam zagwizdać, żeby go zawołać z powrotem? - spytała w trakcie przygotowań do spania.

- Przecież nie pierwszy raz poszedł sam na polowanie. Jesteś po prostu przyzwyczajona, że jest w pobliżu, bo go przy sobie trzymasz, Wróci.

- Mam nadzieję, że wróci do rana - powiedziała Ayla i wstała, żeby się rozejrzeć, daremnie próbując dostrzec coś w ciemności poza ich obozowym ogniskiem.

- Jest zwierzęciem, znajdzie drogę. Chodź tu i siadaj. - Włożył kawałek drewna do ognia i obserwował iskry wznoszące się do nieba. - Spójrz na gwiazdy. Widziałaś kiedyś tak dużo?

Ayla spojrzała w górę i zachwyciła się.

- Tak, wydaje się, że jest ich mnóstwo. Może to dlatego, że tutaj jesteśmy bliżej nich i więcej widzimy, szczególnie tych mniejszych... czy też one są dalej od nas? Czy myślisz, że gwiazdy są rozciągnięte w przestrzeni?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. Kto by to mógł wiedzieć?

- Myślisz, że twoja Zelandoni mogłaby? - spytała Ayla.

- Może, ale nie jestem pewien, czy zechce powiedzieć. Niektóre rzeczy są przeznaczone tylko dla Tych Którzy Służą Matce. Ty naprawdę zadajesz najdziwniejsze pytania, Aylo - odparł Jondalar i przeszył go dreszcz. Chociaż nie był pewien, czy to był dreszcz zimna, dodał: - Zaczynam marznąć i rano musimy wcześniej wyruszyć. Dolando powiedział, że deszcze mogą się zacząć lada moment. Tutaj oznacza to śnieg. Chciałbym przedtem znaleźć się na dole.

- Zaraz przyjdę. Chcę tylko zajrzeć do Whinney i Zawodnika. Może Wilk jest z nimi.

Ayla była nadal niespokojna, kiedy wczołgała się do śpiwora, i trudno jej było zasnąć, bo wyęzżała słuch w nadziei, że usłyszy powracającego Wilka.

Było ciemno, zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek poza wieloma gwiazdami, które rozpryskiwały się z ogniska na niebie, ale nie przestawała się rozglądać. Dwie gwiazdy, dwa błyszczące w ciemności żółte światełka zbliżyły się do siebie. To były oczy, oczy wilka, który na nią patrzył. Odwrócił się i zaczął odchodzić. Wiedziała, że chce, by za nim poszła, ale kiedy ruszyła w jego ślady, drogę zagroził jej nagle olbrzymi niedźwiedź.

Odskoczyła ze strachem, a niedźwiedź podniósł się na zadnie łapy i zaryczał. Kiedy spojrzała znowu, odkryła, że to nie był prawdziwy niedźwiedź. To był Creb, Mogur, ubrany w narzutę ze skóry niedźwiedzia.

Z oddali usłyszała głos wołającego ją Durca. Spojrzała za plecy wielkiego szamana i zobaczyła wilka, ale to nie był zwykły wilk. To był duch wilka, totem Durca. Chciał, żeby za nim poszła. Wtedy duch wilka zamienił się w jej syna i teraz Durc chciał, by ruszyła za nim. Zawołał ją jeszcze raz, ale kiedy próbowała pójść jego siadem, Creb znowu zastawił jej drogę. Wskazał na coś za jej plecami.

Odwróciła się i zobaczyła ścieżkę, która wiodła do jaskini, nie głębokiej jaskini, lecz tylko nawisu ze skały o jasnym kolorze na boku urwiska, nad którym dziwny kamień narzutowy zdawał się zastygnięty w akcie spadania z krawędzi. Kiedy spojrzała do tyłu, nie było już ani Creba, ani Durca.

- Creb! Durc! Gdzie jesteście? - krzyknęła i zerwała się.

- Aylo, znowu coś ci się przyśniło. - Jondalar też usiadł.

- Odeszli. Dlaczego nie pozwolił mi iść z nimi? - spytała Ayla ze łzami w oczach i łkaniem w głosie.

- Kto odszedł? - zdziwił się, obejmując ją.

- Durc odszedł, a Creb nie pozwolił mi za nim iść. Zastawił mi drogę. Dlaczego nie

pozwolił mi za nim iść? - rozpaczła Ayla.

- To był sen. To był tylko sen. Może coś oznacza, ale to tylko sen.

- Masz rację. Wiem, że masz rację, ale wydawał się tak rzeczywisty.

- Myślałaś o Durcu, Ayla?

- Chyba tak. Myślałam, że już go nigdy więcej nie zobaczę.

- Może dlatego o nim śniłaś. Zelandoni zawsze mówiła, że jeśli masz taki sen, to powinnaś starać się go zapamiętać, i może któregoś dnia go zrozumiesz - tłumaczył Jondalar, próbując dostrzec jej twarz w ciemności. - Spróbuj zasnąć.

Przez chwilę oboje leżeli, nie śpiąc, ale w końcu zdrzemnęli się. Kiedy zbudzili się rano, niebo było zaciągnięte i Jondalar niecierpliwił się, chcąc wyruszyć, lecz Wilka nadal nie było. Ayla gwizdała na niego podczas zwijania namiotu i pakowania rzeczy, ale się nie pojawił.

- Ayla, musimy iść. Dogoni nas, zawsze dogania - powiedział Jondalar.

- Nie pójdę, póki go nie znajdę. Możesz iść lub czekać, ja idę go szukać.

- Gdzie chcesz go szukać? To zwierzę może być wszędzie.

- Może zawrócił. On naprawdę polubił Shamio. Może powinnam pójść z powrotem po niego.

- Nie pójdziemy z powrotem! Przeszliśmy już spory kawał drogi.

- Ja pójdę, jeśli będzie trzeba. Nie odejdę, dopóki nie znajdę Wilka - oznajmiła Ayla.

Jondalar potrząsał głową, kiedy Ayla zaczęła iść z powrotem. Było oczywiste, że nie zamierzała się ugiąć. Gdyby nie to zwierzę, byłiby już w drodze. Jeśli o niego chodzi, Sharamudoi mogą sobie Wilka zatrzymać!

Ayla szła i gwizdała, i nagle, właśnie jak wchodziła między drzewa, pojawił się po drugiej stronie polany i popędził ku niej. Skoczył na nią, niemal ją przewrócił, położył łapy na ramionach, lizał po twarzy i delikatnie ujął zębami jej podbródek.

- Wilk! Wilk! Jesteś! Gdzie się podziewałeś? - Ayla chwyciła go za grzywę, przytuliła twarz do jego pyska i odwzajemniła ugryzienie. - Tak się martwiłam o ciebie. Nie powinieneś uciekać.

- Czy sądzisz, że teraz możemy już wyruszyć? - spytał Jondalar. - Niedługo już będzie południe.

- Ale przynajmniej wrócił i nie musieliśmy zawracać. - Ayla wskoczyła na grzbiet Whinney. - W którą stronę chcesz iść? Jestem gotowa.

Jechali przez łąkę w milczeniu, obrażeni na siebie, aż doszli do grani. Posuwając się wzdłuż niej, szukali przejścia na drugą stronę i wreszcie dotarli do stromego osypiska żwiru i



głazów. Wyglądało niebezpiecznie, i Jondalar jechał dalej w nadziei znalezienia innej drogi. Gdyby byli sami, wspięliby się i przeszli w wielu miejscach, ale konie mogły się wdrapać jedynie po tym zboczach z osypującymi się kamieniami.

- Aylo, jak myślisz, czy konie tędy przejdą? Zdaje się, że nie ma tu innego przejścia. Pozostaje nam tylko jeszcze zejście w dół i szukanie jakiegoś obejścia - powiedział Jondalar.

- Mówiłeś, że nie chcesz wracać, szczególnie z powodu zwierzęcia.

- Nie chcę, ale skoro musimy, to nie ma rady. Jeśli uważasz, że to jest zbyt niebezpieczne dla koni, nie będziemy próbować.

- A gdybym myślała, że to zbyt niebezpieczne dla Wilka? Zostawilibyśmy go tutaj?

Zdaniem Jondalara konie były użyteczne i chociaż lubił Wilka, po prostu nie sądził, że warto z jego powodu opóźnić marsz. Oczywiście Ayla się z nim nie zgadzała. Wyczuwał między nimi napięcie, może po części spowodowane jej pragnieniem pozostania z Sharamudoi. Miał nadzieję, że kiedy odejdą trochę dalej, zacznie spoglądać w przyszłość, oczekiwać momentu dotarcia do celu, i nie chciał unieszczęśliwić jej jeszcze bardziej.

- To nie jest tak, że chciałem Wilka zostawić. Po prostu myślałem, że nas dogoni, tak jak to już robił - powiedział Jondalar, chociaż w rzeczywistości był niemal skłonny to zrobić.

Domyślała się, że nie powiedział wszystkiego, ale również nie chciała nieporozumień i kłótni, i teraz, kiedy Wilk już wrócił, czuła ulgę. Zsiadła z konia i zaczęła wspinać się na stok, żeby go sprawdzić. Nie była całkowicie pewna, czy konie dadzą radę, ale powiedział przecież, że poszukają innej drogi, jeśli ta okaże się zbyt trudna.

- Nie mam pewności, lecz myślę, że powinniśmy spróbować. Osypisko nie jest aż tak groźne, jak wygląda. Jeśli nie dadzą rady, to wtedy zawrócimy i poszukamy innej drogi.

W rzeczywistości podłoże nie było tak niestabilne, jak się wydawało. Przeżyli kilka niebezpiecznych momentów, ale oboje byli zdziwieni łatwością, z jaką konie pokonały zbocze. Cieszyli się, że mają je już za sobą, ale w miarę dalszej wspinaczki napotkali inne, trudne przejścia. Zatraskani sobą i końmi, znowu zaczęli przyjaźnie rozmawiać.

Zbocze nie nastąpiło żadnych trudności Wilkowi. Wbiegł na szczyt i zbiegł znowu, podczas gdy oni ostrożnie prowadzili wierzchowce. Kiedy doszli do szczytu, Ayla zagwizdała na niego i poczekała. Jondalar obserwował ją i nagle uświadomił sobie, że Ayla wydaje się o wiele bardziej opiekuńcza w stosunku do wilka niż przedtem. Zastanowił się, dlaczego tak jest; pomyślał, czyby jej nie zapytać. Zmienił zdanie z obawy, że znowu ją zdenerwuje, a potem zdecydował jednak poruszyć ten temat.

- Aylo, może się mylę, ale czy teraz nie martwisz się o Wilka bardziej niż dawniej? Pozwalałaś mu odchodzić i przychodzić. Chciałbym, żebyś mi powiedziała, co cię niepokoi.

To ty mówiłaś, że nie powinniśmy niczego ukrywać.

Odetchnęła głęboko, przymknęła oczy i czoło pofałdowało jej się w głębokie zmarszczki. Potem spojrzała na niego.

- Masz rację. Nie ukrywam niczego przed tobą. Sama nie chciałam dopuścić do siebie tej myśli. Pamiętasz te jelenie na dole, które zdzierały scypuł z poroża?

- Tak.

- Nie jestem pewna, ale to może być również sezon przyjemności dla wilków. Nie chciałam nawet o tym myśleć, ale Tholie powiedziała to głośno, kiedy opowiadałam o Maluszku i o tym, jak odszedł, żeby znaleźć partnerkę. Spytała mnie, czy sądzę, że Wilk też kiedyś odejdzie, jak Maluszek. Nie chcę tego. Jest niemal jak moje dziecko, jak syn.

- Dlaczego przypuszczasz, że to zrobi?

- Zanim Maluszek odszedł, znikał na coraz dłuższy czas. Najpierw na jeden dzień, potem na kilka dni i niekiedy widziałam po jego powrocie, że walczył z innym lwem. Wiedziałam, że szuka towarzyski. I znalazł ją. Teraz, za każdym razem, kiedy Wilk nas opuszcza, boję się, że szuka partnerki.

- A więc o to ci chodzi. Czy jednak możemy coś na to poradzić? I czy twoje podejrzenia są prawdopodobne? - zapytał Jondalar. Przyszło mu do głowy, że nie miałby nic przeciwko temu. Nie chciał, by Ayla była nieszczęśliwa, ale już niejedną raz wilk opóźnił ich marsz czy spowodował napięcie między nimi. Musiał przyznać, że gdyby Wilk znalazł towarzyszkę życia i odszedł z nią, życzyłby mu wszystkiego najlepszego i cieszył się, że ich porzucił.

- Nie wiem - powiedziała Ayla. - Jak dotąd zawsze wracał i wydaje się szczęśliwy z nami. Wita mnie zawsze tak, jakby traktował mnie jak członka swojego stada, ale wiesz, jak to jest z przyjemnościami. To potężny dar. Potrzeba może być bardzo silna.

- To prawda. No cóż, nie wiem, czy możesz temu jakoś zaradzić, ale cieszę się, że mi o tym powiedziałaś.

Przez chwilę jechali razem w milczeniu, wspinając się na kolejną, wyżej położoną łąkę, lecz było to przyjacielskie milczenie. Cieszył się, że podzieliła się z nim swymi obawami. Przynajmniej trochę lepiej rozumiał jej dziwne zachowanie. Przypominała przewrażliwioną matkę. Jondalar był zadowolony, że w rzeczywistości miała inną naturę. Zawsze było mu trochę żal chłopców, którym matki nie pozwalały na robienie rzeczy choć trochę niebezpiecznych, jak wchodzenie w głębokie jaskinie czy wspinanie się na szczyty.

- Popatrz, Aylo. Tam jest koziorożec. - Wskazał na zwinne, piękne zwierzę z długimi, zakrzywionymi rogami. Stało na stromym występie wysoko na górze. - Polowałem już na nie.

I spójrz tam! To są kozice.

- To naprawdę są zwierzęta, na które polują Sharamudoi? -Ayla obserwowała antylopią krewną dzikich, górskich kóz, z mniejszymi, prostymi rogami, przeskakującą niedostępne szczyty i kamienne skarpy

- Tak. Polowałem z nimi.

- Jak ktokolwiek może polować na takie zwierzęta? Jak do nich podejść?

- Trzeba wspiąć się powyżej nich. Zawsze patrz w dół, bo stamtąd spodziewają się niebezpieczeństwa, więc jeśli jesteś wyżej, zwykle udaje się dojść wystarczająco blisko, żeby je ubić. Sama rozumiesz, dlaczego miotacz tak się im przyda - wyjaśnił Jondalar.

- Teraz jeszcze bardziej cenię ubranie, które dostałam od Roshario.

Wspinali się nadal i po południu znaleźli się tuż poniżej linii śniegu. Ściany skalne wznosiły się po obu stronach i nie było już daleko do płatów lodu i śniegu. Grzbiet zbocza przed nimi odcinał się na tle błękitnego nieba i wydawał się prowadzić na sam skraj świata. Kiedy tam doszli, zatrzymali się i spojrzeli w dół. Widok był wspaniały.

Widzieli drogę swej wspinaczki, poczynawszy od linii lasów. Wiecznie zielona roślinność maskowała z tej odległości nierówności terenu, przez który z takim trudem się przedzierali. Na wschodzie dostrzegli nawet równinę ze splecionymi wstęgami niemrawo płynącej wody, co zdziwiło Aylę. Z górskiego szczytu Wielka Matka Rzeka wydawała się zaledwie kilkoma małymi strużkami i Ayla niezupełnie mogła uwierzyć, że całkiem niedawno prażyli się w upale, podróżując wzdłuż jej biegu. Przed nimi rozciągał się widok na następny, nieco niższy łańcuch górski oraz głęboką dolinę między nimi, pełną pierzastych, zielonych wieżyc. Tuż nad nimi majaczyły połyskujące, skute lodem szczyty.

Ayla patrzyła z nabożną grozą, jej oczy błyszczały podziwem, była wstrząśnięta majestatem i pięknem krajobrazu. W chłodnym, ostrym powietrzu z każdym pełnym podniecenia oddechem z jej ust unosiły się kłęby pary.

- Och, Jondalarze, jesteśmy wyżej niż wszystko. Nigdy nie byłam tak wysoko. Czuję się, jakbyśmy byli na samym szczycie świata! I to jest takie... piękne, takie podniecające.

Zachwyt malujący się na jej twarzy, błyszczące oczy i piękny uśmiech obudziły w nim podniecenie i gwałtownie jej zapragnął.

- Tak, takie piękne, takie podniecające. - Coś w jego głosie wywołało w niej dreszcze i zmusiło do odwrócenia wzroku od tego nadzwyczajnego widoku i spojrzenia na niego.

Jego oczy były tak intensywnie niebieskie, że zdawało jej się na moment, iż patrzy w dwa kawałki rozświetlonego nieba, napełnionego miłością i pragnieniem. Poraził ją jego urok, którego źródło było jej równie nie znane jak magia jego miłości, ale któremu nie mogła - i nie

chciała - się oprzeć. Sam fakt, że jej pragnął, był jego "sygnałem". Odpowiedź Ayli nie była świadomym aktem, lecz fizyczną reakcją, potrzebą równie silną co jego. Zupełnie tego nieświadoma, znalazła się w jego ramionach i poczuła gorące usta na swoich. Z pewnością nie brakowało w jej życiu przyjemności; regularnie i z wielką radością dzielili się darem Matki, ale ta chwila była wyjątkowa. Może z powodu podniecenia wywołanego scenerią była znacznie wrażliwsza na wszelkie bodźce. Czuła mrowienie w każdym miejscu, którego dotykało jego ciało; jego dłonie na plecach, obejmujące ramiona, przyciśnięte uda. Przez grube futrzane kurty napięta męskość wydawała się gorąca, a wargi na jej ustach wzbudzały w niej nie dające się wyrazić marzenie, by trwało to wiecznie.

W momencie, w którym puścił ją i cofnął się, żeby rozpiąć kurtę, całe jej ciało napięło się pragnieniem i oczekiwaniem na ponowny dotyk. Nie mogła się doczekać, a jednocześnie nie chciała, by się spieszył. Kiedy sięgnął pod tunikę, żeby objąć jej pierś, ucieszyła się, że jego ręka była taka zimna i kontrastująca z żarem, jaki czuła wewnątrz. Zabrakło jej oddechu, kiedy ścisnął twardy sutek, i czuła ogień, który przeszył ją aż do tego miejsca głęboko wewnątrz, które paliło się pragnieniem czegoś więcej.

Jondalar widział jej silną reakcję i czuł, jak jego własny żar wzrasta w odpowiedzi. Poczul w ustach jej ciepły język i przytrzymał go zębami. Zwolnił i sięgnął w miękkie ciepło jej ust. Nagle poczul nieodparte pragnienie posmakowania ciepłej słoności i wilgotnych fałd jej drugiego otworu, ale nie chciał przerwać pocałunku. Pragnął mieć wszystko naraz. Objął obie piersi dłońmi, bawił się sutkami, ścisnął je, masował, a potem podniósł tunikę i wziął jeden w usta. Poczul, jak przycisnęła się do niego, i usłyszał jęk przyjemności. Poczul pulsowanie i wyobraził sobie swoją pełną męskość, pogrążoną w niej. Znowu całował ją i czuł wzrost jej pragnienia. Była głodna jego dotyku, jego rąk, ciała, ust, męskości. Zaczął ściągać jej kurtę, prędko się jej pozbyła, zachwycając się chłodnym wiatrem, który jej wydawał się gorący. Rozwiązał rzemień przy jej spodniach; poczuła, jak je z niej zdejmuje. W sekundę potem leżeli oboje na jej kurcie i jego ręce pieściły jej biodra, brzuch, wewnętrzną stronę ud. Otworzyła się na to dotknięcie.

Obsunął się nisko między jej nogami i jego gorący język wzbudził w niej przeszywające strzały podniecenia. Była tak wrażliwa, jej reakcje tak potężne, że było to niemal nie do zniesienia. Mężczyzna zauważył to natychmiast. Był wykwalifikowanym łupaczem krzemienia, wytwórcą kamiennych narzędzi i broni myśliwskiej; jednym z najlepszych łupaczy, ponieważ podchodził do kamienia z wyczuciem, wrażliwy na wszystkie jego drobne i subtelne odmiany. Kobiety reagowały na jego dotyk tak jak i kamień. Zarówno z niego, jak i z nich potrafił wydobyć, co najlepsze. Szczerze zachwycał go widok zarówno

dobrego narzędzia, jakie wyłaniało się z kawałka krzemienia pod wpływem jego wprawnych rąk, jak i kobiety, którą potrafił maksymalnie pobudzić. Poświęcił wiele czasu na praktykowanie jednego i drugiego.

Dzięki wrodzonym skłonnościom i głębokiemu pragnieniu zrozumienia uczuć kobiet - szczególnie Ayli - w tych najbardziej intymnych momentach, wiedział, że bardzo delikatne dotknięcie bardziej ją w tej chwili podnieci, chociaż później może być potrzebna inna technika. Pocałował wewnątrz jej uda i przesunął po nim językiem. Poczuł, jak zadrżała pod wpływem zimnego wiatru, i chociaż oczy miała zamknięte i nie protestowała, zobaczył, że cała pokryta jest gęsią skórką. Wstał, zdjął z siebie kurtę i przykrył ją, zostawiając nagą dolną połowę ciała.

Futrzanę okrycie, nadal ciepłe od jego ciała i przesycone jego zapachem, było cudowne. Kontrast z zimnym wiatrem, który owiewał skórę jej uda, wilgotną od jego języka, spowodował dreszcze zachwytu. Poczula gorącą wilgoć dotykającą jej fałdów i natychmiast dreszcz zimna zamienił się w płonący żar. Z jękiem wyprężyła się ku niemu.

Obiema rękami rozchylił jej fałdy, podziwiał różowy kwiat jej kobiecości i niezdolny powstrzymać się, ogrzał te chłodne płatki mokrym językiem. Poczula ciepło, potem zimno i zadygotała w odpowiedzi. To było nowe uczucie, coś, czego nigdy przedtem nie robił. Używał górskiego powietrza jako środka do dostarczenia jej przyjemności i jej zachwyty nie miał granic. Po chwili jednak wraz z silniejszym uciskiem i znanym dotykiem jego ust i rąk, które stymulowały, zachęcały i pobudzały jej zmysły, zatraciła poczucie tego, gdzie jest. Czula tylko jego usta, język, umiejętnie palce, sięgające głęboko, a potem tylko wzbierającą falę, która osiągnęła szczyt i zalała ją, podczas gdy ona sięgała po jego męskość i wprowadzała ją w siebie. Wyprężyła się, kiedy ją wypełnił.

Zanurzył się cały i zamknął oczy, gdy poczuł gorące, wilgotne objęcia. Zamarł na chwilę, a potem wysunął się. Czuł pieszczotę długiego tunelu, po czym wszedł znowu. Każdy ruch przy wsuwaniu i wychodzeniu przybliżał go do celu, narastało w nim napięcie. Usłyszał jej jęk, poczuł, jak podniosła się na jego spotkanie, i osiągnął szczyt, eksplodując w wyzwoleniu na falach przyjemności.

W całkowitej ciszy słychać było tylko wiatr. Konie czekały cierpliwie; wilk przyglądał się z zainteresowaniem, ale nauczył się już zostawiać ich w spokoju. Wreszcie Jondalar uniósł się, oparł na rękach i patrzył na kobietę, którą kochał. Nagle powróciły jego wcześniejsze myśli.

- Aylo, a co, jeśli poczęliśmy dziecko?

- Nie martw się. Chyba nie. - Cieszyła się ze znalezienia antykoncepcyjnych roślin i

kusiło ją, żeby mu o tym powiedzieć, tak jak powiedziała Tholie. Tholie była jednak tak zaszokowana, chociaż była kobietą, że Ayla nie odważyła się wspomnieć o tym mężczyźnie. - Nie jestem pewna, ale nie wydaje mi się, że teraz był czas, w jakim mogłabym zająć w ciążę. - Prawdą było, że nie miała całkowitej pewności.

Iza urodziła w końcu córkę, mimo że przez lata piła antykoncepcyjny napój. Może ta roślina traciła swoją moc po długim używaniu - pomyślała Ayla - albo może Iza zapomniała ją wypić, chociaż to było nieprawdopodobne. Ayla zastanawiała się, co by się stało, gdyby przestała pić swoją poranną herbatę.

Jondalar żywił nadzieję, że Ayla ma rację, choć w głębi duszy chciał, by się myliła. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał dziecko przy swoim ognisku, dziecko urodzone z jego ducha, albo może z jego esencji.

Dotarcie do następnego łańcucha górskiego zabrało im kilka dni. Był niższy, zaledwie wystawał ponad linię lasów, ale mogli z niego zobaczyć rozległe, zachodnie stopy. Powietrze było rześkie i przejrzyste, chociaż wcześniej padał śnieg, i w oddali dostrzegli kolejny, wyższy łańcuch pokrytych lodem gór. Na równinie poniżej zobaczyli rzekę, która płynęła na południe i wpadała w coś, co robiło wrażenie wielkiego jeziora.

- Czy to jest Wielka Rzeka Matka? - spytała Ayla.

- Nie. To jest Siostra i musimy się przez nią przeprawić.

Boję się, że to będzie najtrudniejsza przeprawa w całej podróży. Widzisz tamto, na południe? Gdzie wody rozlewają się tak, że to wygląda jak jezioro? To jest Matka, a raczej miejsce, w którym Siostra do niej wpada - albo próbuje. Zawraca, rozlewa się i tworzy zdradliwe wiry. Nie będziemy tutaj próbować przejścia, ale Carlono powiedział, że jest burzliwa również wyżej.

Jak się okazało, dzień, w którym patrzyli na zachód z drugiego łańcucha górskiego, był ostatnim pogodnym dniem. Następnego ranka niebo zaciągnęło się nisko wiszącymi chmurami, które łączyły się z mgłą wznoszącą się z dołów i zagłębień gruntu. Mgła była niemal namacalna i zbierała się w małe kropelki na włosach i futrach. Wszystko otulał widmowy całun, który dopiero z bliska pozwalał rozróżniać kształty drzew i skał.

Po południu rozległ się niespodziewany i potężny huk grzmotu, na sekundę tylko poprzedzony nagłym światłem błyskawicy. Ayla podskoczyła i zadygotała z przerażenia, kiedy ostre błyski białego, zygzakowatego światła uderzyły w szczyty górskie za nimi. Ale to nie błyskawica tak ją przeraziła, tylko nagły łomot, który przyszedł po niej. Wzdrygała się za każdym razem, gdy słyszała odległe dudnienie lub niedaleki przeciągły grzmot. Wydawało

się, że z każdym kolejnym wybuchem dźwięków deszcz przybierał na sile, jak gdyby sam hałas wyciskał go z chmur. Kiedy z trudem schodzili w dół po zachodnim zboczu góry, deszcz spadał falami jak potężny wodospad. Strumienie wypełniły się i występowały z brzegów, strużki przelewające się przez skalne występy zamieniły się w szalejące potoki. Grunt pod nogami zrobił się śliski i miejscami niebezpieczny.

Oboje byli wdzięczni za otrzymane od Mamutoi peleryny z wyprawionej skóry - Jondalara z megacerosa, olbrzymiego jelenia stepowego, i Ayli z północnego renifera. Nosiło się je na futrzanych kurtach, kiedy było zimno, lub tylko na tunikach przy cieplejszej pogodzie. Zewnętrzna strona pofarbowana była czerwoną i żółtą ochrą. Mineralny barwnik mieszano z tłuszczem i wcierano w skóry zrobionymi z kości żebrowej narzędziami do polerowania, co nadawało skórze twardą powierzchnię i połysk, a jednocześnie odporność na wodę. Nawet jednak wypolerowane, nasączone tłuszczem skóry nie były w stanie całkowicie oprzeć się szalejącej ulewie, ale dostarczały nieco osłony

Kiedy zatrzymali się na noc i postawili namiot, wszystko było wilgotne, nawet futrzane śpiwory, i nie było możliwości rozpalenia ognia. Wnieśli drewno do namiotu - na ogół uschnięte gałęzie drzew iglastych - w nadziei, że wyschną w ciągu nocy. Rano deszcz nadal lał i ubrania były w dalszym ciągu wilgotne, ale przy użyciu kamienia ognistego i podpałki Ayli udało się rozniecić nieduże ognisko, wystarczające, żeby zagotować trochę wody na rozgrzewającą herbatę. Zjedli kwadratowe placuszki podróznego jedzenia, które dała im Roshario, powszechnie używanej, pożywnej, sytej i zbitej żywności, dającej możliwość przeżycia, nawet jeśli nie jadło się niczego innego. Były to różne rodzaje mięsa, wysuszonego, zmielonego i zmieszanego z tłuszczem, na ogół z suszonymi owocami czy jagodami i czasem również z na wpół ugotowanym ziarnem czy korzeniami.

Konie stały cierpliwie przed namiotem z opuszczonymi łbami, a woda kapała im z długiej zimowej sierści. Miskowa łódka spadła, wypełniona do połowy wodą. Byli gotowi zostawić ją wraz z palami, na których ją ciągnęli. Włók był użyteczny do transportowania ciężarów przez otwarte stopy i, razem z okrągłą łódką, podczas przeprowiania dobytku przez rzeki. W stromych, porośniętych drzewami górach był jednak zawadą. Utrudniał i opóźniał podróż, a mógł być wręcz niebezpieczny przy schodzeniu w ulewny deszcz ze stromego zbocza. Gdyby Jondalar nie wiedział, że większa część drogi, którą mieli jeszcze przed sobą, będzie wieść przez równiny, dawno by go już zostawił.

Odwiązali łódkę z włoka i wylali wodę, przewracając ją do góry nogami, a w pewnym momencie podnosząc ją ponad głowę. Stojąc pod nią i trzymając okrągłą łódkę nad głowami, spojrzeli nagle na siebie z szerokim uśmiechem. Nie przyszło im przedtem na myśl, że łódka,

która chroniła ich przed wodą w rzece, może być również dachem nad głową i osłaniać ich przed deszczem. Może nie w czasie marszu, ale przynajmniej mogli się pod nią schronić podczas najgorszej ulewy. To odkrycie nie rozwiązało jednak problemu jej transportu. Nagle, jakby się porozumiewali myślami, podnieśli łódkę i położyli ją na grzbiecie Whinney. Jeśli potrafią ją umocować, zasłoni namiot i dwa kosze nośne przed deszczem. Konstrukcja z drągów i sznurów, jaką wymyślili, była trochę nieporęczna, i wiedzieli, że w pewnych miejscach będą musieli ją zdjąć, gdyż będzie zbyt szeroka, lub nawet zmusi ich do nadłożenia drogi, ale nie sądzili, żeby było to bardziej kłopotliwe niż przedtem, a z pewnością dawało pewne korzyści.

Nałożyli koniom uprząż i załadowali je, ale nie mieli zamiaru na nich jechać. Ciężki, mokry namiot i pokrywę podłogową narzucili na grzbiet Whinney, a nad nimi umocowali łódkę, podpartą skrzyżowanymi drągami. Ciężka płachta ze skóry mamuciej, której Ayla używała do osłony koszy na żywność, leżała na grzbiecie Zawodnika i przykrywała jego oba kosze nośne.

Zanim ruszyli, Ayla poświęciła Whinney trochę czasu. Uspokajająco do niej mówiła i dziękowała jej w wymyślonym przez siebie języku. Nie przychodziło jej do głowy pytanie, czy Whinney ją rzeczywiście rozumie. Język był znajomy i uspokajający i kobyła reagowała na pewne dźwięki i gesty jak na sygnały. Nawet Zawodnik nastawił uszu, potrząsnął łbem i zarżał w odpowiedzi. Jondalar sądził, że Ayla miała jakiś specjalny sposób komunikowania się z końmi, którego sam nie był w stanie pojąć, chociaż trochę rozumiał. To było częścią otaczającej ją tajemniczości, która tak go fascynowała.

Poszli w dół przed końmi, pokazując drogę. Wilk, który noc spędził w namiocie, a i wieczorem nie był tak przemoknięty jak konie, wkrótce wyglądał znacznie gorzej od nich. Jego na ogół gęste i puchate futro przykleiło się do ciała, przez co zdawał się mniejszy, lecz wyraźniej zarysowały się kości i mocne mięśnie. Wilgotne futrzane kurty ludzi były dość ciepłe, choć nie całkiem przyjemne w noszeniu, a szczególnie mokre i zbite futro wewnątrz kapuz. Po chwili woda zaczęła im ściekać po karkach, ale nic na to nie mogli poradzić. Kiedy z ponurego nieba nie przestawały się lać strumienie wody, Ayla uznała, że z wszelkiej możliwej pogody najmniej odpowiada jej deszcz.

W ciągu kilku następnych dni padało niemal bez przerwy, czyli podczas całej ich drogi w dół zboczy górskich. Gdy doszli do wysokich drzew iglastych, znaleźli trochę osłony pod ich koronami, ale wkrótce zostawili drzewa za sobą i wyszli na szeroki, równy taras. Rzeka znajdowała się o wiele niżej. Ayla zaczęła rozumieć, że w rzeczywistości musi płynąć znacznie dalej i być większa, niż jej się zdawało. Deszcz słabł od czasu do czasu, ale nie



przestawał padać. Pozbawieni osłony drzew, byli mokrzy i nieszczęśliwi. Jedyнным plusem było to, że mogli teraz jechać na koniach, przynajmniej na niektórych odcinkach drogi.

Posuwali się w dół na zachód przez szereg lessowych tarasów pociętych przez niezliczone, małe strumyczki, napełniane wodą spływającą z wyżyn; rezultat powodzi, jaka lała się z nieba. Przedzierali się przez błoto i przekroczyli wiele rwących potoków. Przedostali się na kolejny taras i niespodziewanie natknęli się na małe osiedle.

Proste drewniane schronienia, właściwie niewiele ponad zadaszenie, najwidoczniej zbudowane naprędce, wyglądały jak ruina, ale jednak dawały jakąś osłonę od bez ustanku padającego deszczu. Podróżnicy ucieszyli się na ten widok i szybko poszli w ich kierunku. Zsiedli z koni, świadomi strachu, jaki wzbudzały oswojone zwierzęta, i zawołali w sharamudoi, mając nadzieję, że ten język będzie znany mieszkańcom. Nie otrzymali jednak żadnej odpowiedzi, kiedy zaś przypatrzyli się dokładniej, doszli do wniosku, że osada jest pusta.

- Jestem pewien, że Matka wie, jak bardzo potrzebujemy schronienia. Doni nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyśmy weszli do środka - powiedział Jondalar i wszedł do jednego z szałasów. Niczego w nim nie było, poza skórzanym rzemieniem, zwisającym z kołka. Klepisko rozmokło w rozbabrane błoto. Wyszli i skierowali się ku największemu pomieszczeniu.

Kiedy podchodzili, Ayla zdała sobie sprawę z braku czegoś bardzo ważnego.

- Jondalarze, gdzie jest doni? Nie ma figurki Matki, która strzegłaby wejścia.

Rozejrzał się i skinął głową.

- To musi być tymczasowy letni obóz. Nie ma doni, ponieważ nie wezwali Matki, żeby chroniła tę osadę. Ktokolwiek ją zbudował, nie sądził, że przetrwa zimę. Porzucili to miejsce, odeszli i zabrali wszystko ze sobą. Prawdopodobnie, kiedy zaczęły się deszcze, przenieśli się wyżej.

Weszli do największej budowli i stwierdzili, że jest solidniejsza od pozostałych. W ścianach były szpary i dach przeciekał w wielu miejscach, ale grubo ciosana, drewniana podłoga została położona powyżej poziomu błota i koło paleniska z kamieni leżało kilka suchych kawałków drewna. To było najsuchsze, najwygodniejsze miejsce, jakie widzieli od wielu dni.

Wyszli, odwiązali wólk i wprowadzili konie do środka. Ayla wykrzesła ogień, podczas gdy Jondalar poszedł do jednego z mniejszych szałasów i zaczął zdierać suche deski z wewnętrznych ścian, żeby je zużyć na opał. Zanim wrócił, Ayla rozciągnęła grube sznury w poprzek pomieszczenia, przywiązała je do znalezionych w ścianach kołków i wieszała mokre

ubrania i spiwory. Jondalar pomógł jej rozciągnąć na sznurze namiot, ale musieli go zwinąć znowu, żeby uniknąć strumyczka przeciekającego z dachu.

- Powinniśmy coś zrobić z tymi dziurami w dachu - orzekł Jondalar.

- Widziałam pałkę w pobliżu. Nie zabierze dużo czasu splecenie liści w maty i przykrycie nimi dziur.

Wyszli, żeby nazbierać mocnych, dość sztywnych liści pałki do załatania przeciekającego dachu, i oboje narwali jej bardzo dużo. Liście, owinięte wokół łodygi, miały przeciętnie około sześćdziesięciu centymetrów długości, trzech centymetrów szerokości i zwężały się przy czubku. Ayla wcześniej już uczyła Jondalara podstawowych technik plecenia i po kilku chwilach obserwacji, żeby zobaczyć, jakiej techniki używa dla uzyskania kwadratowych kawałków płaskiej maty, mężczyzna zaczął pleść sam. Ayla spuściła wzrok na swoje ręce i uśmiechała się do siebie. Nadal dziwiło ją, że Jondalar potrafił wykonywać pracę kobiecą, i cieszyła ją jego chęć dzielenia jej zadań. Pracując wspólnie, wkrótce mieli tyle mat, ile było dziur.

Budowla była pokryta dość rzadką strzechą z trzcin przyczepionych do konstrukcji z długich pni młodych drzew związanych razem. Mimo że nie zrobiona z desek, przypominała chaty Sharamudoi, z tym że nie była symetryczna, a kalenica nie szła ukośnie. Ściana z wejściem zwróconym do rzeki była niemal pionowa; przeciwna zaś pochylała się ku niej pod ostrym kątem. Boki były zamknięte, ale można je było podeprzeć nieco, jak markizę.

Wyszli na dwór i umocowali maty, przywiązując je mocnymi, włóknistymi liśćmi pałki. Przy samym szczycie były dwie dziury, których nawet blisko dwumetrowy Jondalar nie mógł dosięgnąć. Bali się wejść na dach, sądząc, że budowla nie wytrzyma ciężaru żadnego z nich. Zdecydowali, że wejdą do środka i tam zastanowią się nad sposobem naprawienia dachu. W ostatnim momencie przypomnieli sobie o napełnieniu bukłaka oraz kilku misek wodą do picia i gotowania. Kiedy Jondalar wyprostował się i ręką zatkał otwór w dachu, uświadomili sobie, że mogą przyczepić łąty od środka. Wejście zasłonili płachtą ze skóry mamuciej i Ayla rozejrzała się po zaciemnionym wnętrzu, oświetlonym wyłącznie ogniskiem, które zaczynało je ogrzewać. Wydało jej się bardzo przytulne. Byli w suchym i ciepłym miejscu, choć już zaczynała się zbierać para z suszących się rzeczy, a w takim letnim schronieniu nie było otworu dymnego. Dym z ogniska uciekał normalnie przez nieszczelne ściany i dach oraz wejście, na ogół nie zasłaniane przy ciepłej pogodzie. Jednak suche trawy i trzciny nabrzmiały od wilgoci i zamknęły drogi ucieczki dymu, który zaczął się zbierać wzdłuż kalenicy.

Chociaż konie były zwierzętami otwartych przestrzeni, Whin-ney i Zawodnik

wychowały się wśród ludzi i były przyzwyczajone do ludzkich pomieszczeń, nawet ciemnych i zadymionych. Stały w kącie, który im przydzieliła Ayla, i wydawały się zadowolone, że znalazły schronienie przed przesiąkniętym wodą światem. Ayla włożyła do ogniska kamienie do gotowania; potem oboje z Jondalarem wytarli do sucha konie i Wilka. Otworzyli wszystkie swoje kosze i paczki, żeby zobaczyć, czy coś się nie zniszczyło od nadmiaru wilgoci, znaleźli suche ubrania i przebrali się w nie. Usiedli przy ognisku, popijając gorącą herbatę, podczas gdy zupa zrobiona z podróźnej żywności jeszcze się gotowała. Kiedy dym zaczął napełniać wyższy poziom chaty, zrobili dziury w cienkim poszyciu przy kalenicy, co oczyściło powietrze i dało trochę światła.

Odpoczynek dobrze im zrobił. Nie zdawali sobie sprawy z tego, jak byli zmęczeni, i na długo przed zapadnięciem ciemności wpełzli do swoich nieco wilgotnych śpiworów. Mimo zmęczenia Jondalar nie mógł jednak zasnąć. Pamiętał poprzedni raz, kiedy musiał przekroczyć wartką i zdradliwą rzekę, zwaną Siostrą, i w ciemności czuł dreszcz przerażenia, że musi ją przejść z kobietą, którą kocha.

Ayla z Jondalarem zostali w opuszczonym letnim obozie przez następne dwa dni. Rankiem trzeciego dnia deszcz wreszcie ustał. Ponura, jednolicie szara pokrywa chmur przetarła się i po południu jasne światło słoneczne prześwitywało przez niebieskie łatki na niebie, widoczne między wełnistymi, białymi chmurami. Rzeński wiatr dmuchał i gwizdał to z jednej strony, to z drugiej, jakby próbował różnych pozycji i nie mógł się zdecydować, która będzie najodpowiedniejsza.

Większość rzeczy wyschła, ale otwarli oba końce szałasów na oścież, żeby wiatr przewiewał na wylot i wysuszył kilka ostatnich, cięższych kawałków skóry. Niektóre zeszywniały. Będą wymagały pracy i rozciągania, choć regularne używanie prawdopodobnie wystarczy, by z powrotem nadać im elastyczność, w zasadzie jednak nie były zniszczone. Inaczej było jednak z plecionymi koszami nośnymi. Wyschły zniekształcone i mocno postrzępione, poza tym zapleśniały. Wilgoć je zmiękczyła, więc ciężar, jaki był w środku, porozciągał je i porwał włókna. Ayla uznała, że musi zrobić nowe, chociaż wysuszone jesienne trawy i witki nie były najlepszym do tego materiałem. Kiedy powiedziała o tym Jondalarowi, poruszył kolejny problem.

- Te kosze nośne i tak sprawiały kłopot. Za każdym razem, kiedy przechodziliśmy przez głębokie rzeki, w których konie musiały płynąć, kosze moczyły się, jeśli ich nie zdejmowaliśmy. Z łódką i włókiem to nie był taki duży problem. Po prostu wkładaliśmy je do łódki, a na otwartej przestrzeni łatwo jest używać włóka. Większość drogi, którą musimy przejść, to trawiasty step, ale natrafimy także na lasy i nierówny teren. Tam nie będzie łatwo ciągnąć te drągi z łódką, tak samo jak tu, w górach. Kiedyś możemy uznać, że trzeba je zostawić, wówczas jednak będą nam potrzebne kosze, które się nie zamoczą podczas przeprawy w pław. Myślisz, że możesz zrobić coś takiego?

Ayla się zastanowiła.

- Masz rację, rzeczywiście się moczą. Kiedy zrobiłam kosze nośne, nie miałam tak wielu rzek do przejścia, a te, które pokonywałam, nie były tak głębokie. - Zmarszczyła czoło w skupieniu; potem przypomniała sobie pierwszy kosz, jaki nałożyła na Whinney. - Na początku nie używałam takich wiszących koszy. Kiedy pierwszy raz chciałam, żeby Whinney poniosła coś na grzbiecie, uplotłam duży, płaski kosz. Mogłabym zrobić coś podobnego. Łatwiej byłoby, gdybyśmy nie jechali na koniach, ale...

Zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie takie urządzenie.

- Może... mogłabym zrobić kosze nośne, które da się podciągnąć na ich grzbiety, kiedy są w wodzie... Nie, wtedy nie można by na nich siedzieć... ale... może coś, co będą nosiły na zadach, za nami... - Spojrzała na Jondalara. - Tak, chyba potrafię zrobić takie pojemniki.

Zgromadzili trzciny i liście pałki, witki łożyny, długie, cienkie korzenie świerku i wszystko inne, co Ayla zobaczyła i uznała, że nada się jako materiał na kosze lub na sznury do skonstruowania plecionych pojemników. Oboje przez cały dzień pracowali nad tym, wypróbując różne kształty i przymierzając je na Whinney. Późnym popołudniem mieli rodzaj pakownego koszasiodła, które było wystarczająco duże, by pomieścić rzeczy Ayli, i które kobyła mogła unieść wraz z jeźdźcem. Podczas przeprawy wpraw powinno być jako tako zabezpieczone przed zamoczeniem. Natychmiast zaczęli robić drugie, dla Zawodnika. Poszło im to znacznie szybciej, bo mieli już metodę i wypracowane szczegóły.

Wieczorem wiatr przybrał na sile i zmienił kierunek. Wiał z północy, szybko pędząc chmury na południe. Po zapadnięciu zmroku niebo było niemal czyste, ale znacznie się ochłodziło. Mieli zamiar wyruszyć rano i oboje zdecydowali się na przejrzenie swoich rzeczy, żeby zmniejszyć ładunek. Kosze nośne były większe i w nowych nie starczało miejsca na wszystko. Niezależnie od tego, jak pakowali, ciągle coś zostawało. Pewne rzeczy musieli zostawić. Rozpostarli wszystko, co mieli ze sobą. Ayla wskazała na płat kości słoniowej z wyrysowaną przez Taluta mapą i szlakiem, który już przebyli.

- Już tego nie potrzebujemy. Kraina Taluta jest daleko za nami - powiedziała z odrobiną smutku.

- Masz rację, nie potrzebujemy tego. Bardzo jednak nie chciałbym tego zostawiać. - Jondalar skrzywił się na samą myśl o wyrzuceniu mapy. - Ludzi mogą zainteresować mapy robione przez Mamutoi, a poza tym przypomina mi Taluta.

Ayla przytaknęła ze zrozumieniem.

- No cóż, weź to, jak masz miejsce, ale to nie jest niezbędne. Jondalar zerknął na rozłożone rzeczy Ayli i podniósł tajemniczą, dobrze opakowaną paczkę, którą widział już wcześniej.

- Co to jest?

- To tylko coś, co zrobiłam zimą - odpowiedziała, wyjmując mu paczkę z rąk i odwracając wzrok. Zacerwieniła się. Odłożyła paczkę za siebie, wpychając ją pod stertę rzeczy, które zabierała ze sobą. - Zostawię moje letnie ubranie podróżne. Całe jest poplamione i znoszone, a teraz będę przecież używać zimowych ubrań. To da mi trochę miejsca.

Jondalar spojrzał na nią ostro, ale nic nie powiedział.

Następnego ranka było bardzo zimno. Obłoczki ciepłej pary pokazywały się przy każdym oddechu. Ayla i Jondalar ubrali się szybko i po rozpaleniu ognia na poranną gorącą herbatę spakowali swoje pośłania, gotowi do wymarszu. Kiedy jednak wyszli na dwór, stanęli jak wryci.

Cienka powłoka połyskliwego szronu zmieniła okoliczne wzgórza. Błyszczał i skrzył się w jasnym porannym słońcu z niezwykłą jaskrawością. Szron się topił i każda kropelka wody stawała się pryzmatem, który odbijał lśniący kawałek tęczy w małych rozpryskach czerwieni, zieleni, błękitu lub złota. Kolory migotały i zlewały się ze sobą, kiedy poruszali się i widzieli je pod różnymi kątami. Ale piękno ulotnych klejnotów szronu było przypomnieniem, że sezon ciepła to tylko przejściowy błysk koloru w świecie opanowanym przez zimę i że krótkie, gorące lato jest już za nimi.

Kiedy byli spakowani i gotowi do wymarszu, Ayla raz jeszcze popatrzyła na letni obóz, który dał im tak potrzebne schronienie. Był w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż przedtem, ponieważ oberwali części mniejszych szałasów na opał, ale wiedziała, że marne, tymczasowe szałas i tak długo już nie przetrwają. Była wdzięczna, że znaleźli je w porę.

Poszli na zachód ku Rzece Siostrze, schodząc zboczem na kolejny, płaski taras, ale nadal znajdowali się dość wysoko, żeby widzieć rozległe tereny trawiaste po drugiej stronie burzliwego nurtu. Mieli stąd dobry widok na cały region i mogli ocenić rozmiary rzecznej doliny przed nimi. Płaski teren, który na ogół był pod wodą w czasie powodzi, miał około piętnastu kilometrów szerokości, ale jego większa część leżała po drugiej stronie rzeki. Na tym brzegu wzniesienia ograniczały rozlewisko, choć i na drugim dostrzegali wzgórza i stromizny. W odróżnieniu od trawiastych stepów dolina rzeczna była bezładną masą moczarów, małych jezior, zagajników i splątanego poszycia, wśród których pieniała się rzeka. Chociaż nie było tu wijących się kanałów, widok przypominał Ayli olbrzymią deltę Wielkiej Matki Rzeki, tyle że na mniejszą skalę. Łozina i sezonowe zarośla, które wydawały się wyrastać z wody wzdłuż krawędzi wartkiego strumienia, wskazywały zarówno na rozmiary zalewów spowodowanych niedawnymi deszczami, jak i na ilość łądu już pochłoniętego przez rzekę.

Whinney nagle zmieniła chód, ponieważ jej kopyta zaczęły zapadać się w piasku. Małe strumyczki, które przecinały tarasy powyżej, zamieniły się w głęboko wcięte łożyska rzeczne między ruchomymi wydrami piaszczystego marglu. Konie grzęzły i potykały się, przy każdym kroku podnosząc kłęby sypkiej, bogatej w wapień gleby.

Pod wieczór, kiedy słońce zachodziło, oślepiając swą intensywnością, podróżnicy osłaniali oczy przed rażącym światłem i starali się dostrzec przed sobą jakieś miejsce zdatne

na obozowisko. W miarę zbliżania się do rzecznej doliny zauważyli, że drobny, sypek piasek zmieniał nieco charakter. Tak jak wyżej położone tarasy składał się przede wszystkim z ziemi lessowej - skalnego pyłu stworzonego przez mielące działanie lodowców i przeniesionego przez wiatr - ale miejscami w czasie powodzi rzeka wzbierała aż do wysokości, na której teraz podróżowali. Gliniasty osad rzeczny utwardzał i stabilizował grunt. Kiedy zobaczyli znajome trawy stepowe, rosnące obok strumyka, wzdłuż którego szli - jednego z wielu strumieni spływających z gór ku Siostrze - zdecydowali się na postój.

Po rozbiciu namiotu poszli każde w swoim kierunku, żeby upolować coś na obiad. Ayla wzięła Wilka, który biegł przed nią i niebawem wypłoszył stadko pardw. Chwycił jednego ptaka, a Ayla błyskawicznie wydobyła procę i rzuciła kamieniem w innego, który myślał, że udało mu się osiągnąć bezpieczną wysokość. Chciała pozwolić Wilkowi na zatrzymanie ptaka, którego złapał, ale kiedy opierał się przed oddaniem go, zmieniła zdanie. Jeden tłusty ptak całkowicie wystarczyłby dla niej i Jondalara, chciała jednak nauczyć Wilka, że ma się dzielić z nimi swoją zdobyczą, bo nie wiadomo, co ich jeszcze czeka po drodze.

Mroźne, szczypiące powietrze uświadomiło jej, że będą podróżować zimą przez nieznane tereny. Ludzie, których znała, zarówno klan jak i Mamutoi, rzadko wędrowali podczas surowych, lodowcowych zim. Osiadali w miejscach zabezpieczonych przed zimnem i śnieżycami i odżywiali się tym, co zebrali w cieplejszych porach roku. Niepokoił ją pomysł podróżowania w czasie zimy.

Jondalar zabił za pomocą miotacza dużego zająca, ale zdecydowali zostawić go na później. Ayla chciała upiec ptaki na rożnie nad ogniskiem, ale obozowali na otwartym stepie, koło strumienia, gdzie rosły tylko rzadkie krzaki. Rozejrzawszy się, zobaczyła dwa poroża niejednakowej wielkości, najwyraźniej z dwojga różnych zwierząt, zrzucone poprzedniego roku. Chociaż poroże było o wiele trudniej połamać niż drewno, za pomocą ostrych noży krzemiennych i małej siekiery podzielili je na części. Na jedną część Ayla nadziała ptaki, a odłamane odnogi posłużyły jako widły do podtrzymania rożna. Po całym wysiłku, jaki włożyli w zrobienie tego, Ayla zdecydowała, że je zatrzyma, szczególnie że poroże nie chwyciło łatwo ognia.

Dała Wilkowi porcję upieczonego ptaka razem z kilkoma dużymi korzeniami trzcinowymi, które wykopała z bajorka obok strumienia, oraz smacznymi, jadalnymi grzybami, znalezionymi na łące. Po wieczornym posiłku siedzieli obok ogniska i wpatrywali się w ciemniejące niebo. Dnie stały się krótsze i nie czuli jeszcze zmęczenia. Było też znacznie łatwiej jechać na koniach przez otwarte płaszczyzny niż przedzierać się przez pokryte lasami góry.

- Te ptaki były bardzo smaczne - odezwał się Jondalar. -Lubię taką chrupiącą skórkę.

- O tej porze roku, kiedy są takie tłuste, to jest najlepszy sposób przyrządzania. Pióra już zmieniają kolor i puch na piersi jest taki gęsty. Chciałam go zabrać ze sobą. Byłby miękkim i przyjemnym materiałem na posłanie. Pióra pardwy to najłżejsza i najcieplejsza wyściółka, ale nie mam na nie miejsca.

- Może w przyszłym roku, Aylo. Zelandonii też polują na pardwy - powiedział Jondalar, przekazując w ten sposób informację o tym, czego może się spodziewać przy końcu podróży.

- Creb najbardziej lubił pardwy - rzuciła Ayla.

Jondalarowi wydawało się, że jest smutna, ale kiedy nie powiedziała nic więcej, ciągnął dalej w nadziei, że oderwie jej myśli od tego, co ją trapiło.

- Tam jest także jeden rodzaj pardw, nie koło naszych jaskiń, ale na południe od nas, które nie robią się białe. Cały rok zachowują wygląd pardw latem, ale smakują tak samo. Mieszkający tam ludzie nazywają je "brązową pardwą" i lubią używać piór na ozdobę nakryć na głowę i ubrań. Robią specjalne kostiumy na ceremonię Brązowej Pardwy i tańczą, naśladując ruchy ptaka, tupią nogami jak samce, które starają się przygruchać sobie samice. To jest część ich Święta Matki. - Przerwał, ale Ayla nadal milczała, więc mówił dalej: - Polują na ptaki z sieciami i łapią wiele naraz.

- Jedną straciłam procą, ale drugą złapał Wilk - powiedziała Ayla. Znowu zamilkła i Jondalar doszedł do wniosku, że najwyraźniej nie jest w nastroju do rozmów. Przez chwilę siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak ogień pochłania zarośla i łąjno, które po deszczach znowu wyschło na tyle, że dawało się palić. Wreszcie znowu się odezwała: - Pamiętasz kijek do rzucania Brecie? Chciałabym umieć posługiwać się czymś takim. Ona potrafiła zabić kilka ptaków jednym rzutem.

Robiło się coraz zimniej, więc cieszyli się, że mają namiot. Chociaż Ayla wydawała się niezwykle milcząca, pełna smutku i wspomnień, gorąco zareagowała na jego dotknięcie i Jondalar wkrótce przestał się martwić jej melancholijnym nastrojem.

Rano powietrze było nadal mroźne, a skondensowana wilgoć znowu pokryła ziemię szronem. Strumień był lodowato zimny, ale umyli się w nim i uznali, że woda jest odświeżająca. Zająca, którego upolował Jondalar, zagrzebali poprzedniego wieczoru pod gorącymi głowniami, żeby piekł się przez całą noc. Zostawili go owiniętego w jego własne futro. Kiedy zdjęli poczerniałą skórę, leżąca tuż pod nią gruba warstwa zimowego tłuszczu namaściła zwykle chude i często żyłaste mięso, a powolne gotowanie wewnątrz tego naturalnego pojemnika przydało mu wilgotności i kruchości. To była najlepsza pora roku na



polowanie na te długouchy zwierzęta.

Jechali obok siebie przez wysokie, dojrzałe trawy, bez pośpiechu, ale zachowując stałe tempo. Od czasu do czasu rozmawiali. Pełno było małej zwierzyny, ale jedyne duże zwierzęta widzieli rano, daleko po drugiej stronie Siostry: małe stado mamutów samców, które szło na północ. Później w ciągu dnia zobaczyli mieszane stado koni i suhaków, także po drugiej stronie. Również Whinney i Zawodnik zauważyły te zwierzęta.

- Suhak był totemem Izy - powiedziała Ayla. - To bardzo silny totem, jak na kobietę. Nawet mocniejszy niż totem, jaki Creb dostał przy urodzeniu - Sarna. Oczywiście, Niedźwiedź Jaskiniowy go wybrał i stał się jego drugim totemem, zanim został Mog-urem.

- Ale twoim totemem jest Lew Jaskiniowy. To dużo potężniejsze zwierzę niż antylopa suhak - odezwał się Jondalar.

- Wiem. To jest totem mężczyzny, totem myśliwski. Dlatego było im tak trudno w to uwierzyć z początku. Ja tego nie pamiętam, ale Iza mi powiedziała, że Brun był bardzo zły na Creba, kiedy powiedział o tym przy ceremonii adopcji. Dlatego wszyscy byli pewni, że nigdy nie będę miała dzieci. Żaden mężczyzna nie miał dość potężnego totemu, by pokonać Lwa Jaskiniowego. Wszyscy byli niezmiernie zdziwieni, kiedy zaszłam w ciążę z Durkiem, ale jestem pewna, że to Broud go począł, kiedy mnie przymusił. - Wzdrygnęła się na to nieprzyjemne wspomnienie. - Jeśli duchy totემów mają cokolwiek wspólnego z poczęciem dzieci, to totemem Brouda był Włochaty Nosorożec. Pamiętam, że myśliwi w klanie opowiadali o nosorożcu, który zabił lwa jaskiniowego, więc może był dość silny, a - tak samo jak Broud - potrafią być złośliwe.

- Włochate nosorożce są nieobliczalne - powiedział Jondalar. - Niedaleko stąd jeden z nich pobódł Thonolana. Umarłby, gdyby nas nie znaleźli Sharamudoi. - Jondalar przymknął oczy pod wpływem tego bolesnego wspomnienia i pozwolił Zawodnikowi iść wolno. Przez chwilę jechali w milczeniu, a potem zapytał: - Czy każdy członek klanu ma własny totem?

- Tak - odpowiedziała Ayla. - Totem jest po to, żeby kierował i ochraniał. W każdym klanie Mogur stwierdza, jaki jest totem każdego dziecka, na ogół jeszcze zanim upłynie rok od urodzenia. Daje dziecku amulet z kawałkiem czerwonego kamienia przy ceremonii totemu. Amulet jest domem ducha totemu.

- Tak jak doni jest miejscem ducha Matki? - spytał Jondalar.

- Chyba to jest podobne, ale totem ochrania ciebie, nie twój dom, chociaż jest szczęśliwszy, jeśli mieszkasz w znanym mu miejscu. Musisz zawsze mieć przy sobie amulet. W ten sposób duch totemu cię rozpoznaje. Creb powiedział mi, że duch mojego Lwa Jaskiniowego nie mógłby mnie bez tego znaleźć. Wtedy straciłabym jego opiekę. Creb

powiedział, że jeśli kiedykolwiek stracę amulet, umrę.

Jondalar nie w pełni rozumiał znaczenie amuletu Ayli ani przyczyny, dla której tak go pilnowała. Czasami uważał, że przesadza. Rzadko go zdejmowała, poza kąpielą lub pływaniem, a czasami wchodziła do wody z amuletem. Sądził, że to z powodu przywiązania do dzieciństwa w klanie, i miał nadzieję, że kiedyś jej to przejdzie. Teraz zrozumiał, że kryje się w tym znacznie więcej. Gdyby człowiek o wielkiej władzy magicznej dał mu coś i powiedział, że umrze, jeśli to straci, też by tego pilnował. Jondalar nie wątpił, że święty mąż klanu, który ją wychował, posiadał prawdziwą moc, zaczerpniętą ze świata duchów.

- To jest także na znaki, jakie daje ci totem, kiedy podejmujesz właściwą decyzję w jakiejś bardzo ważnej sprawie - ciągnęła dalej Ayła. Dręczący niepokój, jaki odczuwała, uderzył ją nagle z wielką siłą. Dlaczego nie otrzymała żadnego znaku od totemu, który potwierdziłby właściwość jej decyzji pójścia z Jondalarem do jego domu? Nie znalazła żadnego przedmiotu, który mogłaby interpretować jako znak od totemu, od czasu gdy opuściła Mamutoi.

- Nie ma wielu Zelandonii, którzy mieliby osobisty totem -powiedział Jondalar - ale niektórzy mają. Na ogół uważa się, że to przynosi szczęście. Willomar ma.

- To jest towarzysz życia twojej matki, prawda?

- Tak. Thonolan i Folarą urodzili się przy jego ognisku i tak zawsze traktował również mnie.

- Jaki jest jego totem?

- Złoty Orzeł. Kiedy był niemowlęciem, złoty orzeł rzucił się w dół i złapał go, ale matka chwyciła go, zanim orzeł zdążył się unieść. Nadal ma na piersi blizny od szponów. Ich Zelandoni powiedziała, że orzeł rozpoznał w nim swojego i dlatego po niego przyszedł. Marthona myśli, że to dlatego tak lubi podróżować. Nie umie latać jak orzeł, ale odczuwa potrzebę oglądania świata.

- To potężny totem, jak Lew albo Niedźwiedź Jaskiniowy -skomentowała Ayła. - Creb zawsze mówił, że nie jest łatwo żyć z potężnym totemem, i to jest prawda, ale tak dużo zostało mi dane. Nawet ciebie mi przysłał. Myślę, że miałam dużo szczęścia. Mam nadzieję, że Lew Jaskiniowy również tobie przyniesie szczęście. Teraz jest także twoim totemem.

Jondalar uśmiechnął się.

- Już mi to mówiłaś.

- Lew Jaskiniowy cię wybrał i masz blizny, którymi to możesz udowodnić. Tak samo jak Willomar został zaznaczony przez swój totem.

Jondalar myślał przez chwilę.

- Chyba masz rację. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

Nagle pojawił się Wilk, który przedtem buszował po okolicy. Szczeknął, żeby zwrócić na siebie uwagę Ayli, i pobiegł obok Whinney. Patrzyła na niego, jak z jęzorem zwieszającym się z jednej strony pyska i nastawionymi uszami biegł naturalnym, niestrudzonym wilczym chodem przez suche trawy, które go czasami całkowicie zakrywały. Wydawał się zadowolony i pełen energii. Uwielbiał odchodzić na samodzielne wyprawy, ale zawsze wracał, co z kolei uszczęśliwiała ją. Szczęśliwa była również z tego, że obok niej jedzie mężczyzna na ogierze.

- Z tego, co o nim opowiadasz, wydaje mi się, że twój brat był podobny do mężczyzny swojego ogniska - powiedziała, na nowo podejmując rozmowę. - Thonolan także lubił podróże. Czy wyglądał jak Willomar?

- Tak, ale nie przypominał go tak bardzo, jak ja przypominam Dalanara. Wszyscy na to zwracają uwagę. Thonolan miał w sobie dużo więcej z Marthony - Jondalar uśmiechnął się - ale nigdy nie został wybrany przez orła, więc to nie tłumaczy jego namiętności do podróży. - Uśmiech zniknął. - Blizny mojego brata zostały mu po nieobliczalnym włośchatym nosorożcu. Ale Thonolan też był zawsze trochę nieobliczalny. Może to był jego totem. Nie przyniósł mu jednak szczęścia, chociaż Sharamudoi istotnie nas znaleźli. Nigdy też nie widziałem, żeby był tak szczęśliwy jak po spotkaniu Jetamio.

- Nie myślę, że Włośchaty Nosorożec jest totemem, który przynosi szczęście - zauważyła Ayła - ale Lew Jaskiniowy jest. Kiedy mnie wybrał, dał mi taki sam znak, jakiego klan używa dla totemu Lwa Jaskiniowego, żeby Creb wiedział. Twoje blizny nie są znakiem klanu, ale są wyraźne. Zostałeś naznaczony przez Lwa Jaskiniowego.

- Z pewnością mam blizny na dowód, że zaznaczył mnie twój lew jaskiniowy, Aylo.

- Myślę, iż duch Lwa Jaskiniowego wybrał cię, żeby duch twojego totemu był wystarczająco silny dla mojego i żebyś któregoś dnia mogła mieć twoje dzieci - powiedziała Ayła.

- Mówiłaś przecież, że to mężczyzna zaczyna rośnięcie dziecka w kobiecie, a nie duchy.

- To prawda, ale może duchy muszą pomóc. Ponieważ ja mam taki potężny totem, mężczyzna, który zostanie moim towarzyszem, także potrzebuje silnego totemu. Może więc Matka zdecydowała się powiedzieć Lwu Jaskiniowemu, by wybrał cię, żebyśmy mogli razem mieć dzieci.

Jechali znowu w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach. Ayła wyobrażała sobie dziecko, które wyglądało jak Jondalar, tyle że była to dziewczynka, nie chłopiec. Nie miała szczęścia do synów. Może uda jej się zachować córkę.

Także Jondalar myślał o dzieciach. Jeśli prawdą jest, że to mężczyzna rozpoczyna życie swoim organem, to z pewnością dali dziecku masę szans na poczęcie. Dlaczego więc Ayla nie jest w ciąży? Czy Serenio była ciężarna, kiedy odchodziłem? -zastanawiał się. Cieszę się, że znalazła kogoś, z kim jest szczęśliwa, ale szkoda, że nie powiedziała niczego Roshario. Czy są jakieś dzieci na tym świecie, które są częścią mnie? Jondalar próbował przypomnieć sobie kobiety, które znał. Pamiętał Norię, młodą kobietę Hadumai, z którą odbył Pierwszy Rytuał. Zarówno Noria, jak i stara Haduma były przekonane, że jego duch wszedł w nią i nowe życie się rozpoczęło. Miała urodzić syna z oczyma tak niebieskimi jak jego oczy. Nawet mieli go nazwać Jondal. Czy tak się stało? - zastanawiał się. Czy jego duch zmieszał się z duchem Norii, żeby zacząć nowe życie?

Ludzie Hadumy nie mieszkają daleko stąd i ich tereny leżą na drodze ich wędrówki, na północnym zachodzie. Może mogliby się u nich zatrzymać na krótko, tyle że nagle zdał sobie sprawę z tego, iż nie wie, jak ich znaleźć. To oni przyszli do obozowiska jego i Thonolana. Ich jaskinie znajdowały się nie tylko na zachód od Siostry, ale również na zachód od Wielkiej Rzeki Matki, lecz nie wiedział, gdzie. Pamiętał, że czasami polowali w regionie między tymi dwiema wielkimi rzekami, jednak ta informacja na niewiele się zdawała. Prawdopodobnie nigdy się nie dowie, czy Noria urodziła to dziecko.

Myśli Ayli powędrowały od konieczności czekania na dojście do domu Jondalara, zanim zaczną mieć dzieci, do jego ludzi i tego, jacy oni są. Zastanawiała się, czy ją zaakceptują. Po spotkaniu Sharamudoi czuła się nieco spokojniejsza, że gdzieś znajdzie się dla niej miejsce, ale nie była pewna, czy będzie ono wśród Zelandonii. Pamiętała, iż Jondalar zaregował silną odrazą na odkrycie, że wychowała się w klanie, i pamiętała jego dziwne zachowanie zimą, kiedy mieszkali z Mamutoi. Częściowo przyczyną tego był Ranec. Dowiedziała się tego, zanim odeszli, chociaż z początku nie rozumiała sytuacji. Nikt jej nie nauczył zazdrości. Żaden mężczyzna klanu nie okazałby zazdrości o kobietę, nawet jeśli ją odczuwał. Dziwne zachowanie Jondalara wyływało jednak częściowo z niepokoju, czy zostanie zaakceptowana przez jego ludzi. Wiedziała teraz, że - chociaż ją kochał -wstydił się jej życia z klanem, a szczególnie wstydił się jej syna. To prawda, nie wydawał się tym już więcej przejmować. Był opiekuńczy i wcale nie zakłopotany, kiedy opowiedziała Sharamudoi o swoim życiu z klanem, lecz przecież musi być jakaś przyczyna uczuć, jakie miał na początku.

No cóż, kochała Jondalara i chciała z nim żyć, ponadto było już zbyt późno na zmianę decyzji, ale miała nadzieję, że zrobiła słusznie, idąc z nim. Znowu zapragnęła jakiegoś znaku od totemu swojego Lwa Jaskiniowego, by mieć pewność, że decyzja była słuszna, ale

żadnego znaku nie było.

W miarę jak podróżnicy zbliżali się do wzburzonej masy wody, tam gdzie Rzeka Siostra łączyła się z Wielką Rzeką Matką, luźny, rozdrobniony margiel - piaski i gliny zawierające wapienie - górnych tarasów ustąpił miejsca żwirowi i lessowemu glebom niższych poziomów.

W tym mroźnym świecie lodowce pokrywające szczyty górskie podczas cieplejszych pór roku wypełniały strumienie i rzeki wodą roztopową. Pod koniec sezonu, przy obfitych opadach śniegu na wyżynach, gwałtowne zmiany temperatury mogły je nagle wyzwolić i wartkie strumienie zamieniały się w rwące rzeki. Brak jezior na zachodniej ścianie gór, które zatrzymałyby powódź w naturalnych rezerwuarach i regulowały odpływ, powodował, że wzbierająca masa wody spadała ze stromych zboczy, wypłukując piasek i żwir z piaskowców, wapieni i iłupków, zmywając je do potężnej rzeki i osadzając na dnie rzecznych i w dolinach.

Centralna równina - kiedyś dno śródlądowego morza - zajmowała nieckę między dwoma łańcuchami górskimi na wschodzie i zachodzie oraz wyżynami na północy i południu. Blisko miejsca spotkania niemal równa wielkością Matce, nabrzmiała Siostra niosła wody odpływowe z części równiny i z całej zachodniej ściany łańcucha górskiego, który zakręcał wielkim łukiem na północny zachód. Rzeka Siostra pędziła najniższą depresją niecki, żeby dostarczyć swoją ofiarę wodną Wielkiej Matce wszystkich rzek, ale wyższy poziom wody w Matce, już napełnionej powyżej swojej pojemności, odrzucał jej wartki prąd. Zmuszana do cofania się, rozrzucała swoją daninę w wirach wstecznych prądów i niszczących rozlewiskach.

Koło południa podróżnicy dotarli do bagnistych obszarów na wpół zatopionych krzewów i nielicznych, stojących w wodzie drzew. Ayla spostrzegła, że podobieństwo do moczarów wschodniej delty zwiększało się z każdym krokiem, poza tym że kłębiły się i wirowały tu nurty i prądy wsteczne łączących się rzek. Przy znacznie chłodniejszej pogodzie insekty nie były takie dokuczliwe, ale muchy obsiadały wzdęte kadłuby częściowo zżartych, gnijących trupów zwierząt, które zostały złapane przez powódź. Na południu wznosił się masyw o gęsto porośniętych drzewami zboczach.

- To muszą być te Leśne Wzgórza, o których mówił nam Carlono - powiedziała Ayla.

- Tak, ale to jest coś więcej niż wzgórze - odparł Jondalar. - Są wyższe, niż ci się wydaje, i rozciągają się bardzo daleko.

Wielka Matka Rzeka płynie na południe, dopóki nie natknie się na tę barierę. Te wzgórza powodują, że Matka skręca na wschód.

Objechali duże, spokojne jeziorko, stojącą wodę, która oddzieliła się od nurtu, i zatrzymali się przy wschodniej krawędzi wezbranej rzeki, nieco powyżej miejsca zlewania się rzek. Ayla wpatrywała się w szalejącą wodę i zaczęła rozumieć, dlaczego Jondalar ostrzegał przed trudnościami przeprawy przez Siostrę.

Mętne wody, wirujące wokół smukłych pni wierzb i brzoź, wyrzywały te drzewa, których korzenie nie były solidnie zakotwiczone w glebie niskich wysepek, otoczonych kanałami. Wiele drzew pochylało się pod niebezpiecznym kątem, a nagie gałęzie i pnie, wyrwane w górnym biegu, grzęzły w błocie przybrzeżnym lub kręciły się w oszalałym tańcu na rzece.

Ayla w milczeniu zastanawiała się, w jaki sposób w ogóle mogą się przedostać na drugą stronę, ale spytała:

- Gdzie, twoim zdaniem, najlepiej będzie się przeprowić?

Jondalar pragnął, by duża łódź Ramudoi, jak ta, która przed kilku laty uratowała go wraz z Thonolanem, pojawiła się nagle i zabrała ich na drugi brzeg.

- Tu na pewno nie możemy przejść. Nie wiedziałem, że będzie tak źle. Musimy pójść w górę rzeki i poszukać łatwiejszego miejsca. Mam tylko nadzieję, że nie będzie więcej padać, zanim je znajdziemy. Jeszcze jedna burza, jak ta ostatnia, a cała dolina znajdzie się pod wodą. Nic dziwnego, że ten letni obóz został opuszczony.

- Rzeka nie może dojść aż tak wysoko, prawda? - upewniała się Ayla z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma.

- Chyba jeszcze nie teraz, ale może. Cała woda, która spada na te góry, w końcu spływa tutaj. Ponadto nagła powódź mogłaby z łatwością przyjść tym płynącym niedaleko obozu strumieniem. I prawdopodobnie tak robi. Często. Myślę, że powinniśmy się spieszyć, Aylo. To nie jest bezpieczne miejsce, jeśli znowu zacznie padać - powiedział Jondalar, patrząc na niebo. Popędził ogiera do galopu i narzucił takie tempo, że Wilkowi trudno było dotrzymać im kroku. Po pewnym czasie zwolnił jednak, ale nadal jechał szybciej niż poprzednio.

Jondalar zatrzymywał się od czasu do czasu i badał rzekę i jej przeciwległy brzeg, zanim ruszał dalej na północ, z niepokojem zerkając na niebo. Rzeka istotnie wydawała się węższa w jednych miejscach i szersza w innych, ale była tak wezbrana i szeroka, że trudno było ocenić to z pewnością. Zrobiło się niemal zupełnie ciemno, a oni nie natrafili na odpowiednie miejsce na przeprawę, ale Jondalar upierał się, że muszą znaleźć wyżej położony grunt na rozbić obozu na noc. Zatrzymali się dopiero, kiedy ciemności nie pozwalały już na bezpieczną jazdę.

- Aylo! Aylo! Obudź się! - powiedział Jondalar i łagodnie potrząsnął ją za ramię. - Musimy iść.

- Co? Jondalar! Co się stało?

Na ogół budziła się pierwsza i była teraz zbita z tropu. Kiedy odsunęła futra, poczuła chłodny powiew i zauważyła, że kłapa namiotu jest otwarta. Rozproszony blask spod kłębiących się chmur zarysowywał otwór, dostarczając jedyne oświetlenia wewnątrz. Zaledwie dostrzegła twarz Jondalara w tym przyćmionym, szarym świetle, ale było go dość, by zobaczyć, że jest niespokojny. Zadrżała.

- Musimy iść - rzekł Jondalar. Prawie całą noc przeleżał bezsennie. Nie umiał powiedzieć dokładnie, dlaczego czuje, że muszą przejść rzekę tak szybko, jak to tylko możliwe, ale to uczucie było tak silne, że miał ściśnięty żołądek ze strachu, nie o siebie, lecz o Aylę.

Wstała, nie pytając, dlaczego. Wiedziała, że nie zbudziłby jej, gdyby nie sądził, że sytuacja jest poważna. Ubrała się szybko i wyjęła przybory do krzesania ognia.

- Nie traćmy czasu na rozpalamie ognia - przerwał jej Jondalar.

Zmarszczyła brwi, ale skinęła głową i naląła zimnej wody do napicia się. Jedli placuszki żywności podróźnej i jednocześnie się pakowali. Kiedy byli gotowi do odejścia, Ayla rozejrzała się za Wilkiem, ale nie było go w obozie.

- Gdzie jest Wilk? - spytała z nutą trwogi w głosie.

- Prawdopodobnie poluje. Dogoni nas, Aylo. Zawsze dogania.

- Gwizdnę na niego - oznajmiła i powietrze przeszył charakterystyczny dźwięk, jakim go zawsze przywoływała.

- Chodź, Aylo. Musimy już iść - powiedział Jondalar i znowu poczuł irytację z powodu wilka.

- Nie ruszę się bez niego. - Gwizdnęła znowu, tym razem głośniejsze.

- Musimy znaleźć miejsce na przeprawę, zanim zaczną padać, inaczej w ogóle możemy nie dać rady się przedostać.

- A nie możemy pójść jeszcze trochę w górę rzeki? Gdzieś przecież musi się zwęzać.

- Jak raz zaczną padać, to tylko będzie się powiększać. Nawet w górę biegu będzie większa niż tutaj, a nie wiemy, jakie rzeki potrafią spływać z tych gór. Z łatwością mogłaby nas złapać nagła powódź. Dolando powiedział, że podczas deszczy są często powodzie. Albo może nas zatrzymać duży dopływ. Co wtedy zrobimy? Wdrapiemy się z powrotem na górę, żeby go obejść? Musimy przejść Siostrę, póki jeszcze możemy - niecierpliwiał się Jondalar.

Dosiadł ogiera i spojrzął na Aylę, która stała obok kobyły. Ayla odwróciła się do niego plecami i gwizdnęła jeszcze raz.

- Musimy iść, Aylo.

- Dlaczego nie możemy jeszcze chwilę poczekać? On przyjdzie.

- Jest tylko zwierzęciem. Twoje życie więcej dla mnie znaczy.

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na niego, a potem wbiła wzrok w ziemię. Czy naprawdę było tak niebezpiecznie czekać, jak Jondalar myśli? Czy po prostu jest niecierpliwy? Gdyby było niebezpiecznie, czy jego życie nie powinno być dla niej ważniejsze niż życie Wilka? W tym momencie ukazał się Wilk. Ayla odetchnęła z ulgą, a Wilk skoczył, żeby się z nią przywitać, położył łapy na jej ramionach i polizał ją w policzek. Wdrapała się na Whinney, używając jednego z drągów włóka jako stopnia. Dała znak Wilkowi, żeby trzymał się blisko niej, i pojechała za Jondalarem i Zawodnikiem.

Nie było wschodu słońca. Dzień robił się po prostu nieznacznie jaśniejszy, ale nie było właściwie jasno. Chmury wisiały nisko, nadając niebu jednolitą, szarą barwę, i w powietrzu wisiała zimna wilgoć. Późnym porankiem zatrzymali się na odpoczynek. Ayla zrobiła gorącą herbatę na rozgrzewkę i pożywną zupę z placka żywności podróżnej. Dodała kwaśne liście szczawiu i owoce dzikiej róży oraz kilka listków z rosnącej opodal kępki polnej róży. Herbata i gorąca zupa zdawały się na chwilę uśmierzyć zdenerwowanie Jondalara, dopóki nie zobaczył, że zebrały się jeszcze ciemniejsze chmury. Kazał jej się szybko spakować i znowu wyruszyli. Jondalar niespokojnie spoglądał w niebo, żeby stwierdzić, jak szybko zbliża się burza. Obserwował również rzekę, szukając miejsca do przeprawy. Miał nadzieję znaleźć jakiś spokojniejszy odcinek: szersze, płytsze miejsce lub wyspę, czy nawet piaszczystą łacę między dwoma brzegami.

Wreszcie, obawiając się, że burza już jest bardzo niedaleko, zdecydował, że muszą zaryzykować, chociaż wzburzona Siostra nie wyglądała inaczej niż przedtem. Z pełną świadomością faktu, że kiedy zacznie padać, sytuacja się tylko pogorszy, skierował się ku miejscu na brzegu, które dawało stosunkowo łatwy dostęp do wody. Zatrzymali się i zsiadli z koni.

- Czy myślisz, że powinniśmy spróbować przejechać rzekę na końskich grzbietach? - spytał, zerkając nerwowo na niebo.

Ayla przyjrzała się pędzącej rzece i temu, co niósł prąd. Często przepływały spore, całe drzewa, jak również wiele połamanych, które zostały zmyte z miejsc położonych wyżej w górach. Wzdrygnęła się na widok dużego, wzdętego kadłuba jelenia z porożem utkniętym w gałęziach drzewa niedaleko od brzegu. Martwe zwierzę wzbudziło w niej strach o konie.



- Sądę, że będzie im łatwiej, jeśli nie będziemy siedzieli im na grzbietach. Chyba powinniśmy płynąć obok.

- Też tak myślałem.

- Ale będzie nam potrzebny postronek do trzymania - powiedziała Ayla.

Wyjęli nieduży zwój sznura, sprawdzili uprząż i kosze, aby się upewnić, że namiot, żywność i reszta cennego dobytku są mocno przywiązane. Ayla odczepiła włók z Whinney. Uznała, że próba przepłynięcia wzburzonej rzeki w pełnej uprzęży może być zbyt niebezpieczna. Nie chcieli jednak stracić pali ani miskowej łódki, jeśli była jakakolwiek szansa zabrania ich. Związali długie pale razem. Podczas gdy Jondalar przyczepiał jeden ich koniec do boku łódki, Ayla mocowała drugi do uprzęży, która przytrzymywała siodło-kosz na Whinney. Zrobiła pętlę, którą łatwo będzie zrzucić w razie potrzeby. Do płaskiego splecionego sznura, który okręzał wysoko przednie nogi kobyły i szedł w poprzek jej piersi, używanego do przytrzymywania płachty jeździeckiej, przywiązała drugi, znacznie mocniej niż pętlę na łódkę.

Jondalar przyczepił podobny sznur do Zawodnika; zdjął obuwie i ciężkie okrycie wierzchnie. Namoknięte ważyłoby tyle, że pływanie byłoby niemożliwe. Zwinął to wszystko razem i położył na wierzchu kosza, ale został w tunice i nogawicach. Skóra, nawet mokra, dostarczy trochę ciepła. Ayla zrobiła to samo.

Zwierzęta wyczuwały pośpiech i zdenerwowanie ludzi, niepokoiła je również mętna woda. Płoszyły się na widok martwego jelenia i tańczyły wokół krótkimi podskokami, zarzucając łbami i przewracając oczyma, ale uszy miały nastawione do przodu.

Wilk podszedł do krawędzi, żeby przyjrzeć się jeleniowi, ale nie wszedł do wody

- Jak myślisz, jak się zachowają konie, Aylo? - zapytał Jondalar, kiedy zaczęły padać duże krople deszczu.

- Są spłoszone, ale myślę, że dadzą sobie radę, szczególnie że będziemy z nimi, ale nie jestem taka pewna co do Wilka.

- Nie możemy go przenieść. Musi poradzić sobie sam, dobrze wiesz o tym - powiedział Jondalar, ale widząc jej zmartwienie, dodał: - Wilk jest dobrym pływakiem, powinien przepłynąć.

- Mam nadzieję - odparła, uklęknęła i uściskała Wilka. Jondalar poczuł, że krople deszczu padały teraz gęściej i szybciej.

- Lepiej ruszajmy - zdecydował i chwycił jeden z rzemieni przy pysku Zawodnika, bo wodze były przymocowane na jego grzbiecie. Zamknął na moment oczy i poprosił o szczęśliwą przeprawę. Zwracał się myślami do Doni, Wielkiej Matki Ziemi, ale nie mógł

wymyślić niczego, co mógłby jej obiecać w zamian za zapewnienie im bezpieczeństwa. Poprosił ją tylko cicho o pomoc w przekroczeniu Siostry. Wiedział, że któregoś dnia spotka Matkę, ale nie chciał spotykać jej już teraz, a co więcej, nie chciał stracić Ayli.

Ogier podrzucił łeb i próbował stanąć dęba, kiedy Jondalar prowadził go w kierunku wody.

- Spokojnie, Zawodnik - powiedział mężczyzna. Woda otaczająca jego nagie stopy była lodowata, ale wszedł głębiej. Puścił uprząż Zawodnika i owinął sobie tylko prowadzący od niej postronek wokół dłoni, ufając krzepkiemu ogierowi, że przepłynie na drugą stronę.

Ayla też owinęła sznur przyczepiony na kłębach kobyły wiele razy wokół dłoni, wepchnęła koniuszek pod spód i mocno zacisnęła pięść. Poszła za Jondalarem, prowadząc Whinney. Pociągnęła za drugi sznur, ten, który przytrzymał pale i łódkę, aby się upewnić, że się nie zaplątał przy wchodzeniu do rzeki. Natychmiast poczuła ziaęb wody i silny prąd. Spojrzała do tyłu. Wilk nadal był na brzegu rzeki, podchodził do wody i cofał się, skomlał niespokojnie i wahał się przed wejściem do wartko płynącej rzeki. Zawołała do niego zachęcająco. Biegał tam i z powrotem, spoglądał na wodę i powiększający się dystans między nim i kobietą. Nagle, właśnie jak się na dobre rozpadało, usiadł i zawył. Ayla gwizdnęła na niego i po jeszcze kilku próbach wskoczył wreszcie i zaczął płynąć w jej stronę. Znowu skupiła się na koniu i rzece przed sobą.

Ulewny deszcz wydawał się wyrównywać burzliwe fale przed nimi, ale tuż koło nich dzika woda była jeszcze bardziej zawałona odpadkami, niż myślała. Połamane pnie i gałęzie wirowały i uderzały ją, niektóre nadal z liśćmi, inne przesiąknięte wodą i niemal schowane pod powierzchnią. Gorsze były wzdęte ciała zwierząt, często rozdarte przez gwałtowną powódź, która schwytała je i zmiotła z gór w błotnistą rzekę. Zobaczyła wiele mysz i nor-nic. Duża popielica była trudniejsza do rozpoznania, bo jej jasno-brązowe futro było ciemne, a gruby, puchaty ogon sklejonny. Leming z długą, białą zimową sierścią, sklejoną, ale błyszczącą, która porastała letnie szare futro, pokazywał łapy, już całkiem pokryte białym włosiem. Prawdopodobnie zniosło go z gór koło linii śniegu. Ciało większych zwierząt były bardziej uszkodzone. Obok przepłynęła kozica ze złamanym rogiem i sierścią zdartą z połowy pyska, obnażając różowawy mięsień. Kiedy Ayla zobaczyła zwłoki śnieżnej pantery, obejrzała się znowu na Wilka, ale nie było go widać. Zobaczyła, że w sznur za kobyłą, do którego przyczepione były draży i łódka, wplątał się pniak. Obłamany kawał drzewa z rozrośniętymi korzeniami dodawał niepotrzebnego ciężaru i zwalniał tempo Whinney. Ayla ciągnęła i szarpała za sznur, próbując przyciągnąć pień bliżej siebie, ale nagle sam się uwolnił. Mała gałąź wisiała nadal, lecz nie stanowiła zbyt dużej przeszkody. Niepokoiła się, nie

widząc Wilka, mimo że sama była tak głęboko zanurzona, że wiele nie mogła dostrzec. Martwiło ją to tym bardziej, iż nic nie mogła na to poradzić. Gwizdnęła na niego, ale wątpiła, czy ją usłyszy ponad szumem pędzącej wody. Odwróciła się znowu i obejrzała badawczo Whinney, martwiąc się, że ciężki pniak mógł ją zmęczyć, lecz Whinney płynęła bez trudu. Ayla spojrzała przed siebie i z ulgą zobaczyła Zawodnika i Jondalara tuż obok niego. Uderzała w wodę wolnym ramieniem i podciągała się, jak mogła, żeby nie stanowić jeszcze większego obciążenia dla kobyły. Ale w miarę przeprawy coraz dłużej po prostu trzymała się sznura. Zaczęła dygotać. Zdawało jej się, że przeprawa trwa już nienormalnie długo. Przeciwny brzeg nadal wydawał się bardzo daleki. Dreszcze nie były z początku zbyt silne, ale im więcej czasu spędzała w zimnej wodzie, tym bardziej przybierały na intensywności i nie chciały ustać. Mięśnie napięły się i zęby szczękały.

Znowu obejrzała się na Wilka, ale nadal go nie dostrzegła. Powinnam zawrócić po niego - pomyślała, a dreszcze przeszywały jej ciało. Może Whinney zawróci. Kiedy jednak spróbowała coś powiedzieć, jej szczęki były tak napięte, że nie mogła wydobyć żadnych słów. Nie, Whinney nie powinna wracać. Sama to zrobię. Próbowała odwinąć sznur z dłoni, ale był ciasno zwinięty i splątany, a ręka odrętwiała tak bardzo, że zaledwie ją czuła. Może Jondalar wróci po niego. Gdzie jest Jondalar? W rzece? A może wrócił po Wilka? O, kłoda znowu wplątała się w sznur. Muszę... coś... pociągnąć coś... zabrać sznur... Whinney ciężko...

Dreszcze ustały, ale mięśnie były tak napięte, że nie mogła się ruszyć. Zamknęła oczy, żeby odpocząć. Tak przyjemnie było zamknąć oczy... i odpoczywać.

### 3

Ayla była już na wpół przytomna, gdy wreszcie poczuła twarde gruntu. Próbowano stanąć na nogi, kiedy Whinney ciągnęła ją po kamienistym dnie, i zrobiła kilka kroków po plaży z gładkich, okrągłych kamyczków na zakręcie rzeki. Potem upadła. Sznur, nadal omotany wokół jej ręki, napiął się i zatrzymał kobyłę.

Także Jondalar miał dreszcze w pierwszych stadiach hipotermii, ale dotarł do przeciwległego brzegu szybciej niż Ayla, zanim jeszcze zaczął tracić świadomość, a jego ruchy stały się zbyt nieskoordynowane. Ayla przepłynęła szybciej, ale odpadki, które wplątywały się w sznury Whinney, znacznie zwolniły tempo przepływu. Również Whinney zaczynała cierpieć z powodu zimna, aż wreszcie pęta, choć nabrzmiała od wody, rozluźniła się i spadła, uwalniając ją od krępującego ruchu ciężaru.

Niestety, kiedy Jondalar dobiegł do brzegu, zimno wpłynęło na niego w wystarczającym stopniu, by nie był całkowicie zborny. Naciągnął futrzaną kurtkę na mokre ubranie i ruszył na poszukiwanie Ayli piechotą, prowadząc ogiera, ale poszedł w złym kierunku. Ruch rozgrzał go i rozjaśnił mu umysł. Prąd zniósł ich oboje w dół rzeki, ale ponieważ przeprawa zabrała dziewczynie więcej czasu, musiała być jeszcze dalej. Odwrócił się i pomaszerował z powrotem. Kiedy Zawodnik zarżał i w odpowiedzi odezwała się Whinney, zaczął biec.

Zobaczył Aylę leżącą na plecach na kamienistym brzegu obok ciepłej kobyły. Jej ramię było podciągnięte do góry przez sznur oplataną wokół dłoni. Rzucił się ku niej, a serce waliło mu ze strachu. Po upewnieniu się, że nadal oddycha, chwycił ją w ramiona i mocno przytulił, a łzy napłynęły mu do oczu.

- Aylo! Aylo! Żyjesz! - krzyczał. - Tak się bałem, że już cię nie ma. Ale jesteś taka zimna!

Musiał ją rozgrzać. Odplątał sznur z jej ręki i podniósł ją. Poruszyła się i otworzyła oczy. Mięśnie miała napięte i sztywne i zaledwie mogła mówić, ale usiłowała coś powiedzieć. Pochylił się nad nią.

- Wilk. Znajdź Wilka - wyszeptano ochryple.

- Aylo, najpierw muszę się zająć tobą.

- Proszę. Znajdź Wilka. Straciłam wielu synów. Wilka nie chcę... - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Jej oczy były tak pełne rozpacz i błagania, że nie umiał odmówić.

- Dobrze. Poszukam go, ale najpierw muszę znaleźć schronienie dla ciebie.

W ulewnym deszczu wnosił Aylę po łagodnym zboczu. Wyżej znajdował się mały taras z kępkami wierzb, jakimiś zaroślami i turzycą, i przy krańcu - kilkoma sosnami. Przyjrzał się bacznie i szybko ustawił namiot. Rozłożył skórę mamucią na pokrywie podłogowej dla dodatkowej osłony przed mokrą ziemią, wniósł Aylę, potem pakunki i wyciągnął z nich futrzane śpiwory. Zdjął z niej mokre ubranie, sam się rozebrał, ułożył ją między futrami i wpełzł obok niej.

Nie była całkowicie przytomna i wydawała się odrętwiała. Skórę miała zimną i wilgotną, ciało sztywne. Próbował przykryć ją własnym ciałem, żeby ją rozgrzać. Kiedy znowu zaczęła dygotać, odetchnął. Znaczyło to, że zaczyna się rozgrzewać od środka, ale gdy tylko powróciła jej świadomość, przypomniała sobie Wilka i irracjonalnie, niemal dziko zaczęła żądać, by poszedł go znaleźć.

- To moja wina - mówiła przez szcękające zęby. - Powiedziałam mu, żeby wskoczył do rzeki. Gwizdnęłam. Ufał mi. Muszę znaleźć Wilka. - Walczyła, by pozwolił jej wstać.

- Aylo, zapomnij o Wilku. Nie wiesz nawet, gdzie szukać - powiedział, próbując ją przytrzymać.

Dygocząc i szlochając histerycznie, próbowała wydostać się ze śpiworów.

- Muszę go znaleźć - płakała.

- Aylo, Aylo, ja pójdę. Jeśli zostaniesz tutaj, to pójdę go poszukać - uspokajał, próbując ją przekonać, żeby została pod ciepłymi futrami. - Ale obiecaj mi, że tu zostaniesz i nie zdejmiesz futer.

- Proszę, znajdź go.

Szybko nałożył suche ubranie i kurtę. Wziął dwa placki podróźnej żywności, pełne dającego energię tłuszczu i protein. -Idę. Zjedz to i zostań w futrach.

Chwyciła go za rękę.

- Obiecaj mi, że go poszukasz - powiedziała, patrząc w jego zatroskane, niebieskie oczy. Nadal miała dreszcze, ale mówiła z większą łatwością.

Spojrzał w jej szaroniebieskie oczy, pełne rozpacz i błagania, i mocno ją do siebie przycisnął.

- Bałem się, że już nie żyjesz.

Trzymała się go, uspokojona jego siłą i miłością.

- Kocham cię, Jondalarze, nigdy nie chcę cię stracić, ale, proszę, znajdź Wilka. Nie zniosłabym jego straty. Jest jak... dziecko... syn. Nie mogę oddać jeszcze jednego syna. - Głos jej się załamał, oczy napełniły łzami.

Odsunął się i spojrzał na nią.

- Poszukam go. Ale nie mogę obiecać ci, że go znajdę, Aylo, a nawet jeśli go znajdę, nie mogę obiecać, że jest żywy.

Wyraz strachu i grozy nappełnił jej oczy; przymknęła je i skinęła głową.

- Spróbuj tylko go znaleźć - powiedziała, ale kiedy zaczął się wycofywać, przylgnęła do niego.

Po wyjściu nie był pewien, czy rzeczywiście pójdzie na poszukiwanie wilka. Chciał zebrać trochę drewna na ogień, żeby dać jej gorącej herbaty czy zupy, chciał sprawdzić stan koni, ale przecież obiecał. Zawodnik i Whinney stały koło wierzbowego zagajnika. Nadal miały na sobie płachty jeździeckie i uprząż, ale krzepkie zwierzęta nie wymagały natychmiastowej opieki, poszedł więc w dół zbocza. Dotarłszy do rzeki, nie wiedział, w jakim kierunku iść, ale wreszcie postanowił ruszyć w dół jej biegu. Naciągnął głęboko kapuzę, żeby osłonić twarz przed deszczem, i powędrował wzdłuż brzegu, przerzucając sterty nagromadzonego drewna i odpadków. Znalazł wiele martwych zwierząt, widział wiele drapieżników i padlinożerców, tak czworonożnych jak i skrzydlatych, uczujących na ofiarach rzeki, nawet stado południowych wilków, ale nie znalazł Wilka.

W końcu zawrócił. Postanowił pójść kawałek drogi pod prąd, ale wątpił, czy na coś to się zda. Nie miał właściwie nadziei, iż znajdzie zwierzaka, i zdał sobie sprawę z tego, że jest mu przykro. Wilk był czasami kłopotliwy, ale Jondalar nabrał prawdziwych uczuć dla tej inteligentnej bestii. Będzie mu go brakowało i wiedział, że Ayła będzie niepokieszona. Doszedł do kamienistej plaży, na której znalazł Ayłę, i poszedł za zakręt, niepewien, jak daleko powinien iść w tym kierunku, szczególnie kiedy zobaczył, iż poziom rzeki się podnosi. Zdecydował, że jak tylko Ayła będzie w stanie się ruszyć, przesunie namiot dalej od brzegu. Może powinienem zapomnieć o tym szukaniu i upewnić się, że z nią wszystko jest w porządku - powiedział do siebie, wahając się. No cóż, może przejdę jeszcze trochę; spyta mnie, czy szukałem w obu kierunkach.

Ruszył w górę rzeki, obchodząc stertę pni i gałęzi, ale kiedy spostrzegł majestatyczną sylwetkę królewskiego orła, który spływał w dół na rozpostartych skrzydłach, zatrzymał się i patrzył z zachwytem. Nagle olbrzymi, piękny ptak złożył swoje potężne skrzydła, opadł szybko na brzeg rzeki i poderwał się znowu z dużym susłem zwisającym ze szponów.

Nieco dalej, tam gdzie ptak znalazł swój posiłek, duży dopływ, rozszerzający się w niewielką deltę, dodawał swe wody do Siostry. Zdawało mu się, że widzi coś znajomego na szerokim paśmie piaszczystej plaży, gdzie rzeki się zbiegały, i uśmiechnął się, poznając, co to jest. To była ich miskowa łódka, ale kiedy spojrzał uważniej, zmarszczył czoło i zaczął biec w

jej kierunku. Obok łódki, w wodzie, siedziała Ayla z łbem Wilka na kolanach. Z rany nad jego lewym okiem sączyła się krew.

- Aylo! Co tu robisz? Skąd się tu wzięłaś?! - krzyczał bardziej ze strachem i niepokojem niż złością.

- On żyje, Jondalarze - powiedziała niewyraźnie, wstrząsana dreszczami zimna i łkaniem - Jest ranny, ale żyje.

Po wskoczeniu do rzeki Wilk popłynął w kierunku Ayli, ale kiedy dotarł do lekkiej, pustej łódki, ślizgającej się po wodzie, oparł łapy o drągi, do których była przyczepiona. Został już przy tych znajomych przedmiotach i dawał się unosić przez pływającą łódkę i pale. Dopiero kiedy pętla rozluźniła się i uwolniła, łódka i pale zaczęły dziko skakać po wzburzonych falach i rzuciły go o ciężką, nasiąkniętą wodą kłodę. Wtedy jednak byli już niemal na brzegu. Łódka została wyrzucona na piaszczysty brzeg i częściowo wyciągnęła z wody drągi z leżącym na nich wilkiem. Uderzenie ogłuszyło go, ale skutki zimnej wody były gorsze. Również wilki były narażone na hipotermię i śmierć z powodu zimna.

- Chodź, Aylo, znowu masz dreszcze. Musisz wrócić do namiotu. Dlaczego wyszłaś? Powiedziałem ci, że go poszukam. Daj, wezmę go. - Podniósł Wilka z jej kolan i próbował pomóc jej wstać.

Po kilku krokach zrozumiał, że nie będzie łatwo dostać się z powrotem do namiotu. Ayla właściwie nie była w stanie iść, a Wilk był dużym, ciężkim zwierzęciem. Jego nasiąknięte wodą futro dodawało ciężaru. Nie mógł nieść ich obojga, a wiedział, że Ayla nigdy nie pozwoli mu na zostawienie Wilka choćby na chwilę. Gdyby tylko mógł zagwizdać na konie, tak jak to robiła Ayla... ale właściwie, dlaczego nie miałyby? Jondalar wypracował specjalny gwizd na Zawodnika, ale nie trenował go szczególnie usilnie. Nigdy nie było to potrzebne. Młody ogier zawsze przychodził razem ze swoją matką, kiedy Ayla przywoływała Whin-ney. Może Whinney przyjdzie do niego, jeśli zagwizdże. Przynajmniej może spróbować. Naśladował dźwięk wydawany przez Aylę, mając nadzieję, że gwizd wyszedł mu dość podobnie, ale -po prostu na wypadek, gdyby jednak nie zareagowały - z uporem szedł dalej. Ułożył inaczej Wilka w ramionach i próbował objąć Aylę, żeby dać jej więcej oparcia.

Nie doszli nawet do sterty naniesionego drewna, a już był zmęczony tym wysiłkiem. Samą siłą woli nie dopuszczał do świadomości własnego wyczerpania. Również on przepłynął potężną rzekę, a potem wniósł Aylę po zboczu i rozbił namiot. Następnie przeszedł tam i z powrotem brzeg rzeki w poszukiwaniu wilka. Podniósł głowę na dźwięk rżenia. Na widok dwóch koni zalała go fala ulgi i radości.

Położył Wilka na grzbiecie Whinney, ponieważ nosiła go już przedtem i była do tego

przyzwyczajona; pomógł Ayli dosiąść Zawodnika i poprowadził go w kierunku kamienistej plaży. Whinney poszła za nimi. Kiedy zaczęli się wspinać na zbocze, Ayla, dygocąca w mokrym ubraniu pod ulewnym deszczem, miała trudności z utrzymaniem się na koniu. Bardzo powoli, ale doszli wreszcie do namiotu koło kępy drzew.

Jondalar pomógł Ayli zsiąść i wprowadził ją do namiotu, ale hipotermia znowu dała znać o sobie i Ayla wpadła w histerię. Musiał natychmiast wnieść wilka, potem obiecać, że wytrze go do sucha. Przeszukał paczki, żeby znaleźć coś do wytarcia zwierzęcia. Stanowczo jednak odmówił, kiedy chciała wziąć go do śpiworów, choć znalazł dla niego przykrycie. Podczas gdy Ayla łkała nieopanowanie, pomógł jej się rozebrać i owinął ją w futra.

Znowu wyszedł, zdjął uprząż z Zawodnika i płachty jeździeckie z obu koni, poklepał je z wdzięcznością i dodał kilka słów podzięk. Mimo że konie normalnie żyły na wolnym powietrzu we wszelkich rodzajach pogody i były przystosowane do zimna, wiedział, iż nie lubiły deszczu, jednak miał nadzieję, że nic im się złego nie stanie. Wreszcie wszedł do namiotu, rozebrał się i położył obok gwałtownie trzęsącej się kobiety. Ayla przytuliła się do Wilka, podczas gdy Jondalar przywarł do niej od tyłu, ciasno otaczając jej plecy. Po pewnym czasie, pod wpływem grzejącego ciała wilka z jednej strony i mężczyzny z drugiej, dreszcze Ayli ustały, oboje poddali się wyczerpaniu i zasnęli.

Aylę obudził mokry język, liżący ją po twarzy. Odepchnęła Wilka, uśmiechnęła się z radością i uściskała go. Trzymając łeb w dłoniach, uważnie przyjrzała się zranieniu. Deszcz wymył brud z rany i już nie krwawiła. Miała zamiar zająć się nią później, na razie jednak mogła tak go zostawić. Osłabiło go nie tyle uderzenie w łeb, ile zimno. Sen i ciepło były najlepszym lekarstwem. Uświadomiła sobie, że Jondalar obejmuje ją ramionami przez sen, i leżała spokojnie, tuląc Wilka, wsłuchana w deszcz bębniący o namiot. Pamiętała urwane fragmenty z poprzedniego dnia: potykanie się przez zarośla i drewno naniesione przez wodę, przeszukiwanie brzegu rzeki za Wilkiem; ból dłoni, ponieważ sznur obwijał ją zbyt ciasno; niosącego ją Jondalara. Uśmiechnęła się na myśl o jego bliskości i przypomniała sobie, że widziała, jak stawiał namiot. Trochę się zawstydziała, iż mu nie pomogła, jednak była tak sztywna z zimna, że nie mogła się ruszyć.

Wilk wyslizgnął się z jej objęć i wyszedł, podnosząc klapę namiotu. Usłyszała rżenie Whinney i z radości niemal jej odpowiedziała, ale przypomniała sobie, że Jondalar śpi. Zaczęła się martwić o konie stojące na deszczu. Były przyzwyczajone do pogody bez opadów, nie do tego przenikającego do szpiku kości deszczu. Nawet mróz był lepszy, jeśli było sucho. Przypomniała sobie jednak, że widziała tu konie, jakieś muszą więc mieszkać w



tym regionie. Konie pokrywała gruba warstwa spodniej sierści, gęsta i ciepła, nawet gdy była mokra. Uznała, iż dadzą sobie radę, pod warunkiem że nie będzie lało cały czas. Doszła do wniosku, że nie lubi ciężkich jesiennych deszczy, które padały w tej południowej krainie, chociaż zawsze cieszyła się z długich, wilgotnych wiosen na północy z ich mgłami i mżawką. Jaskinia Bruna znajdowała się na południu i jesienią przychodziły spore opady, ale nie pamiętała takich uporczywych ulew. Południe nie wszędzie jest takie samo. Ayla pomyślała, że należy wstać, ale zasnęła z powrotem.

Kiedy zbudziła się ponownie, Jondalar zaczynał się poruszać. Leżała w futrach i zastanawiała się, co się zmieniło. Po chwili dopiero uświadomiła sobie, że już nie pada. Wstała i wyszła z namiotu. Było późne popołudnie i zrobiło się dość zimno. Żałowała, że nie nałożyła na siebie czegoś ciepłego. Załatwiła się koło krzaków, a potem poszła ku koniom, które pasły się niedaleko wierzb, tam gdzie przepływał mały strumyczek. Wilk był razem z nimi. Zwierzęta podeszły do niej, kiedy się zbliżyła, i spędziła trochę czasu na klepaniu, drapaniu i przemawianiu do nich. Potem zawróciła do namiotu i położyła się w futra obok rozgrzanego mężczyzny.

- Ależ jesteś zimna, kobieto!

- A ty jesteś miły i ciepły - odparła, wtulając się w niego.

Objął ją i przytulił twarz do jej pleców, zadowolony, że tak szybko się rozgrzewała. Rozgrzanie się po przestudzeniu w wodzie zabrało jej bardzo dużo czasu.

- Nie rozumiem, jak mogłem dopuścić do tego, żebyś tak przemarzła - powiedział Jondalar. - Nie powinniśmy byli próbować przeprawy przez tę rzekę.

- Ależ, Jondalarze, co innego mogliśmy zrobić? Miałeś rację. Przy takiej ulewie musielibyśmy przejść przez jakąś rzekę, a byłoby jeszcze trudniej przejść przez tę, która schodzi z gór.

- Gdybyśmy wcześniej odeszli od Sharamudoi, zdążylibyśmy przed deszczem. Wtedy przeprawa przez Siostrę nie byłaby taka trudna - rzekł Jondalar, nadal czyniąc sobie wyrzuty.

- Ale to była moja wina, że zostaliśmy dłużej, i nawet Car-lono myślał, że zdążymy przed ulewami.

- Nie, to moja wina. Wiedziałem, jaka jest ta rzeka. Gdybym się uparł, mogliśmy wyruszyć wcześniej. A gdybyśmy nie zabierali łódki, przeprawa przez góry nie trwałaby tak długo ani nie spowolniłaby tak ciebie i Whinney w wodzie. To była moja głupota!

- Jondalarze, dlaczego się obwiniasz? To nie była głupota. Nie mogłeś przewidzieć, co się stanie. Nawet Ci Którzy Służą Matce nie umieją przewidywać przyszłości. Nigdy nie jest jasna. I przecież udało nam się. Jesteśmy tu i - dzięki tobie - wszyscy jesteśmy cali, także

Wilk. Mamy nawet łódkę, a jeszcze może nam się bardzo przydać.

- Ale niemalże straciłem ciebie - powiedział i chwycił ją tak mocno, że zabolalo, ale go nie odsunęła. - Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo cię Kocham. Słowa są na to zbyt małe. Nie potrafią wyrazić tego, co czuję. - Trzymał ją bardzo blisko siebie, jakby przez mocny uścisk był w stanie jakoś uczynić ją częścią siebie i w ten sposób nigdy jej nie stracić.

Obejmowała go mocno, kochała i pragnęła zrobić coś, co ulżyłoby jego udreće. Nagle zrozumiała, co może zrobić. Odetchnęła ciepłym oddechem w jego ucho i pocałowała go w szyję. Jego reakcja była natychmiastowa. Całował ją z pasją, pieścił jej ramiona i piersi, ssal jej sutki z gorącą potrzebą. Objęła go nogami i przewróciła tak, że znalazł się na niej. Szukał i próbował pełnym członkiem, starając się znaleźć jej otwór. Sięgnęła w dół, pomogła go naprowadzić i uświadomiła sobie, że pragnie go równie silnie jak on jej.

Kiedy wszedł i poczuł gorące objęcie jej głębokiego tunelu, jęknął z powodu nagłych, nie dających się opisać rozkoszy. Wszystkie jego koszmarne myśli i strachy zniknęły w momencie fizycznej radości tego cudownego daru przyjemności Matki, nie zostawiając miejsca na nic, poza miłością do niej. Wysunął się i poczuł, że jej ruch dopasowuje się do niego. Jej reakcja wzbudziła w nim jeszcze silniejszą pasję.

Kiedy odsuwali się i schodzili z powrotem, Ayla nie myślała już o niczym. Poddała się całkowicie regulamemu rytmowi ich ciał, rozkoszując się odczuciami chwili. Wszystkie przesywające ją odczucia koncentrowały się głęboko w niej, a ruchy stawały się szybsze.

Czuł rosnącą w nim potęgę, fale podniecenia, które go zalewały, pochłaniały i nagle, niemal zanim zdał sobie z tego sprawę, wyrwały się z uczuciem cudownego wyzwolenia. Poruszył się jeszcze kilka razy, poczuł kilka ostatnich drgnięć po gwałtownym wybuchu i wreszcie ciepło i wspaniałe uczucie absolutnego odprężenia.

Leżał na niej i łapał oddech po tym nagłym i potężnym wysiłku. Zamknęła oczy z zadowoleniem. Po chwili przetoczył się na bok i przytulił do jej pleców. Wtulając się jedno w drugie, leżeli spokojnie, szczęśliwi z wzajemnej bliskości.

Po dość długiej chwili Ayla powiedziała cicho:

- Jondalarze?

- Hmmm? - wymamrotał. Czuł się przyjemnie ociążały. Nie był śpiący, ale nie chciało mu się ruszać.

- Ile jeszcze takich rzek musimy przekroczyć? - spytała. Pocałował ją w ucho.

- Żadnej.

- Żadnej?

- Żadnej, ponieważ nie ma więcej takich rzek jak Siostra - wyjaśnił.

- Nawet Wielka Matka Rzeka?

- Nawet Matka nie jest tak prędką, zdradliwą i groźną jak Siostra, ale nie będziemy przechodzić przez Wielką Rzekę Matkę. Zostaniemy po tej stronie przez całą drogę do lodowca. Kiedy już dotrzemy blisko lodu, będę chciał odwiedzić ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie Matki. To jest jednak bardzo daleko stąd i ona jest wtedy górskim strumieniem. - Przewrócił się na plecy - To nie znaczy, że nie ma już przed nami sporych rzek, przez które będziemy musieli się przeprawić, ale na tych równinach Matka rozgałęzia się na wiele odnóg, które schodzą się i rozchodzą. Zanim zobaczymy ją znowu zebraną w jednym korycie, zmniejszy się tak bardzo, że trudno ci będzie ją poznać.

- Nie jestem pewna, czy poznałabym ją tutaj, bez tej całej wody z Siostry.

- Poznałabyś. Mimo ogromu Siostry w miejscu, gdzie się łączą, Matka jest nadal większa. Tam jest inny duży dopływ z drugiej strony, tuż przedtem, gdy Leśne Wzgórza wykręcają ją na wschód. Thonolan i ja spotkaliśmy tam ludzi, którzy zabrali nas na drugą stronę na tratwach. Jeszcze wiele innych dopływów schodzi z tych wysokich gór na zachodzie, ale my idziemy na północ przez środkową równinę i nawet ich nie zobaczymy.

Jondalar usiadł. Rozmowa przywróciła nastrój podróży, chociaż mieli wyruszyć dopiero następnego ranka. Był wypoczęty i odprężony i nie chciał dłużej wylegiwać się na posłaniu.

- Nie będziemy już przeprawiać się przez rzeki, aż dojdziemy do wyżyn na północy - mówił dalej. - Tak mi przynajmniej powiedzieli ludzie Hadumy. Jest tu kilka wzgórz, ale na ogół jest to dość płaska kraina. Większość rzek, jakie zobaczymy, to będą odnogi Matki. Mówią, że wije się tam i z powrotem. To również dobre tereny myśliwskie. Ludzie Hadumy cały czas przechodzą te odnogi, żeby tam polować.

- Ludzie Hadumy? Wspomniałeś mi kiedyś o nich, ale nie mówiłeś dużo - powiedziała Ayla, wstała także i sięgnęła po swój kosz.

- Nie byliśmy z nimi długo, tylko na czas... - Jondalar zawahał się, myśląc o Pierwszym Rytuale, jaki odbył z ładną, młodą kobietą, Norią. Ayla zobaczyła, że ma dziwny wyraz twarzy, jakby był lekko zażenowany, ale jednocześnie zadowolony z siebie. - ...Ceremonii, święta - zakończył zdanie.

- Święta na cześć Wielkiej Matki Ziemi? - spytała.

- Aaa... tak, tak właśnie. Poprosili mnie... eee, poprosili Thonolana i mnie, żebyśmy z nimi obchodzili święto.

- Czy odwiedzimy ludzi Hadumy? - spytała Ayla, stojąc u wyjścia i trzymając skórę kozicy, którą dostała od Sharamudoi, żeby się wytrzeć po umyciu w strumyczku nieopodal

wierzb.

- Chciałbym, ale nie wiem, gdzie mieszkają. - Widząc jej zdziwienie, wyjaśnił: - Kilku ich myśliwych znalazło nasze obozowisko i posłali po Hadumę. To ona podjęła decyzję, żeby zorganizować święto, i posłała po resztę. - Przerwał i zamyślił się. - To była kobieta! Była najstarszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nawet starsza od Mamuta. Była matką sześciu pokoleń. - Przynajmniej mam nadzieję - pomyślał. - Naprawdę chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć, ale nie mamy czasu, żeby ich szukać. Myślę zresztą, że ona już nie żyje, chociaż jej syn, Tamen, pewnie jest nadal wśród żywych. Tylko on umiał mówić w zelandonii.

Ayla wyszła, a Jondalar poczuł silną potrzebę oddania moczu. Szybko naciągnął tunikę przez głowę i także wyszedł. Kiedy trzymał swój członek i obserwował żółty łuk płynu o ostrym zapachu, zastanawiał się, czy Noria miała to dziecko, które zapowiedziała Haduma, oraz czy organ, który właśnie obejmował, był za to odpowiedzialny. Zobaczył Aylę koło wierzb, nagą, tylko ze skórą kozicy zarzuconą na ramiona. Uznał, że też powinien się pójść umyć, chociaż jak na jeden dzień miał aż nadto kontaktów z zimną wodą. Nie chodziło o to, że nie wszedłby, gdyby musiał, na przykład, żeby przejść rzekę, ale częste mycie się zimną wodą nie wydawało się takie ważne, kiedy podróżował z bratem. Nie było też tak, że Ayla go kiedykolwiek napominała, ale ponieważ ją samą zimno wody nigdy nie powstrzymało, nie mógł używać tego jako wymówki, by uniknąć mycia się - i musiał przyznać, że lubił jej zawsze świeży zapach. Czasami jednak dosłownie przełamywała lód, żeby dostać się do wody, i zastanawiał się, jak wytrzymuje takie zimno. Ale przynajmniej była na nogach. Bał się, że będą musieli zostać tu przez kilka dni, taka była przemarznięta, nawet mogła zachorować. Może całe to mycie się przyzwyczyło ją do lodowatej wody - pomyślał.

Może trochę mycia i mnie nie zaszkodzi. Zdał sobie sprawę, że obserwuje jej nagie pośladki, wystające spod krawędzi skóry, które poruszały się podniecająco, kiedy szła.

Ich przyjemności były wspaniałe i dawały więcej satysfakcji, niż sobie umiał wyobrazić, biorąc pod uwagę, jak krótko trwały, ale kiedy obserwował Aylę wieszającą miękką skórę na gałęzi i wchodzącą do strumyczka, poczuł impuls, żeby zacząć to jeszcze raz, tylko tym razem dawałby jej przyjemności powoli, z miłością, ciesząc się każdym jej zakamarkiem.

Deszcze padały z przerwami, kiedy ruszyli przez niskie równiny między Wielką Matką Rzeką i dopływem, który niemal dorównywał jej wielkością: Siostrą. Kierowali się na północny zachód, chociaż ich trasa absolutnie nie była prosta. Centralne równiny

przypominały stepy na wschodzie i były istotnie ich przedłużeniem, ale rzeki, przecinające starodawną nieckę z północy na południe, nadawały ton całej krainie. Szczególnie Wielka Matka Rzeka, często zmieniająca bieg, rozgałęziająca się i szeroko rozlewająca, tworzyła olbrzymie mokradła pośrodku obszaru suchych terenów trawiastych. Starorzecza powstały na ostrych zakrętach większych, rozlanych kanałów, a moczary, wilgotne łąki i bujne pola, urozmaicające wspaniałe stepy, dawały schronienie niewiarygodnej liczbie ptactwa, ale i stały na przeszkodzie podróżującym lądem, którzy musieli je obchodzić. Różnorodności skrzydlatego życia odpowiadało bogate życie roślinne i różnaitość populacji zwierzęcej, dorównująca tej na wschodnich stepach, ale bardziej skoncentrowana, jak gdyby większa przestrzeń skurczyła się, podczas gdy społeczności żywych stworzeń pozostały takie same.

Otoczone przez góry i wyżyny, które sprowadzały na ziemię więcej wilgoci, centralne równiny, szczególnie na południowym krańcu, były także bardziej zalesione. Zamiast zatrzymanych w rozwoju karłów, zarośla i drzewa tłoczące się blisko biegu wody były na ogół rozrośnięte do pełnej wielkości. W południo-wo-wschodniej części, koło szerokiego, burzliwego zlewiska obu rzek, bagna i moczary wypełniały dolinki i zagłębienia gruntu i rozrastały się niepomiernie w porze deszczowej. Małe, wilgotne zagajniki z olchy, jesionu i brzozy wciągały nieuważnych w błoto między pagórkami porośniętymi wierzbą i czasem ozdobionymi dębem czy bukiem, podczas gdy sosny zapuszczały korzenie w bardziej piaszczyste gleby.

Gleba była na ogół mieszanką żyznego lessu i czarnych ilów lub piasku i aluwialnego żwiru, z nielicznymi występami prądawnej skały na płaskim na ogół terenie. Te izolowane wyżyny przeważnie porośnięte były drzewami iglastymi, które rozprzestrzeniały się czasami w dół na równinę, dając schronienie wielu gatunkom zwierząt, które nie potrafiły żyć na otwartych przestrzeniach; życie było najbogatsze na terenach granicznych. Przy całej jednak złożoności flory podstawową rośliną były nadal trawy: wysokie i krótkie stepowe trawy i zioła, ostnice i kostrzewy. Centralne, stepowe równiny były nadzwyczaj bogatym, obficie rodzącym obszarem trawiastym, przewiewanym stałymi wiatrami.

Kiedy Ayla i Jondalar opuścili południowe równiny i zbliżali się do zimnej północy, pora roku zdawała się zmieniać szybciej niż normalnie. Wiatr, wiejący im w twarz, niósł zapowiedź mrozącego ziemię chłodu z samego jego źródła. Niepojęta masa nagromadzonego lodu, rozciągająca się na olbrzymich przestrzeniach północnych krain, leżała bezpośrednio przed nimi, w odległości znacznie mniejszej niż ta, którą już przebyli. Wraz ze zmianą pory roku ostre podmuchy lodowatego wiatru zwiastowały grozę nadciągających mrozów. Deszcze zelżały i wreszcie ustały całkiem, a postrzępione, białe pasma zastąpiły burzowe chmury,

które porwane zostały na strzępy przez silne, nieustające wiatry. Ostre wichury zdierały suche liście z drzew i rozrzucały je w postaci ruchomego dywanu pod nogi podróżników. Potem, w nagłej zmianie nastroju, niespodziewany poryw podnosił te kruche szkielety letniego rozkwitu, szaleńczo kręcił nimi w kółko, aż zmęczony zabawą, składał je w innym miejscu.

Sucha, zimna pogoda bardziej jednak odpowiadała podróżnikom, była znajoma i przyjemniejsza, a futrzane kurty z kapuza-mi chroniły od mrozu. Jondalar został poinformowany właściwie; łatwo było polować na tych równinach, a zwierzęta były tłuste i zdrowe po letnim wypasie. Była to również pora dojrzewania wielu ziaren, owoców, orzechów i korzeni. Nie musieli używać podróźnej żywności i nawet udało im się uzupełnić zapasy, kiedy zabili olbrzymiego jelenia i zdecydowali się na kilkudniowy postój dla wypoczynku i wysuszenia mięsa. Ich twarze tryskały dobrym zdrowiem i szczęściem z tego, że żyli i kochali się wzajemnie.

Również konie odżyły. To było ich środowisko, klimat i warunki, do jakich były zaadaptowane. Ich ciężkie futra stały się puchate od zimowej sierści i każdego ranka zwierzęta były rozbrykane i chętne do dalszej drogi. Wilk, z nosem wystawionym do wiatru, chwycił wonie, które rozpoznawał instynktownie, pędził susami i od czasu do czasu wybierał się na samotne wyprawy, a potem nagle pojawiał się znowu i wyglądał na niezmiernie zadowolonego z siebie.

Przeprawy przez rzeki nie nastęrczały żadnych problemów. Większość płynęła równolegle do północno-południowej trasy Wielkiej Rzeki Matki. Musieli przejść przez kilka, które płynęły w poprzek równiny, ale wzór wodnych szlaków był nieprzewidywalny. Odnogi wiły się takimi zakolami, że nie zawsze byli pewni, czy zagrządzający im drogę strumień jest meandrem rzeki, czy jednym z nielicznych potoków spływających z wyżej położonego terenu. Niektóre równoległe kanały kończyły się nagle w płynącym na zachód strumieniu, który z kolei wlewał swoje wody do innej odnogi Matki.

Czasami musieli zbaczać z północnego kierunku z powodu szerokiego zakola rzeki; był to rodzaj otwartego stepu, który czynił podróżowanie na końskich grzbietach o wiele korzystniejszym od podróżowania piechotą. Posuwali się naprzód wyjątkowo szybko, każdego dnia pokonując taką odległość, że nadrobili uprzednie opóźnienia. Jondalar był zadowolony, gdyż tym tempem wyrównali stratę czasu, jaką kosztowała ich jego decyzja, by pójść okrężną drogą, żeby odwiedzić Sharamudoi.

W rzeńskie, chłodne, jasne dni otwierała się przed nimi szeroka panorama przesłonięta tylko przez poranne mgły, kiedy słońce nagrzewało skondensowaną po nocy wilgoć powyżej

punktu zamarzania. Na wschód były teraz góry, które okrążyli, kiedy szli wzdłuż wielkiej rzeki przez gorące, południowe równiny, te same góry, przez których południowo-zachodni kraniec musieli się wspinać. Błyszczące, pokryte lodem szczyty nieznacznie się przybliżyły, w miarę jak łańcuch górski zakręcał wielkim łukiem w kierunku północno-zachodnim. Po ich lewej ręce najwyższy łańcuch górski kontynentu z ciężkimi lodowymi koronami, które spływały do połowy stoków, rozciągał się ze wschodu na zachód. Wyniosłe, lśniące szczyty majaczyły w odległości złowieszco, na pozór nieprzekraczalna bariera między podróżnikami i celem ich wędrówki. Wielka Matka Rzeka poprowadzi ich wokół szerokiej, północnej strony łańcucha do stosunkowo małego lodowca, który skuwał pradawny, zaokrąglony masyw północno-zachodniego krańca podgórza.

Znacznie niżej i bliżej, za trawiastą równiną przerywaną tu i ówdzie sosnowymi laskami, wznosił się inny masyw. Granitowa wyżyna górowała nad stepowymi łąkami i Matką, ale stopniowo obniżała się ku północy, łącząc ze wzgórzami, które ciągnęły się aż do przedgórza zachodnich gór. Napotykali coraz mniej drzew, a te nieliczne, które tam rosły, zaczynały przybierać znajome kształty skałowaciałych, wyrzeźbionych wiatrem form.

Ayla i Jondalar przeszli niemal trzy czwarte całej odległości niezmiernych, środkowych równin, z południa na północ, zanim zaczęły się pierwsze opady śniegu.

- Jondalarze, patrz! Śnieg pada! - zawołała Ayla z promiennym uśmiechem. - To pierwszy śnieg tej zimy. - Wyczuła go już przedtem w powietrzu i pierwszy śnieg zawsze wydawał jej się wyjątkowy.

- Nie rozumiem, z czego się tak cieszysz - rzekł, lecz jej radość była tak zaraźliwa, że sam nie mógł powstrzymać uśmiechu w odpowiedzi. - Obawiam się, że będziesz miała dość śniegu i lodu, zanim zostawimy je za sobą.

- Wiem, masz rację, ale zawsze lubiłam pierwszy śnieg. - Po kilku krokach spytała: - Czy wkrótce rozbijemy obóz?

- Dopiero co minęło południe - powiedział zdziwiony Jondalar. - Dlaczego już myślisz o rozbijaniu obozu?

- Przed chwilą widziałam kilka pardw. Zaczęły już zmieniać upierzenie na białe, ale póki śnieg nie leży na ziemi, łatwo je wypatrzeć. Nie będzie tak łatwo, jak spadnie dużo śniegu, a one zawsze smakują najlepiej o tej porze roku, szczególnie przyrządzone na sposób, w jaki Creb je najbardziej lubił. Takie gotowanie zabiera jednak dużo czasu. - Wspominała, zapatrzona przed siebie. - Trzeba wykopać dół w ziemi, wyłożyć go kamieniami i zrobić w środku ognisko. Potem wkłada się ptaki, całe owinięte w siano, przykrywa się je i czeka. -

Wyrzucała z ust słowa tak szybko, że niemal się o nie potykała. - Ale warto czekać.

- Powoli, Aylo. Jesteś taka podniecona. - Uśmiechnął się z rozbawienia i zachwytu. Uwielbiał patrzeć na nią, kiedy była tak pełna entuzjazmu. - Skoro jesteś pewna, że będą tak wspaniale smaczne, to chyba powinniśmy zatrzymać się wcześniej i pójść na polowanie na pardwy.

- Och tak, będą smaczne - powiedziała, patrząc z powagą na Jondalara - ale przecież jadłeś już tak przyrządzone. Wiesz, jak smakują. - Zauważyła jego uśmiech i zdała sobie sprawę z tego, że się z nią przekomarzał. Wyciągnęła procę zza pasa. -Ty rozbij obóz, a ja zapoluję na pardwy i jeśli pomożesz mi wykopać dół, to nawet dam ci skosztować jedną - rzuciła z uśmiechem i popędziła Whinney.

- Aylo! - zawołał Jondalar, zanim odjechała zbyt daleko. -Jeśli zostawisz mi pale, to rozbiję dla ciebie obóz, Kobieto Która Poluje.

Spojrzała zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że pamiętasz, jak nazwał mnie Brun, kiedy pozwolił mi polować. - Zawróciła i zatrzymała się przed nim.

- Może nie mam wspomnień klanu, ale pamiętam to i owo, szczególnie na temat kobiety, którą kocham - powiedział i patrzył na jej cudowny uśmiech, który czynił ją jeszcze piękniejszą. - Ponadto, jeśli pomożesz mi zdecydować, gdzie rozłożyć obóz, będziesz wiedziała, dokąd wrócić i przynieść te ptaki.

- Gdybym cię nie zobaczyła, to poszłabym po śladach, ale pójdę z tobą i zostawię drągi. Whinney nie może z nimi szybko zakrecać.

Jechali, aż zobaczyli miejsce nadające się na obóz, niedaleko strumienia, z równym terenem pod namiot, kilkoma drzewami i, co najważniejsze dla Ayli, kamienistym brzegiem, skąd można będzie nabrać kamieni do jej ziemnego pieca.

- Jak już tu jestem, to równie dobrze mogę ci pomóc rozbić obóz - powiedziała Ayła, zsiadając z konia.

- Idź polować na swoje pardwy. Powiedz mi tylko, gdzie mam zacząć kopać dół.

Ayła zastanowiła się i przytaknęła. Im szybciej upoluje ptaki, tym szybciej będzie je mogła zacząć gotować, a gotowanie zabierze dużo czasu, polowanie też może potrwać. Przeszła się po terenie i wybrała miejsce, które wydawało się odpowiednie na ziemny piec.

- Tutaj, nie > daleko od tych kamieni. - Rozejrzała się po brzegu i uznała, że warto nabrać trochę dobrych, okrągłych kamyków do procy.

Dała znak Wilkowi, żeby z nią poszedł, i zawróciła tą samą trasą, szukając pardw, które widziała przedtem. Gdy zaczęła rozglądać się za tymi tłustymi ptakami, zobaczyła wiele



podobnych gatunków. Skusiło ją najpierw stadko szarych kuropatw, które dziobały dojrzałe ziarna żyta i pszenicy. Rozpoznała zadziwiająco dużą liczbę młodych po ich nieco innym upierzeniu, nie po rozmiarach. Chociaż te średniej wielkości, przysadziste ptaki składały do dwudziestu jaj w jednym wylęgu, były na ogół przedmiotem tak intensywnych łowów, że niewiele dożywało dorosłości.

Szare kuropatwy również były bardzo smaczne, ale Ayla zdecydowała, że jeszcze trochę poszuka. Postanowiła jednak zapamiętać to miejsce na wypadek, jeśli nie znajdzie pardw, na które miała taką ochotę. Zaskoczyło ją stado towarzyskich przepiórek, które nagle wzbily się w powietrze. Te pękate, małe ptaki także były smaczne i gdyby wiedziała, jak posługiwać się kijkiem do rzucania, który potrafił strącić kilka naraz, mogłaby spróbować je zdobyć. Ponieważ zdecydowała się pominąć tamte ptaki, ucieszyła się tym bardziej, kiedy zobaczyła dość dobrze zakamuflowane pardwy niedaleko miejsca, w którym widziała je wcześniej. Chociaż nadal miały trochę kolorów na grzbietach i skrzydłach, ich zasadniczo białe upierzenie czyniło, że były dobrze widoczne na tle szarawej ziemi i ciemnozielonej, suchej trawy. Tłuste, krępe ptaki miały już zimowe pióra na nogach, pokrywające także łapy, zarówno dla ciepła, jak i jako rakiety śnieżne. Przepiórki często migrowały na duże odległości, ale zarówno kuropatwy, jak i pardwy normalnie zostawały blisko miejsca swojego urodzenia, przemieszczając się tylko na niewielkie odległości między swoim zimowym i letnim schronieniem.

W tym lodowcowym świecie stworzenia, które w innych czasach zamieszkiwały odrębne środowiska, osiedlały się blisko siebie, każdy gatunek miał swoją niszę i zostawał na tych równinach. Podczas gdy kuropatwy trzymały się przewianych wiatrem, otwartych przestrzeni trawiastych, jedząc ziarna i nocując na drzewach koło rzek i wyżyn, pardwy kryły się w zaspach śnieżnych, ryjąc w nich tunele, żeby utrzymać ciepło, i odżywiały się gałązkami, pędami i pączkami krzewów, często takich, które zawierały oleje niesmaczne lub trujące dla innych zwierząt.

Ayla dała znak Wilkowi, aby stał spokojnie, wyjęła dwa kamienie z woreczka i przygotowała procę. Z grzbietu Whinney wycelowała w jednego ptaka i cisnęła pierwszy kamień. Wilk uznał jej ruch za sygnał i rzucił się jednocześnie na drugiego. Z trzepotem skrzydeł i głośnymi skrzekami protestu reszta stada ciężkich ptaków uniosła się w powietrze, silnie pracując swoimi dużymi mięśniami. Ich ubarwienie, maskujące na ziemi, w powietrzu stanowiło wyraźny wzór, który ułatwiał innym ptakom tego samego rodzaju znalezienie ich i trzymanie się razem w stadzie.

Po pierwszym zrywie lot pardw przeszedł w powolny ślizg. Uciskiem nóg i ruchem

ciała Ayla dała znak Whinney, by ruszyła za ptakami, a sama przygotowała się do drugiego rzutu. Złapała procę, wsunęła dłoń w jej luźny koniec i płynnym, wielokroć praktykowanym ruchem wpuściła drugi kamień w kieszonkę, zanim znowu ją okręciła. Chociaż czasami potrzebowała dwóch zamachów do pierwszego rzutu, rzadko kiedy musiała to zrobić przy drugim.

Jej umiejętność szybkiego miotania kamieni była tak trudna do opanowania, że ktoś o to zapytany odrzekłby, iż jest to niemożliwe. Ale Ayla nie miała kogo spytać, nikt jej nie powiedział, że nie sposób jest się tego nauczyć, potrafiła więc rzucać dwoma kamieniami niemal jednocześnie. Ćwiczyła przez lata i nie chybiała. Ptak, do którego celowała, kiedy siedział na ziemi, nie wzniósł się w powietrze. Kiedy drugi spadał z nieba, szybko chwyciła dwa dodatkowe kamienie, ale stado było już poza zasięgiem rzutu. Wilk przybiegł z trzecim ptakiem w pysku. Ayla zeskoczyła z kobyły i na jej sygnał Wilk położył pardwę u jej stóp. Usiadł, spojrzał na nią zadowolony z siebie, a białe, miękkie piórka ozdabiały boki jego pyska.

- Dobrze, Wilk - powiedziała, złapała jego gęstą grzywę i czołem dotknęła jego czoła. Potem zwróciła się do konia. - Ta kobieta docenia twoją pomoc, Whinney - odezwała się w swoim specjalnym języku, który składał się z gestów klanu i cichych rzeń końskich. Koń uniósł łeb, parsknął i podszedł bliżej. Ayla chwyciła łeb kobyły i dmuchnęła jej w nozdrza, wymieniając woń uznania i przyjaźni.

Ukręciła łeppek ptaka, który jeszcze żył; potem, przy użyciu sztywnej trawy, związała razem opierzone łapy ptaków. Dosiadła konia i położyła je na koszu za sobą. W drodze powrotnej znowu natknęła się na kuropatwy i nie mogła się powstrzymać, żeby się do nich nie przymierzyć. Dwoma kamieniami uбиła dwa ptaki, ale jej trzeci pocisk nie trafił celu. Jednego złapał Wilk i tym razem pozwoliła mu go zatrzymać.

Postanowiła, że upiecze wszystkie naraz, aby porównać oba gatunki mięsa. Zostanie jeszcze sporo na następny dzień albo i na dwa dni. Potem zaczęła się zastanawiać, czym może je nadziać. Gdyby jeszcze siedziały na gniazdach, użyłyby ich własnych jaj. Przypomniała sobie, że kiedy mieszkała z Mamutoi, nadziała raz ptaki ziarnem. Zebranie wystarczającej ilości ziarna zabierze jednak dużo czasu - myślała. Zbieranie dzikiego ziarna było czasochłonną czynnością, lepszą dla grupy ludzi. Duże, okrągłe korzenie mogą być dobre, może z dodatkiem dzikiej marchwi i cebuli.

Rozmyślając o posiłku, który miała przygotować, młoda kobieta nie zwracała wielkiej uwagi na otoczenie, ale nie mogła nie zauważyć, kiedy Whinney zatrzymała się. Kobyła rzuciła łbem i zarżała, a potem stanęła zupełnie nieruchomo, ale Ayla czuła jej napięte

mięśnie. Koń właściwie trzął się i kobieta zrozumiała, dlaczego.

Ayla siedziała na Whinney, wpatrzona przed siebie, i narastał w niej dziwny niepokój, strach, który przeszywał ją zimnym dreszczem. Przymknęła oczy i potrząsnęła głową, żeby to przepędzić. W końcu nie było czego się bać. Otworzyła oczy i spojrzała znowu na duże stado koni. Co takiego groźnego może być w stadzie koni?

Większość zwierząt patrzyła w ich kierunku i Whinney z równym zainteresowaniem przypatrywała się swym pobratymcom. Ayla dała sygnał Wilkowi, żeby został na miejscu; zauważyła jego ciekawość i chęć bliższego zbadania stada. Konie często stanowiły łup wilków, więc te dzikie konie z pewnością nie zechcą dopuścić go zbyt blisko.

Ayla przyglądała się stadu, niepewna, jak się zachowają zarówno dzikie konie, jak i Whinney, i nagle zdała sobie sprawę z tego, że to nie było jedno, ale dwa odrębne stada. Dominowało duże stado kobył ze źrebakami i Ayla uznała, że kobyła, która stała w agresywnej postawie na przodzie, jest przywódczynią stada. Dalej było małe stado ogierów. Nagle zobaczyła stojącego między nimi konia i wpatrzyła się w niego pełna zdumienia. Był to najbardziej niezwykły koń, jakiego kiedykolwiek widziała.

Większość koni miała sierść podobną do Whinney - najrozmaitsze odmiany żółtawobrazowej maści, u niektórych ciemniejsza, u innych jaśniejsza. Ciemnobrazowa maść Zawodnika była niezwykła, nigdy nie widziała innego, równie ciemnego konia. Sierść ogiera przywódcy stada była także dziwna. Nigdy nie widziała tak jasnego konia. Potężny, świetnie zbudowany ogier, który ostrożnie się do niej zbliżał, był śnieżnobiały!

Zanim zauważył Whinney, biały koń trzymał wszystkie inne ogiery na odległość, jasno pokazując, że jeśli nie podejda zbyt blisko, będzie je tolerował, ponieważ nie był to sezon godowy koni, ale tylko on sam ma prawo przechadzać się między kobyłami. Nagłe pojawienie się obcej kobyły wzbudziło jego zainteresowanie, jak również zainteresowanie wszystkich pozostałych koni.

Konie są z natury zwierzętami społecznymi. Lubią przebywać w towarzystwie innych koni. Szczególnie kobyły mają tendencję do formowania trwałych związków. W odróżnieniu jednak od większości stadnych zwierząt, wśród których córki pozostają w tej samej grupie co ich matki, konie na ogół tworzą grupy nie spokrewnionych kobył. Po dorostaniu, to jest w wieku około dwóch lat, młode kłaczki porzucają stado, w którym się urodziły. W nowym stadzie ustanawiają hierarchię, która daje przywileje i korzyści kobyłom o wysokiej randze - w tym pierwszeństwo w dostępie do wody i najlepszych pastwisk - ale ich związki są

cementowane przez wzajemne wyczesywanie jęzorem i inne przyjazne gesty

Młode samce, chociaż siłują się w zabawie już jako małe źrebaki, dopiero po dołączeniu do stada ogierów, w wieku około czterech lat, zaczynają na poważnie przygotowywać się do dnia, w którym będą walczyć o prawo do kobył. Choć również w stadzie ogierów konie wyczesują się wzajemnie, ich głównym zajęciem jest rywalizacja o przywództwo. Począwszy od popychania i szturchania, zrytualizowanego wypróżniania się i obwąchiwania, współzawodnictwo narasta - szczególnie podczas wiosennego okresu godowego - do stawiania dęba, gryzienia karków, kopania tylnymi kopytami w łby i klatki piersiowe. Dopiero po wielu latach w takim stadzie ogier potrafi ukraść młodą kobyłę lub obalić ogiera przywódcę stada.

Jako niezależna kobyła, która zawędrowała w ich rewir, Whinney była przedmiotem wielkiego zainteresowania ze strony obu stad. Ayli nie podobał się sposób, w jaki ogier przywódca podchodził ku nim, tak dumny i potężny, jak gdyby właśnie miał zażądać Whinney

- Możesz iść, Wilk - powiedziała, dając mu jednocześnie sygnał, i patrzyła, jak popędził w kierunku koni. Dla Wilka to było całe stado Zawodników i Whinney i chciał się z nimi bawić. Ayła wiedziała, że nie stanowi zagrożenia dla koni. W pojedynkę nie mógłby powalić tak silnego zwierzęcia. Wymagałoby to watahy wilków, a nawet watahy rzadko atakowały dorosłe zwierzęta w pełni sił.

Ayła zawróciła Whinney do obozu. Kobyła zawahała się na moment, ale wdrożone posłuszeństwo kobiecie było silniejsze niż zainteresowanie innymi końmi. Zaczęła iść, ale powoli, nadal trochę z wahaniem. Wilk dopadł stada. Bawiło go gonienie ich i Ayła ucieszyła się, że je rozpędził. Odciągnął ich uwagę od Whinney.

Kiedy Ayła dotarła do obozu, wszystko było gotowe. Jondalar właśnie kończył wnoszenie trzech pali, żeby trzymać żywność, jaką mieli ze sobą, poza zasięgiem większości zwierząt, które mogą się nią zainteresować. Namiot był rozstawiony, dół wykopany i wyłożony kamieniami. Kilkomu kamieniami obudował również podstawę paleniska.

- Spójrz na tę wyspę - powiedział, gdy zsiadała. Wskazał na pasmo łądu, powstałe na środku rzeki z nagromadzonego osadu, zarośnięte turzycą, trzcinnami i kilkoma drzewami. - Tam jest całe stado bocianów, białych i czarnych. Patrzyłem, jak łądowały. Tak chciałem, żebyś tu była. To było warto zobaczyć. Nurkowały i wzbijały się, nawet fikały koziółki. Składały skrzydła i spadały z nieba, a w ostatniej chwili, kiedy już prawie dosięgały ziemi, znowu rozwijały skrzydła. Wygląda, jakby się kierowały na południe. Pewnie wyruszają rano.

Ayła spojrzała za wodę na duże ptaki z długimi dziobami i nogami. Żerowały,

biegając po lądzie i płytkiej wodzie, chwytając długimi, silnymi dziobami wszystko, co się poruszało: ryby, jaszczurki, żaby, insekty i dżdżownice. Jadły również padlinę, sądząc z zapału, z jakim rzuciły się na zmyte na brzeg resztki żubra. Były to dwa różne gatunki, dość podobne do siebie w kształcie, ale nie w kolorze. Białe bociany miały czarne lotki i były większe; czarne miały białą pierś, brzuch i pokrywę pod-ogonową. Większość z nich stała w wodzie i łowiła ryby

- Widzieliśmy duże stado koni w drodze powrotnej - powiedziała Ayla i sięgnęła po pardwy i kuropatwy. - Bardzo dużo kobył i źrebaków, ale ogiery też były niedaleko. Ogier przywódca był biały.

- Biały?

- Taki biały jak te białe bociany. Nie miał nawet czarnych nóg. Nie dałoby się go wypatrzeć na śniegu.

- Białe jest rzadkie. Nigdy nie widziałem białego konia. -Jondalar pomyślał o Norii i Ceremonii Pierwszego Rytuału i przypomniał sobie białą skórę końską, która wisiała na ścianie za posłaniem, ozdobioną czerwonymi główkami młodych pstrych dzieciółów. - Ale widziałem kiedyś skórę z białego konia.

Coś w jego głosie spowodowało, że Ayla uważnie mu się przyjrzała. Zobaczył jej wzrok, zaczerwienił się i odwrócił, żeby zdjąć kosz z Whinney, potem uznał, że musi powiedzieć coś więcej.

- To było podczas... ceremonii z Hadumai.

- Czy to są łowcy koni? - spytała Ayla. Złożyła płachtę jeździecką, podniosła ptaki i poszła na brzeg rzeki.

- No cóż, tak, polują na konie. Dlaczego pytasz? - Jondalar poszedł razem z nią.

- Pamiętasz, jak Talut opowiadał o polowaniu na białego mamuta? Mamutoi traktowali go jak świętość, ponieważ są Łowcami Mamutów. Skoro Hadumai używają białej skóry konia podczas swoich ceremonii, to może uważają konie za specjalne zwierzęta.

- Może, ale byliśmy z nimi zbyt krótko, żeby się dowiedzieć.

- Ale polują na konie? - zapytała i zaczęła oskubywać ptaki.

- Tak. Polowali na konie, kiedy Thonolan ich spotkał. Na początku byli na nas źli, bo rozpędziliśmy stado, na które polowali, ale tego myśmy nie wiedzieli.

- Chyba przywiążę dzisiaj Whinney koło namiotu - powiedziała Ayla. - Jeśli tutaj są łowcy koni, wolę mieć ją blisko. A do tego nie podobał mi się sposób, w jaki ten biały ogier do niej podchodził.

- Pewnie masz rację. Może powinienem także przywiązać Zawodnika. Nie miałbym

jednak nic przeciwko zobaczeniu tego białego ogiera - odrzekł Jondalar.

- Woląłabym go nigdy więcej nie widzieć. Zanadto interesował się Whinney. Ale jest niezwykle... i piękny. - Pióra fruwały wokół, kiedy wyrwała je szybkimi ruchami. Zatrzymała się na chwilę. - Czarne jest także rzadkie. Pamiętasz, kiedy Ranec to powiedział? Jestem pewna, że chodziło mu o samego siebie, choć właściwie jest brązowy, nie czarny

Na wspomnienie imienia mężczyzny, z którym Ayla omal się nie połączyła, Jondalar poczuł ukłucie zazdrości, mimo że to przecież z nim poszła w drogę.

- Żałujesz, że nie zostaliśmy z Mamutoi i że nie połączyłaś się z Ranekiem?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. Jej ręce znieruchomiały.

- Jondalarze, wiesz przecież, iż złożyłam obietnicę Ranecowi tylko dlatego, że myślałam, iż mnie już nie kochasz, a wiedziałam o jego uczuciu do mnie... ale tak, trochę żałuję. Mogłam zostać z Mamutoi. Gdybym cię nie spotkała, to chyba mogłabym być szczęśliwa z Ranekiem. Ja go w pewien sposób kochałam, ale nie tak jak ciebie.

- No cóż, to była uczciwa odpowiedź - powiedział zachmurzony.

- Mogłam również zostać z Sharamudoi, ale chcę być razem z tobą. Jeśli musisz wrócić do domu, chcę iść z tobą - ciągnęła Ayla. Dostrzegła jego spochmurniałą twarz i wiedziała, że niezupełnie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

- Spytałeś mnie, Jondalarze. Kiedy pytasz, zawsze odpowiem ci, co czuję. Gdy ja zadaję ci pytanie, chcę, byś mi odplacił tym samym. Nawet jeśli tego nie robię, pragnę, żebyś mi mówił, kiedy coś jest nie w porządku. Nigdy więcej nie chcę takich nieporozumień jak zeszłej zimy, kiedy nie wiedziałam, o co ci chodzi, a ty mi nie chciałeś nic powiedzieć, albo też domyślałeś się, co ja czuję, ale nie zapytałeś. Przrzeknij mi, że zawsze mi wszystko będziesz mówił.

Wyglądała tak poważnie i była taka przejęta, że chciał się do niej ciepło uśmiechnąć.

- Przrzekam, Aylo. Ja także nigdy więcej nie chcę przeżyć czegoś takiego. Nie mogłem znieść tego, że jesteś z Ranekiem. Jest atrakcyjny dla kobiet, zabawny i przyjacielski. Jest także świetnym rzeźbiarzem i prawdziwym artystą. W innych okolicznościach pewnie sam bym go polubił. W jakiś sposób przypominał mi Thonolana. Może wygląda inaczej, ale jest dokładnie taki jak Mamutoi: otwarty i pewny siebie.

- On jest Mamutoi - powiedziała Ayla. - Tęsknię za Obozem Lwa. Tęsknię za ludźmi. Nie widzieliśmy wielu ludzi w tej podróży. Nie wiedziałam, z jak daleka przyszedłeś, Jondalarze, ani że jest tak dużo ziemi do przejścia. Tak dużo ziemi i tak mało ludzi.

Kiedy słońce pochyliło się na horyzoncie, chmury nad wysokimi górami na zachodzie wyciągały się, żeby objąć rozpalony krąg, i różowiły się w podnieceniu. Jasność wspaniale

rozświetliła otaczające ją chmury, po czym powoli zaczęła przygasać. Ayla z Jondalarem skończyli jeść kolację. Ayla wstała, żeby odłożyć resztę ptaków; przygotowała znacznie więcej, niż byli w stanie zjeść. Jondalar włożył z powrotem kamienie do ogniska, żeby się zagrzały na przygotowanie wieczornej herbaty.

- Były wspaniałe - powiedział. - Cieszę się, że chciałaś wcześniej zatrzymać się na popas. Te ptaki były tego warte.

Ayla spojrzała przypadkiem w kierunku wyspy i zachłysnęła się. Jondalar usłyszał to i podniósł głowę.

Z mroku wystąpiło wielu ludzi z oszczepami i podsunęło się do kręgu światła rzucanego przez ognisko. Dwóch z nich miało narzuty ze skóry koni, z wysuszonymi łbami, które nosili na głowach jak kapuzy. Jondalar wstał. Jeden z mężczyzn ściągnął tę końską kapuzę i podszedł do nich.

- Zel-an-don-yii! - powiedział, wskazując palcem na wysokiego blondyna. Potem uderzył się w piersi. - Hadumai! Jeren! - Uśmiechał się szeroko.

Jondalar przyjrzał mu się i też się uśmiechnął.

- Jeren! To naprawdę ty? Wielka Matko, trudno w to uwierzyć! To ty!

Mężczyzna zaczął mówić w języku równie niezrozumiałym dla Jondalara, co jego język dla Jerena, ale wszyscy rozumieli przyjacielskie uśmiechy.

- Aylo! - zawołał Jondalar, przyzywając ją do siebie. - To jest Jeren. On jest tym myśliwym Hadumai, który spotkał nas, gdy szliśmy w drugą stronę. Nie mogę w to uwierzyć! - Obaj nadal uśmiechali się z zachwytem. Jeren spojrzał na Aylę i z uznaniem kiwnął głową do Jondalara.

- Jerenie, to jest Ayla, Ayla z Mamutoi - rzekł Jondalar, formalnie ich sobie przedstawiając. - Aylo, to jest Jeren, jeden z ludzi Hadumy.

Ayla wyciągnęła obie ręce.

- Witaj w naszym obozie, Jerenie z ludu Hadumy.

Jeren zrozumiał intencję, chociaż nie było to tradycyjne pozdrowienie wśród jego ludzi. Włożył oszczep do zarzuconego na plecy kołczanu, ujął jej obie ręce i powiedział "Ayla", rozumiejąc, że jest to jej imię, choć nie rozumiał reszty słów. Znowu uderzył się w pierś.

- Jeren - powiedział i dodał kilka niezrozumiałych słów.

Nagle podskoczył z widocznym strachem. Zobaczył Wilka, który podchodził do Ayli. Widząc jego reakcję, Ayla natychmiast uklękła i objęła kark zwierzęcia. Oczy Jerena szeroko otworzyły się ze zdumienia.



- Jerenie - Ayla wstała i wykonała gesty formalnej prezentacji - to jest Wilk. Wilk, to jest Jeren, jeden z ludzi Hadumy.

- Wilk? - Oczy Jerena były nadal pełne strachu.

Ayla przesunęła rękę przed nosem Wilka, jakby dając mu powąchać. Potem uklękła obok zwierzęcia i znowu je objęła, demonstrując ich wzajemną bliskość i brak strachu. Dotknęła ręki Jerena, a potem znowu przyłożyła swoją do nosa Wilka, pokazując w ten sposób, jak powinien się zachować. Z wahaniem Jeren wyciągnął dłoń w kierunku Wilka.

Wilk dotknął jego ręki swoim zimnym, wilgotnym nosem i cofnął łeb. Wiele razy przedstawiano go już w ten sposób u Sharamudoi i zdawał się rozumieć zamiar Ayli. Ayla ujęła dłoń Jerena i patrząc mu prosto w twarz, przyciągnęła ją do łba Wilka, żeby dotknąć sierści, i pokazała, jak klepać Wilka po łbie. Odprężyła się, kiedy Jeren spojrzał na nią z uśmiechem zrozumienia i sam pogłaskał Wilka.

Jeren odwrócił się i spojrzał na innych.

- Wilk! - powiedział i zrobił ku nim gest. Wymówił jeszcze kilka słów, wśród których było jej imię. Czterech mężczyzn weszło w krąg światła. Ayla gestami zaprosiła ich, żeby usiedli przy ogniu.

Jondalar, który to wszystko obserwował, uśmiechnął się z aprobatą.

- To był dobry pomysł, Aylo.

- Myślisz, że są głodni? Mamy mnóstwo jedzenia - powiedziała.

- Zaproponuj im, to zobaczysz.

Wyjęła tacę z kła mamuciego, z której przedtem jedli ptaki, podniosła coś, co wyglądało jak kłębek zwędłej trawy, i otworzyła to. W środku była cała, upieczona pardwa. Wyciągnęła ją ku Jerenowi i jego towarzyszom. W powietrzu rozszedł się smakowity zapach. Jeren oderwał jedną nogę i stwierdził, że ma w ręku kruchy i soczysty kawałek mięsa. Uśmiech, jaki rozlał się na jego twarzy po pierwszym kąsie, zachęcił innych.

Ayla wyciągnęła również kuropatwy i wyłożyła nadzienie z korzeni i ziaren do najrozmaitszych miseczek i mniejszych talerzy, niektórych z wikliny, innych z kości słoniowej oraz jednej z drewna. Pozwoliła mężczyznom nabierać jedzenia według własnego uznania, a sama wydestała dużą drewnianą miskę i napełniła ją wodą na herbatę.

Po posiłku mężczyźni byli znacznie bardziej odprężeni, mimo że Ayla podprowadziła Wilka, aby zapoznał się z ich wonią. Siedzieli wokół ogniska z kubkami herbaty w rękach i próbowali się porozumieć na nieco wyższym poziomie niż tylko uśmiechy przyjaźni i gościnności. Rozpoczął Jondalar.

- Haduma?

Jeren potrząsnął głową ze smutnym wyrazem twarzy. Ręką zrobił gest ku ziemi i Ayla zrozumiała, że stara kobieta wróciła do Wielkiej Matki Ziemi. Również Jondalar zrozumiał, że staruszka, którą tak polubił, już nie żyła.

- Tamen? - zapytał.

Jeren z uśmiechem zaczął potakiwać głową w przesadny sposób. Potem wskazał na jednego z pozostałych mężczyzn i powiedział zdanie, w którym było imię Tamena. Młody człowiek, właściwie jeszcze chłopiec, uśmiechnął się do nich i Jondalar zauważył podobieństwo do mężczyzny, którego znał.

- Tamen, tak - powiedział Jondalar, uśmiechając się i kiwając głową. - Syn ogniska Tamena, a może syn syna. Chciałbym, żeby Tamen był tutaj - zwrócił się do Ayli. - Umiał trochę mówić w zelandonii i moglibyśmy porozmawiać. Odbił długą podróż, kiedy był młody.

Jeren rozejrzał się po obozie, potem spojrzał na Jondalara i powiedział:

- Zel-an-don-yii... Ton... Tonolan?

Tym razem Jondalar ze smutkiem potrząsnął głową. Po chwili zastanowił się i zrobił ruch ręką ku ziemi. Jeren miał zdziwiony wyraz twarzy, ale kiwnął głową na znak, że rozumie, i pytającym tonem wymówił jakieś słowo. Jondalar nie zrozumiał i spojrzał na Aylę.

- Czy wiesz, o co on pyta?

Chociaż nie rozumiała słów, w większości języków, jakie słyszała, było coś, co wydawało jej się znajome. Jeren powtórzył słowo i coś w wyrazie jego twarzy czy też w tonie głosu nasunęło jej pomysł. Rozstawiła palce jak pazury i zaryczała jak lew jaskiniowy. Dźwięk, który wydała, był tak realistyczny, że mężczyźni spojrzeli na nią z zaskoczeniem, ale Jeren kiwał głową, że rozumie. Spytał, jak umarł Thonolan, i ona mu odpowiedziała. Jeden z mężczyzn powiedział coś do Jerena. Kiedy Jeren odpowiedział, Jondalar usłyszał znajome imię, Noria. Pytający uśmiechnął się do wysokiego blondyna, pokazał na niego palcem, a potem wskazał na własne oczy i znowu się uśmiechnął.

Jondalar poczuł falę podniecenia. Może znaczyło to, że Noria rzeczywiście urodziła dziecko z niebieskimi oczyma. Równie dobrze mogło to jednak znaczyć, że ten myśliwy słyszał o człowieku z niebieskimi oczyma, który obchodził z Norią Pierwszy Rytuał. Nie mógł być pewny. Inni mężczyźni też wskazywali na swoje oczy i uśmiechali się. Czy uśmiechali się z powodu dziecka z niebieskimi oczyma? Czy też z powodu przyjemności z niebieskookim mężczyzną?

Pomyślał o wymówieniu imienia Norii i pokołysaniu ramionami, jakby trzymał niemowlę, ale spojrzał na Aylę i powstrzymał się. Nie powiedział jej nic o Norii ani o

oświadczeniu Ha-dumy, że Matka pobłogosławiła tę ceremonię i że młoda kobieta urodzi chłopca z niebieskimi oczyma o imieniu Jondal. Wiedział, że Ayla pragnie jego dziecka... lub dziecka jego ducha. Jak się będzie czuła, kiedy się dowie, że Noria już ma takie dziecko? Na miejscu Ayli byłby prawdopodobnie zazdrosny.

Ayla gestami wskazywała, że myśliwi mogą spać koło ogniska. Skinęli głowami i wstali, żeby pójść po swoje śpiwory. Schowali je koło rzeki, zanim podeszli do ognia, którego zapach wyczuli w powietrzu. Mieli nadzieję, że ogień będzie przyjazny, ale nie byli pewni. Kiedy Ayla zobaczyła, że kierują się za namiot, w stronę miejsca, gdzie przywiązali konie, wybiegła przed nich i podniosła rękę, żeby ich powstrzymać. Pytającym wzrokiem spoglądali jeden na drugiego. Ayla zniknęła w ciemności. Znowu zaczęli iść, ale Jondalar dał im znak, żeby poczekali. Uśmiechnęli się i kiwnęli głowami na zgodę. Uśmiechy zamieniły się w wyraz przestachu, kiedy Ayla pojawiła się znowu, wiodąc za sobą dwa konie. Stała między końmi i próbowała wyjaśnić ruchami, a nawet pełnymi wyrazu gestami klanu, że to są specjalne konie i nie wolno na nie polować. Nie była jednak pewna, czy zrozumieli. Jondalar obawiał się wręcz, że mogą pomyśleć, iż ma jakąś wyjątkową moc przywoływania koni i przyprowadziła te dwa dla nich, żeby mogli je ubić. Powiedział Ayli, że może najlepiej będzie pokazać.

Wyjął z namiotu oszczep i zrobił ruch, jakby chciał go wbić w Zawodnika, ale Ayla stała mu na drodze ze skrzyżowanymi przed sobą ramionami i ostro potrząsała głową na boki. Jeren podrapał się w głowę, a inni mieli zdziwione miny. Wreszcie Jeren skinął głową, wyjął oszczep z kołczana na plecach, wycelował w Zawodnika, ale wbił go w ziemię. Jondalar nie wiedział, czy Jeren sądzi, że Ayla powiedziała im, żeby nie polowali na te dwa konie, czy też żeby w ogóle nie polowali na konie, ale coś zostało zrozumiane.

Goście przespali noc koło ogniska, ale wstali o świcie. Jeren powiedział do Ayli kilka słów, Jondalar pamiętał jak przez mgłę, że coś takiego mówiło się w podzięce za żywność. Jeren uśmiechał się, kiedy Wilk go obwąchiwał, i znowu go pogłaskał. Próbowała zaprosić ich na wspólny posiłek poranny, ale szybko odeszli.

- Chciałabym znać choć trochę ich język - westchnęła Ayla. - To była przyjemna wizyta, ale nie mogliśmy porozmawiać.

- Tak, też bym chciał - odparł Jondalar, który bardzo pragnął dowiedzieć się, czy Noria urodziła dziecko, a jeśli tak, czy ma ono niebieskie oczy.

- Różne klany używają słów w swoim codziennym języku, które nie zawsze są zrozumiałe dla innych, ale wszyscy znają milczący język gestów. Zawsze można się porozumieć - ciągnęła Ayla. - Jaka szkoda, że Inni nie mają języka, który jest zrozumiały dla

wszystkich!

- To by się rzeczywiście przydało, szczególnie w podróży, ale trudno wyobrazić sobie język, który wszyscy rozumieją. Naprawdę myślisz, że ludzie klanu, gdziekolwiek by mieszkali, rozumieją ten sam język znaków?

- To nie jest język, którego muszą się nauczyć. Rodzą się z nim. Jest tak pradawny, że jest w ich wspomnieniach, a ich wspomnienia ciągną się wstecz, do samych początków. Nie wyobrażasz sobie, jak to jest daleko wstecz - odrzekła Ayla.

Przeszedł ją dreszcz strachu na wspomnienie chwili, kiedy Creb - żeby uratować jej życie - zabrał ją wraz z innymi do początków istnienia, wbrew wszystkim tradycjom. Zgodnie z niepisanym prawem klanu powinien był jej pozwolić umrzeć. Teraz jednak była dla klanu martwa. Uświadomiła sobie ironię sytuacji. Kiedy Broud rzucił na nią klątwę śmierci, nie powinien był tego zrobić. Nie miał do tego żadnego powodu. Creb miał powód: złamała najpotężniejsze tabu klanu. Może powinien był ją za to uśmiercić, ale tego nie zrobił.

Szybko i sprawnie zaczęli pakować obóz, składać namiot, zwijać śpiwory i wkładać wszystkie kuchenne naczynia, sznury i resztę wyposażenia do koszy. Ayla napełniała bukłaki rzeczną wodą, kiedy wrócił Jeren ze swoimi myśliwymi. Z uśmiechami i wieloma słowami, które najwyraźniej były wylewnym podziękowaniem, wręczył jej paczkę owiniętą w świeżą skórę tura.

Otworzyła ją i znalazła kawał jędrnego combra, odciętego z dopiero co ubitego zwierzęcia.

- Jestem wdzięczna, Jerenie - powiedziała Ayla i ofiarowała mu swój promienny uśmiech, który zawsze powodował przyspieszenie bicia serca Jondalara. Wydawał się wywierać podobny efekt na Jerenie i Jondalar uśmiechnął się pod wąsem na widok oszołomionej twarzy mężczyzny. Zabrało Jerenowi kilka chwil, zanim się opamiętał; zwrócił się potem do Jondalara i usilnie starał się coś mu zakomunikować. Przerwał, kiedy zobaczył, że go nie rozumieją, i powiedział coś do pozostałych ludzi. Potem znowu zwrócił się do Jondalara.

- Tamen - powiedział i zaczął iść w południowym kierunku, robiąc do nich przyzywające gesty. - Tamen - powtórzył, przyzywał ich ruchem ręki i dodał kilka słów.

- Myślę, że on chce, żebyśmy poszli z nim - stwierdziła Ayla - aby zobaczyć mężczyznę, którego znasz. Tego, który mówi w zelandonii.

- Tamen, Zel-an-don-yii. Hadumai - rzekł Jeren, przywołując ich ręką.

- Chyba chce, żebyśmy ich odwiedzili. Jak myślisz? - spytał Jondalar.

- Tak, chyba masz rację - odparła Ayla. - Chcesz się zatrzymać i ich odwiedzić?

- To znaczyłoby pójście z powrotem, a nie wiem, jak daleko. Gdybyśmy ich spotkali wcześniej, na południu, nie miałbym nic przeciwko zatrzymaniu się na trochę, ale bardzo nie chcę zawracać teraz, kiedy zaszliśmy już tak daleko.

Ayla kiwnęła głową.

- Musisz mu to jakoś wytłumaczyć.

Jondalar uśmiechnął się do Jerena i potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale musimy iść na północ. Północ - powtórzył i pokazał ręką kierunek.

Jerem miał zmartwioną minę, potrząsał głową, a potem przymknął oczy, jakby starał się coś wymyślić. Podszedł do nich i wyjął zza pasa krótką laskę. Jondalar zauważył, że miała zaostrowany czubek. Pamiętał, że widział kiedyś coś podobnego, i próbował sobie przypomnieć, gdzie. Jerem oczyścił spłachetek gruntu, laską narysował na nim linię i przekreślił ją drugą linią. Poniżej pierwszej linii narysował figurkę przypominającą konia. Przy końcu drugiej linii, skierowanej w stronę Wielkiej Matki

Rzeki, narysował koło z kilkoma odchodzącymi od niego promieniami. Ayla spojrzała uważnie.

- Jondalarze - powiedziała z podnieceniem w głosie - Mamut pokazywał mi symbole i uczył, co one znaczą, i to był znak na słońce.

- A ta linia wskazuje w kierunku zachodzącego słońca - dodał Jondalar i pokazał na zachód. - Tam, gdzie narysował konia, musi być wschód. - Wskazał kierunek.

Jerem z zapalem przytakiwał. Potem pokazał na północ i skrzywił się. Podszedł do północnego końca narysowanej linii i stanął twarzą do nich. Uniósł ramiona i skrzyżował je przed sobą, w taki sam sposób, w jaki Ayla próbowała mu powiedzieć, żeby nie polował na Whinney i Zawodnika. Pokręcił przecząco głową. Ayla z Jondalarem spojrzeli na siebie i z powrotem na Jerena.

- Czy on próbuje nam powiedzieć, żebyśmy nie szli na północ? - zapytała Ayla.

Jondalar zaczął rozumieć coś z tego, co Jerem starał się im przekazać.

- Aylo, nie sądzę, by on po prostu chciał, żebyśmy szli z nim na południe w odwiedzinę. Próbuje powiedzieć nam coś więcej. Myślę, że próbuje nas ostrzec przed drogą na północ.

- Ostrzec? Co takiego może być na północy, że trzeba przed tym ostrzegać?

- Może wielka ściana lodu? - zastanawiał się Jondalar.

- Znamy lodowiec. Polowaliśmy na mamuty koło lodowca, razem z Mamutoi. Jest tam zimno, ale nie niebezpiecznie.

- Czasem się przesuwają - powiedział Jondalar - ale to trwa lata. Czasem wyrwywa

drzewa, kiedy zmienia się pora roku, ale nie porusza się tak szybko, by nie można było przed nim uciec.

- Nie wydaje mi się, że chodzi o lodowiec - zauważyła Ayla. - On jednak mówi nam, żebyśmy nie szli na północ, i jest bardzo zatroskany.

- Chyba masz rację, ale nie rozumiem, co tam jest tak niebezpiecznego. Czasami ludzie, którzy nie podróżowali wiele poza swoją krainę, wyobrażają sobie, że świat poza jej granicami jest niebezpieczny, ponieważ jest inny.

- Jeren nie wygląda na człowieka, który się boi byle czego -zaprzeczyła Ayla.

- Masz rację - odparł Jondalar i zwrócił się do mężczyzny: -Jerenie, tak chciałbym cię zrozumieć.

Jeren obserwował ich. Zgadł z wyrazu ich twarzy, że zrozumieli ostrzeżenie, i czekał na ich odpowiedź.

- A może powinniśmy pójść z nim i porozmawiać z Tame-nem? - zaproponowała Ayla.

- Bardzo nie chciałbym teraz zawracać i tracić czasu. Musimy dojść do tego lodowca przed końcem zimy. Jeśli pójdziemy dalej, powinniśmy zdążyć bez trudu, ale jeśli zdarzy się cokolwiek, co nas opóźni, może zaskoczyć nas wiosna i roztopy. Wtedy będzie zbyt niebezpiecznie na przekraczanie lodowca -odpowiedział Jondalar.

- No więc pójdziemy na północ.

- Myślę, że tak powinniśmy zrobić. Będziemy jednak musieli być ostrożni. Chciałbym tylko wiedzieć, na co mamy uważać. -Znowu spojrzął na myśliwego. - Jerenie, przyjacielu, dziękuję ci za ostrzeżenie. Będziemy ostrożni, ale musimy iść dalej. -Wskazał na południe, pokręcił przecząco głową i wskazał na północ.

Jeren próbował protestować, znowu potrząsał głową, ale wreszcie poddał się. Zrobił, co było w jego mocy. Podszedł do drugiego mężczyzny w kapuzie z końskiego łba, porozmawiał z nim przez chwilę, wrócił i pokazał, że odchodzą.

Ayla i Jondalar machali na pożegnanie Jerenowi i jego myśliwym. Po ich odejściu dokończyli pakowania i z odrobiną obawy ruszyli na północ.

Podróżując przez północny kraniec olbrzymich, centralnych stepów, obserwowali zmiany krajobrazu; płaskie niziny ustępowały miejsca poszarpanym wzgórzom. Wzniesienia, które tu i ówdzie przerywały monotonię równiny, były ze sobą połączone, choć częściowo zagrzebane pod glebą śródlądowej niecki. Były to wielkie, pocięte uskokami zręby osadowych skał, które jak nieregularny kręgosłup szły przez równinę od północnego wschodu

do południowego zachodu. Stosunkowo niedawne wybuchy wulkanów pokryły wzgórza żyzną glebą, na której w wyższych strefach rosły lasy sosen, świerków i modrzewi, na niższych zboczach brzozy i wierzby, podczas gdy krzewy i stepowe trawy zarastały suche strony zawietrzne.

Kiedy weszli w teren poszarpanych wzgórz, wielokroć musieli zawracać i szukać drogi wokół głębokich zapadlisk i załamanych formacji, które blokowały im drogę. Ayli zdawało się, że kraj jest bardziej jałowy, chociaż przy wzmagającym się mrozie zastanawiała się, czy nie jest to kwestia zmiany pory roku. Patrząc wstecz z wyżyn, na które się wspięli, uzyskali nową perspektywę na krainę, przez którą dopiero co przeszli. Nieliczne drzewa liściaste i krzewy nie miały już liści, ale równina pokryta była przykurzonym złotem suchej, stojącej trawy, która w czasie zimy wykarmi liczną zwierzynę.

Widzieli wiele dużych, trawożernych zwierząt, w stadach i pojedynczo. Ayli zdawało się, że najwięcej jest koni, może dlatego, że była na nie szczególnie wyczulona, ale jelenie olbrzymie, jelenie szlachetne i - szczególnie na północnych stepach - renifery występowały w niezmiernej obfitości. Żubry zbierały się w duże stada migracyjne i kierowały się na południe. Podczas jednego, całego dnia te wielkie, garbate bestie z potężnymi, czarnymi rogami pokrywały wzgórza północnego stepu jak gruby, ruchomy dywan i widok ten zatrzymał Ayle i Jonda-lara. Wzniesiony kopytami kurz zakrywał nieco tę olbrzymią, poruszającą się masę, a ziemia trzęsa się od bicia kopyt. Wraz z ich rykami dawało to łoskot podobny do grzmotu.

Rzadziej widywali mamuty, na ogół kierujące się na północ, ale nawet z odległości te gigantyczne, włochate bestie przyciągały uwagę. Poza okresem godowym mamuty samce miały tendencję do zbierania się w małe, luźno powiązane stada dla towarzystwa. Czasami któryś z nich dołączał się do stada samic, ale za każdym razem, kiedy podróżnicy widzieli samotnego mamuta, nieodmiennie był to samiec. Większe, stałe stada składały się z blisko spokrewnionych samic: babka, stara i przebiegła matrona, która im przewodziła, czasami jej jedna czy dwie siostry ze swoimi córkami i wnukami. Stado samic łatwo było rozpoznać, ponieważ ich ciosy były nieco mniejsze i mniej zakręcone, jak również z powodu cielaków, które zawsze z nimi były.

Włochate nosorożce, wywierające duże wrażenie, kiedy się je zobaczyło, były rzadsze i nie tak towarzyskie. Z reguły nie zbierały się w stada. Samice trzymały się małych grup rodzinnych, a samce - poza sezonem godowym - były samotnikami. Ani mamuty, ani nosorożce, z wyjątkiem cielaków i bardzo starych okazów, nie musiały obawiać się czworonożnych myśliwych, włącznie z potężnym lwem jaskiniowym. Szczególnie samce mogły sobie pozwolić na samotność; samice potrzebowały stada dla osłony swoich małych.

Mniejsze, włochate woły piżmowe, które należały do rodziny pustoroźców, gromadziły się razem dla obrony. Podczas ataku dorosłe zwierzęta formowały na ogół ciasne koło, wewnątrz którego umieszczały małe. Kilka kozic i kozioroźców pokazało się wyżej w górach; często na zimę schodziły nieco niżej.

Wiele małych zwierząt zabezpieczyło się na zimę w gniazdach wykopanych głęboko w ziemi, otoczone przez zapasy nasion, orzechów, bulw, korzeni i -jak w przypadku szczeku szek - stert siana, które ścięły i ususzyły. Zajęce i króliki zmieniały barwę, nie na białą, ale o jaśniejszym, cętkowanym odcieniu. Na zalesionym pagórku zobaczyli bobra i wiewiórkę. Jondalar użył miotacza oszczepów, żeby zabić bobra. Potrzebne im było mięso, a otłuszczony ogon bobra był rzadkim przysmakiem, który upiekli osobno na rożnie nad ogniskiem. Zazwyczaj używali miotacza do polowania na większe zwierzęta. Oboje rzucali nim celnie, ale Jondalar był silniejszy i rzucał dalej. Ayla często zabijała mniejsze zwierzęta kamieniami z procy

Chociaż nie polowali na nie, widzieli wydry, borsuki, tchórze, kuny i norki. Większe drapieżniki - lisy, wilki, rysie i duże koty - żerowały na tych małych zwierzętach i na dużych roślinożernych. Rzadko łowili podczas tej części podróży, ale Jondalar wiedział, że w rzece były spore ryby, włącznie ze szczupakami, okoniami i bardzo dużymi karpami.

Wieczorem zobaczyli jaskinię o dużym wejściu i postanowili ją zbadać. Podeszli bliżej i konie nie wykazywały żadnych śladów niepokoju, co ludzie uznali za dobry objaw. Wilk węszył wokół z ciekawością, kiedy weszli do jaskini, najwyraźniej zainteresowany, ale bez najeżonego grzbietu. Na widok beztroskiego zachowania zwierząt Ayla uznała, że jaskinia jest pusta, i zdecydowali się w niej przenocować.

Rozpalili ognisko i zrobili pochodnię, żeby zbadać głębszą część jaskini. Przy wejściu widniało wiele śladów po poprzednich użytkownikach. Jondalar sądził, że zadrapania na ścianach zrobił albo niedźwiedź, albo lew jaskiniowy. Wilk wywęszył odchody tuż obok, ale były tak suche i stare, że trudno było powiedzieć, jakie zwierzę je zostawiło. Znaleźli duże, wysuszone kości, częściowo objedzone. Ze sposobu, w jaki były połamane, oraz ze śladów zębów Ayla wywnioskowała, że to hieny pokruszyły je swoimi wyjątkowo silnymi szczękami. Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Hieny nie były gorszymi zwierzętami niż jakiegokolwiek inne. Żarły padlinę zwierząt, które zmarły śmiercią naturalną lub zostały zabite przez innych, ale tak samo robiły inne drapieżniki, włącznie z wilkami, lwami i ludźmi. Hieny polowały ponadto w stadach i były sprawnymi myśliwymi. To nie miało jednak znaczenia, nienawiść Ayli była irracjonalna. Dla niej reprezentowały najgorsze ze wszystkiego, co złe.



Jaskinia nie była jednak używana od dawna. Wszystkie ślady były stare, włącznie ze zwęglonym drewnem w płytkim zagłębieniu, pozostałości po ognisku jakiegoś gościa - człowieka. Ayla i Jondalar poszli w głąb jaskini na sporą odległość, ale zdawała się nie mieć końca, a poza suchą przestrzenią u wejścia nie było żadnych śladów użytkowania. W wilgotnym wnętrzu napotkali jedynie kamienne kolumny wyrastające z podłoża lub z sufitu i czasami łączące się w środku. Kiedy doszli do zakrętu, zdawało im się, że słyszą z wnętrza płynącą wodę, i zdecydowali się zawrócić. Wiedzieli, że ich prowizoryczna pochodnia nie starczy na długo, i żadne nie chciało oddalać się poza zasięg nikłego światła wpadającego przez otwór wejściowy. Poszli z powrotem, dotykając wapiennych ścian, i ucieszyli się na widok przygaszonego złota suchej trawy i wspaniałości złocistego światła, obramowującego chmury na zachodzie.

W miarę jak posuwali się w głąb północnego podgórze wielkiej, centralnej równiny, dostrzegali coraz więcej zmian. Teren był podziurawiony jaskiniami, pieczarami i lejami odpływowymi od okrągłych wgłębień, pokrytych trawą, do niedostępnych, głębokich uskoków. Był to dziwny krajobraz i czuli się w nim nieswojo. Podczas gdy naziemne strumienie i jeziora były rzadkie, słyszeli czasami niesamowite dźwięki podziemnych rzek.

Nieznane stwory ciepłych, pradawnych mórz dały początek tej dziwnej i nieprzewidywalnej krainie. Przez niezliczone tysiąclecia na dnie morza osadzały się ich muszle i szkielety. Po jeszcze dłuższym czasie wapienny osad stwardniał, został uniesiony przez ruchy ziemi i stał się skałą wapienną. W leżącej pod wielkimi przestrzeniami gruntu skale wapiennej tworzyły się jaskinie, ponieważ - we właściwych warunkach - ten twardy, osadowy kamień ulega rozpuszczeniu. W czystej wodzie nie rozpuszcza się niemal w ogóle, ale wystarczy nawet niewielka domieszka kwasu, by woda atakowała wapień. Podczas cieplejszych pór roku wody powierzchniowe, niosące kwas węglowy z roślin i nasycone dwutlenkiem węgla, rozpuszczały olbrzymie ilości wapiennych skał. Płynąc wzdłuż płaskich warstw równin i spływając w dół małąkimi szczelinami w pionowych złączeniach grubych warstw wapnistego kamienia, woda stopniowo poszerzała i pogłębiała te szczeliny. Wykrawała poszarpane korytarze i zawile kanały, odprowadzając rozpuszczony wapień do lejów odpływowych i źródeł. Spychana w dół przez prawo ciężenia, kwaśna woda powiększała podziemne szczeliny i zamieniała je w komory. Komory stawały się jaskiniami, a strumienie kanałami, z wąskimi, pionowymi szybami tu i ówdzie, z czasem zaś jaskinie i korytarze łączyły się z innymi w cały podziemny system wodny.

Rozpuszczanie skały pod powierzchnią ziemi miało głęboki wpływ na rzeźbę terenu,

tworząc charakterystyczny krajobraz zwany krasem. Kiedy jaskinie powiększały się, a ich sklepienia znalazły się bliżej powierzchni, zapadały się, tworząc leje krasowe o stromych ścianach. Czasami resztki sklepienia pozostawały na miejscu i tworzyły naturalne mosty. Strumienie i rzeki, płynące po powierzchni, znikwały nagle w lejach i płynęły dalej pod ziemią, zostawiając niekiedy doliny utworzone przez rzeki bez kropli wody.

Coraz trudniej było znaleźć wodę. Opady szybko wsiąkały w szczeliny i dziury w skałach. Woda znikwała niemal natychmiast nawet po ciężkiej ulewie, nie zostawiając żadnych strumyczków czy potoków na powierzchni. Jednego razu podróżnicy musieli spuścić się aż do dna niewielkiego leja po ten cenny płyn. Innego razu woda nagle pojawiła się, tryskając obficie, przez niewielki odcinek płynęła po powierzchni i znowu zniknęła pod ziemią.

Ziemia była jałowa i kamienista, z cienką warstwą gleby, która odsłaniała leżącą pod nią skałę. Również życie zwierzęce nie było obfite. Poza kilkoma muflonami z ciasno skręconą wełną, zgęstniałą na zimę, jedynymi zwierzętami, jakie widzieli, było kilka świstaków. Szybkie, sprytne małe stworzonka wprawnie unikały wielu polujących na nie drapieżników. Na widok wilka, polarnego lisa czy złocistego orła stojąca na straży czujka wydawała wysoki, donośny gwizd i zwierzątka znikwały w małych dziurach i jaskiniach. Wilk próbował je gonić, ale bez skutku. Ponieważ jednak długonogich koni nie traktowały jako zagrożenia, Ayli udało się położyć kilka z procy. Puszyste, małe gryzonie, odpasione na zimowy sen, w smaku przypominały króliki, ale były małe, i po raz pierwszy od lata często łowili ryby w Wielkiej Matce Rzece.

Z początku jechali bardzo ostrożnie przez krasowy teren, z jego dziwnymi formacjami, jaskiniami i lejami, ale po pewnym czasie przyzwyczaili się i ich niepokój się zmniejszył. Szli teraz, żeby dać koniom odpocząć. Jondalar prowadził Zawodnika na długim postronku, ale pozwalał mu się zatrzymywać od czasu do czasu, żeby mógł uszczknąć garść rzadkiej, suchej trawy. Whinney robiła to samo, ale szła za Aylą bez uwiązania.

- Zastanawiam się, czy niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegał nas Jeren, to ta jałowa kraina, pełna jaskiń i dziur - powiedziała Ayla. - Nie bardzo mi się tutaj podoba.

- Mnie też nie. Nie wiedziałem, że to tak wygląda.

- Nie byłeś tu przedtem? Myślałam, że przyszedłeś tą drogą. Powiedziałeś, że szedłeś wzdłuż Wielkiej Matki Rzeki. - Ayla była wyraźnie zdziwiona.

- Wędrowaliśmy wzdłuż Wielkiej Matki Rzeki, ale po drugiej stronie. Przekroczyliśmy ją dużo dalej na południe. Sądziłem, że będzie nam łatwiej zostać na tym brzegu, i ciekawiło mnie, jak tu wygląda. Niedaleko stąd rzeka bardzo ostro zakręca. Wtedy

pójdziemy na wschód. Chciałem też zobaczyć wyżynę, która zmusza rzekę do skrętu. Wiedziałem, iż to jedyna szansa, żeby ją kiedykolwiek zobaczyć.

- Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej.

- A co to ma za znaczenie? Nadal idziemy wzdłuż rzeki.

- Ale ja myślałam, że ty znasz tę okolicę. Nie wiesz o niej więcej niż ja. - Ayla nie wiedziała, dlaczego tak ją to zaniepokoiło, liczyła na jego znajomość terenu. To dziwne miejsce wzbudzało w niej niepokój.

Szli pogrążeni w rozmowie, która graniczyła z wymówkami, jeśli nie z kłótnią, i nie zwracali uwagi na to, gdzie idą. Nagle Wilk, który biegł przy nodze Ayli, warknął i trącił ją w łydkę. Oboje spojrzeli przed siebie i zamarli. Ayla poczuła nagły przyptyw strachu, a Jondalar zbladł.

Patrzyli w pustkę przed siebie. Grunt przed nimi przestał istnieć. Omal nie wpadli w przepaść. Patrząc w dół urwiska, Jondalar poczuł znajomy ból w lędźwiach, ale zdziwił go widok podłużnego, płaskiego, zielonego terenu ze strumieniem płynącym przez środek nisko w dole. Dno lejów krasowych na ogół pokrywała warstwa gleby, nierozpuszczalne resztki skały wapiennej. Niektóre głębokie leje łączyły się razem w podłużne zagłębienia, tworząc duże kotliny głęboko poniżej normalnego poziomu powierzchni. Obecność gleby i wody sprawiała, że roślinność była tu bujna. Problem polegał na tym, że nie było sposobu na zejście do tej zielonej łąki na dnie rozpadliny o stromych zboczach.

- Jondalarze, coś z tym miejscem nie jest w porządku. Tu jest tak sucho i jałowo, niemal nic nie może tu żyć. Tam na dole jest piękna łąka ze strumieniem i drzewami, ale nic nie może tam dojść. Zwierzę, które by próbowało, spadłoby i zabiło się. Wszystko jest pokręcone. Coś się tu nie zgadza.

- Tak, rzeczywiście. I chyba miałas rację. Może przed tym Jeren próbował nas ostrzec. Nie ma tu wiele zwierzyny łownej i jest niebezpiecznie. Nigdy nie słyszałem o miejscu, gdzie musisz uważać, żeby nie spaść w przepaść, kiedy po prostu idziesz przez dość płaski teren.

Ayla schyliła się, chwyciła łeb Wilka w obie ręce i dotknęła go czołem.

- Dziękuję, Wilk, za ostrzeżenie nas, kiedy nie zwracaliśmy na nic uwagi. - Wilk zapiszczał z radości i poliznął ją po twarzy.

Wycofali się i poprowadzili konie wokół rozpadliny, już bez rozmów. Ayla nie pamiętała nawet, co było takie ważne, że omal się o to nie pokłócili. Myślała tylko, że nigdy więcej nie powinni być tak nieuważni, żeby nie patrzeć na drogę przed sobą.

Nieco dalej na północ rzeka wpłynęła do przełęczy, która stawała się coraz głębsza, w miarę jak kamienne ściany wznosiły się coraz wyżej. Jondalar zastanawiał się, czy powinni próbować iść koło wody, czy też trzymać się wyżyny nad nią, ale był zadowolony, że mogą iść z biegiem rzeki i nie muszą przeprować się na drugą stronę. Duże, powierzchniowe rzeki w rejonie krasowym nie płynęły dolinami z porośniętymi trawą zboczami i szerokim płaskim dnem, lecz biegły na ogół wąwozami o stromych stokach. Choć trudno było używać rzeki jako wyznacznika trasy, kiedy nie można było iść jej brzegiem, jeszcze trudniej było przeprować się na drugą stronę.

Jondalar pamiętał wielką przełęcz dalej na południu, gdzie na długich odcinkach wysokie skały wyrastały prosto z wody, i zdecydował pozostać na wyżynie. Wspinali się dalej

i ulżyło mu, kiedy zobaczył długi, cienki strumień wody spadającej ze ściany skalnej do rzeki poniżej. Choć ten wodospad był po drugiej stronie rzeki, znaczyło to jednak, że jakaś woda jest dostępna również na wyżynie, mimo że większa jej część szybko zniknęła w szczelinach krasu.

Kras to również obszar wielu jaskiń. Natykali się na nie tak często, że następne dwie noce ludzie, konie i wilk spędzili pod ochroną kamiennych ścian, bez potrzeby rozstawiania namiotu. Po obejrzeniu wielu jaskiń nauczyli się oceniać, który otwór w skale najprawdopodobniej prowadzi do odpowiedniego dla nich schronienia. Większość wypełnionych wodą podziemnych komór nadal się rozrastała, ale jaskinie blisko powierzchni już się nie powiększały. Wręcz odwrotnie, przestrzeń wewnątrz zmniejszała się, czasem dość szybko w wilgotnych warunkach, choć właściwie pozostawały bez zmian, kiedy było sucho. Do niektórych można było wejść tylko w suchych porach; podczas ulewnych deszczy wypełniały się wodą. W innych dnem płynęły wartkie strumienie. Podróżnicy szukali suchych jaskiń, na ogół położonych nieco wyżej. Woda płynąca przez skały wapienne była jednak narzędziem, które ukształtowało i wyrzeźbiło je wszystkie.

Woda deszczowa, wolno przeciekająca przez skalne sklepienie, wchłaniała rozpuszczony wapień. Każda kropla wapiennej wody, nawet najmniejsza drobinka wilgoci w powietrzu, była przesycona roztworem węglanu wapnia, który osadzał się ponownie wewnątrz jaskini. Choć na ogół biały, utwardzony minerał stawał się czasem przezroczysty, z szarymi, czerwonymi lub żółtymi żyłkami. Tworzyły się chodniki z trawertyny - martwicy wapiennej - i nieruchome draperie ozdabiały ściany. Kamienne sople, wiszące ze sklepienia, wyteęzały się wraz z każdą ściekającą z nich kroplą, żeby spotkać swoich współtowarzyszy powoli wyrastających z podłogi. Niektóre były połączone w cienkie w połowie kolumny, które z czasem poszerzały się, w trakcie wiecznie zmieniających się cykli żywej Ziemi.

Dnie były teraz znacznie zimniejsze i wiatry przybrały na sile. Ayla i Jondalar cieszyli się z jaskiń, które dawały im schronienie przed mroźnym wiatrem. Przed wejściem sprawdzali na ogół potencjalne schroniska, żeby się upewnić, iż nie są zajęte przez czworonożnych mieszkańców, ale wkrótce stwierdzili, że bardziej wyostrzone zmysły ich towarzyszy podróży ostrzegają ich o niebezpieczeństwie. Bez słów czy nawet świadomych rozważań liczyli na zapach dymu, który powiedziałaby im, czy są tam ludzcy mieszkańcy - ludzie byli jedynymi zwierzętami, które używały ognia - ale nie natknęli się na nikogo, a z rzadka tylko na inne gatunki zwierząt.

Zdziwili się więc, kiedy dotarli do rejonu niezwykle obfitującego w roślinność,

przynajmniej w porównaniu z resztą jałowego, kamienistego obszaru. Skały wapienne nie wszędzie były takie same. Różniły się znacznie stopniem rozpuszczalności i zawartością nierozpuszczalnych składników. W rezultacie niektóre tereny wapiennego krasu były żyzne, z łąkami i drzewami, które rosły obok normalnych, płynących na powierzchni strumieni. Uskoki, jaskinie i podziemne rzeki też tu występowały, ale były rzadsze.

Kiedy natrafili na stado pasących się reniferów, Jondalar spojrzął na Aylę z uśmiechem i wyciągnął miotacz. Ayla kiwnęła głową i pojechała za nim. Nie polowali ostatnio, bo widzieli tylko kilka małych zwierząt, a rzeka była zbyt daleko w dole, by mogli łowić ryby. Odżywiali się głównie suszonym jedzeniem i porcjami podróżnej żywności, dzieląc się tym również z wilkiem. Konie też nie miały wystarczająco paszy. Marna trawa, której udało się wyrosnąć na cienkiej warstewce gleby, zaledwie im wystarczała.

Jondalar podciął gardło małej łani, którą zabili, żeby się wykrwawiła. Włożyli potem martwe zwierzę do łódki przyczepionej do włóka i zaczęli się rozglądać za miejscem na obozowisko. Ayla chciała ususzyć mięso i wytopić zimowy tłuszcz zwierzęcia, a Jondalara cieszyła perspektywa pieczonego udźca i miękkiej wątroby. Postanowili zostać tu na dzień lub dwa, szczególnie że obok była łąka. Konie potrzebowały lepszej paszy. Wilk odkrył mnóstwo małych stworzeń - nornic, lemingów i szczeku-szek - i wybrał się na polowanie.

Kiedy zobaczyli jaskinię w zboczu wzgórza, skierowali się ku niej. Woleliby trochę większą, ale i ta wydawała się wystarczająca. Odczepili drągi włóka i rozprzęgli konie, żeby mogły swobodnie paść się na łące poniżej, położyli paczki u wejścia do jaskini i przywlekli obok włók. Następnie poszli każde w swoją stronę, żeby nazbierać chrustu i wysuszonego łąjna.

Ayla cieszyła się na myśl o posiłku ze świeżego mięsa i zastanawiała się, jak je przyrządzić. Zebrała ziarna z łąkowych traw i garść małych, czarnych nasion lebiody, która rosła przy strumyczku koło jaskini. Kiedy wróciła, Jondalar już rozniecił ogień i poprosił go, żeby poszedł do strumienia i nabrał wody do bukłaka.

Wilk wrócił przed powrotem Jondalara, ale kiedy zbliżył się do jaskini, obnażył kły i zawarczał groźnie. Ayla poczuła, że włosy stanęły jej dęba.

- Wilk, co to jest? - spytała, automatycznie sięgając po procę i podnosząc kamień, chociaż miotacz leżał równie blisko. Wilk podkraść się powoli do jaskini, a gardziel dygotała mu od głębokiego warkotu. Ayla poszła za nim, pochyliła głowę, żeby wejść przez mały, ciemny otwór w skale, i pożałowała, że nie wzięła pochodni. Ale nos wkrótce powiedział jej to, czego jej oczy nie mogły dojrzeć. Minęło wiele lat od czasu, kiedy ostatni raz czuła ten zapach, ale nigdy go nie zapomni. Nagle stanął jej przed oczyma obraz tego pierwszego razu,

tak dawno temu.

Byli u podnóża gór, niedaleko miejsca Zgromadzenia Klanu. Na biodrze niosła przywiązane płachtą syna, i chociaż była bardzo młoda, i była jedną z Innych, szła pierwsza, na miejscu znachorki. Stanęli wszyscy jak wryci i wpatrzyli się w potwornego niedźwiedzia jaskiniowego, który beztrąsko ocierał grzbiet o pień drzewa. Mimo że to olbrzymie stworzenie, dwukrotnie większe od zwykłego niedźwiedzia brunatnego, było najbardziej czczonym totemem wszystkich klanów, młodzi ludzie z klanu Bruna nigdy go żywego nie widzieli. Niewiele ich już zostało w pobliżu ich jaskini, chociaż wysuszone kości świadczyły o tym, że kiedyś było ich tam dużo. Gdy niedźwiedź wreszcie odszedł, ciężko stąpając, Creb zebrał kłaki, które zahaczyły się o korę. Po niedźwiedziu został tylko jego specyficzny zapach.

Ayla dała znak Wilkowi i wycofała się z jaskini. Zauważyła, że w ręce ma procę, zapchnęła ją za pas i uśmiechnęła się sucho. Co może zdziałać proca przeciwko jaskiniowemu niedźwiedziowi? Była zadowolona, że niedźwiedź zapadł już w zimowy sen i że nie zbudziła go, wchodząc. Szybko zasypała ziemią ognisko, chwyciła kosz i odsunęła go od jaskini. Na szczęście nie zdążyli dużo rozpakować. Wróciła po pakunki Jondalara, a potem sama odciągnęła włók. Właśnie znowu podnosiła swój kosz, żeby go przesunąć jeszcze dalej, kiedy wrócił Jondalar z bukłakami pełnymi wody.

- Co robisz, Aylo?

- W tej jaskini jest niedźwiedź jaskiniowy - powiedziała. Na widok przestrachu na jego twarzy dodała: - Myślę, że już zaczął swój zimowy sen, ale one czasami się budzą, jeśli coś im przeszkodzi wczesną zimą, tak przynajmniej mówili.

- Kto mówił?

- Myśliwi klanu Bruna. Obserwowałam ich, kiedy rozmawiali o polowaniu... czasami - tłumaczyła Ayla. Nagle uśmiechnęła się. - Nie tylko czasami. Obserwowałam tak często, jak tylko mogłam, szczególnie gdy zaczęłam ćwiczyć strzelanie z procy. Mężczyźni na ogół nie zwracali uwagi na dziewczynkę, która coś obok nich robiła. Wiedziałam, że nigdy nie będą mnie uczyć, i obserwowanie ich, kiedy opowiadali sobie myśliwskie przygody, było sposobem zdobycia wiedzy. Myślałam, że oni mogą się rozłościć, jeśli zorientują się, co robię, ale nie wiedziałam, jaka surowa będzie kara... dopiero później się o tym dowiedziałam.

- Jeśli ktokolwiek wie coś o niedźwiedziach jaskiniowych, to z pewnością myśliwi klanu. Myślisz, że bezpiecznie byłoby tutaj zostać?

- Nie wiem, ale nie mam na to ochoty.

- Dlaczego w takim razie nie przywołasz Whinney? Mamy jeszcze czas na znalezienie innego miejsca, zanim się ściemni.

Spędzili noc w namiocie na otwartej przestrzeni i ruszyli wczesnie rano, chcąc oddalić się od niedźwiedzia jaskiniowego. Jondalar nie chciał tracić czasu na suszenie mięsa i przekonał Aylę, że nie zepsuje się przy tak niskiej temperaturze. Spieszył się, żeby w ogóle opuścić ten region. Gdzie jest jeden niedźwiedź, tam jest ich na ogół więcej.

Kiedy jednak doszli do szczytu wzgórza, zatrzymali się. W ostrym, przejrzystym powietrzu mieli daleki widok we wszystkich kierunkach, a widok był wspaniały. Bezpośrednio na wschód wznosiła się nieco niższa, pokryta śniegiem góra, a za nią wschodni łańcuch górski, bliższy teraz i otaczający ich półkolem. Chociaż niezbyt wysokie, pokryte lodem góry osiągały swój najwyższy poziom na północy i poszarpane, białe szczyty z niebieskimi odcieniami lodowca odznaczały się na tle błękitnego nieba.

Lodowe góry północne stanowiły szeroki, zewnętrzny pas zakręcającego łuku; podróżnicy byli w samym środku tego łuku, u podnóża pasma górskiego, które ich otaczało, części łańcucha ciągnącego się przez północny kraniec starodawnej niecki, tworzącej równinę centralną. Wielki lodowiec, gęsto zbita masa solidnego lodu, który posuwał się od północy, aż pokrył niemal jedną czwartą część Ziemi, kończył się potężną ścianą, ukrytą tuż za odległymi szczytami. Na północny zachód góry były niższe, ale ponieważ znajdowały się bliżej, dominowały nad wszystkim. Połyskujący z odległości północny lodowiec wyglądał jak unosząca się jasna linia horyzontu za bliżej położonymi górami. Potężny łańcuch znacznie wyższych gór na zachodzie znikał w chmurach.

Odległe góry, które ich otaczały, były wspaniałe, ale zatykający dech w piersiach widok był znacznie bliżej. Nisko pod nimi, w głębokiej przełęczy, Wielka Matka Rzeka zmieniała kierunek. Teraz nadpływała z zachodu. Kiedy Ayla i Jondalar patrzyli ze wzgórza w dół i widzieli zmieniający się kurs rzeki, także mieli wrażenie, że osiągnęli punkt zwrotny swej podróży.

- Lodowiec, który musimy przejść, jest na zachód stąd - powiedział Jondalar - ale pójdziemy wzdłuż Matki, a ona niebawem wykręci trochę na północny zachód i potem znowu na południowy zachód, zanim do niego dojdziemy. To nie jest wielki lodowiec i - poza wyższym miejscem na północnym wschodzie - niemal płaski, jak już się na niego wdrapiemy, jakby wielki płaskowyż zrobiony z lodu. Po przejściu pójdziemy znowu nieco na południowy zachód, ale w zasadzie stąd będziemy cały czas iść w zachodnim kierunku, aż do domu.



Przełamując się przez grzbiet skał wapiennych i krystalicznych, rzeka jak gdyby wahała się, niezdolna do podjęcia decyzji, biegła na północ, potem cofała się na południe, a potem znowu na północ, tworząc pętlę wokół wzniesienia, zanim wreszcie popłynęła na południe przez równinę.

- Czy to jest Matka? - spytała Ayla. - Cała? Chodzi mi o to, że to nie jest tylko jeden z jej kanałów?

- To jest cała Matka. Nadal jeszcze jest solidną rzeką, ale to nic w porównaniu z tym, czym była.

- A więc szliśmy w jej pobliżu już dość długo. Nie wiedziałam. Dotąd Wielka Matka Rzeka była bardzo wezbrana, kiedy nie rozlewała się po płaszczyznach. Myślałam, że idziemy wzdłuż jednego z kanałów. Przekraczaliśmy dopływy, które były większe. - Ayla była trochę rozczarowana, że potężna Matka wszystkich rzek stała się tylko jednym z wielu podobnych wielkością szlaków wodnych.

- Jesteśmy bardzo wysoko. Stąd wygląda inaczej. Jest znacznie szersza, niż ci się wydaje. Mamy jeszcze kilka dużych dopływów przed sobą i będą odcinki, na których znowu się rozdziela na szereg kanałów, ale będzie się robiła coraz mniejsza. - Jondalar przez chwilę w milczeniu patrzył na zachód, potem dodał: - To jest dopiero początek zimy. Powinniśmy spokojnie zdążyć dościsnąć do lodowca... jeśli nas nic nie opóźni.

Podróżnicy skręcili na zachód wzdłuż wysokiego grzbietu górskiego, idąc po zewnętrznej stronie skrętu rzeki. Wspinali się coraz wyżej, aż doszli do wysokiego punktu nad małym, wypuczonym na południe garbem. Urwisko wiodące na zachód było bardzo strome i skierowali się w dół północnym, nieco łagodniejszym zboczem, na którym tu i ówdzie rozrzucone były zarośla. Dopływ, który płynął z północnego wschodu i zakręcał wokół podstawy wyniosłej góry, wyżłobił na dnie głęboką przełęcz. Poszli pod prąd, aż znaleźli bród. Po drugiej stronie były tylko pagórki, jechali wzdłuż tego dopływu, aż znowu dotarli do Wielkiej Matki, potem szli dalej na zachód.

Na szerokiej równinie centralnej było tylko kilka dopływów, ale teraz znaleźli się w okolicy, gdzie wiele rzek i strumieni zasilalo Matkę z północy. Później w ciągu dnia doszli do jeszcze jednego dużego dopływu i zamoczyli nogi przy przejściu na drugą stronę. Nie było to jednak jak letnie przekraczanie rzek, kiedy trochę wilgoci nie miało znaczenia. Nocami temperatura opadała poniżej punktu zamarzania. Lodowata woda zmroziła ich i postanowili rozbić obóz na brzegu, żeby się wysuszyć i rozgrzać.

Posuwali się dalej na zachód. Po przejściu terenu podgórze znowu dotarli do niziny,

podmokłego, trawiastego terenu, który jednak zupełnie nie przypominał moczarów w dolnym biegu rzeki. Tu były kwaśne gleby, bardziej bagienne, z dużymi przestrzeniami pokrytego mchem torfowca, który miejscami zbijał się w torf. Pewnego dnia, kiedy przypadkiem zbudowali palenisko na suchym spłachetku torfu, odkryli, że torf nadawał się na opał. Następnego dnia zebrali go trochę do ogniska.

Kiedy doszli do dużego, wartkiego dopływu, który w miejscu zetknięcia się z Matką rozlewał się wachlarzowe w szeroką deltę, postanowili iść kawałek w górę jego biegu, żeby znaleźć miejsce, gdzie łatwiej się będzie przeprawić na drugą stronę.

Dotarli do rozwidlenia i ruszyli wzdłuż prawego odgałęzienia, aż natknęli się na kolejne. Konie z łatwością przeszły przez mniejszą rzekę. Środkowe koryto, choć szersze, też nie było zbyt trudne do pokonania. Między środkowym i lewym korytem utworzyła się bagnista nizina, porośnięta torfowcem, po której z trudem się poruszali.

Ostatnie odgałęzienie rzeki było głębokie i nie można było go przejść bez zamoczenia się, ale po drugiej stronie wypłoszyli megacerosa i postanowili na niego zapolować. Olbrzymi jeleni o długich nogach z łatwością uciekł przysadzistym koniom, chociaż Zawodnik i Whinney zdrowo go pogoniły. Whinney, ciągnąca drągi, nie mogła dotrzymać im kroku, ale wysiłek dobrze zrobił wszystkim.

Kiedy Jondalar zawrócił, miał zrzuconą kapuzę, a twarz zarumienioną i osmaganą wiatrem. Uśmiechał się. Na jego widok Ayla poczuła niewytłumaczalny przypływ miłości i tęsknoty. Zapуścił brodę, jak to zwykle robił zimą, żeby utrzymać ciepło twarzy, a ona zawsze lubiła go z zarostem. Często mówił, że jest piękna, ale jej zdaniem to on był urodziwy.

- To zwierzę z pewnością umie biegać! - powiedział. - A widziałas to wspaniałe poroże? Jeden z jego rogów musi być dwukrotnie większy ode mnie!

Również Ayla się uśmiechała.

- Był wspaniały i piękny, i jestem zadowolona, żeśmy go nie zabili. I tak był dla nas za duży. Nie moglibyśmy zabrać całego mięsa, a szkoda byłoby go zabijać, skoro nie musimy.

Pojechali z powrotem do Matki i chociaż ubranie podeschło już nieco na nich, z przyjemnością przebrali się po rozbiciu obozu. Wilgotne okrycia powiesili blisko ogniska, żeby całkiem wyschły.

Następnego dnia wyruszyli dalej na zachód; niebawem jednak rzeka wykręciła nieco na północ. W oddali zobaczyli kolejny wysoki grzbiet górski. Góry, które dochodziły aż do Wielkiej Matki Rzeki, były najdalszym, północno-zachodnim pasmem i już ostatnim, jakie mieli zobaczyć z wielkiego łańcucha górskiego, który towarzyszył im niemal od początku.

Wtedy góry znajdowały się od nich na zachód, przeszli wokół ich szerokiego, południowego krańca, idąc wzdłuż dolnego biegu Wielkiej Matki Rzeki. Białe szczyty górskie maszerowały razem z nimi na wschód w wielkim, zakręcającym łuku, kiedy jechali centralną równiną obok wijącej się rzeki w jej środkowym biegu. Teraz, kierując się na zachód wzdłuż górnego biegu Matki, mieli przed sobą ich ostatnie grzbiety.

Żadne dopływy nie przecinały ich drogi aż do samego pasma górskiego. Ayla z Jondalarem zdali sobie sprawę z tego, że znowu musieli podróżować między ramionami rzeki. Rzeką płynącą ze wschodu u podstawy kamienistego wzgórze była drugim końcem północnego kanału Matki. Odtąd rzeka podążała między grzbietem gór a wysokim wzgórzem po drugiej stronie nurtu, było tam jednak dość miejsca na płaskim brzegu, żeby na koniach objechać podnóże wysokiego, skalistego szczytu.

Przeprawili się przez kolejny duży dopływ zaraz po drugiej stronie górskiego masywu. Przez rzekę, która oddzielała dwie grupy pasm górskich. Wysokie wzgórza na zachodzie były najdalszym, wschodnim przyczółkiem olbrzymiego zachodniego łańcucha. Kiedy grzbiety górskie zostały za nim, Wielka Matka Rzeki znowu rozdzieliła się na trzy odnogi. Poszli zewnętrznym brzegiem północnego strumienia przez stepy mniejszej, północnej niecki, stanowiącej przedłużenie centralnej równiny.

W czasach, kiedy centralna niecka była wielkim morzem, szeroka dolina trawiastych stepów oraz bagna i moczary przybrzeżnych podmokłych terenów na północ od niej były trasami dopływów do tego starodawnego, śródlądowego zbiornika wody. Po wewnętrznej stronie łuku wschodniego łańcucha górskiego twarda skorupa ziemski zawierała szereg słabych punktów, które stały się miejscami erupcji wielkich potoków materiałów wulkanicznych. Te materiały, wraz z osadami starodawnego morza i przywianym przez wiatr lessem, złożyły się na bogatą i żyzną glebę. Jedynym tego dowodem był teraz tylko ogołocony przez zimę las.

Kościste palce i martwe członki kilku brzoź nieopodał rzeki grzechotały w powiewach drapieżnego, północnego wiatru. Suche krzewy, trzciny i martwe paprocie obramowywały brzegi, przy których zaczynała się formować warstewka lodu. Lód zgrubieje i stworzy wyszczerbione groble; prapoczątek wiosennej kry lodowej. Na północnych stronach i na wyższych terenach wzgórz wiatr cesał rytmicznymi ruchami wzburzone pola szarej, stojącej trawy, podczas gdy ciemne, wiecznie zielone gałęzie świerków i sosen kołysały się i dygotały w kapryśnych porywach, które znalazły drogę do osłoniętych, południowych stron. W powietrzu kręciły się drobinki suchego śniegu i osiadały na ziemi. Zdecydowanie się ochłodziło, ale śnieg nie stanowił problemu. Konie, wilk, a nawet ludzie byli przyzwyczajeni do

północnych, lessowych stepów z ich suchym zimnem i lekkimi zimowymi śniegami. Tylko przy ciężkich opadach śniegu, w którym konie grzęzły i męczyły się i pod którym trudno byłoby dostać się do paszy, Ayla zaczęłaby się martwić. Chwilowo miała inne zmartwienie. Zobaczyła w oddali konie i zauważyły je także Whinney i Zawodnik.

Jondalar spojrzął przypadkiem do tyłu i zdawało mu się, że widzi dym, unoszący się z wysokiego wzgórza za rzeką, z ostatniego grzbietu, który okrążyli wcześniej. Zastanawiał się, czy w pobliżu są ludzie, ale nie zobaczył więcej dymu, mimo że wielokrotnie odwracał się i sprawdzał.

Późnym popołudniem szli w górę małego dopływu przez teren rzadko rosnących, ogołconych z liści wierzb i brzoź ku sosnowemu zagajnikowi. Mroźne noce pokryły nieruchomy stawek w pobliżu przezroczystą warstewką lodu i zamroziły brzegi małego strumyczka, w którym woda nadal płynęła swobodnie środkiem. Rozbili obóz tuż obok. Suchy śnieg przykurzył na białą północne zbocza.

Whinney była podniecona od czasu, kiedy w oddali zobaczyli konie, co bardzo niepokoiło Aylę. Postanowiła założyć jej wieczorem uzdę i przywiązała ją do solidnej sosny. Jondalar uwiązał Zawodnika do drzewa obok. Zebrali chrust, oberwali kilka uschłych gałęzi, które nadal trzymały się pni drzewnych, ukryte pod żywymi gałęziami; ludzie Jondalara zawsze nazywali je "drewnem kobiet". Można je było znaleźć na większości drzew iglastych i nawet w największej wilgoci były na ogół suche. Dawały się odłamać bez użycia siekiery, czy nawet noża. Zbudowali ognisko tuż przed wejściem do namiotu i zostawili otwartą klapę, żeby nagrzać wnętrze.

Zając, już z całkowicie białą sierścią, przekicał przez obozowisko właśnie w momencie, kiedy Jondalar sprawdzał ciężar miotacza z nowym oszczepem, nad którym pracował przez ostatnich kilka wieczorów. Zamachnął się niemal automatycznie i zdziwił się, kiedy krótki oszczep z małym grotem z krzemienia dosięgnął celu. Podszedł do zająca, podniósł go i próbował wyjąć oszczep. Nie wychodził łatwo, więc nożem wyciął grot. Z zadowoleniem stwierdził, że oszczep był nienaruszony.

- Tutaj jest mięso na wieczór - powiedział, wręczając Ayli zająca. - Można pomyśleć, że pojawił się specjalnie po to, żebym mógł wypróbować te nowe oszczepy. Są lekkie i łatwe do rzucania. Będziesz musiała też je sprawdzić.

- Myślę, że to raczej my rozłożyliśmy obozowisko pośrodku jego normalnej trasy, ale to był dobry rzut. Chciałabym wypróbować taki lekki oszczep. Jednak teraz zacznę raczej gotowanie i rozejrzę się, co jeszcze można by dodać do kolacji.

Wypatroszyła zająca, ale nie obdarła go ze skóry, żeby nie stracić zimowego tłuszczu.

Nadziała go na zaostroszoną gałąź wierzbową i oparła na dwóch rozgałęzionych patykach. Potem zebrała wiele kłączy pałki - choć musiała rozbić lód, żeby się do nich dostać - oraz kłęby korzeni uschniętej lukrecji. Nalała trochę wody do drewnianej miski, włożyła wszystko razem i tłukła zaokrąglonym kamieniem, żeby wydobyć twarde, żylaste włókna. Białą, pełną skrobi zawiesinę zostawiła w misce, aby osiadła na dnie, a w tym czasie przeglądała swoje zapasy i zastanawiała się, co jeszcze może dodać.

Kiedy skrobia osiadła i płyn stał się niemal przezroczysty, ostrożnie odlała prawie cały i dodała suszone, niebieskoczarne jagody bzu. Czekając, aż rozmokną i nasiąkną wodą, zdarła zewnętrzną korę z brzozy, zeszkrobała trochę miękkiej, słodkiej, jadalnej miazgi spod spodu i dodała ją do mieszanki kłączy, skrobi i jagód. Zebrała szyszki pinii, a kiedy włożyła je do ognia, z zadowoleniem stwierdziła, że wiele z nich nadal miało duże orzeszki piniowe w twardych łupkach, które pękały w żarze.

Kiedy zając był już dobry, odłamała nieco szerniałej skóry i wewnętrzną stroną natarła kilka kamieni, które przedtem włożyła do ognia, żeby rozsmarować na nich nieco tłuszczu. Brała małe garście ciastowatej masy ze skrobiowych kłączy, zmieszanej z jagodami, słodką i pachnącą lucerną oraz słodką i zagęszczającą miazgą brzozową, i rzucała je na gorące kamienie.

Jondalar przypatrywał się jej pracy. Nadal zaskakiwała go jej rozległa wiedza o wszystkim, co rośnie. Większość ludzi, szczególnie kobiet, wiedziała, gdzie znaleźć jadalne rośliny, ale nigdy nie spotkał nikogo, kto by wiedział tak dużo. Kiedy większość jej ciastowatych placuszków była gotowa, wziął jednego i ugryzł.

- To pyszne! Naprawdę jesteś zdumiewająca, Aylo. Niewielu ludzi potrafi w środku zimy znaleźć żywność, która rośnie.

- To jeszcze nie jest środek zimy, Jondalarze, i nie jest tak trudno znaleźć coś do jedzenia. Poczekaj, aż ziemia zamrznie na kość - powiedziała Aylo i zdjęła zajaca z rożna, zdana chrupką, zwęgloną skórę i położyła mięso na półmisku z kła mamuciego, z którego oboje mieli jeść.

- Myślę, że i wtedy znajdziesz coś do jedzenia.

- Być może, ale nie rośliny. - Podała mu upieczoną nogę zajaca.

Kiedy najedli już się zającem i placuszkami z pałki, Aylo dała resztki Wilkowi, włącznie z kośćmi. Do naciągającej ziołowej herbaty dodała trochę miazgi z wewnętrznej kory brzozowej, ze względu na jej zimowy zapach, i wyjęła orzeszki piniowe ze skraju ogniska. Siedzieli przez chwilę przy ogniu, popijając herbatę i jedząc orzeszki, które rozłupywali kamieniami albo czasem zębami. Po posiłku przygotowali się do wczesnego

wymarszu rano, sprawdzili, czy koniom niczego nie potrzeba, i ułożyli się na noc w ciepłych futrach.

*Ayla patrzyła wzdłuż korytarza długiej, krętej jaskini i widziała szereg ognisk, które wskazywały drogę i rzucały światło na pięknie udrapowane i powiewne formy. Zobaczyła jedną, która przypominała długiego, fruującego ogona konia. Kiedy zbliżyła się, żółtawe zwierzę zarżało i zamachało ciemnym ogonem, jak gdyby przywołując ją do siebie. Zaczęła iść w tym kierunku, ale kamienista jaskinia ściemniała i wypełniła się stalagmitami.*

*Spojrzała pod nogi, żeby zobaczyć, gdzie zrobić kolejny krok, a kiedy znowu podniosła oczy, to, co ją przywoływało, wcale nie było koniem. Wyglądało na mężczyznę. Wytężyła wzrok, żeby zobaczyć, kto to jest, i z zaskoczeniem poznała Creba, który wychodził z cienia. Skinął na nią, ponagляjąc ją do pośpiechu; potem odwrócił się i kuśtykając, zaczął odchodzić.*

*Ruszyła za nim, ale usłyszała rżenie konia. Kiedy odwróciła się, żeby poszukać płowej kobyły, ciemny ogon zniknął w stadzie koni o podobnych ogonach. Pobiegnęła za nimi, ale zamieniły się w powiewające kamienie, a potem w gmatwaninę kamiennych kolumn. Kiedy spojrzała w drugą stronę, Creb zniknął w głębi ciemnego tunelu.*

*Pobiegnęła za nim, próbując go dogonić, aż natknęła się na rozgałęzienie, ale nie wiedziała, który korytarz wybrał Creb. W panice patrzyła to na jeden, to na drugi. Poszła wreszcie prawym odgałęzieniem, ale na środku tunelu stał mężczyzna i zagradzał jej drogę.*

*To był Jeren! Wypełniał sobą całe przejście, stał na rozstawionych nogach, ręce skrzyżował na piersiach i potrząsał przecząco głową. Błagała go, żeby ją przepuścił, ale jej nie rozumiał. Krótką, rzeźbioną laską wskazał na ścianę za jej plecami.*

*Odwróciła się i zobaczyła biegnącego ciemnożółtego konia i za nim mężczyznę o jaśniejszych, ale też żółtych włosach. Żołądek jej się ścisnął ze strachu. Biegła ku niemu, słyszała rżenie koni i widziała Creba u wylotu jaskini, który wzywał ją do pośpiechu, mówił jej, by spieszyła się, zanim będzie za późno. Nagle bicie kopyt końskich stało się głośniejsze. Słyszała parsknięcia, rżenia i dźwięk, który wywołał przerażenie i panikę: krzyk konia.*

Ayla zbudziła się i poderwała na nogi. Jondalar już nie spał. Przed namiotem słychać było zamieszanie, końskie rżenia i bicie kopyt. Usłyszeli warknięcie Wilka, a potem skowyt bólu. Zrzucili futra i wypadli przed namiot.

Było bardzo ciemno, tylko maleńki sierp księżycyca rzucał trochę światła, ale wiedzieli, że w piniowym lesie jest więcej koni niż te dwa, które tam przywiązali. Nie mogli niczego dojrzeć, ale słyszeli wydawane przez nie dźwięki. Kiedy biegli w kierunku koni, Ayla

potknęła się o wystający korzeń i ciężko upadła na ziemię.

- Aylo! Nic ci się nie stało?! - zawołał Jondalar i zaczął szukać jej w ciemności. Słyszał tylko, jak padała.

- Tutaj jestem - powiedziała ochryplym głosem, starając się odzyskać oddech. Poczwała na sobie jego ręce i próbowała się podnieść. Kiedy usłyszeli dźwięk oddalających się kopyt, zebrała wszystkie siły i pobiegli razem do miejsca, w którym przywiązali konie. Whinney nie było!

- Nie ma jej! - krzyknęła Ayla. Gwizdała i przywoływała ją końskim rzeniem, od którego pochodziło jej pierwotne imię. Z oddali rozległo się rzenie w odpowiedzi.

- To ona! To Whinney! Te konie, one ją zabrały Muszę ją odebrać! - Kobieta zaczęła biec za końmi, potykając się w ciemnym lesie.

Jondalar dogonił ją po kilku krokach.

- Aylo, czekaj! Nie możemy ruszać teraz, jest za ciemno. Nie widzisz nawet, dokąd idziesz.

- Ależ muszę ją przyprowadzić z powrotem, Jondalarze!

- Zrobimy to. Rano - powiedział i objął ją.

- Rano już ich nie będzie - zawodziła.

- Ale będzie jasno i zobaczymy ich ślady. Pójdziemy po tropach. Przyprowadzimy ją z powrotem, Aylo. Przyrzekam ci, że ją odzyskamy.

- Och, Jondalarze. Co ja pocznę bez Whinney? To mój przyjaciel. Przez długi czas była jedynym przyjacielem - powiedziała Ayla, poddając się logice jego rozumowania, ale wybuchając płaczem.

Mężczyzna trzymał ją i pozwolił jej płakać przez chwilę, a potem rzekł:

- Teraz musimy zobaczyć, czy zabrały również Zawodnika. Musimy też znaleźć Wilka.

Ayla nagle przypomniała sobie, że słyszała wilczy skowyt bólu i zaniepokoiła się o niego i o młodego ogiera. Gwizdnęła na Wilka, a potem wydała dźwięk, którym zwykle przywoływała konie. Najpierw usłyszeli rzenie, a potem skomlenie. Jondalar poszedł do Zawodnika, a Ayla pobiegła w kierunku wilczego skowytu, aż znalazła Wilka. Wyciągnęła do niego rękę, żeby go pocieszyć, i poczuła coś mokrego i lepkiego.

- Wilk! Jesteś ranny. - Próbowała go podnieść i przenieść do paleniska, gdzie mogłaby rozniecić ogień i coś zobaczyć. Zasko-wytał z bólu, kiedy prostowała się, uginając pod jego ciężarem. Wyrwał się z jej ramion i stanął na własnych łapach, a chociaż wiedziała, że kosztowało go to niemało wysiłku, doszedł sam do obozu.

Jondalar także wrócił do obozu, prowadząc Zawodnika, podczas gdy Ayla krzesła ogień.

- Jego rzemień wytrzymał - oznajmił mężczyzna. Miał zwyczaj używania solidnych sznurów i rzemieni, żeby przytrzymać ogiera, ponieważ zawsze sprawiał mu nieco więcej kłopotów, niż Ayla miała z Whinney

- Tak się cieszę, że jest bezpieczny - powiedziała Ayla i objęła kark konia. Potem cofnęła się nieco, żeby mu się uważniej przyjrzeć, po prostu żeby się upewnić, iż wszystko jest w porządku. - Dlaczego nie użyłam mocniejszego sznura, Jondalarze? - Była zła na samą siebie. - Gdybym była ostrożniejsza, Whinney nie odeszłaby - Jej związek z kobyłą był bardzo bliski. Whinney była przyjaciółką, która z własnej woli robiła to, co Ayla chciała, i Ayla używała tylko lekkich pęt, żeby powstrzymać konia od zbyt dalekich wędrówek. Zawsze to było wystarczające.

- To nie twoja wina, Aylo. To stado nie przyszło po Zawodnika. Chciało kobyły, nie ogiera. Whinney nie odeszłaby, gdyby jej konie nie zmusiły.

- Ale wiedziałam, że są tu konie, i powinnam była wiedzieć, że przyjdą po Whinney. Teraz Whinney nie ma, a Wilk jest ranny

- Ciężka rana?

- Nie wiem. Zbyt go boli, kiedy dotykam, bym mogła porządnie go zbadać, ale myślę, że ma albo bardzo potłuczone, albo złamane zebro. Któryś z koni musiał go kopnąć. Dam mu coś przeciwbólowego i spróbuję zbadać rano... zanim pójdziemy szukać Whinney. - Nagle wyciągnęła ręce do mężczyzny. - Och, Jondalarze, a jeśli jej nie znajdziemy? A jeśli straciłam ją na zawsze?



## 6

- Patrz, Aylo. - Jondalar przyklęknął, żeby zbadać pokrytą odciskami końskich kopyt ziemię. - Całe stado musiało tu być zeszłej nocy. Trop jest świeży. Powiedziałem ci, że jak będzie jasno, to z łatwością znajdziemy ślady.

Ayla popatrzyła na zdeptaną ziemię, a potem spojrzała na północny wschód, dokąd zdawały się kierować konie. Byli na skraju małego lasu i miała dobry widok przez otwartą, porośniętą trawą równinę, ale niezależnie od tego, jak się wpatrywała, nie widziała ani jednego konia. Ślady są wystarczająco wyraźne - pomyślała - ale kto wie, jak długo będziemy w stanie iść za nimi?

Od chwili, w której obudziło ją zamieszanie i odkryła, że jej ukochana przyjaciółka odeszła, już nie spała. Była na nogach w momencie, kiedy niebo pojaśniało i zmieniło kolor z hebanowego na indygo, chociaż nadal było zbyt ciemno, by coś widzieć. Roznieciła ogień i zaczęła gotować wodę na herbatę, a niebo w tym czasie przechodziło przez całą skalę coraz jaśniejszych odcieni niebieskiego.

Wilk przyczołgał się do niej, kiedy wpatrywała się w płomienie, ale musiał zaskomleć, żeby go zauważyła. Wykorzystała tę chwilę na dokładne zbadanie rany. Chociaż pisnął z bólu, kiedy uciskała mu żebra, była wdzięczna, że nie znalazła żadnych złamanych kości. Potłuczenie było wystarczająco poważne. Jondalar wstał wkrótce potem, gdy poranna herbata była gotowa, też na długo przedtem, zanim zrobiło się wystarczająco jasno na szukanie śladów.

- Pospieszmy się, żeby nie odeszły zbyt daleko - powiedziała Ayla. - Możemy władować wszystko do łodzi i... nie, nie możemy - Nagle zdała sobie sprawę z tego, że bez Whinney nie mogli się po prostu spakować i pójść. - Zawodnik nie potrafi ciągnąć tych drągów, więc nie możemy zabrać łódki. Nie możemy nawet zabrać kosza Whinney.

- I jeśli mamy mieć szansę dogonienia stada, musimy we dwójkę jechać na Zawodniku. To znaczy, że nie możemy wziąć nawet jego kosza. Możemy zabrać tylko to, co absolutnie niezbędne - odrzekł Jondalar.

Przerwali rozmowę, żeby przemyśleć tę nową sytuację, w jakiej postawiła ich strata Whinney. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że muszą podjąć kilka trudnych decyzji.

- Jeśli weźmiemy tylko śpiwory i pokrywę podłogową, której moglibyśmy używać jako niskiego namiotu, to dałoby się to zwinąć w rulon i położyć za nami na Zawodniku - zaproponował Jondalar.

- Niski namiot powinien wystarczyć - zgodziła się Ayla. - Niczego więcej nie brałyśmy na wyprawę z myśliwymi klanu. Podpierałyśmy go z przodu drągiem i obciążałyśmy krawędzie kamieniami albo ciężkimi kośćmi. - Przypomniała sobie czasy, kiedy wraz z wieloma innymi kobietami towarzyszyła polującym mężczyznom. - Kobiety musiały nieść wszystko, poza oszczepami, i musiałyśmy iść szybko, żeby za nimi nadążyć, więc nie brałyśmy dużo bagażu.

- Co jeszcze brałyście? I jak myślisz, co my musimy wziąć? - spytał z ciekawością Jondalar.

- Potrzebujemy przyborów do krzesania ognia i kilku narzędzi. Siekiery do rąbania drzewa na opał i łamania kości zwierząt, które upolujemy. Możemy palić łąjną i trawę, ale będzie nam potrzebne coś do cięcia łądyg. Nóż do obdzierania zwierząt ze skóry i jeszcze jeden ostry nóż do krojenia mięsa. - Ayla wspominała nie tylko czasy, kiedy towarzyszyła myśliwym, ale również okres samotnej wędrówki po opuszczeniu klanu.

- Wezmę pas z pętlami na siekiere i nóż - powiedział Jondalar. - Ty też powinnaś wziąć swój.

- Kij-kopaczka jest zawsze potrzebny i można go użyć do podparcia namiotu. Trochę zapasowych ciepłych ubrań, na wypadek gdyby zrobiło się bardzo zimno, i zapasowe obuwie - ciągnęła dalej Ayla.

- Zapasowa wyściółka do butów. Tunika, spodnie, futrzane rękawice, a jeszcze zawsze możemy przecież owinąć się w śpiwory, jeśli będzie trzeba.

- Bukłak albo dwa...

- Też możemy je przywiązać do pasów, a jak zrobimy wystarczająco dużą pętlę, to będziemy je mogli nosić blisko ciała, jeśli zrobi się bardzo zimno, wtedy nie zamrzną.

- Będę potrzebowała torby znachorskiej, wezmę też chyba przybory do szycia - nie zajmują dużo miejsca - i procę.

- Nie zapomnij o miotaczach i oszczepach - dodał Jondalar. - Jak myślisz, czy powinienem brać jakieś narzędzia do łupania krzemienia i krzemienne wióry, na wypadek jeśli nóż albo coś innego się złamie?

- Nie powinniśmy brać więcej niż tyle, ile dam radę unieść na plecach... albo dałabym, gdybym miała właściwy kosz.

- Jeśli ktokolwiek ma coś nosić na plecach, to ja - zaprotestował Jondalar - ale nie mam nosideł.

- Jestem pewna, że możemy zrobić jakiś rodzaj nosideł, może z jednego z koszy i kilku rzemieni czy sznurów, ale jak będę mogła siedzieć za tobą, jeśli będziesz miał takie

nosidła na plecach?

- Ale to przecież ja będę siedział z tyłu... - Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Potrzebna była również decyzja co do tego, jak będą siedzieć na koniu, i każde z nich przyjęło inne założenie. Jondalar zauważył, że to był pierwszy tego ranka uśmiech Ayli.

- Musisz kierować Zawodnikiem, więc ja muszę siedzieć z tyłu - powiedziała Ayla.

- Potrafię go prowadzić, nawet jak siądziesz przede mną, a jeśli będziesz z tyłu, to niczego nie zobaczysz poza moimi plecami. Sądzę, że nie byłabyś zadowolona, nie mogąc patrzeć przed siebie, i potrzeba nas obojga do szukania śladów. Może być trudniej je znaleźć na twardym gruncie albo tam, gdzie są inne ślady, a ty umiesz iść za tropem.

Ayla uśmiechnęła się szerzej.

- Masz rację, Jondalarze. Nie wiem, czy wytrzymałabym, gdybym nic przed sobą nie widziała. - Zrozumiała, że martwił się o trop, po którym mieli iść, tak samo jak i ona, i nawet myślał o tym, jak ona będzie się czuła. Nagle do oczu napłynęły jej łzy miłości, która ją przepęlniała, i popłynęły po policzkach.

- Nie płacz, Aylo. Znajdziemy Whinney.

- Nie płaczę z powodu Whinney. Myślałam o tym, jak bardzo cię kocham, i łzy same przyszły.

- Także cię kocham - powiedział, wyciągając do niej rękę, i gardło mu się ścisnęło.

Nagle znalazła się w jego ramionach, płakała z twarzą opartą o jego ramię i łzy, które teraz płynęły, były również dla Whinney.

- Jondalarze, musimy ją znaleźć.

- Znajdziemy. Będziemy szukać, aż znajdziemy. A teraz musimy zrobić nosidła. Coś, do czego z wierzchu będzie można przyczepić miotacz i oszczepy, żeby łatwo było je dosięgnąć,

- To nie powinno być trudnię. Weźmiemy, oczywiście, żywność podróżną - odparła Ayla, ocierając oczy grzbietem dłoni.

- Jak myślisz, ile musimy wziąć?

- To zależy. Jak długo to potrwa?

To pytanie zatrzymało ich oboje. Jak długo to potrwa? Jak dużo czasu zabierze znalezienie Whinney i przyprowadzenie jej z powrotem?

- Wytropienie stada i znalezienie Whinney zabierze pewnie tylko kilka dni, ale może powinniśmy wziąć dosyć na pół cyklu księżyca - powiedział Jondalar.

Ayla zastanowiła się i przypominała sobie liczące słowa.

- To więcej niż dziesięć dni, może aż trzy ręce, piętnaście dni. Myślisz, że to aż tyle

może trwać?

- Nie, nie sędzę, ale najlepiej być na to przygotowanym.

- Nie możemy zostawić obozu na tak długo - odparła Ayla. -Zwierzęta przyjdą i wszystko zniszczą, wilki, hieny, rosomaki albo niedźwiedzie... nie, niedźwiedzie śpią, ale inne mogą przyjść. Poszarpią namiot, łódkę, wszystkie inne skórzane rzeczy i pozostałą żywność. Co zrobimy z rzeczami, których nie możemy zabrać ze sobą?

- Może Wilk by został i pilnował obozu? - zastanawiał się Jondalar, marszcząc czoło. - Zostałby, gdybyś mu kazała. I tak jest ranny. Czy dla niego nie byłoby lepiej zostać?

- Tak, byłoby lepiej, ale nie robi tego. Na trochę by został, ale jeśli nie wrócimy w ciągu jednego czy dwóch dni, pójdzie nas szukać.

- No to może przywiązać go koło obozu...

- Nie! Nie zniósłby tego! - krzyknęła Ayla. - Nie chciałbyś, żeby tobie kazano zostać w miejscu, w którym nie chcesz być! Poza tym, gdyby przyszły wilki albo inne drapieżniki, zaatakowałyby go, a on nie mógłby ani walczyć, ani uciec. Musimy wymyślić inny sposób uchronienia naszych rzeczy.

W milczeniu poszli z powrotem do obozu. Jondalar był nieco zawstydzony, a Ayla zmartwiona, ale oboje nadal zastanawiali się nad problemem, jak zabezpieczyć rzeczy na czas swojej nieobecności. Kiedy zbliżyli się do namiotu, Ayli coś się przypomniało.

- Mam pomysł. Moglibyśmy włożyć wszystko do namiotu i związać kłapę. Mam jeszcze trochę tego "odpędzaczka wilka", który zrobiłam, żeby Wilk nie gryzł nam rzeczy. Mogłabym to zmiękczyć i rozsmarować na namiocie. Przynajmniej niektóre zwierzęta utrzyma na odległość.

- Może, przynajmniej na trochę, dopóki deszcze tego nie zmyją, ale nie odstraszy tych, które będą próbowały dokopać się od spodu - Jondalar przerwał. - A może zebrać wszystko razem i zrolować w skórach namiotu? Na to mogłabyś nałożyć odpędzacz... ale nie powinniśmy tego po prostu zostawiać na ziemi.

- Nie, będziemy chyba musieli to podnieść nad ziemię, tak jak robimy z mięsem - powiedziała Ayla i dodała z większym podnieceniem: - Moglibyśmy to podnieść na palach i przykryć łódką, żeby ochronić przed deszczem.

- Świetny pomysł! - wykrzyknął Jondalar, ale znowu się zatrzymał. - Te pale łatwo będzie przewrócić lwu jaskiniowemu czy nawet stadu wilków lub hien. - Rozejrzał się wokół, starając się coś wymyślić, i zauważył duży kłęb ciemnych krzaków z długimi, bezlistnymi łodygami, pełnymi ostrych kolców. - Ay-lo, czy udałoby się wepchnąć trzy pale przez środek tych krzaków, związać je razem mniej więcej w połowie wysokości, położyć na wierzchu

tobolek z namiotu i przykryć to wszystko łódką?

W miarę tego, jak mówił, Ayla coraz szerzej się uśmiechała.

- Myślę, że moglibyśmy ostrożnie wyciąć kilka z tych pędów, żeby można było wejść dość blisko na wetknięcie i związanie pali oraz włożenie wszystkiego na wierzch, a potem wpleść je z powrotem. Małe zwierzęta będą w stanie się do tego dobrać, ale większość z nich śpi albo siedzi w swoich norach, a te ostre ciernie prawdopodobnie utrzymają z daleka większe zwierzęta. Nawet lwy unikają ostrych kolców. Jondalarze, myślę, że to zadziała!

Wybór tych kilku przedmiotów, które mieli wziąć ze sobą, wymagał namysłu. Zdecydowali się zabrać trochę zapasowego krzemienia i kilka narzędzi niezbędnych do jego obróbki, trochę dodatkowych sznurów i rzemieni oraz tyle żywności, ile mogli zapakować. Sortując swoje rzeczy, Ayla znalazła specjalny pas i sztylet z kości słoniowej, które Talut dał jej przy ceremonii adopcyjnej. Przez pas były przewleczone cienkie skórzane rzemyki, które można było wyciągnąć w pętle do noszenia rzeczy, szczególnie sztyletu, ale również wielu innych, pożytecznych przedmiotów. Zawiązała pas wokół bioder na futrzanej kurcie, wyjęła sztylet i obróciła go w dłoniach, zastanawiając się, czy ma go zabrać. Chociaż czubek miał bardzo ostry, nadawał się raczej do ceremonialnego niż praktycznego użytku. Talut podobnym sztyletem naciął jej ramię, a potem zakrwawionym czubkiem wrył znak na plakietce z kości słoniowej, którą nosił na piersiach, zaliczając ją tym samym do Mamutoi. Obserwowała również, jak podobnym sztyletem robiono tatuaż przez nacinanie ostrym czubkiem cienkich linii na skórze. W ranki wcierano potem zwęglony w ogniu jesion. Ayla nie wiedziała, że drzewo jesionowe zawiera naturalne środki odkażające, które zapobiegają infekcji, i prawdopodobnie Mamut, który jej o tym powiedział, nie znał dokładnie ich działania. Wiedziała tylko, że podkreślał z naciskiem, iż do zaciemnienia rany, kiedy robi się tatuaż, nie wolno używać niczego poza spalonym drewnem jesionu.

Ayla wsunęła sztylet w pochwę z niewyprawionej skóry przy pasie i tam go zostawiła. Potem podniosła inną skórzaną pochwę, która osłaniała niezwykle ostry nóż krzemienisty, jaki zrobił dla niej Jondalar. Zawiesiła go w pętli przy pasie i wsunęła trzonek toporka, który jej dał, w kolejną pętlę. Kamienna głowica tej małej siekierki też była owinięta w skórę, dla zabezpieczenia.

Uznała, że nie ma przyczyny, dla której pas nie mógłby trzymać również miotacza oszczepów. Zatknęła za pas procę i na końcu przywiązała do niego woreczek, w którym trzymała kamienie do procy. Czuła dodatkowy ciężar, ale był to wygodny sposób noszenia, skoro musieli podróżować z bardzo niewielką liczbą rzeczy. Swoje oszczepy dodała do przyczepionego do nosideł kołczanu Jondalara.

Decydowanie, co wziąć ze sobą, zabrało im więcej czasu, niż przewidywali, a jeszcze dłużej trwało zabezpieczenie rzeczy, które zostawiali na miejscu. Ayla niepokoiła się tą zwłoką, ale w południe wreszcie wsiedli na konia i ruszyli w drogę. Z początku Wilk biegł obok, ale wkrótce zaczął zostawać z tyłu; najwyraźniej miał bóle. Ayla martwiła się o niego, niepewna, jak daleko czy jak szybko może biec, ale uznała, że musi mu pozwolić na wędrowkę we własnym tempie, a jeśli nie da rady dotrzymać im kroku, będzie musiał dogonić ich na postoju. Rozdzierała ją niepokój o oboje zwierząt, ale Wilk był w pobliżu i - chociaż ranny - miała pewność, że wyzdrowieje. Whinney mogła być wszędzie i im dłużej zwlekali, tym dalej mogła zająć.

Przez pewien czas szli śladem stada na północny wschód; potem ślady koni z niewiadomego powodu zmieniły kierunek. Ayla i Jondalar przejechali ten skręt i przez moment sądzili, że stracili trop. Zawrócili, ale znaleźli go znowu dopiero późnym popołudniem, a gdy dotarli do rzeki, był niemal wieczór. Rzecz jasna, że konie przepawiły się przez rzekę, ale robiło się już zbyt ciemno, by dostrzec odciski kopyt, i zdecydowali się na obozowanie nad rzeką. Pozostał problem: po której stronie rzeki? Gdyby przepawili się teraz na drugi brzeg, ich mokre ubrania wyschłyby prawdopodobnie do rana, ale Ayla bała się, że Wilk nie potrafi ich znaleźć, jeśli przepawią się, zanim ich dogoni. Postanowili poczekać na niego i rozłożyli obóz tam, gdzie stali.

Z tak małą liczbą rzeczy obóz wydawał się pusty i deprymujący. Przez cały dzień nie widzieli niczego poza śladami. Ayla zaczynała się martwić, że idą za niewłaściwym stadem, niepokoiła się również o Wilka. Jondalar próbował ją pocieszyć, ale kiedy Wilk nie pojawił się, mimo że niebo było już rozświetlone gwiazdami, jej niepokój wzrósł. Czekwała do późna, a kiedy Jondalar ją wreszcie przekonał, żeby położyła się koło niego w ciepłych futrach, długo nie mogła zasnąć, choć była zmęczona. Już niemal zasypiała, kiedy poczuła szturchanie zimnym, mokrym nosem.

- Wilk! Dałeś radę! Jesteś! Jondalarze, patrz! Wilk jest tutaj! - krzyczała Ayla i poczuła, jak drgnął z bólu od jej uścisków. Jondalar czuł ulgę i też cieszył się na jego widok, chociaż była to radość głównie ze względu na Aylę. Przynajmniej teraz zaśnie. Najpierw jednak wstała, żeby dać zwierzęciu porcję, którą schowała dla niego z ich posiłku: duszenina przygotowana z suszonego mięsa, korzeni i placka żywności podróżnej. Wcześniej wlała napój z kory wierzbowej do miski z wodą, którą postawiła dla Wilka. Był wystarczająco spragniony, by wychleptać cały płyn, łącznie z lekiem przeciwbólowym. Zwinął się obok śpiworów i Ayla zasnęła, obejmując go ramieniem, podczas gdy Jondalar przytulił się blisko z

drugiej strony. Tej zimnej, ale bezchmurnej nocy spali w ubraniach, poza obuwiem i wierzchnimi futrzanymi kurtami, i nie zawracali sobie głowy rozbijaniem niskiego namiotu.

Rano Wilk wydawał się w lepszej kondycji, ale Ayla wyjęła trochę kory wierzbowej z torby i dodała kubek naparu do jego jedzenia. Przed nimi była przeprawa przez zimną wodę rzeki i nie była pewna, jaki to może mieć wpływ na ranę zwierzęcia. Może je za bardzo wychłodzić, z drugiej strony jednak zimna woda może faktycznie pomóc w zaleczeniu rany i wewnętrznych obrażeń.

Młoda kobieta nie miała jednak najmniejszej ochoty na zamoczenie swoich ubrań. Nie tyle chodziło jej o zanurzenie się w lodowatej wodzie - często kąpała się w jeszcze zimniejszej - nie odpowiadało jej noszenie mokrych spodni i obuwia w powietrzu o temperaturze bliskiej zamarzania. Zaczęła owijać skórę swojego podobnego do mokasynów obuwia wokół łydki, kiedy nagle zmieniła zdanie.

- Nie będę w nich wchodzić do wody - oznajmiła. - Wolę pójść bosą i mieć mokre nogi. Przynajmniej będę miała suche buty do włożenia po drugiej stronie.

- To nie jest zły pomysł.

- Właściwie nie zamierzam mieć tego także - oznajmiła Ayla, ściągnęła spodnie i stanęła naga, w samej tunice - co wywołało uśmiech Jondalara i ochotę na coś innego niż gonienie koni. Wiedział jednak, że Ayla jest zbyt niespokojna o Whinney, by myśleć o miłosnych igraszkach.

Może to wyglądało śmiesznie, ale musiał przyznać, że pomysł był dobry. Rzeka nie była specjalnie duża, choć płynęła szybko. Mogli przejść przez nią, siedząc we dwójkę na Zawodniku z gołymi nogami i stopami, a potem nałożyć suche ubranie po drugiej stronie. Nie tylko będzie to wygodniejsze, ale oszczędzi im długiego marznięcia w mokrych rzeczach.

- Chyba masz rację, Aylo. Lepiej tego nie moczyć - powiedział, ściągając obuwie.

Jondalar nałożył nosidła, a Ayla trzymała w ramionach śpiwory, żeby się nie zamoczyły. Mężczyzna czuł się trochę nieswojo, wsiadając na konia z nagą dolną połową ciała, ale zapomniał o tym, kiedy poczuł między nogami skórę Ayli. Nie mogła nie zauważyć namacalnego rezultatu jego myśli. Gdyby nie czuła takiej potrzeby pośpiechu, ją także kusiłoby zostanie tu nieco dłużej. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może kiedyś znowu pojedą tak razem, po prostu dla zabawy, ale teraz nie była pora na zabawę.

Woda, do której wszedł ogier, przełamując cienki lód przy brzegu, była lodowata. Chociaż rzeka płynęła wartko i wkrótce stała się dość głęboka, by sięgać do połowy ich ud, koń nie stracił gruntu pod nogami; nie było tak głęboko, by musiał popłynąć. Jeźdźcy początkowo próbowali podkurczyć nogi, ale wkrótce zdrętwieli z zimna. W połowie drogi

Ayla odwróciła się, żeby spojrzeć na Wilka. Nadal był na brzegu, biegał tam i z powrotem, unikając wejścia do wody, jak to często robił. Ayla gwizdnęła, żeby go zachęcić, i wreszcie zobaczyła, że wskoczył. Bez przygód dotarli do drugiego brzegu, tyle że bardzo przemarznięci. Zimny wiatr, który owiewał ich mokre nogi przy zsiadaniu, nie ułatwiał przeprawy. Po obtarciu rękami większości wody spiesznie nałożyli spodnie i obuwie z wyściółką ze zbitej na filc puszystej sierści kozic - pożegnalny dar od Sharamudoi, za który w tej chwili byli bardziej niż wdzięczni. W nogach i stopach czuli mrowienie powracającego ciepła. Wilk dotarł na ich stronę, wdrapał się na brzeg i otrząsnął. Ayla zbadła go, żeby się przekonać, czy zimna kąpiel mu nie zaszkodziła.

Z łatwością odnaleźli trop i dosiedli ogiera. Wilk znowu próbował dotrzymać im kroku, ale wkrótce zaczął odstawać. Ayla z niepokojem patrzyła, jak zostawał coraz dalej z tyłu. Fakt, że odszukał ich poprzedniej nocy, łagodził nieco jej obawy i pocieszała się myślą, że często odchodził na polowanie czy wycieczki, ale zawsze ich potem znajdował. Nie chciała go zostawiać, ale musieli znaleźć Whinney.

Po południu wreszcie dostrzegli w oddali konie. Podjeżdżając bliżej, Ayla wysilała wzrok, żeby wśród innych koni odnaleźć swoją przyjaciółkę. Zdawało jej się, że zauważyła znajomą sierść koloru słomy, ale nie mogła być pewna. Zbyt wiele innych koni miało podobną sierść, a kiedy stado poczuło ich woń, natychmiast uciekło galopem.

- Na te konie już polowano - powiedział Jondalar. Był zadowolony, że w porę ugryzł się w język, zanim powiedział głośno swoją następną myśl: w tej okolicy muszą mieszkać ludzie, którzy lubią końskie mięso. Nie chciał jeszcze bardziej martwić Ayli. Stado wkrótce odbiło daleko od młodego ogiera, który dźwigał dwoje pasażerów, ale podążali dalej po śladach. Nic innego nie mogli zrobić.

Stado z jakiegoś, sobie tylko wiadomego powodu zawróciło na południe, kierując się z powrotem ku Wielkiej Matce Rzece. Wkrótce grunt zaczął się podnosić. Teren był tu nierówny i kamienisty, trawa rzadsza. Jechali dalej, aż dotarli do szerokiej połaci, wysoko ponad resztą terenu. Kiedy zobaczyli przebłyski wody w dole, zrozumieli, że są na szczycie wzniesienia, wokół podstawy którego szli kilka dni wcześniej. Rzeka, którą przekroczyli, opływała jego zachodnią ścianę, zanim wpadała do Matki. Kiedy stado zaczęło się paść, podeszli bliżej.

- To ona, Jondalarze! - powiedziała z podnieceniem Ayla, wskazując na jedno ze zwierząt.

- Jak możesz być pewna? Wiele z tych koni jest podobnej maści.

Tak było w istocie, lecz Ayla zbyt dobrze znała każdy szczegół sylwetki swojej



przyjaciółki, by mieć wątpliwości. Gwizdnęła i Whinney uniosła łeb.

- Mówiłam ci. To ona!

Gwizdnęła znowu i Whinney ruszyła w jej kierunku. Ale przywódczyni stada, duże, piękne zwierzę z ciemniejszą niż normalnie, szarozłotą sierścią, zobaczyła, że ten najnowszy członek stada wymyka się spod jej nadzoru, i ruszyła, żeby jej odciąć drogę. Dołączył się do niej ogier stada. Był to wielki koń kremowego koloru, z wysoko sterczącą, srebrzystą grzywą, szarym pasem wzdłuż grzbietu i powiewającym, srebrzystym ogonem, który wyglądał niemal jak biały, kiedy nim machnął. Dolne partie jego nóg były także srebrzyscie szare. Uszczypnął Whinney w pęciny i skierował z powrotem do pozostałych klaczy, które obserwowały scenę z nerwowym zainteresowaniem; potem zawrócił galopem, żeby stawić czoło młodszemu ogierowi. Bił kopytami w ziemię, stawał dęba i rżał, rzucając Zawodnikowi wyzwanie do walki.

Młody, brązowy ogier wycofał się, zastraszone, i ku zmartwieniu jeźdźców nie można go było namówić na bliższe podejście do stada. Z bezpiecznej odległości zarżał do swojej matki i usłyszeli znajomą odpowiedź Whinney. Ayla i Jondalar zsiadli z konia, żeby przedyskutować sytuację.

- Co zrobimy, Jondalarze? - lamentowała Ayla. - One jej nie puszcza. Jak ją odzyskamy?

- Nie martw się, odzyskamy ją. W najgorszym wypadku użyjemy miotaczy oszczepów, ale nie sądzę, że będzie to konieczne.

Aylę uspokoiła nieco jego pewność. Nie pomyślała o miotaczach. Nie chciała zabijać koni, jeśli nie musiała, ale była gotowa zrobić wszystko, byle odzyskać Whinney.

- Masz jakiś plan? - spytała.

- Jestem pewien, że na to stado już ktoś przedtem polował, więc boją się trochę ludzi. To jest dla nas korzystne. Ogier tego stada myśli prawdopodobnie, że Zawodnik próbuje rzucić mu wyzwanie. Razem z tą dużą kobyłą starają się nie dopuścić, by zabrał kogoś z ich stada. Więc musimy trzymać Zawodnika daleko od nich. Whinney przyjdzie, kiedy na nią zagwizdziesz. Jeśli mnie się uda odwrócić uwagę ogiera, możesz jej pomóc unikać kobyły, aż dojdiesz dość blisko, by jej wskoczyć na grzbiet. Wtedy, jeśli krzykniesz na tę dużą kobyłę, albo nawet dźgniesz ją oszczepem, kiedy zagrozi drogę Whinney, myślę, że będzie się trzymała na odległość, aż odjedziecie.

Ayla uśmiechnęła się z ulgą.

- To brzmi dość prosto. Co zrobisz z Zawodnikiem?

- Niedaleko stąd jest skałka, koło której rośnie kilka krzaków. Mogę go przywiązać do

jednego z nich. Taki krzak go nie utrzyma, jeśli zacznie się wyrywać, ale jest tak przyzwyczajony do przywiązywania, że chyba tam zostanie. - Jondalar chwycił długi postronek Zawodnika i zaczął iść z powrotem wielkimi krokami.

Kiedy doszli do skałki, Jondalar powiedział:

- Weź miotacz i jeden lub dwa oszczepy. - Zdjął nosidła z pleców. - Zostawię to tutaj. Krępuje mi ruchy. - Wyjął własny miotacz i oszczep z kołczanu. - Jak już będziesz miała Whinney, możesz zabrać stąd Zawodnika i przyjść po mnie.

Płaskowyż pochylał się stromo z północnego wschodu na południowy zachód, kończąc się przepaścią. Kiedy Ayla z Jondalarem zawrócili do stada, dzień był jasny i słońce stało wysoko na niebie, chociaż było już dobrze po południu. Obejrzeni stromy, zachodni kraniec, ale cofnęli się w obawie, że jeden zły krok czy potknięcie, a spadną w dół.

Kiedy podeszli bliżej do pasącego się stada, stanęli i próbowali wypatrzeć Whinney. Stado - kobyły, źrebaki i roczniaki - pasło się pośrodku pola wysokiej do pasa, suchej trawy; ogier stał trochę na uboczu, oddalony od reszty. Ayli zdawało się, że dostrzegła swojego konia daleko z tyłu, na południu. Gwizdnęła, łeb płowożółtej kobyły uniósł się gwałtownie i Whinney ruszyła w ich kierunku. Z przygotowanym do rzutu miotaczem w ręce Jondalar powoli przesunął się ku kremowemu koloru ogierowi, starając się dostać między niego i stado, podczas gdy Ayla szła ku kobyłom, zdecydowana dotrzeć do Whinney.

Kilka koni przestało się paść i podniosło łby, ale nie patrzyły na nią. Nagle ogarnęło ją uczucie, że coś się nie zgadza. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Jondalara, i zobaczyła wstęgę dymu, a potem jeszcze jedną. Poczula też jego zapach. Pole suchej trawy paliło się w wielu miejscach. Przez dymną zasłonę zobaczyła postacie biegnące w kierunku koni i wymachujące pochodniami! Gnały konie na skraj pola, ku przepaści, a między końmi była Whinney!

Konie wpadły w panikę, ale w hałasie wydawanych przez nie dźwięków zdawało jej się, że słyszy znajome rzenie, które dochodziło z innego kierunku. Spojrzała na północ i zobaczyła Zawodnika, który pędził w kierunku stada. Dlaczego musiał się zerwać właśnie teraz? I gdzie jest Jondalar? W powietrzu unosiło się coraz więcej dymu. Czuła niemal napięcie i woń zaraźliwego strachu koni, które zaczęły odsuwać się od ognia.

Ze wszystkich stron popychały ją konie i straciła Whinney z oczu, ale podbiegał do niej Zawodnik. Pędził galopem, zarażony paniką. Zagwizdała głośno i przeciągle i rzuciła się ku niemu. Zwolnił, skręcił w jej kierunku, ale uszy miał położone po sobie i przewracał oczyma ze strachu. Dopadła go i chwyciła postronek, zwieszający się z uzdy, obracając tym gwałtownie jego łeb. Zarżał i stanął dęba, a konie przebiegały koło niego. Postronek przesunął się gwałtownie i boleśnie wzdłuż dłoni Ayli, ale nie rozluźniła chwytu i kiedy

przednie kopyta Zawodnika dotknęły ziemi, złapała go za grzywę i wskoczyła mu na grzbiet. Zawodnik znowu stanął dęba i niemal ją zrzucił, ale udało jej się utrzymać. Przerażony koń był jednak przyzwyczajony do ciężaru człowieka, a bliskość znajomej kobiety uspokajała go. Zaczął biec, ale Ayla miała trudności z prowadzeniem konia, którego wytrenował Jondalar. Jechała już kilka razy na Zawodniku i znała sygnały, których go nauczył Jondalar, ale nie była przyzwyczajona do kierowania za pomocą uzdy i wodzy. Mężczyzna umiał się z nimi obchodzić i ogier znał pewność siebie swojego stałego jeźdźca. Nie reagował dobrze na pierwsze, niepewne próby Ayli. Ayla rozglądała się za Whinney, próbując jednocześnie uspokoić Zawodnika.

Konie pędziły, tłoczyły się wokół niej, rżały, parskały i czuła zapach ich strachu. Gwizdnęła znowu, głośno i przenikliwie. Nie była jednak pewna, czy słyhać ją było ponad zgiełkiem, a wiedziała, jak potężny jest pęd stadny.

Nagle, przez kurzawę i dym, Ayla zobaczyła konia, który zwolnił biegu, próbował zawrócić i oprzeć się popychaniom spłoszonych, przebiegających obok koni, zarażających swoim strachem przed ogniem. W pełnym dymu powietrza nie widać było koloru sierści, ale Ayla wiedziała, że to Whinney. Gwizdnęła znowu, żeby dodać jej odwagi, i spostrzegła, że jej ukochana kobyła zatrzymała się, pełna wahania. Instykt poruszania się razem ze stadem był bardzo silny, ale ten gwizd zawsze oznaczał pewność, bezpieczeństwo, miłość, a Whinney nie bała się tak bardzo ognia. Wyrosła koła dymiącego ogniska. Dla niej oznaczał jedynie bliskość ludzi.

Ayla zobaczyła, że Whinney stoi w miejscu, podczas gdy inne konie przebiegają obok lub wpadają na nią, próbując ją wyminąć. Popędziła Zawodnika do przodu. Kobyła zaczęła iść w jej kierunku, ale nagle, jakby z chmury dymu, pojawił się jasny ogier i próbował odciąć jej drogę, rżąc ostrzegawczo na Zawodnika. Nawet w tej panice próbował trzymać swoją nową kobyłę z daleka od młodszego samca. Tym razem Zawodnik odpowiedział gniewnym rzeniem, stanął dęba, uderzył kopytami w ziemię i ruszył na większe zwierzę, nie pamiętając w podnieceniu, że jest zbyt młody i niedoświadczony, by walczyć z dojrzałym ogierem.

Wtedy, z jakiegoś powodu - naglej zmiany decyzji czy też pod wpływem strachu - ogier obrócił się tyłem i odgalopował. Whinney poszła za nim i Zawodnik popędził do przodu, żeby ją dogonić. Stado było coraz bliżej krawędzi skały i pewnej śmierci, jaka je czekała w dole przepaści, a kobyła z sierścią koloru dojrzałego siana i młody, brązowy ogier, którego urodziła, wraz z kobietą siedzącą na jego grzbiecie pędzili z nimi razem! Z zajadłą determinacją Ayla zmusiła Zawodnika do zatrzymania się tuż przed pyskiem Whinney. Rżał ze strachu, chciał biec w panice wraz z pozostałymi końmi, ale powstrzymywała go kobieta i

rozkazy, którym nauczył się być posłuszny.

Wszystkie konie przebiegły obok. Whinney i Zawodnik stały, dygocąc ze strachu, kiedy ostatnie ze stada zniknęły poza krawędzią przepaści. Ayla wstrząsnęła się na odległe dźwięki rżących, wrzeszczących koni, a potem ogłuszyła ją cisza. Mogła znaleźć się tam, na dole, razem z Whinney i Zawodnikiem. Odetchnęła głęboko, myśląc o tym, czego o włos uniknęła, i rozejrzała się za Jondalarem.

Nie widziała go. Ogień przesuwiał się na południowy wschód; wiatr odwiewał płomienie z południowo-zachodniego krańca pola - ale już odegrały swoją rolę. Patrzyła we wszystkich kierunkach, ale nigdzie nie było widać Jondalara. Ayla stała sama, z dwojgiem koni, na dymiącym polu. Niepokój i strach ścisnęły jej gardło. Co się stało z Jondalarem?

Zeskoczyła z Zawodnika i, nadal trzymając go za postronek, wskoczyła lekko na grzbiet Whinney, zawróciła oba konie i pojechała do miejsca, w którym się rozstali. Dokładnie zbadała okolicę w poszukiwaniu śladów, ale ziemia pokryta była odciskami końskich kopyt. Nagle, kątem oka, dostrzegła coś i pobiegła zobaczyć, co to jest. Serce podeszło jej do gardła, kiedy podniosła miotacz Jondalara!

Przyjrzała się uważnie śladom i zobaczyła odciski stóp wielu ludzi, ale wyraźnie odbijały się wśród nich odciski dużych nóg Jondalara, obutych w jego znoszone obuwie. Widziała te odciski zbyt wiele razy na obozowiskach, by mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Potem dostrzegła na ziemi ciemną plamę. Schyliła się, żeby jej dotknąć, i spojrzała na czubek swojego palca - był czerwony od krwi. Wzdrygnęła się i strach chwycił ją za gardło. Stojąc w miejscu, żeby nie zdeptać śladów, uważnie rozejrzała się dokoła, próbując zrozumieć, co się tutaj zdarzyło. Była doświadczonym myśliwym i umiała odczytywać ślady. Wkrótce stało się dla niej jasne, że ktoś zranił Jondalara i go powlókł. Przez chwilę szła po śladach na północ. Potem rozejrzała się, żeby zapamiętać okolicę i móc na nowo znaleźć ślady, dosiadła Whinney i z Zawodnikiem na postronku zawróciła na zachód, by wziąć nosidła.

Jechała na zachód z twarzą ściągniętą gniewem i ostrym, pełen oburzenia grymas odzwierciedlał dokładnie jej uczucia, ale musiała przemyśleć sytuację i zdecydować, co ma zrobić. Ktoś zranił Jondalara i zabrał go, a nikt nie miał prawa tego robić. Może nie rozumiała wszystkiego na temat sposobu bycia Innych, lecz to była rzecz, której była pewna. I jeszcze jednego - nie wiedziała jak, ale go z pewnością odzyska.

Poczuła ulgę na widok nosideł, nadal opartych o skałę, dokładnie tak, jak je zostawili. Wyrzuciła z nich wszystko na ziemię, zmieniła trochę wiązania, żeby Zawodnik mógł je nieść na grzbiecie, i zaczęła z powrotem wszystko pakować. Rano zdjęła swój pas do noszenia

rzeczy - był dość nieporęczny - i wepchnęła wszystko do nosideł. Podniosła pas i obejrzała ostry, ceremonialny sztylet, który nadal tkwił w pętli, niechcący kalecząc się w palec. Patrzyła na maleńką kroplę zbierającej się krwi i z jakiegoś powodu chciała się rozplakać. Znowu była sama. Ktoś porwał Jondalara.

Zdecydowanym ruchem założyła pas i wepchnęła zań sztylet, nóż, toporek i broń myśliwską. Musi go szybko znaleźć! Wpakowała namiot na grzbiet Zawodnika, ale zatrzymała przy sobie śpiwory. Kto wie, jaka będzie pogoda? Wzięła też bukłak na wodę. Potem wyjęła placek żywności podróźnej i usiadła na skale. Nie była głodna, ale wiedziała, że potrzeba jej sił, jeśli ma wytropić ślad i znaleźć Jondalara.

Martwiła ją nie tylko nieobecność mężczyzny, ale i brak Wilka. Nie mogła iść szukać Jondalara, dopóki nie znajdzie Wilka. Był czymś więcej niż tylko zwierzęcym towarzyszem, którego kochała; mógł się okazać niezbędny przy tropieniu śladów. Miała nadzieję, że pojawi się przed nocą, zastanawiała się, czy nie powinna się po niego cofnąć. Ale jeśli poluje? Może się z nim minąć. Mimo ogarniającego ją zniecierpliwienia uznała, że najlepiej jest czekać.

Próbowała zastanowić się, co może zrobić, ale nie umiała nawet wyobrazić sobie możliwych sposobów działania. Sam akt zranienia kogoś i zabrania go był jej tak obcy, że trudno jej było myśleć o czymkolwiek poza tym. Wydawało się to czymś tak bezsensownym i nielogicznym.

Z zamyślenia wyrwało ją skomlenie, a potem szczeknięcie. Odwróciła się i zobaczyła biegnącego ku niej Wilka, najwyraźniej uszczęśliwionego jej widokiem. Poczowała ogromną ulgę.

- Wilk! - krzyknęła z radością. - Jesteś już, i to znacznie wcześniej niż wczoraj. Lepiej się czujesz? - Po wylewnym przywitaniu zbadała go i z zadowoleniem potwierdziła swoją poprzednią diagnozę: był potłuczony, ale żadna kość nie została złamana, i był w znacznie lepszym stanie niż poprzedniego dnia. Postanowiła ruszyć natychmiast, żeby znaleźć trop, póki jest jasno. Przywiązała postronek Zawodnika do rzemienia, który przytrzymał jeździecką płachtę na Whinney, i dosiadła kobyły. Zawołała Wilka, żeby szedł za nią, i ruszyła w kierunku wytropionych śladów. Dojechała do miejsca, gdzie znalazła odciski stóp Jondalara i innych ludzi, jego miotacz i plamę krwi, teraz tylko brązowawe zabarwienie gruntu. Zsiadła, żeby jeszcze raz zbadać okolicę.

- Musimy znaleźć Jondalara, Wilk - powiedziała. Zwierzę patrzyło na nią pytająco.

Przysiadła wygodnie w kucki i przypatrywała się odciskom stóp, starając się zorientować, ilu było tu ludzi, jak również zapamiętać kształty i wielkość odcisków. Wilk czekał, siedząc na zadzie i patrząc na nią. Wyczuwał coś niezwykłego i ważnego. Wreszcie

wskazała na plamę krwi.

- Ktoś zranił Jondalara i zabrał go. Musimy go znaleźć. -Wilk powąchał krew, zamachał ogonem i warknął. - To jest odcisk Jondalara - tłumaczyła, wskazując na wyraźny, duży odcisk pomiędzy wieloma mniejszymi. Wilk powęszył w miejscu, które wskazała, a potem spojrział na nią, jakby czekając na dalsze instrukcje. - Oni go zabrali - wyjaśniła, pokazując odciski innych ludzi. Nagle wstała i podeszła do Zawodnika. Z pakunku na grzbiecie konia wyjęła miotacz Jondalara i uklękła, żeby Wilk mógł go powąchać. - Musimy znaleźć Jondalara, Wilk! Ktoś go porwał i musimy go uwolnić!

Jondalar powoli wracał do przytomności, ale na wszelki wypadek leżał bez ruchu, starając się zrozumieć, co się stało, ponieważ z pewnością wydarzyło się coś niedobrego. Po pierwsze, łomotało mu w głowie. Uchylił odrobinę powieki. Światło było przyćmione, ale wystarczało, by zobaczyć zimną, twardo ubitą ziemię, na której leżał. Czuł, że coś zaschniętego oblepia mu skroń, ale kiedy próbował sięgnąć i sprawdzić, co to jest, odkrył, że ręce ma związane za plecami. Również stopy miał spętane razem. Przetoczył się na bok i rozejrzał. Znajdował się wewnątrz niedużej, okrągłej budowli, zrobionej ze skór rozpiętych na drewnianej ramie. Zrozumiał, że stała ona wewnątrz jakiegoś większego pomieszczenia. Nie było dźwięków wiatru, przeciągów ani łopotania skór, jakie byłyby na zewnątrz, a zimno, jakie czuł, nie było dotkliwe. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie ma na sobie swojej futrzanej kurty.

Próbował usiąść i poczuł gwałtowne zawroty głowy. Pulsowanie w głowie umiejscowiło się jako ostry ból powyżej lewej skroni, nad wyschniętą substancją, która oklejała mu twarz. Znieruchomiał, kiedy usłyszał zbliżające się głosy. Dwie kobiety rozmawiały w nie znanym mu języku, choć zdawało mu się, że kilka słów nieco przypomina mamutoi.

- Hej tam, nie śpię! - zawołał w języku Łowców Mamutów.

- Czy ktoś może przyjść i mnie rozwiązać? Te powrozy nie są konieczne. To z pewnością jakieś nieporozumienie. Nie mam żadnych złych zamiarów. - Głosy ucichły na moment, po chwili na nowo podjęły rozmowę, ale nikt mu nie odpowiedział ani nie przyszedł.

Jondalar leżał twarzą do ziemi i próbował zrozumieć, skąd się tu wziął i co takiego mógł zrobić, by ktoś czuł się zmuszony go związać. Ludzi pętano wyłącznie wtedy, kiedy zachowywali się w szalony sposób lub starali się kogoś zranić. Pamiętał ścianę ognia - i konie, które pędziły na skraj przepaści. Prawdopodobnie ludzie polowali na te konie i on znalazł się pośrodku. Potem przypomniał sobie, że widział Aylę na Zawodniku, którego nie mogła opanować. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ogier, którego zostawił przywiązanego do krzaka, znalazł się pośrodku pędzącego w popłochu stada.

Jondalar niemal wpadł wtedy w panikę, pełen strachu, że koń podda się stadnemu instynktowi i popędzi za innymi w przepaść, zabierając ze sobą Aylę. Pamiętał, że biegł ku nim z oszczepem gotowym do rzutu. Przy całej swojej miłości do ciemnobrązowego ogiera byłby go zabił i nie dopuścił, by zabrał Aylę w przepaść. To była ostatnia rzecz, jaką

pamiętał, poza niejasnym wspomnieniem silnego bólu, zanim ciemność pochłonęła wszystko.

Ktoś musiał mnie czymś uderzyć - pomyślał. To było silne uderzenie, bo zupełnie nie pamiętam drogi tutaj, a głowa mnie nadal boli. Czy myśleli, że im zmarnowałem polowanie? Kiedy pierwszy raz spotkał Jerena i jego myśliwych, sytuacja była podobna. Razem z Thonolanem przypadkowo rozpędzili stado koni, które myśliwi zaganiali do pułapki. Jeren jednak, gdy tylko przeszła mu złość, zrozumiał, że nie zrobili tego umyślnie, i zaprzyjaźnili się. Chyba nie zepsułem polowania tym ludziom?

Znowu spróbował usiąść. Przewrócił się na bok, podciągnął kolana i starał się podnieść do siedzącej pozycji. Musiał próbować kilka razy i głowa boleśnie pulsowała mu z wysiłku, ale wreszcie mu się udało. Siedział z zamkniętymi oczyma i miał nadzieję, że ból wkrótce się zmniejszy. W miarę jednak, jak ból opadał, wzrastał niepokój o Aylę i zwierzęta. Czy Whinney i Zawodnik zostały pociągnięte w przepaść i czy Zawodnik zabrał ze sobą Aylę? Czy już nie żyje? Serce waliło mu ze strachu na samą myśl o tym. Czy już ich nie ma, Ayli i koni? A co z Wilkiem? Kiedy ranne zwierzę wreszcie dotrze na pole, nie znajdzie tam nikogo. Jondalar wyobraził sobie, jak Wilk węszy wokół, próbuje znaleźć ślad, który prowadzi donikąd. Co robi? Wilk to dobry myśliwy, ale jest ranny. Czy jest dość silny, by upolować coś dla siebie? Będzie tęsknił za Aylą i resztą swojego "stada". Nie jest przyzwyczajony do samotnego życia. Jak sobie poradzi? Co się stanie, jeśli natknie się na watahę dzikich wilków? Czy potrafi się obronić?

Czy nikt nie zamierza tu przyjść? Chciałbym kilka łyków wody - myślał Jondalar. Musieli mnie usłyszeć. Jestem też głodny, ale najbardziej spragniony. Usta zdawały mu się coraz bardziej wysuszone i pragnienie wody wzrastało.

- Hej tam! Pić mi się chce! Czy ktoś mógłby przynieść trochę wody? - krzyczał. - Co z was za ludzie? Związujecie człowieka i nawet nie podacie mu łyka wody!

Nikt nie odpowiedział. Krzyknął jeszcze kilka razy i doszedł do wniosku, że nie ma sensu się wysilać. Tylko mu się bardziej chciało pić i głowa bardziej bolała. Rozważał, czy się z powrotem nie położyć, ale tyle wysiłku kosztowało go podniesienie się, że nie był pewien, czy da radę wykonać to jeszcze raz. W miarę upływu czasu narastało przygnębienie. Był osłabiony, na wpół przytomny i wyobrażał sobie wszystko, co najgorsze. Uznał, że Ayla i oba konie już nie żyją. Kiedy myślał o Wilku przedstawiał sobie biedne zwierzę, wędrujące samo, ranne i niezdolne do polowania, szukające Ayli i narażone na ataki miejscowych wilków, hien lub innych zwierząt... może to lepsze niż śmierć z głodu. Zastanawiał się, czy zostawiono go tu, by umarł z pragnienia, i miał niemal nadzieję, że tak się stanie, skoro nie ma już Ayli. Identyfikując się z losem, który jego zdaniem spotkał Wilka, uznał, że wraz z



Wilkiem są jedynymi pozostałymi przy życiu członkami ich niezwyklej grupy podróźnej i że wkrótce również ich obu zabraknie.

Z rozpaczliwych rozmyślań wyrwały go głosy zbliżających się ludzi. Kłapa małej budowli została odrzucona i w otworze zobaczył w świetle pochodni sylwetkę człowieka stojącego na rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach. Ostro coś rozkazał. Do środka weszły dwie kobiety, podeszły do niego, podniosły go i wyciągnęły na zewnątrz. Rzuciły go na kolana, nie rozwiązując mu nóg ani rąk. Głowa go znowu mocno rozboleła i oparł się o jedną z kobiet. Odepchnęła go.

Kobieta, która kazała go wyprowadzić, przypatrywała mu się przez chwilę, a potem roześmiała się. Był to chrapliwy i szalony, zgrzytliwy, piekielny dźwięk. Jondalar wzdrygnął się i poczuł dreszcz strachu. Powiedziała do niego kilka ostrych słów. Nie zrozumiał, ale próbował się wyprostować i spojrzeć na nią. W oczach mu pociemniało i zachwiał się niepewnie. Kobieta spojrzała groźnie, wyrzeszczała dodatkowe rozkazy, odwróciła się na pięcie i odmaszerowała. Kobiety, które go podtrzymywały, puściły go i poszły za nią wraz z wieloma innymi. Jondalar upadł na bok, słaby i z zawrotami głowy.

Poczuł, że ktoś przecina mu więzy na nogach, i po chwili woda zaczęła lać się do jego ust. Niemal go zadławiła, ale skwapliwie próbował trochę połknąć. Kobieta, która trzymała worek z wodą, wypowiedziała kilka słów tonem odrazy i rzuciła bukłak starszemu mężczyźnie. Podeszedł bliżej, przyłożył bukłak do warg Jondalara i przechylił go, nie łagodniej właściwie, ale z większą cierpliwością, tak że Jondalar mógł łykać wodę i wreszcie zaspokoić piekące pragnienie. Zanim je jednak w pełni ugasił, kobieta warknęła coś i mężczyzna zabrał bukłak. Następnie kobieta podciągnęła Jondalara na nogi. Zataczał się od nieustannych zawrotów głowy, kiedy wypychała go z pomieszczenia i wepchnęła między innych mężczyzn, zebranych w grupie. Było zimno, ale nikt nie dał mu futrzanej kurty, ani nawet nie rozwiązał rąk, by mógł je zatrzeć razem. Zimne powietrze orzeźwiło go jednak i zobaczył, że niektórzy spośród pozostałych mężczyzn też mieli ręce związane za plecami. Zaczął przyglądać się ludziom, wśród których tak niespodziewanie się znalazł. Byli w różnym wieku, od młodych mężczyzn - właściwie chłopców - do starców. Wszyscy byli wychudzeni, słabi i brudni, w podartych i nie dość ciepłych ubraniach i ze zmierzwionymi włosami. Kilku miało nie opatrzone rany, pełne brudu i zaschniętej krwi.

Jondalar zaczął mówić do stojącego obok mężczyzny w ma-mutoi, ale tamten tylko potrząsnął głową. Jondalar pomyślał, że nie został zrozumiany, spróbował więc sharamudoi. Mężczyzna odwrócił głowę w momencie, w którym podeszła kobieta z oszczepem w ręku i pogroziła mu, rozkazując coś ostro. Nie rozumiał jej słów, ale czyny były aż nadto wyraźne i

zaczai się zastanawiać, czy mężczyzna nic nie powiedział dlatego, że nie zrozumiał, czy też nie chciał mówić.

Wiele kobiet z oszczepami otoczyło grupę mężczyzn. Jedna z nich krzyknęła coś i mężczyźni zaczęli iść. Jondalar skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć i zorientować, gdzie jest. Osada, składająca się z szeregu okrągławych domostw, wydawała się nieco znajoma, co było dziwne, bo zupełnie nie znał tego terenu. Wreszcie zdał sobie sprawę, że chodzi o same domostwa. Przypominały ziemianki Mamutoi. Chociaż nie były dokładnie takie same, wydawały się zbudowane w podobny sposób, prawdopodobnie z użyciem kości mamucich jako podpór budowlanych, pokrytych strzechą, ziemią i gliną.

Zaczęli iść pod górę, co dało Jondalarowi lepszy widok. Okolica była na ogół trawiastym stepem lub tundrą - bezdrzewnymi płaszczyznami ziemi z zamrożonym podglebiem, które roztapiało się latem w czarną, błotnistą maź. W tundrze rosły jedynie skarłowaciałe zioła, ale wiosną ich okazałe kwiaty dodawały okolicy koloru i piękna i mogły wykarmić woły pizmowe, renifery i inne zwierzęta, które potrafiły je strawić. Były tu także pasma tajgi, niskich, wiecznie zielonych drzew tak identycznej wysokości, jakby ich czubki przycinało jakieś gigantyczne tnące narzędzie. I tak w istocie było. Lodowate wiatry, które pędziły igły lodu i ostre drobinki piaszczystego lessu, przycinały wszystkie poszczególne gałązki czy czubki, które odważyły się wyrosnąć powyżej swoich braci.

Kiedy z mozołem wspięli się wyżej, Jondalar zobaczył stado mamutów, które pasło się na północ od osady, i nieco bliżej - stado reniferów. Wiedział, że niedaleko były konie - i ludzie, którzy na nie polowali - i odgadł, że żubry i niedźwiedzie często odwiedzały te regiony podczas cieplejszej pory roku. Kraj bardziej przypominał mu rodzinne okolice niż suche trawiaste stepy na wschodzie, co najmniej typem roślinności, choć dominowały inne rośliny, jak również - prawdopodobnie - inne były proporcje różnych gatunków zwierząt.

Kątem oka Jondalar zauważył ruch po lewej stronie. Odwrócił się w porę, żeby zobaczyć białego zająca, uciekającego w podskokach przed polarnym lisem. Kiedy obserwował tę scenę, duży królik pokicał nagle w odwrotnym kierunku, mijając rozkładającą się czaszkę włochatego nosorożca, a potem dał susa do nory.

Tam, gdzie są mamuty i nosorożce - myślał Jondalar - są również lwy jaskiniowe, a przy tej liczbie stadnych zwierząt prawdopodobnie również hieny i z pewnością wilki. Mnóstwo zwierząt na futra i mięso, a także żywność, która rośnie z ziemi. To jest kraina obfitości. Dokonywanie tego typu ocen było jego drugą naturą, tak jak i większości ludzi. Ich życie zależało od tego, co dawała przyroda, i dokładne obserwacje jej zasobów były niezbędne.

Grupa doszła do wysokiego, płaskiego miejsca na stoku wzgórza i tam się zatrzymała. Jondalar spojrział w dół i zobaczył, że układ terenu był niesłychanie korzystny dla tutejszych myśliwych. Nie tylko widać stąd było zwierzęta na dużą odległość, ale olbrzymie i różnorodne stada, które wędrowały po tej krainie, musiały przechodzić wąskim korytarzem poniżej, między stromymi ścianami z wapienia a rzeką. Łatwo się musiało tutaj polować. Zdumiało go więc, że polowali na konie koło Wielkiej Matki Rzeki.

Przejmujący lament oderwał go od tych rozmyślań i skierował uwagę na najbliższe otoczenie. Kobieta z długimi, rozwianymi, siwymi włosami, podtrzymywana przez dwie nieco młodsze kobiety, lamentowała i krzyczała w jawnej rozpacz. Nagle wyrwała się, upadła na kolana i pochyliła nad czymś, co leżało na ziemi. Jondalar przesunął się do przodu, żeby lepiej widzieć. Był co najmniej o głowę wyższy od większości pozostałych mężczyzn i po kilku krokach zrozumiał przyczynę rozpaczki kobiety.

Był to pogrzeb. Na ziemi leżały ciała trojga ludzi - młodych, prawdopodobnie około dwudziestki, jak to ocenił. Dwóch było z pewnością mężczyznami; mieli brody. Najwyższy z nich był prawdopodobnie najmłodszy. Zarost na jego twarzy był nadal dość rzadki. Siwowłosa kobieta łkała nad ciałem drugiego mężczyzny, którego brązowe włosy i broda bardziej rzucały się w oczy. Trzecia postać była dość wysoka, ale chuda, i coś w ciele czy też w sposobie, w jaki leżało, nasunęło mu myśl, że może człowiek ten miał jakąś fizyczną ułomność. Nie widział zarostu na twarzy i dlatego z początku myślał, że to kobieta, ale mógł to być równie dobrze dość wysoki, młody mężczyzna, który się ogolił. Ubranie też nie dawało żadnej wskazówki. Wszyscy byli ubrani w nogawice i luźne tuniki, które maskowały różnice w budowie ciała. Ubrania wydawały się nowe, ale brakowało im ozdób. Wyglądało niemal, jakby ktoś nie chciał, by zostali rozpoznani na następnym świecie, i starał się zachować ich anonimowość.

Dwie kobiety, które przedtem podparły siwowłosą kobietę, podniosły ją, niemal odciągnęły - choć nie brutalnie - od ciała młodego człowieka. Potem inna kobieta wystąpiła naprzód i coś spowodowało, że Jondalar spojrział na nią jeszcze raz. Twarz miała dziwnie zniekształconą, osobliwie niesymetryczną, z jedną połową jakby pchniętą w tył i nieco mniejszą niż druga. W żaden sposób nie próbowała tego ukryć. Jasne, może siwe włosy miała ściągnięte do tyłu i zwinięte w kok na czubku głowy.

Jondalar pomyślał, że jest w wieku jego matki i poruszała się z takim samym wdziękiem i godnością, choć fizycznie zupełnie nie była podobna do Marthony. Mimo lekkiego zniekształcenia nie była brzydka, a jej twarz ściągała uwagę. Kiedy ich wzrok się zetknął, zdał sobie sprawę z tego, że się w nią wpatruje, ale pierwsza szybko odwróciła oczy.

Zacęła mówić i Jondalar zrozumiał, że odprawia ceremonię pogrzebową. Musi być Mamutem, kobietą, która komunikuje się ze światem duchów, ich Zelandoni.

Coś zmusiło go do odwrócenia się i spojrzenia w bok. Wpatrywała się w niego inna kobieta - przystojna, wysoka, bardzo muskularna, z wyrazistymi rysami twarzy, jasnobrązowymi włosami i ciekawymi, bardzo ciemnymi oczyma. Nie odwróciła się, kiedy spojrzał na nią, tylko zupełnie otwarcie go szacowała. Należała do tej kategorii kobiet - sądząc z wyglądu - które normalnie mu się podobały, ale jej uśmiech wzbudził w nim niepokój. Stała na rozstawionych nogach i trzymała ręce na biodrach. Nagle domyślił się, kto to jest: kobieta, która śmiała się tak złowieszczo. Zwalczył impuls, by się cofnąć i ukryć między innymi mężczyznami, wiedząc, że nie udałoby mu się, nawet gdyby spróbował. Był nie tylko o głowę wyższy, był znacznie zdrowszy i bardziej umięśniony niż oni. Wyróżniał się, niezależnie od tego, gdzie stał.

Ceremonia robiła wrażenie niedbale odprawianej, jakby była niemiłą koniecznością, nie zaś uroczystym, poważnym zdarzeniem. Niczym nie owinięte ciała po prostu zaniesiono do płytkiego grobu. Jondalar zauważył, że były zwiotczałe. Nie mogli umrzeć dawno; ciała nie były jeszcze sztywne i nie było żadnego zapachu. Najpierw zaniesiono wysokie, szczupłe ciało, położono na plecach i sproszkowaną, czerwoną ochrą posypano głowę i, co było dziwne, miednicę, to potężne miejsce reprodukcji. Jondalar zaczął się zastanawiać, czy to jednak nie była kobieta.

Dwa pozostałe ciała potraktowano inaczej, ale jeszcze dziwniej. Brązowo włosy mężczyzna został włożony do wspólnego grobu na lewo od pierwszego ciała z punktu widzenia Jondalara, ale po prawej stronie leżącej postaci i położony na boku, twarzą do niej. Wyprostowano jego ramię tak, że dłoń spoczywała na posypanym na czerwono łonie. Trzecie niemal wrzucono do grobu, twarzą w dół, po prawej stronie ciała, które włożono jako pierwsze. Czerwoną ochrą posypano głowy obu mężczyzn. Święty, czerwony proszek był najwyraźniej pomyślany jako ochrona, ale dla kogo? I przed czym? - zastanawiał się Jondalar.

Właśnie zaczęto wrzucać sypką ziemię do płytkiego grobu, kiedy siwowłosa kobieta znowu się wyrwała. Podbiegła do grobu i coś wrzuciła. Jondalar zobaczył dwa krzemienne noże i kilka grotów oszczepów.

Ciemnooka kobieta skoczyła do przodu, najwyraźniej wściekła. Krzykiem wydała rozkaz jednemu z mężczyzn i wskazała na grób. Skulił się ze strachu, ale nie ruszył się z miejsca. Wtedy wystąpiła szamanka i coś powiedziała, potrząsając głową. Ciemnooka kobieta wrzeszczała na nią w złości i frustracji, ale szamanka nie ustępowała i nadal potrząsała przecząco głową. Kobieta zamachnęła się i uderzyła ją w twarz grzbietem dłoni. Słysząc

było, jak ludzie się zachłysłeni, a kobieta, wściekła, odmaszerowała. Za nią poszła grupa kobiet z oszczepami.

Szamanka zdawała się nie zauważać uderzenia, nie przyłożyła nawet ręki do policzka, chociaż Jondalar widział czerwony ślad po uderzeniu nawet z miejsca, gdzie stał. Prędko zasypano grób ziemią, w której było wiele kawałków zwęglonego i częściowo spalonego drewna. Jondalar pomyślał, że musiano tu kiedyś palić olbrzymie ogniska. Zerknął w dół, na wąski korytarz poniżej. Uświadomił sobie, że to wzgórze było świetnym punktem obserwacyjnym, gdzie można było używać ogni jako sygnałów, kiedy zbliżały się zwierzęta - czy cokolwiek innego.

Gdy tylko ciała zostały przykryte ziemią, mężczyźni popędzono z powrotem w dół zbocza i zaprowadzono do miejsca otoczonego wysoką palisadą z obrobionych pni drzewnych, umieszczonych jeden przy drugim i związanych razem. W jednym miejscu przy płocie zgromadzona była sterta kości mamucich i Jondalar zastanawiał się nad ich przeznaczeniem. Może podpierały płot. Oddzielono go od innych i zabrano z powrotem do ziemianki. Tam został znowu wepchnięty do małego, okrągłego, pokrytego skórą pomieszczenia. Zanim wszedł, zdążył jednak zauważyć, jak było skonstruowane.

Na solidną ramę składały się pale ze smukłych drzew. Ich grubsze końce były wkopane w ziemię; czubki zagięto razem i związane. Skórzane płachty pokrywały ramę z zewnątrz, ale płachta wejściowa, którą widział od środka, była z zewnątrz zastawiona podobnym do bramy zamknięciem, które można było zabezpieczyć wiązadłami.

Po wejściu dalej bacznie przyglądał się budowli. Była całkowicie pusta, nie umieszczono nawet platformy do spania. Nie mógł się w niej wyprostować, poza miejscem w samym środku, ale pochylił się, by zbliżyć się do ścianki, i dokładnie ją badając, wolno obszedł dokoła małą, ciemną przestrzeń. Zobaczył, że skóry były stare i porwane, niektóre były właściwie w strzępach, niezdarnie przez kogoś zeszytych, jakby w wielkim pośpiechu. Szwy rozłaziły się i przez szpary widział przestrzeń na zewnątrz. Usiadł na ziemi i obserwował otwarte wejście do ziemianki. Przeszło kilkoro ludzi, ale nikt nie wszedł do środka.

Po pewnym czasie zaczął odczuwać potrzebę opróżnienia pęcherza. Ze związanymi rękami nie mógł się nawet obnażyć. Jeśli ktoś zaraz nie przyjdzie i go nie rozwiąże, zamoczy spodnie. Ponadto przeguby zaczynały go boleć od wrzynających się sznurów. Ogarniała go coraz większa złość. To było idiotyczne! Tego już za dużo!

- Hej tam! - krzyknął. - Dlaczego trzymacie mnie tutaj? Jak zwierzę w klatce? Nikomu nie zrobiłem krzywdy. Muszę mieć rozwiązane ręce. Jak ktoś mnie zaraz nie rozwiąże,

zmoczę się. -Odczekał chwilę i znowu krzyknął: - Ktokolwiek jest na zewnątrz, niech wejdzie i rozwiąże mnie! Co z was za ludzie?

Wstał i oparł się o ramę. Była dobrze zrobiona, ale trochę ustąpiła. Cofnął się o krok i rzucił się na ramę, starając się ją złamać. Poddała się trochę bardziej, więc znowu w nią uderzył barkami. Z satysfakcją usłyszał dźwięk pękającego drewna. Cofnął się znowu, gotowy do ponownej próby, kiedy usłyszał, że do ziemianki wbiegają ludzie.

- Najwyższa pora, żeby ktoś przyszedł! Wypuście mnie stąd! Natychmiast!

Usłyszał krzątanie przy bramce. Po chwili kłapa wejściowa została odrzucona i zobaczył wiele kobiet z oszczepami wymierzonymi prosto w niego. Zignorował je i przepchnął się przez otwór.

- Rozwiążcie mnie! - powiedział, odwracając się bokiem, żeby mogły zobaczyć, jak unosi związane za plecami ręce. -Zdejmijcie te sznury!

Starszy mężczyzna, który podawał mu przedtem wodę, wystąpił naprzód.

- Zelandonii! Ty... bardzo... daleko - powiedział, najwyraźniej starając się przypomnieć sobie słowa.

Jondalar nie zdawał sobie sprawy z tego, że krzyczał w swoim ojczystym języku.

- Mówisz w zelandonii? - z zaskoczeniem spytał mężczyznę, ale jego gwałtowna potrzeba była ważniejsza. - Powiedz im więc, żeby zdjęli ze mnie te sznury, zanim nie zrobię w spodnie!

Mężczyzna powiedział coś do jednej z kobiet. Potrząsnęła przecząco głową, ale znowu coś do niej powiedział. Wreszcie wyjęła nóż z pochwy u pasa, wydała rozkaz, po którym pozostałe kobiety otoczyły go z nastawionymi oszczepami, postąpiła krok w jego kierunku i gestem pokazała mu, że ma się odwrócić. Odwrócił się do niej plecami i czekał, podczas gdy ona rozcinała więzy. Nie mógł powstrzymać myśli, że przydałby im się dobry łupacz krzemienia. Jej nóż był tępy.

Zdawało mu się, że trwa to wieczność, ale wreszcie więzy opadły. Sięgnął natychmiast do kłapy przy spodniach i - w zbyt dużej potrzebie, by czuć zażenowanie - obnażył się, i w panice szukał kąta czy jakiegoś ustronnego miejsca. Ale kobiety z oszczepami nie pozwoliły mu się ruszyć. Pełen złości i buntu, umyślnie zwrócił się do nich i z wielkim westchnieniem ulgi pozwolił swojej wodzie popłynąć. Obserwował je wszystkie, podczas gdy żółta struga powoli opróżniała mu pęcherz, parując w zetknięciu z zimnym gruntem i wydając ostry zapach. Kobieta, która dowodziła, wydawała się oburzona, choć starała się tego nie okazać. Dwie inne odwróciły głowy i spuściły wzrok; pozostałe wpatrywały się zafascynowane, jakby nigdy wcześniej nie widziały oddającego mocz mężczyzny. Starszy mężczyzna usilnie starał

się nie roześmiać, chociaż nie umiał ukryć uciechy.

Kiedy Jondalar skończył, zawiązał z powrotem ubranie i spojrzał na swoich dręczycieli, zdecydowany, że nie pozwoli sobie znowu związać rąk. Zwrócił się do mężczyzny:

- Jestem Jondalar z Zelandonii i jestem w podróży.

- Podróż daleka, Zelandonii. Może... za daleka.

- Podróżowałem znacznie dalej. Ostatnią zimę spędziłem z Mamutoi. Teraz wracam do domu.

- Tak mi się zdawało, że przedtem słyszałem ten język - powiedział starzec, przechodząc na język, który znał znacznie lepiej. - Jest tu kilku, którzy rozumieją język Łowców Mamutów, ale Mamutoi na ogół przychodzą z północy. Ty przyszedłeś z południa.

- Skoro słyszałeś wcześniej, co mówiłem, to dlaczego nie przyszedłeś? Jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie. Dlaczego mnie związane?

Stary człowiek potrząsnął głową ze smutkiem.

- Dowiesz się aż zbyt szybko, Zelandoriczyku. Kobieta przerwała nagle rozmowę potokiem rozwścieczonych słów. Starzec zaczął odchodzić, opierając się na lasce.

- Poczekaj! Nie odchodź! Kim jesteś? Kim są ci ludzie? I kim jest ta kobieta, która im kazała mnie tu przyprowadzić? Starzec zatrzymał się i obejrzał.

- Nazywam się Ardemun. Ci ludzie to S'Armunai. A kobieta to... Attaroa.

Jondalar nie zauważył nacisku, z jakim wypowiedziane zostało imię kobiety.

- S'Armunai? Gdzieś już słyszałem tę nazwę... poczekaj... Pamiętam. Laduni, przywódca Losadunai...

- Laduni jest przywódcą? - spytał Ardemun.

- Tak. Powiedział mi o S'Armunai, kiedy podróżowaliśmy na wschód, ale mój brat nie chciał się zatrzymać - odparł Jondalar.

- Dobrze się stało, że nie chciał, a bardzo źle, że jesteś teraz tutaj.

- Dlaczego?

Kobieta dowodząca oszczepniczkami znowu przerwała ostrym rozkazem.

- Kiedyś należałem do Losadunai. Niestety, wybrałem się w podróż - powiedział Ardemun i odkuśtykał.

Kiedy wyszedł z ziemianki, dowodząca kobieta powiedziała kilka ostrych słów do Jondalara. Odgwał, że chce go dokądś zaprowadzić, ale postanowił udawać, że nic nie rozumie.

- Nie rozumiem, co mówisz. Musisz z powrotem zawołać Ardemuna.

Znowu coś powiedziała, z większą złością, i szturchnęła go oszczepem. Przebiła skórę i strużka krwi pociekła mu po ramieniu. Ogarnęła go złość. Dotknął ranki i spojrzał na swoje zakrwawione palce.

- To nie było koniecz... - zaczął, ale przerwała mu potokiem wściekłych słów. Inne kobiety przytknęły oszczepy do jego ciała, a dowodząca wymaszerowała z ziemianki; wtedy zaczęły popychać Jondalara, by także wyszedł. Na zewnątrz zadygotał z zimna. Przeszli poza miejsce otoczone palisadą. Chociaż nie mógł zajrzeć do środka, wyczuwał, że ci, którzy byli wewnątrz, obserwowali go przez szpary. Był zaskoczony samym pomysłem. Do takich zagród zapędzano czasem zwierzęta, żeby nie mogły uciec. To był sposób polowania, ale dlaczego trzymano tam ludzi? I ilu ich tam jest?

Nie jest zbyt duże - pomyślał, więc nie może ich tam być wielu. Wyobraził sobie, ile pracy musiało kosztować ogrodzenie nawet tak niedużej przestrzeni drewnianymi słupami. Drzewa rosły tu rzadko. Było trochę zarośli, ale drzewa na ten płot musiały zostać przydźwigane z doliny poniżej. Musieli je zrębać, obciąć gałęzie, wnieść je na górę, wykopać wystarczająco głębokie doły, by stały prosto, zrobić sznury i powrozy, a potem powiązać je razem. Dlaczego ci ludzie włożyli tyle wysiłku w coś, co jest tak bezsensowne?

Doprowadzono go do małego potoczku, niemal całkowicie zamarzniętego, gdzie Attaroa i kilka innych kobiet pilnowały młodych mężczyzn, którzy nosili duże, ciężkie kości mamucie. Mężczyźni wyglądali, jakby byli na wpół zagłodzeni. Jondalar zastanawiał się, skąd biorą siły do tak ciężkiej pracy.

Attaroa zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i to było jej jedyne uznanie jego obecności. Jondalar czekał, nadal zastanawiając się nad zachowaniem tych dziwnych ludzi. Po chwili przemarzył i zaczął się poruszać, skakać i uderzać rękami, starając się ogrzać. Był coraz bardziej zły na idiotyzm tego wszystkiego. Wreszcie zdecydował, że ma tego dosyć, odwrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem. W ziemiance będzie przynajmniej osłonięty od wiatru. Jego nagły ruch zaskoczył oszczepniczki, więc po prostu odsunął je i poszedł. Słyszał krzyki, ale je zignorował.

Po wejściu do ziemianki było mu nadal zimno. Rozejrzał się za czymś do przykrycia, podszedł do okrągłej budowli, zerwał z niej skórzaną płachtę i owinął się nią. W tej chwili wbiegło do ziemianki wiele kobiet, wymachując bronią. Między nimi była ta, która skaleczyła go wcześniej, najwyraźniej ogarnięta furją. Rzuciła się na niego z oszczepem. Uchylił się i uchwycił jej oszczep, ale wszystkich zatrzymał chrapliwy i złowieszczy śmiech.

- Zelandonii! - zasyczała Attaroa i dodała inne słowa, których nie zrozumiał.

- Chce, żebyś wyszedł na dwór - powiedział Ardemun. Jondalar nie zauważył go



przedtem. - Ona myśli, że jesteś sprytny, za sprytny. Woli mieć cię tam, gdzie kobiety mogą cię otoczyć.

- A jeśli nie zechcę wyjść?

- Wtedy prawdopodobnie zabije cię na miejscu. - Te słowa wypowiedziała kobieta w najczystszyim języku zelandonii, bez cienia obcego akcentu! Jondalar rzucił zdumione spojrzenie w jej kierunku. To była szamanka! - Jeśli wyjdiesz, Attaroa pewnie pozwoli ci jeszcze trochę pożyć. Zaciekawileś ją, ale w końcu i tak cię zabije.

- Dlaczego? Czym jestem dla niej? - spytał Jondalar.

- Zagrożeniem.

- Zagrożeniem? Nigdy jej nie groziłem.

- Zagroziłeś jej władzy. Chce uczynić z ciebie przykład.

Attaroa wpadła jej w słowa i chociaż Jondalar nie rozumiał, co powiedziała, z trudem powstrzymywana wściekłość zdawała się skierowana do szamanki. Starsza kobieta odpowiedziała z powściągliwością, ale bez strachu. Po tej wymianie zdań znowu zwróciła się do Jondalara:

- Chciała wiedzieć, co ci powiedziałam. Przetłumaczyłam.

- Powiedz jej, że wyjdę - odparł.

Kiedy Attaroa usłyszała tłumaczenie jego słów, roześmiała się jadownicie, powiedziała coś i wolno wyszła.

- Co powiedziała? - spytał Jondalar.

- Że wiedziała, co powiesz. Mężczyźni zgodzą się na wszystko, byle tylko przedłużyć na trochę swoje nędzne życie.

- Może nie na wszystko - odparł Jondalar, ruszył do wyjścia, ale odwrócił się z powrotem do szamanki. - Jak ci na imię?

- Nazywam się S'Armuna.

- Tak myślałem. Gdzie się tak dobrze nauczyłaś mojego języka?

- Przez pewien czas mieszkałam z twoimi ludźmi - rzekła S'Armuna, ale szybko przecięła jego oczywiste pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej. - To długa historia.

Jondalar oczekiwał, że zostanie zapytany o własne imię, ale S'Armuna po prostu odwróciła się do niego tyłem. Podał informację sam. - Jestem Jondalar z Dziewiętej Jaskini Zelandonii.

Oczy S'Armuna otworzyły się szeroko z zaskoczenia.

- Dziewiętej Jaskini?

- Tak. - Mówiłby dalej, by podać jej swoje związki pokrewieństwa, ale zatrzymał go

wyraz jej twarzy, choć nie mógł pojąć jego znaczenia. W sekundę później jej twarz nie wyrażała niczego i Jondalar zastanawiał się, czy sobie tego nie wyobraził.

- Ona czeka - powiedziała S'Armuna i wyszła z ziemianki.

Na zewnątrz Attaroa siedziała na pokrytym futrami siedzisku na platformie z usypanej ziemi, którą usunięto przy wznoszeniu dużego, półpodziemnego domostwa tuż obok. Podchodząc do niej, musiał minąć odgradzoną palisadą przestrzeń i znowu miał wrażenie, że ktoś go obserwuje przez szpary.

Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że futro na jej siedzisku było futrem wilczym, podobnie jak obszycie kapuzy kurty, odrzuconej teraz do tyłu. Wokół szyi miała naszyjnik zrobiony przede wszystkim z kłów wilka, choć było tam również kilka zębów polarnego lisa i przynajmniej jeden ząb niedźwiedzia. Trzymała długą, rzeźbioną laskę, podobną do Laski Mówcy, jakiej używał Talut, kiedy były sprawy do przedyskutowania i problemy do rozwiązania. Laska pomagała utrzymać dyskusję pod kontrolą. Każdy, kto ją trzymał, miał prawo mówić, a kiedy ktoś inny chciał zabrać głos, musiał najpierw poprosić o laskę.

Jeszcze coś zdawało mu się znajome w tej lasce, ale nie całkiem wiedział, co. Czy to mogła być rzeźba? Przedstawiała stylizowaną postać siedzącej kobiety z koncentrycznymi kołami symbolizującymi piersi i brzuch oraz dziwną, trójkątną głową, zwężającą się do podbródka, i twarzą o tajemniczych rysach. Nie była podobna do rzeźb Mamutoi, ale był pewien, że już to gdzieś widział.

Kilka kobiet otaczało Attarowę. Pozostałe, których przedtem nie zauważył, kilka z nich z dziećmi, stały w pobliżu. Attaroa obserwowała go przez chwilę; potem zaczęła mówić, patrząc prosto na niego. Ardemun, który trzymał się nieco na uboczu, zaczął kulawo tłumaczyć na zelandonii. Jondalar już chciał zaproponować, żeby mówił w mamutoi, ale wtrąciła się S'Armuna, powiedziała coś do Attaroi i potem spojrzała na niego.

- Ja będę tłumaczyć - powiedziała.

Attaroa skomentowała to drwiącym tonem i kobiety wokół niej roześmiały się, ale S'Armuna nie przetłumaczyła jej słów.

- Mówiła do mnie - ucięła z kamiennym wyrazem twarzy. Siedząca kobieta przemówiła znowu, tym razem do Jondalara.

- Mówię teraz jako Attaroa - wyjaśniła S'Armuna i zaczęła tłumaczyć. - Dlaczego przyszedłeś tutaj?

- Nie przyszedłem dobrowolnie. Przyniesiono mnie tutaj, związanego - odparł Jondalar, a S'Armuna tłumaczyła niemal natychmiast jego słowa. - Jestem w podróży. A raczej byłem. Nie rozumiem, dlaczego zostałem związany Nikomu do głowy nie przyszło, by

mi to powiedzieć.

- Skąd przyszedłeś? - spytała Attaroa, ignorując jego słowa.

- Ostatnią zimę spędziłem z Mamutoi.

- Kłamiesz! Przyszedłeś z południa.

- Przyszedłem drogą okrężną. Chciałem odwiedzić krewnych, którzy mieszkają koło Wielkiej Matki Rzeki na południowym krańcu wschodnich gór.

- Znowu kłamiesz! Zelandonii mieszkają daleko na zachód stąd. Jak możesz mieć krewnych na wschodzie?

- To nie jest kłamstwo. Podróżowałem razem z bratem. Sha-ramudoi serdecznie nas przyjęli, zupełnie inaczej niż S'Armunai. Mój brat połączył się tam z kobietą. Przez jego małżeństwo są moimi krewnymi.

Potem, pełen słusznego oburzenia, mówił dalej. To była pierwsza okazja mówienia do kogoś, kto słuchał.

- Czy nie wiecie, że ludzie w podróży mają prawo swobodnego przejścia? Większość ludzi chętnie przyjmuje gości. Opowiadają sobie wzajem historie, dzielą się z gośćmi. Ale nie tutaj! Tutaj uderzono mnie w głowę i chociaż jestem ranny, moja rana nie została opatrzona. Nikt nie dał mi wody ani jedzenia. Zabrano mi wierzchnie okrycie i nie oddano, kiedy zmuszono mnie do wyjścia na dwór.

Im więcej mówił, tym większa złość go ogarniała. Potraktowano go bardzo źle.

- Potem wyprowadzono mnie na mróz i kazano stać. Żaden inny lud w całej długiej podróży tak mnie nie traktował. Nawet zwierzęta równin dzieliły się swoimi pastwiskami, swoją wodą. Co z was za ludzie?

Attaroa przerwała mu.

- Dlaczego próbowałeś ukraść nasze mięso? - Gotowała się z wściekłości, ale starała się tego nie pokazać. Chociaż wiedziała, że wszystko, co powiedział, jest prawdą, nie chciała, by jej mówiono, że jest gorsza od innych, szczególnie w obecności jej ludzi.

- Nie próbowałem ukraść wam mięsa. - Jondalar żywo zaprzeczył oskarżeniu. Tłumaczenie S'Armuny było tak płynne i szybkie, a jego potrzeba komunikacji tak wielka, że niemal zapomniał o istnieniu tłumaczki. Miał wrażenie, że rozmawia bezpośrednio z Attaroa.

- Kłamiesz! Widziano cię, jak podbiegłeś do stada, na które polowaliśmy, z oszczepem w dłoni.

- Nie kłamię! Próbowałem tylko uratować Aylę. Była na grzbiecie jednego z tych koni i nie mogłem im pozwolić na zabranie jej ze sobą.

- Ayla?

- Nie widzieliście jej? To kobieta, z którą podróżuję. Attaroa roześmiała się.

- Podróżowałeś z kobietą, która jeździ na grzbietach koni? Jeśli nie jesteś podróżującym bazarzem, to minąłeś się z powołaniem. - Pochyliła się do przodu i wskazując go palcem, zawyrokowała: - Wszystko, co powiedziałaś, jest nieprawdą. Jesteś kłamcą i złodziejem!

- Nie jestem ani kłamcą, ani złodziejem! Powiedziałem prawdę i niczego nie ukradłem - odparł Jondalar z mocą. Jednak w głębi ducha nie umiał jej właściwie winić za niewiarę. O ile ktoś nie widział Ayli, jak mógł uwierzyć, że podróżowali na końskich grzbietach? Zaczął się martwić, jak przekonać Attaroę, że nie kłamie i że nie chciał im zepsuć polowania. Gdyby znał całą prawdę o swojej sytuacji, zaniepokoiłby się znacznie bardziej.

Attaroa przyglądała się wysokiemu, muskularnemu, przystojnemu mężczyźnie, który stał przed nią, owinięty w skóry, jakie zerwał ze swojej klatki. Widziała jego blond brodę, odrobinę ciemniejszą od włosów, i oczy o niezwykle żywym, niebieskim kolorze. Czuła do niego silny pociąg, lecz stan ten wywołał bolesne wspomnienia, długo tłumione, i sprowokował potężną, ale dziwnie spaczoną reakcję. Nie mogła sobie pozwolić na pożądanie jakiegokolwiek mężczyzny, ponieważ uczucia do niego mogłyby dać mu możliwość panowania nad nią - a nigdy więcej nie pozwoli nikomu, szczególnie mężczyźnie, zapanować nad sobą.

Zabrała mu kurtę i zostawiła na mrozie z tej samej przyczyny, dla której nie dała mu żywności i wody. Za pomocą głodu i chłodu łatwiej było nad mężczyznami panować. Póki mieli siłę na opór, trzeba ich było wiązać. Mężczyzna z Zelandonii jednak sam owinał się w skóry, których nie powinien był dostać, i nie wykazywał żadnego strachu - myślała. Spójrzcie tylko na niego, jak tu stoi, taki pewny siebie. Był tak oporny i pewny siebie, że nawet odważył się krytykować ją przy wszystkich, włącznie z mężczyznami z Zagrody. Nie kulił się ze strachu, nie błagał o nic ani nie starał się jej przypodobać, tak jak oni. Przysięgła sobie, że będzie robił to wszystko, zanim z nim skończy. Była zdecydowana złamać go. Pokaże im wszystkim, jak obchodzić się z takim jak on mężczyzną, a potem... on umrze.

Ale zanim go złamię - powiedziała sobie - pobawię się z nim przez chwilę. Ponadto to bardzo silny mężczyzna i trudno będzie nad nim zapanować, jeśli postanowi stawić opór. Teraz jest podejrzliwy, muszę więc uspić jego czujność. Trzeba go osłabić. S'Armuna będzie wiedziała, jak. Attaroa skinęła na szamankę i powiedziała jej coś na osobności. Potem spojrzała na Jondalara i uśmiechnęła się, ale był to tak złowieszczy uśmiech, że dreszcz mu przeszedł po plecach.

Jondalar zagrażał nie tylko jej przywództwu, zagrażał całemu ułomnemu światu, który

stworzyła swym chorym umysłem. Zagroził nawet jej chwiejnemu poczuciu rzeczywistości, które ostatnio było coraz mniej pewne.

- Chodź ze mną - powiedziała S'Armuna po rozmowie z Attaroa.

- Dokąd idziemy? - spytał Jondalar, idąc obok niej. Za nimi postępowały dwie kobiety z oszczepami.

- Attaroa chce, żebyś opatrzyła twoją ranę.

Zaprowadziła Jondalara do pomieszczenia na skraju osady, podobnego do dużej ziemianki, przed którą siedziała Attaroa, ale nieco mniejszego i z wyżej sklepionym dachem. Niskie, wąskie wejście wiodło przez krótki korytarzyk do drugiego, niskiego otworu. Jondalar musiał się schylić i przejść kilka kroków na przygiętych kolanach, potem zszedł trzema schodkami w dół. Nikt, poza dzieckiem, nie mógł tu wejść bez pochylenia się, ale w środku Jondalar wyprostował się na całą swoją wysokość i jeszcze miał przestrzeń nad głową. Dwie kobiety, które szły za nimi, zostały na zewnątrz.

Kiedy wzrok przyzwyczał mu się do mrocznego wnętrza, zobaczył pod ścianą platformę-pośłanie. Była pokryta białym futrem jakiegoś zwierzęcia - rzadkie i niezwykle białe zwierzęta uważane były wśród jego ludzi za święte, a w czasie podróży odkrył, że również przez innych. Suszone zioła zwisały z sufitu i rozpięte były na stojakach, a wiele koszy i mis na półkach wokół ścian zawierało prawdopodobnie ich jeszcze więcej. Każdy Mamut czy Zelandoni mógł się tu wprowadzić i czuć całkowicie jak w domu, poza jedną rzeczą. Wśród większości ludów ognisko czy miejsce zamieszkania Tego Który Służy Matce było miejscem ceremonii lub przylegało do takiego miejsca, a na większej przestrzeni zatrzymywali się również goście. To jednak nie było przestronne i zapraszające miejsce do wspólnych zajęć i dla gości. Miało się tu uczucie zamknięcia i skrytości. Jondalar był pewien, że S'Armuna mieszka tu sama i że inni ludzie rzadko wchodzi do jej królestwa.

Patrzył, jak wygrzebuje żar z ogniska, dodaje łajna i kilka kawałków chrustu i wlewa wodę do workowatego pojemnika z żołądka zwierzęcia, który był przytwierdzony do ramy z kości. Z kosza na jednej z półek wyjęła garść suszonych ziół, dodała do wody i kiedy płyn zaczął przesączać się przez ścianki pojemnika, przesunęła go bezpośrednio nad płomień. Jak długo był w nim płyn, nawet gotujący się, worek nie chwyci ognia.

Jondalar nie wiedział, co wsypała, ale zapach, jaki uniósł się z garnka, był mu znany i z jakiegoś powodu przypominał dom. Nagle przypomniał sobie. Taki zapach często dochodził z ogniska Zelandonii. Używali tego roztworu do przemywania ran.

- Świetnie mówisz w moim języku. Długo mieszkająś wśród Zelandonii?

S'Armuna podniosła głowę i zdawała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Wiele lat.

- Wiesz więc, jak Zelandonii przyjmują gości. Nie rozumiem tych ludzi. Co takiego mogłem zrobić, żeby zasłużyć na takie traktowanie? Korzystałaś z gościnności Zelandonii - dlaczego nie powiedziałaś swoim ludziom o prawie swobodnego przejścia i o uprzejmości wobec przybyszów? Tak naprawdę to jest to coś więcej niż uprzejmość, to obowiązek.

Jedyną odpowiedzią S'Armuna było drwiące spojrzenie.

Wiedział, że w ten sposób nie poprawi swojej sytuacji, ale nadal był tak zdumiony tym, co się wokół niego działo, że odczuwał niemal dziecienną potrzebę wyjaśnienia, jak rzeczy powinny wyglądać, jak gdyby już to wystarczyło do ich właściwego ustawienia. Zdecydował się na inne podejście.

- Ciekaw jestem, czy znałaś moją matkę, skoro tak długo tam mieszkałaś. Jestem synem Marthony... - Mówiłby dalej, ale powstrzymał go wyraz jej nieco zniekształconej twarzy. Widać było na niej taki szok, że jej rysy wykrzywiły się jeszcze bardziej.

- Jesteś synem Marthony, urodzonym przy ognisku Jocona-na - powi odziała, bardziej jako stwierdzenie niż pytanie.

- Nie, to mój brat, Joharran. Ja jestem urodzony przy ognisku Dalanara, mężczyzny, z którym połączyła się później. Znałaś Joconana?

- Tak. - S'Armuna patrzyła w ziemię, a potem spojrzała na skórzany garnek, w którym płyn był bliski zagotowania się.

- Więc musiałaś również znać moją matkę! - Jondalar był podniecony. - Jeśli znasz Marthone, to wiesz, że nie jestem kłamcą. Nigdy nie wychowałaby dziecka na kłamcę. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie - nie jestem nawet pewien, czy sam bym w to uwierzył, gdybym tego nie widział - ale kobieta, z którą podróżowałem, siedziała na grzbiecie jednego z tych koni zaganianych do przepaści. Tego konia wychowała od źrebaka i on nie należał do stada. A teraz nie wiem nawet, czy żyje. Musisz powiedzieć Attaroi, że nie kłamię! Muszę jej poszukać. Muszę wiedzieć, czy nadal żyje!

Żarliwe błagania Jondalara nie wywołały żadnej reakcji. Kobieta nie oderwała nawet wzroku od worka gotującej się wody. Niemniej jednak, w odróżnieniu od Attaroi, nie wątpiła w prawdę jego słów. Jedna z polujących powiedziała jej, że widziała kobietę, która jechała na koniu. Bała się, że to mógł być duch. S'Armuna sądziła, iż jest coś z prawdy w opowieści Jondalara, ale zastanawiała się, czy chodzi o rzeczywistość, czy coś nadnaturalnego.

- Znałaś Marthone, prawda? - spytał Jondalar, podchodząc do ogniska, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Już przedtem udało mu się zmusić ją do reakcji przez powołanie się na swoją matkę.

Spojrzała na niego, ale jej twarz była bez wyrazu.

- Tak, kiedyś znałam Marthone. Kiedy byłam młoda, posłano mnie na naukę do Zelandoni Dziewiątej Jaskini. Siadaj tu -poleciała. Odsunęła ramę od ognia, odwróciła się i sięgnęła po miękką skórkę. Drgnął z bólu, kiedy zaczęła przemywać mu ranę odkażającym roztworem, który przygotowała, ale był pewien, że jej leki są skuteczne. Nauczyła się uzdrowicielstwa od jego ludzi.

Po oczyszczeniu rany S'Armuna dokładnie się jej przyjrzała.

- Byłeś ogłuszony przez chwilę, ale to nic groźnego. Samo się zagoi. - Odwróciła wzrok i powiedziała: - Ale chyba boli cię głowa. Dam ci coś na to.

- Nie, niczego mi teraz nie potrzeba, ale jestem spragniony. Tak naprawdę, to chcę tylko wody Czy mogę się napić z twojego bukłaka? - Jondalar podszedł do dużego, wilgotnego worka, z którego przedtem nalała wody do garnka. - Nabiorę ci potem wody, jeśli zechcesz. Czy masz jakiś kubek, którego mógłbym użyć?

Zawahała się, ale zdjęła kubek z półki.

- Gdzie mogę napełnić bukłak? - spytał, kiedy zaspokoił już pragnienie. - Czy jest w pobliżu jakieś specjalne miejsce?

- Nie martw się o wodę.

Podszedł bliżej i spojrzał na nią. Zrozumiał, że nie pozwoli mu na swobodę ruchów; nawet na tyle, by mógł nacerpać wody.

- Wiesz, S'Armuna, że nie próbowaliśmy polować na te konie. A nawet gdyby tak było, Attaroa powinna wiedzieć, że ofiarowalibyśmy coś jako zadośćuczynienie. Chociaż to całe stado w przepaści powinno dostarczyć dość mięsa dla wszystkich.

Mam tylko nadzieję, że nie ma wśród nich Ayli. S'Armuna, muszę pójść jej poszukać!

- Kochasz ją, prawda? - spytała S'Armuna.

- Tak, kocham ją. - Zobaczył, że wyraz jej twarzy znowu się zmienił. Teraz był w nim element złośliwego zadowolenia i goryczy, ale również coś innego, miększego. - Byliśmy w drodze do domu, żeby się tam połączyć. Chciałem także powiedzieć matce o śmierci mojego młodszego brata, Thonolana. Razem zaczęliśmy tę podróż, ale on... umarł. Będzie bardzo rozpaczala. Utrata dziecka to ciężki cios.

S'Armuna skinęła głową, ale się nie odezwała.

- Ten pogrzeb, co się zdarzyło tym młodym ludziom?

- Nie byli o wiele młodszy od ciebie - powiedziała S'Armuna - dość dorośli, by nie podjąć błędnych decyzji. Jondalar miał wrażenie, że jest zażenowana.

- Dlaczego zmarli? - spytał.

- Zjedli coś, co im zaszkodziło.

Jondalar nie wierzył, że wyjawiała mu całą prawdę, ale zanim mógł powiedzieć coś jeszcze, podała mu płachtę, którą się okrywał, i zaprowadziła do dwóch kobiet, które pilnowały wejścia. Maszerowały u jego boków, ale tym razem nie zabrały go z powrotem do ziemianki. Zamiast tego podprowadziły go do palisady i furka otwarła się na tyle, by mogły go przez nią wepchnąć.



Ayla popijała herbatę przy rozpalonym po południu ognisku i niewidzącymi oczyma wpatrywała się w porośnięty trawą teren. Zatrzymała się, żeby dać Wilkowi trochę odpoczynku, i zauważyła dużą formację skał na północnym wschodzie, odcinającą się na tle niebieskiego nieba. Kiedy jednak skały wapienne pokryły mgły i chmury, przestała na nie zwracać uwagę, a jej niepokój o Jondalara wzrósł.

Dzięki jej umiejętności tropienia oraz doskonałości czułego nosa Wilka udało im się iść po śladach ludzi, którzy - była tego pewna - zabrali Jondalara. Po zejściu ze wzgórza północną stroną skręcili na zachód, aż doszli do rzeki, którą ona i Jondalar przekroczyli wcześniej. Jednak ci ludzie nie przeprawili się na drugą stronę. Znowu skręcili na północ, wzdłuż rzeki, zostawiając łatwy do wyśledzenia trop.

Pierwszej nocy Ayla obozowała nad rzeką i następnego dnia ruszyła dalej po śladach. Nie była pewna, ilu ludzi śledziła, ale od czasu do czasu dostrzegała wiele odcisków stóp na błotnistym brzegu rzeki i nawet już rozpoznawała kilka z nich. Żaden jednak nie był odciskiem dużych stóp Jondalara i zaczęła się zastanawiać, czy nadal był z nimi. Przypomniała sobie jednak, że od czasu do czasu kładli na ziemi coś ciężkiego, co przygniatało trawę albo zostawiało odcisk w kurzu czy wilgotnej ziemi, i była pewna, że od samego początku widziała ten ślad, razem z odciskami stóp innych ludzi. Uznała, że nie mogło to być końskie mięso, ponieważ konie spadły w przepaść, a ten ładunek znoszono z samej góry. Doszła do wniosku, że musi to być człowiek niesiony na pewnego rodzaju noszach. Na tę myśl poczuła ulgę, ale i niepokój.

Jeśli musieli go nosić, to znaczy, że nie może chodzić sam, a więc krew, którą znalazła, istotnie pochodziła z poważnej rany. Z pewnością jednak nie zawracaliby sobie głowy dźwiganiem go, gdyby już nie żył. Doszła do wniosku, że żyje, ale jest poważnie ranny, i miała nadzieję, że zabierają go do miejsca, w którym ktoś opatrzy jego rany. Ale dlaczego w ogóle ktoś go zranił?

Ludzie, za którymi szła, poruszali się szybko i Ayla wiedziała, że zostaje w tyle. Znaki pokazujące drogę, którą szli, nie zawsze były łatwe do znalezienia, co bardzo ją opóźniało, a również Wilk nie mógł biec zbyt prędko. Nie była zaś pewna, czy bez niego potrafiłaby w ogóle dojść aż tak daleko. Bała się, że zgubiłaby trop, szczególnie na kamienistych terenach, gdzie właściwie nie było widać żadnych śladów. Co ważniejsze jednak, nie chciała zostawiać Wilka i ryzykować, że straci także jego. Niemniej jednak odczuwała silną potrzebę pośpiechu

i była wdzięczna, że Wilk wydawał się zdrowszy z każdym dniem.

Tego ranka obudziła się z silnym przecuciem czegoś złego, lecz cieszyło ją, że Wilk wydawał się chętny do wymarszu, ale po południu zobaczyła, że męczy się i odstaje. Postanowiła zatrzymać się, zrobić sobie herbatę i dać mu czas na odpoczynek, a koniom możliwość popasu.

Wkrótce po ponownym wyruszeniu w drogę doszła do rozgałęzienia rzeki. Bez trudu przeszła przedtem przez kilka małych strumyków, spływających z wyżyn, ale nie była pewna, czy powinna przekraczać tę rzekę. Już od dłuższego czasu nie widziała śladów i nie wiedziała, czy wybrać wschodnią odnogę, czy przepawić się przez nią i iść wzdłuż zachodniej. Przez chwilę trzymała się wschodniej odnogi, zbliżając się do niej i oddalając w próbie znalezienia śladów, a tuż przed zmrokiem zobaczyła niezwykle widok, który jasno pokazał jej, w którą stronę iść. Nawet w zapadającym zmroku zorientowała się, że sterzące z wody słupy zostały tam celowo umieszczone. Wbito je w dno rzeczne obok szeregu umocowanych przy brzegu kłód. Dzięki temu, czego nauczyła się u Sharamudoi, potrafiła rozpoznać to jako dość prostą przystań dla jakiegoś rodzaju łodzi. Zaczęła rozkładać obok swój obóz, ale zmieniła zamiar. Nie wiedziała nic o ludziach, za którymi szła, poza tym, że zranili i zabrali Jondalara. Nie chciała, żeby zaskoczyli ją w czasie snu. Rozbiła obóz za zakrętem rzeki.

Rano dokładnie zbadała wilka przed wejściem do rzeki. Rzeka nie była specjalnie szeroka, ale głęboka i zimna. Wilk będzie musiał ją przepłynąć. Potłuczenia były nadal bolesne przy dotyku, ale zwierzę było w znacznie lepszym stanie i chętnie do drogi. Zdawało się, że tak jak i ona chce znaleźć Jondalara.

Nie po raz pierwszy zdecydowała się na zdjęcie spodni przed przeprawą, żeby się nie zamoczyły. Nie chciała tracić czasu na suszenie odzieży. Ku jej zdziwieniu Wilk nie wahał się przed wejściem do wody. Zamiast biegać tam i z powrotem po brzegu wskoczył i popłynął za nią, jakby nie chciał jej tracić z oczu. Kiedy dotarli do przeciwległego brzegu, Ayla zeskoczyła z Whinney i nałożyła nogawice w pewnej odległości od zwierząt, żeby jej nie zamoczyły swoim otrząsaniem się. Jeszcze raz zbadała Wilka, po prostu, żeby się upewnić, chociaż nie było widać żadnych oznak bólu, kiedy energicznie otrząsał się z wody. Natychmiast zaczął szukać tropu. Nieco poniżej miejsca, w którym się przeprawili, znalazł tratwę, używaną przez tych, których śledziła, do przepraw przez rzekę. Była ukryta w zaroślach i drzewach rosnących nad wodą. Ayli zabrało jednak chwilę, zanim zrozumiała, co to jest. Zakładała, że ci ludzie używali łodzi podobnej do łodzi Sharamudoi - pięknie wykonanych dłubanek, z wdzięcznie zakończonymi dziobem i rufą, może topornych, ale

praktycznych łodzi, jak ich miskowa łódka. Jednak Wilk natknął się na platformę z okorowanych pni, a czegoś takiego nigdy nie widziała. Kiedy zrozumiała jej przeznaczenie, doszła do wniosku, że pomysł jest całkiem sprytny, choć wygląd miała niezgrabny. Wilk z zainteresowaniem obwąchiwał toporną tratwę. W pewnym miejscu zatrzymał się i zaczął warczeć.

- Co tam jest, Wilk? - spytała Ayla. Przyjrzała się, zobaczyła brązową plamę na jednym z pni i zbladła ze strachu. Była to zaschnięta krew, prawdopodobnie krew Jondalara. Poklepała Wilka po łbie. - Znajdziemy go - powiedziała, starając się uspokoić nie tylko Wilka, ale i samą siebie, choć wcale nie była pewna, że znajdą go żywego.

Trop, który wiódł od tratwy, ciągnął się między polami wysokiej, suchej trawy i krzaków i było go znacznie łatwiej znaleźć. Problem polegał na tym, że był to tak często używany szlak, iż nie mogła być pewna, że nim właśnie poszli ludzie, których tropiła. Wilk prowadził, za co Ayla miała wkrótce okazję być bardzo wdzięczna. Nie uszli zbyt daleko ścieżką, kiedy zatrzymał się nagle, podniósł łeb i obnażył kły.

- Wilk? Co to jest? Czy ktoś idzie? - Ayla natychmiast sprowadziła Whinney ze ścieżki i poszła w kierunku gęstych zarośli, dając Wilkowi znak, by szedł za nią. Zeskoczyła z grzbietu kobyły, gdy tylko przesłoniły ich wysokie, nagie gałęzie i trawa, chwyciła postronek Zawodnika i ustawiła go za kobyłą, ponieważ niósł pakunki, a sama schowała się między konie. Przyklękła na jednym kolanie, objęła kark Wilka, żeby stał spokojnie, i czekała.

Nie myliła się w ocenie sytuacji. Wkrótce dwie młode kobiety przebiegły ścieżką, najwyraźniej kierując się ku rzece. Dała sygnał Wilkowi, by został razem z końmi, a sama zaczęła się skradać za nimi, pełznąć przez trawę, kryjąc się w zaroślach i używając wszystkich umiejętności myśliwskich, jakich nauczyła się jako mała dziewczynka, kiedy śledziła drapieżniki.

Kobiety znalazły tratwę i rozmawiały ze sobą. Choć nie znała języka, zauważyła jego podobieństwo do mamutoi. Nie była w stanie ich zrozumieć, ale sądziła, że złapała znaczenie jednego czy dwóch słów. Kobiety zepchnęły tratwę do wody i wyciągnęły dwa długie, ukryte pod nią drągi. Przywiązały jeden koniec dużego zwoju sznura wokół drzewa i weszły na tratwę. Jedna odpychała tratwę drągiem, a druga wolno puszczała sznur. Kiedy zbliżyły się do drugiego brzegu, gdzie prąd nie był taki szybki, zaczęły pchać tratwę pod prąd, aż dotarły do przystani. Sznurami przywiązanymi do tratwy umocowały ją do sterczących z wody pali i weszły na pomost z kłód. Zostawiły tratwę i pobiegły ścieżką, którą dopiero co szła Ayla.

Wróciła do zwierząt i zaczęła się zastanawiać, co robić. Była pewna, że kobiety wkrótce wrócą, ale "wkrótce" mogło oznaczać, że tego samego dnia albo następnego, albo

nawet za dwa dni. Chciała znaleźć Jondalara tak szybko, jak to tylko możliwe, ale nie chciała iść dalej szlakiem, na którym mogłyby ją dogonić. Nie chciała również otwarcie podejść do nich, dopóki się czegoś więcej o nich nie dowie. Zdecydowała wreszcie poszukać miejsca, w którym mogłaby poczekać na nie, ale tak, żeby one jej nie zobaczyły.

Była zadowolona, że jej wyczekiwanie nie trwało zbyt długo. Po południu zobaczyła kobiety wracające wraz z wieloma innymi ludźmi. Wszyscy nieśli poćwiartowane mięso końskie. Mimo obciążenia poruszali się zadziwiająco szybko. Kiedy podeszli bliżej, Ayla zdała sobie sprawę z tego, że w grupie myśliwych nie było ani jednego mężczyzny. Wszystkimi myśliwymi były kobiety! Obserwowała, jak załadowały mięso na tratwę i jak popychały ją palami do przeciwległego brzegu. Po rozładowaniu ukryły tratwę, ale zostawiły sznur przeciągnięty przez rzekę, co ją zastanowiło.

Znowu zaskoczyło ją szybkie tempo ich marszu. Zniknęły niemal natychmiast. Odczekała chwilę, zanim poszła za nimi, i trzymała się na sporą odległość.

Jondalara oburzyły warunki, jakie panowały za palisadą. Jedynym schronieniem było dość duże, prymitywne zadaszenie, które nie najlepiej chroniło przed deszczem czy śniegiem, a od wiatru osłaniał jedynie płot. Nie paliły się ogniska, było bardzo mało wody i nie było żadnej żywności. W zagrodzie znajdowali się tylko mężczyźni i widać było po nich efekty przebywania w tak złych warunkach. Kiedy wyszli spod zadaszenia, żeby popatrzeć na niego, zobaczył, że są chudzi, brudni i marnie ubrani. Żaden z nich nie miał dość ciepłego ubrania na tę pogodę i prawdopodobnie musieli kulić się pod zadaszeniem, starając się wzajemnie ogrzać. Rozpoznał jednego czy dwóch z marszu na pogrzeb i zastanawiał się, dlaczego mężczyźni i chłopcy żyli w takim miejscu. Nagle kilka zdumiewających rzeczy ułożyło się w całość: postawa kobiet z oszczepami, dziwne komentarze Ardemuna, zachowanie mężczyzn idących na pogrzeb, małomówność S'Armuny, opóźnione opatrzenie jego rany i ogólnie brutalne traktowanie go. Może nie było to wynikiem nieporozumienia, które da się wyjaśnić, gdy tylko przekona Attarę, że nie kłamie. Wniosek, który się narzucał, wydawał się absurdalny, ale pełen sens sytuacji dotarł do niego z taką siłą, że musiał uwierzyć. Było to tak oczywiste, że zastanawiał się, dlaczego potrzebował tyle czasu na zrozumienie tego. Kobiety trzymały tutaj mężczyzn wbrew ich woli!

Ale dlaczego? Marnotrawstwem było trzymanie bezczynnie ludzi, którzy mogliby przyczynić się do zapewnienia dobrobytu całej społeczności. Pomyślał o kwitjącym Obozie Lwa Mamutoi, w którym Talut i Tulie organizowali niezbędne czynności obozu dla powszechnej korzyści. Każdy miał swój wkład, a jeszcze znajdowali czas na pracę nad

własnymi pomysłami.

Attaroa! Ile z tego jest jej dziełem? Była niewątpliwie przywódczynią tego obozu. Nawet jeśli nie ona jest za to odpowiedzialna, to co najmniej wydawała się zdecydowana, by utrzymać tę dziwną sytuację. Ci mężczyźni powinni polować i zbierać żywność - myślał Jondalar - kopać ziemne schowki, budować nowe domostwa i naprawiać stare; dawać coś społeczności, zamiast kulić się razem w próbie utrzymania ciepła. Nic dziwnego, że ci ludzie polowali na konie o tak późnej porze roku. Czy w ogóle mieli dość zmagazynowanej na zimę żywności? I dlaczego polowali tak daleko, skoro tuż pod ręką mieli tak wspaniałe tereny myśliwskie?

- Jesteś z Zelandonii - powiedział w mamutoi jeden z mężczyzn. Jondalarowi zdawało się, że już go widział. Był jednym z tych, którzy w drodze na pogrzeb mieli związane ręce.

- Tak. Jestem Jondalar z Zelandonii.

- Jestem Ebulan z S'Armunai - odparł tamten i dodał z sarkazmem: - W imieniu Muni, Matki Wszystkich, pozwól mi powitać cię w Zagrodzie, jak Attaroa nazywa to miejsce. Mamy na nie wiele innych nazw: Obóz Mężczyzn, Zamarznięte Podziemia Matki, Pułapka na Mężczyzn. Wybierz sobie, które ci się podoba.

- Nie rozumiem. Dlaczego tu jesteście? - spytał Jondalar.

- To długa historia, ale w zasadzie zamknięto nas tu wszystkich takim czy innym podstępem - powiedział Ebulan. Mówił dalej z ironicznym grymasem: - Podstępem nawet zmuszono nas do zbudowania tego miejsca.

- Dlaczego po prostu nie przejdziecie przez płot, żeby się stąd wydostać?

- I nadziać na Epadoę i jej oszczepniczki? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Olamun ma rację. Ponadto nie jestem pewien, ilu z nas jeszcze dałoby radę - dodał Ebulan. - Attaroa lubi utrzymywać nas w stanie wyczerpania... albo jeszcze gorzej.

- Gorzej? - spytał Jondalar, marszcząc czoło.

- Pokaż mu, S'Amodun. - Ebulan zwrócił się do wysokiego, potwornie chudego mężczyzny o siwych, matowych włosach, z długą, niemal białą brodą. Rysy miał silne i wyraziste z długim, ostrym nosem i gęstymi brwiami, podkreślonymi przez wymirowaną twarz, ale uwagę przyciągały jego oczy. Były zniewalające, równie ciemne jak oczy Attaroi, ale zamiast złośliwości malowała się w nich starodawna mądrość, tajemnica i współczucie. Jondalar nie wiedział, co było w tym człowieku - jego sposób noszenia się i zachowania - ale wyczuwał, że ów mężczyzna wzbudzał wielki szacunek, nawet w tych fatalnych warunkach.

Starzec skinął głową i poprowadził go pod zadaszenie. Kiedy zbliżyli się, Jondalar zobaczył, że wewnątrz było kilku ludzi. Pochylił się pod ukośny dach i w nozdrza uderzył go

straszliwy smród. Na desce, prawdopodobnie oderwanej z dachu, leżał mężczyzna przykryty tylko kawałkiem porwanej skóry. Starzec podniósł przykrycie i odsłonił zaropiałą ranę w jego boku. Jondalar przeraził się.

- Dlaczego ten człowiek jest tutaj?

- To zrobiły oszczepniczki Epadoi - powiedział Ebulan.

- Czy S'Armuna wie o tym? Mogłaby mu pomóc.

- S'Armuna! Ha! Dlaczego myślisz, że chciałaby? - odezwał się Olamun, który wszedł wraz z innymi. - Jak sądzisz, kto na początku pomógł Attaroi?

- Ale opatrzyła moją ranę - zaproponował Jondalar.

- Więc Attaroi musi mieć jakieś plany w stosunku do ciebie - odparł Ebulan.

- Plan? O co ci chodzi?

- Lubi zmuszać do pracy mężczyzn, którzy są młodzi i silni, pod warunkiem że nad nimi panuje - wyjaśnił Olamun.

- A jeśli ktoś nie chce dla niej pracować? - spytał Jondalar. - Jak może go zmusić?

- Nie dając wody ani jedzenia. A jeśli to nie wystarcza, to grozi jego rodzinie - odparł Ebulan. - Kiedy wiesz, że mężczyzna twojego ogniska albo twój brat zostaną wpakowani do klatki bez jedzenia i picia, zrobisz to, czego ona chce.

- Klatki?

- Miejsca, gdzie ciebie trzymały - wytłumaczył Ebulan. Potem uśmiechnął się ironicznie. - Tam, gdzie dostałeś ten wspaniały płaszcz. - Inni też się uśmiechali.

Jondalar spojrział na podartą skórę, którą zerwał z budowli wewnątrz ziemianki i owinął wokół ciała.

- To był dobry numer! - rzekł Olamun. - Ardemun powiedział nam, że niemal rozwaliłeś klatkę. Myślę, że tego się nie spodziewała.

- Następnym razem zrobi mocniejszą klatkę - odezwał się inny mężczyzna. Było oczywiste, że nie znał mamutoi zbyt dobrze. Ebulan i Olamun mówili tak płynnie, że Jondalar zapomniał, iż mamutoi nie jest językiem ojczystym tych ludzi. Kilku innych znało jednak ten język, a większość zdawała się go rozumieć.

Leżący na ziemi człowiek jęknął i starzec uklęknął przy nim. Jondalar dostrzegł jeszcze dwie postacie, głębiej pod zadaszeniem.

- To nie ma znaczenia. Gdyby nie miała klatki, groziłaby twoim krewnym, tak byś zrobił to, czego ona chce. Jeśli połączyłeś się z kobietą, jeszcze zanim została przywódczynią, i miałeś nieszcześnie, że przy twoim ognisku urodził się syn, potrafi cię zmusić do wszystkiego - powiedział Ebulan.

Jondalar nie w pełni zrozumiał, ale twarz mu się zasępiła.

- Dlaczego urodzenie syna miałoby być nieszczęściem? Ebulan zerknął na starca.

- S'Amodun?

- Spytam, czy chcą spotkać człowieka z Zelandonii - rzekł.

S'Amodun przemówił po raz pierwszy i Jondalar zastanawiał się, w jaki sposób tak głęboki i potężny głos może wydobywać się z tak wycieńzonego ciała. Podszedł na tyły zadaszenia i pochylił się nad dwiema postaciami skulonymi w miejscu, gdzie dach stykał się z ziemią. Słyszeli głębokie, miękkie tony jego głosu, ale nie słowa. Odpowiedziały mu młodsze głosy. Przy pomocy starca jedna z postaci podniosła się i pokuśtykała w ich kierunku.

- To jest Ardoban - przedstawił go starzec.

- Jestem Jondalar z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, pozdrawiam cię, Ardobanie - powiedział niezmiernie formalnie i wyciągnął obie dłonie do chłopca. Wyczuwał, że tego młodego człowieka trzeba traktować z godnością.

Chłopiec próbował wyprostować się i ująć jego ręce, ale Jondalar zobaczył, że wzdrygnął się z bólu. Sięgnął ręką, żeby go podtrzymać, ale opanował ten odruch.

- Tak naprawdę to wolę, żeby na mnie po prostu mówić Jondalar - rzekł z uśmiechem, starając się zatrzeć chwilę niezręczności.

- Nazywam się Doban. Nie lubię Ardoban. Attaroa zawsze mówi Ardoban. Chce, żebym mówił S'Attaroa. Nie mówię więcej. Jondalar patrzył zdziwiony

- To trudno przetłumaczyć. To jest forma okazywania szacunku - powiedział Ebulan. - Oznacza kogoś, kogo się bardzo szanuje.

- A Doban nie szanuje już Attaroi.

- Doban nienawidzi Attaroi! - W głosie chłopca było słycać rozpacz, odwrócił się i zaczął kuśtykać z powrotem. S'Amodun dał im znać, żeby wyszli, i podszedł mu pomóc.

- Co się z nim stało? - spytał Jondalar, kiedy znaleźli się już w pewnej odległości od zadaszenia.

- Ciągnęły go za nogę, aż wyrwały ją ze stawu w biodrze - powiedział Ebulan. - Attaroa to zrobiła, a raczej kazała to zrobić Epadoi.

- Co! - wykrzyknął Jondalar, patrząc z niedowierzaniem. - Czy chcesz powiedzieć, że umyślnie wybiły ze stawu nogę temu dziecku? Ta kobieta jest potworem?

- Zrobiła to samo temu drugiemu chłopcu, a Odevan jest młodszy.

- Jak może usprawiedliwić takie haniebne czyny?

- Z tym młodszym zrobiła to, żeby dać przykład. Matce chłopca nie podobał się sposób, w jaki Attaroa nas traktuje, i chciała mieć swojego towarzysza życia z powrotem przy

ognisku. Udawało jej się nawet zakradać tu do nas i spędzać z nim noc od czasu do czasu. Przynosiła nam także dodatkowe jedzenie. Nie była jedyną kobietą, która to robiła, ale buntowała inne kobiety. Armodan, jej mężczyzna... opierał się Attaroi, odmawiał pracy dla niej. Zemściła się na chłopcu. Powiedziała, że w wieku siedmiu lat jest już dość dorosły, by zostawić matkę i mieszkać z mężczyznami, ale najpierw wybiła mu biodro.

- Ten drugi chłopiec ma siedem lat? - spytał Jondalar, wstrząsając się ze zgrozy. - Nigdy nie słyszałem o czymś tak strasznym.

- Odevan ma bóle i tęskni za matką, ale historia Ardobana jest gorsza - powiedział S'Amodun, który wyszedł spod zadaszenia i właśnie podszedł do grupy.

- Trudno wyobrazić sobie cokolwiek gorszego.

- Myślę, że cierpi bardziej z powodu zdrady niż fizycznego bólu - powiedział S'Amodun. - Ardoban traktował Attaroe jak matkę. Jego własna matka umarła, kiedy był mały, i wzięła go Attaroe. Traktowała go jednak bardziej jak ulubioną zabawkę niż jak dziecko. Ubierała go jak dziewczynkę i przywieszała na nim różne niestosowne ozdoby, ale karmiła go dobrze i często dawała mu specjalne kąski. Czasem go nawet przytulała i pozwalała mu spać na swoim pościeli, jeśli była w dobrym nastroju. Kiedy jednak znudziła się nim, spychała go i kazała mu spać na ziemi. Kilka lat temu Attaroe zaczęła podejrzewać, że ludzie ją próbują otruć.

- Mówią, że to właśnie zrobiła swojemu towarzyszowi życia - wtrącił Olamun.

- Zmusiła Ardobana, żeby kosztował wszystkiego, zanim sama zjadła - ciągnął dalej starzec - a kiedy trochę podrośł, zaczęła go czasami przywiązywać, bo była przekonana, że ucieknie. Ale była jedyną matką, jaką miał. Kochał ją i starał się jej przypodobać. Traktował innych chłopców tak samo, jak ona traktowała mężczyzn, i zaczął im rozkazywać. Oczywiście zachęcała go do tego.

- Był nieznośny - dodał Ebulan. - Można by pomyśleć, że cały obóz był jego własnością, czynił życie innych chłopców pasmem udręki.

- Co się stało? - spytał Jondalar.

- Osiągnął wiek męskości - powiedział S'Amodun. Widząc zdziwione spojrzenie Jondalara, wyjaśnił: - Matka przyszła do niego we śnie w postaci młodej kobiety i obudziła jego męskość.

- Oczywiście. Tak się dzieje z wszystkimi młodymi mężczyznami - rzekł Jondalar.

- Attaroe dowiedziała się o tym - wyjaśniał S'Amodun - i zdawało się jej, że umyślnie stał się mężczyzną po to tylko, by jej dokuczyć. Była wściekła! Krzyczała na niego, obrzucała go strasznymi wyzwiskami i wyгнаła go do Obozu Mężczyzn, ale najpierw wybiła mu nogę



ze stawu.

- Łatwiej im to poszło z Odevanem - powiedział Ebulan. - Jest młodszy. Nie jestem nawet pewien, czy zamierzały wyłamać mu staw. Myślę, że chciały tylko, by jego matka i jej towarzysz cierpieli, słuchając krzyków dziecka, ale jak już raz się to zdarzyło, myślę, że Attaroa doszła do wniosku, iż to dobry sposób okaleczenia mężczyzny, bo łatwiej panować nad kaleką.

- Ma Ardemuna za przykład - dodał Olamun.

- Czy jemu też wyłamała nogę ze stawu? - spytał Jondalar.

- W pewnym sensie, tak - odrzekł S'Amodun. - To był wypadek, ale zdarzył się podczas próby ucieczki. Attaroa nie pozwoliła S'Armunie pomóc mu, chociaż sądzę, że S'Armuna chciała.

- Trudniej było jednak okaleczyć chłopca, który ma dwanaście lat. Walczył i krzyczał, ale to nie pomogło - mówił Ebulan. - I powiem ci, że kiedy słyszeliśmy jego krzyki bólu, nikt nie mógł już być zły na niego. Zapłacił zawiązką za swe dziecinne zachowanie.

- Czy to prawda, że ma zamiar okaleczyć wszystkich chłopców, włącznie z tym dzieckiem, co ma się urodzić, jeśli to będzie chłopiec? - spytał Olamun.

- Tak, Ardemun to powiedział - potwierdził Ebulan.

- Czy ona sądzi, że może mówić Matce, co ma zrobić? Zmusić ją do tworzenia tylko dziewczynek? - spytał Jondalar. - Sądzę, że wyzywa los.

- Może - odparł Ebulan - ale obawiam się, że jedynie sama Matka może ją powstrzymać.

- Zelandonii ma chyba rację - rzekł S'Amodun. - Myślę, że Matka już ją próbuje ostrzec. Tak mało dzieci urodziło się w ciągu ostatnich lat. Ten ostatni skandal, to okaleczanie dzieci, może przebrać miarę. Dzieci należy ochraniać, nie ranić.

- Wiem, że Ayla nie zniosłaby tego. Niczego z tego okropieństwa by nie zniosła - powiedział Jondalar. Zasepił się nagle i opuścił głowę. - Ale nie wiem nawet, czy żyje.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, wahając się przed zabraniem głosu, chociaż wszystkim cisnęło się na usta to samo pytanie. Wreszcie odważył się Ebulan.

- Czy to ta kobieta, o której mówiłeś, że umie jeździć na grzbietach koni? Musi być kobietą o wielkiej mocy, by panować nad końmi.

- Nie zgodziłaby się z tobą. - Jondalar uśmiechnął się. - Myślę jednak, że ma więcej "mocy", niż chce przyznać. Nie jeździ na wszystkich koniach, tylko na kobyle, którą wychowała, ale umie też dosiadać mojego konia. Trochę tylko jej trudniej nad nim panować. Dlatego właśnie...

- Ty też umiesz jeździć na koniach? - spytał z niedowierzaniem Olamun.

- Na jednym... no cóż, na jej koniu także, ale...

- Czy chcesz powiedzieć, że historia, którą opowiedziałeś Attaroi, jest prawdziwa?

- Oczywiście, że jest prawdziwa. Dlaczego miałbym coś takiego wymyślić? - Spojrzał na pełne sceptycyzmu twarze. -Może lepiej zacznę od początku. Ayla wychowała małą klaczkę...

- A skąd wzięła klaczkę? - spytał Olamun.

- Polowała i zabiła kobyłę, a potem znalazła jej źrebaka.

- Ale dlaczego wzięła ją na wychowanie? - spytał Ebulan.

- Ponieważ źrebak był sam i ona była sama... ale to jest długa historia. Chciała towarzystwa i zdecydowała się wziąć klaczkę. Kiedy Whinney wyrosła - Ayla nazwała konia Whinney - urodziła źrebaka. Wtedy właśnie spotkaliśmy się. Nauczyła mnie jeździć i dała mi źrebaka, żebym go trenował. Nazwałem go Zawodnik. W zelandonii to znaczy ktoś, kto szybko biega, a on lubi szybko biegać. Całą drogę od miejsca Letniego Spotkania Mamutoi wokół południowego krańca tych gór na wschodzie jechaliśmy na tych koniach. To naprawdę nie ma nic wspólnego z jakimiś specjalnymi mocami. Trzeba je tylko wychowywać od urodzenia, tak jak matka wychowuje dziecko.

- No cóż... skoro tak mówisz - powiedział Ebulan.

- Mówię tak, bo jest to prawda - odparł Jondalar, ale uznał, że nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Musieliby to zobaczyć, żeby uwierzyć, a było mało prawdopodobne, że to się kiedykolwiek zdarzy. Ayli i koni już nie było.

W tym momencie otworzyła się brama i wszyscy odwrócili się, żeby popatrzeć. Weszła Epadoa z kilkoma kobietami. Teraz, kiedy już więcej o niej wiedział, Jondalar przyjrzał się uważnie kobiecie, która okaleczyła dwoje dzieci. Nie był pewien, kto był większą ohydą: ta, która poddała pomysł, czy ta, która go wykonała. Nie miał żadnych wątpliwości, że Attaroa sama by to zrobiła. Było jasne, że coś z nią jest nie w porządku. Nie była w pełni człowiekiem. Jakiś ciemny duch musiał ukraść istotną część jej jestestwa - ale co z Epadoa? Wydawała się przy zdrowych zmysłach, lecz jakże mogła, skoro była tak okrutna i bez uczuć? Czy jej także brakowało czegoś bardzo istotnego?

Ku zaskoczeniu wszystkich za kobietami weszła Attaroa.

- Nigdy tu nie przychodzi - powiedział Olamun. - Czego może chcieć? - Przestraszyło go jej niezwykle zachowanie.

Za nią podążało wiele kobiet z parującymi tacami pieczonego mięsa oraz ciasno plecionymi koszami ze wspaniale pachnącą, pożywną zupą mięsną. Końskie mięso! Czy

wrócili myśliwi? Jondalar od bardzo dawna nie jadł końskiego mięsa. Normalnie nie pociągała go myśl o jedzeniu konia, ale teraz zapach był smakowity. Wniesiono również duże, pełne wody bukłaki i kilka kubków. Mężczyźni chciwie obserwowali procesję, ale żaden się nie poruszył z obawy, że Attaroa może zmienić zdanie. Bali się, że może to być jej kolejny okrutny dowcip: przynieść jedzenie, pokazać im i zabrać.

- Zelandonii! - powiedziała Attaroa i słowo to zabrzmiało jak rozkaz. Jondalar uważnie ją obserwował. Wyglądała niemal jak mężczyzna... no nie, niezupełnie. Rysy miała mocne i ostre, ale czysto zarysowane i kształtne. Właściwie mogłaby być piękna, gdyby nie twarde wyraz twarzy. W układzie jej warg widniało jednak okrucieństwo, a w oczach bezdusność.

S'Armuna pojawiła się u jej boku. Musiała wejść wraz z innymi kobietami, choć jej przedtem nie zauważył.

- Mówię teraz jako Attaroa - odezwała się w zelandonii.

- Sama będziesz za wiele odpowiadać - rzekł Jondalar. - Jak mogłaś na to pozwolić? Attaroa jest szalona, ale ty nie. Ty jesteś odpowiedzialna za to, co się tu dzieje. - Jego niebieskie oczy były lodowate i pełne oburzenia.

Attaroa powiedziała coś gniewnie do szamanki.

- Ona nie chce, żebyś mówił do mnie. Mam tłumaczyć jej słowa. Attaroa chce, żebyś patrzył na nią, kiedy mówisz - powiedziała S'Armuna.

Jondalar spojrział na przywódczynię i czekał, aż skończy mówić.

- Teraz mówi Attaroa: Jak podoba ci się twoje nowe... mieszkanie?

- Czy ona spodziewa się, że będzie mi się podobało? - powiedział Jondalar do S'Armuny, która unikała jego wzroku i mówiła do przywódczyni.

Złośliwy uśmiech przemknął jej po twarzy.

- Jestem pewna, że usłyszałeś już o mnie wiele rzeczy, ale nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz.

- Wierzę w to, co widzę - odparł Jondalar.

- No cóż, widzisz, że przyniosłam tu żywność.

- Nie widzę, żeby ktokolwiek jadł, a wiem, że są głodni. Uśmiechnęła się szeroko na jego słowa.

- Będą jedli i ty też musisz jeść. Będzie ci potrzebna siła. -Attaroa roześmiała się głośno.

- Nie wątpię - odrzekł Jondalar.

Attaroa nagle wyszła i dała znak szamance, by poszła za nią.

- Ty jesteś odpowiedzialna - rzucił Jondalar do pleców odchodzącej S'Armuny.

Gdy tylko brama się zamknęła, jedna z kobiet powiedziała:

- Lepiej pospieszcie się i nabierajcie, zanim zmieni zdanie. Mężczyźni rzucili się na talerze mięsa na ziemi. Kiedy podszedł S'Amodun, zatrzymał się przy Jondalarze.

- Bądź bardzo ostrożny, Zelandończyku. Przygotowuje dla ciebie coś specjalnego.

Kilka następnych dni minęło powoli. Przyniesiono trochę wody, ale bardzo mało żywności, nikomu nie pozwolono wyjść, nawet do pracy, co było niezwykle. Mężczyźni byli bardzo niespokojni, szczególnie że nawet Ardemuna trzymano w Zagrodzie. Jego znajomość wielu języków uczyniła z niego najpierw tłumacza, a potem pośrednika między Attaroa a mężczyznami. Ze względu na ułomną nogę nie uważała go już za zagrożenie, a ponadto nie był w stanie uciec. Miał większą swobodę poruszania się po obozie i często przynosił informacje o życiu poza Obozem Mężczyzn, a czasami dodatkową żywność.

Mężczyźni spędzali czas na grach i zakładali się o przyszłe zobowiązania, używali do gry małych patyczków, kamyków, a nawet kilku połamanych kawałków kości z mięsa, które dostawali. Kość goleniowa z końskiego mięsa została oczyszczona, rozłamana, żeby wydostać szpik, i odłożona do takiego właśnie celu.

Jondalar spędził pierwszy dzień uwięzienia na badaniu detali otaczającego ich płotu i wypróbowywaniu jego trwałości. Znalazł wiele miejsc, które potrafiłby wyłamać lub przejść górą, ale przez szpary widział Epadoę i jej kobiety, które ich przykładowie pilnowały. Straszliwe zakażenie rannego mężczyzny odstraszało go jednak od bezpośredniej konfrontacji. Obejrzał również zadaszanie i myślał o wielu rzeczach, które można by zrobić, żeby je naprawić i uszczelnić... gdyby tylko miał narzędzia i materiał.

Mężczyźni wyznaczyli jedno miejsce, za stertą kamieni, na załatwianie potrzeb naturalnych. Drugiego dnia Jondalar w pełni uświadomił sobie mdlący smród, który przenikał całą Zagrodę. Był znacznie gorszy koło zadaszania, gdyż zgangrenowana rana wydzieliała obrzydliwy fetor, ale nocą nie miał żadnego wyboru. Kulił się razem z innymi dla ciepła, dzieląc się swoją porwaną płachtą z tymi, którzy mieli jeszcze mniej. W ciągu następnych dni jego wrażliwość na odór stępsiała i niemal nie zauważał głodu, ale bardziej odczuwał zimno i miał trochę zawrotów głowy. Marzył o herbacie z kory wierzbowej na bóle głowy. Sytuacja zmieniła się nieco, kiedy ranny mężczyzna umarł. Ardemun podszedł do bramy i poprosił o rozmowę z Attarową lub Epadoą, żeby można było zabrać i pogrzebać zwłoki. W tym celu wypuszczono kilku mężczyzn, którym później powiedziano, że wszyscy, którzy mogą chodzić, mają przyjść na pogrzeb. Jondalar był niemal zawstydzony własnym podnieceniem na myśl o wyjściu z Zagrody, ponieważ powodem czasowego oswobodzenia była śmierć.

Na zewnątrz długie cienie późnego popołudniowego słońca padały na ziemię, podkreślając kształty odległej doliny i rzeki poniżej. Jondalar miał niemal przytłaczające poczucie piękna i wspaniałości tej otwartej przestrzeni. Jego zachwyt został przerwany bolesnym ukłuciem w ramię. Spojrzał z oburzeniem na Epadoę i trzy kobiety, które otaczały go ze swoimi oszczepami. Musiał się bardzo opanowywać, żeby ich nie odepchnąć.

- Chce, żebyś założył ręce z tyłu, by mogły je związać - powiedział Ardemun. - Nie pozwolą ci pójść bez związanych rąk.

Jondalar skrzywił się, ale posłuchał. Idąc za Ardemunem, zastanawiał się nad swoją sytuacją. Nie był nawet pewien, gdzie się znajduje ani jak długo już tu był, ale myśl o spędzeniu więcej czasu w Zagrodzie, bez żadnego zajęcia poza patrzeniem na płot, była nie do zniesienia. W taki czy inny sposób wydostanie się stąd, i to wkrótce. Wiedział, że jeśli mu się to nie uda, to niebawem nie będzie w stanie próbować. Kilka dni bez jedzenia nie stanowiło wielkiego problemu, ale jeśli miałyby to trwać dłużej, byłoby trudne. Ponadto, jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że Ayla nadal żyje, może ranna, ale żywa, musi ją szybko znaleźć. Nie wiedział jeszcze, jak tego dokona, wiedział tylko, że nie zamierza zostawać tutaj.

Przeszli spory kawałek drogi, przekroczyli strumień i zamoczyli przy tym nogi. Niedbale odprawiona ceremonia pogrzebowa zakończyła się szybko i Jondalar zastanawiał się, dlaczego Attarą w ogóle zawraca tym sobie głowę, skoro nie okazała żadnej troski, póki mężczyzna żył. Może nie umarłby, gdyby się o niego zatroszczyła. Nie znał tego mężczyzny, nie znał nawet jego imienia, widział tylko, jak cierpiał - cierpiał niepotrzebnie. Teraz go już nie było, szedł po następnym świecie, wreszcie wolny od Attaroi. Może to lepsze niż lata spędzone na oglądaniu wewnętrznej strony palisady.

Mimo że ceremonia była krótka, nogi Jondalara przemarzły w mokrym obuwiu. W drodze powrotnej uważniej patrzył na mały strumyczek, starając się znaleźć jakiś kamień, na którym mógłby stanąć, żeby nie zamoczyć nóg. Ale kiedy spojrział w dół, przestał o to dbać. Przy brzegu leżały koło siebie dwa kamienie, niemal jakby zostały tam umyślnie umieszczone. Jeden był niedużą, ale wystarczającą bułą krzemionką; drugi był okrągły i wyglądał, jakby dokładnie pasował do jego dłoni - miał znakomity kształt kamiennego młotka.

- Ardemunie - powiedział w zelandonii do idącego za nim mężczyzny. - Widzisz te dwa kamienie? - Wskazał je stopą. - Czy mógłbyś je dla mnie zdobyć? To bardzo ważne.

- To krzemień?

- Tak, a ja jestem łupaczem krzemienia.

Nagle Ardemun potknął się i upadł ciężko na ziemię. Kaleka miał trochę trudności ze wstaniem i podeszła do niego oszczep-niczka. Ostro powiedziała coś do jednego z mężczyzn,

który wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wstać. Epadoą cofnęła się, żeby zobaczyć, co zatrzymało mężczyzn. Kiedy nadeszła, Ardemun właśnie stanął na nogach i stał zawstydzony i pokorny, podczas gdy mu złorzeczyła.

Po powrocie Ardemun i Jondalar poszli na koniec Zagrody, do sterty kamieni, żeby oddać moc. Kiedy wrócili pod zadaszenie, Ardemun powiedział, że myśliwi wrócili z większą ilością końskiego mięsa, ale coś się zdarzyło w czasie powrotu drugiej grupy. Nie wiedział, co, tyle tylko, że spowodowało to poruszenie między kobietami. Wszystkie coś mówiły, ale nie udało mu się podsłuchać nic konkretnego.

Tego wieczoru znowu przyniesiono mężczyznom wodę i żywność, ale nawet kobietom, które przyniosły mięso, nie pozwolono zostać i pokroić je w plastry. Wniesiono je już podzielone na kilka kawałków i postawiono na ziemi, bez żadnych słów. Mężczyźni dyskutowali o tym w trakcie jedzenia.

- Coś dziwnego się dzieje - powiedział Ebulan w mamutoi, żeby Jondalar też zrozumiał. - Myślę, że rozkazano kobietom, żeby nam nic nie powiedziały.

- To bez sensu - odezwał się Olamun. - Nawet gdybyśmy coś wiedzieli, co możemy z tym zrobić?

- Masz rację, Olamunie, to nie ma sensu, ale zgadzam się z Ebulanem. Kobietom zakazano mówić do nas - stwierdził S'Amodun.

- Może więc teraz jest właściwa pora - rzekł Jondalar. - Jeśli kobiety Epadoi są zajęte dyskusjami, to może nie zauważą.

- Nie zauważą czego? - zapytał Olamun.

- Ardemunowi udało się zdobyć kawałek krzemienia...

- A więc o to chodziło - powiedział Ebulan. - Nie widziałem niczego, o co mógłbyś się potknąć i upaść.

- Ale co nam pomoże kawałek krzemienia? - zdziwił się Olamun. - Potrzeba narzędzi, żeby coś z tego zrobić. Przyglądałem się łupaczowi krzemieni, zanim umarł.

- Tak, ale Ardemun podniósł także młotek kamienny, a tu gdzieś jest trochę kości. To wystarczy, żeby zrobić kilka ostrzy i nadać im kształty noży i grotów oraz kilku innych narzędzi -to jest dobry kawałek krzemienia.

- Jesteś łupaczem? - spytał Olamun.

- Tak, ale będzie mi potrzebna pomoc. Trochę hałasu, który zagłuszy uderzenia kamienia o kamień - odparł Jondalar.

- Nawet jeśli zrobisz kilka noży, czego możemy z nimi dokonać? Kobiety mają oszczepy - powiedział Olamun.

- Co najmniej można nożem przeciąć sznury na rękach kogoś, kto jest związany - stwierdził Ebulan. - Jestem pewien, że zawodami czy grami możemy zagłuszyć hałas. Ale prawie już nie ma światła.

- Powinno wystarczyć. Nie zabierze mi dużo czasu zrobienie narzędzi i ostrzy. Jutro będę mógł pracować pod zadaszeniem, gdzie mnie nie zobaczą. Będę potrzebował tej kości goleniowej i kawałków drewna, i może deski z zadaszenia. Przydałyby się ścięgna, ale paski skóry będą musiały wystarczyć. Ardemunie, dobrze byłoby, gdybyś znalazł trochę piór, jak będziesz w obozie. Przydadzą mi się.

Ardemun skinął głową i spytał:

- Chcesz zrobić coś, co będzie latało? Lekki oszczep do rzucania?

- Tak, coś, co będzie latało. Będzie to wymagało starannej obróbki i zabierze trochę czasu. Myślę jednak, że mogę zrobić broń, która was zaskoczy - powiedział Jondalar.

Następnego ranka, zanim znowu zabrał się do pracy nad krzemieniem, Jondalar porozmawiał z S'Amodunem o okaleczonych chłopcach. Myślał o tym poprzedniego wieczoru i, pamiętając, z jakim zapałem Darvo uczył się obróbki krzemienia, uznał, że gdyby tych dwóch nauczyć rzemiosła, na przykład łupania krzemienia, mogliby żyć niezależnym i pożytecznym życiem pomimo swojego kalectwa.

- Z Attarą jako przywódczynią? Naprawdę myślisz, że im na to kiedykolwiek pozwoli? - spytał S'Amodun.

- Daje nieco więcej swobody Ardemunowi. Może uzna, że również ci dwaj chłopcy nie stanowią dla niej zagrożenia, i może będzie ich częściej wypuszczać z Zagrody. Nawet Attarą potrafi zrozumieć korzyści posiadania dwóch wytwórców narzędzi. Jej broń myśliwska jest marnie zrobiona - powiedział Jondalar. -I kto wie? Może nie będzie już zbyt długo przywódczynią.

S'Amodun przyglądał mu się podejrzliwie.

- Zastanawiam się, czy ty wiesz coś, o czym nam nie mówisz. Tak czy inaczej, namówię ich, żeby przyszli i obserwowali, jak pracujesz.

Poprzedniego wieczoru Jondalar pracował na zewnątrz, żeby ostre odłamki krzemienia nie padały na ziemię w jedynym schronieniu, jakie mieli. Wybrał miejsce za stertą kamieni, niedaleko miejsca na odchody. Ze względu na smród strażniczki omijały ten kraniec ogrodzenia i był on najmniej pilnowany.

Podłużne wióry, które szybko odłupał z rdzenia, były co najmniej czterokrotnie dłuższe niż szersze, miały zaokrąglone końce i stanowiły tylko półprodukt. Z nich dopiero miał zrobić narzędzia. Krawędzie w miejscu, gdzie były odłupane od rdzenia, były tak ostre, że przecinały twardą skórę, jakby była zgęstniałym tłuszczem. Często trzeba było je stępiać, żeby można było posługiwać się narzędziem bez obawy pokaleczenia dłoni.

Rano, już pod zadaszeniem, Jondalar przede wszystkim wybrał miejsce pod pęknięciem dachu, żeby mieć wystarczającą ilość światła do pracy. Następnie odciął kawał skóry ze swojego prowizorycznego okrycia i rozłożył ją na podłodze, by na nią spadały ostre kawałki i odpadki krzemienia. Otoczony obu chłopcami i wieloma innymi mężczyznami, zaczął pokazywać, jak używać twardego owalnego kamienia i kilku kawałków kości do zrobienia narzędzi z krzemienia, którymi z kolei można formować i wytwarzać rzeczy ze skóry, drewna i kości. Chociaż musieli bardzo uważać, żeby nie zwrócić uwagi na to, co robili



-wstając od czasu do czasu, jak to zazwyczaj czynili, wracając potem i kuląc się razem dla ciepła, co pomagało również zasłonić Jondalara przed wzrokiem strażniczek - wszyscy patrzyli zafascynowani.

Jondalar podniósł jeden wiór i krytycznie mu się przyjrzał. Chciał zrobić wiele różnych narzędzi i próbował zdecydować, które z nich wyjdzie najlepiej z tego właśnie wióra. Jedna długa, ostra krawędź była niemal prosta, druga nieco falista. Rozpoczął od stępienia falistej krawędzi przez przeciągnięcie po niej kilka razy kamiennym młotkiem. Drugą krawędź zostawił bez obróbki. Potem długim, zaostrzonym końcem złamanej kości goleniowej wyretuszował okrągły czubek, ostrożnie odłupując maleńkie kawałki, aż uzyskał szpic. Gdyby miał ścięgno, klej lub żywicę czy jakikolwiek inny materiał, którym mógłby go przyczepić, dodałby uchwyt, ale i tak miał w ręku dobry nóż.

Przekazywano go z rąk do rąk, wypróbowywano na włosach lub kawałkach skóry, a Jondalar podniósł kolejny wiór. Obie krawędzie schodziły skosem do przewężenia w środku. Ostrożnym naciskiem zaokrąglonego końca kości odłamał z obu stron tylko najostrzejsze kawałki krawędzi, co nieznacznie je stępiło, ale za to wzmocniło. Tego narzędzia można było używać jako skrobaczki do obróbki i wygładzania kawałka drewna czy kości. Pokazał, do czego to służy, i również puścił w koło.

Następny wiór stępił z obu stron, żeby łatwo było posługiwać się narzędziem. Dwoma wymierzonymi uderzeniami odbił parę okruchów, zostawiając ostry, podobny do rylca, koniec. Pokazał, do czego to służy, przez nacięcie rowka w kości, który pogłębiał, produkując małą kupkę strużyn. Wyjaśnił, jak można wyciąć trzon, uchwyt czy grot, a potem wykończyć drapaczem czy wygładzaczem.

Pokaz Jondalara był dla patrzących niemal rewelacją. Żaden z chłopców ani młodszych mężczyzn nigdy nie widział pracy wytwórcy narzędzi, a kilku tylko spośród starszych widziało kiedykolwiek takiego mistrza. W tych kilka chwil poprzedniego wieczoru udało mu się odłupać niemal trzydzieści półproduktów z jednej buty krzemienia, zanim został rdzeń zbyt mały do dalszej obróbki. Następnego dnia większość mężczyzn używała jednego lub więcej narzędzi, które dla nich zrobił.

Potem próbował opisać broń myśliwską, którą chciał im pokazać. Niektórzy zrozumieli natychmiast, chociaż powątpiewali, czy rzeczywiście można tak celnie i daleko rzucać oszczepy takim miotaczem, jak Jondalar twierdził. Inni zdawali się zupełnie nie rozumieć, ale to nie miało znaczenia. Zdatne do użytku narzędzia w ręku i praca nad czymś pożytecznym dawały ludziom poczucie sensu. A robienie czegokolwiek, co sprzeciwiało się życzeniom Attaroi i warunkom, w jakich zmuszeni byli wegetować, podniosło ich na duchu i

dawało nadzieję, że kiedyś będzie możliwe odzyskanie panowania nad własnym losem.

W ciągu następnych kilku dni Epadoa i jej strażniczki wyczuły zmianę nastroju w Zagrodzie i były pewne, że coś się tam dzieje. Mężczyźni zdawali się chodźć sprężysiej i za dużo się uśmiechali, ale niezależnie od tego, jak dokładnie się przypatrywały, nie widziały żadnych konkretnych powodów tej zmiany. Mężczyźni bardzo starannie ukrywali nie tylko noże, drapacze i rylce, które zrobił Jondalar, ale i przedmioty sporządzone przez nich samych oraz wszystkie odpadki. Najmniejszy wiórek czy okruch, skręcone strużyny drewna czy kości - wszystko zostało zagrzebane wewnątrz zadaszenia i przykryte deską z dachu lub kawałkiem skóry.

Najbardziej jednak zmienili się obaj kalecy chłopcy. Jondalar nie tylko pokazał im, jak robi się narzędzia, sporządził je też specjalnie dla nich i uczył, jak ich używać. Przestali chować się w półmroku pod zadaszeniem i zaczęli przestawać z innymi, starszymi chłopcami w Zagrodzie. Obaj ubóstwiali wysokiego mężczyznę z Zelandonii, szczególnie Doban - był dość duży, by więcej rozumieć - chociaż nie chciał tego okazywać. Od kiedy pamiętał, żył z szaloną i obłąkaną Attarą, czuł się bezradny, zdany całkowicie na łaskę okoliczności, nad którymi nie panował. Półświadomie zawsze oczekiwał, że przydarzy mu się coś straszliwego i po rozdzierającym bólu, jakiego doznał, był przekonany, że życie może być tylko coraz gorsze. Często pragnął umrzeć. Ale obserwowanie kogoś, kto wziął dwa znalezione przy strumyku kamienie i za pomocą sprawnych rąk oraz umiejętności potrafił dać nadzieję, że świat można zmienić, zrobiło na nim niesłychane wrażenie. Doban bał się prosić - nadal nie umiał nikomu zaufać - ale najbardziej na świecie pragnął nauczyć się wytwarzania narzędzi z kamienia.

Jondalar widział jego zainteresowanie i bardzo chciał mieć więcej krzemienia, żeby móc go zacząć uczyć. Zastanawiał się, czy ci ludzie chodzą na jakieś Letnie Spotkania czy Zgromadzenia, gdzie wymienia się pomysły, informacje i dobra. Musi w tej okolicy mieszkać kilku łupaczy krzemienia, którzy mogliby uczyć Dobana. Powinien opanować takie rzemiosło, przy którym jego kulawa noga nie będzie miała znaczenia.

Jondalar zrobił miotacz oszczepów, żeby pokazać, jak wygląda i jak się go robi, a wielu mężczyzn zaczęło wykonywać kopie tego dziwnego przyrządu. Z kilku ostrzy zrobił krzemienne groty i z najmocniejszej skóry, jaką mieli, wyciął wąskie paski, żeby je przywiązać. Ardemun znalazł nawet gniazdo orła i przyniósł kilka dobrych piór na lotki. Brakowało tylko drzewc na oszczepy. Jondalar próbował zrobić jeden z ubożego materiału, jaki miał do dyspozycji, i - posługując się podobnym do dłuta narzędziem - wyciął dość długi, cienki kawałek z deski. Na nim pokazał młodszym mężczyznom, jak przyczepia się grot i

lotki. Uczył również wszystkich, jak trzymać miotacz, oraz wyjaśniał zasady rzucania, ale nie mógł pokazać faktycznego rzutu. Wycinanie drzewca oszczepu z deski było długą i mozolną pracą, a przesuszone i kruche drewno nie miało żadnej sprężystości i łatwo się łamało. Potrzebne mu były młode, proste drzewka lub dość długie gałęzie, które dałoby się wyprostować; chociaż do tego musiałby mieć żar ogniska. Czuł się niesłuchanie sfrustrowany siedzeniem w Zagrodzie. Gdyby tylko mógł wyjść i poszukać czegoś do zrobienia drzewc! Gdyby tylko mógł przekonać Attarę, żeby go wypuściła! Kiedy wieczorem przed snem powiedział o tym Ebulanowi, tamten spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, zaczął coś mówić, ale potrząsnął głową, przymknął oczy i odwrócił się tyłem. Jondalar uznał, że to dziwna reakcja, ale wkrótce zapomniał o tym i zasnął, myśląc o oszczepach.

Również Attarę myślała o Jondalarze. Cieszyła się na myśl o rozrywkach, jakich jej dostarczy podczas długiej zimy, kiedy będzie zdobywała nad nim władzę i obserwowała, jak wykonuje jej rozkazy. Pokaże wszystkim, że jest silniejsza od tego wysokiego, przystojnego mężczyzny. Na przyszłość, kiedy już jej się znudzi, miała w stosunku do niego inne plany. Zastanawiała się, czy można go już wypuścić z Zagrody i postawić do pracy. Epadoa powiedziała jej, że w Zagrodzie działo się coś, w co ten obcy był zamieszany, ale jeszcze nie odkryła, o co chodzi. Może pora na odseparowanie go od innych mężczyzn, może należałoby wsadzić go z powrotem do klatki. To dobry sposób na trzymanie ich wszystkich w ustawicznym niepokoju.

Rano powiedziała kobietom, że chce grupy roboczej, w skład której ma wchodzić mężczyzna z Zelandonii. Jondalar ucieszył się, że wyjdzie i zobaczy coś innego niż tylko nagą ziemię i zrozpaczonych mężczyzn. Po raz pierwszy pozwolono mu wyjść z Zagrody do pracy i nie miał pojęcia, jakie były plany w stosunku do niego. Miał jednak nadzieję, że uda mu się poszukać młodych, prostych drzew. Znalezienie sposobu na wniesienie ich do Zagrody będzie osobnym problemem.

Później, w ciągu dnia Attarę wyszła z ziemianki w towarzystwie dwóch innych kobiet oraz S'Armuny, miała na sobie futrzaną kurtę Jondalara. Mężczyźni znosili na stertę kości mamucie, które przyniesiono skądś wcześniej. Pracowali całe przedpołudnie i sporą część popołudnia bez żadnej żywności i tylko z odrobiną wody. Mimo że Jondalar znalazł się poza Zagrodą, nie miał szans na szukanie młodych drzewek, a tym bardziej na myślenie o sposobach ścięcia i przetransportowania ich z powrotem. Był nie tylko sfrustrowany, był zmęczony, głodny, spragniony i zły.

Jondalar położył na ziemię kość, którą niósł razem z Olamu-nem, wyprostował się i

zwrócił do nadchodzącej kobiety. Kiedy się zbliżyła, spostrzegł, że była bardzo wysoka, wyższa od wielu mężczyzn. Mogłaby być bardzo atrakcyjna. Co się jej przydarzyło, że tak bardzo nienawidzi mężczyzn? Powiedziała coś do niego i wyraźnie słyszał sarkazm w jej głosie, chociaż nie zrozumiał słów.

- No cóż, Zelandonczyku, masz dla nas jakąś nową bajkę? Może nas nią zabawisz - przetłumaczyła S'Armuna, zachowując sarkastyczną intonację.

- Nie opowiedziałem ci bajki. Powiedziałem prawdę - odparł Jondalar.

- Że podróżowałaś z kobietą, która jeździ na grzbietach koni? Gdzie więc jest ta kobieta? Jeśli posiada taką moc, jak mówisz, dlaczego nie przysłała tu po ciebie? - powiedziała Attarua, stojąc naprzeciwko niego z rękami wspartymi na biodrach.

- Nie wiem, gdzie jest. Bardzo chciałbym wiedzieć. Obawiam się, że spadła w przepaść razem z końmi, na które polowaliście.

- Kłamiesz, Zelandonczyku! Moi myśliwi nie widzieli żadnej kobiety na końskim grzbiecie i wśród koni nie znaleziono ciała żadnej kobiety. Sądzę, że znasz karę za kradzież u S'Armunai - śmierć - i próbujesz się z tego wyłgać.

Nie znaleziono żadnego ciała? Jondalar poczuł niezmierną radość i przyływ nadziei, że Ayla nadal żyje.

- Dlaczego uśmiechasz się, kiedy ci mówię, że karą za kradzież jest śmierć? Wątpisz może, że to wykonam? - Dla podkreślenia tych słów Attarua najpierw wskazała palcem na siebie, a potem na niego.

- Śmierć? - powtórzył i zbladł. Czy można kogoś skazać na śmierć za to, że polował? Był tak szczęśliwy na myśl o tym, że Ayla jest żywa, iż nie w pełni zrozumiał, co powiedziała. Kiedy dotarł do niego sens jej słów, rozżościł się. - Konie nie zostały dane tylko ludziom S'Armunai. Są tutaj dla wszystkich Dzieci Ziemi. Jak możesz nazywać kradzież polowanie na konie? Nawet gdybym polował na nie, to tylko po to, by zdobyć żywność.

- Ha! Przyłapałam cię na kłamstwie. Przyznałeś się, że polowałeś na konie.

- Wcale nie! Powiedziałem: "Nawet gdybym polował". Nie powiedziałem, że polowałem. - Spojrzał na tłumaczkę. - Powiedz jej, S'Armuna. Jondalar z Zelandonii, syn Marthony, byłej przywódczyni Dziewiętej Jaskini, nie kłamie.

- Teraz mówisz, że jesteś synem kobiety, która była przywódczynią? Ten człowiek jest skończonym kłamcą, który jedno kłamstwo o nadzwyczajnej kobiecie pokrywa drugim kłamstwem o kobiecie przywódczyni.

- Znam wiele kobiet przywódczyń. Nie jesteś jedyna, Attarua. Wiele kobiet Mamutoi jest przywódczyniami - odparł Jondalar.

- Współprzewodczyniami! Muszą się dzielić władzą z mężczyzną.

- Moja matka była przewodczynią przez dziesięć lat. Została wybrana, kiedy zmarł jej towarzysz życia, i nie musiała się z nikim dzielić przywództwem. Była szanowana przez kobiety i mężczyzn i dobrowolnie przekazała przywództwo mojemu bratu, Joharranowi. Ludzie tego nie chcieli.

- Szanowana przez kobiety i mężczyzn? Słuchajcie go! Czy tobie się zdaje, że ja nie znam mężczyzn, Zelandończyku? Myślisz, że nigdy nie byłam połączona? Czy jestem taka brzydka, że żaden mężczyzna mnie nie chciał?

Attaroa krzyczała, a S'Armuna tłumaczyła niemal jednocześnie, jakby wiedziała, co przewodczyni powie. Jondalar prawie nie zauważał, że to szamanka powtarza jej słowa. Miał wrażenie, że słyszy i rozumie samą Attaroę, ale beznamiętny ton szamanki w dziwny sposób zmieniał i oddalał te słowa od wojowniczo zachowującej się kobiety. Z pełnym goryczy, obłąkanym wyrazem twarzy nadal wymyślała Jondalarowi.

- Mój towarzysz życia był tutaj przywódcą. Był silnym przywódcą, silnym mężczyzną.

- Attaroa umilkła na chwilę.

- Wielu jest silnych ludzi. Siła nie czyni przywódcy - powiedział Jondalar.

Attaroa właściwie nie słyszała jego słów. Nie słuchała go w ogóle. Zamilkła tylko po to, żeby wsłuchać się we własne myśli, zebrać własne wspomnienia.

- Brugar był takim silnym przywódcą, że musiał mnie codziennie bić, aby to udowodnić. - Uśmiechnęła się szyderczo. - Czy nie szkoda, że grzyby, które zjadł, były trujące? - Jej uśmiech był jadowity. - Pobiłam syna jego siostry w uczciwej walce, żeby zostać przewodczynią. Był słabeuszem. Umarł. - Spojrzała na Jondalara. - Ale ty nie jesteś słabeuszem, Zelandończyku. Może chciałbyś walczyć ze mną o swoje życie?

- Nie mam żadnej ochoty na walkę z tobą, Attaroa. Ale będę się bronił, jeśli mnie zmusisz.

- Nie, nie będziesz się ze mną bił, bo wiesz, że zwyciężę. Jestem kobietą. Mam po mojej stronie moc Muni. Matka uhonorowała kobiety: to one tworzą życie. One powinny być przywódcami - powiedziała Attaroa.

- Nie - odparł Jondalar. Obserwujący ludzie wzdrygnęli się, kiedy Jondalar tak otwarcie sprzeciwił się Attaroi. - Przywództwo niekoniecznie musi należeć się tej, która jest błogosławiona przez Matkę, tak samo jak nie musi należeć się temu, kto jest najsilniejszy fizycznie. Jakikolwiek przywódca - na przykład przywódca zbieraczy jagód - to ten, kto wie, gdzie rosną jagody, kiedy dojrzewają i jak je najlepiej zebrać. Przywódca musi być człowiekiem godnym zaufania, człowiekiem, na którym można polegać. Przywódcy muszą

wiedzieć, co robią.

Wyraz twarzy Attaroi był przerażający. Jego słowa nie wywierały na niej żadnego wrażenia, słuchała tylko samej siebie, ale nie podobał jej się karcący ton jego głosu, jak gdyby myślał, że ma prawo swobodnie do niej mówić, lub zakładał, że wolno mu ją pouczać.

- Nie ma znaczenia, jakie jest zadanie do wykonania - ciągnął dalej Jondalar. - Przywódca polowania to ten, kto wie, gdzie znaleźć zwierzęta, ten, kto potrafi je wytropić. Zawsze jest najlepszym myśliwym. Marthona często powtarzała, że przywódca ludzi musi dbać o tych, którym przywodzi. Jeśli nie dba, nie będzie zbyt długo przywódcą. - Jondalar pouczał, wyładowywał swoją złość, niepomny rozwścieczonej twarzy Attaroi. - Co za różnica, czy to mężczyzna, czy kobieta?

- Nie pozwolę więcej mężczyznom na przewodzenie - przerwała mu Attaroi. - Tutaj mężczyźni wiedzą, że to kobiety są przywódcami. Dzieci wychowuje się tak, żeby to wiedziały. Tutaj kobiety są myśliwymi. Nie potrzeba nam mężczyzn do tropienia zwierzyny ani do przewodzenia. Myślisz może, że kobiety nie potrafią polować?

- Oczywiście, że kobiety potrafią polować. Moja matka była myśliwym, zanim została przywódczynią, a kobieta, z którą podróżowałem, jest jednym z najlepszych myśliwych, jakich znam. Lubi polować i świetnie umie tropić. Ja potrafię rzucić oszczep na większą odległość, ale ona rzuca celniej. Potrafi strącić ptaka w locie albo zabić umykającego zająca jednym kamieniem z procy.

- Nowe bajki! - warknęła Attaroi. - Łatwo jest opowiadać cuda o kobiecie, która nie istnieje. Moje kobiety nie polowały, było im to zabronione. Kiedy Brugar był przywódcą, żadnej kobiecie nie wolno było dotknąć broni i nie było nam łatwo, kiedy ja zostałam przywódczynią. Nikt nie wiedział, jak się poluje, ale nauczyłam je. Widzisz nasze tarcze ćwiczebne?

Attaroi wskazała na kilka solidnych pali, wbitych w ziemię. Zauważył je już przedtem, ale nie wiedział, do czego służyły. Teraz zobaczył, że na jednym zawieszony był duży kawał końskiego kadłuba. Sterczało z niego kilka oszczepów.

- Wszystkie kobiety muszą ćwiczyć codziennie, i to nie tylko dźgać dość mocno, żeby zabić, muszą także rzucać oszczepy. Najlepsze z nich zostają myśliwymi. Ale nawet zanim nauczyłyśmy się robić i rzucać oszczepy, mogłyśmy polować. Na północ stąd, niedaleko miejsca, w którym się wychowałam, jest wysoka skała. Ludzie, którzy tam mieszkają, co najmniej raz do roku zaganiają tam konie i spychają je w przepaść. Nauczyłyśmy się tego sposobu polowania na konie. Nie jest trudno zagonić konie do przepaści, jeśli tylko najpierw potrafisz je zwabić na górę.

Attaroa spojrziała z dumą na Epadoę.

- Epadoa odkryła, że konie bardzo lubią sól. Kazała kobietom zbierać mocz i używać go do zwabienia koni. Moi myśliwi to moje wilki. - Attaroa uśmiechnęła się do oszczepniczek, które stały wokół.

Te pochwały najwyraźniej sprawiły im przyjemność i wszystkie się wyprostowały. Jondalar nie zwracał przedtem uwagi na ich ubiór, ale teraz zdał sobie sprawę z tego, że wszystkie nosiły coś, co pochodziło z wilka. Większość miała obramowanie z wilczego futra wokół kapuzy i naszyjniki z przynajmniej jednym wilczym zębem. Niektóre miały również rękawy obramowane wilczym futrem oraz dodatkowe wzory naszyte na kurtach. Kapuza Epadoi była cała z wilczego futra, z kawałkiem wilczego łba z obnażonymi kłami na czubku, podobnie jak kurta, a wilcze łapy zwieszały jej się z przodu ramion, puszysty ogon zaś zdobił tył.

- Ich oszczepy to ich kły, zabijają jako stado i przynoszą mięso. Ich stopy to łapy, biegają niestrudzenie cały dzień i potrafią dotrzeć daleko. - Attaroa wypowiadała te słowa rytmicznie i był pewien, że powtarzała je już wiele razy. - Epadoa jest ich przywódczynią, człowieku z Zelandonii. Nie próbuj jej przechytrzyć. Jest bardzo mądra.

- Nie wątpię - powiedział Jondalar z poczuciem, że w pojedynkę nie da im wszystkim rady. Nie mógł jednak powstrzymać odrobiny podziwu dla ich osiągnięć, skoro zaczynały, mając tak mało wiedzy. - Ale to jest wielkie marnotrawstwo, żeby mężczyźni siedzieli beczynnienie, podczas gdy także mogliby przyłożyć się, pomagać w polowaniu, w zbieraniu żywności, robieniu narzędzi. Wtedy kobiety nie musiałyby pracować tak ciężko. Nie mówię, że kobiety nie potrafią tego robić, ale dlaczego mają wszystko robić same, za siebie i za mężczyzn?

Attaroa roześmiała się chrapliwym, szalonym śmiechem, który wywoływał dreszcze.

- Zastanawiałam się nad tym samym. To kobiety tworzą nowe życie. Do czego w ogóle potrzebni nam mężczyźni? Niektóre kobiety jeszcze nie chcą z nich zrezygnować, ale do czego oni się nadają? Do przyjemności? To mężczyźni mają przyjemności. Tutaj nie zawracamy sobie dłużej głowy daniem mężczyznom przyjemności. Zamiast żeby mężczyzna i kobieta dzielili ogniska, połączyłam razem kobiety. Razem pracują, pomagają sobie w wychowywaniu dzieci, rozumieją się wzajemnie. Jak nie ma w pobliżu mężczyzny, Matka będzie musiała zmieszać duchy kobiet i będą się rodzić tylko dziewczynki.

Czy to jest możliwe? - zamyślił się Jondalar. S'Amodun powiedział, że w ciągu ostatnich lat urodziło się bardzo mało dzieci. Nagle przypomniał sobie idee Ayli, że nowe życie zaczyna rosnąć w kobiecie od przyjemności, które dzielą mężczyzna z kobietą. Attaroa

trzyma mężczyzn w odosobnieniu. Czy to dlatego rodzi się tak mało dzieci?

- Ile dzieci się urodziło? - spytał z ciekawością.

- Niewiele, ale kilkoro się urodziło, a tam gdzie jest kilka, może być więcej.

- Czy to wszystko były dziewczynki?

- Mężczyźni nadal są zbyt blisko. To myli Matkę. Wkrótce nie będzie już żadnych mężczyzn, a wtedy zobaczymy, ilu chłopców się urodzi - powiedziała Attaroa.

- Albo ile dzieci się w ogóle urodzi - odparł Jondalar. - Wielka Matka Ziemia stworzyła zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Kobiety są pobłogosławione i tworzą życie, tak jak ona, ale rodzą i chłopców, i dziewczynki. To Matka decyduje o wyborze ducha mężczyzny, żeby go zmieszać z duchem kobiety. To zawsze musi być duch mężczyzny. Czy naprawdę wydaje ci się, że możesz zmienić to, co ona zarządziła?

- Nie opowiadaj mi, co zrobi Matka, Zelandończyku! Nie jesteś kobietą - powiedziała pogardliwie. - Po prostu nie lubisz, kiedy ci się mówi, do jakiego stopnia jesteś bezużyteczny, a może nie chcesz zrezygnować ze swoich przyjemności. To o to chodzi, prawda?

Nagle Attaroa zmieniła ton, mruczając z udawaną przymilnością.

- Czy chcesz przyjemności, mężczyzno z Zelandonii? Skoro nie pragniesz walki ze mną, to co chcesz zrobić, żeby odzyskać wolność? Aha, już wiem! Przyjemności. Attaroa może zgodzić się na danie przyjemności takiemu silnemu, przystojnemu mężczyźnie. Ale czy potrafisz dać Attaroi przyjemności?

Fakt, że S'Armuna zaczęła mówić o Attaroi zamiast jako Attaroa, uświadomił nagle Jondalarowi, że wszystkie słowa, które słyszał, były tłumaczone. Było czym innym mówić głosem Attaroi jako przywódczyni, a czymś zupełnie innym powtarzać słowa Attaroi kobiety. S'Armuna mogła przetłumaczyć słowa; nie była w stanie przejąć osobowości tej kobiety. Przy dalszym tłumaczeniu Jondalar słyszał je obie.

- Taki wysoki, jasnowłosy, taki doskonały, mógłby być partnerem samej Matki. Patrzcie, jest nawet wyższy od Attaroi, a niewielu mężczyzn jest od niej wyższych. Dawałeś przyjemności wielu kobietom, prawda? Jeden uśmiech tego wysokiego, przystojnego mężczyzny z niebieskimi oczyma, a kobiety dobijają się, żeby je wpuścić do swoich futer. Czy im wszystkim dałeś przyjemności?

Jondalar odmówił odpowiedzi. Tak, kiedyś lubił dawać przyjemności wielu kobietom, ale teraz chciał tylko Ayli. Ogarnęła go straszliwa rozpacz. Co zrobi bez niej? Co ma za znaczenie, czy będzie żył, czy umrze?

- No, Zelandończyku, jeśli dasz Attaroi wielką przyjemność, możesz odzyskać wolność. Attaroa wie, że potrafisz. - Wysoka, przystojna przywódczyni podeszła do niego,



kołysząc nęcąc biodrami. - Widzisz? Attaroa ci się odda. Pokaż wszystkim, jak silny mężczyzna daje kobiecie przyjemności. Dziel Dar Muny, Wielkiej Matki Ziemi, z Attaroa, Jondalarze z Zelandonii.

Attaroa zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła się do niego. Jondalar nie zareagował. Próbowwała go pocałować, ale był dla niej zbyt wysoki i nie schylił się. Nie była przyzwyczajona do wyższych od siebie mężczyzn; nieczęsto musiała sięgać w górę do mężczyzny, szczególnie takiego, który nie chciał się schylić. Czuła się ośmieszona i rozgorzała gniewem.

- Zelandończyku! Jestem skłonna mieć z tobą stosunek i dać ci szansę zdobycia wolności!

- Nie będę dzielił się Darem Matki w takich okolicznościach - powiedział Jondalar. W jego spokojnym, opanowanym głosie nie było słyhać gniewu, który odczuwał, ale nie starał się go ukryć. Jak miała czelność tak obrażać Matkę? - Dar jest święty, należy się nim dzielić dobrowolnie i z radością. Taki stosunek byłby obrazą dla Matki. Splugawiłyby jej dar, i jej oburzenie byłoby równie wielkie jak wtedy, gdy mężczyzna bierze kobietę wbrew jej woli. Wybieram kobietę, z którą chcę mieć przyjemności, a nie odczuwam żadnej chęci dzielenia Daru Matki z tobą, Attaroa.

Jondalar mógłby zareagować inaczej na zaproszenie Attaroi, ale wyczuwał, że nie jest ono szczere. Większość kobiet uważała go za podniecającego, przystojnego mężczyznę. Umiał zabiegać o ich względy i miał doświadczenie w sprawach wzajemnego pociągu i sposobów zachęty. Mimo jej uwodzicielskich ruchów, nie było w Attaroi ciepła i nie było między nimi żadnego pożądanego. Wiedział, że nawet gdyby spróbował, nie mógłby spełnić jej oczekiwań.

Attaroa osłupiała. Większość mężczyzn była bardziej niż chętna, żeby dzielić Dar Przyjemności z tą przystojną kobietą w zamian za swoją wolność. Podróżnicy, którzy przechodzili przez jej terytorium i na swoje nieszczęście dostawali się w łapy jej myśliwych, na ogół ochoczo korzystali z szansy tak łatwego wyzwolenia się od Wilczyc ludu S'Armunai. Niektórzy się wahali, pełni zwątpienia i podejrzeń, co ona knuje, ale nigdy żaden jej nie odmówił. Prędko stwierdzali, że mieli rację, wahając się.

- Odmawiasz... - zabełkotała niedowierzająco. - Odmawiasz Attaroi! Jak śmiesz odmówić?! - krzyczała i zwróciła się do swoich Wilczyc. - Rozbierzcie go do naga i przywiążcie do ćwiczebnego pała.

Od początku zamierzała to uczynić, lecz miało się to stać później. Chciała, żeby Jondalar dostarczał jej rozrywki przez całą długą, ponurą zimę. Cieszyło ją zwodzenie

mężczyzn obietnicami wolności w zamian za przyjemność. Uważała to za szczyt ironii. Odtąd zmuszała ich do dalszych aktów poniżenia czy degradacji i na ogół udawało jej się zmusić ich, żeby robili wszystko, czego sobie zażyczyła, zanim była gotowa do ostatecznej zabawy. Sami się nawet rozbierali do naga, kiedy mówiła im, że ich puści, jeśli to zrobią. Ale żaden mężczyzna nie mógł dać Attaroi przyjemności. Została w straszliwy sposób wykorzystana, kiedy była dziewczynką, i sądziła, że wyzwolą ją zaślubiny z potężnym przywódcą innej grupy ludzi. Odkryła jednak, że mężczyzna, z którym się połączyła, był gorszy niż to, od czego uciekła. Jego przyjemnościom towarzyszyło zawsze bolesne bicie i poniżanie, aż wreszcie zbuntowała się i spowodowała jego bolesną i poniżającą śmierć. Nauka zapadła jednak zbyt głęboko w jej duszę. Wynaturzona doznanymi okrucieństwami, nie umiała odczuwać przyjemności bez zadawania bólu. Attaroi nie interesowało dzielenie Daru Matki z mężczyznami czy kobietami. Sama dawała sobie przyjemności, kiedy obserwowała mężczyzn umierających powolną, bolesną śmiercią.

Jeśli podróżnicy zbyt długo się nie pojawiali, zabawiała się z mężczyznami S'Armunai, ale po pierwszych dwóch czy trzech, którzy skusili się na jej "przyjemności", pozostali poznali jej grę i nie chcieli się z nią zadawać. Po prostu błagali ją o życie. Czasami, choć nie zawsze, ulegała, szczególnie tym, którzy mieli kobiety zebrzące o łaskę. Niektóre kobiety nie chciały z nią współpracować - nie rozumiały, że eliminacja mężczyzn jest dla ich dobra - ale na ogół potrafiła nad nimi panować przez mężczyzn, do których były przywiązane, więc trzymała ich przy życiu.

Podróżnicy trafiali na ogół podczas cieplejszych pór roku. Ludzie rzadko wędrowali w czasie mroźnej zimy, a ostatnio było ich coraz mniej, żaden się nie pojawił od poprzedniego lata. Kilku mężczyznom udało się uciec dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Uciekło także kilka kobiet. Oni ostrzegli innych. Większość ludzi, którzy słyszeli te opowieści, traktowała je jak plotki lub fantastyczne opowieści bazarzy, ale pogłoski o złośliwych Wilczycach narastały i ludzie trzymali się z daleka.

Attaroa była zachwycona, kiedy przyprowadzono Jondalara, ale okazał się gorszy niż jakikolwiek z jej własnych mężczyzn. Nie chciał się zgodzić na jej grę i nie miała nawet satysfakcji z obserwowania, jak się poniża i błaga. Gdyby zrobił choć tyle, może nawet pozwoliłaby mu trochę jeszcze pożyć, po prostu dla przyjemności patrzenia, jak nagina go do swojej woli.

Na rozkaz Attaroi Wilczyce rzuciły się na Jondalara. Zamachnął się, odtrącił oszczepy, a jego twarde pięści uderzały mocno, zostawiając Wilczycom bolesne siniaki. Niemal mu się udało wyswobodzić, ale było ich zbyt wiele. Nie przestawał walczyć, kiedy

przecinały wiązania jego tuniki i spodni, żeby zedrzeć z niego ubranie. Oczekiwały tego jednak i poczuł na karku ostrza noży. Zdarły z niego tunikę i związały mu ręce, zostawiając luźny kawałek sznura między nimi. Potem uniosły go i zawiesiły z rękami ponad głową na kołku wystającym z ćwiczebnego pala. Kopał, kiedy ściągały mu buty i spodnie, i udało mu się silnie uderzyć kilka z nich, ale opór podniecał je tylko do dalszego bicia. I wiedziały, że im wolno.

Kiedy już wisiał nagi na palu, cofnęły się i patrzyły na niego ze złośliwym uśmiechem, bardzo z siebie zadowolone. Taki był duży i silny, a walka nic mu nie pomogła. Palce nóg Jondalara zaledwie sięgały ziemi i było oczywiste, że większość mężczyzn zwisałaby tu bez żadnego oparcia. Dotyk ziemi dał mu niejakić poczucie bezpieczeństwa i wysłał do Matki Ziemi bezsłowną prośbę, by jakoś go wybawiła z tej niespodziewanej i niebezpiecznej opresji.

Attaroa patrzyła z zainteresowaniem na ogromną szramę na jego udzie i w pachwinie. Była dobrze zagojona. Chodził bez utykania i kiedy był ubrany, nikt nie mógłby nawet podejrzewać, że był kiedyś tak poważnie ranny. Skoro był tak silny, to może przetrwa dłużej niż większość. Może da jej trochę uciechy. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Lodowate spojrzenie Attaroi dało Jondalarowi do myślenia. Czuł, że ciało pokryła mu gęsia skórka, i zadygotał - nie tylko z zimna. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Attaroa uśmiecha się do niego. Twarz miała zarumienioną i oddychała szybko; wyglądała na zadowoloną i dziwnie seksualnie podnieconą. Jej przyjemność zawsze była większa, jeśli mężczyzna, z którym się zabawiała, był przystojny. Pociągał ją ten wysoki mężczyzna i miała zamiar zachować go przy życiu, jak długo się da.

Jondalar spojrzał na palisadę i wiedział, że mężczyźni obserwują tę scenę przez szpary. Zastanawiał się, dlaczego go nie ostrzegli. Było oczywiste, że nie dzieje się to po raz pierwszy. Gdyby go ostrzegli, czyby mu to w czymkolwiek pomogło? Czy tylko czekałby na to ze strachem? Może myśleli, że lepiej dla niego, by o tym nie wiedział.

Mężczyźni istotnie o tym dyskutowali. Wszyscy polubili Jondalara i podziwiali mistrzostwo jego rzemiosła. Z ostrymi nożami i innymi narzędziami, które im dał, każdy z nich miał nadzieję, że znajdzie możliwość ucieczki. Na zawsze będą o nim pamiętać, ale każdy z nich wiedział, że jeśli minie zbyt dużo czasu między jednym schwytanym podróżnikiem a drugim, Attaroa powiesi któregoś z nich na palu. Dwóch wisiało tak już raz i wiedzieli, że ich poniżające błagania prawdopodobnie nie wzruszą już jej, by znowu odłożyła swoją śmiertelną zabawę. W milczeniu przyklaskiwali jego odmowie poddania się jej żądaniom, ale bali się, że jakkolwiek dźwięk zwróci uwagę na nich samych. Obserwowali więc

w milczeniu znajomą scenę, każdy ze współczuciem, strachem i odrobiną wstydu.

Wszystkie kobiety w obozie, nie tylko Wilczyce, musiały być świadkami torturowania mężczyzn. Większość z nich nienawidziła tego, ale bały się Attaroi i jej myśliwych. Stały tak daleko, jak tylko się odważyły. Niektórym robiło się słabo na ten widok, ale jeśli nie przyszłyby, mężczyzna, za którym wstawiały się w przeszłości, byłby następną ofiarą. Niektóre kobiety próbowały ucieczki i kilku się to udało, ale większość schwytano i sprowadzono z powrotem. Jeśli w Zagrodzie byli bliscy im mężczyźni - towarzysze życia, bracia, synowie - za karę kobiety te musiały patrzeć na ich cierpienia w klatce, bez wody i bez żywności przez długie dni. Czasami także, choć zdarzało się to rzadko, same były zamykane do klatki.

Sz szczególnie pełne strachu były kobiety, które miały chłopców; nie wiedziały, jaki los czeka ich synów, zwłaszcza po tym, co zrobiła Odewanowi i Ardobanowi. Najbardziej jednak przestraszone były dwie kobiety z niemowlętami i jedna, która była w ciąży. Attaroa była nimi zachwycona, dawała im specjalne kąski jedzenia i dbała o ich wygody, ale każda z nich - pełna poczucia winy - ukrywała tajemnicę i bała się, że jeśli się to kiedykolwiek wyda, sama zawiśnie na słupie.

Przywódczyni wystąpiła przed myśliwych i podniosła oszczep. Jondalar zauważył, że był dość ciężki i niezdamy, i -wbrew samemu sobie - pomyślał, że mógłby zrobić lepszy. Ale źle wykonany, ciężki grot był jednak ostry i skuteczny. Patrzył, jak kobieta starannie się zamierza, i zobaczył, że mierzy nisko. Nie miała zamiaru zabić, lecz okaleczyć. Był świadomy, że jest nagi i wystawiony na każdy ból, jaki mu zechce zadać, i zwalczył impuls uniesienia nóg, żeby się osłonić. Wtedy jednak zawisłby w powietrzu, co zarówno jeszcze bardziej go narazi na ciosy, jak i pokaże jego strach.

Attaroa obserwowała go zwężonymi oczyma, wiedziała, że się jej boi, i rozkoszowała się tym. Niektórzy błagali o litość. Wiedziała, że ten nie będzie, a przynajmniej nie od razu. Cofnęła ramię i przygotowała się do rzutu. Jondalar zamknął oczy i zaczął myśleć o Ayli, zastanawiał się, czy żyje, czy jest martwa, że zmiażdżonym i połamanym ciałem pod stadem koni na dnie przepaści. Z bólem ostrzejszym niż jakikolwiek ból zadany oszczepem uświadomił sobie, że jeśli Ayła nie żyje, życie i tak nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Usłyszał głucho uderzenie, kiedy oszczep dosięgnął! celu, ale trafił ponad nim, nie zaś nisko i boleśnie. Nagle opadł na całe stopy i poczuł, że ma wolne ramiona. Spojrzał na dłonie i zobaczył, że kawałek rzemienia, na którym wisiał, był przecięty. Attaroa nadal trzymała swą broń w ręce. Oszczep, który usłyszał, nie został rzucony przez nią. Spojrzał w górę na słup i zobaczył zgrabny, niewielki oszczep z krzemiennym grotem, wbity tuż obok kołka. Jego lotki

nadal dygotały. Cienki, świetnie zrobiony grot przeciął rzemień. Znał ten oszczep! Odwrócił głowę, żeby spojrzeć w kierunku, z którego nadleciał. Zobaczył ruch za plecami Attaroi. Widok przesłoniły mu łzy ulgi. Zaledwie mógł w to uwierzyć. Czy to naprawdę ona? Czy naprawdę nadal żyje? Spojrzał w ziemię i zamrugał gwałtownie kilka razy, żeby móc widzieć wyraźniej. Podniósł wzrok i zobaczył cztery niemal czarne nogi żółtego konia, na którym siedziała kobieta.

- Aylo! - wykrzyknął. - Żyjesz!

Attaroa obróciła się szybko, żeby zobaczyć, kto rzucił oszczepem. Od krańca pola przed obozem zbliżała się ku niej kobieta siedząca na grzbiecie konia. Kapuzę miała odrzuconą i jej cie-mnoblond włosy były niemal tego samego koloru co płowożółta sierść konia. Ta przerażająca zjawia wyglądała, jakby była jednym ciałem. Czy to był oszczep tej kobiety-konia? - zastanawiała się. Ale jak ktokolwiek mógł rzucić oszczepem na taką odległość? Zauważyła, że kobieta trzyma w pogotowiu drugi.

Lodowata fala przerażenia ogarnęła Attarotę i podniosła jej włosy na głowie, ale dreszcze strachu, jakie przeszywały ją w tym momencie, nie miały nic wspólnego z czymś tak namacalnym jak oszczepy. Zjawia, którą widziała, nie była kobietą; tego była pewna. W nagłym przebłytku zrozumiała całą niewymowną ohydę swoich haniebnych czynów i w postaci zbliżającej się do niej przez pole zobaczyła jedną z duchowych form Matki -munai - tym razem jako ducha zemsty przysłanego, żeby wymierzyć karę. W głębi serca Attaroa niemal się ucieszyła; z ulgą przyjęłaby zakończenie koszmaru swego życia.

Nie tylko przywódczyni przeraziła się tej dziwnej kobiety-konia. Jondalar mówił im o niej, ale nikt nie brał jego słów za prawdę. Nikt nie umiał sobie wyobrazić człowieka jadącego na koniu; nawet widząc to, trudno w to było uwierzyć. Nagłe pojawienie się Ayli poraziło każdego. Niektórych paraliżowała tylko niezwykłość zjawiska i strach przed nieznanym; inni dostrzegli w jej pojawieniu się znak potęgi nie z tego świata i przepełnił ich lęk przed przyszłością. Wielu, jak Attaroa, widziało ją jako boginię zemsty, która przyszła ich ukarać za karygodne czyny. Wiele z nich zachęcanych lub zmuszanych przez Attarotę dopuściło się oburzających okrucieństw lub przyzwoliły na nie, za co, w bezsennych chwilach w nocy, czuły głęboki wstyd czy też strach przed karą.

Nawet Jondalarowi przemknęła przez głowę myśl, że Ayla wróciła z następnego świata, żeby uratować mu życie. W tym momencie był przekonany, że gdyby chciała, mogłaby to zrobić. Patrzył, jak podjeżdżała powoli, obserwował każdy szczegół jej postaci, bacznie i z miłością, chcąc napełnić oczy widokiem, którego nie miał już nadziei kiedykolwiek ujrzeć: kobieta, którą kochał, jadąca na znajomej kobyle. Twarz miała zarumienioną od mrozu i wiatr rozwiewał jej wokół twarzy kosmyki włosów, które wymknęły się spod zawiązanego na karku rzemyka. Obłoki pary, wypuszczane przy każdym oddechu przez nią i przez konia, uświadomiły nagle Jondalarowi jego obnażone ciało i szczękające zęby

Ayla miała kurtę przewiązaną pasem, z pętli zwieszał się sztylet zrobiony z kła mamuciego - prezent od Taluta. Również nóż, oprawiony w kość słoniową, który dla niej zrobił, wisiał w swojej pochwie. Zobaczył też toporek zatknięty za pasem. Znoszona torba z wydrzej skóry wisiała u drugiego boku. Siedząc swobodnie na koniu, Ayla wydawała się pewna siebie, ale Jondalar widział, że była bardzo spięta. W prawej ręce trzymała procę, a wiedział, jak szybko potrafi rzucić kamieniem z tej pozycji. Lewą ręką, w której trzymała dwa kamienie, podpierała oszczep umieszczony w miotaczu i przełożony ukośnie przez kłęby Whinney, od lewej nogi Ayli do prawej łopatki kobyły. Dodatkowe oszczepy wystawały ze splecionego z trawy kołczanu tuż za jej nogą.

Ayla obserwowała twarz wysokiej przywódczyni, na której odbijały się jej uczucia: szok i strach, i rozpacz w momencie przytomności umysłu. Kiedy jednak podjechała bliżej, ponure i obłąkane cienie znowu zaćmiły umysł Attaroi. Zmrużyła oczy i na jej twarzy z wolna rozlał się wykrzywiony uśmiech wyrafinowanego zła.

Ayla nigdy nie widziała szaleństwa, ale na widok twarzy Attaroi zrozumiała, że należy się strzec tej kobiety, która groziła Jondalarowi; to była hiena. Zabiła w swoim życiu wiele drapieżników i wiedziała, jak są nieobliczalne, ale nienawidziła tylko hien i gardziła nimi. Były dla niej symbolem tego, co najgorsze w ludziach, a Attaroi była hieną, bestialskim uosobieniem zła, któremu nigdy nie wolno zaufać.

Rozwścieczony wzrok Ayli koncentrował się na wysokiej przywódczyni, choć na szczęście widziała także całą grupę, włącznie z osłupiałymi Wilczycami. Kiedy Whinney była już o kilka kroków od Attaroi, Ayla kątem oka dostrzegła jakiś ruch z boku. Niesłychanie szybkim ruchem włożyła kamień do procy, zamachnęła się i rzuciła. Epadoa zawyla z bólu i chwyciła się za ramię, a jej oszczep z łoskotem upadł na zamarznąłą ziemię. Ayla mogła złamać jej kość, gdyby chciała, ale celowo mierzyła w przedramię kobiety i nie rzuciła z całą siłą. Przywódczyni Wilczyc i tak będzie miała przez dłuższy czas bardzo bolesny siniak.

- Powiedz stop do kobiety oszczepu, Attaroi! - zażądała Ayla.

Jondalarowi zabrakło chwili, zanim pojął, że mówiła w obcym języku, ponieważ zrozumiał jej słowa. Osłupiał, kiedy uświadomił sobie, że wypowiedziała te słowa w sarmunai! Jakim cudem Ayla знаła sarmunai? Nigdy przecież tego języka nie słyszała.

Zdumiało również przywódczynię, że ta zupełnie obca kobieta zwróciła się do niej po imieniu, ale jeszcze bardziej zaszokowała ją dziwna wymowa Ayli, brzmiąca jak akcent obcego języka, ale będąca czymś innym. Ten głos obudził w Attaroi niemal już zapomniane uczucia; pogrzebane wspomnienie pewnych emocji, włącznie ze strachem, co ją głęboko zaniepokoiło. Wzmocniło też jej przekonanie, że zbliżająca się postać była czymś więcej niż

kobietą na koniu.

Od wielu już lat nie ogarniały jej takie uczucia. Attaroa nie lubiła okoliczności, jakie je wtedy wywoływały, i jeszcze mniej podobało jej się, że przypomniano jej o nich teraz. Zdenerwowało ją to, wstrząsnęło i rozżłościło. Chciała odepchnąć od siebie to wspomnienie. Chciała siego pozbyć, zniszczyć, żeby już nigdy nie wróciło. Ale jak? Spojrzała na Aylę siedzącą na koniu i błyskawicznie uznała, że to wina tej blondynki. To ona to wszystko wywlokła - to wspomnienie, te uczucia. Kiedy kobieta zniknie - zostanie zniszczona - one także przepadną i wszystko znowu będzie dobrze. Swoim bystrym, choć szalonym umysłem zaczęła planować sposoby unicestwienia tej kobiety. Przebiegły, podstępny uśmiech wypełził na jej twarz.

- Patrzcie, patrzcie, wygląda, jakby Zelandonii mimo wszystko mówił prawdę. Przyszedł w samą porę. Myślałyśmy, że próbował ukraść mięso, a zaledwie mamy dosyć na własne potrzeby. U S'Armunai karą za kradzież jest śmierć. Opowiadał nam jakąś historię o jeźdźeniu na koniach, ale możesz chyba zrozumieć, że uznałyśmy ją za niewiarygodną... - Attaroa zauważyła, że nikt nie przekłada jej słów i przerwała. - S'Armuna! Nie tłumaczysz moich słów! - warknęła.

S'Armuna miała oczy wlepione w Aylę. Pamiętała, że jedna z pierwszych myśliwych, która wróciła z grupą niosącą mężczyznę, powiedziała jej o przerażającej wizji, jaką miała w czasie polowania, i prosiła o jej interpretację. Opowiedziała o kobiecie, która siedziała na jednym z koni zaganianych do przepaści, starała się nad nim zapanować i wreszcie zawróciła go. Potem myśliwe, które przyniosły drugi ładunek mięsa, mówiły, że widziały kobietę odjeżdżającą na koniu, i S'Armuna zastanawiała się nad znaczeniem tych dziwnych wizji.

Już od dłuższego czasu wiele rzeczy gnębiło Tę Która Służy Matce, ale kiedy schwytyany mężczyzna okazał się młodym człowiekiem związanym z jej własną przeszłością i opowiedział jej o kobiecie jeżdżącej na koniach, odebrało jej to wszelki spokój. To musiał być znak, lecz nie umiała rozszyfrować jego znaczenia. Jedna myśl prześladowała ją, podczas gdy rozważała różne interpretacje powtarzającej się wizji. Kobieta, która naprawdę wjechała do obozu na grzbiecie konia, nadała znakowi niesłychanej mocy. To było urzeczywistnienie wizji i znaczenie tego niezmiernie ją zaniepokoiło. Nie koncentrowała całej uwagi na Attaroi, ale jednak słyszała jej słowa i szybko przetłumaczyła je na ze-landonii.

- Śmierć dla myśliwego jako kara za to, że poluje, jest sprzeczna z zaleceniami Wielkiej Matki Wszystkich - powiedziała Ayla w zelandonii, po wysłuchaniu tłumaczenia, chociaż i tak zrozumiała słowa Attaroi. Sarmunai był tak podobny do mamutoi, że dużo rozumiała, a dodatkowo nauczyła się kilku słów, ale zelandonii był dla niej łatwiejszy i mogła



się w nim lepiej wysławić. - Matka zobowiązuje wszystkie swoje dzieci, żeby dzieliły się żywnością i udzielały gościny podróżnikom.

Teraz, kiedy mówiła w zelandonii, S'Armuna zauważyła jej dziwną wymowę. Mimo że doskonale mówiła w tym języku, było tam coś... ale teraz nie miała czasu o tym myśleć. Attaroa czekała.

- Kara ma odstraszyć od kradzieży - próbowała załagodzić Attaroa, choć zarówno S'Armuna, jak i Ayla widziały, że z trudem opanowuje wściekłość - żeby było dosyć do podziału. Ale taka kobieta jak ty, tak sprawna w obchodzeniu się z bronią, jak może zrozumieć sytuację, kiedy kobietom nie wolno było polować? Żywności było bardzo mało. Wszystkie cierpiałyśmy.

- Wielka Matka Ziemia daje swoim dzieciom nie tylko mięso. Z pewnością kobiety tutaj wiedzą, że żywność rośnie i może być zbierana - odparła Ayla.

- Ależ musiałam tego zabronić! Gdybym pozwoliła im na zbieranie, nie nauczyłyby się polować.

- A więc niedostatek jest spowodowany przez ciebie i przez tych, którzy się zgodzili na twoje pomysły. To nie jest wystarczający powód, by zabijać ludzi nie znających waszych obyczajów. Przejęłaś uprawnienia Matki. To ona powołuje do siebie swoje dzieci, kiedy uważa to za stosowne. Nie masz prawa uzurpować sobie jej władzy.

- Wszystkie ludy mają obyczaje i tradycje, które są dla nich ważne. Złamanie niektórych zakazów wymaga kary śmierci -oznajmiła Attaroa.

Była to prawda; Ayla wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

- Ale dlaczego wasze obyczaje miałyby wymagać kary śmierci za chęć jedzenia? Prawa Matki są ważniejsze niż wszystkie obyczaje. Ona nakazuje dzielić się żywnością i przyjaźnie przyjmować podróżnych. Jesteś... nieuprzejma i niegościnna, Attaroa.

Nieuprzejma i niegościnna! Jondalar stłumił urągliwy śmiech. Może raczej mordercza i nieludzka! Przyglądał się i słuchał w zdumieniu oraz uśmiechał z uznaniem dla doboru słów. Pamiętał, że kiedyś Ayla nie umiała nawet zrozumieć dowcipu, a teraz potrafiła w subtelny sposób wyrazić pogardę i odrazę.

Attaroa była wyraźnie zirytowana; z trudem się opanowywała. Odczuła zjadliwość krytyki Ayli. Została zbesztana, jakby była dzieckiem, niegrzeczną dziewczynką. Wolałaby, gdyby jej zarzucono zło; gdyby ją nazwano potężną, złą kobietą, bo to wzbudza szacunek i przerażenie. Łagodność słów ośmieszała ją. Attaroa dostrzegła uśmiech Jondalara i złowieszczo na niego spojrzała, pewna, że wszyscy obecni chcieli się śmiać razem z nim. Przysięgła sobie, iż jeszcze tego pożałuje, a z nim razem ta kobieta!

Wyglądało, jakby Ayla poprawiła się na Whinney, w rzeczywistości jednak zmieniła nieznacznie pozycję, żeby łatwiej móc chwycić miotacz oszczepów.

- Zdaje mi się, że Jondalarowi potrzebne jest jego ubranie -mówiła dalej, podnosząc lekko oszczep, by wszyscy widzieli, że go trzyma. - Nie zapomnij także o jego kurcie, którą nosisz. I może posłałabyś kogoś do swojej ziemianki po jego pas, rękawice, bukłak, nóż i narzędzia, które miał ze sobą. - Poczekaj, aż S'Armuna przetłumaczy jej słowa.

Attaroa zacisnęła zęby, ale uśmiechnęła się, choć wyglądało to raczej na grymas. Dała znak Epadoi. Lewą ręką, tą nie obolałą - a Epadoa wiedziała także, że będzie miała siniaki na nogach od kopnięć Jondalara - przywódczyni Wilczyc podniosła ubranie, które w tak ciężkiej walce z niego ściągnęły, i rzuciła je przed nim; potem weszła do dużej ziemianki.

Czekając na jej powrót, przywódczyni nagle przemówiła, starając się przybrać przyjaźniejszy ton:

- Masz za sobą bardzo długą podróż, musisz być zmęczona -jak ci na imię? Ayla?

Kobieta na końskim grzbiecie skinęła głową, dobrze ją rozumiejąc. Ta przywódczyni nie dbała o formalną prezentację.

- Ponieważ przywiązujesz do tego taką wagę, musisz mi pozwolić na udzielenie wam gościnności w mojej ziemiance. Zostaniecie ze mną, prawda?

Zanim Ayla czy Jondalar mogli zareagować, odezwała się S'Armuna:

- Jest obyczajem, że podróżnicy zapraszani są do miejsca Tych Którzy Służą Matce. Możecie dzielić moją ziemiankę.

W trakcie tej wymiany zdań Jondalar, trzęsąc się, naciągał spodnie. Nie zastanawiał się nad zimnem, kiedy jego życiu groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, palce miał jednak tak zeszywniałe, że z trudem zawiązywał rzemyki, które przytrzymywały nogawice. Tunika była podarta, ale i tak był za nią wdzięczny, zamarł jednak na chwilę, zdumiony propozycją At-taroi. Przeciągnął tunikę przez głowę i zobaczył, że rzuciła gniewne spojrzenie na szamankę. Usiadł, żeby jak najszybciej naciągnąć ochraniacze stóp i buty.

Attaroa postanowiła, że z szamanką rozprawi się później, i powiedziała spokojnie:

- W takim razie musisz mi pozwolić na poczęstowanie cię naszą żywnością, Aylo. Przygotujemy ucztę i będziesz honorowym gościem. Zapraszam was oboje. Właśnie udało nam się polowanie i nie mogę pozwolić, byście odeszli, tak źle myśląc o mnie.

Jondalar uważał, że jej próba ukazania się z lepszej strony jest absurdalna, i nie miał najmniejszej ochoty na jedzenie jej żywności ani pozostanie w osiedlu na moment dłużej, ale zanim zdążył to powiedzieć, odezwała się Ayla.

- Z przyjemnością skorzystamy z twojej gościnności, Attaroa. Na kiedy planujesz

uczcie? Chciałabym coś na nią przygotować, ale dzisiaj już jest za późno.

- Tak, jest późno - odparła Attaroa - i też chcę co nieco przygotować. Uczta odbędzie się jutro, ale, oczywiście, zjecie dzisiaj z nami nasz skromny posiłek.

- Muszę zrobić kilka rzeczy, jako mój wkład do uczty. Wrócimy jutro - powiedziała Ayla i dodała: - Jondalar nadal potrzebuje swojej kurty, Attaroa. Oczywiście, zwrócisz "płaszcz", który nosił.

Kobieta ściągnęła kurtę przez głowę i podała Jondalarowi. Wyczuł obcy zapach, kiedy ją naciągał, ale docenił ciepło. Bezwzględne zło przebijało przez uśmiech Attaroi, kiedy stała na zimnie w cienkim okryciu.

- A reszta jego rzeczy! - przypomniała jej Ayla.

Attaroa zerknęła na wejście do ziemianki i skinęła na kobietę, która od dłuższej chwili tam stała. Epadoa szybko przyniosła rzeczy Jondalara i położyła je na ziemi, kilka kroków od niego. Nie była zadowolona, że musi je zwracać. Attaroa obiecała jej kilka z nich. Szczególnie pragnęła mieć nóż. Nigdy nie widziała tak pięknie zrobionego noża.

Jondalar zawiązał pas i włożył narzędzia oraz pozostałe przedmioty na ich miejsca, z trudem dowierzając, że dostał wszystko z powrotem. Wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze je zobaczy. Wątpił zresztą także, czy kiedykolwiek uda mu się ująć z życiem. Potem, ku zdumieniu wszystkich, wskoczył na konia i usiadł za kobietą. To był obóz, którego z przyjemnością nigdy więcej nie zobaczy. Ayla rozejrzała się, upewniła, że nikt nie może zatarasować im drogi czy rzucić w nich oszczepem. Zawróciła Whin-ney i odjechali galopem.

- Za nimi! Chcę ich z powrotem. Nie uciekną tak łatwo! - wrzasnęła Attaroa do Epadoi i pełna wściekłości pobiegła do ziemianki, trzęsąc się z zimna.

Ayla popędzała Whinney, aż odjechali spory kawał drogi i zaczęli zjeżdżać z boczem wzgórza. Zwolnili, kiedy wjechali w zalesiony teren koło rzeki, po czym zawrócili w kierunku, z którego przyjechali, do obozowiska, które rozłożyła dość blisko osady S'Armunai. Po zwolnieniu tempa jazdy do Jondalara dotarła fizyczna bliskość Ayli i poczuł tak oszałamiającą wdzięczność, że znowu jest z nią, iż trudno mu było chwytać oddech. Objął ją w tali i trzymał mocno, czując na policzku jej włosy i wdychając jej ciepły zapach.

- Jesteś tutaj, ze mną. Tak trudno w to uwierzyć. Bałem się, że już cię nie ma, że chodzisz po następnym świecie - wyszeptał. - Jestem tak wdzięczny, że mam cię z powrotem. Nie wiem, jak to wyrazić.

- Tak bardzo cię kocham, Jondalarze - odpowiedziała. Odchyliła się do tyłu, jeszcze bardziej wtulając się w jego objęcia. Czowała niezmierną ulgę, że jest znowu z nim. - Znalazłam

plamę krwi i przez cały czas, kiedy szłam twoim tropem i próbowałam cię znaleźć, nie wiedziałam, czy jeszcze żyjesz. Jak zrozumiałam, że cię niosą, pomyślałam, iż pewnie jesteś żywy, lecz ciężko ranny i nie możesz chodzić. Tak się zamartwiałam, ale trop nie był łatwy do wypatrzenia, i wiedziałam, że zostaję z tyłu. Myśliwe Attaroi poruszały się bardzo szybko, mimo że na piechotę, i znały drogę.

- Przyszedł w samą porę. Jak dobrze, że zdążyłaś. Jeszcze chwila, a byłoby za późno.

- Byłam tu już wcześniej.

- Wcześniej? Kiedy?

- Dotarłam zaraz po przyniesieniu drugiego ładunku mięsa. Z początku byłam przed nimi, ale ci, co nieśli pierwszy ładunek, dogonili mnie przy przeprawie przez rzekę. Całe szczęście, że zobaczyłam dwie kobiety, które szły im na spotkanie. Znalazłam kryjówkę i czekałam tam, aż mnie wyprzedzą, a potem ruszyłam za nimi. Myśliwi z drugim ładunkiem mięsa byli jednak znacznie bliżej, niż sądziłam. Chyba mnie zobaczyły, przynajmniej z odległości. Siedziałam wtedy na Whinney i szybko zjechałam ze szlaku. Później wróciłam i pojechałam za nimi, ale ostrożniej, bo nie wiedziałam, czy nie ma trzeciego ładunku.

- To wyjaśnia zamieszanie, jakie zauważył Ardemun. Nie wiedział, o co chodziło, ale mówił, że wszyscy byli zdenerwowani i dyskutowali o czymś po przyniesieniu drugiego ładunku. Ale skoro byłaś tutaj, to dlaczego czekałaś tak długo, żeby mnie stamtąd wydostać?

- Musiałam obserwować obóz przez długi czas i czekać na okazję, żeby cię wydostać z tego ogrodzonego miejsca - jak je nazywają, Zagroda?

Jondalar przytaknął.

- Nie bałaś się, że ktoś cię zobaczy?

- Obserwowałam prawdziwe wilki w ich legowiskach. W porównaniu z nimi Wilczyce Attaroi są hałaśliwe i łatwo się skryć przed nimi. Byłam wystarczająco blisko, by słyszeć ich rozmowy. Za obozem jest pagórek. Stamtąd można zobaczyć całą osadę i widzi się także to, co jest za palisadą. Za nim, jak spojrzysz w górę, zobaczysz trzy duże, białe kamienie ustawione w rzędzie wysoko na zboczu górskim.

- Widziałem je. Szkoda, że nie wiedziałem, iż tam jesteś. Lepiej bym się czuł za każdym razem, kiedy na nie patrzyłem.

- Słyszałam, że kobiety mówiły na nie Trzy Dziewczyny, a może Trzy Siostry - powiedziała Ayla.

- Oni to nazywają Obozem Trzech Sióstr.

- Chyba jeszcze nie znam zbyt dobrze ich języka.

- Już umiesz więcej niż ja. Myślę, że Attaroa zdumiała się, kiedy zaczęłaś do niej

mówić w jej własnym języku.

- Sarmunai jest tak bardzo podobny do mamutoi, że łatwo odgadnąć znaczenie słów.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, czy te białe skały mają jakąś nazwę. Są tak dobrym punktem orientacyjnym, że nazwanie ich wydaje się sensowne.

- Cały płaskowyż jest dobrym punktem orientacyjnym. Widać go na bardzo dużą odległość. Z oddali przypomina śpiące zwierzę, również z tej strony. Przed nami jest miejsce, z którego widać szeroką panoramę.

- Pewien jestem, że i wzgórze ma swoją nazwę, szczególnie że jego usytuowanie tak sprzyja polowaniom, lecz widziałem tylko mały odcinek, kiedy poszliśmy na pogrzeby. W czasie, w którym tu byłem, już odbyły się dwa, a pierwszym razem pochowano troje młodych ludzi - rzekł Jondalar i schylił głowę, żeby uniknąć gałęzi drzewa.

- Poszłam za tobą na drugi pogrzeb - powiedziała Ayla. - Myślałam, że może uda mi się wydostać cię stamtąd, ale zbyt bacznie cię pilnowały. A potem znalazłeś krzemień i pokazywałeś wszystkim miotacz oszczepów. Musiałam czekać na właściwy moment, żeby je zaskoczyć. Przykro mi, że to trwało tak długo.

- Skąd wiesz o krzemieniu? Zdawało nam się, iż bardzo uważamy, żeby nic nie było widać.

- Obserwowałam cię przez cały czas. Te Wilczyce wcale nie są dobrymi strażniczkami. Sam byś to odkrył i znalazł sposób ucieczki, gdybyś nie zajął się krzemieniem. Nie są też zresztą dobrymi myśliwymi.

- Wziąwszy pod uwagę, że niczego na początku nie umiały, to nie są takie złe. Attaroa powiedziała, że nie potrafiły posługiwać się oszczepami i musiały zaganiać zwierzęta - odparł Jondalar.

- Marnują czas na tę długą drogę do Wielkiej Rzeki Matki i zapędzanie koni w przepaść, bo znacznie lepsze warunki myśliwskie mają tuż pod nosem. Zwierzęta, które idą wzdłuż rzeki, muszą przejść wąską ścieżką między wodą i wzgórzem i łatwo je wypatrzeć.

- Zauważyłem to, kiedy poszliśmy na pierwszy pogrzeb. Miejsce, w którym zostali pochowani, wyglądało na dobry punkt obserwacyjny i ktoś już stamtąd sygnalizował ogniem, ale nie wiem jak dawno temu. Widziałem popioły z dużych ognisk - dodał Jondalar.

- Zamiast budować zagrody dla mężczyzn mogliby zrobić jedną dla zwierząt i tam je zagnać, nawet bez oszczepów - powiedziała Ayla i zatrzymała Whinney - Popatrz, tam jest. - Wskazywała na wapienne wzgórze, rysujące się na horyzoncie.

- Rzeczywiście wygląda jak śpiące zwierzę. Popatrz, nawet widać te trzy białe kamienie, Trzy Siostry - zauważył Jondalar.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Nagle Jondalar powiedział z namysłem:

- Jeśli tak łatwo wydostać się z Zagrody, to dlaczego mężczyźni tego nie zrobili?

- Nie sądzę, żeby naprawdę próbowali. Może dlatego kobiety przestały ich tak uważnie pilnować. Jest jednak dużo kobiet, nawet myśliwych, które nie chcą dłużej trzymać mężczyzn w zamknięciu. Boją się tylko Attaroi. - Ayla zatrzymała się. - Tutaj obozowałam.

Jakby dla potwierdzenia jej słów Zawodnik zarżał, kiedy weszli na małą, osłoniętą krzakami polankę. Młody ogier był mocno przywiązany do drzewa. Każdej nocy Ayla rozkładała mały obóz pośrodku zagajnika, ale rankami pakowała wszystko na grzbiet Zawodnika, żeby w razie potrzeby móc natychmiast uciec.

- Uratowałeś oba przed przepaścią! - wykrzyknął Jondalar. - Nie wiedziałem, czy ci się udało, i bałem się spytać. Ostatnie, co pamiętam, zanim mnie uderzono w głowę, to to, że siedziałas na Zawodniku i miałaś kłopoty z opanowaniem go.

- Musiałam się tylko przyzwyczaić do cugli. Największy problem stwarzał ten duży ogier, ale już nie żyje i żal mi go. Whinney przybiegła na mój gwizd, kiedy tylko przestał ją odpędzać ode mnie.

Zawodnik był szczęśliwy z widoku Jondalara. Pochylił łeb i potem nim podrzucił na przywitanie. Podszedłby do mężczyzny, gdyby nie był uwiązany. Z nastawionymi uszami i wysoko podniesionym ogonem rżał radośnie i skwapliwie, patrząc na zbliżającego się Jondalara. Obniżył łeb i dotknął pyskiem jego dłoni. Jondalar powitał ogiera jak przyjaciela, którego już nigdy nie spodziewał się zobaczyć, obejmował go, drapał, poklepywał, głaskał i przemawiał do niego. Nagle zasepił się, kiedy pomyślał o jeszcze jednym pytaniu, którego niemal nie chciał zadać.

- Co z Wilkiem?

Ayla uśmiechnęła się i powietrze przeszył nie znany Jondalarowi gwizd. Wilk wypadł susami z zarośli, tak szczęśliwy na widok Jondalara, że nie mógł ustać w miejscu. Podbiegł do niego, machając ogonem, szczeknął, a potem skoczył, położył mu łapy na ramionach i polizął w policzek. Jondalar chwycił go za grzywę, tak jak to Ayla robiła, rozwichrzył mu sierść i przycisnął czoło do czoła wilka.

- Nigdy tak się nie zachowywał wobec mnie - powiedział zdziwiony.

- Tęsknił za tobą. Myślę, że pragnął cię znaleźć równie usilnie jak ja, i nie jestem pewna, czy bez niego udałoby mi się wysledzić trop. Jesteśmy dość daleko od Wielkiej Matki Rzeki i po drodze są duże obszary kamienistego, suchego gruntu, na którym nie widać śladów. Ale jego nos znalazł trop - rzekła Ayla i też przywitała wilka.

- Ale czekał cały czas tutaj, w zaroślach? I nie przyszedł, dopóki nie dałaś mu

sygnału? Musiało być bardzo trudno nauczyć go tego. Po co to zrobiłaś?

- Musiałam nauczyć go, żeby się chował, ponieważ nie wiedziałam, kto może tu przyjść, a nie chciałam, żeby się o nim dowiedziały One jedzą wilcze mięso.

- Kto je wilcze mięso? - spytał Jondalar, marszcząc nos z obrzydzenia.

- Attaroa i jej myśliwe.

- Takie są głodne?

- Może kiedyś były, ale teraz to jest rytuał. Obserwowałam je jednego wieczoru. Była to inicjacja, czyniły młodą kobietę członkiem swojej watahy Wilczyc. Ukrywają to przed innymi kobietami i odbywa się to w specjalnym miejscu. Miały tam żywego wilka w klatce. Zabiły go, poćwiartowały, upiekły mięso i zjadły. Wydaje im się, że w ten sposób zdobywają siłę i przebiegłość wilka. Byłoby lepiej, gdyby obserwowały wilki. Więcej by się nauczyły.

Nic dziwnego, że odnosiła się z taką niechęcią do Wilczyc i ich umiejętności myśliwskich - pomyślał Jondalar, nagle rozumiejąc, dlaczego ich tak nie lubiła. Ich rytuał inicjacji zagrażał jej Wilkowi.

- Więc nauczyłaś Wilka, żeby pozostawał w ukryciu, aż go zawołasz. To nowy gwizd, prawda?

- Nauczę cię też. On na ogół zostaje w ukryciu, kiedy mu każę, ale i tak martwię się o niego. O Whinney i Zawodnika również. Konie i wilki to jedyne zwierzęta, jakie kobiety Attaroi zabijają - powiedziała, oglądając się na swoich ulubieńców.

- Dużo się o nich dowiedziałaś, Aylo.

- Musiałam dowiedzieć się wszystkiego, co tylko mogłam, żeby cię stamtąd wydostać. Może jednak dowiedziałam się zbyt wiele.

- Zbyt wiele? Jak mogłaś dowiedzieć się zbyt wiele?

- Na początku, kiedy cię znalazłam, myślałam tylko o wyrwaniu cię z tego miejsca i o odejściu tak szybko, jak to tylko możliwe, ale teraz wiem, że nie możemy odejść.

- Co to znaczy, że nie możemy odejść? Dlaczego? - spytał zaszępiiony Jondalar.

- Nie możemy zostawić tych dzieci ani mężczyzn w tak straszliwych warunkach. Musimy ich wydostać z Zagrody.

Jondalar zaniepokoił się. Nieraz widział już u niej tak zdecydowany wyraz twarzy.

- Jest niebezpiecznie zostać tu, Aylo, i nie tylko dla nas. Pomyśl, jakim łatwym celem są te konie. Nie uciekają od ludzi. I nie chcesz przecież oglądać zębów Wilka wiszących wokół szyi Attaroi. Też chciałbym pomóc tym ludziom. Mieszkałem z nimi i wiem, że nikt tak nie powinien żyć, a szczególnie dzieci, ale co możemy zrobić? Jesteśmy tylko we dwójkę.

Naprawdę chciał im pomóc, ale bał się, że jeśli zostaną, Attaroa może skrzywdzić

Aylę. Sądził, że ją stracił, i teraz, kiedy znowu byli razem, bał się, że jeśli nie odjadą, naprawdę tak się stanie. Próbował znaleźć argumenty, które przekonałyby ją, że należy odejść.

- Nie jesteśmy sami. Nie tylko my dwoje chcemy zmiany sytuacji. Musimy znaleźć sposób, by im pomóc - odpowiedziała Ayla i zastanowiła się. - Zdaje mi się, że S'Armuna chce, żebyśmy wrócili - to dlatego ofiarowała nam gościnę. Musimy pójść na jutrzejszą ucztę.

- Attaroa już używała trucizny. Jeśli tam pójdziemy, możemy nigdy nie odejść - ostrzegł ją Jondalar. - Wiesz, że cię nienawidzi.

- Wiem, ale i tak muszę wrócić. Ze względu na te dzieci. Nie będziemy jedli niczego poza tym, co sama przyniosę, a i to tylko jeśli nie spuścimy tego z oczu. Jak uważasz, powinniśmy zmienić miejsce obozowiska czy zostać tutaj? Mam dużo roboty przed jutrzejszym dniem.

- Nie wydaje mi się, by miało to jakieś znaczenie. Po prostu wytropią nas na nowym miejscu - powiedział Jondalar i chwycił ją za ramiona. Spojrzał jej w oczy, jakby wzrokiem chciał nagiąć jej decyzję do własnej woli. Wreszcie puścił ją. Wiedział, że nie cofnie swej decyzji i że on zostanie, by jej pomóc. W głębi serca tego właśnie pragnął, ale musiał się upewnić, że nie potrafi przekonać jej do odejścia. Przysiągł sobie, że nie dopuści, by stała jej się jakakolwiek krzywda.

- Dobrze. Mówiłem mężczyznom, że nie zniesiesz, by kogokolwiek traktowano w ten sposób. Chyba mi nie wierzyli. Potrzebna nam jednak będzie pomoc, żeby ich stamtąd wydostać. To prawda, że zdziwiłem się, kiedy usłyszałem propozycję S'Ar-muny, żebyśmy zatrzymali się u niej. Nie sądzę, by często to robiła. Jej ziemianka jest mała i stoi na uboczu. Nie została zbudowana na przyjmowanie gości, ale dlaczego sądzisz, że ona chce się z nami spotkać?

- Ponieważ przerwała Attaroi, żeby nas zaprosić. To z pewnością nie spodobało się przywódczyni. Czy ufasz S'Armunie, Jondalarze?

Mężczyzna zastanowił się.

- Nie wiem. Ufam jej bardziej niż Attaroi, ale to niewiele znaczy. Wiesz, że S'Armuna zna moją matkę? Kiedy była młoda, mieszkała w Dziewiątej Jaskini i zaprzyjaźniły się.

- To dlatego tak dobrze mówi w twoim języku. Ale skoro zna twoją matkę, to dlaczego ci nie pomogła?

- Sam się zastanawiałem nad tym. Może nie chciała. Myślę, że coś się zdarzyło między nią a Marthoną. Nie przypominam sobie, żeby matka kiedykolwiek o niej mówiła. Ale mam jakieś przeczucie. Opatrzyła mi ranę i chociaż nie uczyniła nawet tyle dla innych



mężczyzn, myślę, że chce robić więcej. To Attaroa jej nie pozwala.

Zdjęli ładunek z Zawodnika i rozłożyli obóz, chociaż oboje byli niespokojni. Jondalar rozpałił ognisko, podczas gdy Ayla przygotowywała posiłek. Początkowo wzięła porcję, jaka normalnie starczała dla obojga, ale przypomniała sobie, jak niewiele jedzenia otrzymywali mężczyźni w Zagrodzie, i przyrządziła więcej. Jak już znowu zacznie jeść, będzie bardzo głodny.

Jondalar przykucnął przy płonącym ognisku i patrzył na kobietę, którą kochał. Po chwili podszedł do niej.

- Zanim będziesz zbyt zajęta - powiedział i objął ją. - Przywitałem się z końmi i Wilkiem, ale jeszcze nie przywitałem najważniejszej osoby.

Uśmiechnęła się w sposób, który zawsze wywoływał w nim gorące uczucia miłości i czułości.

- Nigdy nie jestem zbyt zajęta dla ciebie. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale nagle cały strach i przerażenie na myśl o jej utracie ogarnęły go ponownie.

- Tak się bałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Myślałem, że już nie żyjesz. - Głos mu się załamał. - Nic, co Attaroa mogłaby mi zrobić, nie byłoby gorsze od utraty ciebie.

Trzymał ją tak mocno, że zaledwie mogła oddychać, ale nie chciała, żeby ją puścił. Pocałował jej usta, szyję i zaczął dotykać jej ciała swoimi umiejętnymi dłońmi.

- Jondalarze, jestem pewna, że Epadoa poszła za nami... Odsunął się i zaczerpnął tchu.

- Masz rację, to nie jest właściwa pora. Bylibyśmy zbyt narażeni, gdyby tu przyszły. - Nie powinien był się tak bezmyślnie zachować i czuł potrzebę usprawiedliwienia się. - To tylko... myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. To, że jestem tu z tobą, to jak dar od Matki i... no tak... poczułem potrzebę uhonorowania jej.

Ayla obejmowała go i chciała mu powiedzieć, że czuje to samo. Nagle pomyślała, że nigdy przedtem nie próbował jej wyjaśniać, dlaczego jej pragnie. Nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. Sama z trudem powstrzymywała się od zlekceważenia niebezpieczeństwa i poddania się ogarniającej ją fali namiętności. Czuła, jak jej żar rośnie, i na nowo rozważyła sytuację.

- Jondalarze... - Ton jej głosu przykuł jego uwagę. - Jak się zastanowić, to daleko wyprzedziliśmy Epadoę i zabierze jej trochę czasu znalezienie śladów... i Wilk nas ostrzeże...

Jondalar spojrzał na nią i zaczął rozumieć, o co jej chodzi. Jego zachmurzona z niepokoju twarz rozjaśniła się i z wolna pojawił się na niej uśmiech.

- Aylo, moja kobieto, moja piękna, kochająca kobieto - powiedział ochryłym głosem.

Nie był już z nią od tak dawna i był całkowicie gotowy, ale najpierw pocałował ją

długo i czule. Kiedy jej wargi rozchyliły się, poczuł swoją nabrzmiewającą męskość. Będzie trudno powstrzymać się na tyle, by dać jej przyjemności.

Ayla obejmowała go mocno. Oczy miała zamknięte i czuła tylko jego usta na swoich i jego łagodnie badający język. Pod wpływem jego dotyku ogarnęła ją taka niecierpliwość, potrzeba tak silna, że nie chciała już czekać. Chciała być bliżej niego, tak blisko, że tylko jego obecność w niej mogła to pragnienie zaspokoić. Nie odrywając ust, opuściła ręce, żeby rozwiązać rzemień przytrzymujący futrzane nogawice. Zrzuciła je z siebie i sięgnęła do jego rzemienia.

Jondalar poczuł, jak niezdarnie próbuje rozwiązać supty, którymi związał swoje pocięte rzemień. Wyprostował się, uśmiechnął do oczu, które miały niebieskoszary kolor krzemienia dobrej jakości, wyciągnął nóż i na nowo przeciął wiązania. I tak trzeba je było wymienić na nowe. Uśmiechnęła się, podciągnęła swoje nogawice na tyle, by móc przejść kilka kroków do śpiworów, i położyła się na nich. Rozwiązała swoje obuwie, a Jondalar podszedł do niej i rozwiązał swoje.

Leżąc na boku, znowu się całowali. Jondalar sięgnął pod kurtę i tunikę, żeby dotknąć pełnych piersi. Poczuł, jak brodawka stwardniała mu w dłoni, i odgarnął ciężką odzież Ayli, żeby odsłonić nęcący, skurczony z zimna koniuszek. Wziął go w usta. Rozgrzał się wtedy, ale nie odprężył. Ayla nie chciała czekać; przewróciła się na plecy, pociągając mężczyznę ze sobą, i otworzyła się na jego przyjęcie.

Z uczuciem niezmiernej radości, że jest tak gotowa jak i on, ukląkł między jej gorącymi udami i nakierował swój skwapliwy członek w jej głębie. Otoczyło go wilgotne ciepło, kiedy wszedł w nią z westchnieniem rozkoszy.

Wchodził głęboko, łącząc ich oboje w jedność, a Ayla zapomniała o wszystkim poza wypełniającym ją ciepłem i cała się wyprężyła. Poczula, że się wycofuje i natychmiast wypełnia ją znowu. Krzyknęła z rozkoszy. Za każdym poruszeniem jego męskość pocierała jej mały ośrodek przyjemności, a fale podniecenia rozchodziły się po całym ciele.

Jondalar prędko zbliżał się do szczytu; przez moment obawiał się, że zbyt prędko - nie mógłby się jednak powstrzymać, nawet gdyby próbował, a tym razem nawet się o to nie starał. Pozwolił sobie na ruchy w pełni podporządkowane własnej potrzebie i w rytmie jej ruchów, dopasowujących się do niego, wyczuwał również gorącą chęć. Nagle, niepowstrzymanie, osiągnął szczyt. Namiętność Ayli dorównywała jego, i ona była dla niego gotowa. Szepnęła: "Teraz, och teraz" i wyprężyła się na spotkanie. Jej zachęta była niespodziewana. Nigdy przedtem tego nie robiła, ale efekt był natychmiastowy. Przy następnym ruchu rosnące napięcie osiągnęło stadium eksplozji i wybuchnęło w wyzwoleniu i

rozkoszy. Była tylko o krok za nim i z okrzykiem zachwytu osiągnęła szczyt w sekundę później. Jeszcze kilka ruchów i oboje znieruchomieli.

Chociaż wszystko poszło tak szybko, moment był tak intensywny, że ochłonięcie zabrało jej chwilę. Jondalar uznał, że jego waga stanowi zbyt duże obciążenie, i przetoczył się na bok, a Ayla poczuła niewymowny żal i zamarzyła, by mogli na zawsze zostać tak połączeni. W jakiś sposób uzupełniał ją i pełna świadomość tego, jak bardzo bała się o niego i za nim tęskniła, uderzyła ją z taką siłą, że łzy napłynęły jej do oczu.

Jondalar zobaczył przezroczystą kroplę, która wypłynęła z kącika jej oka i spłynęła w dół, do ucha. Uniósł się i spojrzał na nią.

- Co się stało, Aylo?

- Po prostu jestem taka szczęśliwa, że jesteś ze mną - powiedziała i kolejna łza zawahała się na brzegu oka i spłynęła. Jondalar dotknął jej palcem i podniósł słoną kroplę do ust.

- Skoro jesteś szczęśliwa, to dlaczego płaczesz? - spytał, choć znał odpowiedź.

Potrząsnęła głową, niezdolna do wypowiedzenia jakichkolwiek słów. Uśmiechnął się, bo wiedział, że podzielała jego potężne uczucia ulgi i wdzięczności, iż znowu są razem. Pochylił się, żeby pocałować jej oczy, policzki i piękne, uśmiechnięte usta.

- Także cię kocham - wyszeptał jej do ucha.

Poczuł nieznaczny ruch swojej męskości i pragnął, by mogli wszystko zacząć od nowa, ale to nie była właściwa pora. Epadoa z pewnością tropiła ich i wcześniej czy później ich znajdzie.

- Tu niedaleko jest strumyk - powiedziała Ayla. - Muszę się umyć i mogę przy okazji napełnić wodą bukłaki.

- Pójdę z tobą - odparł, częściowo dlatego, że nadal chciał czuć jej bliskość, a częściowo dla bezpieczeństwa.

Podnieśli dolne części ubrania, bukłaki i poszli do dość szerokiego strumienia, niemal całkiem pokrytego lodem. Tylko w samym środku nadal płynęła strużka wody. Zatrząś się od szoku lodowatej wody i wiedział, iż myje się tylko dlatego, że ona to robi. Zupełnie by mu wystarczyło wyschnięcie w ciepłe ubrania. Ayla jednak zawsze obmywała się, jeśli tylko miała możliwość, nawet w najbardziej lodowatej wodzie. Wiedział, że to rytuał, którego nauczyła ją jej matka z klanu, choć teraz przywoływała Matkę cichymi słowami wypowiedzianymi w mamutoi.

Napełnili bukłaki i poszli z powrotem do obozowiska. Po drodze Ayla wspominała scenę, której była świadkiem tuż przedtem, zanim jego rzemienie zostały przecięte po raz

pierwszy

- Dlaczego nie zgodziłeś się na spólkowanie z Attarą? Uraziłeś jej dumę w obecności jej ludzi.

- Ja też mam dumę. Nikt mnie nie zmusi do dzielenia się Darem Matki. Zresztą to i tak nie miałyby znaczenia. Jestem pewien, że od początku miała zamiar zrobić ze mnie cel na oszczepy. Teraz jednak myślę, że to ty musisz być ostrożna. "Nieuprzejma i niegościnna"... - Zachichotał, ale zaraz spoważniał. - Ona cię nienawidzi. Zabije nas oboje, jeśli tylko będzie miała okazję.

Ayla i Jondalar położyli się spać, nasłuchując w napięciu każdego dźwięku. Konie były przywiązane tuż obok i Ayla trzymała Wilka koło swojego śpiwora - wiedziała, że ostrzeże ją, jeśli wyczuje coś niezwykłego - ale i tak spała niespokojnie. Miała przerażające sny, ale niewyraźne i niespójne, nie zawierały żadnej informacji czy ostrzeżenia, jedynie w każdym występował Wilk. Zbudziła się, kiedy pierwsze przebłyski dnia przedostały się przez nagie gałęzie wierzb i brzoź, rosnących na wschód nad strumieniem. Na osłoniętej polance było nadal ciemno, ale w narastającym świetle powoli zaczęła odróżniać świerki o grubych igłach i długoigłaste pinie. W nocy suchy śnieg oprószył cieniutką pokrywą drzewa, splecione krzewy i śpiwory, ale Ayli było przyjemnie ciepło. Od tak dawna nie spała obok Jondalara, że leżała spokojnie jeszcze przez chwilę, po prostu rozkoszując się jego bliskością. Niepokoiła się jednak nadchodzącym dniem i zastanawiała, co przygotuje na ucztę. Wreszcie postanowiła wstać, ale kiedy próbowała wyslizgnąć się z futer, poczuła przytrzymujące ją ramię Jondalara.

- Naprawdę musisz wstać? Tak dawno nie czułem cię obok siebie, że nie chcę cię puścić - powiedział, wtulając twarz w jej plecy.

Przycisnęła się z powrotem do jego ciepłego ciała.

- Też nie chcę wstawać. Jest zimno i wołałabym zostać tu z tobą w futrach, ale muszę zacząć gotować coś na "ucztę" At-taroi. Chcę także zrobić posiłek dla nas. Nie jesteś głodny?

- Teraz, jak o tym mówisz, to myślę, że mógłbym zjeść konia!

- Jondalarze! - wykrzyknęła zaszokowana Ayla. Uśmiechnął się.

- Nie żadnego z naszych, ale to właśnie jadłem ostatnimi czasy - kiedy w ogóle miałem cokolwiek do jedzenia. Gdybym nie był tak głodny, chyba nie potrafiłbym jeść końskiego mięsa, ale jak nie ma niczego innego, jesz to, co jest. I nie ma w tym nic złego.

- Wiem, ale teraz już nie musisz. Mamy inne jedzenie. -Przez chwilę jeszcze leżeli przytuleni, po czym Ayla odrzuciła futra. - Ogień wygasł. Jeśli rozpalisz ognisko, zrobię herbatę. Dzisiaj będzie nam potrzebny gorący ogień i mnóstwo drewna.

Na posiłek poprzedniego wieczoru Ayla przygotowała większą niż zwykle ilość pożywej zupy z suszonego mięsa żubra i suszonych korzeni z dodatkiem kilku orzeszków piniowych, ale Jondalar nie był w stanie zjeść tak dużo, jak myślał. Po odstawieniu resztek wyjęła z kosza małe jabłka, niewiele większe od czereśni, które znalazła, idąc po jego śladach. Zamarzły, ale nadal wisiły na karłowatych, bezlistnych drzewach na południowej ścianie wzgórza. Przecięła twarde, małe jabłka na pół i po wyjęciu gniazd nasiennych i

gotowała je przez chwilę z suszonymi owocami dzikiej róży. Zostawiła ten kompot na noc koło ogniska. Do rana ostygł i - ze względu na zawartość naturalnej pektyny - zgęstniał w sos o żelatynowej konsystencji, w którym zawieszono były kawałki owoców. Rano, przed zrobieniem herbaty, Ayla dodała trochę wody do wczorajszej zupy i włożyła dodatkowe kamienie do ogniska, żeby je zagrzać. Skosztowała również zgęstniałej masy jabłecznej. Zamrożenie złagodziło normalną kwaśność jabłek, a dodatek owoców róży nadał jej czerwonawe zabarwienie i delikatny, słodkawy zapach. Podała Jondalarowi miseczkę razem z jego porcją zupy.

- To jest najlepsze jedzenie, jakie kiedykolwiek jadłem! - wykrzyknął Jondalar po kilku kęsach. - Co tu włożyłaś, że tak wspaniale smakuje?

Ayla uśmiechnęła się.

- Jest przyprawione głodem.

Jondalar kiwnął głową i między jednym kęsem a drugim powiedział:

- Chyba masz rację. Tym bardziej żał mi tych, którzy są nadal w Zagrodzie.

- Nikt nie powinien chodzić głodny, kiedy można zdobyć jedzenie - odparła z gniewem Ayla. - Co innego, kiedy wszyscy głodują.

- Czasami, na przedwiośniu, to się może zdarzyć. Byłaś kiedyś głodna?

- Kilka razy poszłam spać głodna. Najlepsze jedzenie zawsze najszybciej się kończy, ale jeśli wiesz, gdzie szukać, zwykle możesz coś znaleźć, o ile tylko wolno ci chodzić i szukać!

- Słyszałem o ludziach, którzy głodowali, bo skończyła im się żywność, i nie wiedzieli, gdzie znaleźć więcej, ale ty zawsze potrafisz znaleźć coś do jedzenia, Aylo. Skąd wiesz to wszystko?

- Iza mnie nauczyła. Zawsze interesowałam się żywnością i roślinami. - Ayla zamyśliła się na chwilę. - Myślę, że był czas, kiedy przymierałam z głodu, tuż przedtem, zanim Iza mnie znalazła. Byłam mała i nie pamiętam wiele z tego. - Przez twarz przeleciał jej czuły uśmiech. - Iza powiedziała, że nie знаła nikogo, kto tak szybko uczył się o znajdowaniu żywności jak ja, szczególnie że nie urodziłam się ze wspomnieniami, gdzie i jak jej szukać. Powiedziała, że głód mnie tego nauczył.

Jondalar pochłonął dwie duże porcje i obserwował Aylę, która przeglądała swoje starannie zgromadzone zapasy wysuszonej żywności i zaczęła przygotowania do zrobienia potrawy na ucztę. Zastanawiała się, jakiego pojemnika mogłaby użyć do gotowania, żeby jedzenia starczyło dla całego Obozu S'Armunai. Większość wyposażenia zostawili w schowku i mieli ze sobą wyłącznie absolutne minimum. Wzięła największy bukłak i wylała z

niego wodę do niniejszych misek i pojemników, a następnie oddzieliła wyściółkę od okrywającego ją futra, które było zszyte razem, włosiem na wierzch. Wyściółka była zrobiona z żołądka tura i chociaż nie w pełni szczelna, bardzo powoli przepuszczała wodę. Miękka skóra zewnętrznej warstwy absorbowała wilgoć, co utrzymywało zewnętrzną stronę zasadniczo suchą. Ayla rozcięła wierzch wyściółki, przywiązała ją do ramy z drewna ścięgnem ze swojego woreczka na przybory do szycia, następnie napełniła wodą i poczekała, aż przesączy się cienka warstewka wody.

Do tego czasu gorący ogień, który wcześniej rozniecili, wypalił się, zostawiając osmalone głownie. Ayla umieściła rozpięty żołądek tura bezpośrednio nad nimi, upewniając się, iż ma pod ręką dodatkową wodę, żeby dolewać do tego łatwo palnego garnka. Czekając, aż woda się zagotuje, zaczęła pleść ścisły kosz z witek wierzbowych i poźółkłych traw, elastycznych od wilgotnego śniegu. Kiedy na wodzie pojawiły się bąbelki, włożyła do garnka paski chudego, suszonego mięsa i kilka pełnych tłuszczu placuszków podróżnej żywności na pożywną, mięsną zupę. Następnie dodała mieszankę różnych ziaren. Później miała zamiar dodać również trochę suchych korzeni - dzikie marchewki i pełne skrobi orzeszki ziemne - oraz łodygi i strąki innych warzyw, jak również suszone porzeczki i czarne jagody. Przyprawiła to wszystko różnymi ziołami, w tym podbiałem, czosnkiem niedźwiedzim, szczawiem, bazylią, tawułą i odrobiną soli, którą zachowała przez całą drogę od wyjścia z Letniego Spotkania Mamutoi, o czym Jondalar nawet nie wiedział.

Nie miał najmniejszej ochoty odchodzić daleko i został w pobliżu, zbierając drewno, przynosząc wodę, ścinając trawy i witki wierzbowe na kosze, które plotła. Był tak szczęśliwy, że znowu jest z nią razem, iż nie chciał spuszczać jej z oczu. Ona zaś była równie szczęśliwa z jego bliskości. Jondalar zaniepokoił się, kiedy zobaczył, jak duże ilości zapasów wrzuca do garnka. Właśnie przeżył okres wielkiego głodu i był niezwykle wyczulony na punkcie żywności.

- Aylo, w tej potrawie jest już mnóstwo naszych rezerw na czarną godzinę. Zabraknie nam, jeśli zużyjesz zbyt wiele.

- Chcę zrobić dosyć dla nich wszystkich, dla kobiet i mężczyzn obozu Attaroi, żeby im pokazać, co mogliby mieć w swoich własnych spiżarniach, gdyby pracowali razem - wyjaśniła Ayla.

- Może powinienem wziąć miotacz i rozejrzeć się za jakimś świeżym mięsem - odparł z niepokojem.

Spojrzała na niego zdziwiona. Większość żywności, jaką zjadali w czasie tej podróży, zbierali po drodze. Z zapasów korzystali na ogół dla wygody, nie zaś z konieczności. Ponadto

mieli więcej zapasów schowanych razem z resztą rzeczy przy rzece. Przypatrzyła mu się uważnie. Po raz pierwszy zauważyła, że schudł, i zaczęła rozumieć jego niezwykle niepokój.

- To dobry pomysł - zgodziła się. - Może weźmiesz ze sobą Wilka. Umie znajdować i wypłascać zwierzynę i potrafi cię ostrzec, jeśli ktokolwiek będzie w pobliżu. Jestem pewna, że Epadoa szuka nas razem z Wilczycami.

- Ale jeśli wezmę Wilka, to kto ostrzeże ciebie?

- Whinney. Ona wie, kiedy zbliżają się obcy. Chciałabym jednak odejść stąd, jak tylko będę gotowa, i wrócić do osady S'Armunai.

- Długo to jeszcze potrwa? - spytał. Ze zmarszczonym czołem rozważał alternatywy działania.

- Mam nadzieję, że już niedługo, ale nie jestem przyzwyczajona do gotowania takich ilości jedzenia naraz, więc nie jestem pewna.

- Może lepiej zaczekam, a potem pójdę zapolować.

- Sam zdecyduj, ale jeśli zostaniesz, to przydałoby mi się więcej opału.

- Pójdę po drewno - powiedział. Rozejrzał się i dodał: -I spakuję wszystko, czego nie używasz, żebyśmy byli gotowi do drogi.

Gotowanie zabrało więcej czasu, niż Ayla sądziła, i późnym przedpołudniem Jondalar zabrał Wilka na zbadanie okolicy, bardziej żeby się upewnić, iż nie ma w pobliżu Epadoi, niż żeby polować. Był trochę zdziwiony, że Wilk tak chętnie z nim poszedł... kiedy Ayla mu pozwoliła. Zawsze uważał, że jest to zwierzę Ayli, i nigdy nie myślał nawet o zabieraniu Wilka ze sobą. Wilk okazał się dobrym towarzyszem i rzeczywiście coś wypłoszył, ale Jondalar pozwolił mu na zachowanie królika dla siebie.

Kiedy wrócili, Ayla wręczyła Jondalarowi dużą porcję gorącej stawy, którą przygotowała dla obozu. Na ogół jedli nie częściej niż dwa razy dziennie, kiedy jednak zobaczył miskę wypełnioną jedzeniem, zdał sobie sprawę z tego, jaki jest głodny. Nabrała trochę dla siebie i dała również porcję Wilkowi.

Właśnie minęło południe, kiedy byli wreszcie gotowi do drogi. Podczas gdy potrawa się gotowała, Ayla skończyła plecenie dwóch koszy o wysokich ściankach. Oba były spore, ale jeden był większy. Napelniła je gęstą, pożywną masą. Dodała do niej również kilka oleistych orzeszków piniowych. Domyślała się, że na ogół jedli chude mięso i że właśnie bogactwo tłuszczu i olei najbardziej będzie smakować ludziom z obozu. Wiedziała także, nie w pełni rozumiejąc, dlaczego, że to im było najbardziej potrzebne, szczególnie zimą, dla zachowania ciepła i energii, i że wraz z ziarnem nasyci i zadowoli wszystkich.

Ayla przykryła czubate kosze odwróconymi do góry dnem, płytkimi koszykami,



uniosła je na grzbiet Whinney i umocowała w nosidle naprędcie zrobionym z suchej trawy i witek wierzbowych. Nie musiało być trwałe; będzie użyte tylko jeden raz. Wyruszyli z powrotem w kierunku osiedla S'Armunai inną trasą. Po drodze rozważali, co zrobić ze zwierzętami, jak już dojdą do obozu Attaroi.

- Możemy ukryć konie w lesie koło rzeki. Przywiązać je tam do drzewa i resztę drogi przejść piechotą - zaproponował Jondalar.

- Nie chcę ich przywiązywać. Jeśli myśliwe Attaroi znajdą je, będzie je bardzo łatwo zabić. Jak będą wolne, to przynajmniej będą miały szansę ucieczki i będą mogły przyjść, jak na nie zagwiżdżę. Woląabym mieć je gdzieś blisko, gdzie moglibyśmy je widzieć.

- W takim razie dobrym miejscem będzie pole suchej trawy koło obozu. Sądzę, że nie ruszą się stamtąd, nawet bez uwiązania. Na ogół zostają w jednym miejscu, jeśli mogą się paść - powiedział Jondalar. - Jak oboje wjedziemy na koniach, to zrobi to ogromne wrażenie na Attaroi i S'Armunai. Jeśli są podobni do wszystkich innych, których spotykaliśmy, S'Armunai prawdopodobnie boją się trochę ludzi, którzy potrafią panować nad końmi. Oni wszyscy myślą, że to ma coś wspólnego z duchami, magią czy czymś takim, a im dłużej się nas boją, tym dla nas lepiej. Jesteśmy tylko we dwójkę i wszystko, co daje nam przewagę, niezmiernie się przyda.

- To prawda - zgodziła się Ayla i zasepiła się, zarówno z niepokoju o zwierzęta, jak i dlatego, że nie odpowiadała jej myśl o wykorzystywaniu nieuzasadnionych obaw S'Armunai. Miała wrażenie, że jest to podobne do kłamstwa, ale tu chodziło o ich życie, a prawdopodobnie również o życie chłopców i mężczyzn w Zagrodzie.

Był to trudny moment dla Ayli. Stała przed wyborem między dwiema złymi rzeczami, ale to ona upierała się, że muszą wrócić i pomóc, nawet za cenę narażenia własnego życia. Musiała przezwyciężyć głęboko zakorzeniony przymus pełnej prawdomówności; musiała wybrać mniejsze zło, zaadaptować się, jeśli mieli mieć jakąkolwiek szansę na uratowanie chłopców i mężczyzn obozu, jak i samych siebie, przed szaleństwem Attaroi.

- Aylo - zaczął Jondalar. - Aylo? - powtórzył, ponieważ nie zareagowała.

- Hm... tak?

- Spytałem, co z Wilkiem. Czy weźmiesz go ze sobą do obozu?

Zastanowiła się przez moment.

- Nie, chyba nie. Oni wiedzą o koniach, ale nie o Wilku. Biorąc pod uwagę, co robią z jego pobratymcami, wolę nie ryzykować. Powiem mu, żeby został w ukryciu. Chyba zostanie, jeśli od czasu do czasu mnie zobaczy.

- Gdzie go schowasz? Wokół osady jest na ogół otwarta przestrzeń.

Ayla myślała przez chwilę.

- Wilk może ukryć się tam, gdzie ja się chowałam, kiedy cię obserwowałam. Pójdziemy dookoła aż do wzgórza. Tam jest kilka drzew i krzewów nieopodal małego strumienia. Zaczekasz tam z końmi. Potem znowu pójdziemy w koło i wjedziemy do obozu z innej strony.

Nikt ich nie zauważył, kiedy pojawili się na skraju lasu. Pierwsi, którzy zobaczyli kobietę i mężczyznę, każde na swoim koniu, galopujących przez otwarte pole w kierunku osady, mieli wrażenie, że przybysze po prostu zjawili się znikąd. Zanim dotarli do dużej ziemianki Attaroi, wszyscy, którzy mogli, zgromadzili się, żeby na nich patrzeć. Nawet mężczyźni z Zagrody stłoczyli się przy palisadzie i obserwowali ich przez szpary.

Attaroa stała z rękami opartymi na biodrach i rozstawionymi nogami, przyjmując swoją postawę dowódcy. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, była zaszokowana i bardzo zaniepokojona, widząc ich oboje na koniach. Tych kilka razy, kiedy komuś udało się od niej uciec, umykał tak daleko i tak szybko, jak tylko mógł. Nikt dobrowolnie nie wrócił. Jaką moc posiadało tych dwoje, że odważyli się na powrót? Ze skrytą obawą przed zemstą Wielkiej Matki i jej świata duchów Attaroa zastanawiała się, co może oznaczać pojawienie się tej tajemniczej kobiety i wysokiego, przystojnego mężczyzny. W jej głosie jednak nie zabrzmiała ani jedna nuta niepokoju.

- A więc zdecydowaliście się wrócić - powiedziała i spojrzała na S'Armunę, chcąc, by przetłumaczyła jej słowa.

Jondalarowi zdawało się, że również szamanka była zdziwiona, ale wyczuwał także jej ulgę: Zanim przetłumaczyła słowa Attaroi na zelandonii, przemówiła bezpośrednio do nich.

- Niezależnie od tego, co powie, nie radziłabym zatrzymywać się w jej ziemiance, synu Marthony. Moje zaproszenie jest nadal aktualne dla was obojga.

Przywódczyni spojrzała na nią, podejrzewając, że wypowiedziała więcej słów niż te, które miała przetłumaczyć. Bez znajomości języka nie mogła jednak być pewna.

- Dlaczego nie mielibyśmy wrócić, Attaroa? Czy nie zaprosiłaś nas na ucztę na naszą cześć? - odparła Ayla. - Przynieśliśmy żywność.

Podczas gdy S'Armuna tłumaczyła jej słowa, Ayla przerzuciła nogę przez grzbiet Whinney i zeskoczyła na ziemię, po czym podniosła większy kosz i postawiła go na ziemi między Attaroa a S'Armuną. Uniosła pokrywę i wspaniały zapach, unoszący się ze sterty ziaren ugotowanych z innymi składnikami, wywołał zachwycone spojrzenia i napływ śliny do ust u wszystkich obecnych. To były przysmaki, jakich rzadko kiedy kosztowano w ostatnich

latach, szczególnie w zimie. Zrobiło to silne wrażenie nawet na Attaroi.

- Tego powinno starczyć dla wszystkich.

- To jest tylko dla kobiet i dzieci - powiedziała Ayla. Wzięła nieco mniejszy koszyk od Jondalara i postawiła go obok. Podniosła pokrywkę i oznajmiła: - To jest dla mężczyzn.

Za palisadą oraz w grupie zebranych kobiet rozległy się szmery głosów, ale Attaroa była wściekła.

- Co to znaczy: dla mężczyzn?

- Kiedy przywódca obozu organizuje ucztę na cześć gości, jest to uczta dla wszystkich, prawda? Sądziłam, że jesteś przywódczynią całego obozu i że mam przynieść tyle, by starczyło dla wszystkich. Jesteś przywódczynią wszystkich?

- Oczywiście, że jestem przywódczynią wszystkich - wybełkotała gniewnie Attaroa, której z wściekłości zabrakło słów.

- Jeśli jeszcze nie jesteś gotowa, to zabiorę te kosze do środka, żeby nie zamrzły - rzekła Ayla, podniosła większy kosz i zwróciła się w stronę S'Armuny. Jondalar wziął drugi.

Attaroa szybko zebrała myśli.

- Zaprosiłam was do mojej ziemianki.

- Ale z pewnością jesteś bardzo zajęta przygotowaniem - powiedziała Ayla - i nie chciałabym narzucać się przywódczyni obozu. Jest właściwsze, byśmy zatrzymali się u Tej Która Służy Matce. - S' Armuna przetłumaczyła i dodała: - Taki jest obyczaj.

Ayla odwróciła się i szepnęła do Jondalara:

- Zaczynij iść w kierunku ziemianki S'Armuny!

Attaroa obserwowała ich odejście i złowrogi uśmiech zniekształcił jej rysy, zmieniając twarz, która mogłaby być piękna, w ohydny, nieludzką karykaturę. Pomyślała, że zachowali się bardzo głupio, wracając, ponieważ ich powrót umożliwił jej wykonanie tego, czego pragnęła: zniszczenia ich. Wiedziała jednak również, że będzie musiała ich zaskoczyć. Uznała, że to dobrze, iż poszli z S'Armuną. Będzie teraz miała wolne ręce. Potrzebowała czasu na zastanowienie i przedyskutowanie planów z Epadoą, która jeszcze nie wróciła. Na razie jednak będzie dalej przygotowywała ucztę. Dała znak jednej z kobiet, tej, która miała niemowlę dziewczynkę i była jej faworytką, i kazała jej powiedzieć innym kobietom, by przygotowały jedzenie na uroczystość.

- Zróbcie dosyć dla wszystkich włącznie z mężczyznami w Zagrodzie.

Kobieta spojrzała ze zdziwieniem, ale kiwnęła głową i szybko odeszła.

- Myślę, że przydałoby się wam trochę gorącej herbaty - powiedziała S'Armuna po

pokazaniu Ayli i Jondalarowi ich miejsc do spania. Spodziewała się, że w każdej chwili do ziemianki może wpaść rozwścieczona Attaroa. Kiedy jednak wypili herbatę i nikt im nie przeszkodził, odprężyla się nieco. Im dłużej Ayła i Jondalar byli tutaj, tym bardziej stawało się prawdopodobne, że wolno im będzie tu zostać. Kiedy jednak zelżało napięcie i niepokój z powodu Attaroi, zapadła niezręczna cisza. Ayła przyglądała się ukradkiem kobiecie, Która Służyła Matce. Miała dziwnie niesymetryczną twarz - lewa strona była bardziej rozwinięta niż prawa. Ayła domyślała się, że S'Armuna może mieć bóle w zniekształconej, prawej szczęce podczas gryzienia. Kobieta w żaden sposób nie starała się ukryć tego defektu i czesała siwiejące, jasnobrązowe włosy z pełną prostoty godnością: ściągała je do tyłu i zawiązywała w kok na czubku głowy. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Ayła czuła swego rodzaju sympatię do tej kobiety. Zauważyła w jej zachowaniu jakąś niepewność i wyczuwała, że S'Armuna zmaga się z podjęciem decyzji. Zerknęła raz po raz na Jondalara, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale trudno jej było zacząć, jakby próbowała znaleźć sposób na taktowne poruszenie trudnego tematu.

Polegając na swoim instynkcie, Ayła powiedziała:

- Jondalar mówił mi, że znałaś jego matkę, S'Armuno. Zastanawiałam się, gdzie się tak dobrze nauczyłaś mówić jego językiem.

Kobieta ze zdziwieniem spojrzała na gościa. Jego językiem -pomyślała - nie jej? Ayła niemal fizycznie odczuła myśli sza-manki, lecz nie odwróciła wzroku.

- Tak, znałam Marthonę, jak również mężczyznę, który został jej towarzyszem życia.

Wyglądało, jakby chciała powiedzieć więcej, ale zamilkła. Jondalar wypełnił ciszę, chcąc mówić o swojej rodzinie, szczególnie z kimś, kto kiedyś ich znał.

- Czy Joconan był przywódcą Dziewiętej Jaskini, kiedy tam mieszkałaś? - zapytał.

- Nie, ale nie dziwi mnie, że został przywódcą.

- Ludzie mówią, że Marthona była niemal współprzywódczynią, tak jak kobiety u Mamutoi. Dlatego po śmierci Joconana...

- Joconan nie żyje? - przerwała S'Armuna. Ayła wyczuła jej szok i coś niemal jak rozpacz w wyrazie jej twarzy. Po sekundzie jednak opanowała się. - To musiał być trudny okres dla twojej matki.

- Z pewnością, chociaż nie sądzę, by miała zbyt dużo czasu na rozmyślanie czy żałobę. Wszyscy nalegali, by została przywódczynią. Nie wiem, kiedy spotkała Dalanara, ale gdy się pobrali, była już od wielu lat przywódczynią Dziewiętej Jaskini. Zelandoni powiedziała mi, że Matka ją pobłogosławiła przed połączeniem, więc związek powinien być szczęśliwy, ale dwa lata po moim urodzeniu rozerwali więzy i on odszedł. Nie wiem, co się stało, ale nadal

opowiadają smutne historie i pieśni o ich miłości. Matkę to zawstydza.

Ayla poprosiła go o dalszą opowieść, żeby zaspokoić własną ciekawość, chociaż zainteresowanie S'Armuny było widoczne.

- Połączyła się jeszcze raz i miała więcej dzieci, prawda? Wiem, że miałeś jeszcze jednego brata.

Jondalar opowiadał dalej, kierując słowa do S'Armuny.

- Mój brat Thonolan urodził się przy ognisku Willomara, tak samo jak moja siostra Folara. Myślę, że to był dobry związek. Marthona była z nim bardzo szczęśliwa i on był zawsze bardzo dobry dla mnie. Dużo podróżował, chodził na wyprawy handlowe dla matki. Czasami mnie ze sobą zabierał. Thanolana także, jak trochę podrośł. Przez długi czas traktowałem Willomara jak mężczyznę mojego ogniska, dopóki nie poszedłem mieszkać z Dalanarem i nie poznałem go trochę lepiej. Nadal czuję się bliski Willomarowi, choć Dalanar również był dla mnie bardzo dobry i jego także pokochałem. Wszyscy lubią Dalanara. Znalazł kopalnię krzemienia, spotkał Jerikę i założyli własną jaskinię. Mają córkę Joplayę, moją bliską kuzynkę.

Ayla nagle pomyślała, że jeśli mężczyzna jest przyczyną nowego życia, które zaczyna rosnąć w kobiecie, to "kuzynka", którą nazywał Joplaya, jest właściwie jego siostrą; tak samo jak ta, którą nazywa Folara. Powiedział o niej "bliska kuzynka"; czy to dlatego, że wiedzieli, iż taki związek jest bliższy niż z dziećmi siostry matki czy towarzyszek życia jej braci? Rozmowa o matce Jondalara toczyła się dalej, podczas gdy ona rozważała implikacje związków pokrewieństwa Jondalara.

- ...wtedy matka przekazała przywództwo Joharranowi, choć on upierał się, żeby została jego doradczynią - mówił Jondalar. - Jak to się stało, że poznałaś moją matkę?

S'Armuna wahała się przez chwilę, patrząc przed siebie, jakby szukała obrazów przeszłości; potem powoli zaczęła opowiadać.

- Byłam jeszcze bardzo młoda, kiedy mnie tam zabrano. Brat mojej matki był tutaj przywódcą i ja byłam jego ulubienicą, jedyną dziewczynką wśród dzieci jego obu sióstr. Podróżował w młodości i dowiedział się o słynnej Zelandoni. Uznano, że mam jakiś talent czy Dar Służenia Matce, i chciał, żebym uczyła się u najlepszych. Zabrał mnie do Dziewiątej Jaskini, ponieważ wasza Zelandoni była Pierwszą wśród Tych Którzy Służą Matce.

- To jest tradycja w Dziewiątej Jaskini. Kiedy odchodziłem, nasza Zelandoni została właśnie wybrana Pierwszą - skomentował Jondalar.

- Znasz jej poprzednie imię? - spytała z ciekawością S'Armuna.

Jondalar uśmiechnął się krzywo i Ayla sądziła, że wie, dlaczego.

- Znałem ją jako Zolenę.

- Zolena? Jest młoda jak na Pierwszą, nieprawda? Była tylko ładną, małą dziewczynką, kiedy ja tam byłem.

- Może jest młoda, ale jest bardzo oddana - powiedział Jondalar.

S'Armuna kiwnęła głową i opowiadała dalej.

- Marthona i ja byliśmy w tym samym wieku i ognisko jej matki miało bardzo wysoki status. Mój wujek i twoja babka, Jondalarze, uzgodnili, że będę z nią mieszkała. Został, dopóki się nie przyzwyczaiłam. - Oczy S'Armuna patrzyły w dal; potem się uśmiechnęła. - Marthona i ja byliśmy jak siostry. Nawet bliżej niż siostry, niemal jak bliźniaczki. Lubiliśmy te same rzeczy i wszystkim się dzieliłyśmy. Nawet postanowiła przejść razem ze mną trening, aby zostać Zelandoni.

- Nie wiedziałem - powiedział Jondalar. - Może w ten sposób zdobyła zdolności przywódcze.

- Może, ale wtedy żadna z nas nie myślała o przywództwie. Po prostu byliśmy nierozłączne i chcieliśmy tego samego... aż to spowodowało kłopoty. - S'Armuna przerwała.

- Kłopoty? - spytała Ayla. - Tak bliska przyjaźń może spowodować kłopoty? - Myślała o Deggie i o tym, jak cudownie jest mieć dobrego przyjaciela, choćby na krótko. Bardzo chciała mieć kogoś takiego, kiedy dorastała. Traktowała Ubę niczym siostrę, ale choć bardzo ją kochała, Uba była z klanu. Niezależnie od tego, jak czuły się sobie bliskie, w pewnych sprawach nie mogły się zrozumieć, takich jak wrodzona ciekawość Ayli czy wspomnienia Uby.

- Tak - powiedziała S'Armuna, patrząc na młodą kobietę, nagle znowu świadoma jej niezwykłego akcentu. - Kłopot polegał na tym, że obie zakochałyśmy się w tym samym mężczyźnie. Myślę, że Joconan mógłby kochać nas obie. Mówił kiedyś o podwójnym połączeniu się i zarówno Marthona, jak i ja byliśmy na to gotowe, ale wtedy zmarł stary Zelandoni, a kiedy Joconan zwrócił się o radę do nowego, powiedział mu, żeby wybrał Marthone. Wtedy myślałam, że to z powodu urody Marthony i dlatego, że jej twarz nie była skrzywiona, ale teraz sądzę, iż to mój wuj chciał, żebym wróciła. Nie zostałam na ich zaślubiny. Byłam zbyt rozgoryczona i zła. Poszłam w drogę zaraz, jak mi o tym powiedzieli.

- Wróciłaś sama? - zdziwił się Jondalar. - Przeszłaś lodowiec zupełnie sama?

- Tak - odparła kobieta.

- Niewiele kobiet wędruje tak daleko, szczególnie samotnie. To była niebezpieczna podróż i wymagała odwagi.

- Tak, była niebezpieczna. Omal nie wpadłam w szczelinę w lodzie, ale nie jestem

pewna, czy byłam odważna. Myślę, że podtrzymywał mnie gniew. Ale kiedy wróciłam tutaj, wszystko było zmienione, i to już od lat. Moja matka i ciotka przeniosły się na północ, gdzie mieszkało wielu innych S'Armunai, razem z moimi kuzynami i braćmi. Moja matka tam umarła. Również mój wuj już nie żył i inny mężczyzna był przywódcą, obcy o imieniu Brugar. Nie jestem pewna, skąd przyszedł. Z początku był czarujący, nie przystojny, ale bardzo atrakcyjny w jakiś szorstki sposób, naprawdę jednak był okrutny i zły.

- Brugar... Brugar - powiedział Jondalar, przymykając oczy i próbując przypomnieć sobie, gdzie słyszał to imię. - Czy nie był towarzyszem życia Attaroi?

S'Armuna wstała, nagle niesłychanie wzburzona.

- Czy ktoś chciałby więcej herbaty? - zapytała. Zarówno Ayla, jak i Jondalar poprosili o dolewkę. Przyniosła im po kubku herbaty, wzięła kubek dla siebie, ale zanim usiadła, zwróciła się do gości: - Nigdy nikomu tego wszystkiego nie opowiedziałam.

- Dlaczego mówisz nam teraz? - zapytała Ayla.

- Żebyście zrozumieli. - Zwróciła się do Jondalara. - Tak, Brugar był towarzyszem życia Attaroi. Zaczął wprowadzać zmiany, jak tylko został przywódcą, a zaczął od tego, że uczynił mężczyzn ważniejszymi od kobiet. Na początku chodziło o drobiazgi. Kobiety musiały siedzieć i czekać, żeby im udzielono pozwolenia na zabranie głosu. Kobietom nie wolno było dotykać broni. Z początku nie wydawało się to zbyt poważne i mężczyźni cieszyli się swoją władzą, ale gdy pierwsza kobieta została załuczona na śmierć za powiedzenie swojego zdania, reszta zrozumiała, że sytuacja jest bardzo poważna. Wtedy jednak ludzie nie wiedzieli, jak to się stało ani jak to zmienić. Brugar wydobywał z mężczyzn wszystko, co najgorsze. Miał bandę popleczników i sądzę, że pozostali bali się im sprzeciwić.

- Ciekawe, skąd mu przyszły do głowy takie pomysły - powiedział Jondalar.

W nagłym przeblysku intuicji Ayla spytała:

- Jak ten Brugar wyglądał?

- Miał bardzo wyraziste rysy twarzy, szorstkie, jak mówiłam, ale umiał być czarujący i pociągający.

- Czy tu w okolicy jest wielu ludzi klanu, płaskogłowych? - dopytywała Ayla.

- Dawniej byli, ale teraz nie ma ich dużo. Znacznie więcej jest na zachód stąd. Dlaczego pytasz?

- Jaki stosunek mają do nich S'Armunai? Szczególnie do tych, którzy są z mieszanych duchów?

- No cóż, nie są uważani za ohydę, tak jak wśród Zelandonii. Niektórzy mężczyźni brali płaskogłowe kobiety na towarzyszkę życia i ich potomstwo jest tolerowane, ale nikt zbyt

chętnie ich nie przyjmuje.

- Czy myślisz, że Brugar mógł być urodzony ze zmieszanych duchów?

- Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

- Ponieważ sądzę, że mieszkał, a może nawet wychował się wśród tych, których wy nazywacie płaskogłowymi - odpowiedziała Ayla.

- Dlaczego tak myślisz? - zaciekała się szamanka.

- Ponieważ to, co opowiadasz, to obyczaje klanu.

- Klanu?

- Tak płaskogłowi nazywają sami siebie - wyjaśniła Ayla i głośno zaczęła snuć domysły. - Ale skoro potrafił tak dobrze mówić i czarująco się zachowywać, nie mógł zawsze żyć z nimi. Prawdopodobnie nawet się nie urodził wśród nich, ale zamieszkał z nimi później. Ponieważ był z mieszanych duchów, zaledwie go tolerowali i musieli uważać za zdeformowanego. Wątpię, czy rzeczywiście ich rozumiał, a więc musiał być wyrzutkiem. Prawdopodobnie miał bardzo nieszczęśliwe życie.

S'Armuna była zdumiona. Zastanawiała się, jak Ayla - całkowicie obca - mogła wiedzieć tak dużo. - Jak na kogoś, kto nigdy go nie spotkał, zdajesz się wiedzieć bardzo dużo o Brugarze.

- A więc był ze zmieszanych duchów? - spytał Jondalar.

- Tak. Attaroa powiedziała mi o jego pochodzeniu, tyle ile sama wiedziała. Jego matka była mieszanką, półczłowiekiem i półpłaskogłowym. Urodziła ją płaskogłowa matka - zaczęła S'Armuna.

Prawdopodobnie dziecko zaczęte przez jakiegoś mężczyznę Innych, który ją przymusił - pomyślała Ayla - jak to niemowlę na Zgromadzeniu Klanu, dziewczynka obiecana Durcowi.

- Musiała mieć bardzo nieszczęśliwe dzieciństwo. Odeszła od swoich ludzi, jak tylko stała się kobietą, i poszła z mężczyzną z jaskini ludzi, którzy żyją na zachód stąd.

- Losadunai? - zapytał Jondalar.

- Tak, zdaje się, że tak się nazywają. W każdym razie niedługo po ucieczce urodziła dziecko, chłopca. To był Brugar - opowiadała dalej S'Armuna.

- Brugar, ale czasami nazywany Brug? - wtrąciła Ayla.

- Skąd wiesz?

- W klanie miałby na imię Brug.

- Zdaje się, że ten mężczyzna, z którym jego matka uciekła, często ją bił. Kto wie, dlaczego? Niektórzy mężczyźni są tacy.



- Kobiety klanu wychowuje się tak, że zgadzają się na bicie -powiedziała Ayla. - Mężczyznom nie wolno bić się wzajemnie, ale wolno im uderzyć kobietę za karę. Nie powinni ich bić zbyt mocno, ale niektórzy to robią.

S'Armuna ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Na początku więc matka Brugara uważała za rzecz oczywistą, że mężczyzna, z którym żyje, uderza ją, ale z czasem sytuacja się pogorszyła. Ten mężczyzna bił ją i zaczął bić także chłopca. Może to zmusiło ją do ucieczki. W każdym razie zabrała chłopca i uciekła z powrotem do swoich ludzi.

- A jeśli jej było ciężko w klanie, tym gorzej musiało być jej synowi, który nawet nie był pełną mieszanką - powiedziała Ayla.

- Jeśli duchy zmieszały się tak, jak należy, to był w trzech częściach człowiekiem i tylko w jednej części płaskogłowym -rzekła S'Armuna.

Ayla nagle pomyślała o swoim synu, Durcu. Broud z pewnością utrudni mu życie. A co, jeśli wyrośnie na takiego jak Bru-gar? Ale Durc jest pełną mieszanką i ma Ubę, która go kocha, oraz Bruna, który go uczy. Kiedy był jeszcze przywódcą, Brun przyjął go jako niemowlę do klanu. Dopilnuje, żeby Durc znał obyczaje klanu. Wiem, że mógłby mówić, gdyby go ktoś nauczył, ale może ma również ich wspomnienia. Jeśli tak, to z pomocą Bruna będzie w pełni członkiem klanu.

S'Armuna zaczęła czegoś się domyślać.

- Skąd wiesz tak dużo o płaskogłowych, Aylo? Pytanie zaskoczyło Aylę. Nie miała się na baczności i nie przygotowała żadnego wykrętu. Powiedziała więc prawdę.

- Oni mnie wychowali. Moi ludzie zginęli podczas trzęsienia ziemi i klan mnie przyjął.

- Twoje dzieciństwo musiało być jeszcze trudniejsze niż Brugara.

- Nie. Sądzę, że w pewien sposób było łatwiejsze. Nie byłam uważana za zdeformowane dziecko klanu. Byłam po prostu odmienna. Jedna z Innych - jak nas nazywają. Niczego ode mnie nie oczekiwali. Pewne rzeczy, które robiłam, były tak dla nich dziwne, że nie wiedzieli, co o mnie myśleć. Uważali jednak, że jestem dość niepojętna, ponieważ zapamiętywanie rzeczy przychodziło mi z takim trudem. Nie mówię, że było łatwo wyrastać wśród nich. Musiałam nauczyć się porozumiewać na ich sposób, nauczyć się żyć według ich obyczajów i tradycji. Trudno było się dopasować, ale miałam szczęście. Iza i Creb, ludzie, którzy mnie wychowali, kochali mnie, i wiem, że bez nich w ogóle nie przeżyłabym.

Niemal każde zdanie wzbudzało w S'Armunie chęć zadawania kolejnych pytań, ale nie był to właściwy czas na pytania.

- Dobrze, że nie masz w sobie nic z mieszanki duchów -powiedziała, rzucając

znaczące spojrzenie na Jondalara - szczególnie że masz spotkać Zelandonii.

Ayla zobaczyła to spojrzenie i rozumiała, o czym ta kobieta mówi. Pamiętała pierwszą reakcję Jondalara, kiedy odkrył, kto ją wychował, i jeszcze gorszą, kiedy dowiedział się o istnieniu jej syna z mieszanych duchów.

- Skąd wiesz, że już ich nie spotkała? - spytał Jondalar. S'Armuna zastanowiła się chwilę nad pytaniem. Skąd wiedziała? Uśmiechnęła się do mężczyzny.

- Powiedziałeś, że idziecie do domu, a ona mówiła: "jego język", nie jej. - Nagle olśniło ją. - Język! Akcent! Teraz wiem, gdzie to już kiedyś słyszałam. Brugar miał taki akcent! Nie całkiem tak wyraźny jak twój, Aylo, ale nie mówił swoim językiem tak dobrze, jak ty mówisz zelandonii. Musiał nabrać tego sposobu mówienia - bo to nie tylko sprawa akcentu - kiedy mieszkał z płaskogłowymi. Jest coś w twojej wymowie... Teraz, kiedy to słyszę, chyba już nigdy tego znowu nie zapomnę.

Ayla była zażenowana. Tak ciężko pracowała, żeby artykułować poprawnie, ale nigdy nie była w stanie powtórzyć pewnych dźwięków. Na ogół już się tym nie przejmowała, kiedy ludzie to zauważali, ale S'Armuna tyle o tym mówiła.

Szamanka zauważyła jej zmieszanie.

- Przepraszam, Aylo. Nie miałam zamiaru robić ci przykrości. Naprawdę świetnie mówisz w zelandonii, pewnie lepiej niż ja, bo tyle już zapomniałam. I to nie jest właściwie akcent. To jest coś innego. Jestem pewna, że większość ludzi nawet tego nie zauważy. Dostarczyłeś mi wiele informacji o Brugarze, a to pomaga mi zrozumieć Attarowę.

- Pomaga zrozumieć Attarowę? - powtórzył Jondalar. - Chciałbym móc zrozumieć, jak ktokolwiek może być tak okrutny

- Ona nie zawsze była taka. Kiedy wróciłam, wzbudziła we mnie wielki podziw i było mi jej bardzo żal. W pewnym sensie jednak była przygotowana na Brugara, jak niewiele z kobiet.

- Przygotowana? To dziwne, co mówisz. Przygotowana na co?

- Przygotowana na jego okrucieństwo - wyjaśniła S'Armuna. - Attarowa była wykorzystana w okrutny sposób jako dziewczynka. Nigdy dużo o tym nie mówiła, ale wiem, że uważa, iż jej matka jej nienawidziła. Dowiedziałam się od kogoś innego, że jej matka ją porzuciła, tak przynajmniej wszyscy uważali. Odeszła i nigdy nie dała znaku życia. Attarowę przygarnął mężczyzna, którego towarzyska życia zmarła przy porodzie w bardzo podejrzanych okolicznościach, a dziecko razem z nią. Podejrzenia się potwierdziły, kiedy odkryto, że bił Attarowę i wziął ją, zanim została kobietą, ale nikt inny nie chciał być za nią odpowiedzialny. Chodziło o coś z jej matką, o coś z jej przeszłości, ale to spowodowało, że

Attaroa została wypaczona przez jego okrucieństwo. Wreszcie on umarł i ludzie z jej obozu zaaranżowali związek z nowym przywódcą tego obozu.

- Bez jej zgody? - spytał Jondalar.

- "Zachęcali" ją, żeby się zgodziła, i przyprowadzili ją tutaj, do Brugara. Jak powiedziałam, potrafił być czarujący, i jestem pewna, że mu się podobała.

Jondalar przytaknął. Sam widział, że Attaroa mogłaby być atrakcyjną kobietą.

- Sądzę, że chciała tego związku - mówiła dalej S'Armuna. - Zdawało jej się, że to szansa na zaczęcie wszystkiego od nowa. A potem odkryła, iż człowiek, z którym połączyła swe życie, był jeszcze gorszy od poprzednika. Przyjemnościom Brugara zawsze towarzyszyło bicie, poniżenie i jeszcze coś gorszego. Na swój sposób on... trudno powiedzieć, że ją kochał, ale miał dla niej jakieś uczucia. Tylko był tak... zboczony. A jednak tylko ona odważała się mu przeciwstawić mimo wszystko, co jej robił.

S'Armuna przerwała, pokiwała głową i ciągnęła dalej:

- Brugar był silnym mężczyzną, bardzo silnym, i lubił krzywdzić ludzi, szczególnie kobiety. Myślę, że sprawianie kobietom bólu dawało mu prawdziwą przyjemność. Powiedziałaś, że pła-skogłowym nie wolno uderzyć innego mężczyzny, ale że mogą bić kobiety. To może odegrało jakąś rolę. Brugar lubił jednak opór Attaroi. Była znacznie wyższa od niego i też jest bardzo silna. Lubiał przełamywać jej opór i był zachwycony, kiedy z nim walczyła. Dawało mu to wymówkę, żeby ją ranić, a to dawało mu poczucie władzy.

Ayla wstrząsnęła się, przypominając sobie dość podobną sytuację, i na moment poczuła sympatię oraz współczucie dla przywódczyni.

- Przechwalał się wobec innych mężczyzn i oni go zachęcali, a przynajmniej nie sprzeciwiali mu się - powiedziała szaman-ka. - Im bardziej się opierała, tym gorzej ją traktował, aż wreszcie przełamywał jej opór. Często się zastanawiałam, czy gdyby była z początku potulna, toby go to znudziło i przestałby ją bić.

Ayla zastanowiła się. Broud znudził się nią, kiedy przestała mu się opierać.

- Ale nie bardzo w to wierzę - kontynuowała S'Armuna. - Później, kiedy była w błogosławionym stanie i rzeczywiście przestała walczyć, nie zmienił się. Była jego towarzyszką życia i on uważał, że jest jego własnością. Mógł z nią robić, co chciał.

Nigdy nie byłam towarzyszką Brouda - pomyślała Ayla - i Brun nie pozwolił mu bić mnie, po tym pierwszym razie. Chociaż miał do tego prawo, reszta klanu dziwiła się, że się mną interesuje. Nie zachęcali go do takiego zachowania.

- Brugar nie przestał bić Attaroi nawet po jej zajściu w ciążę? - spytał oburzony Jondalar.

- Nie, chociaż zdawał się cieszyć z tego, że będzie miała dziecko - odparła kobieta.

Ja też zaszłam w ciążę - myślała Ayla. W jej życiu i życiu Attaroi było wiele podobieństw.

- Attaroa przychodziła do mnie po pomoc - powiedziała S'Armuna, przymykając oczy i potrząsając głową na te wspomnienia. - To, co on z nią wyprawiał, było straszne, nie umiem wam tego opowiedzieć. Siniaki po biciu to jeszcze była drobnostka.

- Dlaczego się na to godziła? - dziwił się Jondalar.

- Nie miała dokąd pójść. Nie miała żadnych krewnych, żadnych przyjaciół. Ludzie z jej poprzedniego obozu dali jej do zrozumienia, że jej nie chcą, a z początku była zbyt dumna, by do nich wrócić i powiedzieć, jak zły był jej związek z nowym przywódcą. W pewien sposób dobrze rozumiałam, co czuje. Mnie nikt nie bił, chociaż Brugar raz spróbował, ale sądziłam, że nie ma dla mnie miejsca gdzie indziej, mimo że miałam krewnych. Byłam Tą Która Służy Matce i nie mogłam przyznać, jak źle sprawy stoją. Wyglądałoby, że to ja zawiodłam.

Jondalar ze zrozumieniem kiwał głową. On także kiedyś miał uczucie, że zawiódł. Zerknął na Aylę i poczuł żar miłości do niej.

- Attaroa nienawidziła Brugara - ciągnęła opowieść S'Armuna - ale w jakiś dziwny sposób mogła go również kochać. Myślę, że czasami umyślnie go prowokowała. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że kiedy bicie ustawało, brał ją i - nawet jeśli jej nie kochał ani nie dawał jej przyjemności - przynajmniej jej chciał. Może nauczyła się czerpać zбочoną formę przyjemności z jego okrucieństwa. Teraz nie chce nikogo. Sama daje sobie przyjemności, zadając ból mężczyznom. Jeśli się jej przypatrzysz, to zobaczysz jej podniecenie.

- Niemal mi jej żal - powiedział Jondalar.

- Żałuj, jeśli chcesz, ale jej nie ufaj - odrzekła szamanka. - Jest obłąkana, jest w mocy jakiegoś wielkiego zła. Nie wiem, czy to potrafisz zrozumieć. Byłeś kiedyś przepełniony taką wściekłością, że opuścił cię wszelki rozsądek?

Jondalar spojrział na nią szeroko rozwartymi oczyma i przytaknął. Czuł kiedyś taką wściekłość. Pobił człowieka do utraty przytomności i mimo to nie potrafił przestać bić.

- Attaroa jest bez przerwy w takim stanie. Nie zawsze to okazuje, w rzeczywistości świetnie potrafi to ukrywać. Jej myśli i uczucia są jednak tak przesycone tą szaloną wściekłością, że nie jest już w stanie myśleć i czuć jak normalny człowiek. Przestała już być człowiekiem.

- Ale z pewnością musiała zachować jakieś ludzkie uczucia - zaproponował Jondalar.

- Pamiętasz pogrzeb zaraz po przyprowadzeniu cię tutaj? -spytała S'Armuna.

- Tak, trojga młodych ludzi. Dwóch mężczyzn, ale nie jestem pewien co do trzeciego, chociaż wszyscy byli ubrani tak samo. Zastanawiałem się, co spowodowało ich śmierć. Byli tacy młodzi.

- Attaroa to uczyniła, a ten, co do którego nie byłeś pewien, to było jej własne dziecko.

Usłyszeli jakieś dźwięki i jednocześnie odwrócili się w kierunku wejścia do ziemianki S'Armuny.

Młoda kobieta stała u wejścia do ziemianki i zerknęła niespokojnie na troje ludzi wewnątrz. Jondalar zauważył, że jest bardzo młoda, niemal dziewczynka; Ayla spostrzegła jej zaawansowaną ciążę.

- O co chodzi, Cavao? - spytała S'Armuna.

- Epadoa i jej myśliwie właśnie wróciły i Attaroa krzyczy na nią.

- Dziękuję, żeś mi powiedziała. - Szamanka zwróciła się do gości: - Ściany tej ziemianki są tak grube, iż trudno cokolwiek usłyszeć z zewnątrz. Sądzę, że powinniśmy wyjść.

Pospieszyli do wyjścia i przecisnęli się obok ciężarnej kobiety. Ayla uśmiechnęła się do niej. - Już dłużej nie czekać? - powiedziała w sarmunai.

Cavao uśmiechnęła się nerwowo i spojrzała w ziemię.

Ayla zobaczyła, że jest przestraszona i nieszczęśliwa - dość niezwykle u oczekującej matki - ale większość kobiet jest trochę niespokojna przed pierwszym porodem. Gdy tylko wyszli, usłyszała Attaroę.

- ...mówisz, że znalazłaś ich obozowisko. Straciłaś okazję! Co z ciebie za Wilczyca, skoro nawet nie umiesz wytropić śladu! - wykrzykiwała z szyderstwem w głosie.

Epadoa stała z zaciśniętymi wargami i gniewem w oczach, ale nie odpowiadała. W pobliżu zebrał się tłum i młoda kobieta ubrana w wilcze skóry zobaczyła, że większość z nich odwróciła głowy w innym kierunku. Zerknęła, by zobaczyć, co zwróciło ich uwagę, i z zaskoczeniem ujrzała podchodzącą do niej wysoką blondynkę, a za nią - co było jeszcze bardziej zdumiewające - wysokiego mężczyznę. Jak dotąd żaden mężczyzna, któremu udało się stąd uciec, nie powrócił dobrowolnie.

- Co tu robicie?! - wybuchnęła.

- Mówiłam ci. Straciłaś okazję - zjadliwie rzuciła Attaroa. - Sami tu wrócili.

- Dlaczego nie mielibyśmy wrócić? - odezwała się Ayla. - Zostaliśmy przecież zaproszeni na ucztę. - S'Armuna przetłumaczyła.

- Uczta jeszcze nie gotowa. Wieczorem - powiedziała Attaroa do gości, szorstko ich odpowiadając, i zwróciła się do przywódczyni Wilczyc: - Wejdz do środka, Epadoa. Chcę z tobą porozmawiać. - Odwróciła się tyłem do zgromadzonych ludzi i weszła do swojej ziemianki. Epadoa wpatrywała się przez chwilę w Aylę z głęboką zmarszczką na czole; potem odwróciła się i poszła za przywódczynią.

Po ich odejściu Ayla spojrzała z odrobiną niepokoju na pole. Epadoa i jej myśliwe polowały przecież na konie. Ulżyło jej, kiedy zobaczyła Whinney i Zawodnika na przeciwnym krańcu pochyłego pola suchej trawy, w dość dużej odległości. Odwróciła się i popatrzyła na lasy i zarośla na zboczu poza obozem. Bardzo chciała dostrzec Wilka, ale cieszyła się, że go nie widzi. Chciała, by pozostał w ukryciu, lecz umyślnie stała na widoku i patrzyła w jego stronę w nadziei, że on ją zobaczy.

Kiedy goście szli razem z S'Armuną z powrotem do jej ziemianki, Jondalarowi przypomniała się jej wcześniejsza uwaga, która go zaciekała.

- Jak udało ci się trzymać Brugara na dystans? - spytał. - Powiedziałaś, że próbowałeś kiedyś zbić, tak jak bił inne kobiety, jak go powstrzymałaś?

Starsza kobieta zatrzymała się i wpatrzyła intensywnie w młodego mężczyznę, a potem w kobietę idącą obok niego. Ayla widziała, że szamanka waha się, ocenia ich i próbuje zdecydować, ile im powiedzieć.

- Tolerowałem mnie, ponieważ jestem uzdrowicielką - zawsze nazywał mnie znachorką, lecz tak naprawdę to bał się świata duchów.

Ayla natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Znachorki mają wyjątkową pozycję w klanie, ale są tylko uzdrowicielkami. To Mogurowie komunikują się z duchami.

- Może z duchami znanymi płaskogłowym, ale Brugar bał się mocy Matki. Myślę, że wiedział, jakie wyrządza krzywdy i że zło opanowało jego ducha. Chyba bał się zemsty Matki. Kiedy mu pokazałam, że potrafię posługiwać się jej mocą, już nie odważył się mnie dręczyć.

- Potrafisz posługiwać się jej mocą? Jak? - spytał Jondalar.

S'Armuna sięgnęła za pazuchę i wyjęła małą figurkę kobiety, wielkości około dziesięciu centymetrów. Zarówno Ayla, jak i Jondalar widzieli wiele podobnych przedmiotów, na ogół wykonanych z kłów, kości lub drewna. Jondalar widział nawet kilka pieczołowicie i z miłością wyrzeźbionych w kamieniu przy użyciu wyłącznie kamiennych narzędzi. Wszystkie były figurkami Matki i - poza klanem - ludy, jakie spotkali, od Łowców Mamutów na wschodzie do ludzi Jondalara na zachodzie, przedstawiały ją w podobny sposób. Niektóre figurki były dość toporne, inne pięknie wyrzeźbione; jedne były wysoce abstrakcyjne, inne były doskonale proporcjonalnymi wyobrażeniami dojrzałych kobiet. Większość podkreślała atrybuty hojnego macierzyństwa - duże piersi, pełen brzuch, szerokie biodra - i celowo pomniejszała inne cechy. Ramiona były często ledwo zaznaczone, nogi kończyły się w szpic, nie zaś stopami, żeby można było wetknąć figurkę w ziemię. Nie miał

to być portret żadnej konkretnej kobiety i z pewnością żaden artysta nie wiedział, jak wygląda twarz Wielkiej Matki Ziemi. Czasami twarzy w ogóle nie rzeźbiono, czasami miała tajemnicze znaki, czasami włosy były wymyślnie wyrzeźbione wokół całej głowy i zakrywały twarz.

Jedynym obrazem kobiecej twarzy, jaki którekolwiek z nich widziało, była śliczna rzeźba, którą zrobił Jondalar na podobieństwo Ayli, kiedy mieszkali sami w dolinie, wkrótce po swym spotkaniu. Jondalar żałował jednak czasami swojego impulsu. Jego rzeźba nie miała być figurką Matki; zrobił ją, ponieważ zakochał się w Ayli i chciał pochwycić jej ducha. Kiedy już ją jednak wyrzeźbił, zdał sobie sprawę, iż miała niezwykłą moc. Obawiał się, że może uczynić jej krzywdę, szczególnie jeśli wpadnie w ręce kogoś, kto zechce nad nią zapanować. Lękał się również ją zniszczyć, ze strachu, że to jej może zaszkodzić. Ayła uwielbiała tę małą rzeźbę kobiety z twarzą podobną do jej własnej, ponieważ zrobił ją Jondalar. Nigdy nie zastanawiała się nad jej mocą; po prostu myślała, że jest piękna.

Chociaż figurki Matki często uważano za piękne, nie były to podobizny młodych kobiet zrobione zgodnie z jakimś męskim kanonem piękności. Były symbolem kobiety, jej zdolności tworzenia życia i wykarmienia go własnym, hojnym ciałem, a przez analogię symbolizowały Wielką Matkę Ziemię, która ze swego ciała stworzyła życie i karmiła wszystkie swoje dzieci z nadzwyczajną szczodrością. W figurkach przebywał również duch Wielkiej Matki Wszystkich, duch, który potrafił przybierać wiele form.

Ta jednak figurka Matki była wyjątkowa. S'Armuna podała ją Jondalarowi.

- Powiedz mi, z czego to jest zrobione.

Jondalar obracał w palcach małą rzeźbę, dokładnie ją badając. Miała obwisłe piersi i szerokie biodra, ramiona były zaznaczone tylko do łokci, a nogi zakończone w szpic. Włosy były wyrzeźbione, ale twarz nie miała żadnych rysów, była gładka. Wielkością i kształtem nie różniła się od innych tego typu figurek, ale materiał, z którego była zrobiona, był niezwykły. Kolor był jednolicie ciemny. Próbował zrobić wgniecenie paznokciem, ale mu się nie udało. Nie było to zrobione z drewna, kości, kła mamuciego ani rogu. Twarde jak kamień, ale gładkie, bez nacięć i śladów rzeźbienia. Był to zupełnie nie znany mu kamień.

Zdziwiony podniósł wzrok na S'Armunę.

- Nigdy przedtem niczego takiego nie widziałem.

Podał figurkę Ayli. W momencie, kiedy jej dotknęła, przeszedł ją dreszcz. Powinno być wziąć kurtę - pomyślała, ale miała wrażenie, że coś więcej niż chłód na dworze spowodował to nagle, przejmujące zimno.

- Ta munai jest z ziemi - stwierdziła kobieta.



- Z ziemi? - zdziwiła się Ayla. - Ależ to jest kamień!

- Tak, teraz to jest kamień. Zamieniłam ją w kamień.

- Zamieniłaś ją w kamień? Jak można zamienić ziemię w kamień?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Jondalar. Kobieta uśmiechnęła się.

- Jeśli ci powiem, czy wtedy uwierzysz w moją moc?

- Jeśli mnie przekonasz.

- Powiem ci, ale nie będę próbowała cię przekonać. Sam się musisz przekonać. Zaczęłam od twardej, suchej gliny z brzegu rzeki i rozbiłam ją na proszek. Potem zmieszałam ten proszek z wodą. - S'Armuna przerwała na moment, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć coś o tej mieszance. Zdecydowała, że na razie nie wyjawি nic więcej. - Kiedy miało właściwą konsystencję, uformowałam figurkę. Ogień i gorące powietrze zamieniło to w kamień. - Szamanka obserwowała reakcje pary młodych ludzi; okazały lekceważenie czy podziw, zwątpiła w jej słowa czy jej uwierzą.

Mężczyzna przymknął oczy i próbował sobie coś przypomnieć.

\_ Pamiętam... słyszałem, chyba od kogoś z Losadunai... coś o figurkach Matki robionych z błota.

S'Armuna uśmiechnęła się.

- Tak, można powiedzieć, że robimy munai z błota. Zwierzęta także, kiedy trzeba odwołać się do ich duchów, różne zwierzęta, niedźwiedzie, lwy, mamuty, nosorożce, konie, co tylko zechcesz. Ale są błotem tylko, kiedy się je formuje. Figura zrobiona z ziemnego prochu zmieszanego z wodą, nawet jak już stwardnieje, znowu rozpuści się w wodzie w błoto, z którego została ukształtowana, a potem w proch, ale kiedy przejdzie przez święty płomień Matki, jest na zawsze zmieniona. Palący płomień Matki zamienia ją w kamień. Żywy duch ognia utrwala ją na zawsze.

Ayla zobaczyła podniecenie w oczach kobiety, które przypominało podniecenie Jondalara, kiedy wymyślił miotacz oszczepów. Zrozumiała, że S'Armuna na nowo przeżywa wstrząs swojego odkrycia, i to ją przekonało.

- One są kruche, nawet bardziej łamliwe niż krzemień -ciągnęła dalej kobieta. - Sama Matka pokazała, jak można je złamać, ale woda ich nie zmieni. Munai z błota, jak raz zostanie dotknięta jej żywym ogniem, może stać na deszczu i śniegu, a nawet moczyć się w wodzie i nigdy się nie rozpuści.

- Rzeczywiście przywołałaś moc Matki - powiedziała Ayla. Kobieta zawahała się na moment, ale spytała:

- Chcielibyście zobaczyć?

- O tak, chciałabym - powiedziała Ayla, a jednocześnie odezwał się Jondalar:

- Tak, to bardzo ciekawe.

- Chodźcie więc, pokażę wam.

- Mogę tylko wziąć kurtę? - spytała Ayla.

- Oczywiście. Powinniśmy byli wziąć cieplejsze okrycia, chociaż jeśli odprawimy Ceremonię Ognia, będzie tak gorąco, że nie będą wam potrzebne futra, nawet w taki dzień jak dzisiaj. Wszystko jest niemal gotowe. Moglibyśmy rozpalić ogień i zacząć ceremonię natychmiast, ale to długo trwa i wymaga właściwego skupienia. Poczekamy do jutra. Dziś wieczór mamy ważną ucztę.

S'Armuna znowu przerwała i przymknęła oczy, jakby się czemuś przysłuchiwała czy też rozważała jakąś myśl, która jej przyszła do głowy.

- Tak, bardzo ważną ucztę - powtórzyła, patrząc prosto w oczy Ayli. Czy wie, jakie niebezpieczeństwo jej grozi? - zastanawiała się. Jeśli jest tym, kim podejrzewam, to musi wiedzieć.

Pochylili się przy wejściu do ziemianki S'Armuny i nałożyli swoje wierzchnie okrycia. Młodej kobiety już nie było. S'Armuna zaprowadziła ich na skraj osady, ku grupie kobiet pracujących wokół niepozornej konstrukcji, która przypominała małą ziemiankę z pochyłym dachem. Kobiety wносиły tam opał: suszone łąjno, drewno i kości. Ayla dostrzegła wśród nich młodą, ciężarną kobietę i uśmiechnęła się do niej. Cavao odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

S'Armuna podeszła do niskiego wejścia małej budowli, schyliła się i przywołała gości, którzy zostali nieco z tyłu, niepewni, czy mają iść za nią. Wewnątrz palenisko z pełzającymi płomieniami, oblizującymi rozżarzone główne, utrzymywało ciepło w niedużym, nieco zaokrąglonym przedsionku. Sterty kości, drewna i łąjna niemal całkowicie wypełniały lewą stronę. Wzdłuż prawej ściany było wiele topornych półek, płaskich łopatkowych i miednicowych kości mamuta podpartych kamieniami, na których stało wiele małych przedmiotów. Podeszli bliżej i ze zdziwieniem zobaczyli, że były to ulepione z gliny figurynki, które tu postawiono do wyschnięcia. Wiele było figurek kobiet, Matki, ale niektóre były niepełne, po prostu charakterystyczne części kobiecego ciała, na przykład dolna połowa ciała z nogami albo tylko klatka piersiowa. Na drugiej półce były zwierzęta, znowu niecałe, na przykład głowy lwów i niedźwiedzi oraz charakterystyczne kształty mamutów z wysoko sklepionymi czaszkami, wypukłymi kłębami i ukośnymi grzbietami.

Figurynki zdawały się wykonane przez różnych ludzi; niektóre były dość toporne, wykazywały niewiele artyzmu, inne skomplikowane w pomyśle i dobrze wykonane. Ani

Ayla, ani Jondalar nie wiedzieli, co powodowało poszczególnymi autorami konkretnych figurynek, odczuli jednak, że każdy z nich zrobił to z jakiegoś osobistego powodu i dawał wyraz własnym uczuciom.

Naprzeciwno wejścia był niewielki otwór, który prowadził do zamkniętej przestrzeni, wygrzebanej w lessowej ziemi zbocza. Poza tym, że był tam otwór z boku, przypominało to Ayli duży ziemny piec, taki, jaki wykopywało się w ziemi i ogrzewało gorącymi kamieniami, ale rozumiała, że w tym piecu nigdy nie gotowano żadnej żywności. Kiedy podeszła, żeby zajrzeć do środka, zobaczyła wewnątrz kolejne palenisko.

W popiele leżały zwęglone kawałki kości i doszła do wniosku, że jest to palenisko podobne do tych, jakie budowali Ma-mutoi, ale jeszcze głębsze. Ayla rozejrzała się wokół, szukając rowu doprowadzającego powietrze. Do palenia kości niezbędny był bardzo gorący ogień, który z kolei wymagał dopływu powietrza. Paleniska Mamutoi były podsypane przez nieustanny wiatr na zewnątrz, doprowadzany przez rowy wentylacyjne i kontrolowany zatyczkami. Jondalar dokładnie zbadał wnętrze tego drugiego pomieszczenia i doszedł do podobnych wniosków; sądząc po kolorze i twardości ścian, był pewien, że paliły się tam bardzo gorące ognie przez długi czas. Odgadł, że małe, gliniane przedmioty na półkach miały zostać poddane temu samemu procesowi.

Jondalar miał rację, kiedy powiedział, że nigdy nie widział niczego podobnego do figuryнки Matki, którą pokazała mu S'Ar-muna. Figurka zrobiona przez stojącą przed nim kobietę nie była wytworzona przez obrabianie - rzeźbienie, kształtowanie czy polerowanie - naturalnie występującego surowca. Była zrobiona z wypalanej gliny i był to pierwszy materiał, jaki ludzka ręka i ludzka inteligencja kiedykolwiek stworzyła. Komora ogrzewnicza nie była piecem do gotowania, lecz piecem do wypalania ceramiki.

Pierwszy taki piec nie został wynaleziony dla produkcji użytecznych, wodoszczelnych pojemników. Na długo przed garncarstwem wypalano małe ceramiczne rzeźby, wodoodporne i twarde. Figurki, które widzieli na półkach, przypominały zwierzęta i ludzi, ale figurek kobiet - nigdy nie robiono figurek mężczyzn - i innych żywych stworzeń nie uważano za wizerunki rzeczywiście istniejących istot. Były symbolami, miały reprezentować więcej niż to, co było widać, miały sugerować duchowe podobieństwo. Była to sztuka; sztuka przyszła przed użytecznością.

Jondalar wskazał na przestrzeń, która miała być ogrzana, i powiedział do szamanki:

- To jest miejsce, gdzie pali się święty płomień Matki? - Było to w równym stopniu stwierdzenie, jak i pytanie.

S'Armuna skinęła głową, pewna, że teraz jej uwierzył. Kobieta wiedziała, zanim

zobaczyła to miejsce; mężczyzna potrzebował nieco więcej czasu.

Ayla była zadowolona, kiedy wyszli z pomieszczenia. Nie wiedziała, czy to z powodu żaru wewnątrz, czy też glinianych przedmiotów, ale zaczynała odczuwać niepokój. Zdawało jej się, że tam mogło się czaić niebezpieczeństwo.

- Jak to odkryłaś? - spytał Jondalar, wskazując dłonią na cały kompleks zawierający ceramiczne przedmioty i piec.

- Matka mi pokazała - odpowiedziała kobieta.

- Z pewnością, ale jak? - spytał znowu. S'Armuna uśmiechnęła się na te dociekliwe pytania. Wydawało jej się właściwe, że syn Marthony chciał wszystko zrozumieć.

- Pierwszy raz pomyślałam o tym, kiedy budowaliśmy ziemiankę. Wiecie, jak to się robi?

- Chyba tak. Wasze ziemianki są podobne do ziemianek Mamutoi, a pomagaliśmy Talutowi i reszcie zrobić dobudówkę do Obozu Lwa - powiedział Jondalar. - Zaczęli od podpór z kości mamuta, na to nałożyli grubą strzechę z witek wierzbowych i jeszcze jedną z traw i trzcin. Na to przyszała warstwa ziemi. Na wierzchu tego wszystkiego rozproszili warstwę rozrzedzonego mułu rzeczno, który twardnieje po wyschnięciu.

- W zasadzie robimy tak samo - wyjaśniła S'Armuna. - Właśnie kiedy kładliśmy warstwę gliny, Matka objawiła mi pierwszą część swojej tajemnicy. Wykańczaliśmy już dach, ale zrobiło się ciemno, więc rozpaliliśmy olbrzymie ognisko. Gлина gęstniała i trochę przypadkowo nakapało do ogniska. To był gorący ogień z dużą ilością kości, i paliliśmy go przez niemal całą noc. Rano Brugar kazał mi wyczyścić palenisko i znalazłam trochę stwardniałej gliny. Szczególnie zwróciłam uwagę na kawałek, który przypominał lwa.

- Opiekuńczym totemem Ayli jest Lew - zauważył Jondalar. Szamanka zerknęła na nią i kiwnęła głową.

- Kiedy zorientowałam się, że figurka lwa nie rozmięka w wodzie, postanowiłam spróbować zrobić takich więcej. Potrzeba było wielu prób i dodatkowych znaków od Matki, ale wreszcie odkryłam sekret.

- Dlaczego zdradzasz nam swoje tajemnice? Pokazujesz nam swoją moc? - spytała Ayla.

Bezpośrednie pytanie zaskoczyło kobietę, ale się uśmiechnęła.

- Nie wyobrażaj sobie, że mówię ci o wszystkich moich sekretach. Pokazuję tylko to, co jest oczywiste. Brugarowi zdawało się, że zna moje sekrety, ale wkrótce przekonał się, jak się myli.

- Z pewnością Brugar wiedział o twoich próbach - powiedziała Ayla. - Nie możesz

zrobić gorącego ognia bez wiedzy wszystkich. Jak utrzymałaś tajemnicę przed nim?

- Z początku nie zwracał uwagi na to, co robię, o ile sama zbierałam opał, aż zobaczył rezultaty. Wtedy postanowił sam robić figurki, ale nie wiedział wszystkiego, co Matka mi objawiła. - Uśmiech na twarzy Tej Która Służyła zdradzał jej uczucia zemsty i triumfu. - Matka z wielką furią odrzucała jego wysiłki. Figurki Brugara pękały z wielkim hałasem i rozpadały się na drobne kawałki, kiedy próbował je wypalać. Wielka Matka odrzucała je z taką szybkością, że poraniły ludzi, którzy stali blisko. Potem Brugar już obawiał się mojej mocy i zaprzestał prób zapanowania nade mną.

Ayla potrafiła wyobrazić sobie przestach człowieka stojącego w małym pomieszczeniu, w którym z wielką szybkością latają kawałki rozżarzonej gliny.

- Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego mówisz nam tak dużo o swojej mocy Ktoś, kto zna ścieżki Matki, może się domyślić twoich sekretów.

S'Armuna przytaknęła. Niemal oczekiwała tego od tej kobiety i już przedtem postanowiła, że najlepsza w tym wypadku jest całkowita szczerość.

- Oczywiście masz rację. Mam powód. Potrzebuję waszej pomocy. Tą magią Matka dała mi wielką władzę, nawet nad Attarą. Ona obawia się mojej magii, ale jest chytra i nieobliczalna. Jestem pewna, że któregoś dnia przewycięży ten strach. Wtedy mnie zabije. - Kobieta spojrzała na Jondalara. - Moja śmierć nie jest zbyt ważna dla nikogo poza mną. Najbardziej jednak boję się o resztę moich ludzi, o cały obóz. Kiedy mówiłeś o tym, jak Marthona przekazała przywództwo swojemu synowi, zrozumiałam, jak źle sprawy stoją. Wiem, że Attarą nigdy dobrowolnie nie przekaze przywództwa nikomu, a kiedy mnie zabraknie, obawiam się, że może też już nie być obozu.

- Skąd taka pewność? Skoro jest nieobliczalna, to czy nie może się znudzić tym wszystkim? - spytał Jondalar.

- Jestem tego pewna, ponieważ zabiła już jedyną osobę, której mogłaby przekazać przywództwo, swoje własne dziecko.

- Zabiła swoje dziecko?! - odezwał się Jondalar. - Kiedy powiedziałaś, że Attarą spowodowała śmierć tych trojga młodych ludzi, myślałem, że to był wypadek.

- To nie był wypadek. Attarą ich otruła, chociaż się do tego nie przyznaje.

- Otruła swoje własne dziecko! Jak ktokolwiek może zabić własne dziecko? I dlaczego? - dziwił się Jondalar.

- Dlaczego? Za próbę pomocy przyjacielowi. Cavao, ta młoda kobieta, którą poznaliście, zakochała się i planowała ucieczkę razem z mężczyzną, którego kochała. Również jej brat próbował im pomóc. Złapano całą czwórkę. Attarą oszczędziła Cavoę tylko

dlatego, że jest w ciąży, ale zagroziła, że jeśli urodzi się chłopiec, zabije oboje.

- Nic dziwnego, że jest taka nieszczęśliwa i wystraszona - powiedziała Ayla.

- Ja także jestem za to odpowiedzialna - przyznała S'Armuna i krew odpłynęła jej z twarzy przy wymawianiu tych słów.

- Ty! Co ty miałaś przeciwko tym młodym ludziom?! - wykrzyknął Jondalar.

- Nic. Dziecko Attaroi było moim uczniem, niemal moim własnym dzieckiem. I bardzo mi żal Cavoï, serce mi się kraje, ale jestem odpowiedzialna za ich śmierć, jak gdybym sama podała im truciznę. Gdyby nie ja, Attaroi nie wiedziałyby, skąd zdobyć truciznę ani jak jej użyć.

Oboje wyraźnie widzieli jej rozpacz, chociaż starała się ją ukryć.

- Ale zabić swoje własne dziecko! - powiedziała Ayla, potrząsając głową, jakby próbując odegnać samą myśl, która ją przerażała. - Jak mogła to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Powiem wam, co wiem, ale to długa historia. Chyba powinniśmy wrócić do mojej ziemianki. - S'Armuna rozejrzała się wokół. Nie chciała mówić o Attaroi w tak publicznym miejscu.

Ayla i Jondalar podążyli za nią do ziemianki, zdjęli kurty i stanęli przy ognisku, do którego starsza kobieta dodała więcej opału i włożyła kamienie, żeby się zagrzały na gorącą herbatę. Kiedy usiedli z kubkami rozgrzewającego ziołowego napoju, S'Armuna zebrała myśli i zaczęła:

- Trudno powiedzieć, kiedy się to wszystko zaczęło, prawdopodobnie wraz z kłopotami Attaroi i Brugara, ale na tym się nie skończyło. Brugar nie przestał jej bić, nawet kiedy była już w zaawansowanej ciąży. Kiedy zaczęła rodzić, nie posłał po mnie. Dowiedziałam się dopiero, jak usłyszałam jej krzyki bólu. Poszłam do niej, ale nie pozwolił mi pomóc przy porodzie. To nie był łatwy poród, a on nie pozwolił dać jej niczego na złagodzenie bólu. Jestem pewna, że chciał patrzeć na jej cierpienie. Dziecko najwidoczniej urodziło się z jakimś zniekształceniem. Sądzę, że to z powodu tego bicia, i chociaż nie było to oczywiste przy urodzeniu, wkrótce było widać, że kręgosłup dziecka był wykrzywiony i słaby. Nigdy nie pozwolono mi go zbadać, więc nie jestem pewna, ale mogły być jeszcze inne problemy.

- To był chłopiec czy dziewczynka? - spytał Jondalar, nie mogąc wywnioskować tego ze słów S'Armuny.

- Nie wiem.

- Nie rozumiem. Jak możesz nie wiedzieć? - spytała Ayla.

- Nikt nie wiedział poza Attaroi i Brugarem, a z jakiegoś powodu utrzymywali to w

tajemnicy. Nawet jako niemowlę dziecko nigdy nie było nagie, chociaż większości niemowląt i małych dzieci nie okrywa się, i wybrali imię ani męskie, ani żeńskie. Dziecko nazywało się Omel - wyjaśniła kobieta.

- Czy dziecko samo nigdy nie powiedziało? - spytała Ayla.

- Nie. Omel też zachował tajemnicę. Sądzę, że Brugar mógł obojgu grozić ciężkimi konsekwencjami, jeśli płeć dziecka kiedykolwiek zostanie ujawniona.

- Ale coś musiało być widać, szczególnie jak dziecko dorosło. Ciało, które pogrzebano, było wielkości dorosłego człowieka - powiedział Jondalar.

- Omel się nie golił, ale mógł być opóźnionym w dojrzewaniu mężczyzną. Trudno powiedzieć, czy dziecku urosły piersi. Zawsze nosiło luźne ubranie, które zakrywało kształty. Omel urosł bardzo wysoki jak na kobietę, mimo wykrzywionego kręgosłupa, ale był bardzo szczupły. Może to z powodu słabości, ale Attarą też jest bardzo wysoka, a w Omelu była pewna delikatność, której mężczyźni na ogół nie mają.

- A czy niczego nie wyczuwałaś, jak dziecko dorastało? - spytała Ayla.

Ona jest spostrzegawcza - pomyślała S'Armuna i potaknęła.

- W głębi serca zawsze uważałam Omela za dziewczynkę, ale może dlatego, że tego pragnęłam. Brugar chciał, żeby ludzie uważali Omela za chłopca.

- Chyba masz rację co do Brugara - powiedziała Ayla. - W klanie każdy mężczyzna chce, żeby jego towarzyszka życia miała synów. O ile nie ma co najmniej jednego, nie jest uważany za prawdziwego mężczyznę, To oznacza, że jego duch jest słaby. Jeśli dziecko było dziewczynką, Brugar mógł próbować ukryć ten fakt - wyjaśniała Ayla, ale nagle przerwała i zaczęła rozważać inny aspekt. - Jednak zdeformowane noworodki są na ogół odbierane matce i zostawiane, żeby umarły. Jeśli więc dziecko urodziło się zniekształcone, szczególnie jeśli to był chłopiec, i niezdolne do opanowania niezbędnych umiejętności myśliwskich wymaganych od mężczyzny, Brugar mógł próbować to ukryć.

- Nie jest łatwo odgadnąć jego motywy, lecz jakiegokolwiek by one były, Attarą je uznała.

- Ale jak Omel zmarł? I tych dwóch młodych mężczyzn? - spytał Jondalar.

- To jest dziwna, zawiła historia - powiedziała S'Armuna, która chciała wszystko opowiedzieć po kolei. - Pomimo wszystkich problemów i tajemnic Brugar pokochał dziecko. Omel był jedyną osobą, której Brugar nigdy nie uderzył ani nie starał się w żaden sposób skrzywdzić. Cieszyłam się z tego, ale często zastanawiałam nad powodem.

- Może podejrzewał, że sam spowodował zniekształcenie, ponieważ tak bardzo bił Attarę w czasie ciąży? - spytał Jondalar. - Może próbował temu zadośćuczynić?

- Może, ale Brugar obwinał Attarę. Często mówił, że nie nadaje się do niczego, skoro nawet nie potrafi urodzić zdrowego dziecka. Był wściekły i bił ją. Jednak bicie przestało już być wstępem do przyjemności. Poniżał tylko Attarę i obdarzał uczuciami dziecko. Omel zaczął ją traktować w ten sam sposób i w miarę jak czuła się coraz bardziej odsunięta, zaczęła być zazdrosna o swoje własne dziecko, o uczucia, jakie Brugar mu okazywał, a jeszcze bardziej o miłość Omela do Brugara.

- Musiało jej być z tym bardzo ciężko - zauważyła Ayla.

- Tak, Brugar odkrył nowy sposób na przysparzanie jej bólu, ale nie tylko ona cierpiała z jego powodu. Z czasem kobiety były traktowane gorzej i gorzej, zarówno przez Brugara, jak i przez innych mężczyzn. Mężczyźni, którzy próbowali mu się opierać, byli czasami także bici albo zmuszani do odejścia. Wreszcie, po jednym szczególnie okrutnym biciu, gdy złamał Attarę rękę i kilka żeber, kopiąc ją i skacząc na nią, zbuntowała się. Przysięgła, że go zabije, i błagała mnie, żebym jej dała coś, czego mogłaby do tego celu użyć.

- I zgodziłaś się? - spytał Jondalar, niezdolny powstrzymać ciekawości.

- Ta Która Służy Matce zna wiele sekretów, Jondalarze, często niebezpiecznych, szczególnie jeśli uczyła się u Zelandoni - powiedziała S'Armuna. - Ci jednak, którzy zostają przyjęci do Stowarzyszenia Matki, muszą przysiąc na Święte Jaskinie i Stare Legendy, że nie nadużyją tych sekretów. Ta Która Służy Matce wyrzeka się własnego imienia i tożsamości i przyjmuje imię oraz tożsamość swojego ludu, staje się łącznikiem między Wielką Matką Ziemią i jej dziećmi. Przez nią Dzieci Ziemi komunikują się ze światem duchów. Dlatego Służba Matce oznacza jednocześnie służbę jej dzieciom.

- Rozumiem - odpowiedział Jondalar.

- Może jednak nie rozumiesz tego, że lud zostaje wryty w duchu Tej Która Służy. Potrzeba troski o ich dobro staje się bardzo silna i ustępuje jedynie potrzebom Matki. Często jest to kwestia przywództwa. Na ogół nie bezpośrednio, ale w sensie pokazywania drogi. Ta Która Służy Matce staje się przewodnikiem do zrozumienia i znalezienia sensu zawartego w nieznanym. Częścią treningu jest zdobycie wiedzy, która umożliwia interpretację znaków, wizji i snów zsyłanych jej dzieciom. Istnieją do tego pomocne narzędzia i sposoby szukania objaśnień w świecie duchów, ale ostatecznie wszystko sprowadza się do własnego osądu Tej Która Służy. Rozważałam długo, jak najlepiej Służyć, lecz bałam się, że moją ocenę zaciemnia rozgoryczenie i złość. Wróciłam tutaj pełna nienawiści do mężczyzn, a postępowanie Brugara jeszcze ją wzmoгло.

- Przyznałaś, że czujesz się odpowiedzialna za śmierć tych trojga młodych ludzi. Czy powiedziałaś jej o truciznach? - spytał Jondalar, niezdolny pominąć tego problemu



milczeniem.

- Nauczyłam Attarotę wielu rzeczy, synu Marthony, ale nie była trenowana na Tę Która Służy. Jest jednak bardzo inteligentna i rozumiała więcej, niż zamierzałam jej pokazać... ale o tym także wiedziałam. - S'Armuna zatrzymała się o krok przed jasnym wyznaniem poważnego wykroczenia. Postawiła sprawę wyraźnie, ale pozwoliła im na wyciągnięcie własnych wniosków. Patrzyła na nich, aż zobaczyła zaszępiłą twarz Jondalara i potakujące kiwnięcie głową Ayli.

- W każdym razie pomogłam Attaroi w zdobyciu władzy nad mężczyznami - może też sama chciałam mieć nad nimi władzę. Wspierałam ją i zachęcałam, tłumaczyłam, że Wielka Matka Ziemia życzy sobie kobiet przywódczyń, i pomogłam jej przekonać kobiety, a przynajmniej większość kobiet. Nie było to trudne po takim traktowaniu ich przez mężczyzn. Dałam jej coś do uspienia mężczyzn i poradziłam, żeby wsypała to do ich ulubionego napoju - odwaru, który robili ze sfermentowanego soku brzożowego.

- Mamutoi robią podobny napój - zauważył Jondalar, który w zadziwieniu słuchał opowieści.

- Kiedy mężczyźni zasnęli, kobiety związały ich. Zrobiły to z przyjemnością. To było niemal jak gra, sposób oddania mężczyznom za wyrządzone krzywdy. Brugar jednak nigdy się nie zbudził. Attarota próbowała przekonywać, że był bardziej niż inni podatny na nasenny napój, ale jestem pewna, że włożyła coś innego do jego kubka. Mówiła, że chce go zabić, i sądzę, że to zrobiła. Teraz niemal otwarcie o tym mówi, ale niezależnie od tego, jaka jest prawda, to pod moim wpływem uwierzyła, iż kobietom będzie lepiej bez mężczyzn. Ja przekonałam ją, że jak już nie będzie mężczyzn, duchy kobiet będą musiały mieszać się z duchami innych kobiet, żeby tworzyć nowe życie, i że odtąd będą się rodzić tylko dziewczynki.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał Jondalar.

- Niemal przekonałam samą siebie. Nigdy tego wyraźnie nie powiedziałam - nie chciałam ściągnąć na siebie gniewu Matki -ale poddałam jej ten pomysł. Attarota uważa, że ciążę kilku kobiet są tego dowodem.

- Myli się - powiedziała Ayli.

- Tak, oczywiście, że się myli. Powinam była mieć więcej rozsądku. Nie oszukałam Matki moim podstępem. W głębi serca wiem, że mężczyźni istnieją, ponieważ tak zaplanowała Matka. Gdyby nie chciała mężczyzn, nie stworzyłaby ich. Ich duchy są niezbędne. Skoro jednak mężczyźni są słabi, ich duchy nie są dość mocne, by Matka mogła ich użyć. Dlatego rodzi się teraz tak mało dzieci. - Uśmiechnęła się do Jondalara. - Jesteś tak

silny i młody, nie wątpię, że Matka już użyła twojego ducha.

- Kiedy mężczyźni zostaną uwolnieni, zobaczysz, że są wystarczająco silni, by spowodować ciężę kobiet - rzekła Ayla -i to bez pomocy Jondalara.

Wysoki blondyn zerknął na nią i uśmiechnął się.

- Ależ z przyjemnością pomogę - oznajmił, wiedząc dokładnie, co miała na myśli, mimo że nie był w pełni przekonany co do słuszności jej opinii.

- I może powinienes. Powiedziałam tylko, że nie sądzę, by to było konieczne.

Uśmiech Jondalara nagle zniknął. Uświadomił sobie, że niezależnie od tego, które z nich miało rację, nie ma powodu przypuszczać, że nie jest zdolny do poczęcia dziecka.

S'Armuna spoglądała na nich oboje, wiedząc, że robili aluzje do czegoś, w co nie była wtajemniczona. Odczekała chwilę, ale kiedy stało się oczywiste, że czekają na jej dalsze słowa, ciągnęła opowieść:

- Pomogłam jej i zachęcałam ją, ale nie wiedziałam, że z At-tarą jako przywódczynią będzie gorzej niż za czasów Brugara. W rzeczywistości, zaraz po jego śmierci, było lepiej... przynajmniej dla kobiet. Ale nie dla mężczyzn i nie dla Omela. Brat Cavoï to rozumiał. Był bliskim przyjacielem Omela, a Omel był jedynym, który rozpaczał po Brugarze.

- To jest zrozumiałe w tych okolicznościach - powiedział Jondalar.

- Attarą tego nie rozumiała, a Omel był pewien, że Attarą spowodowała śmierć Brugara, był oburzony i sprzeciwiał się jej, za co go biła. Attarą powiedziała mi kiedyś, że chciała tylko, by jej dziecko zrozumiało, co Brugar uczynił jej i innym kobietom. Chociaż tego nie powiedziała, myślę, iż sądziła, czy też miała nadzieję, że gdy już Brugara nie będzie, Omel zwróci się ku niej i obdarzy ją miłością.

- Bicie raczej nie wywołuje miłości - zauważyła Ayla.

- To prawda. Nikt przedtem nie bił Omela, i znienawidził Attarą jeszcze bardziej. Byli matką i dzieckiem, ale nie znosili się wzajemnie. Wtedy zaproponowałam, że wezmę Omela na naukę.

S'Armuna przerwała, podniosła kubek, zobaczyła, że jest pusty, i postawiła go z powrotem.

- Attarą zdawała się cieszyć z tego, że pozbyła się Omela z ziemianki. Teraz jednak widzę, że mściła się za to na mężczyznach. W rzeczywistości, od czasu jak Omel odszedł z jej ziemianki, Attarą stawała się coraz gorsza. Jest okrutniejsza, niż Brugar był kiedykolwiek. Powinnam była to zrozumieć. Zamiast trzymać ich osobno powinnam była spróbować ich pojednać. Co ona zrobi teraz, kiedy Omela już nie ma? Kiedy własnoręcznie zabiła swoje dziecko?

Kobieta wpatrywała się w tańczące płomienie ogniska, jakby zobaczyła coś, czego nikt inny nie widział.

- O Wielka Matko! Byłam ślepa! - wykrzyknęła nagle. - Okaleczyła Ardobana i wpakowała go do Zagrody, a wiem, że dbała o tego chłopca. I zabiła Omela i innych.

- Okaleczyła go? - zdziwiła się Ayla. - I te dzieci w Zagrodzie? To było zrobione umyślnie?

- Tak, żeby osłabić i przestraszyć chłopców - powiedziała S'Armuna, potrząsając głową. - Attaroi straciła resztki rozumu. Boję się o los nas wszystkich. - Nagle załamała się i ukryła twarz w dłoniach. - Kiedy się to skończy? Cały ten ból i cierpienie, które spowodowałam?! - wykrzyknęła z łkaniem.

- Nie było to tylko twoje dzieło, S'Armuna - uspokajała Ayla. - Może do tego dopuściłaś, nawet zachęcałaś, ale nie powinnaś brać na siebie całej winy. Zło jest w Attaroi, a może również w tych, którzy ją tak okrutnie traktowali. - Ayla kiwała głową. - Okrucieństwo matkuje okrucieństwu, ból rodzi ból, zło wychowuje zło.

- I jak wiele dzieci, którym wyrządziła krzywdę, przekaże to następnemu pokoleniu?! - krzyknęła z bólem starsza kobieta. Zaczęła kiwać się w tył i w przód, zawodząc w rozpacz. - Którego z chłopców za tą palisadą skazała na kontynuację jej strasznego dziedzictwa? I która z dziewcząt zechce być jak ona? Widok Jondalara przypominał mi, czego mnie nauczono. Ze wszystkich ludzi właśnie ja nie powinnam była do tego dopuścić. Dlatego jestem za to odpowiedzialna. Och, Matko! Cóż ja uczyniłam?

- Pytaniem nie jest, co uczyniłaś, ale co możesz zrobić teraz - rzekła Ayla.

- Muszę im pomóc. W jakiś sposób muszę im pomóc, ale co mogę zrobić?

- Już jest zbyt późno, żeby pomóc Attaroi, ale trzeba ją powstrzymać. Najpierw trzeba uwolnić dzieci i mężczyzn z Zagrody, a potem zastanowimy się, co możemy dla nich uczynić.

S'Armuna spojrzała na młodą kobietę, która wydawała się w tym momencie taka pewna siebie i mocna, i zastanowiła się, kim ona właściwie jest. Ta Która Służy Matce została zmuszona do zrozumienia szkód, jakie spowodowała, i do uświadomienia sobie, że nadużyła władzy. Obawiała się o swojego własnego ducha, jak również o życie całego obozu.

W ziemiance zapanowała cisza. Ayla wstała i podniosła miskę używaną do zaparzania herbaty.

- Pozwól, że ja zrobię herbatę tym razem. Mam ze sobą dużo dobrych ziół - powiedziała. S'Armuna przytaknęła bez słowa i Ayla sięgnęła po swoją torbę znachorską.

- Myślałem o tych dwóch kalekich chłopcach w Zagrodzie - odezwał się Jondalar. - Nawet jeśli nie będą dobrze chodzić, mogliby zostać łupaczami krzemienia czy czymś

podobnym, jeśli znajdzie się ktoś, kto ich tego nauczy. Musi być ktoś taki wśród S'Ar-munai. Może znajdziesz kogoś chętnego na Letnim Spotkaniu.

- Nie chodzimy już na Letnie Spotkania z innymi S'Armunai.

- Dlaczego?

- Attaroa sobie tego nie życzy - odparła S'Armuna tępym, monotonnym głosem. - Inni ludzie nie byli dla niej zbyt dobrzy. Jej własny obóz zaledwie ją tolerował. Gdy została przywódczynią, nie chciała mieć nic do czynienia z kimkolwiek z zewnątrz. Niedługo po przejęciu przez nią władzy jeden z obozów przysłał delegację z zaproszeniem, byśmy się z nimi połączyli. Gdzieś usłyszeli, że mamy dużo kobiet bez towarzyszy życia. Attaroa obraziła ich i wyrzuciła. W ciągu kilku lat odsunęła wszystkich. Teraz nikt już nie przychodzi, ani krewni, ani przyjaciele. Wszyscy nas unikają.

- Przywiązanie do tarczy to coś więcej niż obraza - rzekł Jondalar.

- Powiedziałaś ci, że jest coraz gorsza. Nie byłeś pierwszy. To, co zrobiła tobie, robiła już wcześniej. Kilka lat temu przyszedł mężczyzna, gość, był w podróży. Widząc tak wiele samotnych kobiet, stał się arogancki i protekcyjny. Zdawało mu się, że nie tylko będzie mile widziany, ale wręcz rozchwytywany. Attaroa bawiła się nim, tak jak lew bawi się swoją ofiarą. Potem go zabiła. Tak jej się to spodobało, że zaczęła zatrzymywać wszystkich gości. Lubi dręczyć ich, potem obiecywać różne rzeczy i znowu dręczyć, zanim się ich pozbędzie. Taki był jej plan wobec ciebie, Jondalarze.

Aylę przeszedł dreszcz. Dodawała właśnie uspokajające zioła do napoju dla S'Armuny.

- Miałas rację, kiedy powiedziałaś, że przestała już być człowiekiem. Mog-ur opowiadał czasami o złych duchach, ale zawsze myślałam, że to legendy, historie, które się opowiada dzieciom, żeby były posłuszne. Attaroa jednak to nie legenda. Ona jest uosobieniem zła.

- Tak, a kiedy zabrakło gości, zaczęła zabawiać się mężczyznami z Zagrody. - S'Armuna mówiła dalej, jakby nie mogła się powstrzymać przed opowiedzeniem o tym, co widziała i słyszała, a co dotąd dusiła w sobie wewnątrz. - Najpierw wybierała najsilniejszych, przywódców i buntowników. Było coraz mniej mężczyzn, a ci, którzy zostali, stracili chęć buntu. Trzyma ich na wpół zagłodzonych, wystawionych na mróz i deszcz. Pakuje ich do klatek albo więze. Nie mogą się nawet umyć. Wielu zmarło z zimna i wyczerpania. A bardzo mało dzieci się urodziło, żeby ich zastąpić. W miarę jak wymierają mężczyźni, umiera obóz. Wszyscy zdziwiliśmy się, kiedy Cavoaszaszła w ciążę.

- Musiała wkradać się do Zagrody, żeby być z mężczyzną - powiedziała Ayla. -

Prawdopodobnie z tym, którego kochała. Z pewnością wiesz o tym.

S'Armuna rzeczywiście wiedziała, ale zastanawiała się, skąd wie o tym Ayla.

- Niektóre kobiety zakradają się, żeby zobaczyć mężczyzn, i czasami przynoszą im żywność. Jondalar ci pewnie powiedział.

- Nie, nic jej nie mówiłem. Nie rozumiem jednak, dlaczego kobiety pozwalają na trzymanie mężczyzn w zamknięciu.

- Boją się Attaroi. Kilka kobiet naprawdę ją popiera, ale większość wolałaby mieć mężczyzn z powrotem. A teraz grozi, że okaleczy ich synów.

- Wyjaśnij kobietom, że mężczyźni muszą zostać uwolnieni, bo inaczej nie urodzi się więcej dzieci - powiedziała Ayla tonem, który wywołał dreszcz zarówno u Jondalara, jak i S'Armuny. Spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Jondalar rozpoznał ten wyraz twarzy. Tak wyglądała zawsze, kiedy jej umysł zajęty był kimś, kto był chory czy ranny, choć teraz dostrzegł coś więcej niż tylko chęć udzielenia pomocy - zimny, twardy gniew, jakiego nigdy przedtem nie widział.

Starsza kobieta jednak zobaczyła w Ayli coś innego i uznała jej słowa za prorocstwo czy też wyrok.

Ayla podała herbatę i siedzieli razem w milczeniu, każde głęboko poruszone. Nagle Ayla poczuła silną potrzebę wyjścia na dwór i zacerpnienia czystego, rześkiego i chłodnego powietrza, ale wygląd S'Armuny powiedział jej, że nie jest to najlepsza pora na opuszczenie pomieszczenia. Wiedziała, że tej kobiecie zawalił się świat i że będzie potrzebować jakiegoś wsparcia.

Jondalar myślał o mężczyznach, których zostawił w Zagrodzie, i o tym, co przeżywają teraz. Wiedzieli z pewnością, że wrócił do obozu, choć nie zamknięto go razem z nimi. Pragnął porozmawiać z Ebulanem i S'Amodunem i pocieszyć Dobana, lecz sam potrzebował upewnienia i pociechy. Groziło im niebezpieczeństwo i niczego jak dotąd nie uczynili, jedynie rozmawiali. Chciał wydostać się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe, ale jeszcze bardziej pragnął pomóc. Jeśli mają coś zrobić, powinni zabrać się do tego już teraz. Nie znosił bezczynności i czekania. Wreszcie powiedział z desperacją w głosie:

- Chciałbym coś zrobić dla mężczyzn z Zagrody. Jak mogę im pomóc?

- Jondalarze, już pomogłeś - rzekła S'Armuna, która sama też odczuwała potrzebę planu działania. - Kiedy jej odmówiłeś, dodało im to ducha, ale samo to nie byłoby wystarczające. Już wcześniej mężczyźni się jej opierali przez krótki czas, ale to jest pierwszy raz, kiedy mężczyzna od niej odszedł, a co ważniejsze - wrócił. Attaroa straciła twarz, a to daje im nadzieję.

- Nadzieja ich stamtąd nie wydostanie - odparł.

- Nie, a Attaroa dobrowolnie ich nie wypuści. Żaden mężczyzna nie odchodzi stąd żywy, jeśli tylko Attaroa potrafi do tego nie dopuścić, choć kilku udało się uciec. Kobiety zaś nieczęsto wybierają się w podróż. Jesteś pierwsza, która tu przyszła, Aylo.

- Czy odważyłaby się zabić kobietę? - spytał Jondalar, nieświadomie przysuwając się bliżej, by chronić kobietę, którą kochał.

- Trudniej jej usprawiedliwić zabicie kobiety czy choćby uwięzienie jej w Zagrodzie. Wiele kobiet jest tu jednak trzymanyh wbrew ich woli, choć nie są zamknięte za ogrodzeniem. Attaroa grozi tym, których one kochają, i trzymają je tu uczucia do synów i towarzyszy życia. Dlatego też twoje życie jest zagrożone - powiedziała S'Armuna, patrząc na Aylę. - Nie jesteś z nikim stąd związana. Nie ma cię czym szantażować i jeśli uda jej się zabić ciebie, będzie jej łatwiej zabijać inne kobiety. Nie mówię tego tylko po to, by cię ostrzec, lecz dlatego, że jest to sytuacja niebezpieczna dla całego obozu. Jeszcze ciągle możecie oboje odejść i może to właśnie powinniście zrobić.

- Nie, nie mogę odejść - odrzekła Ayla. - Jak mogłabym zostawić te dzieci? I mężczyzn? Również kobiety potrzebują pomocy. Brugar mówił o tobie "znachorka", S'Armuno. Nie jestem pewna, czy wiesz, co to znaczy, ale ja jestem znachorka klanu.

- Jesteś znachorka? Powinam była się domyślić - powiedziała S'Armuna. Nie całkiem wiedziała, co to oznacza, ale kiedy Brugar nazywał ją znachorka, okazywał jej taki respekt, że przyznała tej pozycji szczególną wagę.

- Dlatego nie mogę odejść - wyjaśniała Ayla. - To nie jest kwestia mojego wyboru. To jest coś, co znachorka musi zrobić. To jest w środku. Częstka mojego ducha już jest na następnym świecie - Ayla dotknęła amuletu zawieszzonego u szyi. - Mam duchowe zobowiązanie wobec ludzi, którzy mogą potrzebować mojej pomocy. To trudno wytłumaczyć, ale nie mogę pozwolić Attaroi na dalsze wyrządzanie im krzywdy, a ten obóz będzie potrzebował pomocy po uwolnieniu ludzi z Zagrody. Muszę zostać tak długo, jak długo jest to konieczne.

S'Armuna kiwnęła głową i miała wrażenie, że rozumie. Nie było łatwo to wyjaśnić. S'Armuna przyrównała Ayli potrzebę uzdrawiania i niesienia pomocy do własnego powołania do Służby Matce i zrozumiała tę młodą kobietę.

- Zostaniemy, jak długo będziemy mogli - poprawił Jondalar, który pamiętał, że muszą przejść lodowiec przed końcem zimy. - Problem polega na tym, jak przekonać Attarotę, żeby wypuściła mężczyzn.

- Ona się ciebie boi, Aylo - powiedziała szamanka - i myślę, że również większość jej

Wilczyc. Te, które się nie boją, mają dla ciebie głęboki podziw. S'Armunai są ludem, który poluje na konie. Polujemy także na inne zwierzęta, włącznie z mamutami, ale najlepiej znamy się na koniach. Na północ stąd jest urwisko, z którego od pokoleń spędzaliśmy konie w przepaść. Nie możesz zaprzeczyć, że twoje panowanie nad końmi jest potężną magią. Trudno w to uwierzyć, nawet jak się to widzi na własne oczy.

- Nie ma w tym nic tajemniczego - zachnęła się Ayla. - Wychowałam kobyłę od źrebaka. Żyłam sama i ona była moim jedynym przyjacielem. Whinney robi to, czego chcę, z własnej woli i przyjaźni - próbowała wyjaśnić.

Sposób, w jaki wypowiedziała imię kobyły, przypominał ciche rzenie końskie. Podróżowała tylko z Jondalarem i zwierzętami już od tak dawna, że wróciła do obyczaju nazywania konia jej oryginalnym imieniem. Rzenie wydobywające się z ust kobiety zaskoczyło S'Armunę, a sam pomysł przyjaźni z koniem wychodził poza granice jej pojmowania. Słowa Ayli, że to nie magia, były bez znaczenia. Właśnie przekonała S'Armunę o swej magicznej władzy.

- Może - powątpiewała szamanka. Myślała jednak: "Niezależnie od tego, jak prosto to przedstawiasz, nie powstrzymasz ludzi od zastanawiania się, kim właściwie jesteś i dlaczego tutaj przysłaś". - Ludzie myślą i mają nadzieję, że przysłaś, aby im pomóc - powiedziała głośno. - Boją się Attaroi, ale myślę, że z twoją i Jondalara pomocą mogą się jej przeciwstawić i zmusić ją do uwolnienia mężczyzn. Być może nie dadzą się już zastraszyć.

Ayla tak bardzo pragnęła wyjść na dwór i sprawdzić, co się dzieje ze zwierzętami, że zaczynała czuć się nieswojo.

- Tyle tej herbaty - powiedziała, wstając. - Muszę opróżnić pęcherz. Dokąd mogę pójść, S'Armuno? - Wysłuchiwała, w którą stronę ma się skierować, i dodała: - Musimy zajrzeć do koni, upewnić się, że mają wszystko, czego im potrzeba. Czy możemy na trochę zostawić tu kosze z jedzeniem? - Uniosła pokrywkę i sprawdziła zawartość kosza. - Szybko stygnie. Szkoda, że nie można tego podać na gorąco. Jest znacznie smaczniejsze.

- Oczywiście, zostaw tu kosze - powiedziała S'Armuna, podniosła kubek, wypila resztki i obserwowała dwoje wychodzących gości.

Możliwe, że Ayla nie jest wcieleniem Wielkiej Matki i że Jondalar rzeczywiście jest synem Marthony, ale przekonanie, że któregoś dnia Matka zażąda zapłaty, ciążyło niezmiernie Tej Która Jej Służyła. W końcu to ona była S'Armuną. Ona oddała własną osobowość za moc świata duchów i ten obóz był pod jej opieką, wszyscy jego mieszkańcy, tak mężczyźni jak i kobiety. Została jej powierzona piecza nad duchową esencją obozu i Jej dzieci polegały na niej. Patrząc na sytuację z pozycji ludzi z zewnątrz: mężczyzny, który

przypomni ł o jej powo aniu, i kobiety o niezwykłych mocach, S'Armuna wiedzia a,  e zawiod a. Mia a tylko nadzieje,  e nadal mo e odkupi c swe winy i pomóc Obozowi w odzyskaniu normalnego, zdrowego  ycia.



S'Armuna wyszła przed ziemiankę i patrzyła, jak dwoje gości szło na skraj obozu. Zobaczyła, że stojące przed ziemianką At-taroa i Epadoa też śledziły ich wzrokiem. Szamanka już miała się cofnąć, kiedy zobaczyła, że Ayla nagle skręca i podchodzi do palisady. Na ten widok Attaroa i przywódczyni Wilczyc pospieszyły, żeby zagrozić jej drogę. Jednocześnie doszły do ogrodzonej przestrzeni. Szamanka dotarła tam w chwilę później.

Przez szpary Ayla widziała twarze i oczy milczących obserwatorów po drugiej stronie solidnych pali. Przedstawiali sobą żaloszny obraz - brudni i zaniedbani, ubrani w poszarpane skóry, ale najgorszy był zapach dochodzący z Zagrody. Chodziło nie tylko o smród; wrażliwy nos znachorki wyczytywał w nim wiele rzeczy. Normalne zapachy ciała zdrowych ludzi nie przeszkadzały jej, nawet pewna ilość normalnych odchodów nie była odrażająca, lecz teraz czuła zapach choroby. Cuchnący oddech głodu, przykry odór ekskrementów spowodowany chorobami żołądka i gorączką, obrzydliwy smród ropy z zainfekowanych, ciekących ran, a nawet zgniły fetor gangreny - wszystko to zaatakowało jej węch i rozgniewało ją.

Epadoa stanęła przed Aylą, starając się zasłonić jej widok, ale Ayla widziała już wystarczająco dużo. Odwróciła się i stanęła przed Attaroa.

- Dlaczego ci ludzie są trzymani tutaj za płotem, jak zwierzęta w zagrodzie?

Przysłuchujący się ludzie zachłysnęli się ze zdumienia, kiedy usłyszeli tłumaczenie jej słów, i wstrzymali oddech w oczekiwaniu na reakcję przywódczyni. Nikt przedtem nie odważył się zadać tego pytania.

Attaroa patrzyła na Aylę, która odpowiedziała jej nieustraszonym wzrokiem pełnym gniewu. Były niemal tego samego wzrostu, choć ciemnooka kobieta była odrobinę wyższa. Obie były bardzo silne, ale Attaroa była potężnie zbudowana, podczas gdy stalowe mięśnie Ayli rozwinęły się na skutek ciągłego treningu. Przywódczyni była nieco starsza niż gość, bardziej doświadczona, przebiegła i całkowicie nieprzewidywalna; Ayla była doświadczonym myśliwym, spostrzegawcza, logiczna i szybko reagująca.

Nagle Attaroa roześmiała się, a znajomy, szalony dźwięk wywołał dreszcz u Jondalara.

- Ponieważ na to zasłużyli!

- Nikt nie zasługuje na takie traktowanie - odparła Ayla, zanim S'Armuna zdążyła przetłumaczyć. Zamiast tego powtórzyła Attaroi słowa Ayli.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Nie było cię tutaj. Nie wiesz, jak nas traktowali -

powiedziała ciemnooka kobieta.

- Czy zmuszali was do przebywania na mrozie? Czy nie dawali wam jedzenia ani odzieży? - Kilka z przyglądających się kobiet zaczęło okazywać niepokój. - Czy jesteście lepsze od nich, skoro traktujecie ich gorzej, niż oni traktowali was?

Attaroa nie raczyła na to odpowiedzieć, ale jej uśmiech był surowy i okrutny

Ayla zauważyła ruch za ogrodzeniem i zobaczyła, jak mężczyźni rozstępują się, żeby przepuścić kuśtykających chłopców. Wszyscy się wokół nich tłoczyli. Widok okaleczonych dzieci i innych chłopców, głodnych i zmarzniętych, rozgniewał ją jeszcze bardziej. W tym momencie kilka Wilczyc weszło do Zagrody z podniesionymi oszczepami. Poczula taką wściekłość, że zaledwie była ją w stanie opanować, i zwróciła się bezpośrednio do zgromadzonych kobiet.

- A ci chłopcy, oni też was źle traktowali? Co takiego zrobili, co usprawiedliwiłoby takie obchodzenie się z nimi? - S'Armuna przetłumaczyła, żeby wszyscy zrozumieli.

- Gdzie są matki tych dzieci? - Ayla zwróciła się do Epadoi w sarmunai.

Przywódczyni Wilczyc, słysząc słowa w swoim własnym języku, zerknęła na Attaroe po jakieś wskazówki, ale przywódczyni przyglądała jej się tylko, jakby czekając na jej odpowiedź.

- Niektóre nie żyją - powiedziała Epadoa.

- Zabite, kiedy próbowały uciec ze swoimi synami - odezwała się z tłumu jedna z kobiet. - Reszta boi się zrobić cokolwiek, ze strachu, że ich dzieci też zostaną okaleczone.

Ayla spojrzała w tę stronę i zobaczyła, że słowa te wypowiedziała stara kobieta. Jondalar poznał, że była to ta sama, która głośno rozpaczała na pogrzebie trojga młodych ludzi. Epadoa groźnie na nią spojrzała.

- Co jeszcze możesz mi zrobić, Epadoa? - powiedziała kobieta, odważnie występując naprzód. - Już zabrałaś mi syna, a moja córka wkrótce też zginie, w taki czy inny sposób. Jestem zbyt stara, by mi zależało na życiu.

- Oni nas zdradzili - odparowała Epadoa. - Teraz wszyscy wiedzą, co się stanie, jeśli spróbują ucieczki.

Attaroa żadnym gestem nie wyraziła aprobaty ani nagany dla słów Epadoi. Odwróciła się ze znudzoną miną i poszła w kierunku swojej ziemianki, zostawiając Epadoę i jej Wilczyce na straży Zagrody. Na dźwięk ostrego gwizdu zatrzymała się w pół kroku i okręciła na pięcie. Przelotny wyraz przerażenia zastąpił jej zimny, okrutny uśmiech, kiedy zobaczyła, że oba konie, które były niemal poza zasięgiem wzroku na skraju pola, przygalopowały do Ayli. Szybko weszła do ziemianki.

Uczucie osłupiałego zdumienia wypełniło osadę, kiedy blondynka i jeszcze od niej jaśniejszy mężczyzna wskoczyli na grzbiety zwierząt i ruszyli galopem. Większość ludzi marzyła o tym, by móc odejść równie łatwo i szybko, a wielu zastanawiało się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą tych dwoje.

- Chciałbym, żebyśmy mogli jechać dalej - powiedział Jondalar, kiedy zwolnili i Zawodnik kroczył obok Whinney.

- Też bym tego chciała. Ten obóz jest nie do zniesienia. Kiedy tam jestem, ogarnia mnie złość i rozpacz. Jestem nawet zła na S'Armunę, że pozwoliła, by to tak długo trwało, chociaż żal mi jej i widzę jej skrucę. Jondalarze, jak uwolnimy chłopców i mężczyzn?

- Musimy razem z S'Armuną opracować plan. Zdaje się, że większość kobiet pragnie zmiany, i jestem pewien, iż wiele z nich pomoże, jeśli będą wiedziały, co mają robić. S'Armuna na pewno się orientuje, na kogo możemy liczyć.

Wjechali do lasu od strony pola i posuwali się dalej pod jego osłoną. Kierowali się ku rzece, a potem zawrócili do miejsca, gdzie zostawili Wilka. Gdy tylko się zbliżyli, Ayla gwizdnęła cicho i Wilk wypadł, żeby ich powitać, nie posiadając się ze szczęścia. Wilk był w miejscu, w którym Ayla kazała mu czekać, i oboje chwalili go teraz za cierpliwość. Ayla zobaczyła jednak, że wybrał się na polowanie i przyniósł z powrotem swoją zdobycz, a to oznaczało, że co najmniej na chwilę opuścił swoją kryjówkę. Zaniepokoiło ją to, ponieważ byli tak blisko obozu i Wilczyc, ale nie miała serca, żeby go łąać. Umocniło to tylko jej decyzję, by jak najszybciej zabrać go daleko od jedzących wilki kobiet.

Poszli z końmi ku rzece, do zagajnika, w którym schowali swoje rzeczy. Ayla wyjęła jeden z niewielu pozostałych im placuszków podróżnej żywności, przełamała go na dwa kawałki i podała większy Jondalarowi. Siedzieli w zaroślach i pogryzali, zadowoleni, że są daleko od przygnębiającego Obozu S'Armuna. Nagle usłyszeli niski warkot Wilka i włosy stanęły Ayli dęba na głowie.

- Ktoś idzie - szepnął Jondalar, czując przyływ trwogi na ten dźwięk.

Nagle ostrzeżeni, oboje rozejrzeli się uważnie, pewni, że czujniejsze zmysły Wilka wyczuły bliskie niebezpieczeństwo. Ayla ostrożnie rozgarnęła krzaki i spojrzała w kierunku, w którym wskazywał nos Wilka. Zobaczyła dwie zbliżające się kobiety

Jedną z nich była Epadoa. Trąciła ramię Jondalara. Na ich widok kiwnął głową.

- Ty czekaj, nakaz koniom spokój - zasygnalizowała w języku klanu. - Ja schowam Wilka. Pójdę za kobietami, każę im odejść.

- Ja pójdę. - Dał znak Jondalar.

- Kobiety mnie bardziej posłuchają. Jondalar zgodził się niechętnie.

- Będę pilnował tutaj z miotaczem. Ty też weź miotacz. Ayla kiwnęła głową na zgodę.

- I procę.

Cicho i ukradkiem Ayla zatoczyła koło wokół kobiet, wysforowała się przed nie i czekała. Słyszała ich rozmowę, kiedy wolno do niej podchodziły.

- Jestem pewna, że poszli tą drogą, kiedy wczoraj odeszli z obozowiska, Unavo - powiedziała przywódczyni Wilczyc.

- Ale przecież potem przyszedli do naszego obozu. Dlaczego nadal szukamy ich tutaj?

- Może wrócą tą drogą, a nawet jeśli nie, to może dowiemy się czegoś o nich.

- Niektórzy mówią, że oni po odejściu od nas znikają albo zamieniają się w ptaki lub konie - odrzekła młodsza Wilczyca.

- Nie bądź głupia - odparła Epadoa. - Znalazłyśmy przecież miejsce, gdzie obozowali zeszłej nocy. Po co mieliby rozbijać obóz, jeśli potrafia zamienić się w zwierzęta?

Ma rację - pomyślała Ayla. - Przynajmniej umie myśleć i zupełnie nieźle potrafi tropić. Prawdopodobnie jest również dobrym myśliwym. Jaka szkoda, że jest tak związana z Attarą.

Ayla siedziała w kucki za kępą krzewów i poźólką, wysoką trawą i obserwowała zbliżające się kobiety. W momencie, w którym obie patrzyły w ziemię, cicho podniosła się, trzymając w ręku nastawiony miotacz oszczepów. Epadoa podskoczyła ze zdziwienia, a Unavo postąpiła krok do tyłu i pisnęła z przerażenia.

- Mnie szukacie? - spytała Ayla w ich języku. - Tu jestem. Unavo zdawała się gotowa do ucieczki, a nawet Epadoa wyglądała na zdenerwowaną i przestraszoną.

- My., my polowałyśmy - odparła Epadoa.

- Żadnych koni tutaj nie ma, żeby je zagnać w przepaść - powiedziała Ayla.

- Nie polowałyśmy na konie.

- Wiem. Polujecie na Aylę i Jondalara.

Jej nagłe pojawienie się i dziwny sposób wymawiania słów w ich języku spowodowały, że wydawała się bardzo egzotyczna, przybyła z bardzo daleka, może nawet z innego świata. Obie kobiety nie pragnęły teraz niczego bardziej niż odejść jak najdalej od tej kobiety, która zdawała się posiadać nadludzkie przymioty.

- Myślę, że te dwie kobiety powinny wrócić do obozu, bo mogą nie zdążyć na wielką ucztę.

Te słowa doszły z lasu i były wypowiedziane w mamutoi, ale obie rozumiały ten język i rozpoznały głos Jondalara. Spojrzały w kierunku, z którego głos dochodził, i zobaczyły wysokiego mężczyznę, który nonszalancko opierał się o pień dużej, białej brzozy i trzymał w

ręku przygotowany oszczep w miotaczu.

- Tak. Masz rację. Nie chcemy stracić uczty - powiedziała Epadoa. Szturchnęła swoją oniemiałą, młodą towarzyszkę, szybko zawróciły i odeszły.

Jondalar nie mógł powstrzymać szerokiego, pełnego satysfakcji uśmiechu.

Kiedy Ayla z Jondalarem wjechali z powrotem do Obozu S'Armunai, było już późne popołudnie krótkiego zimowego dnia i słońce stało nisko na niebie. Zmienili kryjówkę Wilka i zostawili go nieco bliżej osady, ponieważ wkrótce miała już zapaść ciemność, a w nocy ludzie rzadko wychodzili poza krąg światła ognisk. Ayla jednak nadal martwiła się, że ktoś może go zobaczyć.

S'Armuna właśnie wychodziła z ziemianki, kiedy zeskoczyli z koni na skraju pola, i uśmiechnęła się z ulgą na ich widok. Pomimo złożonej obietnicy bała się, że mogą nie wrócić. W końcu, dlaczego obcy mieliby narażać się na niebezpieczeństwo, żeby pomóc ludziom, których nie znają? Ich własni krewni nie odwiedzali ich od wielu lat, żeby sprawdzić, czy wszystko jest z nimi w porządku. Oczywiście, przyjaciele i krewni nie zostali mile przyjęci podczas ostatnich odwiedzin.

Jondalar zdjął uprząż Zawodnika, żeby go w żaden sposób nie krępowała, i oboje przyjacielsko klepnęli konie w zady, zachęcając je do odejścia od obozu. S'Armuna poszła na spotkanie pary gości.

- Właśnie kończymy przygotowania do jutrzejszej Ceremonii Ognia. Zawsze rozpalamy ogień poprzedniego wieczoru. Chcecie wejść i się rozgrzać?

- Jest zimno - zgodził się Jondalar. Oboje poszli wraz z szamanką w kierunku pieca ceramicznego po drugiej stronie obozu.

- Wymyśliłam sposób na podgrzanie twojej potrawy, Aylo. Powiedziałaś, że jest smaczniejsza na gorąco, i z pewnością masz rację. Wspaniale pachnie. - S'Armuna uśmiechnęła się.

- Jak można podgrzać w koszyku tak gęstą mieszankę?

- Pokażę ci - odpowiedziała S'Armuna i pochyliła się, żeby wejść do przedsionka niskiej budowli. Ayla również weszła, a tuż za nią Jondalar. Chociaż w małym palenisku nie było ognia, wewnątrz było dość ciepło. S'Armuna poszła prosto do otworu prowadzącego do drugiej komory i odstawiła kość łopatkową mamuta, która go zakrywała. Powietrze wewnątrz było gorące, dość gorące, by się w nim dawało gotować - pomyślała Ayla. Spojrzała i zobaczyła, że wewnątrz palił się ogień; a tuż przy wejściu, w pewnej odległości od ogniska, stały jej dwa kosze.

- To rzeczywiście wspaniale pachnie! - powiedział Jondalar.

- Nie masz pojęcia, ilu ludzi pytało, kiedy rozpocznie się uczta - rzekła S'Armuna. - Zapach dochodzi nawet do Zagrody. Ardemun przyszedł mnie zapytać, czy mężczyźni naprawdę też dostaną trochę. Ale to nie jest wszystko. To zadziwiające, ale Attaroa rzeczywiście kazała kobietom przygotować tyle żywności na ucztę, żeby starczyło dla wszystkich. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mieliśmy prawdziwą ucztę... ale też nie było zbyt wiele powodów do świętowania. Zastanawiam się, co uczymy dzisiaj.

- Gości - powiedziała Ayla. - Uczta jest na cześć gości.

- Tak, gości - odparła kobieta. - Pamiętaj, to był jej pretekst, żeby was ściągnąć tu z powrotem. Muszę was ostrzec. Nie pijcie ani nie jedzcie niczego, czego ona wcześniej nie skosztuje. Attaroa zna wiele trujących substancji, które można ukryć w jedzeniu. Jeśli to będzie konieczne, jedzcie tylko to, co sami przynieśliście. Starannie tego pilnowałam.

- Nawet tutaj? - spytał Jondalar.

- Nikt nie odważy się tu wejść bez mojego pozwolenia - powiedziała Ta Która Służy Matce - ale poza tym miejscem bądźcie bardzo ostrożni. Attaroa i Epadoa naradzały się cały dzień. Coś planują.

- Mają też wiele pomocnic, wszystkie Wilczyce. Na czyją pomoc my możemy liczyć? - zapytał Jondalar.

- Niemal wszyscy inni chcą zmiany - odparła S'Armuna.

- Ale kto pomoże?

- Myślę, że możemy liczyć na Cavoę, moją uczennicę.

- Ale ona jest w ciąży - zauważył Jondalar.

- Tym bardziej. Wszystko wskazuje na to, że urodzi chłopca. Będzie walczyć o życie swojego dziecka i swoje własne. Nawet jeśli urodzi dziewczynkę, Attaroa nie pozwoli jej żyć po odstawieniu dziecka od piersi, i Cavoia o tym wie.

- A ta kobieta, która dzisiaj sprzeciwiła się Epadoi? - spytała Ayla.

- To Esadoa, matka Cavoia. Jestem pewna, że można na nią liczyć, ale ona wini mnie na równi z Attaroa za śmierć swojego syna.

- Pamiętam ją z pogrzebu - powiedział Jondalar. - Włożyła coś do grobu i Attaroa się rozgniewała.

- Tak, włożyła kilka narzędzi, żeby coś mieli na następnym świecie. Attaroa zabroniła dawać im cokolwiek, co mogłoby im pomóc w świecie duchów.

- Zdaje się, że się jej sprzeciwiłaś.

S'Armuna wzruszyła ramionami, jak na mało ważną rzecz.

- Powiedziała jej, że jak raz narzędzia zostały dane, nie można ich odebrać. Nawet ona nie odważyła się ich wyjąć z grobu. Jondalar skinął głową.

- Jestem pewien, że mężczyźni z Zagrody pomogliby.

- Oczywiście, ale najpierw musimy ich stamtąd wydostać - odparła S'Armuna. - Strażniczki będą wyjątkowo czujne. Nie sędzę, by ktokolwiek mógł się do nich zakraść. Może za kilka dni. To da nam czas na porozmawianie z kobietami. Jak będziemy wiedzieć, ile z nich nas poprze, możemy opracować plan, jak pokonać Attaroę i Wilczyce. Obawiam się, że będziemy musieli z nimi walczyć. To jest jedyny sposób na wydostanie mężczyzn z Zagrody.

- Chyba masz rację - rzekł ponuro Jondalar.

Ayla ze smutkiem potrząsnęła głową. W tym obozie już było tyle bólu, że niepokoiła ją perspektywa walki, przysporzenia dodatkowych cierpień. Tak chciała, żeby istniał jakiś inny sposób.

- Powiedziałaś, że dałaś Attaroi coś, co uspiło mężczyzn. Czy nie mogłabyś dać czegoś takiego jej i Wilczycom? - spytała.

- Attaroa jest ostrożna. Nie je ani nie pije niczego, co najpierw nie zostanie skosztowane przez kogoś innego. Kiedyś robił to Doban. Teraz wybierze po prostu jakieś inne dziecko - powiedziała S'Armuna, wyglądając na zewnątrz. - Już jest niemal ciemno. Jeśli jesteście gotowi, to myślę, że czas rozpocząć ucztę.

Ayla i Jondalar wzięli kosze z wewnętrznej komory; S'Armuna znowu zamknęła otwór. Na zewnątrz zobaczyli olbrzymie ognisko rozpalone przed ziemianką Attaroi.

- Zastanawiałam się, czy zaprosi was do środka, ale wygląda na to, że mimo zimna uczta będzie na dworze - powiedziała S'Armuna.

Kiedy podeszli z koszami, Attaroa zwróciła się do nich:

- Ponieważ chcieliście, żeby mężczyźni też uczestniczyli, uznałam, że najlepiej będzie jeść tutaj, żebyście mogli ich widzieć. - S'Armuna przetłumaczyła, mimo że Ayla doskonale rozumiała wszystko, a nawet Jondalar na tyle już się nauczył ich języka, by dotarło do niego znaczenie jej słów.

- W ciemności trudno cokolwiek zobaczyć. Pomogłoby, gdybyś rozpałała drugie ognisko po ich stronie - odrzekła Ayla.

Attaroa znieruchomiała na chwilę, potem się roześmiała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Zdawało się, że jest to wystawna uczta z wieloma różnymi potrawami, ale na ogół było to chude mięso, niemal bez tłuszczu, i bardzo mało warzyw, ziaren czy zawierających skrobię korzeni. Nie było w ogóle suszonych owoców ani też odrobiny słodczy, choćby z wewnętrznej kory drzew. Popijano lekko sfermentowanym napojem z soku brzozonego, ale

Ayla postanowiła go nie pić i ucieszyła się na widok kobiety nalewającej tym, którzy tego chcieli, gorącą, ziołową herbatę. Miała już doświadczenie z napojem Taluta i wiedziała, że potrafi zamącić umysł; dzisiaj musiała być w pełni przytomna.

W sumie była to zdaniem Ayli dość uboga uczta, chociaż mieszkańcy obozu by się z nią nie zgodzili. Tego typu żywność zostaje na ogół na koniec sezonu; brakowało różnorodności zapasów, które jeszcze powinny się znajdować w spiżarni w środku zimy. Koło wzniesionej platformy Attaroi, niedaleko ognia, rzucono na ziemię kilka futer dla gości. Reszta ludzi przyniosła swoje własne futra, żeby na nich siedzieć podczas jedzenia.

S'Armuna podprowadziła Aylę i Jondalara do pokrytej futrami platformy Attaroi. Stali tam i czekali, aż przywódczyni usadowi się na swoim miejscu. Była ubrana w futra wilcze i nosiła wiele naszyjników z zębów, kości i muszli wraz z kawałkami futer i piórami. Aylę najbardziej zainteresowała trzymana przez nią laska, która była zrobiona z wyprostowanego ciosu mamuciego.

Attaroa rozkazała, by zaczęto podawać jedzenie, i patrząc znacząco na Aylę, kazała zanieść część potraw do Zagrody dla mężczyzn, w tym również kosz przyniesiony przez Aylę i Jondalara. Potem usiadła na platformie. Wszyscy uznali to za sygnał, że też mogą usiąść. Ayla zwróciła uwagę na fakt, że wzniesione siedzisko przywódczyni dawało jej wyjątkową pozycję. Była wyżej od wszystkich innych, co pozwalało jej patrzeć na nich z góry, Ayli przypominało to sytuacje, kiedy ludzie stawali na powalonych pniach czy też kamieniach, bo chcieli, żeby wszyscy ich usłyszeli, ale to zawsze była tylko doraźna pozycja.

Obserwując postawy i gesty ludzi wokół, Ayla zrozumiała, że Attaroa stworzyła sobie potężną pozycję. Wszyscy zdawali się wyrażać swoją uległość wobec Attaroi, podobnie jak to robiły kobiety klanu, kiedy siedziały w milczeniu przed mężczyzną, czekając, by klepieniem w ramię udzielił im prawa powiedzenia tego, co myślą. Była tu jednak trudna do określenia różnica. W klanie nigdy nie wyczuwała urazy ze strony kobiet ani braku szacunku ze strony mężczyzn. To był po prostu wrodzony sposób bycia, niewymuszony ani narzucony, powodujący, że obie strony zwracały baczną uwagę na siebie, komunikując się przede wszystkim za pomocą znaków i gestów.

Podczas gdy czekali na jedzenie, Ayla próbowała bliżej przyjrzeć się lasce przywódczyni. Była podobna do Laski Mówcy, jakiej w Obozie Lwa używał Talut, ale miała niezwykle rzeźby, zupełnie odmienne od tych na lasce Taluta, a jednak wydawały jej się znajome. Ayla pamiętała, że Talut przynosił Laskę Mówcy przy różnych okazjach włącznie z ceremoniami, lecz używał jej na ogół podczas spotkań czy dyskusji. Laska Mówcy dawała temu, kto ją trzymał, prawo głosu i pozwalała każdemu członkowi obozu na złożenie



oświadczenia czy wypowiedzenie swojego zdania bez obawy, że ktoś mu przerwie. Następna osoba, która miała coś do powiedzenia, prosiła o laskę. W zasadzie tylko człowiek trzymający Laskę Mówcy miał prawo przemawiać, chociaż w Obozie Lwa, szczególnie podczas zaciętych dyskusji czy kłótni, ludzie nie zawsze czekali na swoją kolej. Talut jednak był na ogół w stanie przekonać ludzi, by podporządkowali się zasadzie, i każdy, kto chciał, miał szansę powiedzieć swoje zdanie.

- To bardzo niezwykła i piękna Laska Mówcy - powiedziała Ayla. - Mogę obejrzyć?

Attaroa uśmiechnęła się, kiedy S'Armuna przetłumaczyła te słowa. Podsunęła laskę bliżej Ayli i światła, ale jej nie podała. Wkrótce stało się jasne, że w ogóle nie zamierza jej puszczać, i Ayla zrozumiała, że przywódczyni używa Laski Mówcy, by przydać sobie władzy. Jak długo Attaroa ją trzymała, każdy, kto chciał mówić, musiał ją prosić o pozwolenie. Bez jej zgody nie można było zrobić czegokolwiek - na przykład podawać jedzenia czy też zacząć jeść. Ayla zdała sobie sprawę z tego, że podobnie jak w przypadku podwyższenia Attaroa dzięki lasce panowała nad ludźmi. Dało jej to wiele do myślenia.

Sama laska była niezwykła. Wyraźnie nie była nowa. Mamuci kiel miał kremową barwę, a szary uchwyt połyskiwał od nagromadzonego brudu i tłuszczu wielu rąk, które ją trzymały. Używało jej wiele pokoleń.

Geometryczny wzór wyrzeźbiony na wyprostowanym ciosie symbolizował Wielką Matkę Ziemię - koncentryczne owale imitowały kształt obfitych piersi, okrągłego brzucha i potężnych ud. Koło było symbolem wszystkiego, całości światów znanych i nieznanymi, oraz Wielkiej Matki Wszystkich. Koncentryczne koła, a szczególnie ułożone tak, by dać wrażenie atrybutów kobiecości i macierzyństwa, wzmacniały tę symbolikę.

Głowę tworzył odwrócony trójkąt, którego kąt stanowił podbródek, a podstawa, lekko wygięta, szczyt głowy. Skierowanego w dół trójkąta używano powszechnie jako symbolu Kobiety; był to zewnętrzny kształt organów rodnych, a więc symbol macierzyństwa i Wielkiej Matki Wszystkich. W miejscu twarzy wryto szereg horyzontalnych, podwójnych pasm, połączonych po bokach wciętymi liniami biegnącymi od podbródka do wysokości oczu. Szerszą przestrzeń między najwyższą z podwójnych, horyzontalnych lin a półokrągłymi liniami pod lekko wygiętym szczytem wypełniono trzema grupami podwójnych nacięć, łączących się na wysokości, na której normalnie byłyby oczy. Nie była to jednak twarz. Gdyby odwrócony trójkąt nie znajdował się na miejscu głowy, nie można by się nawet domyślić w wy-rzeźbionych znakach jakiegoś oblicza. Zwykły człowiek nie mógł znieść widoku wzbudzającego nabożną grozę oblicza Wielkiej Matki. Jej potęga była tak wielka, że sama już postać przytłaczała. Abstrakcyjne, symboliczne przedstawienie na Lasce Mówcy Attaroi w

subtelny sposób sugerowało tę moc.

Ayla nauczyła się od Mamuta głębszego znaczenia niektórych symboli. Trzy boki trójkąta - trójka była podstawową liczbą Matki - reprezentowały trzy główne pory roku: wiosnę, lato i zimę, choć wyróżniano również jeszcze dwie dodatkowe pomniejsze pory: jesień i pełnię zimy, czyli razem pięć. Ayla wiedziała, że piątka była jej tajną liczbą mocy, jednak symbolikę odwróconych trójkątów rozumieli wszyscy. Wspomniała trójkątne kształty ptaka-kobiety - przedstawienie przemiany Matki w ptaka - które rzeźbił Ranec... Ranec... Ayla nagle uświadomiła sobie, gdzie już wcześniej widziała figurę z Laski Mówcy Attaroi. Koszula Raneca! Piękna, kremowobiała, skórzana koszula, którą miał na sobie podczas uroczystości adopcyjnej. Rzuciła się w oczy częściowo ze względu na jej niezwykle fason, obcisła przy tułowiu i z szerokimi, kloszowymi rękawami, częściowo ze względu na to, że jej kolor podkreślał brąz jego skóry, ale przede wszystkim ze względu na jej dekorację. Jaskrawo pofarbowany-mi kolcami kolczatki i nitkami ze ścięgien wyhaftowano na niej abstrakcyjną figurę Matki, niemal dokładną kopię rzeźby na lasce trzymanej przez Attarowę. Były tam te same koncentryczne koła, ta sama trójkątna głowa; S'Armunai muszą być odległymi krewnymi Mamutoi, od których Ranec kupił swoją koszulę. Gdyby poszli północną trasą, jak radził im Talut, natknęliby się pewnie na ten obóz.

Kiedy odchodzili, syn Nezzie, Danug, młodzieniec, który wyrastał na obraz i podobieństwo Taluta, powiedział jej, że któregoś dnia wybierze się w podróż do Zelandonii, żeby odwiedzić ją i Jondalara. A gdyby Danug rzeczywiście za kilka lat zdecydował się na taką podróż i poszedł tą drogą? Danug albo jakikolwiek inny Mamutoi mógł zostać złapany przez obóz Attaroi i zginąć. Ta myśl wzmocniła jej twarde postanowienie, by pomóc tym ludziom i odebrać Attaroi władzę.

Przywódczyni odsunęła laskę, której Ayla się przyglądała, odwróciła się do niej z drewnianą miską w rękach i zaczęła mówić z ironią w głosie:

- Skoro jesteś naszym honorowym gościem i przyniosłaś wkład do tej uczyty, który już zbiera tak wiele komplementów, pozwól mi poczęstować cię naszą specjalnością. - Miska była pełna grzybów, ale ponieważ były pokrojone i ugotowane, nie dawały się rozpoznać.

S'Armuna przetłumaczyła i dorzuciła ostrzeżenie:

- Uważaj.

Ayla nie potrzebowała jednak ani tłumaczenia, ani przestrogi.

- Nie mam w tej chwili ochoty na grzyby.

Attaroa roześmiała się, jak gdyby oczekiwała takiej odpowiedzi.

- Szkoda - powiedziała, zanurzyła dłoń w misce i wyciągnęła pełną garść. Przełknęła i

powiedziała: - Są przepyszne! - Zjadła jeszcze kilka garści i ze znaczącym uśmiechem podała miskę Epadoi, po czym wypła kubek sfermentowanego napoju brzozowego.

Wypiła jeszcze wiele kubków i efekty zaczynały być widoczne; mówiła coraz głośniej i obraźliwiej. Jedna z Wilczyc, którą zostawiono na straży Zagrody - strażniczki zmieniały się, żeby wszyscy mogli uczestniczyć w uczcie - podeszła do Epadoi, która z kolei wyszeptała coś do Attaroi.

- Wygląda na to, że Ardemun chce tu przyjść i przynieść podziękowania od mężczyzn za ucztę - rzekła Attaroa i urągliwie się roześmiała. - Z pewnością nie są to podziękowania dla mnie, lecz dla naszego najszanowniejszego gościa. - Zwróciła się do Epadoi: - Przyprowadź tu tego starucha.

Strażniczka zawróciła i wkrótce Ardemun kuśtykał od drewnianej bramy w palisadzie w kierunku ognia. Jondalar zdziwił się własną radością na jego widok i zdał sobie sprawę, że od czasu opuszczenia Zagrody nie widział żadnego mężczyzny. Chciał wiedzieć, jak sobie tam radzą.

- A więc mężczyźni chcą mi podziękować za ucztę? - odezwała się przywódczyni.

- Tak, S'Attaroa. Poprosili mnie, żebym przyszedł i ci to powiedział.

- Powiedz mi, staruchu, dlaczego trudno mi w to uwierzyć? Ardemun wołał nie odpowiadać. Stał po prostu i patrzył w ziemię.

- Nic niewart! Ani cienia chęci do walki. - Attaroa splunęła z obrzydzeniem. - Wszyscy są tacy. Nic niewarci. - Zwróciła się do Ayli: - Dlaczego trzymasz się tego mężczyzny - powiedziała, wskazując na Jondalara. - Nie jesteś dość silna, żeby się od niego uwolnić?

Ayla poczekała, aż S'Armuna przetłumaczyła te słowa, co dało jej czas do namysłu.

- Jestem z nim z własnego wyboru. Wystarczająco długo żyłam sama.

- Jaką korzyść będziesz miała z niego, kiedy stanie się słaby i chwiejny jak Ardemun?

- powiedziała Attaroa, rzucając pogardliwe spojrzenie na starca. - Kiedy jego narząd stanie się zbyt wiotki, by dać ci przyjemność, będzie tak samo nic niewart jak cała reszta.

Ayla znowu poczekała na przekład, chociaż zrozumiała przywódczynię.

- Nikt nie pozostaje na zawsze młody. Mężczyzna to coś więcej niż jego narząd.

- Powinnaś się jednak pozbyć tego tutaj. On już długo nie pociągnie. - Wskazała ręką na wysokiego mężczyznę o jasnych włosach. - Wygląda, jakby był silny, ale to tylko pozory. Nie miał siły, żeby wziąć Attaroe, a może po prostu bał się. - Roześmiała się i napiła jeszcze trochę. Potem zwróciła się do Jondalara: - To o to chodziło! Przyznaj, że się mnie boisz. Dlatego nie mogłeś mnie wziąć.

Jondalar również ją zrozumiał i rozgniewał się.

- Jest różnica między strachem a brakiem pożądania, Attaroa. Nie możesz wymusić pożądania. Nie dzieliłem z tobą Daru Matki, bo nie chciałem ciebie.

S'Armuna zerknęła na Ardemuna i skuliła się ze strachu, zanim zaczęła tłumaczyć, niemal zmuszając się do zachowania tego samego doboru słów.

- To kłamstwo! - krzyknęła doprowadzona do wściekłości Attaroa. Stała, chwiejąc się na nogach. - Bałeś się mnie, Zelandonii. Widziałam to. Walczyłam już z mężczyznami, a ty bałeś się nawet walki ze mną.

Jondalar również podniósł się, a wraz z nim Ayla. Otoczyło ich ciasno wiele kobiet.

- Ci ludzie są naszymi gośćmi - ostrzegła S'Armuna, podnosząc się na nogi. - Zostali zaproszeni na ucztę. Czy zapomnieliśmy już, jak traktuje się gości?

- Ach tak, oczywiście. Nasi goście - powiedziała Attaroa z szyderstwem. - Musimy być uprzejmi i gościnni, bo ta kobieta źle sobie o nas pomyśli. Pokażę ci, ile mnie obchodzi jej opinia. Oboje odeszłicie stąd bez mojego pozwolenia. Czy wiecie, co robimy ludziom, którzy próbują stąd uciec? Zabijamy ich! Tak jak ja zabiję ciebie - skrzecząc, przywódczyni rzuciła się na Aylę z zaostrzoną kością strzałkową konia w ręce - niebezpiecznym sztyletem.

Jondalar próbował zagrozić jej drogę, ale otoczyły go Wilczyce i tak mocno wetknęły groty oszczepów w jego piersi, brzuch i plecy, że przebiły skórę w wielu miejscach i utoczyły krwi. Zanim zorientował się, co się dzieje, miał związane z tyłu ręce, a Attaroa przewróciła Aylę, usiadła na niej okrakiem i podniosła sztylet do jej gardła, nie wykazując teraz śladu nietrzeźwości.

Jondalar zrozumiał, że planowała to od samego początku. Podczas kiedy oni rozmawiali, starali się wymyślić sposoby na osłabienie władzy Attaroi, ona planowała, jak ich zabić. Powinien był wiedzieć. Przysiągł sobie, że ochroni Aylę. Zamiast tego patrzył bezradnie, pełen strachu, podczas gdy kobieta, którą kochał, starała się zrzucić z siebie napastnika. Dlatego wszyscy bali się Attaroi. Zabijała bez wahania i bez wyrzutów sumienia. Ayla została całkowicie zaskoczona. Nie miała czasu sięgnąć po nóż czy procę, czy cokolwiek, a nie miała doświadczenia w walce wręcz z ludźmi. W całym swoim życiu nigdy z nikim nie walczyła. Ale Attaroa siedziała na niej z ostrym sztyletem w ręku i próbowała ją zabić. Ayla chwyciła przegub dłoni przywódczyni i starała się odepchnąć jej rękę. Ayla była silna, ale Attaroa była zarówno silna, jak i przebiegła, i pchała w dół, mimo oporu Ayli, zbliżając ostry czubek do jej gardła. W ostatnim momencie Ayla instynktownie przetoczyła się w bok, ale sztylet zadrasnął jej kark i zostawił czerwoną szramę, zanim wbił się w ziemię. Ayla była jednak nadal unieruchomiona przez kobietę, której szaleństwo dodawało siły.

Attaroa wyrwała sztylet z ziemi, uderzyła Aylę, ogłuszając ją, znowu na niej usiadła okrakiem i zamachnęła się, by znowu wbić sztylet.

Jondalar zamknął oczy. Nie mógł patrzeć na ostatnią chwilę w życiu Ayli. Jego własne życie nie będzie miało sensu, skoro jej zabraknie... No to dlaczego stoi tutaj, obawiając się oszczepów, kiedy wszystko mu jedno, czy będzie żył, czy umrze? Ręce ma związane, ale nogi nie. Mógłby tam podbiec i może uda mu się odepchnąć Attaroę.

W momencie, w którym postanowił nie zważać na oszczepy i spróbować pomóc Ayli, usłyszał zamieszanie przy bramie Zagrody. Hałas z Zagrody odwrócił uwagę jego strażniczek. Nieoczekiwanie rzucił się do przodu, odepchnął ich oszczepy i pobiegł w kierunku dwóch walczących kobiet.

Nagle szara smuga przemknęła koło patrzących ludzi, otarła się o jego nogę i skoczyła na Attaroę. Siła ataku pchnęła ją do tyłu, a ostre zęby zacisnęły się na jej gardle, rozdierając skórę. Przywódczyni leżała teraz na ziemi na plecach i starała się zwalczyć furię składającą się z ostrych zębów i futra. Udało jej się wbić raz sztylet w ciężkie, pokryte gęstą sierścią ciało, zanim wypadł jej z rąk, ale wywołało to tylko groźny warkot i mocniejszy uchwyt potężnych szczęk, które się zaciskały, odcinając jej dopływ powietrza. Attaroe próbowała krzyknąć, kiedy poczuła zamykającą się nad nią ciemność, ale w tym momencie ostry kiel przeciął arterię i dźwięk, który wydała, był koszmarnym bulgotem duszenia się. Wysoka, przystojna kobieta przestała walczyć. Nadal warcząc, Wilk potrzęsął zwiotczałym ciałem, żeby się upewnić, czy nie ma w nim więcej oporu.

- Wilk! - krzyknęła Ayla, przezwyciężając szok i siadając. - Och, Wilk.

Kiedy Wilk puścił Attaroę, krew trysnęła z przeciętej arterii i opryskała go. Podpełzł do Ayli z ogonem między łapami, skomląc przepraszająco i prosząc o jej aprobatę. Kazała mu zostać w kryjówce i wiedział, że postąpił wbrew jej życzeniom. Kiedy zobaczył atak i zrozumiał, że grozi jej niebezpieczeństwo, skoczył jej bronić, ale teraz nie był pewien, jak to nieposłuszeństwo zostanie ocenione. Najbardziej ze wszystkiego nie lubił, kiedy była na niego zła.

Ayla wyciągnęła do niego ramiona. Szybko zrozumiał, że zachował się właściwie i jego nieposłuszeństwo zostało przebaczone. Z radością rzucił się na nią. Objęła go i ukryła twarz w jego sierści, a z oczu płynęły jej łzy ulgi.

- Wilk, uratowałeś mi życie - łkała. Lizał ją, plamiąc jej twarz krwią Attaroi, którą nadal miał na pysku.

Ludzie obozu cofnęli się przed tą sceną, patrząc z niedowierzaniem i grozą na kobietę

z olbrzymim wilkiem w ramionach, który właśnie we wściekłym ataku zabił inną kobietę. Nazywała zwierzę słowem w mamutoi, które oznaczało wilka, ale było podobne do ich własnej nazwy na tego mięsożernego myśliwego. Wiedzieli również, że mówiła do niego tak, jakby mógł ją rozumieć, tak samo jak przemawiała do koni. Nic dziwnego, że ta obca kobieta nie bała się Attaroi. Jej magia była tak potężna, że nie tylko kierowała końmi według swojej woli, ale rozkazywała także wilkom! Również mężczyzna nie okazywał strachu. Zobaczyli, jak upadł na klęczki koło kobiety i wilka. Nie zwrócił nawet uwagi na oszczepy Wilczyc, które też postąpiły kilka kroków do tyłu i stały z otwartymi ustami. Nagle dostrzegli za Jondalarem mężczyznę trzymającego w ręku nóż! Skąd wziął nóż?

- Pozwól mi przeciąć te więzy, Jondalarze - powiedział Ebu-lan, przykładając nóż do rzemieni.

Jondalar obejrzał się i poczuł, że ręce ma wolne. Inni mężczyźni zmieszali się z tłumem i coraz ich więcej nadchodziło od strony Zagrody. - Kto was wypuścił?

- Ty - odparł Ebulan.

- Jak to? Ja byłem związany.

- Ale ty dałeś nam noże... i odwagę, żeby spróbować. Arde-mun zakradł się za plecy strażniczki przy bramie i uderzył ją laską. Potem przecięliśmy powrozy zamykające bramę. Wszyscy patrzyli na walkę, a potem przybiegł wilk... - Głos mu zamarł i potrząsając głową, przyglądał się kobiecie z wilkiem.

Jondalar nie zauważył, że mężczyzna był zbyt wstrząśnięty, by mówić dalej. Ważniejsze było coś innego.

- Czy nic ci się nie stało, Aylo? Nie zraniła cię? - zapytał i objął jednocześnie kobietę i wilka. Zwierzę zaczęło lizać jego z kolei.

- Małe zadrapanie na karku. Nic poważnego - odpowiedziała, mocno trzymając mężczyznę i podnieconego wilka - i Wilk jest chyba ranny, ale zdaje się, że niezbyt poważnie.

- Nigdy bym ci nie pozwolił na powrót tutaj, gdybym przypuszczał, że spróbuje cię zabić na uczcie. Ale powinienem był wiedzieć. Było głupotą z mojej strony nie docenić niebezpieczeństwa - mówił, mocno ją przytulając.

- Nie, to nie była głupota. Mnie też do głowy nie przyszło, że spróbuje mnie zaatakować, i nie umiałam się bronić. Gdyby nie Wilk... - Oboje spojrzeli z wdzięcznością na zwierzę.

- Muszę przyznać, że czasami podczas tej podróży chciałem zostawić Wilka. Zdawało mi się, że jest dodatkowym obciążeniem i utrudnia nam podróż. Byłem taki zły, kiedy odkryłem, że posłaś go szukać po przeprawie przez Siostrę. Rozgniewała mnie myśl, że

narażałaś własne życie dla tego zwierzęcia.

Jondalar ujął łeb wilka obiema rękami i spojrzał mu prosto w ślepie.

- Wilk, przysięgam, że nigdy cię nie porzucę. Będę ryzykował własne życie w twojej obronie, cudowna, wspaniała bestio -powiedział, targając go za futro i drapiąc za uszami.

Wilk polizał Jondalara i delikatnie ujął w zęby jego odsłoniętą szyję i dolną szczękę, w ten sposób okazując swoje uczucia. Wilk był przywiązany do Jondalara niemal równie silnie jak do Ayli i pełnymi zadowolenia pomrukami odpowiadał na pieszczoty i pochwały.

Ci jednak, którzy przyglądali się tej scenie, wyrażali podziw i grozę na widok mężczyzny, który pozwolił zwierzęciu uchwycić tak wrażliwą część swojego ciała. Dopiero co widzieli tego samego wilka, jak potężnymi szczękami ścisnął gardło Attaroi i zabił ją. Czyn Jondalara objawiał im się jako magia, niewyobrażalne panowanie nad duchami zwierząt.

Ayla i Jondalar podnieśli się i stanęli po bokach wilka, a ludzie patrzyli z trwogą, niepewni, czego mogą się spodziewać. Wielu spojrzało na S'Armunę. Postąpiła krok w stronę gości, niespokojnie zerkając na wilka.

- Wreszcie jesteśmy od niej uwolnieni - powiedziała. Ayla uśmiechnęła się; widziała niepokój szamanki.

- Wilk nie robi ci krzywdy. Zaatakował tylko, żeby mnie bronić.

S'Armuna zwróciła uwagę, że Ayla nie przetłumaczyła nazwy zwierzęcia na zelandonii, i uznała, że jest to jego imię.

- Właściwe jest, że wilk zakończył jej życie. Wiedziałałam, że jest powód, dla którego przyszliście tutaj. Co jednak zrobimy teraz? - Zadała to pytanie bardziej sobie niż pozostałym.

Ayla spojrzała na nieruchome ciało kobiety, która zaledwie kilka chwil przedtem była tak pełna zła, ale również pełna życia, i uświadomiła sobie, jak kruchą rzeczą jest wszelkie istnienie. Gdyby nie Wilk, to ona mogła tu leżeć martwa. Zadrzała na tę myśl.

- Sądzę, że ktoś powinien zabrać przywódczynię i przygotować ją do pogrzebu. - Mówiła w mamutoi, żeby ludzie zrozumieli bez potrzeby tłumaczenia.

- A zasługuje na pogrzeb? Dlaczego nie rzucić jej ciała padlinożercom? - To był męski głos.

- Kto mówi? - spytała Ayla.

Jondalar znał mężczyznę, który po pewnym wahaniu wystąpił do przodu.

- Nazywam się Olamun. Ayla skinęła mu głową.

- Masz prawo do oburzenia, Olamunie, ale Attaroa została doprowadzona do przemocy przez przemoc jej uczynioną. Zło jej ducha chce ciągnąć to dalej, zostawić po sobie



dziedzictwo przemocy. Odrzućcie to dziedzictwo. Nie pozwól, by twoje słuszne oburzenie zaprowadziło cię do pułapki, którą zastawił jej niespokojny duch. Pora przerwać łańcuch przemocy. Attaroa była człowiekiem. Pochowajcie ją z godnością, jakiej nie umiała znaleźć za życia, i złożcie na spoczynek jej ducha.

Jondalara zdziwiła jej reakcja. To była odpowiedź, jaką mogła dać Zelandoni, mądra i opanowana.

Olamun kiwnął głową na zgodę.

- Ale kto ją pochowa? Kto ją przygotuje? Nie ma krewnych.

- To jest obowiązek Tej Która Służy Matce - odezwała się S'Armuna.

- Może przy pomocy jej popleczniczek, które podążały za nią w tym życiu - zaproponowała Ayla. Ciało było zbyt ciężkie dla jednej, starszej już kobiety.

Wszyscy spojrzeli na Epadoę i Wilczyce. Stały zbite w gromadkę, jakby czerpiąc siłę z wzajemnej bliskości.

- I potem niech podążą za nią na następny świat - powiedział inny męski głos. Z tłumy odezwały się okrzyki aprobaty i ciżba podsunęła się w kierunku myśliwych. Epadoa nie cofnęła się i wymachiwała oszczepem.

Nagle jedna z młodych Wilczyc odsunęła się od reszty.

- Nigdy nie prosiłam, żeby zostać Wilczycą. Chciałam się tylko nauczyć polować, żeby nie chodzić głodna.

Epadoa spojrzała na nią groźnie, ale młoda kobieta odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

- Niech Epadoa się dowie, co to znaczy głód - odezwał się ten sam męski głos. - Niech chodzi bez jedzenia, aż dojdzie do następnego świata. Wtedy jej duch też będzie głodny.

Na widok zbliżającego się do myśliwych i do Ayli tłumy Wilk ostrzegawczo zawarczał. Jondalar szybko przyklęknął, żeby go uspokoi, ale ludzie już się cofali. Z pewnym strachem patrzyli na kobietę ze zwierzęciem.

Ayla tym razem nie spytała, kto mówił.

- Duch Attaroi nadal przechadza się wśród nas i namawia do przemocy i zemsty.

- Ale Epadoa musi zapłacić za zło, które uczyniła. - Ayla zobaczyła, że matka Cavoï wystąpiła do przodu. Jej młoda, ciężarna córka stała tuż za nią, dając jej moralne poparcie.

Jondalar podniósł się i stanął obok Ayli. Nie mógł powstrzymać myśli, że ta kobieta ma prawo do zemsty za śmierć syna. Spojrzał na S'Armunę. Uważał, że odpowiedzi na to powinna udzielić Ta Która Służy Matce, ale ona także czekała na słowa Ayli.

- Kobieta, która zabiła twojego syna, jest już na następnym świecie - powiedziała

Ayla. - Epadoa powinna zapłacić za zło, które sama wyrządziła.

- Ma za co płacić. A co z okaleczeniem tych chłopców? -To powiedział Ebulan. Odsunął się na bok, żeby Ayla zobaczyła dwóch chłopców, opierających się o przeraźliwie chudego starca.

Aylę zaskoczył widok tego człowieka; przez moment zdawało jej się, że patrzy na Creba! Był wysoki i chudy, podczas gdy święty mąż klanu był niski i przysadzisty, ale pobrużdżona twarz i ciemne oczy miały ten sam wyraz współczucia i godności, i było oczywiste, że jest obdarzany takim samym szacunkiem. Pierwszym odruchem Ayli było okazanie mu szacunku na sposób klanu: chciała usiąść u jego stóp i czekać na pozwolenie zabrania głosu, ale wiedziała, że to może spowodować nieporozumienie. Postanowiła więc okazać mu szacunek przez zachowanie formalnej uprzejmości. Zwróciła się do Jondalara:

- Nie mogę we właściwy sposób przemówić do tego człowieka bez odpowiedniej prezentacji.

Szybko zrozumiał, o co jej chodzi. Sam też odczuwał podziw dla tego mężczyzny. Postąpił do przodu i podprowadził Aylę.

- S'Amodunie, najbardziej szanowany spośród S'Armunai, chciałbym przedstawić Aylę z Obozu Lwa Mamutoi, córkę Ogniska Mamuta, wybraną przez ducha Lwa Jaskiniowego i chronioną przez Jaskiniowego Niedźwiedzia.

Ayla była zdziwiona, że Jondalar dodał ostatnie słowa. Nikt nie określał Niedźwiedzia Jaskiniowego jako jej opiekuna, ale jak się zastanowiła, doszła do wniosku, że to może być prawda, przynajmniej poprzez Creba. Jaskiniowy Niedźwiedź wybrał go -był totemem Mogura - a Creb tak często występował w jej snach, że była pewna, iż ją prowadzi i ochrania, może przy pomocy Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego całego klanu.

- S'Amodun wita Córkę Ogniska Mamuta - powiedział starzec, wyciągając obie ręce. Nie on jeden uznał jej powiązanie z Ogniskiem Mamuta za najważniejsze. Większość ludzi rozumiała wagę Ogniska Mamuta wśród Mamutoi; stawiało ją to na równi z S'Armuną, Tą Która Służy Matce.

Ognisko Mamuta, oczywiście - pomyślała S'Armuna. - To wiele wyjaśniało. Ale gdzie jest jej tatuaż? Ci, którzy zostawali zaakceptowani do Ogniska Mamuta, byli oznaczani tatuażem.

- Jestem szczęśliwa, że witasz mnie, najszacowniejszy S'Amo-dunie - powiedziała Ayla w sarmunai. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Wiele się już nauczyłaś z naszego języka, ale właśnie dwa razy powtórzyłaś to samo. Na imię mi Amodun. S'Amodun znaczy "najszacowniejszy Amodun", "wielce szanowany"

czy też jakiegokolwiek inne określenie na kogoś szczególnie wyróżnionego. To jest tytuł nadawany wolą obozu. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem.

Ayla wiedziała czym.

- Dziękuję ci, S'Amodunie - powiedziała, z wdzięcznością pochylając głowę. Z bliska jeszcze bardziej przypominał Creba, ze swoimi ciemnymi, błyszczącymi oczyma, wystającym nosem, ciężkimi brwiami i wyrazistymi rysami twarzy. Musiała przewyciężyć wyuczony w klanie zachowanie - kobietom nie wolno było patrzeć w twarz mężczyzny - żeby podnieść wzrok i mówić do niego. - Chciałabym zadać pytanie - powiedziała w mamutoi.

- Odpowiem, jeśli będę umiał.

Spojrzała na dwóch chłopców, którzy stali u jego boku.

- Ludzie tego obozu chcą, żeby Epadoa zapłaciła za dokonane zło. Szczególnie ci chłopcy bardzo ucierpieli z jej rąk. Jutro zobaczę, czy uda mi się im w jakikolwiek sposób pomóc, ale jaka kara powinna spotkać Epadoę, żeby zapłaciła za wykonywanie rozkazów swojej przywódczyni?

Mimowolnie ludzie spojrzeli na ciało Attaroi, nadal rozciągnięte na ziemi w miejscu, w którym zostawił je Wilk; potem przenieśli wzrok na Epadoę. Stała wyprostowana i ze stoickim spokojem oczekiwała kary. W głębi serca zawsze wiedziała, że któregoś dnia będzie musiała zapłacić.

Jondalar spojrział z podziwem na Aylę. Zrobiła dokładnie to, co było najwłaściwsze. Mimo podszytego strachem szacunku, jaki zdołała wzbudzić, jej słowa, słowa obcego człowieka, nie zostałyby zaakceptowane w ten sam sposób jak słowa S'Amoduna.

- Uważam, że Epadoa powinna zapłacić za wyrządzone zło - rzekł starzec. Wielu ludzi kiwnęło głowami z satysfakcją, szczególnie Cavoia i jej matka - ale na tym świecie, nie na następnym. Miałaś rację, że trzeba przerwać łańcuch. Zbyt dużo już w tym obozie było przemocy i zła. W ostatnich latach wielce ucierpieli mężczyźni, ale oni pierwsi zaczęli wyrządzać krzywdę kobietom. Pora to zakończyć.

- Jaka więc będzie jej zapłata? - spytała matka w żałobie. - Jaka będzie kara dla Epadoi?

- Nie kara, Esadoa. Zadośćuczynienie. Powinna oddać tyle, ile zabrała, i jeszcze więcej. Może zacząć od Dobana. Niezależnie od tego, co potrafi dla niego zrobić Córka Ogniska Mamuta, mało jest prawdopodobne, że kiedykolwiek w pełni wyzdrowieje. Przez resztę swego życia będzie odczuwał skutki tego okaleczenia. Odevan też będzie cierpiał, ale on ma matkę, krewnych.

Doban nie ma matki ani żadnego krewnego, który by się nim zajął, nikogo, kto by

wziął na siebie odpowiedzialność za niego i dopilnował, by nauczył się jakiegoś rzemiosła. Uważam, że Epadoa powinna być za niego odpowiedzialna, jak gdyby była jego matką. Może go nigdy nie pokocha, a on może jej nienawidzić, ale i tak ona powinna być za niego odpowiedzialna.

Ludzie kiwali głowami na znak zgody. Nie wszyscy się zgadzali, ale ktoś musiał zająć się Dobanem. Chociaż wszystkim było go żal za przeżyty ból, nie był zbyt lubiany, kiedy mieszkał z Attarą, i nikt nie chciał przyjąć go do siebie. Większość ludzi obawiała się, że jeśli zgłoszą zastrzeżenia do pomysłu S'Amoduna, mogą zostać poproszeni o przyjęcie go do swojej ziemianki.

Ayla uśmiechnęła się. Uznała to rozwiązanie za idealne. Chociaż z początku pewnie będzie między nimi nienawiść i nieufność, z czasem stosunki mogą się ocieplić. Wiedziała, że S'A-modun jest mądry. Zadośćuczynienie wydawało jej się znacznie lepsze niż kara. Nasunął jej się pewien pomysł.

- Chciałabym coś zaproponować - odezwała się. - Ten obóz nie jest zbyt dobrze zaopatrzony na zimę i wiosną wszyscy mogą głodować. Mężczyźni są osłabieni i przez kilka lat nie polowali. Wielu z nich straciło sprawność. Epadoa i kobiety, które nauczyła, są najlepszymi myśliwymi w obozie. Myślę, że mądrze będzie pozwolić im dalej polować, ale muszą dzielić się zdobyczą ze wszystkimi.

Ludzie przytakiwali. Nikogo nie pociągała myśl o głodowaniu.

- Gdy tylko mężczyźni będą w stanie i zechcą polować, Epadoa powinna im pomóc i polować razem z nimi. Jedynym sposobem uniknięcia głodu na wiosnę jest wspólna praca mężczyzn i kobiet. Każdy obóz potrzebuje wkładu jednych i drugich. Pozostałe kobiety i starsi lub słabsi mężczyźni powinni zbierać żywność, jaką można znaleźć.

- Jest zima! Niczego teraz nie da się zebrać - powiedziała jedna z młodych Wilczyc.

- To prawda, że zimą nie ma zbyt wiele, a zebranie tego, co jest, wymaga wysiłku, ale można znaleźć trochę żywności, a wszystko się przyda - odparła Ayla.

- Ayla ma rację - odezwał się Jondalar. - Jadłem żywność, jaką znajdowała również zimą. Wy też dziś ją jedliście. Zebrała orzeszki z pini koło rzeki.

- Te porosty, które lubią renifery, są jadalne - zauważyła jedna z starszych kobiet - jeśli się je właściwie ugotuje.

- I niektóre rodzaje pszenicy, prosa oraz innych traw jeszcze mają kłosa - dodała Esadoa. - Można je zebrać.

- Tak, ale uważajcie na kłosa żyta. Mogą w nich siedzieć szkodliwe pasożyty, czasem śmiertelnie trujące. Jeśli brzydsko wyglądają i pachną, to pewnie są pełne sporyszu i nie

można ich jeść - doradzała Ayla. - Jadalne jagody i owoce czasami są na krzakach nawet w zimie. Znalazłam niedaleko drzewo z kilkoma jabłkami. Można także jeść wewnętrzną korę większości drzew.

- Będą nam potrzebne noże, żeby się do niej dostać - powiedziała Esadoa. - Te, które mamy, nie są zbyt dobre.

- Zrobię wam noże - zaofiarował Jondalar.

- Nauczysz mnie robić noże, Zelandon? - nagle zapytał Doban.

Pytanie ucieszyło Jondalara.

- Tak, pokażę ci, jak robić noże i inne narzędzia.

- Też chciałbym się więcej o tym nauczyć - wtrącił Ebulan. -Będzie nam potrzebna broń na polowanie.

- Pokażę wszystkim, którzy zechcą, a przynajmniej pokażę podstawy. Naprawdę dobre rzemiosło wymaga wielu lat praktyki. Może następnego lata znajdziecie kogoś, kto wam pokaże więcej, jeśli pójdziecie na Letnie Spotkanie S'Armunai - powiedział Jondalar.

Uśmiech na twarzy chłopca zamienił się w grymas; wiedział, że wysoki mężczyzna nie zostanie z nimi.

- Pomogę, w czym tylko będę mógł - ciągnął Jondalar. -Musieliśmy robić wiele broni myśliwskiej w czasie tej podróży.

- A co z... patykiem, który rzuca oszczepy... jak ten, którego ona użyła, żeby cię uwolnić? - Te słowa wymówiła Epadoa i wszyscy spojrzeli na nią w osłupieniu. Przywódczyni Wilczyc jak dotąd milczała, ale jej słowa przypomniały wszystkim o dalekim i celnym rzucie, którym Ayla uwolniła Jondalara. Wydawało się to czymś tak cudownym, że większości ludzi nie przyszło do głowy, iż jest to coś, czego można się nauczyć.

- Miotacz oszczepów? Tak, pokażę wszystkim, jak go używać.

- Także kobietom? - spytała Epadoa.

- Także kobietom - odparł Jondalar. - Kiedy nauczycie się, jak używać dobrej broni myśliwskiej, nie będziecie musieli chodzić nad Wielką Matkę Rzekę i zapędzać koni do przepaści. Tuż pod bokiem macie jedno z najlepszych miejsc do polowania, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Zgadza się, mamy - rzekł Ebulan. - Pamiętam, jak tu polowano na mamuty. Kiedy byłem chłopcem, wystawiano czujkę i zapalano ogień sygnalizacyjny, gdy coś wypatrzone.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Jondalar. Ayla uśmiechała się.

- Myślę, że łańcuch jest przerwany. Nie słyszę już ducha Attaroi. - Pogłaskała Wilka. Potem zwróciła się do przywódczyni Wilczyc: - Epadoa, kiedy zaczęłam chodzić na łowy,

nauczyłam się polować na czworonożnych myśliwych, w tym i na wilki. Wilcze skóry są ciepłe i dobre na kapuzy, a wilk, który stanowi zagrożenie, powinien zostać zabity. Możesz się jednak więcej nauczyć, obserwując żywe wilki, niż zabijając je i jedząc.

Wilczyce spojrzały po sobie z wyrazem winy w oczach. Skąd ona wie? Mięso wilka było zabronione wśród S'Armunai i uważano je za szczególnie szkodliwe dla kobiet. Epadoa przyglądała się tej obcej blondynce, próbując ocenić, czy kryje się w niej więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Teraz, kiedy Attaroi nie żyła, a sama wiedziała, że nie zostanie zabita za swoje postęпки, Epadoa czuła ulgę. Była zadowolona, że to się skończyło. Przywódczyni była tak zniewalająca, że fascynowała młodą kobietę, która zrobiła wiele rzeczy, by się jej przypodobać, rzeczy, o których nie chciała myśleć. Wiele z nich niepokoiło ją już w trakcie ich wykonywania, chociaż się do tego nie przyznawała, nawet wobec samej siebie. Kiedy podczas polowania na konie zobaczyła tego wysokiego mężczyznę, miała nadzieję, że jeśli przyprowadzi go Attaroi do zabawy, jeden z ich własnych mężczyzn z Zagrody zostanie oszczędzony.

Nie chciała okaleczyć Dobana, ale bała się, że jeśli nie wykona rozkazu Attaroi, przywódczyni go zabije, tak jak zabiła swoje własne dziecko. Dlaczego ta Córka Ogniska Mamuta wybrała S'Amoduna, a nie Esadoę, do oznajmienia wyroku na nią? Ten wybór uratował jej życie. Nie będzie już łatwo żyć w tym obozie. Wielu ludzi jej nienawidzi, była jednak wdzięczna za otrzymaną szansę odpokutowania swoich zbrodni. Zaopiekuje się chłopcem, mimo jego nienawiści. Co najmniej tyle jest mu dłużna. Ale kim jest ta Ayla? Czy przysła tu, by przełamać władzę Attaroi nad obozem, jak wszyscy zdają się sądzić? A ten mężczyzna? Co za magię posiada, że oszczepy go nie ranią? I skąd mężczyźni z Zagrody wzięli noże? Czy to też jego dzieło? Czy jeżdżą na koniach dlatego, że to są zwierzęta, na które Wilczyce najczęściej polują, choć reszta S'Armunai jest takimi samymi łowcami mamutów jak ich krewniacy, Mamutoi? Czy ten Wilk to duch wilka, który przyszedł, by pomścić swój gatunek? Jedną rzecz wiedziała z pewnością: już nigdy nie będzie polowała na wilki i nie będzie nazywać siebie Wilczycą.

Ayla podeszła z powrotem do ciała martwej przywódczyni i zobaczyła S'Armunę. Ta Która Służy Matce obserwowała wszystko, ale mówiła niewiele, i Ayla pamiętała jej rozpacz oraz wyrzuty sumienia. Zwróciła się do niej cicho, by nikt inny nie słyszał:

- S'Armuno, chociaż duch Attaroi nareszcie odchodzi z obozu, nie będzie łatwo zmienić stare przyzwyczajenia. Mężczyźni uwolnili się z Zagrody - cieszę się, że udało im się samym uwolnić, będą to wspominać z dumą - ale upłynie dużo czasu, zanim zapomną Attaroi i lata spędzone w Zagrodzie. Musisz im pomóc, a to jest ciężka odpowiedzialność.

Kobieta pochyliła głowę. Poczuli, że oto dano jej szansę rehabilitacji za nadużycie mocy Matki; to było więcej, niż się spodziewała. Pierwszą rzeczą do wykonania było pochowanie ciała Attaroi i zamknięcie tego rozdziału. Zwróciła się do tłumu:

- Jest jeszcze trochę żywności. Dokończmy razem naszą ucztę. Pora obalić przegrodę wzniesioną między mężczyznami i kobietami tego obozu. Pora razem cieszyć się jedzeniem, ogniem i ciepłem wspólnoty. Pora zebrać się razem jak jeden lud, którego żadna część nie jest ważniejsza od innej. Każdy ma umiejętności i zdolności, każdy może się przyłożyć i przy pomocy wszystkich razem ten obóz znowu rozkwitnie.

Mężczyźni i kobiety kiwali głowami na zgodę. Wielu znalazło swoich towarzyszy życia, od których tak długo byli oddzieleni; inni podeszli, by razem jeść, grać się i cieszyć ludzkim towarzystwem.

- Epadoa! - zawołała S'Armuna, kiedy ludzie zaczęli nabierać sobie jedzenia. - Myślę, że pora przenieść ciało Attaroi i przygotować ją do pogrzebu.

- Czy mamy ją zanieść do jej ziemianki? - spytała Epadoa. S'Armuna zastanowiła się.

- Nie. Zabierzcie ją do Zagrody i połóżcie pod zadaszeniem. Ciepła ziemianka Attaroi powinna zostać na dziś oddana mężczyznom. Wielu z nich jest słabych i chorych. Może nam być potrzebna przez pewien czas. Czy masz gdzie spać?

- Tak. Jak mogłam zostawić Attarotę, szłam do ziemianki Unavoi.

- Może byś z nią zamieszkała na razie, jeśli obie nie macie nic przeciwko temu.

- To będzie dobre dla nas obu - powiedziała Epadoa.

- Potem zastanowimy się, co z Dobanem.

- Tak - odparła Epadoa. - Tak zrobimy

Jondalar obserwował Aylę, która poszła z Epadoa i myśliwymi zanieść ciało przywódczyni, i czuł zarówno dumę z niej, jak i pewne zdziwienie. W jakiś sposób Ayla przybrała godność i mądrość samej Zelandoni. Dotychczas Ayla do tego stopnia panowała nad sytuacją jedynie wtedy, gdy musiała pomóc komuś choremu czy rannemu. Po chwili zastanowienia zrozumiał, że ci ludzie byli ranni i chorzy. Może to nic dziwnego, że Ayla wiedziała, co należy robić.

Rano Jondalar wziął konie i przywiózł resztę rzeczy, które zabrali ze sobą, kiedy odjechali od Wielkiej Matki Rzeki w poszukiwaniu Whinney. Zdawało się to tak dawno temu, iż zrozumiał, jak bardzo opóźniona jest ich podróż. Wtedy sądził, że dotarcie do lodowca w porę nie będzie żadnym problemem, tak daleko już zajechali. Teraz była już pełnia zimy, a oni znajdowali się dalej od lodowca niż wtedy.

Ten obóz rzeczywiście potrzebuje pomocy. Wiedział, że Ayla nie odejdzie, dopóki nie zrobi wszystkiego, co w jej mocy. On także obiecał pomóc i cieszył się na myśl o uczeniu Dobana i innych obróbki krzemienia oraz używania miotacza oszczepów, ale zaczynał się nieco niepokoić. Musieli przejść lodowiec, zanim wiosenne roztopy to uniemożliwią, i chciał jak najszybciej wyruszyć w drogę.

S'Armuna i Ayla razem badały i leczyły chłopców i mężczyzn obozu. Ich pomoc przyszła zbyt późno dla jednego z nich. Umarł w ziemiance Attaroi pierwszej nocy z powodu zaawansowanej gangreny obu nóg. Prawie wszyscy pozostali wymagali leczenia z powodu ran czy chorób i wszyscy byli niedożywieni. Rozchodziła się od nich woń chorób i nieprawdopodobnego brudu.

S'Armuna postanowiła opóźnić rozpalenie pieca ceramicznego. Nie miała na to czasu, a i nastrój nie był właściwy, choć uznała, że później może to być potężna ceremonia uzdrawiająca. Wewnętrznej komory pieca używali teraz do grzania wody na mycie i opatrywanie ran, ale mężczyznom najbardziej potrzebne były żywność i ciepło. Kiedy uzdrowicielki zrobiły wszystko, co mogły, lżej chorzy, którzy mieli matki, towarzyszek życia czy innych krewnych, przenieśli się do ich ziemianek.

Aylę szczególnie oburzał los chłopców i młodzieży. Również S'Armuna była wstrząśnięta. Dotąd przymykała oczy na powagę ich sytuacji.

Wieczorem, po kolejnym wspólnym posiłku, Ayla i S'Armuna opisały problemy zdrowotne, wyjaśniały, co trzeba zrobić, i odpowiadały na pytania. Dzień był bardzo długi i Ayla wreszcie oświadczyła, że chce odpocząć. Kiedy wstała, żeby wyjść, ktoś zadał jeszcze pytanie na temat jednego z chłopców. Ayla odpowiedziała, a inna kobieta wtrąciła coś o okrutnej przywódczyni, zrzucając całą winę na Attaroe i z miną niewiniątka umywając ręce od wszelkiej odpowiedzialności. Wzbudziło to gniew Ayli i wybuchnęła głębokim oburzeniem, które narastało w niej przez cały dzień.

- Attaroe była silną kobietą i miała silną wolę, ale niezależnie od tego, jak silny jest jeden człowiek, dwoje ludzi, pięcioro lub dziesięcioro jest silniejszych. Gdybyście wszyscy chcieli jej się oprzeć, zostałaaby powstrzymana dawno temu. Dlatego jesteście wszyscy jako obóz, kobiety i mężczyźni, po części odpowiedzialni za udrękę tych dzieci. I powiem wam, że każdy z tych chłopców, jak również każdy z mężczyzn, którzy cierpieli tak długo w wyniku tej... tej ohydy - Ayla walczyła, by opanować szarpiającą ją wściekłość - musi być pod opieką całego obozu. Wszyscy jesteście za nich odpowiedzialni przez resztę ich życia. Cierpieli i w tym cierpieniu stali się wybrańcami Muni. Każdy, kto im odmówi pomocy, będzie za to przed nią odpowiadał.



Ayla odwróciła się i wyszła, a za nią Jondalar, ale jej słowa znaczyły dla tych ludzi o wiele więcej, niż mogła wiedzieć. Większość ludzi już sądziła, że nie jest zwyczajną kobietą, a wielu uważało ją za uosobienie samej Wielkiej Matki; żywą *munai* w ludzkiej postaci, która przyszła, by zabrać Attarę i uwolnić mężczyzn. Co innego mogłoby wyjaśnić, że konie przychodziły na jej gwizd? Czy obecność wilka, olbrzymiego nawet jak na swój wielki, północny gatunek, który szedł za nią, dokądkolwiek by poszła, i siadał spokojnie na jej rozkaz? Czy to nie Wielka Matka Ziemia dała życie duchowym formom wszystkich zwierząt?

Zgodnie z legendami Matka miała powód stworzenia tak kobiet, jak i mężczyzn, i dała im *Dar Przyjemności*, żeby ją czcili.

Do stworzenia nowego życia niezbędne są duchy zarówno kobiet, jak i mężczyzn, i Muna dała wyraźnie do zrozumienia, że każdy, kto próbuje tworzyć dzieci w inny sposób, jest ohydą. Czy nie przywiodła Zelandończyka, żeby im pokazać, co czuje? Mężczynę, który jest ucieleśnieniem jej kochanka i towarzysza? Wyższego i przystojniejszego od większości mężczyzn, a jasnego jak księżyc. Jondalar zauważył, że obóz zmienił postawę w stosunku do niego, i nie czuł się z tym dobrze. Niezbyt mu się to podobało.

Pierwszego dnia było tyle do zrobienia, mimo obecności dwóch uzdrowicielek i pomocy całego obozu, że Ayla odłożyła na później specjalny zabieg, który chciała wypróbować na chłopcach z wybitymi stawami. S'Armuna opóźniła również pogrzeb Attaroi. Następnego ranka wybrano miejsce i wykopano grób. Prosta ceremonia, prowadzona przez Tę Która Służy, wreszcie zwróciła przywódczynię na łono Wielkiej Matki Ziemi. Kilkoro obecnych ogarnął wręcz żal. Epadoa nie spodziewała się odczuwać czegokolwiek, a jednak była wstrząśnięta. Ze względu na uczucia większości nie mogła dać wyrazu swojej żałobie, ale Ayla widziała z jej postawy i wyrazu twarzy, że walczy z rozpaczą. Również Doban zachowywał się dziwnie i odgadła, iż to zapewne z powodu własnych, mieszanych uczuć. Przez większą część jego młodego życia Attarą była jedyną matką, jaką znał. Czuł się zdradzony, kiedy zwróciła się przeciwko niemu, lecz jej miłość zawsze była kapryśna i nie mógł całkowicie zaprzeć się własnych uczuć do niej.

Żałoba musi znaleźć ujście. Ayla wiedziała to z własnego doświadczenia. Nie miała zamiaru poddawać chłopca zabiegowi bezpośrednio po pogrzebie, ale zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście powinna to odkładać na później. Może nie jest to najważniejszy dzień, ale konieczność skoncentrowania się na czymś innym będzie chyba lepsza dla nich obojga. W drodze powrotnej do obozu podeszła do Epadoi.

- Spróbuję nastawić wybitą nogę Dobana i będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Pomożesz?

- Czy to nie będzie bolesne? - Epadoa zbyt dobrze pamiętała jego krzyki bólu, a teraz zaczynała czuć troskę o niego. Co prawda nie był jej synem, ale oddano go jej pod opiekę i traktowała to bardzo poważnie. Była pewna, że od tego zależy jej życie.

- Uśpię go. Nie będzie niczego czuł, chociaż będzie miał bóle po przebudzeniu się i przez pewien czas będzie musiał bardzo ostrożnie się poruszać. Nie będzie mógł sam chodzić - wyjaśniła Ayla.

- Będę go nosić - oznajmiła Epadoa.

Po powrocie do dużej ziemianki Ayla powiedziała chłopcu, że chce spróbować poprawnie nastawić mu nogę. Odsunął się od niej pełen niepokoju, a kiedy zobaczył wchodzącą Epadoę, w jego oczach ukazało się przerażenie.

- Nie! Ona mi robi krzywdę! - krzyknął Doban na widok Wilczycy. Gdyby mógł biegać, uciekłby.

Epadoa stała wyprostowana i sztywna koło posłania, na którym siedział.

- Nie zrobię ci krzywdy. Przysięgam, że już nigdy więcej nie zrobię ci krzywdy. I nie pozwolę nikomu innemu, nawet tej kobiecie.

Zerknął na nią z obawą, ale chciał jej uwierzyć. Rozpaczliwie chciał jej wierzyć.

- S'Armuno, czy możesz przetłumaczyć to, co mam do powiedzenia, żeby na pewno mnie zrozumiał? - spytała Ayla. Pochyliła się tak, żeby móc patrzeć prosto w jego przestraszone oczy - Dobanie, dam ci coś do wypicia. To nie będzie smaczne, ale i tak chcę, żebyś wszystko wypił. Po chwili poczujesz się bardzo śpiący. Wtedy możesz się położyć na posłaniu. Gdy będziesz spał, postaram się trochę poprawić twoją nogę, włożyć ją na miejsce, gdzie była przedtem. Nie będziesz tego czuł podczas snu. Po obudzeniu będzie cię trochę bolało, ale możesz się też czuć lepiej. Jeśli jednak ból będzie silny, powiesz mi albo S'Armunie czy Epadoi - ktoś przez cały czas będzie przy tobie -i dostaniesz coś do picia, co złagodzi ból. Rozumiesz?

- Czy może tu być Zelandon?

- Tak, zawołam go, jeśli tego chcesz.

- I S'Amodun?

- Tak, obaj mogą tu być.

Doban podniósł wzrok na Epadoę.

- I nie pozwolisz, żeby mnie skrzywdziła?

- Przysięgam. Nie pozwolę, by ktokolwiek wyrządził ci krzywdę.

Spojrzał na S'Armunę i z powrotem na Aylę.

- Daj mi ten napój.

Procedura była podobna do nastawiania złamanego ramienia Roshario. Napój zarówno rozluźnił mu mięśnie, jak i uspił go. Potrzeba było niezwyklej siły fizycznej, żeby naprostować nogę, ale kiedy staw wskoczył na swoje miejsce, było to oczywiste dla wszystkich. Ayla wiedziała, że były tam pewne uszkodzenia i noga nigdy nie będzie całkowicie zdrowa, lecz jego ciało wyglądało teraz prawie normalnie.

Epadoa z powrotem wprowadziła się do dużej ziemianki, ponieważ większość mężczyzn i chłopców przeniosła się do swoich krewnych, i niemal nie odstępowała Dobana. Ayla zauważyła nieśmiałe początki zaufania między nimi. Była pewna, iż to właśnie zamierzał osiągnąć S'Amodun.

Podobnemu zabiegowi poddała Odevana, lecz obawiała się, że jego proces zdrowienia będzie trudniejszy i że w przyszłości noga łatwo będzie wyskakiwała ze stawu biodrowego.

S'Armuna patrzyła na Aylę z podziwem i zafascynowaniem, zastanawiając się po cichu, czy nie ma trochę prawdy w krążących o niej pogłoskach. Wyglądała jak zwyczajna kobieta, mówiła, spała i dzieliła przyjemności z wysokim, jasnym mężczyzną jak każda inna kobieta, ale jej wiedza o roślinach i ich leczniczych własnościach była nieprawdopodobna. Wszyscy o tym mówili; S'Armuna zyskiwała prestiż przez związek z nią. I chociaż szamanka przestała już bać się Wilka, nie można było patrzeć na jego zachowanie wobec Ayli bez przeświadczenia, że panuje nad jego duchem. Kiedy nie szedł za nią, wodził za nią ślepiami. Tak samo zachowywał się mężczyzna, choć nie okazywał tego tak wyraźnie.

S'Armuna nie zwracała zbyt wielkiej uwagi na konie, ponieważ na ogół pały się z daleka na polu - Ayla powiedziała, że potrzebują wypoczynku - ale widziała dwoje przybyszów jadących na końskich grzbietach. Mężczyzna z łatwością kierował brązowym ogierem, jednak widok tej młodej kobiety na grzbiecie kobyły nasuwał myśl, że stanowiły jedność. Chociaż zastanawiała się nad tym, była dość sceptyczna. Pobierała naukę u Zelandoni i wiedziała, że takie koncepcje były świadomie szerzone. Nauczyła się i często stosowała sposoby wprowadzania ludzi w błąd, przekonywania ich do wiary w to, w co chciała, żeby uwierzyli. Nie uważała tego za oszustwo - była głęboko przekonana o słuszności swojego powołania - ale używała ich jako środków do przekonania innych, by podążyli za nią. Często można było w ten sposób pomóc ludziom, szczególnie tym, których kłopoty i choroby nie miały żadnych namacalnych przyczyn, poza, być może, klątwami potężnych złych duchów. Chociaż sama nie była skłonna uwierzyć wszystkim pogłoskom, S'Armuna nie próbowała ich podważać. Ludzie obozu chcieli wierzyć, że wszystko, co mówili Ayla i Jondalar, było wolą Matki. S'Armuna wykorzystywała tę wiarę, by wprowadzić niezbędne zmiany. Kiedy Ayla

opowiadała na przykład o Radzie Sióstr i Radzie Braci u Mamutoi, S'Armuna zorganizowała podobne rady. Kiedy Jondalar wspomniał o potrzebie znalezienia kogoś z innego obozu, kto kontynuowałby trening łupaczy krzemienia, poddała pomysł wystania delegacji do kilku obozów innych S'Armunai, żeby odnowić więzy z krewnymi i na nowo nawiązać przyjaźnie.

Jednej nocy tak chłodnej i przejrzystej, że widać było wszystkie gwiazdy na niebie, grupa ludzi stłoczyła się przed wejściem do dużej ziemianki nieżyjącej przywódczyni, która stała się centrum społeczności potem, gdy już posłużyła jako miejsce uzdrowienia. Rozmawiali o tajemniczych światłach migocących na niebie, a S'Armuna odpowiadała na pytania i snuła własne rozważania. Musiała spędzać w tym miejscu tak dużo czasu - leczyć ziołami i odprawiać rytuały, zbierać ludzi na dyskusje o problemach i przyszłych planach - że zaczęła prznosić tam swoje rzeczy i często zostawiała Aylę i Jondalara samych w swojej małej ziemiance. Zaczynało to przypominać obozy i jaskinie, jakie Ayla i Jondalar znali, gdzie w miejscu zamieszkania Tej Która Służy Matce zbierali się wszyscy mieszkańcy.

Gdy goście odeszli od grupy obserwującej gwiazdy, z Wilkiem przy nodze, ktoś zapytał S'Armunę o to zwierzę, które wszędzie chodziło za Aylą. Ta Która Służy Matce wskazała na jedną z jasno błyszczących gwiazd na niebie i powiedziała tylko: "To jest Gwiazda Wilka".

Dni mijały szybko. Kiedy chłopcy i mężczyźni wyzdrowieli i nie potrzebowali jej już jako uzdrowicielki, Ayla wychodziła z tymi, którzy zbierali trudną do znalezienia zimową żywność. Jondalar uczył swojego rzemiosła i pokazywał, jak zrobić miotacz oszczepów i nim się posłużyć. Obóz zaczął zbierać więcej zapasów najróżniejszej żywności, którą łatwo było zakonserwować i składować w mroźnej temperaturze, w tym przede wszystkim mięso. Z początku występowały trudności w przyzwyczajeniu się do nowych porządków, do mężczyzn wprowadzających się do ziemianek, które kobiety uważały za swoje, ale powoli je przewyciężano.

S'Armuna uznała, że jest to właściwy czas na wypalenie figurek w piecu, i zaczęła rozmowę z dwójgim gości o ustanowieniu nowej Ceremonii Wypalania. Stali przy ziemiance z piecem ceramicznym przy stercie opału zebranego latem i jesienią na ogień dla jej celów medycznych i na codzienny użytek. Powiedziała, że będzie musiała zebrać więcej opału i że to będzie wymagało ciężkiej pracy.

- Czy mógłbyś zrobić narzędzia do ścinania drzew? - spytała Jondalara.

- Z przyjemnością zrobię kilka siekier, drewnianych młotów i klinów, co tylko chcesz, ale zielone drewno nie pali się dobrze.

- Użyję także kości mamucich, ale najpierw potrzebny mi dobry i gorący ogień i musi się on palić przez dłuższy czas. Na Ceremonię Wypalania potrzeba bardzo dużo opału.

Kiedy wyszli z ziemianki, Ayla spojrzała w kierunku Zagrody. Chociaż ludzie używali kawałków ogrodzenia do różnych rzeczy, nie zburzyli palisady. Wspomniała kiedyś, że z tych pali można będzie zbudować zagrodę, do której podczas polowania zapędzi się zwierzęta. Odtąd ludzie obozu unikali używania drewna z palisady, a teraz tak się do niej przyzwyczaili, że niemal jej nie zauważali.

Nagle Ayla powiedziała:

- Nie musisz ścinać drzew. Jondalar może zrobić narzędzia, żeby pociąć drewno Zagrody.

Wszyscy zobaczyli to ogrodzenie w nowym świetle, ale S'Ar-muna dostrzegła znacznie więcej. Zaczęła widzieć zarysy nowej ceremonii.

- To będzie doskonale! Zniszczenie tego miejsca, żeby stworzyć nową, uzdrawiającą ceremonię! Wszyscy mogą w tym uczestniczyć i wszyscy się ucieszą, gdy ten płot zniknie. Będzie to dla nas nowy początek, a wy także przy tym będziecie.

- Nie jestem tego pewien - rzekł Jondalar. - Jak dużo czasu na to potrzeba?

- To nie jest coś, z czym można się spieszyć. Jest zbyt ważne.

- Tak właśnie myślałem. Musimy wkrótce odejść.

- Ależ wkrótce zacznie się najmroźniejsza część zimy - zaprotestowała S'Armuna.

- A niedługo potem będą wiosenne roztopy. Przeszłaś lodowiec, S'Armuno. Wiesz, że można go przekroczyć tylko zimą. Obiecałem również grupie Losadunai odwiedzić ich jaskinię w drodze powrotnej. Chociaż nie możemy długo u nich zostać, będzie to dobre miejsce na odpoczynek i przygotowanie się do przeprawy przez lodowiec. S'Armuna kiwnęła głową.

- Użyję więc Ceremonii Wypalania, żeby ułatwić również wasze odejście. Wielu z nas miało nadzieję, że zostaniecie, i wszystkim będzie was brakować.

- Bardzo chciałam zobaczyć wypalanie - powiedziała Ayla -i dziecko Cavo, ale Jondalar ma rację. Pora ruszyć w drogę.

Jondalar postanowił natychmiast zrobić narzędzia dla S'Ar-muny. Wiedział, gdzie w pobliżu jest dobry krzemień, wziął dwoje ludzi do pomocy i poszedł po buły nadające się na siekiery i inne narzędzia do cięcia drewna. Ayla poszła do małej ziemianki, żeby zgromadzić wszystkie rzeczy i zobaczyć, czego jeszcze mogą potrzebować. Rozłożyła wszystko na platformie, kiedy usłyszała ruch przy wejściu. Podniosła głowę i zobaczyła Cavoę.

- Czy ci przeszkadzam, Aylo?

- Nie, wejdz.

Młoda kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży weszła i usiadła na brzeżku posłania, naprzeciwko Ayli.

- S'Armuna powiedziała mi, że odchodzicie.

- Tak, za dzień lub dwa.

- Myślałam, że zostaniecie na wypalenie.

- Chciałabym, ale Jondalar się niepokoi. Mówi, że musimy przejść lodowiec przed wiosną.

- Zrobiłam coś, co chciałam ci dać po wypaleniu - powiedziała Cavao i wyjęła małe skórzane zawiniątko. - Nadal chcę ci to dać, ale w takim stanie nie przetrwa długo. - Podąła zawiniątko Ayli.

Wewnątrz był mały łeb lwicy, wspaniale ukształtowany w glinie.

- Cavao! To jest piękne. Więcej niż piękne. To jest jak sama istota lwicy jaskiniowej. Nie wiedziałam, że masz taki talent. Młoda kobieta uśmiechała się.

- Podoba ci się?

- Znałam kiedyś mężczyznę Mamutoi, który rzeźbił w kości słoniowej, wspaniałego artystę. Pokazał mi, jak patrzeć na rzeźbione i malowane rzeczy, i wiem, że byłby tym zachwycony

- Rzeźbiłam figurki z drewna, kości słoniowej, rogu. Od kiedy pamiętam, zawsze rzeźbiłam. To dlatego S'Armuna wzięła mnie na praktykantkę. Bardzo jest dla mnie dobra. Próbowwała nam pomóc... Była także dobra dla Omela. Dotrzymała tajemnicy Omela i nigdy nie stawiała żądań, jak to robili inni. Wielu ludzi nie mogło opanować ciekawości. - Cavao wbiła wzrok w ziemię i starała się powstrzymać łzy.

- Myślę, że bardzo ci brakuje twoich przyjaciół - powiedziała łagodnie Ayla. - Omelowi musiało być bardzo trudno dochować takiej tajemnicy.

- Omel musiał jej dochować.

- Z powodu Brugara? S'Armunie zdawało się, że Brugara mu groził straszliwymi konsekwencjami za wydanie tajemnicy.

- Nie, nie z powodu Brugara ani Attaroi. Nie lubiłam Brugara i chociaż byłam wtedy mała, pamiętam, jak obwinał ją za Omela, ale myślę, że on bał się Omela bardziej, niż Omel jego, i Attaroa znała powód.

Ayla wyczuwała, co kłopotczy Cavoę.

- I ty także wiedziałas, prawda? Młoda kobieta zachmurzyła się.

- Tak - wyszeptała; podniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz Ayli. - Miałam

nadzieję, że będziesz tutaj, kiedy przyjdzie na mnie czas. Chcę, żeby moje dziecko było normalne, nie jak...

Nie było potrzeby mówić nic więcej czy wyjaśniać jakichkolwiek szczegółów. Cavao obawiała się, że jej dziecko może się urodzić z jakimś zniekształceniem, a nazywanie zła po imieniu było wyzywaniem losu.

- No cóż, jeszcze nie odchodzę i kto wie? Wygląda mi na to, że możesz zacząć rodzić w każdej chwili. Może nadal będziemy tutaj.

- Mam nadzieję. Tyle dla nas zrobiliście. Chciałabym tylko, żebyście przyszli, zanim Omel i inni... Ayla zobaczyła łzy w jej oczach.

- Brakuje ci twoich przyjaciół, wiem, ale wkrótce będziesz miała własne dziecko. To ci pomoże. Zastanawiałaś się, jak je nazwiesz?

- Dopiero od niedawna. Wiedziałam, że nie było sensu myśleć o imieniu dla chłopca, a nie miałam pojęcia, czy pozwoli mi nazwać dziewczynkę. Teraz, jeśli to będzie chłopiec, nie wiem, czy go nazwać po moim bracie, czy po... innym mężczyźnie, którego znałam. Ale jeśli to będzie dziewczynka, to chcę ją nazwać Armuna. S'Armuna pomogła mi spotykać się z... z nim... - Łkanie rozpacz przerwało jej słowa.

Ayla objęła młodą kobietę. Rozpacz musi być wyrażona. Dobrze jest wydobyć ją na zewnątrz. Ten obóz nadal był pełen rozpacz, która powinna znaleźć ujście. Ayla miała nadzieję, że pomoże w tym ceremonia planowana przez S'Armunę. Kiedy łkania wreszcie się uciszyły, Cavao odsunęła się i otarła oczy brzegiem dłoni. Ayla rozejrzała się za czymś, czym mogłaby wytrzeć twarz, i otworzyła paczkę, którą nosiła ze sobą przez lata, żeby młoda kobieta mogła użyć miękkiego skózanego opakowania. Ale kiedy Cavao zobaczyła, co było wewnątrz, otworzyła szeroko oczy w niedowierzaniu. To była munai, mała figurka kobiety wyrzeźbiona w kości słoniowej, ale ta munai miała twarz i była to twarz Ayli! Szybko odwróciła wzrok, jak gdyby zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć, i prędko wyszła. Zachmurzona Ayla z powrotem zawinęła rzeźbę Jondalara w miękką skórę. Wiedziała, co tak przestraszyło Cavoę.

Zabrała się znowu za pakowanie i próbowała o tym zapomnieć. Podniosła woreczek, w którym trzymali kamienie ogniste, i opróżniła go na platformę, żeby zobaczyć, ile im zostało szarawożółtych kawałków pirytu żelaza. Chciała dać jeden S'Ar-munie, ale nie wiedziała, czy można je znaleźć w pobliżu domu Jondalara, a chciała mieć kilka na prezenty dla jego krewnych. Postanowiła dać jeden, ale tylko jeden, i wybrała sporej wielkości bryłkę, po czym schowała resztę.

Kiedy wyszła, zobaczyła Cavoę, która właśnie wychodziła z dużej ziemianki, dokąd

Ayla się kierowała. Uśmiechnęła się do młodej kobiety, która odpowiedziała jej nerwowym uśmiechem, a kiedy weszła, pomyślała, że S'Armuna patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Rzeźba Jondalara spowodowała zamieszanie. Ayla poczekała, aż jeszcze jedna osoba wyszła z ziemianki i S'Armuna była sama.

- Mam coś, co chciałabym ci dać przed odejściem. Odkryłam to, kiedy żyłam sama w dolinie - powiedziała i rozpostarła dłoń, żeby pokazać kamień. - Myślałam, że mogłabyś tego użyć do Ceremonii Wypalania.

S'Armuna spojrzała na kamień i podniosła pytający wzrok na Aylę.

- Wiem, że tego nie widać, ale w tym kamieniu jest ogień. Daj, to ci pokażę.

Ayla podeszła do paleniska, wyjęła używaną przez nich podpałkę i ułożyła małe strużyny drewna wokół wysuszonego puchu pałki. Podsunęła obok kilka małych drzazg, pochyliła się i uderzyła krzemieniem w piryt żelaza. Duża, gorąca iskra upadła na podpałkę i w cudowny sposób natychmiast pojawił się mały płomień. Dodała jeszcze podpałki i patyczków, a kiedy spojrzała w górę, zobaczyła osłupiałą kobietę, która z niedowierzaniem się w nią wpatrywała.

- Cavoia powiedziała mi, że widziała munai z twoją twarzą, a teraz nagle wywołujesz ogień. Czy jesteś... tym, co mówią? Ayla uśmiechnęła się.

- Jondalar zrobił tę rzeźbę, ponieważ mnie kocha. Powiedział, że chciał pochwycić mojego ducha, a potem mi ją oddał. To nie jest doni ani munai. To tylko wyraz jego uczuć. Z przyjemnością też pokażę ci, jak krzesać ogień. Nie dzieje się to za moją sprawą, to coś tkwi w kamieniu.

- Czy mogę zostać? - Głos dochodził od wejścia i obie kobiety odwróciły się, żeby popatrzeć na Cavoę. - Zapomniałam rękawic i wróciłam po nie.

S'Armuna i Ayla spojrzały po sobie.

- Dlaczego nie? - powiedziała Ayla.

- Cavoia jest moją uczennicą - zauważyła S'Armuna.

- No to pokażę wam obu, jak działa ognisty kamień - oznajmiła Ayla.

Jeszcze raz pokazała, jak wykrzesać ogień, i pozwoliła obu kobietom spróbować. Były teraz bardziej odprężone, ale nadal nie mniej zdumione właściwościami tego dziwnego kamienia. Cavoia zebrała nawet dość odwagi, by zapytać Aylę o munai.

- Ta figurka, którą zobaczyłam...

- Jondalar zrobił ją dla mnie, niedługo po naszym pierwszym spotkaniu. Miała wyrazić jego uczucia dla mnie - wyjaśniła Ayla.

- Czy to znaczy, że gdybym chciała pokazać jakiejś osobie, jak jest dla mnie ważna,



mogłabym zrobić rzeźbę jej twarzy? -spytała Cavao.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabyś tego zrobić -odparła Ayla. - Kiedy robisz munai, wiesz, dlaczego ją rzeźbisz. Ogarnia cię takie specjalne uczucie, prawda?

- Tak, i niezbędne są przy tym pewne rytuały - odpowiedziała młoda kobieta.

- Myślę, że to chodzi o uczucie, jakie wkładasz w rzeźbę.

- Mogłabym więc wyrzeźbić czyjaś twarz, jeśli włożę w to dobre uczucia.

- Nie sądzę, żeby mogło w tym być cokolwiek złego. Jesteś bardzo dobrą artystką, Cavao. S'Armuna ostrzegła jednak:

- Może będzie najlepiej nie robić całej figurki. Gdybyś zrobiła tylko głowę, to nie będzie się można pomylić. Cavao kiwnęła głową na zgodę; potem obie spojrzały na Aylę, jakby oczekując potwierdzenia. W głębi ducha obie nadal zastanawiały się, kim naprawdę jest ich gość.

Następnego ranka Ayla i Jondalar obudzili się z mocnym postanowieniem, że dzisiaj wyruszą w drogę, ale na zewnątrz twardy, suchy śnieg miotał się z taką siłą w porywach wiatru, że trudno było dojrzeć nawet drugi koniec osady.

- Nie wydaje mi się, byśmy mogli dzisiaj wyruszyć. Zbiera się na śnieżycę - powiedział Jondalar, chociaż nie znosił myśli o dalszej zwłoce. - Mam nadzieję, że wkrótce się skończy zamieć.

Ayla poszła na pole i gwizdnęła na konie, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Ulżyło jej, kiedy wyłoniły się z tumanów podnoszonego wiatrem śniegu. Podprowadziła je bliżej obozu, gdzie były osłonięte od wiatru. Wracając do obozu, rozmyślała o powrotnej drodze do Wielkiej Matki Rzeki, bo tylko ona ją знаła. Z początku nie dosłyszała wypowiedzanego szeptem swojego imienia.

- Aylo! - Szept był teraz głośniejszy. Rozejrzała się i zobaczyła Cavoę z przeciwnej strony małej ziemianki. Stała nieco schowana i przywoływała Aylę do siebie.

- Co się stało, Cavao?

- Chciałam ci coś pokazać, zobaczyć, czy ci się spodoba -powiedziała młoda kobieta. Ayla podeszła bliżej i Cavao zdjęła rękawicę. W ręce trzymała mały, okrągławy przedmiot koloru kości słoniowej. Ostrożnie położyła go na dłoni Ayli. - Właśnie go skończyłam.

Ayla podniosła przedmiot do oczu i uśmiechnęła się z zachwytem.

- Cavao! Wiedziałam, że dużo potrafisz, ale nie wiedziałam, że tak dużo. - Uważnie oglądała małą rzeźbę S'Armuny.

Była to tylko głowa, bez żadnego zaznaczenia ciała, nie było nawet szyi, ale nie

ulegało wątpliwości, kogo rzeźba miała przedstawiać. Włosy były ściągnięte w kok na czubku głowy, wąska twarz nieco ukośna, z jedną stroną mniejszą niż druga, a jednak piękno i godność kobiety były wyraźne. Zdawały się emanować z tego małego dzieła sztuki.

- Myślisz, że jest dobre? Myślisz, że się jej spodoba? - pytała Cavao. - Chciałam zrobić dla niej coś specjalnego.

- Mnie się to podoba i myślę, że znakomicie wyraża twoje uczucia dla niej. Masz rzadki i cudowny dar, Cavao, ale musisz go zawsze dobrze używać. W tym może się kryć wielka moc. S'Armuna mądrze zrobiła, wybierając cię na swoją uczennicę.

Wieczorem szalała już wyjąca śnieżycą i niebezpiecznie było poruszać się nawet w obrębie kilku metrów od ziemianki. S'Ar-muna sięgała po kępkę suszonych ziół, która zwisała ze stojaka u wejścia, żeby je dodać do innych na silny napój, jaki przygotowywała na Ceremonię Wypalania. Ogień w palenisku dogasał i Ayla z Jondalarem właśnie się położyli. Szamanka też miała zamiar pójść spać, gdy tylko będzie gotowa.

Nagle powiew mroźnego powietrza i zawierucha śnieżynek wpadły do ziemianki, bo ktoś odsunął ciężką skórę, która zasłaniała wejście do przedsionka. Wyraźnie wzburzona Esadoa odepchnęła wewnętrzną zasłonę.

- S'Armuno! Szybko! To Cavao! Przyszła jej pora. Ayla była już na nogach i naciągała odzież, zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć.

- Wybrała na to dobrą noc - mruknęła S'Armuna, zachowując spokój, po części, żeby uspokoić zdenerwowaną, starszą kobietę. - Wszystko będzie dobrze, Esadoa. Nie zdąży urodzić dziecka, zanim dojdziemy do twojej ziemianki.

- Nie jest w mojej ziemiance. Uparła się, żeby w tę burzę iść do dużej ziemianki. Nie wiem dlaczego, ale chce tam urodzić dziecko. I chce także, żeby przyszła Ayla. Jej zdaniem to jedyny sposób na upewnienie się, że będzie wszystko w porządku.

S'Armuna zmarszczyła czoło z niepokojem.

- Nie ma tam nikogo dziś w nocy i nie było mądre wychodzenie na dwór w taką pogodę.

- Wiem, ale nie umiałam jej powstrzymać. - Esadoa odwróciła się, żeby wyjść.

- Poczekaj chwileczkę - powiedziała S'Armuna. - Lepiej, jeśli pójdziemy wszyscy razem. Można zgubić drogę między ziemiankami w taką zawieruchę.

- Wilk nie pozwoli nam się zgubić - rzekła Ayla i dała znak zwierzęciu, które leżało zwinięte w kłębek koło jej posłania.

- Czy byłoby niewłaściwe, gdybym także poszedł? - spytał Jondalar. Nie tyle chciał

być obecny przy porodzie, ile martwił się o Aylę, maszerującą w taką śnieżycę. S'Armuna spojrzała na Esadoę.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale czy mężczyzna powinien być obecny przy porodzie? - zaniepokoiła się Esadoa.

- Nie ma powodu, żeby nie mógł tam być - powiedziała S'Armuna - a może i dobrze, że mężczyzna będzie w pobliżu, skoro Cavao nie ma towarzysza życia.

Wyszli na dwór i razem stawili czoło wyjącom porywom wiatru. W dużej ziemiance znaleźli młodą kobietę skuloną przy zimnym, wygasłym palenisku. Ciało miała spięte z bólu i wyraz strachu w oczach. Twarz rozjaśniła jej się z ulgi na widok matki i pozostałych. W przeciągu kilku chwil Ayla rozpałała ognisko -ku zaskoczeniu Esadoi - a Jondalar przynosił z zewnątrz śnieg, żeby go stopić na wodę. Esadoa znalazła zwinięte skóry na posłanie i rozłożyła je na jednej z platform, a S'Armuna z zapasów, jakie przyniosła tu wcześniej, wybierała różne zioła, które mogły jej być potrzebne.

Ayla ułożyła młodą kobietę, urządzając wszystko tak, by mogła wygodnie siedzieć lub leżeć, ale poczekała ze zbadaniem jej na S'Armunę. Zbadały ją obie, uspokoiły kilkoma słowami i zostawiły wraz z matką, a same podeszły do ogniska i rozmawiały przyciszonymi głosami.

- Zauważyłaś? - spytała S'Armuna.

- Tak. Wiesz, co to znaczy?

- Mam jakieś pojęcie, ale myślę, że musimy po prostu poczekać i zobaczyć.

Jondalar starał się nie przeszkadzać i wolno podchodził teraz do dwóch kobiet. Wyraz ich twarzy dał mu do zrozumienia, że się czymś niepokoją, co również w nim wywołało lęk. Usiadł na posłaniu i machinalnie głaskał Wilka po łbie.

Czekali dalej i Jondalar zaczął nerwowo przechadzać się tam i z powrotem, a Wilk wodził za nim oczyma. Jondalar pragnął, by czas mijał szybciej, by burza ucichła lub żeby miał cokolwiek do roboty. Trochę rozmawiał z młodą kobietą, starając się dodać jej otuchy, i często się do niej uśmiechał, ale czuł się całkowicie bezużyteczny. Nie było niczego, co mógłby zrobić. Wreszcie zdrzemnął się na jednej z platform, podczas gdy z zewnątrz dobiegały upiorne dźwięki wichury, tworząc niesamowity akompaniament do tego, co rozgrywało się w ziemiance; bóle porodowe powoli, lecz nieuchronnie następowały coraz częściej.

Zbudziły go podniecone głosy i gorączkowa krzątanina. Światło wpadało przez szpary wokół otworu dymnego. Wstał, przeciągnął się i przetaił oczy. Trzy kobiety całkowicie go ignorowały, wyszedł więc na dwór za swoją potrzebą. Ucieszył się, że burza ustała, choć

kilka suchych płatków nadal kręciło się na wietrze. Kiedy zawrócił w kierunku ziemianki, usłyszał nie dający się z niczym pomylić płacz noworodka. Uśmiechnął się, ale czekał na zewnątrz, niepewny, czy jest to właściwy moment na wejście. Nagle ze zdumieniem usłyszał drugi płacz, który spowodował, że ten pierwszy znowu dołączył się do duetu. Dwójka! Nie mógł się powstrzymać. Musiał wejść.

Ayla trzymała w ramionach spowite niemowlę i uśmiechnęła się do wchodzącego Jondalara.

- Chłopczyk!

S'Armuna podnosiła drugie niemowlę i przygotowywała się do przecięcia pępowiny.

- I dziewczynka! Bliźniaki! To pomyślny znak. Kiedy Attaroa była przywódczynią, urodziło się mało dzieci, ale teraz to się zmieni. Myślę, że to Matka mówi nam, iż Obóz Trzech Sióstr wkrótce rozkwitnie i znowu będzie pełen życia.

- Wrócisz tu kiedyś? - zapytał Doban wysokiego mężczyznę. Poruszał się z większą łatwością, chociaż nadal opierał się na kulach, które mu zrobił Jondalar.

- Nie sądzę. Wystarczy mi jedna długa podróż. Pora wrócić do domu, osiąść i założyć ognisko domowe.

- Chciałbym, żebyś mieszkał bliżej, Zelandon.

- Ja też. Będzie z ciebie dobry łupacz krzemienia i chciałbym cię dalej uczyć. Aha, Dobanie, możesz mówić do mnie Jondalar.

- Nie. Jesteś Zelandon.

- Chcesz powiedzieć Zelandonii?

- Nie, Zelandon. S'Amodun uśmiechnął się.

- Jemu nie chodzi o nazwę twojego ludu. Uznał, że na imię ci Elandon, ale podkreśla swój szacunek dla ciebie przez mówienie S'Elandon.

Jondalar zaczerwienił się z zażenowania i przyjemności.

- Dziękuję, Dobanie. Może ja powinienem mówić do ciebie S'Ardoban.

- Jeszcze nie. Kiedy nauczę się obrabiać krzemień tak jak ty, wtedy będziesz mógł mnie nazywać S'Ardoban.

Jondalar gorąco uściskał młodzieńca, klepnął po ramieniu kilku innych i ze wszystkimi zamienił kilka słów. Konie, załadowane i gotowe do drogi, czekały nieopodal, a Wilk przycupnął na ziemi i obserwował ludzi. Podniósł się, kiedy zobaczył wychodzące z ziemianki Aylę i S'Armunę. Jondalar też ucieszył się na ich widok.

- ...to jest piękne - mówiła starsza kobieta. - Wzruszona jestem, że chciała to zrobić, że

tak jej zależało... ale czy nie sądzisz, że to może być niebezpieczne?

- Dopóki sama masz rzeźbę swojej twarzy, co może w tym być niebezpiecznego? Może cię to przywieść bliżej Matki, dać ci głębię zrozumienia - odparła Ayla.

Objęły się, a potem S'Armuna uściskała Jondalara. Cofnęła się o krok, kiedy przywołali konie, ale wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, żeby go jeszcze na chwilę zatrzymać.

- Jondalarze, kiedy zobaczysz Marthone, powiedz jej, że S'Arm... nie, powiedz, że Bodoa przesyła jej wyrazy miłości.

- Zrobię tak. Sądzę, że bardzo ją to ucieszy - powiedział, dosiadając ogiera.

Odwrócili się i pomachali rękami, ale Jondalar odczuwał ulgę, że już odchodzą. Nigdy nie będzie w stanie myśleć o tym obozie bez mieszanych uczuć.

Śnieg zaczął znowu padać. Ludzie obozu machali rękami i składali im życzenia.

- Szczęśliwej podróży, S'Elandonie! Bezpiecznej drogi, S'Aylo!

Kiedy zniknęli za miękką zasłoną białych płatków, nie było ani jednego człowieka, który by nie wierzył - lub chciał wierzyć - że Ayla i Jondalar przybyli, aby obalić Attarę i uwolnić mężczyzn. Gdy tylko jadąca na koniach para zniknie im z oczu, zamienią się w Wielką Matkę Ziemię i Jej Jasnego Niebiańskiego Towarzysza i będą ujeżdżać wiatr po niebie, a za nimi iść będzie ich wierny opiekun, Wilcza Gwiazda.

Ruszyli z powrotem do Wielkiej Matki Rzeki i Ayla prowadziła tą samą trasą, którą szła za myśliwymi S'Armunai; ale gdy doszli do zbiegu rzek, zdecydowali się przeprowić przez mniejszy dopływ i skierowali na południowy zachód. Jechali po przewianych wiatrem równinach starodawnej niecki, która rozdzielała dwa główne pasma górskie, i zmiierzali w kierunku rzeki. Śnieg nie padał gęsto, ale często musieli chronić się przed podobną do śnieżycy zawieruchą. Przy intensywnym mrozie nieustanne wiatry podnosiły suche płatki śniegu i przewiewały je z miejsca na miejsce, aż zostawały zmielone na zamrażający proch, często zmieszany ze sproszkowanymi cząsteczkami skalnego pyłu -lessu - z obrzeży posuwającego się lodowca. Kiedy wiatr wiał szczególnie ostro, pył ten ranił im skórę. Zwiędła trawa już dawno leżała pokotem, ale wiatr, który nie pozwalał na nagromadzenie się śniegu poza kilkoma osłoniętymi miejscami, wystarczająco obnażał uschniętą i pożółkłą paszę, by konie miały co jeść.

Droga powrotna wydawała się Ayli znacznie krótsza - nie musiała odszukiwać tropu w trudnym terenie - ale Jondalara zdziwiła odległość, jaką musieli przemierzyć, zanim doszli do rzeki. Nie zdawał sobie sprawy, jak daleko na północ zawędrowali. Zgadywał, że Obóz S'Armunai znajdował się w pobliżu Wielkiego Lodu. Jego ocena była poprawna. Gdyby poszli dalej na północ, w kilka dni dotarliby do masywnej ściany kontynentalnego lodu. Wczesną wiosną, zanim rozpoczęli swoją wędrówkę, polowali na mamuty przy zamrażającej ścianie tej samej olbrzymiej bariery północnej, ale daleko na wschodzie. Od tamtej pory przeszli wzdłuż całej wschodniej strony zakrzywionego pasma górskiego, wokół południowego krańca i wzdłuż zachodniej flanki, niemal docierając znowu do lodowcowej pokrywy.

Zostawiwszy za sobą ostatnie zlepieńce i flisze przedgórza tych gór, które towarzyszyły im w całej wędrówce, doszli do Wielkiej Matki Rzeki, skręcili na zachód i zaczęli podchodzić do północnego przedgórza jeszcze większego i wznioślejszego łańcucha na zachodzie. Wrócili trasą, którą już raz przeszli, szukając miejsca, gdzie zostawili swoje rzeczy. Kiedy byli tam poprzednio, Jondalar myślał, że mają mnóstwo czasu... aż do nocy, kiedy dzikie stado zagarnęło Whinney.

- Poznaję tę okolicę. To powinno być gdzieś tutaj - powiedział.

- Chyba masz rację. Pamiętam to urwisko, ale wszystko wygląda inaczej. - Ayla niepewnie przyglądała się zmienionemu krajobrazowi.

W okolicy nagromadziło się więcej śniegu. Rzeka była zamrznięta przy brzegach, śnieg zaś, usypany przez wiatr w zaspy i wypełniający każde zagłębienie, nie pozwalał na odróżnienie, gdzie kończy się brzeg, a zaczyna, rzeka. Silne wiatry i lód, gromadzący się na gałęziach podczas przemiennych odwilży i przymrozków wczesną zimą, powaliły wiele drzew. Zarosła i cierniste krzaki uginały się pod wagą przywartej do nich, zamrzniętej wody; pokryte śniegiem, wydawały się podróżnikom pagórkami lub stertami kamieni, dopóki nie załamywały się pod nimi, kiedy próbowali się na nie wspinać.

Wędrowcy zatrzymali się obok małego zagajnika i starannie przyjrzeni się okolicy, próbując znaleźć coś, co wskazałoby im drogę do miejsca, w którym ukryli swój namiot i żywność.

- Musimy już być blisko. Wiem, że to jest gdzieś tutaj, ale wszystko jest takie inne - powiedziała Ayla. Przerwała i spojrzała na Jondalara. - Wiele rzeczy jest innych, niż się wydają, prawda?

Zdziwił się.

- No cóż, tak, zimą rzeczy wyglądają inaczej niż latem.

- Nie chodzi mi tylko o krajobraz. To trudno wyjaśnić. To jest tak, jak kiedy na odchodnym S'Armuna poprosiła, żebyś przekazał swojej matce wyrazy jej miłości, ale powiedziała, że to Bodoa je przesyła. Tym imieniem nazywała ją twoja matka, prawda?

- Tak, na pewno o to chodziło. Kiedy była młoda, miała pewnie na imię Bodoa.

- Ale musiała zrezygnować z własnego imienia, kiedy została S'Armuną. Tak jak Zelandoni, o której wcześniej opowiadałeś, ta, która miała na imię Zolena.

- Chętnie rezygnuje się z imienia. Jest to jeden z elementów powołania do służby Matce.

- Rozumiem. Podobnie się działo, gdy Creb był Mogurem. Nie musiał oddać swojego imienia, ale kiedy odprawiał ceremonię jako Mogur, stawał się innym człowiekiem. Kiedy był Cre-bem, był jak totem, który dostał przy urodzeniu. Sarna, nieśmiały i spokojny, małowówny, niemal jakby obserwował życie z ukrycia. Jako Mogur, był potężny i władczy, jak jego totem, Niedźwiedź Jaskiniowy. Nigdy nie był całkiem tym, na kogo wyglądał.

- Sama trochę taka jesteś, Aylo. Na ogół przysłuchujesz się i nie mówisz dużo, ale kiedy ktoś jest ranny lub ma kłopoty, niemal stajesz się inną osobą. Przejmujesz panowanie nad sytuacją. Mówisz ludziom, co mają zrobić, i oni się podporządkowują.

Ayla zmarszczyła czoło.

- Nigdy o tym w ten sposób nie pomyślałam. To po prostu dlatego, że chcę pomóc.

- Wiem. Ale w tym jest coś więcej niż chęć pomocy. Na ogół wiesz, co zrobić, i ludzie

to widzą. To dlatego robią, co im każesz. Sądzę, że gdybyś chciała, mogłabyś zostać Tą Która Służy Matce.

Ayla zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Ale ja tego nie chcę. Nie chciałabym zrezygnować z mojego imienia. To jest jedyne, co mi pozostało po mojej prawdziwej matce, jedyne z czasu, zanim zamieszkałam z klanem. - Nagle wyprostowała się i wskazała na pokryty śniegiem wzgórek, który wydawał się niezwykle symetryczny. - Jondalarze! Spójrz tam.

Mężczyzna spojrzał we wskazanym kierunku, ale z początku nie dojrzał tego, co ona zobaczyła. Nagle uświadomił sobie regularność kształtu.

- Czy to może być...? - Popędził Zawodnika do przodu.

Wzgórek okrywał splątany gąszcz cierni, co wzmogło jego podniecenie. Zsiadli z koni. Jondalar znalazł solidną gałąź i za jej pomocą przedarł się przez chaszczę. Kiedy dotarł do środka i uderzył symetryczny wzgórek, śnieg odpadł, odsłaniając ich odwróconą do góry dnem miskową łódkę.

- To jest to! - krzyknęła Ayla.

Udeptywali i przyginali długie, ciemiste pędy, aż mogli zbliżyć się do łódki i starannie opakowanych paczek, schowanych pod nią. Schowek nie był całkowicie bezpieczny, a pierwszą wskazówkę o tym dało im zachowanie Wilka. Był wyraźnie wzburzony wonią nadal unoszącą się w okolicy. Zrozumieli, o co mu chodzi, kiedy znaleźli wilcze odchody. Wilki dobrały się do ich schowka. Udało im się rozerwać kilka starannie zapakowanych paczek. Również namiot był naderwany, ale zdziwiło ich, że zniszczenia nie były większe. Wilki na ogół nie umiały powstrzymać się od targania skóry, którą już raz zaczęły szarpać.

- Odpędzacz! To je musiało powstrzymać przed wyrządzeniem większych szkód - powiedział Jondalar, zadowolony, że mikstura Ayli nie tylko trzymała ich czworonożnego towarzysza podróży na odległość od ich rzeczy, ale odpędziła również inne wilki. - Cały czas myślałem, że Wilk utrudnia nam podróż. A gdyby nie on, prawdopodobnie nie mielibyśmy teraz namiotu. Chodź tutaj. - Jondalar klepnął się w piersi, zachęcając zwierzę, by skoczyło i położyło tam łapy. - Znowu to zrobiłeś! Uratowałeś nasze życie, a co najmniej nasz namiot.

Ayla patrzyła, jak chwycił gęstą sierść na karku wilka, i uśmiechnęła się. Cieszyła ją ta zmiana postawy wobec zwierzęcia. Nie chodziło o to, że Jondalar kiedykolwiek był dla niego niedobry, ani nawet że go nie lubił. Nigdy jednak nie był tak otwarcie przyjazny i czuły wobec niego. Było oczywiste, że Wilka też cieszą okazywane mu uczucia.

Odpędzacz Wilka oszczędził im znacznie większych szkód, ale nie utrzymał wilków w odległości od zapasów żywności. Stracili prawie wszystko. Zniknęła większość suszonego



mięsa i placuszków podróźnej żywności, a wiele paczek z suszonymi owocami, warzywami i ziarnem była podarta lub też zniknęła, prawdopodobnie zabrana przez inne zwierzęta po odejściu wilków.

- Może powinniśmy byli wziąć więcej żywności, którą proponowali nam S'Armunai - zmartwiła się Ayla - ale oni sami mieli tak mało. Właściwie moglibyśmy wrócić.

- Wolałbym nie wracać. Sprawdźmy, co nam zostało. Jeśli będziemy polować, to może nam wystarczy, żeby dojść do Losadunai. Thonolan i ja spotkaliśmy kilku z nich i przenocowaliśmy u nich. Zaprośili nas, żebyśmy wrócili i trochę z nimi pobyli.

- Czy dadzą nam żywność na dalszą drogę?

- Myślę, że tak - odrzekł Jondalar i nagle uśmiechnął się. -Właściwie wiem na pewno, że dadzą. Mam u nich przyszłe zobowiązanie.

- Przyszłe zobowiązanie? - powiedziała Ayla z pytającą miną. - Czy są twoimi krewnymi? Jak Sharamudoi?

- Nie, nie są krewnymi, ale byli przyjaźni i mają kontakty handlowe z Zelandonii. Niektórzy znają nasz język.

- Mówiłeś o tym kiedyś, ale nigdy nie zrozumiałam, co to jest "przyszłe zobowiązanie"?

- Przyszłe zobowiązanie to obietnica, że dostaniesz to, o co poprosisz kiedyś w przyszłości, w zamian za coś, co jest dane lub częściej wygrane w przeszłości. Na ogół używa się tego, kiedy ktoś grał i przegrał więcej, niż może zapłacić, ale czasem także w innych okolicznościach - wyjaśnił Jondalar.

- W jakich okolicznościach? - Ayla miała wrażenie, że coś się w tym kryje i że powinna to zrozumieć.

- Czasami, żeby odplacić komuś za to, co zrobił, na ogół coś specjalnego, co trudno wycenić. Ponieważ nie daje się żadnych ograniczeń, przyszłe zobowiązanie może stanowić poważne obciążenie, ale większość ludzi nie żąda więcej niż to, co jest właściwe. Często samo przyjęcie takiego zobowiązania pokazuje zaufanie i dobrą wolę. To jest sposób ofiarowania przyjaźni. Ayla skinęła głową. Istotnie kryło się w tym coś więcej.

- Laduni jest mi winien przyszłe zobowiązanie - ciągnął dalej mężczyzna. - Nie jest to jakieś wielkie żądanie, ale jest zobowiązany dać mi to, o co poproszę, a mogę poprosić o cokolwiek. Myślę, że będzie zupełnie zadowolony, iż może wypełnić swoje zobowiązanie żywnością, którą prawdopodobnie i tak by nam dał.

- Daleko jest stąd do Losadunai? - spytała Ayla.

- Dość daleko. Mieszkają na zachodnim krańcu tych gór, a my jesteśmy na

wschodnim, lecz podróż wzdłuż rzeki nie będzie trudna. Będziemy jednak musieli się przez nią przeprawić. Mieszkają po drugiej stronie, ale możemy to zrobić wyżej, w górze jej biegu.

Postanowili przenocować i dokładnie obejrzeni wszystko, co im pozostało. Właściwie stracili tylko żywność. Kiedy złożyli razem wszystko, co dawało się uratować, była to mizerna kupka, lecz rozumieli, że mogło być gorzej. Będą musieli polować i zbierać żywność po drodze, ale większość rzeczy była nienaruszona i po niejakich naprawach całkowicie nadawała się do użytku, poza pojemnikiem na mięso, który był podarty na strzępy. Łódka ochroniła ich rzeczy przed złą pogodą, nawet jeśli nie przed wilkami. Rano musieli zdecydować, czy nadal ciągnąć ją ze sobą, czy zostawić.

- Wchodzimy w górzyste tereny. Możemy mieć z nią dużo kłopotów - powiedział Jondalar.

Ayla oglądała drągi. Z trzech drągów, których użyli, żeby zawiesić wysoko żywność, jeden był złamany, ale i tak potrzebne im były tylko dwa do włóka.

- Może weźmy ją teraz, a jeśli okaże się naprawdę kłopotliwa, zawsze będziemy ją mogli zostawić później.

Podróżując na zachód, wkrótce zostawili za sobą owiane wiatrem równiny. Wschodnio-zachodni bieg Wielkiej Matki Rzeki, wzdłuż którego szli, zaznaczał linię wielkiej wałki między najpotężniejszymi siłami na Ziemi, toczonej w niesłychanie powolnym tempie geologicznego czasu. Na południe leżało przedgórze wysokich gór, których wierzchołki nigdy nie rozgrzewały się w czasie letnich dni. Wyniosłe szczyty rok po roku akumulowały śnieg i lód i błyszczały w czystym, mroźnym powietrzu. Wyżyny na północy, zbudowane z krystalicznej skały niezmiernego masywu, były zaokrąglonymi i wygładzonymi pozostałościami starodawnych gór, zdartych przez erozję na przestrzeni wieków. Wypiętrzyły się w najwcześniejszej epoce i były zakotwiczone w najgłębszym podłożu skalnym. Potężne siły kontynentów, poruszających się wolno i nieubłagane z południa, powstrzymane przez tę nieporuszoną podstawę, zgmiotły i pofałdowały twardą skałę ziemskiej skorupy, podnosząc olbrzymi system górski. Starodawny masyw jednak nie wyszedł bez szwanku przed potężnymi siłami, które stworzyły wyniosłe góry. Przechyły, uskoki i przełomy, widoczne w stałej, krystalicznej strukturze skał, zapisały w kamieniu historię gwałtownego fałdowania i niewyobrażalnego naporu od południa. W tej samej epoce wzniesione zostało nie tylko wysokie pasmo zachodnie na lewo od podróżników, i kolejne jeszcze dalej na zachód, ale również długie, zakrzywione wschodnie pasmo, które okrążyli, oraz cała seria łańcuchów górskich, ciągnących się na wschód aż do najwyższych szczytów na Ziemi.

Później, podczas epoki lodowcowej, kiedy przeciętna roczna temperatura była niższa,

lód pokrywał nawet niewielkie wzniesienia połyskującą skorupą. Powoli pełną do przodu lodowiec wypełniał i powiększał doliny i rozpadliny, pozostawiał wymyte pokłady i tarasy żwiru i rzeźbił ostre, wystające kamienne baszty, wykute w młodszych skałach. Zimą śnieg i lód pokrywały północne podgórze. Tylko jednak najwyżej położone tereny, najbliższe oblodzonych gór, przykrywał prawdziwy lodowiec, trwała warstwa lodu, która leżała latem i zimą.

U podnóża zwietrzałych gór na północy ciągnęły się stosunkowo równe płaskowyże i tarasy, gdzie rzeki w swym górnym biegu płynęły wolno płytkimi dolinami, choć przyspieszały nieco w połowie swej drogi. Oprócz tych, które spadały bezpośrednio po ścianie masywu, rzeki na bardziej stromych zboczach południowej strony były bardziej wartkie. Żyzna kraina bogatego lessu, przez którą toczyła swe wody Wielka Matka Rzeka, stanowiła linię demarkacyjną między łagodnymi wyżynami pomocy i górskim południem.

Ayla i Jondalar kierowali się niemal prosto na zachód, podróżując północnym brzegiem rzeki przez otwarte przestrzenie rzecznej doliny. Chociaż nie była już tą niesłychanie potężną Matką wszystkich rzek, jak w dole swojego biegu. Wielka Matka Rzeka nadal miała pokaźne rozmiary, a po kilku dniach, zgodnie ze swym charakterem, znowu rozdzieliła się na wiele koryt.

Pół dnia drogi za tym rozwidleniem dotarli do dużego dopływu, którego wzburzone wody, spadające z wyżej położonego terenu, wyglądały groźnie, z sopłami lodu tworzącymi zamrożone firany i wzgórkami kry wzdłuż obu brzegów. Dopływy z północy nie wypływały już ze znajomych gór, które zostawiali za sobą. Te wody pochodziły z nieznanego obszaru na zachodzie. Zamiast przeprowiać się przez tę niebezpieczną rzekę, czy też iść w górę jej biegu, Jondalar postanowił zawrócić i przejść przez rozlane kanały Matki.

Była to dobra decyzja. Chociaż niektóre z kanałów były szerokie i pokryte lodem przy brzegach, na ogół lodowata woda zaledwie sięgała końskich boków. Nie myśleli o tym nawet, dopiero wieczorem przy ognisku zdali sobie sprawę z tego, że wraz z dwoma końmi i wilkiem wreszcie przekroczyli Wielką Matkę Rzekę. Po niebezpiecznych i dramatycznych przygodach przy pokonywaniu innych rzek ta przeprawa była tak łagodna, że niemal rozczarowywała, ale nie martwili się z tego powodu. Samo podróżowanie podczas zimowych mrozów było wystarczająco niebezpieczne. Większość ludzi siedziała bezpiecznie w ciepłych ziemiankach, a przyjaciele i krewni wychodzili na poszukiwania, jeśli ktoś zbyt długo pozostawał na dworze. Ayla i Jondalar byli całkowicie zdani na siebie samych. Gdyby cokolwiek się zdarzyło, mogli tylko liczyć na siebie i swoich zwierzęcych towarzyszy.

Grunt powoli podnosił się i zaczęli zauważać drobną zmianę roślinności. Między

świerkami i sosnami na brzegu rzeki zaczęły pojawiać się jodły i modrzewie. Temperatura w rzecznej dolinie była bardzo niska; z powodu atmosferycznej inwersji było tam często zimniej niż w otaczających górach. Chociaż śnieg i lód pobilił wokół zbocza, opady w dolinie należały do rzadkości. Nieliczne, lekkie i suche płatki nie potrafiły pokryć gruntu, poza zagłębieniami i depresjami, a czasami nawet i tam nie docierały. Z braku śniegu jedynym sposobem zdobycia pitnej wody dla siebie i zwierząt było rąbanie lodu na rzece kamiennymi siekierami i topienie go.

Tym bardziej uświadomiło to Ayli los zwierząt, które wędrowały po równinach w dolinie Wielkiej Matki Rzeki. Były to te same odmiany, jakie widzieli po drodze na stepach, ale dominowały stworzenia przywykłe do mrozów. Wiedziała, że potrafiły przetrwać na paszy z suchych roślin, łatwo dostępnych na lodowatych, ale zasadniczo bezśnieżnych terenach, zastanawiała się jednak, skąd brały wodę.

Pomyślała, że wilki i inne drapieżniki prawdopodobnie czerpały niezbędny im płyn z krwi zabijanych zwierząt, a zresztą poruszały się po tak dużym terytorium, że mogły znaleźć nieco śniegu czy pokruszonego lodu do żucia. Ale co z końmi i innymi trawożnymi zwierzętami? Jak znajdowały wodę w krainie, która zimą zamieniała się w zamarznąłą pustynię? Na pewnych obszarach było dosyć śniegu, ale inne były nagimi regionami skały i lodu. A jednak, niezależnie od tego, jak było sucho, jeśli tylko istniał jakiś rodzaj paszy, były i zwierzęta.

Ayla widziała więcej włochatych nosorożców niż gdziekolwiek indziej, chociaż nadal były dość rzadkie. Na tych samych terenach napotykali także woły piżmowe, mimo że te nie zbierały się w stada. Oba gatunki lubiły otwarte, przewiane wiatrem i suche przestrzenie, ale nosorożce wołały trawę i turzycę, podczas gdy woły piżmowe skubały zdrewniałe krzaki. Duże renifery i olbrzymie jelenie z potężnym porożem także mieszkwały w tej zamarznętej krainie, jak również konie z grubą zimową sierścią, ale wśród populacji zwierzęcej w dolinie górnego biegu Wielkiej Matki Rzeki wybijały się mamuty.

Ayli nigdy nie nudziło obserwowanie tych potężnych bestii. Choć czasami na nie polowano, były tak pozbawione strachu, że niemal zdawały się oswojone. Często pozwalały Ayli i Jon-dalarowi podejść dość blisko siebie, nie wyczuwając z ich strony żadnego niebezpieczeństwa. Jeśli ktoś był zagrożony, to ludzie. Włochate mamuty nie należały do największych okazów swojego gatunku, były jednak największymi zwierzętami, jakie ta para ludzi kiedykolwiek widziała - czy też jakie większość ludzi będzie kiedykolwiek miała okazję zobaczyć - a ze swoją gęstą sierścią i olbrzymimi, zakrzywionymi ciosami wydawały się z bliska większe, niż Ayla pamiętała.

Ich niezmiernie kły zaczynały rosnać u cieląt jako niespełna pięciocentymetrowe ciosy, powiększone górne siekacze. Po roku cielęta traciły niemowlęce siekacze i zastępowały je stałe ciosy, które odtąd rosły przez całe życie zwierzęcia. Chociaż były ozdobą ważną w kontaktach z innymi przedstawicielami własnego gatunku, spełniały także bardziej praktyczne funkcje. Mamuty używały ich do łamania lodu, w czym były wprost fenomenalne.

Ayla zobaczyła to pierwszy raz, kiedy obserwowała stado samic zbliżających się do zamarzniętej rzeki. Wiele z nich używało swoich kłów - nieco mniejszych i prostszych niż te, które miały samce - żeby wydzierać kawały lodu ze szczelin skalnych. Z początku nie rozumiała, co one robią, aż zobaczyła niewielką samicę, która podniosła trąbę kawałek lodu i włożyła go do pyska.

- Woda! - krzyknęła. - Tak zdobywają wodę. Zastanawiałam się nad tym.

- Masz rację. Nigdy o tym nie myślałam, ale jak to teraz mówisz, to przypomina mi się, że Dalanar coś o tym kiedyś wspominał. Jest bardzo dużo powiedzeń o mamutach. Jedno, które pamiętam, brzmi: "Gdy mamuty na północ wędrują, podróżnicy postój szykują", chociaż to samo można powiedzieć o nosorożcach.

- Nie rozumiem tego powiedzenia.

- To znaczy, że nadciąga burza śnieżna - odparł Jondalar. - One zawsze zdają się o tym wiedzieć. Te wielkie włochacze niezbyt lubią śnieg. Pokrywa ich paszę. Mogą użyć kłów i trąb do odgarnięcia śniegu, ale nie wtedy, kiedy jest naprawdę głęboki i w nim grzęzną. Szczególnie jest niebezpieczny, kiedy przychodzi na przemian odwilż i mróz. Kładą się wieczorem na jeszcze wpoiroztopionym od popołudniowego słońca gruncie, a rano ich sierść jest przymarznięta do podłoża. Nie mogą się poruszyć. Łatwo wtedy na nie polować, ale jeśli nie ma w pobliżu myśliwych i nie przychodzi odwilż, mogą powoli umrzeć z głodu. Niektóre, szczególnie mniejsze, zamarzają na śmierć.

- A co to ma wspólnego z wędrowką na północ?

- Im bliżej lodowca, tym mniej śniegu. Pamiętasz, jak poszliśmy polować na mamuty z Mamutoi? Woda była jedynie w strumieniu, który wypływał z samego lodowca, a to było lato. Zimą wszystko jest zamarznięte.

- To dlatego jest tutaj tak mało śniegu?

- Tak, ta okolica jest zawsze zimna i sucha, szczególnie w zimie. Wszyscy mówią, że to z powodu bliskości lodowców. Są na górach na południu, a i Wielki Lód jest niedaleko stąd na północ. Większość ziemi pomiędzy to kraina płaskogło... mam na myśli: kraina klanu. Zaczyna się trochę na zachód stąd. -Jondalar zauważył wyraz twarzy Ayli na jego przejęzyczenie się i poczuł wstyd. - Tak czy inaczej, jest jeszcze jedno powiedzenie o

mamutach i wodzie, ale nie pamiętam go dokładnie. To coś w rodzaju: "Jeśli nie możesz znaleźć wody, poszukaj mamuta".

- To powiedzenie rozumiem - powiedziała Ayla, patrząc na coś za jego plecami. Jondalar odwrócił się.

Stado samic przesunęło się kawałek w górę rzeki i przyłączyło do kilku samców. Wiele z nich obrabiało wąską, niemal pionową krawędź lodu, który zgromadził się wzdłuż brzegu rzeki. Większe samce - w tym jeden pełen godności starzec z pasmami siwej sierści, którego imponujące, acz mniej użyteczne ciosy wyrosły tak bardzo, że krzyżowały się z przodu - złościły i odrywały potężne kawały lodu z krawędzi. Podnosiły je wysoko trąbami i rzucały z siłą na ziemię. Z głośnym trzaskiem lód rozpadał się na niniejsze, bardziej zdatne do użytku kawałki. Pracy tej towarzyszyły ryki, trąbienie, parsknięcia i tupanie. Potężne, włochate stworzenia zdawały się zamieniać tę pracę w zabawę. Hałaśliwa procedura rozłupywania lodu była czymś, czego uczyły się wszystkie mamuty. Nawet młode, zaledwie dwu- lub trzyletnie, które niedawno straciły swoje mleczne ciosy, miały ślady na zewnętrznych krawędziach małych, sześciocentymetrowych kłów od skrobania lodu, a koniuszki sześćdziesięciocentymetrowych kłów dziesięciolatków były wygładzone przez przesuwanie nimi w górę i w dół po pionowych lodowych powierzchniach. Kiedy mamuty osiągały dwudziesty piąty rok życia, ich kły zaczynały rosnać do przodu, w górę i do środka, i sposób ich użycia się zmieniał. Niższe powierzchnie zaczynały wykazywać ślady zużycia od skrobania lodu i odgarniania śniegu, który pokrywał suchą trawę i rośliny na stepach. Łamanie lodu jednak mogło być niebezpieczne, ponieważ wraz z lodem łamały się czasem ciosy. Nawet jednak odłamane koniuszki wygładzały się przez późniejsze skrobanie i złościenie lodu.

Ayla zobaczyła, że wokół zgromadziły się inne zwierzęta. Stada włochaczy z ich potężnymi ciosami wyłamywały dosyć lodu dla siebie, włącznie z młodymi i starcami, ale również dla tych, którzy szli za nimi. Dla wielu zwierząt chodzenie po śladach migrujących mamutów przynosiło korzyści. Wielkie włochacze nie tylko pozostawiały zimą sterty luźnych kawałków lodu, dzięki którym inne zwierzęta mogły ugasić pragnienie, lecz latem używały swoich ciosów i nóg do kopania dołów w suchych korytach rzecznych, które napełniały się wodą. Wodopoje, które w ten sposób tworzyły, były także używane przez inne zwierzęta.

Podróżnicy podążali wzdłuż zamrożonego szlaku wodnego -to jadąc, to idąc - dość blisko brzegu Wielkiej Matki Rzeki. Przy tak małej ilości opadów śnieg nie okrył ziemi białą,

miękką kołdrą, i roślinność wystawiała swoją szarą zimową twarz. Wysokie łądygi zeszłorocznych trzciny i pałki wznosiły się odważnie z zamrożonego łoża moczarów, podczas gdy martwe paprocie i turzyce płożły się koło lodu spiętrzonego przy brzegach. Porosty pokrywały skały jak strupy gojących się ran, a mchy skurczyły się w krusze, suche dywany.

Długie, nagie palce bezlistnych gałęzi grzechotały w ostrym i przenikliwym wietrze, a tylko wprawne oko potrafiło rozróżnić, czy były to wierzby, brzozy czy olchy. Łatwiej było rozpoznać ciemnozielone drzewa iglaste - świerki, jodły i sosny -i chociaż modrzewie straciły swoje igły, zdradzał je ich kształt. Kiedy wspięli się na wyższy poziom, żeby polować, zobaczyli przygięte karłowate brzozy i sosny, czepiające się gruntu.

Mała zwierzyna dostarczała im większości posiłków; duża wymagała na ogół więcej czasu na wytropienie i polowanie, niż byli skłonni poświęcić, chociaż kiedy zobaczyli jelenia, natychmiast za nim ruszyli. Mięso zamarzło szybko i nawet Wilk nie musiał polować przez kilka dni. Króliki, zające i od czasu do czasu bobry, obfite w tym górskim terenie, były ich normalną strawą, ale natrafiali również na stepowe zwierzęta z suchego, kontynentalnego klimatu - olbrzymie chomiki i świstaki. Zawsze cieszył ich widok pardw, tłustych, białych ptaków z opierzonymi łapami.

Ayla często z powodzeniem używała procy; zachowywali miotacze oszczepów na większą zwierzynę. Łatwiej było znaleźć kamienie niż zrobić nowe oszczepy, żeby zastąpić te, które się łamały lub ginęły. Czasami jednak polowanie zabierało im więcej czasu, niż chcieli, a wszystko, co zabierało czas, drażniło Jondalara.

Często uzupełniali swoją dietę, na ogół składającą się z chudego mięsa, wewnętrzną korą drzew, którą gotowali wraz z mięsem. Byli zachwyceni każdym znalezieniem jagód, zamrożonych, ale nadal trzymających się na krzakach. Jagody jałowca, szczególnie dobre do mięsa, jeśli nie używane w zbyt dużych ilościach, były wszędzie; rzadziej natykali się na owoce róży, lecz w miejscach, gdzie je napotykali, rosło ich mnóstwo i zawsze były słodsze po zamrożeniu; płożące się bażyny z wąskimi, wiecznie zielonymi liśćmi miały małe, błyszczące, czarne jagody, które często trwały na krzakach przez całą zimę, tak samo jak wiśniowe jagody mącznicy i czerwone borówki.

Do mięsnych zup dodawali także ziarna i nasiona, pracowicie zbierane z wyschłych traw i ziół, które nadal miały kłosa, chociaż znalezienie ich zabierało sporo czasu. Większość nasiennych ziół już dawno zniszczyła i rośliny leżały uśpione, aż wiosenne odwilże zbudzą je do nowego życia. Ayli brakowało suszonych warzyw i owoców, które zniszczyły im wilki, ale nie żałowała zapasów danych S'Armunie.

Latem Whinney i Zawodnik karmiły się niemal wyłącznie trawą, teraz jednak Ayla

zauważyła, że skubały również koniuszki gałęzi, przegryzały korę drzew, żeby dostać się do wewnętrznej jej warstwy, jak również jadły pewien rodzaj porostów, ten, który lubiły renifery. Zebrała ich trochę i wypróbowała na sobie małą ilość, a potem przyrządziła dla obojga. Uznali, że smak porostów był ostry, ale dawał się znieść, i Ayla zaczęła eksperymentować z różnymi sposobami przyrządzania ich.

Jeszcze innym źródłem pożywienia były małe gryzonie, takie jak nornice, myszy i lemingi; nie same zwierzęta - Ayla na ogół pozwalała Wilkowi na wzięcie ich w nagrodę za pomoc w ich wytropieniu - ale ich norki. Szukała ukrytych śladów nory, ki-jem-kopaczką przełamywała zamrożony grunt i znajdowała małe zwierzątka otoczone nasionami, orzechami i bulwami, które zgromadziły na zimę.

Ayla miała także swoją torbę znachorską. Kiedy myślała o zniszczeniu dokonanym na rzeczach, które zostawili w kryjówce, wstrząsała się na myśl o tym, co by się stało, gdyby zostawiła tam swoją torbę znachorską. Nigdy by tego nie zrobiła, ale sama myśl o jej utracie powodowała kurcz żołądka. Była tak bardzo częścią niej samej, że bez niej czułaby się zagubiona. Co więcej, preparaty przechowywane w torbie wraz z całą bogatą wiedzą, nagromadzoną metodą prób i błędów, utrzymywały podróżników w znacznie lepszym stanie zdrowia, niż sobie z tego w pełni zdawali sprawę.

Ayla wiedziała, na przykład, że rozmaite zioła, kora i korzenie mogą być używane do leczenia pewnych chorób lub zapobiegania im. Chociaż nie nazywała ich chorobami niedoborów ani nie miała nazwy na witaminy i pierwiastki śladowe zawarte w ziołach - nawet nie wiedziała, jak działają - miała wiele z tych roślin w swojej torbie i regularnie dodawała je do herbaty, jaką pili. Używała także roślin łatwo dostępnych nawet zimą, takich jak igły drzew iglastych, szczególnie najmłodsze pędy z koniuszków gałęzi, bogate w witaminy zapobiegające skorbutowi. Zawsze dodawała je do codziennej herbaty, przede wszystkim dlatego, że lubili ich cierpki, cytrusowy zapach, ale również dlatego, że znała ich dobroczynne działanie i wiedziała, kiedy i jak ich używać. Często robiła napar z igieł dla ludzi z rozmięczonymi, krwawiącymi dziąsłami, których zęby zaczynały chwiać się podczas długiej zimy, gdy suszone mięso stanowiło zasadniczy pokarm.

Podczas drogi na zachód przyzwyczaili się do zbierania żywności w marszu, co pozwalało im poświęcać maksymalną ilość czasu na wędrowanie. Zdarzały się bardzo skąpe posiłki, ale rzadko obywali się zupełnie bez jedzenia. Przy tak małej jednak ilości tłuszczu w posiłkach i przy codziennym wysiłku fizycznym stracili na wadze. Nie mówili o tym często, ale oboje byli już zmęczeni podróżowaniem i marzyli o dojściu na miejsce. Podczas dnia na ogół w ogóle dużo nie rozmawiali.



Jadąc na koniach czy też je prowadząc, szli często jedno za drugim, dość blisko, by usłyszeć głośno wypowiedziane zdanie, ale nie na tyle, by prowadzić rozmowę. W rezultacie oboje mieli dużo czasu na rozmyślania o sprawach, o których rozmawiali niekiedy wieczorem lub podczas posiłków, lub też leżąc obok siebie w futrach.

Ayla często myślała o ich niedawnych przeżyciach. Myślała o Obozie Trzech Sióstr i porównywała S'Armunai i ich okrutnych przywódców, jak Attaroa i Brugar, do ich krewniaków, Mamutoi, oraz ich współpracujących i przyjacielskich współ-przywódców, braci i sióstr. Zastanawiała się nad Zelandonii, ludźmi mężczyzny, którego kochała. Jondalar miał tak wiele przymiotów, że była przekonana, iż są to dobrzy ludzie, ale biorąc pod uwagę ich stosunek do klanu, nadal nie była pewna, jak na nią zareagują. Również S'Armuna mówiła o ich silnej niechęci do tych, których nazywali płaskogłowymi, ale była pewna, że żaden Zelandonii nigdy nie będzie tak okrutny jak przywódczyni S'Armunai.

- Nie rozumiem, jak Attaroa mogła postępować w ten sposób, Jondalarze - powiedziała Ayla przy wieczornym posiłku. - To daje do myślenia. Zastanawiam się...

- Nad czym się zastanawiasz?

- Nad moim rodzajem ludzi, Innymi. Kiedy spotkałam ciebie, ogarnęła mnie wdzięczność: wreszcie znalazłam kogoś takiego jak ja. To była ulga dowiedzieć się, że nie jestem sama na tym świecie. Potem, kiedy okazałeś się taki nadzwyczajny, dobry i kochający, myślałam, że wszyscy moi ludzie są tacy jak ty, i było mi bardzo dobrze. - Miała zamiar dodać, że tak było do momentu, w którym zareagował z taką odrazą na jej opowieść o życiu w klanie, ale zmieniła zamiar na widok uśmiechu Jon-dafara, który zarumienił się nieco z zażenowania i wyraźnie był szczęśliwy z pochwały. Poczł przyptyw ciepła na te słowa i pomyślał, że ona też jest całkiem nadzwyczajna. - Potem, kiedy spotkaliśmy Mamutoi, Taluta i Obóz Lwa - mówiła dalej Ayla - byłam pewna, że wszyscy Inni to dobrzy ludzie. Pomagali sobie wzajemnie i wszyscy mieli prawo zabrać głos przy podejmowaniu decyzji. Byli przyjacielscy i śmiali się dużo, i nie odrzucali pomysłu tylko dlatego, że nigdy przedtem o czymś takim nie słyszeli. Był Frebec, oczywiście, lecz on także nie okazał się aż tak zły. Nawet ci na Letnim Spotkaniu, którzy zwrócili się przeciwko mnie ze względu na klan, czy też niektórzy Sharamudoi, robili to z nieuzasadnionego strachu, a nie ze złych intencji. Ale Attaroa była zła jak hiena.

- Attaroa była tylko jedna - przypomniał jej Jondalar.

- Tak, ale spójrz, jaki miała wpływ. S'Armuna użyła uświęconej wiedzy, żeby pomóc jej zabijać i ranić ludzi, chociaż potem tego żałowała, a Epadoa była gotowa zrobić wszystko, czego zażądała Attaroa.

- Miały swoje powody. Te kobiety były bardzo źle traktowane.

- Znam te powody. S'Armuna myślała, że postępuje słusznie, Epadoa uwielbiała polować i kochała Attarotę za danie jej możliwości polowania. Znam to uczucie. Też lubię polować i sprzeciwiłam się klanowi, żeby móc chodzić na łowy.

- No cóż, Epadoa może teraz polować dla całego obozu. Myślę, że ona nie jest taka zła - powiedział Jondalar. - Zdaje się, że zaczęła odkrywać macierzyńskie uczucia. Doban powiedział mi o jej obietnicy, że nigdy go więcej nie skrzywdzi i nie pozwoli na to nikomu innemu. Jej uczucia do niego mogą być mocniejsze, ponieważ zrobiła mu taką straszliwą krzywdę, a teraz ma szansę zadośćuczynienia.

- Epadoa nie chciała okaleczyć tych chłopców. Powiedziała S'Armunie, że bała się, iż jeśli nie wykona rozkazu Attaroi, ona ich zabije. To były jej powody. Również Attarota je miała. Tyle było zła w jej życiu, że sama stała się złem. Przestała być człowiekiem, lecz nic nie może jej usprawiedliwić. Jak mogła zdobyć się na to, co zrobiła? Nawet Broud nie był aż tak zły. Nigdy umyślnie nie okaleczyłby dzieci. Myślałam, że mój rodzaj ludzi jest dobry, ale już nie jestem tego pewna. - W jej głosie zabrzmiał smutek.

- Istnieją ludzie dobrzy i źli, Aylo, i w każdym jest trochę dobrego, a trochę złego - rzekł Jondalar, a na jego czole pojawiły się zmarszczki zatroskania. Wyczuwał, że Ayła próbuje wpasować najnowsze, niemiłe doświadczenie w swój własny system rozumienia świata, i wiedział, iż jest to ważne. - Większość to porządni ludzie, którzy próbują pomóc sobie wzajemnie. Wiedzą, że to jest niezbędne - w końcu, nigdy przecież nie możesz przewidzieć, kiedy będziesz sam potrzebować pomocy - i większość ludzi woli być przyjazna.

- Ale są tacy jak Attarota, skrzywieni - odparła Ayła.

- To prawda. I są tacy, którzy dają tylko dlatego, że muszą, choć woleliby wcale nie dawać, lecz z tego powodu jeszcze nie są źli.

- Jeden zły człowiek może jednak wydobyć z dobrych ludzi wszystko, co najgorsze, jak Attarota zrobiła z S'Armuną i Epadoa.

- Chyba jedyne, co możemy zrobić, to nie dopuścić, by źli i okrutni wyrządzali innym krzywdę. Może mamy szczęście, że niewielu ludzi jest takich jak ona. Ale, Aylo, nie pozwól, by jeden zły człowiek zepsuł twoją dobrą opinię o innych.

- Attarota nie może zmienić mojej opinii o ludziach, których znam, i jestem pewna, że masz rację w przypadku większości ludzi, lecz po jej poznaniu jestem ostrożniejsza, mniej ufna.

- Na początek nie zawadzi trochę ostrożności, ale daj ludziom szansę pokazania swoich dobrych stron, zanim uznasz, że są źli.

Posuwali się na zachód wyżyną ciągnącą się wzdłuż północnego brzegu rzeki. Wyrzeźbione wiatrem drzewa iglaste na zaokrąglonych szczytach i płaskowyżach masywu rysowały się na tle nieba. Rzeka znowu rozdzieliła się na szereg odnóg. Południowe i północne obrzeża doliny zachowały swój charakter, ale skalne podłoże było popękane, a między rzeką i wapiennym podgórzem wysokich południowych gór uskoki dochodziły do wielkich głębokości. Na zachodzie rysowała się stroma krawędź wapiennej linii uskokowej. Rzeka zmieniła kierunek na północno--zachodni.

Wschodni kraniec nizinnej niecki też był obramowany grzbietem uskoku, spowodowanym nie tyle przez podniesienie wapiennej skały, ile przez depresję dna niecki. Teren, początkowo płaski na południu, wznosił się w kierunku gór, granitowy płaskowyż zaś na północy urywał się niemal pionowo tuż nad rzeką.

Przenocowali na nizinie. Nieopodal rzeki między świerkami, jodłami i sosnami pojawiły się szara kora i nagie gałęzie buków; okolica była wystarczająco osłonięta, by zapewnić spokojny rozwój kilku drzewom o dużych liściach. Koło drzew kręciło się niespokojnie małe stado mamutów, zarówno samic, jak i samców. Ayla podeszła ostrożnie bliżej, żeby zobaczyć przyczynę zamieszania.

Jeden z mamutów leżał na ziemi, olbrzymi starzec z wielkimi ciosami, które krzyżowały się z przodu. Pomyślała, że to może być ta sama grupa, którą widzieli wcześniej przy łamaniu lodu. Chyba nie mogło być dwóch takich starców w tej samej okolicy? Jondalar podszedł do niej.

- Obawiam się, że on umiera. Chciałabym móc mu pomóc -powiedziała Ayla.

- Prawdopodobnie stracił zęby. Wtedy nic nie można uczynić poza tym, co one właśnie robią. Są z nim razem, żeby nie umierał samotnie.

- Może nikt z nas nie może żądać więcej.

Dorosły mamut wymagał dużych ilości paszy dziennie, przede wszystkim zdrewniałych łodyg traw i czasami małych drzew. Przy tego typu pożywieniu zęby były niezbędne. Były tak ważne, że długość życia mamuta była zdeterminowana przez jego zęby. W ciągu około siedemdziesięciu lat życia włochaty mamut wielokrotnie wymieniał zestawy dużych, mielących zębów trzonowych, na ogół po sześć z każdej strony w górnej i dolnej szczęce. Każdy ząb ważył około czterech kilogramów i był specjalnie przystosowany do rozcierania zdrewniałej, szorstkiej trawy. Powierzchnię tworzyło wiele niezwykle twardych, wąskich, para-lelnych wypukłości - zębiny pokrytej szkliwem. Miały wyższe korony i więcej wypukłości niż zęby jakichkolwiek innych zwierząt, przedtem i potem. Mamuty odżywiały

się przede wszystkim trawą. Strzępy kory, które odrywały z drzew, szczególnie zimą, wiosenna ruń i okazjonalnie liście, gałęzie oraz małe drzewa były tylko nieznacznym dodatkiem do ich zasadniczej karmy złożonej z twardej, włóknistej trawy.

Najwcześniejsze i najmniejsze zęby trzonowe formowały się niemal z przodu szczęk, a pozostałe wyrastały za nimi i nieustannie przesuwwały się do przodu podczas życia zwierzęcia.

Tylko jeden lub dwa zęby były używane jednocześnie. Mimo swej twardości powierzchnia żująca zużywała się w trakcie przesuwania się do przodu i korzeń się rozpuszczał. Wreszcie ostatni, cienki i bezużyteczny kawałek zęba wypychany był przez nowy ząb, który przesunął się na jego miejsce. Ostatnie zęby wchodziły w użycie w wieku około pięćdziesięciu lat, a kiedy były niemal starte, siwowłósy starzec nie mógł już dłużej żuć trawy. Pozostawały mu jedynie miękkie liście i młode wiosenne rośliny, które nie były dostępne w pozostałych porach roku. W rozpaczynie niedożywiony starzec często porzucał stado w poszukiwaniu zieleńszych pastwisk, ale znajdował tylko śmierć. Stado wiedziało, kiedy zbliżał się koniec, i często można było zobaczyć mamuty dotrzymujące starcowi towarzystwa w tych ostatnich dniach. Mamuty opiekowały się umierającymi tak jak noworodkami i gromadziły się wokół, próbując pomóc stanąć na nogi leżącym starcom. Kiedy było po wszystkim, grzebały swojego zmarłego przodka pod stertami ziemi, trawy, liści lub śniegu. Zdarzało się, że mamuty grzebały również inne zmarłe zwierzęta, w tym ludzi.

Opuściwszy niziny i mamutów, Ayla, Jondalar i ich czworonożni towarzysze podróży zaczęli podążać bardziej stromą i trudniejszą drogą. Zbliżali się do przełomu rzeki. Wspinali się coraz wyżej, podczas gdy woda pędziła przez wąską przełęcz, zbyt szybka, by zamrznąć, ale niosła ze sobą płyty kry ze spokojniejszych odcinków dalej na zachodzie. Dziwny był widok płynącej wody w tej skutej lodem krainie. Przed szczytami o wysokich wierzchołkach na południu ciągnął się wysoki skalisty płaskowyż o urwistych stokach, podobne do masywu górskiego wzgórza o płaskich koronach, na których rosły gęste gaje drzew iglastych z oproszonymi śniegiem gałęziami. Nagie gałęzie liściastych drzew i krzewów pokrywała warstewka lodu z zamarznętego deszczu; zachwyciły Aylę swoim zimowym pięknem.

Teren wciąż się podnosił, kolejne kotliny leżały zawsze wyżej od poprzednich. Powietrze było mroźne i czyste, a nawet kiedy było pochmurno, śnieg nie padał. Opady zmniejszały się w miarę postępu zimy. Jedyne wilgoć w powietrzu stanowiły ciepłe oddechy ludzi i zwierząt.

Rzeka lodu stawała się coraz mniejsza za każdym razem, gdy przechodzili przez

zamarznięty dopływ. Na zachodnim krańcu kotliny znajdowała się kolejna przełęcz. Wspięli się na skalisty grzbiet, a kiedy dosięgli szczytu, spojrzeli przed siebie i zatrzymali się, zachwyceni widokiem. Rzeka przed nimi znowu się rozdzielała. Podróżnicy nie wiedzieli, że już po raz ostatni tworzyła odnogi, tak dla niej charakterystyczne na płaskich nizinach, przez które płynęła na prawie całej swej długości. Przełęcz zakrecała ostro tuż przed niziną i zbierała wszystkie odgałęzienia w jedno koryto, powodując wściekłe wiry, które wciągały krę i pływające odpadki w głębiny, zanim wypluwały je gwałtownie nieco dalej, gdzie wszystko natychmiast zamarzało.

Stali na najwyższym miejscu, patrzyli w dół i obserwowali małą kłodę, która wirowała w kółko, zagłębiając się coraz bardziej przy każdym kolejnym okrążeniu.

- Nie chciałabym w to wpaść - powiedziała Ayla i wstrząsnęła się na samą myśl.

- Ani ja - odparł Jondalar.

Ayla wpatrywała się w coś w oddali.

- Skąd wydobywają się te kłęby pary, Jondalarze? Jest mróz i wszystko pokryte jest śniegiem.

- To są źródła gorącej wody, wody ogrzewanej przez gorący oddech Doni. Niektórzy ludzie boją się podchodzić do takich miejsc, ale ci, których chcę odwiedzić, mieszkają koło takiego gorącego źródła. Uważają te gorące wody za święte, chociaż niektóre okropnie śmierdzą. Słyszałem, że używają tej wody do leczenia chorób.

- Kiedy dojdziemy do tych ludzi, których znasz? Tych, co leczą choroby wodą - spytała. Wszystko, co mogło powiększyć jej wiedzę o leczeniu, zawsze wywoływało jej zainteresowanie. Ponadto mieli coraz mniej żywności, a nie chcieli tracić zbyt wiele czasu na jej szukanie - i już od dwóch dni szli głodni spać.

Za ostatnią płaską niecką teren stał się znacznie bardziej stromy. Z obu stron napierały góry. Pokrywa lodu po południowej stronie była coraz wyższa. Daleko na południe i nieco na zachód dwa szczyty wznosiły się wysoko ponad inne, poszarpane wierzchołki górskie, jeden trochę wyższy od drugiego, jak towarzysze życia pilnujący swoich dzieci.

W miejscu, gdzie wyżyna wyrównywała się nieco koło płycizny rzeki, Jondalar skręcił na południe, odchodząc od rzeki w kierunku tumanu unoszącej się w oddali pary. Wspięli się na niewielki grzbiet i z góry spojrzeli na pokrytą śniegiem łąkę przy parującym basenie wody koło jaskini.

Wielu ludzi ich zauważyło. Wpatrywali się w osłupieniu, zbyt zszokowani, by się poruszyć. Jeden z mężczyzn wymierzył w nich jednak oszczepem.

- Lepiej będzie, jak zsiądziemy z koni i podejdziemy do nich na piechotę - powiedział Jondalar, kiedy więcej ludzi z oszczepami ostrożnie i ze strachem zaczęło iść w ich stronę. - Powinniśmy się już byli nauczyć, że ludzie boją się jeźdźców na koniach. Chyba należało zostawić je gdzieś na uboczu i przyjść tutaj, powiedzieć ludziom o nich i potem po nie wrócić.

Oboje zsiadli z koni i Jondalarowi stanął nagle przed oczyma obraz Thonolana, wchodzącego do obozu czy jaskini obcych z szerokim, przyjaznym uśmiechem. Uznał to za znak, uśmiechnął się szeroko, pomachał przyjaźnie ręką, zrzucił kapuzę kurty, żeby wyraźnie widzieli jego twarz, i postąpił do przodu z wyciągniętymi rękami, pokazując, że przychodzi otwarcie i niczego nie ukrywa.

- Szukam Laduniego z Losadunai. Jestem Jondalar z Zelan-donii. Kilka lat temu podróżowałem z bratem na wschód i La-duni zaprosił nas na wizytę w drodze powrotnej.

- Ja jestem Laduni - odezwał się mężczyzna, mówiąc w ze-landonii z lekkim obcym akcentem. Podszedł do nich, trzymając oszczep w pogotowiu, i przypatrywał się uważnie temu obcemu mężczyźnie, żeby się upewnić, czy naprawdę jest tym, za kogo się podaje. - Jondalar? Z Zelandonii? Przypominasz trochę tego człowieka, którego znam.

Jondalar wyczuł ostrożność w jego głosie.

- To dlatego, że to ja! Cieszę się, że cię znowu widzę, Laduni - powiedział z radością. - Nie byłem pewien, czy skręciłem we właściwym miejscu. Przeszedłem całą drogę aż do końca Wielkiej Matki Rzeki i jeszcze poza nią, a teraz, tak blisko domu, miałem kłopoty ze znalezieniem waszej jaskini. Pomogła para z waszych gorących źródeł. Przeprowadziłem kogoś ze sobą i chciałbym ci ją przedstawić.

Starszy mężczyzna zmierzył wzrokiem Jondalara i próbował zdecydować, czy mógł to być ktoś inny, niż się na oko wydawało; a widział znajomego człowieka, który pojawił się w tak niezwykły sposób. Nieco się zestarzał, co było oczywiste, i jeszcze bardziej stał się podobny do Dalanara. Nie tak dawno temu znowu widział starego łupacza krzemienia, który przyszedł w misji handlowej i -jak podejrzewał Laduni - żeby dowiedzieć się, czy syn jego ogniska wraz ze swoim bratem przeszli tą drogą. Dalanar bardzo się ucieszy z jego powrotu - pomyślał Laduni. Podszedł do Jondalara, nieco swobodniej trzymając oszczep, ale nadal w pozycji, z której szybko mógł go rzucić. Zerknął na dwa niezwykle spokojne konie i dopiero teraz zobaczył, że koło nich stoi kobieta.

- Te konie są zupełnie niepodobne do tych, które żyją tutaj. Czy konie ze wschodu mniej się boją ludzi? Musi być dużo łatwiej na nie polować - powiedział Laduni.

Nagle spał się, podniósł oszczep do rzutu i zamierzył się nim w kierunku Ayli.

- Nie ruszaj się, Jondalarze! - krzyknął. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Jondalar zaledwie miał czas zareagować.

- Laduni! Co robisz?

- Wilk szedł po waszych śladach. Taki nieustraszony, że pokazał się tu w jasny dzień.

- Nie! - krzyknęła Ayla i rzuciła się między wilka a mężczyznę z oszczepem.

- Ten wilk podróżuje z nami. Nie zabijaj go! - Jondalar stanął między Ladunim a Aylą.

Przykucnęła i objęła wilka, mocno go trzymając, częściowo, by go zasłonić, a częściowo, by osłonić mężczyznę z oszczepem. Zjeżony Wilk pokazywał kły i warczał złowrogo.

Laduni był zaskoczony. Chciał obronić gości, ale oni zachowywali się tak, jakby miał zamiar ich skrzywdzić. Spojrzał pytająco na Jondalara.

- Proszę, opuść oszczep, Laduni - rzekł Jondalar. - Wilk jest naszym towarzyszem, tak samo jak konie. Uratował życie nam obojgu. Przrzekam ci, że nikogo nie zrani, o ile nikt nie zagrozi jemu albo tej kobiecie. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale pozwól mi wyjaśnić sytuację.

Laduni powoli opuścił oszczep, ze strachem patrząc na wilka. Kiedy groźba została zażegnana, Ayla uspokoiła zwierzę, wstała i podeszła do Jondalara i Laduniego, dając znak Wilkowi, by szedł przy nodze.

- Wybacz, proszę, Wilkowi, że się zjeżył - odezwała się. - Tak naprawdę to on lubi ludzi, jak już się z nimi zapozna, ale mieliśmy złe doświadczenie z ludźmi na wschód stąd. Dlatego jest bardziej nerwowy wobec obcych i bardziej opiekuńczy wobec nas.

Laduni zauważył, że mówiła bardzo poprawnie w zełandonii, ale jej akcent natychmiast zdradzał, że jest cudzoziemką. Zauważył także... coś innego... nie był pewien. Nie umiał tego zdefiniować. Widział wiele niebieskookich blondynek, ale układ jej kości policzkowych i rysy twarzy nadawały jej cudzoziemski wygląd. Cokolwiek by to było, nie przesłaniało to w najmniejszym stopniu faktu, że była uderzająco piękną kobietą. Może tylko dodawało tajemniczości. Spojrzał na Jondalara i uśmiechnął się. Pamiętał jego ostatnią wizytę i zupełnie go nie zdziwiło, że ten wysoki, przystojny mężczyzna wrócił z długiej podróży z egzotyczną pięknnością. Nikt jednak nie mógł oczekiwać żywych pamiątek jego przygód, takich jak konie i wilk. Nie mógł się doczekać, żeby usłyszeć ich opowieści.

Jondalar zobaczył wyraz uznania w oczach Laduniego na widok Ayli i kiedy mężczyzna uśmiechnął się, mógł się odprężyć.

- Ją właśnie chciałem ci przedstawić. Laduni, myśliwy Lo-sadunai, to jest Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, wybrana przez Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, Córka Ogniska Mamuta.

Kiedy Jondalar rozpoczął formalną prezentację, Ayla podniosła obie ręce wnętrzem dłoni do góry w geście otwartości i przyjaźni.

- Pozdrawiam cię, Laduni, Mistrzu Łowiecki Losadunai.

Laduni zdziwił się, skąd wiedziała, że jest przywódcą myśliwych. Jondalar tego nie powiedział. Pewnie wspomniał o tym wcześniej, ale dobrze o niej świadczyło, że to pamiętała. Sądząc z ilości tytułów i powiązań, musi być kobietą o wysokiej pozycji wśród swoich ludzi. Nic dziwnego, że taką kobietę wybrał, w końcu zarówno jego matka, jak i mężczyzna jego ogniska znają odpowiedzialność przywództwa. Po dziecku poznać krew matki i ducha mężczyzny

Laduni ujął jej obie ręce.

- W imieniu Duny, Wielkiej Matki Ziemi, witaj, Aylo z Obozu Lwa Mamutoi, wybrana przez Lwa, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, Córko Ogniska Mamuta.

- Dziękuję ci za powitanie - odparła Ayla, zachowując formalny ton. - Jeśli mi pozwolisz, chciałabym przedstawić cię Wilkowi, żebyś zrozumiał, iż jesteś przyjacielem.

Laduni zachmurzył się, niepewny, czy naprawdę chce zbliżyć się do wilka, ale w tej sytuacji uznał, że nie ma wyboru.

- Wilk, to jest Laduni z Losadunai - powiedziała, ujmując rękę mężczyzny i przyciągając ją do wilczego nosa. - Jest przyjacielem. - Wilk powąchał rękę obcego mężczyzny, na której wyczuł zapach ręki Ayli, i zdawał się rozumieć, że tego człowieka ma zaakceptować. Potem, ku zakłopotaniu Laduniego, powęszył wokół jego krocza.

- Wilk, dość! - odwołała go Ayla. Zwróciła się do Laduniego: - Teraz wie, że jesteś przyjacielem i że jesteś mężczyzną. Jeśli chciałbyś go powitać, to lubi, jak się go klepie po łbie i drapie za uszami.

Pomysł dotykania żywego wilka zaintrygował Laduniego; choć nadal był pełen obaw. Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął szorstkiej sierści, a widząc, że wilk to akceptuje, pogłaskał łeb zwierzęcia i potarł je za uszami, coraz bardziej tym wszystkim zachwycony. Nie chodziło o to, że nigdy przedtem nie dotykał wilczego futra, tylko że nigdy przedtem futro nie było na żywym zwierzęciu.

- Przepraszam, że zagroziłem waszemu towarzyszowi. Nigdy jednak nie widziałem wilka, który by dobrowolnie towarzyszył ludziom, ani też koni.

- To zrozumiałe - odparła Ayla. - Potem zabiorę cię, żebyś spotkał konie. One boją się



trochę obcych i potrzeba im nieco czasu, żeby się przyzwyczaić do nowych ludzi.

- Czy wszystkie zwierzęta na wschodzie są takie przyjazne? - spytał Laduni.

Odpowiedź na to pytanie była interesująca dla każdego myśliwego.

Jondalar uśmiechnął się.

- Nie, zwierzęta są wszędzie takie same. Te są wyjątkowe z powodu Ayli.

Laduni kiwnął głową i zwalczył impuls zadawania dalszych pytań. Wiedział, że cała jaskinia chce posłuchać ich opowieści.

- Powitałem was i zapraszam do środka, gdzie jest ciepło, żywność i miejsce na odpoczynek, ale chyba powinienem pójść pierwszy i powiedzieć o was pozostałym ludziom.

Laduni skierował się do grupy, która zebrała się przed dużym otworem w ścianie skalnej. Powiedział im o spotkaniu z Jonda-larem przed kilkoma laty, kiedy ten rozpoczął swoją podróż, i o zaproszeniu go do jaskini w drodze powrotnej. Wspomniął, że Jondalar jest krewnym Dalanara, i podkreślił, że przybysze są ludźmi, nie zaś jakimiś groźnymi duchami, i że opowiedzą im wszystko o koniach i wilku.

- Ich opowieści są z pewnością ciekawe - zakończył, wiedząc, że to nieodparta pokusa dla grupy ludzi w zasadzie zamkniętych w jaskini od początku zimy i solidnie już znudzonych.

Nie mówił w zelandonii, ale po chwili Ayli była pewna, że słyszy podobne słowa. Zdała sobie sprawę, że mimo różnic w akcencie i wymowie losadunai był pokrewny zelandonii w taki sam sposób, jak sarmunai i sharamudoi były pokrewne ma-mutoi. Ten język miał również jakieś związki z sarmunai. Zrozumiała kilka słów i sens tego, co powiedział. Za kilka dni potrafi rozmawiać z tymi ludźmi.

Ayli nie uważała swoich zdolności językowych za coś nadzwyczajnego. Nie starała się uczyć języków w jakiś świadomy sposób, ale wrażliwym słuchem wyłapywała niuanse i melodie, zdolność zaś dostrzegania powiązań dodatkowo jej to ułatwiała. Wrodzony talent został spotęgowany przez niemożność posługiwania się mową w dzieciństwie i konieczność nauczenia się innego sposobu porozumiewania, który jednak wymagał sprawności tych samych części mózgu co komunikacja werbalna. Jej ponowna potrzeba nawiązywania kontaktu, kiedy okazało się, że język gestów nie jest zrozumiały, dała jej nieświadomy, ale potężny bodziec do uczenia się każdego nie znanego jej języka. Połączenie naturalnych zdolności z okolicznościami jej życia sprawiło, że była tak biegła.

- Losaduna mówi, że jesteście gorąco witani, i zaprasza do zatrzymania się przy ognisku gości - powiedział Laduni po rozmowie z innymi ludźmi.

- Musimy najpierw rozjuczyć konie i znaleźć dla nich miejsce - rzekł Jondalar. - To

pole przed jaskinią ma dobrą zimową paszę. Czy możemy je tam zostawić?

- Oczywiście - odparł Laduni. - Myślę, że wszystkich zaintryguje taka bliskość koni. - Nie mógł się powstrzymać od zerkania na Aylę i ciekaw był, co zrobiła tym zwierzętom. Wydawało się oczywiste, że panowała nad bardzo potężnymi duchami.

- Muszę jeszcze o coś zapytać - odezwała się Ayla. - Wilk jest przyzwyczajony do spania tuż koło nas. Będzie bardzo nieszczęśliwy, jeśli każemy mu zostać gdziekolwiek indziej. Jeśli obecność wilka w jaskini niepokoi Losadunę czy kogokolwiek innego, rozbijemy namiot i będziemy spać na zewnątrz.

Laduni znowu zwrócił się do ludzi i po kilku chwilach rozmowy powiedział do gości:

- Chcą, żebyście weszli do środka, ale niektóre matki boją się o swoje dzieci.

- Rozumiem ich obawy. Mogę zapewnić, że wilk nikogo nie zrani, ale jeśli to nie starcza, zostaniemy na dworze.

Dyskusje rozpoczęły się na nowo i po chwili Laduni rzekł:

- Mówią, żebyście weszli.

Laduni towarzyszył Ayli i Jondalarowi, kiedy poszli rozładować konie, i był równie podniecony spotkaniem Whinney i Zawodnika, co Wilka. Niemało napolował się w życiu na konie, ale nigdy żadnego nie dotykał, poza przypadkowymi okazjami, kiedy udało mu się podejść dość blisko w czasie pościgu. Ayla widziała jego zachwyt i pomyślała, że później zaproponuje mu przejażdżkę na grzbiecie Whinney.

W drodze powrotnej do jaskini Laduni zapytał Jondalara o jego brata. Kiedy zobaczył wyraz bólu na twarzy wysokiego mężczyzny, wiedział, że zdarzyła się tragedia, zanim usłyszał odpowiedź.

- Thonolan nie żyje. Zabił go lew jaskiniowy.

- To bardzo smutne, lubiłem go.

- Wszyscy go lubili.

- Tak bardzo chciał przejść wzdłuż całego biegu Wielkiej Matki Rzeki, aż do końca.

Udało mu się?

- Tak, dotarł do ujścia Dunaju przed śmiercią, ale nie miał już do tego serca. Zakochał się w kobiecie, połączył z nią, ale umarła podczas porodu - opowiadał Jondalar. - To go zmieniło, zabrało mu całą radość życia. Nie chciał już dłużej żyć.

Laduni potrząsał głową.

- Co za szkoda! Był tak pełen życia. Filonia tęskniła do niego przez długi czas po waszym odejściu. Miała nadzieję, że wróci.

- Jak się miewa Filonia? - spytał Jondalar, który pamiętał ładną, młodą córkę ogniska

Laduniego.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Teraz jest już połączona i Duna uśmiecha się do niej. Ma dwoje dzieci. Wkrótce po waszym odejściu odkryła, że jest pobłogosławiona. Kiedy rozeszła się wieść, że jest w ciąży, każdy młody i wolny Losadunai znalazł powód, żeby odwiedzić naszą jaskinię.

- Mogę sobie wyobrazić. Jak pamiętam, była uroczą młodą kobietą. Też odbyła podróż, prawda?

- Tak, ze starszym kuzynem.

- A teraz ma dwoje dzieci?

Oczy Laduniego błyszczały z radości.

- Pierwsza była córka, Thonolia. Filonia jest pewna, że jest to dziecko ducha twojego brata, a nie tak dawno temu urodziła syna. Mieszka w jaskini swojego towarzysza życia. Tam było więcej miejsca, ale to nie jest daleko stąd i często widzimy i ją, i jej dzieci. - W głosie Laduniego brzmiała duma i radość.

- Mam nadzieję, że Thonolia jest dzieckiem ducha Thonola-na. Chciałbym, by na tym świecie nadal przebywał kawałek jego ducha - powiedział Jondalar.

Po cichu zastanawiał się jednak: Czy może się to zdarzyć tak szybko? Spędził z nią tylko jedną noc. Czy jego duch był tak silny? Albo, jeśli Ayla ma rację, czy Thonolan mógł rozpocząć dziecko w Filonii esencją swojej męskości w tę jedną noc, którą tu spędził? Przypomnił sobie kobietę, z którą sam spędził tę noc.

- A jak się miewa Lanalia?

- Bardzo dobrze. Poszła z wizytą do krewnych w innej jaskini. Próbuje zaaranżować dla niej związek. Jeden z ich mężczyzn stracił towarzyszkę życia i został z trojgiem małych dzieci przy ognisku. Lanalia nigdy nie miała dzieci, choć zawsze tego pragnęła. Jeśli mężczyzna jej się spodoba, pobiorą się i zaadoptuje dzieci. To może być bardzo szczęśliwe rozwiązanie i wszyscy są bardzo podnieceni.

- Cieszę się i życzę jej wiele szczęścia - rzekł Jondalar, ukrywając swoje rozczarowanie. Miał nadzieję, że mogła zająć w ciążę po ich wspólnych przyjemnościach. Cokolwiek by to było, duch mężczyzny czy esencja jego męskości, Thonolan dowiódł swojej siły, ale co ze mną? Czy moja esencja lub też duch są dość silne, by począć dziecko w kobiecie?

Po wejściu do jaskini Ayla rozejrzała się z ciekawością. Widziała już wiele mieszkalnych pomieszczeń Innych: lekkie i przenośne namioty, których używali latem, i solidne, trwałe budowle, które wytrzymały surowość zimy. Niektóre były zbudowane z

kości mamucich i pokryte darnią oraz gliną, inne skonstruowane z drewna pod nawisem skalnym lub na pływającej platformie. Od czasu odejścia z klanu nie widziała jednak takiej jak ta jaskini. Duży otwór wejściowy skierowany był na południowy wschód i wewnątrz było przyjemnie i przestronnie. Pomyślała, że Brunowi podobałaby się ta jaskinia.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku i zobaczyła wnętrze, zdziwiła się. Spodziewała się szeregu palenisk rozmieszczonych w jaskini, ognisk domowych poszczególnych rodzin. W jaskini rzeczywiście były paleniska, ale umieszczono je wewnątrz lub przy wejściu do budowli ze skór zwierzęcych przyczepionych do pali. Przypominały namioty, lecz nie miały stożkowego kształtu i były otwarte u góry - wewnątrz jaskini niepotrzebna była osłona od deszczu i śniegu. O ile dobrze rozumiała, używano ich jako zasłon przed spojrzzeniami z zewnątrz. Ayla wspomniała istniejący w klanie zakaz patrzenia w przestrzeń mieszkalną innych ludzi, wyznaczoną granicą z kamieni. Była to kwestia tradycji i samokontroli, ale cel był taki sam: zachowanie prywatności.

Laduni prowadził ich ku jednemu z osłoniętych pomieszczeń.

- Czy wasze niemiłe przeżycia miały coś wspólnego z bandą awanturników?

- Nie, a co, mieliście jakieś kłopoty? - odparł Jondalar. - Poprzednim razem mówiłem mi o jednym młodym mężczyźnie, który zgromadził bandę. Zabawiali się z płas...kogłowymi. - Zerknął na Aylę, ale wiedział, że Laduni nie zrozumiałby słowa "klan". - Zwabiali mężczyzn, a potem przymuszali ich kobiety. Coś o młodzieńczym temperamencie, który wszystkim przysparzał kłopotów.

Kiedy Ayla usłyszała słowo "płaskogłowi", zaczęła się uważnie przysłuchiwać, ciekawa, czy w pobliżu mieszkali ludzie klanu.

- Tak, to właśnie oni. Charoli i jego banda - powiedział Laduni. - To mogło się zacząć od młodzieńczego temperamentu, ale już dawno wykroczyło poza to.

- Można pomyśleć, że teraz ci młodzi ludzie już powinni byli porzucić taki sposób życia - rzekł Jondalar.

- To wina Charoliego. Nie sądzę, by to byli źli ludzie, ale on ich podbechtuje. Losaduna mówi, że w ten sposób chce wykazać swoją odwagę, udowodnić, że jest mężczyzną, ponieważ wychował się bez mężczyzny przy ognisku.

- Wiele kobiet samotnie wychowało chłopców na dobrych mężczyzn - zauważył Jondalar. Byli tak pogrążeni w rozmowie, że zatrzymali się i stali pośrodku jaskini. Wokół nich zaczęli gromadzić się ludzie.

- Tak, oczywiście. Ale towarzysz życia jego matki zniknął, kiedy Charoli był niemowlęciem, i ona nigdy więcej nie połączyła się z nikim. Zamiast tego całą uwagę skupiła

na synu. Rozpieszczała go nawet wówczas, gdy wyrósł już na tyle, by zacząć się uczyć rzemiosła i obowiązków dorosłego człowieka. Teraz do nas wszystkich należy położenie kresu jego wybrykom.

- Co się stało? - spytał Jondalar.

- Młoda dziewczyna z naszej jaskini poszła nad rzekę zastawić sidła. Dopiero co stała się kobietą i nie przeszła jeszcze Rytuału Pierwszej Przyjemności. Miała odbyć tę ceremonię na następnym Spotkaniu. Charoli i jego banda zobaczyli ją samą i wszyscy ją przymusili...

- Wszyscy? Przymusili? Gwałtem? - Jondalar nie posiadał się z oburzenia. - Dziewczyne, jeszcze nie kobietę. Trudno mi w to uwierzyć!

- Wszyscy - potwierdził Laduni, a zimny gniew w jego głosie był groźniejszy niż jakiegokolwiek wzburzenie. - Nie puścimy tego płazem! Nie wiem, czy znudziły im się samice płaskogłowych, czy też znaleźli sobie inną wymówkę, ale tego już za dużo. Zadali jej ból, krwawiła. Mówi, że nigdy więcej nie chce mieć do czynienia z żadnym mężczyzną. Odmówiła udziału w rytuale kobiecości.

- To straszne, ale trudno mieć jej to za złe. To nie jest sposób na pokazanie młodej kobiecie Daru Matki.

- Jej matka boi się, że jeśli odmówi uhonorowania Matki ceremonią kobiecości, to nigdy nie będzie miała dzieci.

- Chyba ma rację, ale co można zrobić? - spytał Jondalar.

- Jej matka żąda kary śmierci dla Charoliego i chce, żebyśmy wypowiedzieli krwawą zemstę jego jaskini. Zemsta jest jej prawem, ale krwawa zemsta może zniszczyć wszystkich. Poza tym to nie jaskinia Charoliego jest powodem kłopotów. To ta jego banda, a kilku z nich nawet nie jest z tej samej jaskini. Wysłałem wiadomość do Tomasiego, który jest tam przywódcą, i zaproponowałem plan działania.

- Jaki plan?

- Uważam, że wszyscy Losadunai muszą się połączyć i rozbić tę bandę. Mam nadzieję, iż Tomasi zgodzi się ze mną i razem przekonamy wszystkich, że tych młodych mężczyzn należy sprowadzić z powrotem i oddać pod nadzór jaskiń. Zaproponowałem mu również, żeby pozwolił matce Madenii na zemstę, zamiast prowadzić krwawą wojnę. Tomasi jednak jest krewnym matki Charoliego.

- To będzie dla niego trudna decyzja - powiedział Jondalar.

Zauważył, że Ayla przysłuchiwała się uważnie. - Czy ktoś wie, gdzie jest ta banda? Nie mogą mieszkać z żadnymi z waszych ludzi. Nie wierzę, że jakakolwiek jaskinia Losadunai dałaby schronienie takim łotrom.

- Na południe stąd jest jałowa okolica z podziemnymi rzekami i wieloma jaskiniami. Krążą pogłoski, że ukrywają się w jaskini na skraju tego obszaru.

- Trudno będzie ich znaleźć, skoro jest tam wiele jaskiń.

- Nie mogą cały czas siedzieć w jaskini. Muszą zdobywać żywność. Można ich więc wytropić i pójść za nimi. Dobremu tropicielowi będzie łatwiej znaleźć ich ślady niż ślady jakiegoś zwierzęcia, ale potrzebna jest współpraca wszystkich jaskiń. Nie minie wiele czasu, a ich znajdziemy.

- A co z nimi wówczas zrobicie? - Tym razem pytanie zadała Ayla.

- Myślę, że jak się raz tych młodych łajdaków rozdzieli, nietrudno będzie zerwać ich więzi z bandą. Każda jaskinia da sobie na swój sposób radę z jednym czy z dwoma. Wątpię, czy większość z nich naprawdę chce żyć poza społecznością Losadunai i nie należeć do żadnej jaskini. Któregoś dnia zapragną mieć towarzyszkę życia, a nie ma wielu kobiet, które chciałyby żyć tak jak oni.

- Chyba masz rację - zgodził się Jondalar.

- Tak mi żal tej młodej kobiety - odezwała się Ayla. - Jak jej na imię? Madenia? - Na twarzy miała wyraz głębokiej troski.

- Mnie też jej żal - powiedział Jondalar. - Chciałbym tu zostać i pomóc, ale jeśli wkrótce nie przepawimy się przez lodowiec, będziemy musieli czekać do następnej zimy.

- Już może być zbyt późno na przeprawę - rzekł Laduni.

- Zbyt późno? Ależ jest mróz, jest zima. Wszystko mocno zamarzło. Wszystkie szczeliny powinny być wypełnione śniegiem.

- Tak, teraz jest zima, ale późna. Wszystko może się zdarzyć. Jeszcze nadal istnieje szansa, że udałoby się przejść, lecz jeśli fen przyjdzie wcześniej - co jest możliwe - szybko roztopi śnieg. Lodowiec może być wtedy zdradliwy, a w obecnej sytuacji nie sądzę, by bezpieczna była droga dookoła, przez terytorium płaskogłowych na północy. Ostatnio nie są zbyt przyjaźni. Cha-rol i jego banda wzbudzili ich wrogość. Nawet zwierzęta chronią swoje samice i będą walczyć w ich obronie.

- Nie są zwierzętami. - Ayla wystąpiła w obronie klanu. - Są ludźmi, po prostu są innego rodzaju ludźmi.

Laduni ugryził się w język; nie chciał obrazić gościa. Mając tak bliski kontakt ze zwierzętami, może traktuje wszystkie zwierzęta jak ludzi. Skoro wilk jej broni i ona obchodzi się z nim jak z człowiekiem, czy można się dziwić, że również płaskogłowych uważa za ludzi? Wiedział, że są sprytni, ale nie są ludźmi.

W trakcie tej rozmowy zgromadził się wokół nich tłumek. Niewysoki, szczupły

mężczyzna w średnim wieku, z rozburzoną czupryną, uśmiechnął się nieśmiało i powiedział:

- Nie uważasz, że powinienes im dać odpocząć, Laduni?

- Zastanawiałam się, czy masz zamiar trzymać ich tutaj i rozmawiać przez cały dzień - dodała stojąca obok kobieta. Była pulchna, odrobinę niższa od mężczyzny, który odezwał się poprzednio, i miała przyjazną twarz.

- Przepraszam, oczywiście masz rację. Pozwól, że was przedstawię. - Spojrzał najpierw na Aylę, po czym zwrócił się do mężczyzny: - Losaduno, Który Służysz Matce w Jaskini Gorącego Źródła Losadunai, to jest Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, wybrana przez Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, Córka Ogniska Mamuta.

- Ognisko Mamuta! Też jesteś więc Tą Która Służy Matce -rzekł mężczyzna z uśmiechem zdziwienia, zanim ją powitał.

- Nie, jestem Córką Ogniska Mamuta. Mamut uczył mnie, ale nigdy nie przeszłam ceremonii inicjacji - wyjaśniła Ayla.

- Ale urodzona przy Ognisku Mamuta! Musisz być także wybrana przez Matkę, poza wszystkim innym - powiedział z wyraźnym zachwytem mężczyzna.

- Losaduna, jeszcze jej nie powitałeś - skarciła go pulchna kobieta.

Losaduna spojrział na nią zmieszany.

- O, rzeczywiście. Te wieczne formalności. W imieniu Duny, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi, wybrana przez Obóz Lwa Córko Ogniska Mamuta.

Stojąca obok niego kobieta westchnęła i pokiwała głową.

- Wszystko pomieszał, ale jeśli chodziłoby o jakąś mało znaną ceremonię czy legendę o Matce, pamiętałby wszystko dokładnie.

Ayla nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jeszcze nie spotkała nikogo Służącego Matce, który wydawałby się mniej nadawać do pełnienia tej funkcji. Ci, których znała, byli pewnymi siebie, wyjątkowymi jednostkami i emanowała z nich moc. Zupełnie nie byli podobni do tego roztargnionego, nieśmiałego mężczyzny, który nie zwracał uwagi na swoją powierzchowność i zachowywał się przyjaźnie i dość lęklwie. Ta kobieta zdawała się jednak wiedzieć, na czym polega jego siła, a Laduni okazywał mu szacunek. Losaduna był najwyraźniej czymś więcej, niż widać było na pierwszy rzut oka.

- Nie szkodzi - powiedziała Ayla do kobiety. - Właściwie niczego nie pomylił. - Była przecież wybrana także przez Obóz Lwa; adoptowana, nie zaś urodzona wśród nich. Zwróciła się do mężczyzny, który ujął jej obie ręce: - Pozdrawiam Tego Który Służy Wielkiej Matce Wszystkich i dziękuję ci za powitanie, Losaduna.

Uśmiechał się na dźwięk innej nazwy Duny, a głos zabrał Laduni:

- Solandio z Losadunai, urodzona w Jaskini Górskiej Rzeki, towarzyszek życia Losaduny, to jest Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, wybrana przez Lwa, chroniona przez Wielkiego Niedźwiedzia, Córka Ogniska Mamuta.

- Pozdrawiam cię, Aylo z Mamutoi, i zapraszam do naszej izby - odparła Solandia. Pełne tytuły i powiązania zostały już wypowiedziane wystarczającą ilość razy. Nie sądziła, by musiała je znowu powtarzać.

- Dziękuję ci, Solandio.

Losaduni spojrzeli z kolei na Jondalara.

- Losaduno, Który Służysz Matce w Jaskini Gorącego Źródła Losadunai, to jest Jondalar, Mistrz Łupaczy Krzemieni Dziewiątej Jaskini Zelandonii, syn Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, brat Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini, urodzony przy Ognisku Dalanara, założyciela i przywódcy Lan-zadonii.

Ayla nigdy nie słyszała wszystkich tytułów i powiązań Jondalara i była zdziwiona. Choć nie w pełni rozumiała ich znaczenie, brzmiały imponująco. Kiedy Jondalar powtórzył litanię i został formalnie przedstawiony, zaprowadzono ich wreszcie do dużej przestrzeni mieszkalnej i ceremonialnej, przydzielonej Lo-sadunie.

Wilk, który siedział poprzednio spokojnie koło nóg Ayli, zaskomlał cicho, gdy dotarli do otworu w skórkach ogradzających izbę. Zobaczył wewnątrz dziecko, ale jego reakcja przestraszyła Solandię. Pobiegła i chwyciła dziecko z podłogi.

- Mam czworo dzieci. Nie wiem, czy wilk powinien być tutaj - powiedziała pełnym strachu głosem. - Micheri jeszcze nawet nie chodzi. Jak mogę być pewna, że wilk nie rzuci się na mojego chłopczyka?

- Wilk go nie skrzywdzi - powiedziała Ayla. - Wychował się razem z dziećmi i je kocha. Obchodzi się z nimi delikatniej niż z dorosłymi. Nie zamierzał rzucić się na dziecko, po prostu ucieszył się na jego widok.

Ayla kazała Wilkowi położyć się, ale nie mógł ukryć swojego podniecenia na widok dzieci. Solandia przyglądała mu się z obawą. Nie umiała powiedzieć, czy przyczyną jego podniecenia był zachwyty, czy głód, ale przybysze bardzo ją ciekawili. Jedną z korzyści życia z Losaduna były rozmowy z nieczystymi gośćmi. Przebywała z nimi więcej niż ktokolwiek inny w jaskini, ponieważ zazwyczaj zatrzymywali się przy ceremonialnym ognisku.

- No cóż, powiedziałam już, że może tu zostać.

Ayla wprowadziła Wilka do środka i kazała mu usiąść w kącie. Pobyła z nim chwilę, wiedząc, że jest mu wyjątkowo trudno opanować się, ale sama możliwość obserwowania dzieci zdawała się go chwilowo zadowalać.



Jego zachowanie uspokoiło Solandię. Podała gościom gorącą herbatę, przedstawiła im swoje dzieci i powróciła do przerwane go gotowania posiłku. Zapomniała niemal o obecności zwierzęcia, ale dzieci były zafascynowane. Ayla przyglądała im się, starając się robić to niepostrzeżenie. Najstarszy z czwórki, chłopiec o imieniu Larogi, wyglądał na mniej więcej dziesięć lat. Z dwóch dziewczynek Dosalia miała około siedmiu lat, a Nela-dia cztery. Niemowlę jeszcze nie chodziło, ale w żaden sposób nie ograniczało to jego ruchliwości. Było na etapie raczkowania i poruszało się szybko i sprawnie na czworakach.

Dzieci bały się trochę Wilka. Starsza z dwóch dziewczynek chwyciła niemowlę i trzymała je przez chwilę w ramionach, przyglądając się zwierzęciu. Kiedy jednak nic się nie stało, położyła je znowu na ziemi. Jondalar rozmawiał z Losaduna, a Ayla zaczęła rozpakowywać rzeczy. Na posłaniu dla gości leżały futra i Ayla chciała wyczyścić śpiwory podróżne podczas tej wizyty.

Nagle rozległ się dziecięcy śmiech. Wstrzymawszy oddech, Ayla spojrzała w kąt, w którym zostawiła Wilka. W izbie zapanowała martwa cisza, a wszyscy patrzyli ze zdumieniem i grozą na niemowlę, które poraczkowało do kąta i siedziało teraz obok dużego wilka, ciągnąc go za sierść. Ayla zerknęła na Solandię i zobaczyła, że wpatruje się jak zaczarowana w swojego ukochanego chłopczyka, który szturcha, popycha i ciągnie wilka za kudły. Wilk machał tylko ogonem i wyglądał na niezmiernie zadowolonego.

Po chwili Ayla podeszła, podniosła dziecko i zaniósła je do matki.

- Miałaś rację - powiedziała ze zdumieniem Solandia. - Ten wilk kocha dzieci! Gdybym tego nie widziała na własne oczy, nie uwierzyłabym.

Wkrótce pozostałe dzieci Solandii podeszły do wilka, który chciał się z nimi bawić. Na początku powstał mały problem, kiedy najstarszy chłopiec drażnił nieco zwierzę, ale Wilk zareagował na to ujęciem jego dłoni w pysk i warknięciem, nie ugryzł jednak. Ayla wyjaśniła, że muszą go traktować z szacunkiem. Reakcja Wilka przestraszyła chłopca wystarczająco, by zmusić go do ostrożności wobec zwierzęcia. Kiedy opuścili izbę, wszystkie pozostałe dzieci z fascynacją obserwowały czwórkę Solandii wraz z wilkiem i zazdrościły im przywileju mieszkania z żywym zwierzęciem.

Zanim się ściemniło, Ayla wyszła sprawdzić, co się dzieje z końmi. Gdy tylko znalazła się przy wejściu do jaskini, powitało ją rżenie Whinney i wyczuła, że jej przyjaciółka była trochę niespokojna. Zarżała jej w odpowiedzi, co wywołało wiele zdumionych spojrzeń. Rozległo się nieco głośniejsze rżenie Zawodnika. Poszła przez pokryte śniegiem pole, żeby się trochę nimi zająć i upewnić, że niczego im nie brakuje. Whinney patrzyła na nią z uwagą i napięciem, ogon miała uniesiony. Kiedy kobieta zbliżyła się, kobyła opuściła łeb, podrzuciła

nim wysoko i nozdrzami zatoczyła w powietrzu koło. Zawodnik, równie szczęśliwy z jej obecności, tańczył i stawał dęba.

Od dawna nie były tak blisko skupiska ludzi i obecność znajomej kobiety uspokajała je. Zawodnik wygiął kark i zastrzygł uszami, kiedy Jondalar pokazał się u wejścia, po czym pogalopował mu na spotkanie. Ayla uściskała kobyłę, poklepała ją i przemówiła do niej. Postanowiła, że ją następnego dnia wy-czesze, dla przyjemności i odprężenia, jakie ta czynność dawała im obu.

Z czwórką Solandii na przodzie wszystkie dzieci zbiły się w gromadkę i ostrożnie się do nich zbliżały. Niezwykli goście pozwolili im dotknąć koni i poklepać je, a Ayla dała kilkorgu przejechać się na grzbiecie Whinney, ku niejakiej zazdrości obserwujących dorosłych. Ayla miała zamiar pozwolić na przejażdżkę również każdemu dorosłemu, który by tego chciał, ale uznała, że jeszcze na to za wcześnie. Konie potrzebowały odpoczynku i nie chciała ich zanadto obciążać.

Łopatami zrobionymi z dużych rogów zaczęła razem z Jondalarem odgarniać ciężki śnieg z pastwiska koło jaskini, żeby ułatwić koniom dostęp do paszy. Wielu ludzi dołączyło się do pracy i szybko byli gotowi, ale odgarnianie śniegu przypomniało Jondalarowi o problemie, który już od pewnego czasu próbował rozwiązać. Jak znaleźć żywność i paszę, a co ważniejsze - dosyć wody pitnej dla siebie, wilka i dwóch koni podczas przeprawy przez lodowiec?

Wieczorem wszyscy zebrali się w dużej, ceremonialnej izbie, żeby posłuchać opowieści Ayli i Jondalara o ich podróżach i przygodach. Losadunai wykazywali szczególne zainteresowanie zwierzętami. Solandia już nabrała pewności, że Wilk dostarczy dzieciom jedynie rozrywki, a obserwowanie ich zabawy sprawiało przyjemność również dorosłym. Trudno było w to uwierzyć. Ayla nie wdawała się w szczegóły na temat klanu czy kłótni śmierci, która zmusiła ją do odejścia, choć wspomniała, że istniały pewne nieporozumienia. Losadunai myśleli, że klan to po prostu grupa ludzi, którzy mieszkają daleko na wschodzie, a chociaż Ayla próbowała wytłumaczyć, że w procesie oswojania zwierząt nie ma niczego nadnaturalnego, nikt jej do końca nie wierzył. Pomysł, że każdy mógłby oswoić dzikiego konia czy wilka, był trudny do zaakceptowania. Większość słuchaczy doszła do wniosku, iż okres samotnego przebywania w dolinie był okresem prób i wyrzeczeń, jakim musiało się poddać wielu powołanych do Służby Matce, a jej umiejętności obchodzenia się ze zwierzętami potwierdzały słuszność jej powołania. Jeśli jeszcze nie jest Tą Która Służy, to jest to tylko kwestią czasu. Losadunai ze wzburzeniem jednak przyjęli opowieść o przeży-

ciach z Attarą i S'Armunai.

- Nic dziwnego, że było tak mało podróżników ze wschodu w ciągu ostatnich lat. I mówisz, że jednym z więzionych tam mężczyzn jest Losadunai? - zapytał Laduni.

- Tak. Nie wiem, jakie miał imię tutaj, ale tam nazywa się Ardemun - powiedział Jondalar. - Został ranny i jest okaleczony. Nie może dobrze chodzić i z pewnością nie mógł uciec, więc Attarą pozwalała mu na większą swobodę ruchów w obozie. To on uwolnił mężczyzn.

- Pamiętam młodego człowieka, który wybrał się w podróż - odezwała się jakaś starsza kobieta. - Znałam jego imię, ale nie mogę sobie przypomnieć... dajcie pomyśleć... miał przywisko... Ardemun... Ardi... Nie, Mardi. Nazywał się Mardi!

- Chyba Menardi? - odezwał się jakiś mężczyzna. - Pamiętam go z Letniego Spotkania. Nazywał się Menardi i wybrał się w podróż. A więc to mu się przydarzyło. Ma brata, który z pewnością się ucieszy z wieści o nim.

- Dobrze wiedzieć, że znowu można bezpiecznie podróżować w tym kierunku. Mielście szczęście, nie natrafiając na nich podczas drogi na wschód - powiedział Laduni.

- Thonolan spieszył się, żeby dojść jak najdalej wzdłuż Wielkiej Matki Rzeki. Nie chciał się zatrzymywać i szliśmy tą stroną rzeki. Tak, mieliśmy szczęście.

Kiedy ludzie się rozeszli, Ayla z przyjemnością położyła się do łóżka w ciepłym, suchym miejscu, w którym nie szalał wiatr, i niemal natychmiast zasnęła.

Ayla uśmiechnęła się do Solandii, która siedziała przy palenisku i karmiła Micheriego. Zbudziła się wcześniej i postanowiła zrobić herbatę dla siebie i Jondalara. Rozejrzała się za stertą chrustu czy suszonego łąjna, czy jakiegokolwiek opału, ale zobaczyła tylko kupkę ciemnobrązowych kamieni.

- Chcę zrobić trochę herbaty. Czym palicie w ognisku? Jeśli mi powiesz, gdzie to jest, to przyniosę.

- Nie musisz. Jest mnóstwo - odparła Solandia.

Ayla rozejrzała się jeszcze raz. Nadal nie widziała żadnego opału i zaczęła się zastanawiać, czy Solandia ją rozumiała.

Solandia dostrzegła jej zdziwione spojrzenie i uśmiechnęła się. Przechyliła się i podniosła jeden z brązowych kamieni.

- Tego używamy, płonących kamieni.

Ayla wzięła od niej kamień i dokładnie mu się przyjrzała. Widziała charakterystyczne słoje drzewne, a jednak był to z pewnością kamień, nie drewno. Nigdy nie widziała niczego

podobnego; to był lignit, węgiel brunatny, coś pośredniego między torfem a węglem bitumicznym. Jondalar się zbudził i podszedł do niej. Uśmiechnęła się i podała mu kamień.

- Solandia mówi, że tym palą w ognisku - powiedziała i spostrzegła, że kamień zabrudził jej rękę.

Teraz Jondalar oglądał kamień ze zdziwieniem.

- Przypomina drewno, ale to jest kamień. Nie ma tej twardości co krzemień. Musi się łatwo łamać.

- Tak - potwierdziła Solandia. - Płonące kamienie łatwo się łamią.

- Skąd je bierzecie? - spytał Jondalar.

- Na południe stąd, niedaleko gór, są całe pola tego. Nadal używamy trochę drewna, na podpałkę, ale to daje gorętszy ogień i pali się dłużej niż drewno.

Ayla i Jondalar spojrzeli znacząco po sobie.

- Przyniosę jeden - powiedział Jondalar. Zanim wrócił, obudził się Losaduna i najstarszy chłopiec, Larogi. - Wy macie płonące kamienie, a my mamy ognisty kamień, którym można rozpalić ogień.

- I to Ayla go odkryła? - Losaduna raczej stwierdził niż zapytał.

- Skąd wiesz? - spytał Jondalar.

- Może dlatego, że sam odkrył kamienie, które się palą - powiedziała Solandia.

- Były tak podobne do drewna, że postanowiłem spróbować. Paliły się - wyjaśnił Losaduna. Jondalar kiwnął głową.

- Aylo, może im pokażesz. - Podał jej piryt żelaza i krzemień oraz hubkę.

Ayla ułożyła hubkę, obróciła metaliczny, żółty kamień, by ułożyć się jej wygodnie w dłoni i żeby rowek wyżłobiony w pirycie żelaza od długiego użytku był zwrócony we właściwą stronę. Do drugiej ręki wzięła kawałek krzemienia. Miała taką wprawę, że niemal zawsze krzesła iskrę przy pierwszym uderzeniu. Iskra spadła na hubkę, która po kilku zaledwie dmuchnięciach zajęła się płomieniem. Stojący obok ludzie, którzy nieświadomie wstrzymywali oddech, jednocześnie nabrali powietrza.

- To zdumiewające - powiedział Losaduna.

- Nie bardziej zdumiewające niż wasze płonące kamienie - odparła Ayla. - Mamy kilka zapasowych. Chciałabym ci dać jeden dla jaskini. Moglibyśmy pokazać wszystkim krzesanie ognia podczas ceremonii.

- Tak! To byłoby najbardziej odpowiednie i z przyjemnością przyjmę twój dar dla jaskini. Musimy jednak dać wam coś w zamian.

- Laduni już nam obiecał wszystko, czego potrzebujemy do przeprawy przez lodowiec

i do dalszej podróży. Mam u niego przysługę zobowiązanie, chociaż i tak tyle by dla nas zrobił. Wilki wdarły się do naszej skrytki i zabrały nam żywność podróżną - odparł Jondalar.

- Chcecie przejść lodowiec razem z końmi? - spytał Lo-saduna.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Ayla.

- Jak zabierzecie paszę dla nich? Poza tym dwa konie potrzebują więcej wody niż dwoje ludzi - skąd weźmiecie wodę, kiedy wszystko jest zamrożone?

Ayla spojrzała na Jondalara.

- Zastanawiałem się nad tym. Chcę wziąć trochę siana do łódki.

- Może również płonących kamieni? Jeśli tylko znajdziecie miejsce na lodowcu do rozpalenia ognia. Nie trzeba pilnować, żeby się nie zamoczyły, i będzie znacznie mniej do noszenia, niż gdybyście brali inny opał - zaproponował Losaduna.

Jondalar zamyślił się i nagle szeroki uśmiech szczęścia rozlał się na jego twarzy.

- To będzie znakomite! Możemy je włożyć do łódki - będzie się ślizgać po lodzie nawet przy dużym obciążeniu - i wziąć jeszcze kilka innych kamieni na podstawę paleniska. Tak długo się tym zamartwiałem... Nie wiem, jak ci dziękować, Losaduna.

Ayla odkryła przypadkiem, kiedy zdarzyło jej się usłyszeć rozmowę kilku ludzi, że uważali jej niezwykłą wymowę za akcent mamutoi, choć Solandia sądziła, że to niewielka wada wymowy. Niezależnie od wszystkich swoich wysiłków nie mogła przewyciężyć trudności z wymową pewnych dźwięków, ale cieszyła się, że nikt się tym nie przejmował.

W ciągu następnych kilku dni poznała lepiej tę grupę Losadunai, która mieszkała koło gorącego źródła - grupę zwaną "Jaskinią", niezależnie od tego, czy mieszkali w jaskini, czy nie. Szczególnie podobali jej się ci, z którymi mieszkała: Solandia, Losaduna i ich dzieci. Zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało jej towarzystwa przyjaznych, normalnych ludzi. Kobieta mówiła dość dobrze językiem Jondalara, wplatając od czasu do czasu słowa z losadunai, ale nie miały żadnych kłopotów z wzajemnym rozumieniem się.

Towarzyszka życia Tego Który Służy Matce wzbudziła jej jeszcze większą sympatię, kiedy odkryła, że mają wspólne zainteresowania. Chociaż to Losaduna powinien był znać się na roślinach, ziołach i lekach, w rzeczywistości wiedzę tę posiadała Solandia. Przypominało to Ayli Izę i Creba, bo Solandia zajmowała się chorobami jaskini i leczyła je za pomocą ziół, zostawiając swojemu towarzyszowi egzorcyzmy duchów i innych nieznanymi, szkodliwych mocy. Również Losaduna pociągał Aylę swoim zamiłowaniem do historii, legend, mitów i świata duchów - które były dla niej zabronione w klanie - i zaczynała doceniać bogactwo jego wiedzy.

Gdy tylko odkrył jej głębokie zainteresowanie Wielką Matką Ziemią i światem duchów, jak również błyskotliwą inteligencję i znakomitą pamięć, z zapałem dzielił się z nią swoją wiedzą. Ayla wkrótce recytowała długie wiersze legend i historii oraz dokładne opisy rytuałów i ceremonii, nawet jeśli nie wszystko w pełni rozumiała. Mówił płynnie w zelandonii, chociaż z silnym akcentem i melodią języka losadunai, zbliżając tak te oba języki, że zachowywał większość rytmów w wierszach, choć tracił nieco rymów. Jeszcze bardziej fascynowały go drobne różnice i wiele podobieństw między jego interpretacją a tym, czego Ayla nauczyła się u Mamutoi. Losaduna chciał znać wszystkie odmiany i rozbieżności, i Ayla występowała nie tylko w roli uczennicy, jak wobec Mamuta, ale i nauczycielki, wyjaśniając mu obyczaje wschodu, przynajmniej na tyle, na ile je znała.

Również Jondalar dobrze się czuł w tej jaskini i uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu obecności normalnych ludzi. Spędzał dużo czasu z Ladunim i myśliwymi, ale Solandię dziwiło jego zainteresowanie dziećmi. Naprawdę je lubił, lecz nie tyle interesowało go jej potomstwo, co obserwowanie jej razem z dziećmi. Szczególnie kiedy karmiła piersią niemowlę, narastało w nim pragnienie, by Ayla miała dziecko, dziecko z jego ducha, a przynajmniej syna lub córkę jego ogniska.

Micheri, najmłodsze dziecko Solandii, wzbudzał podobne uczucia w Ayli, ale nie przestawała przygotowywać sobie co rano antykoncepcyjnego napoju. Opis lodowca, który mieli przekroczyć, tak ją przerażał, że nie chciała się jeszcze nawet zastanawiać nad próbą poczęcia dziecka Jondalara.

Jondalarem miotaly mieszane uczucia, chociaż był wdzięczny, że nie zdarzyło się to podczas podróży. Zaczynał się niepokoić faktem, że Wielka Matka Ziemia jeszcze nie pobłogosławiła Ayli ciążą, i w jakimś sensie uważał, że to jego wina. Pewnego popołudnia powiedział o swoich obawach Losadunie.

- Matka zdecyduje, kiedy jest właściwa pora - powiedział Losaduna. - Może rozumie trudności waszej podróży. To może być jednak właściwy czas na ceremonię ku jej czci. Wtedy mógłbyś poprosić ją o dziecko dla Ayli.

- Chyba masz rację. To z pewnością nie może zaszkodzić. -Roześmiał się z niejakim zażenowaniem. - Ktoś mi kiedyś powiedział, że jestem ulubieńcem Matki i że nie odmówi mi niczego, o co poproszę. - Twarz mu się nagle zachmurzyła. - Ale Thonolan umarł.

- A czy poprosiłeś ją, by mu nie dała umrzeć?

- No cóż, nie. To stało się tak szybko - przyznał Jondalar. -Lew poranił mnie także.

- Zastanów się kiedyś nad tym. Spróbuj sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek poprosiłeś ją o coś i czy odmówiła twojej prośbie, czy też ją spełniła. W każdym razie

porozmawiam z La-dunim i z Radą o ceremonii na cześć Matki. Chcę zrobić coś, co pomoże Madenii, a taka ceremonia może być właśnie tym, co potrzebne. W ogóle nie rusza się z posłania. Nie wstała nawet, żeby posłuchać waszych opowieści, a Madenia zawsze uwielbiała opowiadania o podróżach.

- To musiało być dla niej straszliwe przeżycie. - Jondalar wzdrygnął się na samą myśl.

- Tak. Miałem nadzieję, że do tej pory już zacznie się z tego otrząsać. Ciekawe, czy oczyszczający rytuał w Gorącym Źródle mógłby pomóc - powiedział, ale było oczywiste, że nie spodziewa się odpowiedzi od Jondalara. Już był pogrążony w rozmyślaniach o rytuale. Nagle podniósł głowę. - Czy wiesz, gdzie jest Ayla? Chyba ją poproszę, żeby się do nas przyłączyła. Mogłaby pomóc.

- Losaduna mi wszystko wyjaśniał i bardzo interesuje mnie ten planowany rytuał - powiedziała Ayla. - Nie jestem jednak pewna ceremonii na cześć Matki.

- To bardzo ważna ceremonia - odparł Jondalar, marszcząc czoło. - Większość ludzi wyczekuje jej z radością i niecierpliwością. - Zastanawiał się, czy ceremonia zadziała, jeśli Ayla będzie jej niechętna.

- Może gdybym więcej wiedziała, to też bym się cieszyła. Tak dużo muszę się nauczyć, a Losaduna jest dobrym nauczycielem. Chciałabym tu zostać nieco dłużej.

- Wkrótce musimy wyruszyć w drogę. Jeszcze trochę i nadejdzie wiosna. Zostaniemy na ceremonię na cześć Matki, a potem odejdziemy.

- Niemal bym chciała zostać tu do następnej zimy. Tak się już zmęczyłam podróżowaniem. - Ayla nie powiedziała głośno kolejnej myśli, która ją niepokoiła: Ci ludzie chętnie mnie przyjęli; nie wiem, czy twoi ludzie zrobią to samo.

- Też już jestem zmęczony wędrówką, lecz jak tylko przejdziemy lodowiec, nie będziemy mieli daleko. Zatrzymamy się z wizytą u Dalanara, żeby mu powiedzieć, iż wróciliśmy, a reszta drogi będzie łatwa.

Ayla skłoniła głowę na zgodę, ale miała wrażenie, że ciągle jeszcze mają przed sobą długą drogę i że łatwiej o niej mówić niż ją przejść.

- Czy chcesz, żebym coś zrobiła? - spytała Ayla.

- Jeszcze nie wiem - odparł Losaduna. - Wydaje mi się, że w tej sytuacji powinna być ze mną kobieta. Madenia wie, że jestem Tym Który Służy Matce, ale jestem mężczyzną, a ona teraz boi się mężczyzn. Uważam, że pomogłoby jej, gdyby o tym mówiła, a czasami łatwiej jest rozmawiać z przyjaznym, ale obcym człowiekiem. Ludzie boją się, że znajomy na zawsze zapamięta wyznane tajemnice i za każdym razem, kiedy go zobaczą, przypomni im o ich bólu i rozpacz.

- Czy jest coś, czego nie powinnam powiedzieć albo zrobić?

- Jesteś wrażliwym człowiekiem i sama będziesz wiedziała. Masz również rzadką, wrodzoną zdolność do języków. Jestem doprawdy zdumiony, jak szybko nauczyłaś się losadunai, a także wdzięczny, ze względu na Madenię.

Ayla czuła się nieswojo, kiedy Losaduna ją chwalił, i spuściła wzrok. Jej samej nie wydawało się to zdumiewające.

- Jest dość podobny do zelandonii.

Zauważył jej zażenowanie i nie ciągnął tego tematu. Oboje spojrzeli na wchodzącą Solandię.

- Wszystko jest przygotowane. Zabiorę tylko dzieci. Aha, to mi przypomina, Aylo, czy mogę wziąć Wilka? Micheri tak się do niego przywiązał, a zabawia także resztę dzieci. - Zachichotała nagle. - Kto by pomyślał, że kiedykolwiek będę prosiła wilka, żeby pilnował mi dzieci?

- Chyba lepiej, żeby poszedł z tobą - zgodziła się Ayla. - Madenia nie zna Wilka.

- No to chodźmy po nią - powiedział Losaduna.

Poszli razem w kierunku izby, w której mieszkała Madenia z matką, i Ayla zauważyła, że jest wyższa od idącego obok mężczyzny. Przypomniała sobie, że gdy go zobaczyła, pomyślała, że jest nieduży i nieśmiały. Teraz zdziwiła się, do jakiego stopnia inaczej patrzy na niego. Chociaż był niski i zachowywał się z rezerwą, siła intelektu dodawała mu wzrostu, a godność osłaniała głęboką wrażliwość i silną osobowość.

Losaduna zadrapał w sztywną, niewyprawioną skórę, rozciągniętą na prostokacie ze smukłych pali. Drzwi wejściowe zostały pchnięte na zewnątrz i starsza kobieta wpuściła ich do środka. Skrzywiła się na widok Ayli i spojrzała na nią niechętnie, najwyraźniej niezadowolona z obecności obcego człowieka. Zaczęła mówić z goryczą i gniewem:



- Czy ten łotr został znaleziony? Ten, który ukradł mi wnuki, zanim miały szansę się urodzić?

- Znalezienie Charoliego nie zwróci ci wnuków, Yerdegio, i nie on jest w tej chwili przedmiotem mojej troski, tylko Madenia. Jak się czuje? - odparł Losaduna.

- Nie wstaje i prawie niczego nie je. Nie chce nawet rozmawiać ze mną. Była takim ślicznym dzieckiem i wyrastała na piękną kobietę. Nie miałyby żadnych kłopotów ze znalezieniem towarzysza życia, dopóki Charoli i jego banda jej nie zrujnowali.

- Dlaczego uważasz, że jest zrujnowana? - zapytała Ayla. Kobieta spojrzała z niedowierzaniem na Aylę.

- Czy ona nic nie rozumie? - powiedziała do Losaduny, po czym zwróciła się do Ayli:  
- Madenia nie przeszła nawet przez Pierwszy Rytuał. Jest skalana, zrujnowana. Matka jej nigdy nie pobłogosławi.

- Nie bądź tego taka pewna. Matka nie jest tak bezlitosna - odrzekł Losaduna. - Zna swoje dzieci i dostarczyła środków pomocy. Madenia może zostać oczyszczona i odnowiona, tak że nadal będzie mogła odbyć Rytuał Pierwszej Przyjemności.

- To nie pomoże. Ona odmawia wszelkiego kontaktu z mężczyznami, nawet Pierwszego Rytuału - powiedziała Yerdegia. -Wszyscy moi synowie poszli do swoich towarzyszek życia. Tu nie było miejsca dla tylu nowych rodzin. Madenia to moje ostatnie dziecko, moja jedyna córka. Odkąd mój towarzysz zmarł, czekałam na to, by przyprowadziła tutaj swojego partnera, mężczyznę, który pomoże zadbać o dzieci, jakie urodzi, moje wnuki. Teraz nie będę miała żadnych wnuków. A wszystko z powodu tego... tego łotra, i nikt nic w tej sprawie nie robi.

- Wiesz przecież, że Laduni czeka na odpowiedź od Toma-siego - rzekł Losaduna.

- Tomasi! - Yeregia niemalże wypluła to imię. - A czego się można po nim spodziewać? To jego jaskinia splodziła tego... tego łotra.

- Musimy dać im szansę. Nie musimy jednak czekać na nich, żeby pomóc Madenii. Po oczyszczeniu i odnowieniu może zmienić zdanie na temat Pierwszego Rytuału. Musimy chociaż spróbować.

- Próbuj więc, ale ona nie wstanie.

- Może uda nam się ją namówić. Gdzie jest?

- Tam, za tą zasłoną - powiedziała Yerdegia i wskazała na zasłoniętą przestrzeń koło kamiennej ściany.

Losaduna podszedł i odciągnął zasłonę, wpuszczając światło do ciemnej wnęki. Dziewczyna na posłaniu osłoniła oczy ręką.

- Madenio, wstań - odezwał się łagodnym, ale zdecydowanym głosem. Odwróciła twarz do ściany. - Aylo, pomóż mi.

We dwójkę podciągnęli ją do pozycji siedzącej, a potem postawili na ziemi. Madenia nie opierała się, była zupełnie bierna. Idąc po obu jej stronach, wyprowadzili ją z pomieszczenia, a potem z jaskini. Dziewczyna zdawała się nie zauważać zamarzniętej, pokrytej śniegiem ziemi, mimo że była bosa. Poprowadzili ją do dużego, stożkowatego namiotu, którego Ayła wcześniej nie zauważyła. Był schowany za boczną ścianą jaskini i przysłonięty skałkami i krzewami. Z otworu dymnego wydobywała się para. W powietrzu unosił się silny zapach siarki.

Po wejściu do środka Losaduna zasłonił otwór skórzaną zasłoną i przymocował ją. Znajdowali się w małym przedsionku, oddzielonym od reszty wnętrza ciężkimi zasłonami ze skóry mamuciej. Choć na dworze panował mróz, tutaj było ciepło. Namiot o podwójnych ścianach wzniesiono nad gorącym źródłem. Pomimo pary ściany były stosunkowo suche. Chociaż wilgoć zbierała się w kropelkach, które ściekały po ukośnych ścianach namiotu na krańce płachty podłogowej, większość skraplała się po wewnętrznej stronie wierzchniej ścianki, gdzie zimno z zewnątrz stykało się z zaparowanym ciepłem wnętrza. Izolująca warstwa powietrza między ściankami była cieplejsza i utrzymywała wewnętrzną ściankę niemal suchą.

Losaduna kazał im się rozebrać, a kiedy Madenia nie zareagowała, powiedział Ayli, żeby zdjęła z niej ubranie. Młoda kobieta kurczowo przytrzymała odzież, którą Ayła starała się z niej zdjąć, i szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w Tego Który Służy Matce.

- Spróbuj zdjąć jej ubranie, ale jeśli ci nie pozwoli, przyprowadź ją w ubraniu - powiedział Losaduna i wślizgnął się za ciężką zasłonę. Wymknęła się stamtąd smużka pary. Kiedy mężczyzna zniknął, Ayli udało się zdjąć odzież z dziewczyny, szybko rozebrała się sama i poprowadziła Madenię za zasłonę.

Tumany pary wypełniały wnętrze ciepłą mgłą, która zamazywała kontury i przesłaniała detale, ale Ayła zobaczyła obok naturalnego, gorącego źródła obramowany kamieniami basen. Łącząca je dziura była zatkana wyciętą z drewna zatyczką. Po drugiej stronie basenu wyżłobiony pień, doprowadzający zimną wodę z pobliskiego strumienia, został uniesiony i przechylony w odwrotną stronę, nie pozwalając wodzie na wpływanie do basenu. Kiedy gęsta para uniosła się na moment, spostrzegła, że wewnętrzną ściankę namiotu pokrywały malowidła zwierząt, wielu w ciąży, wyblakłe od wilgoci. Obok zwierząt widniały tajemnicze trójkąty, koła, trapezy i inne figury geometryczne.

Wokół basenu na płachcie podłogowej ułożono grube podkładki ze sfilcowanej wełny muflonów, cudownie miękkie i ciepłe pod bosymi stopami. Wymalowane na nich kreski prowadziły do płytszej, lewej strony basenu. Przy ścianie z prawego, głębokiego krańca widać było pod wodą kamienne ławy. Z tyłu wzniesiono małe podium z ziemi, na którym trzy migoczące kamienne lampy - miseczki wypełnione stopionym tłuszczem z pływającym pośrodku knotem, zrobionym z czegoś aromatycznego - otaczały małą figurkę kobiety o obfitych kształtach. Ayla rozpoznała figurkę Wielkiej Matki Ziemi.

Przed ziemnym ołtarzem było starannie rozłożone palenisko wewnątrz niemal doskonałego koła z okrągłych kamieni, prawie identycznych kształtem i wymiarami. Z parującej mgły wyłonił się Losaduna i podniósł mały patyk leżący obok lamp. Na jednym końcu patyka była ciemna grudka, którą przytknął do płomienia. Szybko chwyciła ogień i Ayla poznała zapach żywicy. Losaduna, osłaniając dłonią płomień, przyniósł tę małą żagiew do paleniska, przytknął do podpałki i rozpałił ogień. Wydobywał się z niego silny, ale przyjemny zapach, maskujący smród siarki.

- Chodźcie za mną - powiedział. Umieścił lewą stopę na wełnianej podkładce między dwiema równoległymi liniami i poszedł wokół basenu po starannie wyznaczonej ścieżce. Madenia wlokła się za nim, nie dbając o to, gdzie stawia nogi, ale Ayla obserwowała go uważnie i szła po jego śladach. Okrążyli basen i gorące źródło, przekraczając wydrążony pień, doprowadzający zimną wodę, i głęboki rów odpływowy. Kiedy rozpoczęli drugie okążenie, Losaduna zaczął monotony śpiew, wzywając Matkę wszystkimi jej imionami i tytułami.

- O, Duno, Wielka Matko Ziemio, Wielka i Dobroczynna Karmicielko, Wielka Matko Wszystkich, Początku Wszystkiego, Ty, która błogosławisz kobiety, Najbardziej Współczująca Matko, wysłuchaj naszego błagania. - Powtarzał to wezwanie wiele razy podczas powtórnego okążania basenu.

Kiedy postawił lewą stopę między równoległymi liniami pierwszej podkładki, żeby rozpocząć trzecie okążenie, doszedł do słów "Najbardziej Współczująca Matko, wysłuchaj naszego błagania", ale zamiast powtórzenia litanii ciągnął dalej:

- O, Duno, Wielka Matko Ziemio, jedno z Twoich dzieci zostało zranione. Jedno z Twoich dzieci zostało zgwałcone. Jedno z Twoich dzieci musi być oczyszczone i odnowione, żeby przyjąć Twoje błogosławieństwo. Wielka i Dobroczynna Karmicielko, jedno z Twoich dzieci potrzebuje Twojej pomocy. Musi być uzdrowiona. Musi być naprawiona. Odnów ją, Wielka Matko Wszystkich, i pomóż jej, by mogła zaznać radości Twoich Darów. Pomóż jej, Początku Wszystkiego, by poznała Twój Rytuał Pierwszej Przyjemności. Pomóż jej, Pierwsza

Matko, by mogła przyjąć Twoje Błogosławieństwo. Najbardziej Współczująca Matko, pomóż Madenii, córce Yerdegii, dziecku Losadunai, Dzieci Ziemi, którzy mieszkają obok wysokich gór.

Ayla była wzruszona i zafascynowana tymi słowami i ceremonią. Zdawało jej się, że zauważyła oznaki zainteresowania u Madenii, co ją bardzo ucieszyło. Po trzecim okrążeniu Losaduna poprowadził je po wyznaczonej ścieżce do ziemnego ołtarza, gdzie trzy lampki paliły się wokół małej figurki Matki -dunai. Koło lampy leżał podobny do noża przedmiot, wycięty z kości. Był dość szeroki, dwustronny z nieco zaokrąglonym czubkiem. Podniósł go i zaprowadził je do paleniska.

Usiedli wokół ognia, twarzami do basenu, blisko siebie i z Madenia pośrodku. Z pobliskiej sterty męczyzna wziął brązowe płonące kamienie i dodał je do ognia. Potem z niszy u boku wzniesionej platformy wyjął miskę. Zrobiono ją z kamienia, który prawdopodobnie od początku miał miskowy kształt, ale został pogłębiony za pomocą twardego kamiennego młotka. Dno było zaczernione. Napełnił miskę wodą z małego bukłaka, który także znajdował się w niszy, dodał suszonych liści z małego kosza i postawił kamienną miskę bezpośrednio na gorących głowniach.

Na płaskim spłachetku suchej ziemi otoczonym przez wełniane podkładki zrobił znak kościanym nożem. Nagle Ayla zrozumiała, czym był ten kościany przyrząd. Mamutoi używali podobnego narzędzia do robienia znaków w ziemi, żeby zaznaczyć liczbę punktów zdobytych w grze, planować strategię polowania, czy też do rysowania obrazków ilustrujących opowiadane przygody. Po chwili Ayla zorientowała się, że Losaduna używa noża jako pomocy w opowiedzeniu historii, której celem jednak nie było tylko dostarczenie słuchaczom rozrywki. Opowiadał ją tym samym skandującym zaśpiewem, którego używał, wznosząc błagania do Matki, i rysował ptaki dla podkreślenia i wzmocnienia elementów opowieści. Ayla wkrótce zdała sobie sprawę z tego, że jest to alegoryczna opowieść o napadzie na Madenię, gdzie w roli głównej występują ptaki.

Młoda kobieta wyraźnie reagowała, identyfikując się z młodą samiczką ptasią, o której opowiadał, i nagle wybuchnęła płaczem. Płaską stroną noża Ten Który Służy Matce zamazał całą scenę.

- Już zniknęło! Nigdy się nie zdarzyło! - powiedział i narysował obraz młodego ptaka.  
- Znowu jest cała, taka, jak była od początku. Z Matki pomocą to samo stanie się z tobą, Made-nio. To zniknie, jakby się nigdy nie zdarzyło.

Przypominający miętę zapach, który Ayla nie całkiem była w stanie zidentyfikować, zaczął napełniać namiot. Losaduna sprawdził parującą wodę w pojemniku nad ogniem i

zanurzył w niej kubek.

- Wypij to.

Zaskoczył Madenię i zanim zdążyła pomyśleć czy zaprotestować, już opróżniła kubek. Nabrał jeszcze jeden kubek dla Ayli i jeden dla siebie. Potem wstał i poprowadził je do basenu.

Powoli, ale bez wahania wszedł do parującej wody. Za nim poszła Madenia i Ayla. Kiedy jednak włożyła stopę do wody, wyszarpnęła ją z powrotem. To było gorące! W tej wodzie niemal można by gotować - pomyślała. Wysiłkiem woli zmusiła się do ponownego zanurzenia stopy, ale stała przez chwilę w miejscu, zanim zdecydowała się na kolejny krok. Ayla często kapała się i pływała w zimnej wodzie rzek, strumieni i jezior, nawet w tak zimnej, że przełamywała cienką pokrywę lodu, aby się do niej dostać. Myła się czasami wodą ogrzaną przy ogniu, ale nigdy jeszcze nie wchodziła cała do gorącej wody.

Chociaż Losaduna prowadził je powoli, żeby mogły przyzwycząić się do gorąca, Ayla o wiele później dotarła do kamiennych ław. Kiedy weszła głębiej, poczuła przenikające, łagodzące ciepło, a kiedy usiadła i woda sięgnęła jej podbródka, zaczęła się odprężyć. To nie jest takie niemiłe, jak już się człowiek przyzwyczai - pomyślała. Właściwie ciepło jest bardzo przyjemne.

Po chwili Losaduna kazał Ayli nabrać powietrza i zanurzyć się wraz z głową. Kiedy wynurzyła się, uśmiechnięta, kazał to samo zrobić Madenii. Następnie sam się zanurzył i wyprowadził je z basenu.

Podszedł do zasłony wejściowej i podniósł drewnianą miskę, która tam stała. Miska pełna była gęstej, jasnożółtej substancji, przypominającej ciężką pianę. Losaduna postawił miskę w miejscu wyłożonym dokładnie dopasowanymi, płaskimi kamieniami. Zanurzył w niej rękę, nabrał garść piany i rozsmarował ją na ciele. Powiedział Ayli, żeby zrobiła to samo Madenii i sobie i nie zapomniiała nasmarować również włosów.

Wcierał w siebie miękką, śliską masę i cały czas nucił. Ayla miała wrażenie, że nie tyle należało to do rytuału, ile było wyrazem przyjemności. Czuła lekkie zawroty głowy i zastanawiała się, czy to na skutek wypitego napoju.

Kiedy byli gotowi, Losaduna podniósł drewnianą miskę, podszedł do basenu i napełnił ją wodą. Wrócił na wybrukowane miejsce i wylał na siebie wodę, spłukując pianę. Nabrał jeszcze dwa razy wodę dla siebie, a potem przyniósł więcej wody i wylał ją na Madenię i Aylę. Woda wsiąkała w ziemię w szparach między kamieniami. Ten Który Służy Matce poprowadził je z powrotem do gorącego basenu, znowu nucąc.

Kiedy siedzieli i moczyli się, niemal unosili w mineralnej wodzie, Ayla czuła się

całkowicie odprężona. Gorący basen przypominał jej łaźnię parową Mamutoi, ale był chyba lepszy. Kiedy Losaduna uznał, że mają dosyć, sięgnął na dno głębszego krańca basenu i wyjął drewnianą zatyczkę. Woda popłynęła głębokim rowem odpływowym, a on zaczął krzyżeć, co ją na moment przestraszyło.

- Złe duchy, odejdźcie! Oczyszczające wody Matki, zabierzcie wszelki ślad dotyku Charoliego i wszystkich jego mężczyzn. Nieczystości, zniknijcie wraz z wodą, odejdźcie stąd. Kiedy woda odpłynie, Madenia będzie oczyszczona. Moce Matki uczyniły ją taką, jaka była przedtem! - Razem wyszli z basenu.

Nie zatrzymując się po ubrania, Losaduna wyprowadził je na dwór. Byli tak rozgrzani kąpielą, że zimny wiatr i zamrznięta ziemia pod bosymi stopami wydawały się odświeżające. Kilkoro ludzi, którzy byli na dworze, ignorowało ich lub odwróciło się tyłem. Ayli w niemiły sposób przypominał się inny czas, kiedy ludzie patrzyli na nią i udawali, że nie widzą. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna niż po obłożeniu jej klątwą w klanie. Wiedziała, że ludzie ich widzieli. Po prostu z uprzejmości patrzyli niewidzącym wzrokiem. Spacer szybko ich ochłodził i kiedy dotarli do ceremonialnej izby, z przyjemnością otulili się suchymi skórąmi i sięgnęli po gorącą herbatę z mięty

Ayla spojrzała na swoje dłonie obejmujące kubek. Były pomarszczone, ale zupełnie czyste! Zaczęła czesać włosy kościanym narzędziem z wieloma zębami i dosłyszała trzaski, kiedy przeciągała przez nie rozstawionymi palcami.

- Co to było, ta miękka, śliska piana? - spytała. - Czyści jak mydlnica, ale znacznie lepiej.

- Solandia ją robi - odpowiedział Losaduna. - To jest coś z popiołu i tłuszczu, ale musisz ją o to zapytać.

Ayla rozczesala własne włosy i zabrała się do czesania Madenii.

- Jak robicie taką gorącą wodę? Mężczyzna uśmiechnął się.

- To jest Dar Matki dla Losadunai. W tej okolicy jest wiele gorących źródeł. Niektóre mogą być używane przez wszystkich i o każdej porze, ale niektóre uważamy za święte. To źródło tutaj jest centralne, od niego pochodzą wszystkie inne, jest więc najświętsze ze wszystkich. Dlatego ta jaskinia jest szczególnie uhonorowana. Dlatego też nikt nie chce stąd odchodzić, ale robi się tu już tak tłoczno, że grupa młodych ludzi zastanawia się nad założeniem nowej jaskini. W dół biegu rzeki, na jej drugim brzegu jest miejsce, które im się podoba, ale to jest terytorium płaskogłowych albo co najmniej jego obrzeża, więc jeszcze się nie zdecydowali.

Ayla kiwnęła głową. Było jej przyjemnie ciepło i czuła się tak odprężona, że nie

chciało jej się ruszać. Zauważyła, że również Madenia trochę się odprężyła; nie była już taka zeszywniała i zamknięta w sobie.

- Ta gorąca woda to cudowny Dar! - powiedziała Ayla.

- Musimy nauczyć się doceniać wszystkie Dary Matki - odparł Losaduna - a szczególnie Jej Dar Przyjemności. Madenia zeszywniała.

- Jej Dar to oszustwo! To nie jest przyjemność, tylko ból! -To były jej pierwsze słowa.

- Tak ich błagałam, ale nie przestali. Śmiali się tylko, a kiedy jeden był gotowy, drugi zaczynał! Chciałam umrzeć - zakończyła z łkaniem.

Ayla wstała, podeszła do niej i objęła ją.

- To był mój pierwszy raz, a oni nie przestawali! Nie przestawali - płakała Madenia. - Nigdy już żaden mężczyzna mnie nie dotknie!

- Masz powód do gniewu. Masz powód do płaczu. Zrobili straszną rzecz. Wiem, co czujesz - powiedziała Ayla. Młoda kobieta odsunęła się.

- Skąd możesz wiedzieć, co ja czuję? - W jej głosie był gniew i gorzycz.

- Kiedyś było to także dla mnie tylko bólem i poniżeniem. Zdziwienie odbiło się na twarzy Madenii, ale Losaduna kiwnął głową, jakby nagle coś zrozumiał.

- Madenio - mówiła łagodnie Ayla - kiedy byłam prawie w twoim wieku, trochę młodsza, zaraz potem, gdy zaczął się mój czas księżycowy, także zostałam przymuszona. Nie wiedziałam, że to miało być przyjemnością. Dla mnie było tylko bólem.

- Ale tylko jeden mężczyzna? - spytała Madenia.

- Tylko jeden, ale żądał tego ode mnie wiele razy i nienawidziłam tego! - powiedziała Ayla z gniewem, który ją samą zadziwił.

- Wiele razy? Po przymuszeniu cię pierwszy raz? Dlaczego nikt go nie powstrzymał?

- Uważali, że on ma do tego prawo. Myśleli, że nie powinnam odczuwać takiego gniewu i nienawiści, i nie rozumieli, dlaczego sprawia mi to ból. Zaczęłam się zastanawiać, czy coś jest ze mną nie w porządku. Po pewnym czasie nie czułam już bólu, ale też nie czułam żadnej przyjemności. To nie było robione dla przyjemności. To było robione, żeby mnie poniżyć, i nie przestałam tego nienawidzić. Ale... przestałam się przejmować. Zdarzyło się coś cudownego i niezależnie od tego, co on robił, mogłam myśleć o czymś innym, czymś szczęśliwym, oraz ignorować go. Kiedy nie mógł już mnie zmusić do żadnych uczuć, nawet gniewu, myślę, że sam się poczuł poniżony, i wreszcie przestał. Nie chciałam jednak, by jakkolwiek mężczyzna mnie jeszcze w życiu dotknął.

- Żaden mężczyzna więcej nie dotknie! - krzyknęła Madenia.

- Nie wszyscy mężczyźni są jak Charoli i jego banda. Niektórzy są tacy jak Jondalar.

To on nauczył mnie cieszyć się przyjemnościami Daru Matki i zapewniam cię, że to cudowny Dar. Nie odbieraj sobie szansy spotkania takiego mężczyzny, a też odkryjesz, jaka to radość.

Madenia potrząsała przecząco głową.

- Nie! Nie! To było straszne!

- Wiem, że to było straszne. Nawet najlepsze Dary można nadużyć i dobro zamienić w zło. Któregoś dnia jednak zechcesz zostać matką, a nigdy nie będziesz matką, jeśli nie podzielisz się Darem Matki z mężczyzną - powiedziała Ayla.

Madenia płakała, twarz miała zalaną łzami.

- Nie mów tego. Nie chcę tego słyszeć.

- Wiem, że nie chcesz, ale to jest prawda. Nie pozwól, żeby Charoli zepsuł to, co dobre. Nie pozwól mu na odebranie ci szansy zostania matką. Zgódź się na Rytuał Pierwszej Przyjemności, abys mogła dowiedzieć się, że to nie musi być straszne. Ja się w końcu dowiedziałam, choć nie było zgromadzenia ani żadnej ceremonii. Matka znalazła sposób, by dać mi tę radość. Przysłała mi Jondalara. Dar to coś więcej niż przyjemności, Madenio, o wiele więcej, jeśli towarzyszy mu miłość. Jeśli ból za pierwszym razem był ceną, jaką musiałam za to zapłacić, z radością zapłaciłabym i więcej za miłość, której potem zaznałam. Tyle przecierpiałas, może Matka da również tobie kogoś wyjątkowego, jeśli tylko jej na to pozwolisz. Pomyśl o tym, nie odmawiaj, dopóki nie przemyślisz tego.

Ayla obudziła się bardziej wypoczęta i odświeżona niż kiedykolwiek w życiu. Uśmiechnęła się leniwie i sięgnęła ręką do Jondalara, ale już go nie było na posłaniu. Przez moment poczuła rozczarowanie, ale przypomniała sobie, iż ją obudził, powiedział, że idzie na polowanie z Ladunim i kilkoma myśliwymi, i jeszcze raz spytał, czy chciałaby pójść z nimi. Już poprzedniego wieczora odmówiła udziału w polowaniu, ponieważ miała na ten dzień inne plany. Pozostała na posłaniu, ciesząc się nieczęstym luksusem ponownego wtulenia się w ciepłe futra. Teraz jednak postanowiła wstać. Przeciągnęła się i przesunęła ręką po włosach, zachwycając się ich jedwabistą miękkością. Solandia obiecała jej pokazać, jak robi się tę twardą pianę, od której czuła się taka czysta, a włosy miała takie miękkie.

Na śniadanie była ta sama potrawa, którą jedli od przybycia tutaj: zupa ugotowana na kawałkach suszonej ryby słodkowodnej, złowionej latem w Wielkiej Matce Rzece.

Jondalar powiedział jej, że zapasy jaskini kończyły się i dlatego zorganizowano polowanie. Ludzie najbardziej łaknęli jednak nie mięsa czy ryby. Nie głodowali, nie brakowało im nawet żywności - mieli co jeść - ale było tak blisko końca zimy, że nie było dużego wyboru. Wszyscy mieli dosyć suszonego mięsa i suszonej ryby. Już świeże mięso



byłoby miłą odmianą, choć nie zaspokoiliby w pełni łaknienia. Tęsknili do zieleni, do warzyw i owoców, pierwszych produktów wiosny. Ayla przeszukiwała okolice w pobliżu jaskini, ale Losaduni wszystko wyzbierali do czysta. Nadal mieli spore zapasy tłuszczu, co zabezpieczało ich przed niedoborami białka i dawało dość kalorii, by utrzymać ich w zdrowiu. Na ogół jednak dodawali go do zup, które jedli później w ciągu dnia.

Uczta, która miała być częścią Ceremonii Matki następnego dnia, będzie dość niewyszukana. Ayla już postanowiła ofiarować resztę soli i trochę ziół do przyprawienia potraw i dodania zapachu, jak również cennych składników odżywczych: witamin i minerałów, których brakowało w ich organizmach, co było zasadniczą przyczyną łaknienia. Solandia pokazała jej niewielki zapas sfermentowanych napojów, na ogół piwa brzozonego, które przyczynią się do świątecznego nastroju.

Solandia zamierzała użyć części zmagazynowanego tłuszczu do zrobienia nowego mydła. Kiedy Ayla wyraziła niepokój, że zużyją niezbędną żywność, Solandia powiedziała, że Losaduna lubi używać mydła przy ceremoniach, a ich zapas już jest niemal całkowicie wyczerpany. W czasie, kiedy starsza kobieta zajęła się dziećmi i przygotowaniami, Ayla wyszła z Wilkiem, żeby doglądać Whinney i Zawodnika i trochę z nimi pobyc.

Solandia podeszła do dużego otworu wejściowego jaskini, żeby powiadomić Aylę, iż wszystko jest gotowe, ale zatrzymała się na chwilę i obserwowała gościa. Ayla właśnie wróciła z szybkiej przejażdżki przez pole, śmiała się i bawiła ze zwierzętami. Solandii nasunęła się myśl, że Ayla traktuje zwierzęta jak własne dzieci.

Kilkoro dzieci z jaskini także obserwowało tę scenę, w tym para jej własnych. Przywoływały Wilka, który obejrzał się na Aylę, najwyraźniej chcąc się do nich przyłączyć, ale czekał na jej zgodę. Ayla spostrzegła kobietę u wejścia do jaskini i pospieszyła ku niej.

- Miałam nadzieję, że Wilk zajmie się niemowlęciem - powiedziała Solandia. - Yerdegia i Madenia przyjdą pomóc, ale proces wymaga skupienia.

- Och, matko! - odezwała się najstarsza dziewczynka, Dosa-lia. To ona próbowała przywabić wilka. - Micheri zawsze się z nim bawi.

- No cóż, jeśli ty wolisz zająć się dzieckiem... Dziewczynka zachmurzyła się; nagle buzię rozjaśnił jej uśmiech.

- Czy możemy go zabrać na dwór? Nie ma wiatru i ciepło go ubiorę.

- Czemu nie? - odparła Solandia.

Ayla spojrzała na wilka, który wpatrywał się w nią oczekująco, i powiedziała:

- Pilnuj dziecka, Wilk. - Szczeknął, najwyraźniej w odpowiedzi.

- Mam trochę dobrego tłuszczu mamuciego, który wytopiłam zeszłej jesieni -

odezwała się Solandia, kiedy szły z powrotem do jej izby. - Mieliśmy szczęście z polowaniem na mamuty zeszłego roku. Dlatego mam jeszcze tyle tłuszczu. I bardzo dobrze się stało. Zima byłaby ciężka bez tych zapasów. Już zaczęłam rozpuszczać tłuszcz, - Doszły do wejścia w momencie, w którym wybiegły stamtąd dzieci, niosąc najmłodszego chłopczyka. - Nie zgubcie rękawic Micheriego! - zawołała za nimi Solandia.

Yerdegia i Madenia były już w izbie.

- Przyniosłam trochę popiołu - powiedziała Yerdegia. Madenia tylko się uśmiechnęła, nieco niepewnie.

Solandia ucieszyła się na jej widok. Cokolwiek zrobili przy gorącym źródle, wyglądało, że zaczyna działać.

- Włożyłam do ogniska kilka kamieni na ugotowanie herbaty, Madenio, mogłabyś zrobić dla nas wszystkich? Potem użyję reszty do podgrzania wody, w której topi się tłuszcz.

- Co mam zrobić z popiołem? - spytała Yerdegia.

- Możesz domieszać do mojego. Zaczęłam już ługowanie, ale nie tak dawno.

- Losaduna powiedział, że używasz tłuszczu i popiołu - odezwała się Ayla.

- I wody - dodała Solandia.

- To dziwny zestaw.

- Tak, dziwny.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby mieszać razem te rzeczy? Chodzi mi o to, jak to się stało. Za pierwszym razem? Solandia uśmiechnęła się.

- Właściwie to był przypadek. Polowaliśmy. Miałam rozpalony ogień w głębokim dole i nad nim piekło się tłuste mięso mamucie. Zaczęła się ulewa. Złapałam mięso razem z rożnem i pobiegłam się schować. Jak tylko deszcz ustał, wróciliśmy do jaskini, ale zapomniałam dobrej drewnianej miski do gotowania i poszłam po nią następnego dnia. Dół był pełen wody, a na powierzchni pływało coś, co wyglądało jak gęsta piana. Nigdy bym tym sobie nie zwracała głowy, gdyby nie to, że wpadł mi tam czerpak i musiałam go wyłowić. Poszłam do strumyka, żeby spłukać pianę z rąk. Była taka gładka i śliska, jak dobra mydl-nica, a moje ręce zrobiły się takie czyste! Czerpak także. Cały tłuszcz się zmył. Poszłam z powrotem, nabrałam tej piany do miski i przyniosłam do jaskini.

- Czy łatwo ją zrobić?

- Nie. Właściwie to nie jest łatwe. Nie chodzi o to, że to wymaga ciężkiej pracy, ale potrzeba doświadczenia. Za pierwszym razem miałam szczęście. Wszystko musiało być dokładnie tak, jak należy. Od tamtego czasu to robię, a czasami nadal mi nie wychodzi.

- Jak to robisz? Musiałas wypracować sobie jakąś metodę, skoro na ogół ci się udaje.

- Nietrudno to opisać. Najpierw rozpuszczam czysty, wytopiony tłuszcz - każdy tłuszcz się nadaje, ale każdy daje trochę inne rezultaty. Najchętniej używam mamuciego tłuszczu. Potem biorę popiół drzewny, mieszam z gorącą wodą i daję się popiołowi trochę pomoczyć. Potem przecedzam przez sito czy kosz z dziurkami na dnie. Ten płyn jest bardzo mocny. Może poparzyć skórę. Trzeba go natychmiast spłukać. Ten mocny płyn wlewasz do tłuszczu i mieszasz. Jak się uda, to wychodzi miękka piana, która czyści wszystko, nawet skóry.

- Ale nie zawsze się udaje - wtrąciła Yerdegia.

- Nie. Dużo rzeczy może nie wyjść. Czasami mieszasz i mieszasz i nie chce się zmieszać. Czasem pomaga podgrzanie. Niekiedy rozdziela się i jedna warstwa jest zbyt mocna, a druga zbyt tłusta. Czasami ścina się w grudki, które nie są całkiem zmieszane. Bywa, że wychodzi twardsze, ale to nie szkodzi. I tak twardnieje, jak długo stoi.

- Ale czasami się udaje, jak wtedy, za pierwszym razem - powiedziała Ayla.

- Wypraktykowałam, że zarówno tłuszcz, jak i płyn z popiołu muszą mieć temperaturę ciała w przegubie dłoni. Jak prysniesz trochę na rękę, nie powinno być ani zimne, ani ciepłe. Trudniej jest ocenić temperaturę płynu z popiołu, bo trochę szczypie i od razu musisz go zmyć zimną wodą. Jeśli piecze za bardzo, wiesz, że musisz dodać trochę wody. Na ogół nie piecze zbyt mocno, ale wolałabym nie prysnąć nim sobie do oczu. Same opary potrafią trochę szczypać, jak podejdiesz zbyt blisko.

- No i potrafi cuchnąć! - dodała Madenia.

- To prawda - zgodziła się Solandia. - Potrafi cuchnąć. Dlatego na ogół idę na środek jaskini, żeby to zmieszać, chociaż najpierw przygotowuję wszystko tutaj.

- Matko! Matko! Chodź szybko! - Najstarsza córka Solandii wpadła do jaskini z krzykiem i natychmiast wybiegła z powrotem.

- Co się stało? Czy coś się stało dziecku? - Kobieta rzuciła się do wyjścia. Wszyscy inni pobiegli za nią.

- Patrz! - zawołała Dosalia. Wszyscy spojrzeli na dwór. - Niemowlę chodzi!

Micheri stał koło wilka, trzymając się jego sierści, i z szerokim uśmiechem zachwyty stawał niepewne kroczyki, a Wilk ostrożnie i powoli posuwał się do przodu. Wszyscy uśmiechnęli się z ulgą i zachwytem.

- Czy ten wilk się uśmiecha? - spytała Solandia. - Wygląda mi, jakby się uśmiechał. Wydaje się tak zadowolony z siebie, że się uśmiecha!

- Też tak sądzę - powiedziała Ayla. - Często myślałam, że on umie się uśmiechać.

- To nie jest tylko na ceremonie, Aylo - powiedział Losaduna. - Często używamy gorącej wody po prostu, żeby się wymoczyć. Jeśli chcesz tam zabrać Jondalara, nie mamy nic przeciwko temu. Święte Wody Matki są jednym z Jej Darów. Są po to, żeby z nich korzystać, cieszyć się nimi i je doceniać. Tak jak powinna zostać doceniona ta herbata, którą zrobiłaś - dodał, podnosząc kubek.

Niemal cała jaskinia, poza myśliwymi, zebrała się wokół paleniska pośrodku. Poza specjalnymi okazjami posiłki nie były w jakikolwiek sposób ustalane wspólnie. Ludzie jedli czasami osobno, w grupach rodzinnych, a czasami razem z innymi. Teraz wszyscy, którzy pozostali w jaskini, zjedli razem południowy posiłek, przede wszystkim dlatego, że ciekawili ich goście. Posiłek składał się z pożywnej zupy z chudego, wysuszonego mięsa jeleniego z dodatkiem mamuciego tłuszczu, co dawało uczucie sytości. Popili herbatą zrobioną przez Aylę i wszyscy zwrócili uwagę na to, jak była smaczna.

- Jak wrócą, to chyba użyjemy tego basenu. Myślę, że spodoba mu się gorąca kąpiel, a ja chętnie się wykąpię razem z nim - powiedziała Ayla.

- Lepiej ją ostrzeż, Losaduna - powiedziała jedna z kobiet ze znaczącym uśmiechem. Została przedstawiona Ayli jako towarzyszka życia Laduniego.

- Przed czym, Laronio? - spytała Ayla.

- Czasami musisz wybierać między Darami Matki.

- Nie rozumiem.

- Jej chodzi o to, że Święte Wody mogą zanadto odprężyć - wyjaśniła Solandia.

- Nadal nie rozumiem - odparła Ayla. Wiedziała, że wszyscy czynią jakieś aluzje i kryje się w tym dowcip.

- Jeśli zabierzesz Jondalara do gorącej wody, to wymoczy mu całą siłę z męskości - rzekła Yeregia, bardziej bezpośrednio niż inni - i może potrwać kilka godzin, zanim znowu stanie. Po takim wymoczeniu nie spodziewaj się po nim zbyt wiele. A przynajmniej nie od razu. Niektórzy mężczyźni dlatego nie chcą się moczyć w Świętych Wodach Matki. Boją się, że ich męskość wycieknie do Świętych Wód i nigdy nie wróci.

- Czy to się może stać? - spytała Ayla, patrząc na Losadunę.

- Nigdy niczego takiego nie widziałem ani nie słyszałem - odrzekł, - Jeśli już, to jest odwrotnie. Po chwili mężczyzna ma więcej wigoru, ale to chyba dlatego, że jest odprężony i dobrze się czuje.

- Cudownie się czułam po gorącej kąpeli i bardzo dobrze spałam, ale zdaje się, że to nie tylko z powodu wody. Może napoju?

Losaduna uśmiechnął się.

- To był bardzo ważny rytuał. Zawsze jest w ceremonii coś więcej, niż widać na oko.

- No cóż, jestem całkowicie gotowa na powrót do Świętych Wód, ale chyba poczekam na Jondalara. Jak myślicie, czy myśliwi wrócą niedługo?

- Z pewnością - powiedziała Laronia. - Laduni wie, że jest dużo rzeczy do zrobienia przed jutrzejszym Festiwalem Matki. Nie przypuszczałam, że w ogóle pójdą dzisiaj, ale chcieli zobaczyć, jak działa ta broń dalekiego zasięgu Jondalara. Jak on ją nazywa?

- Miotacz oszczepów, a działa bardzo dobrze - odpowiedziała Ayla - ale tak jak wszystko inne wymaga ćwiczeń. Mieliśmy wiele okazji po temu podczas tej podróży.

- Rzucasz jego miotaczem oszczepów? - spytała Madenia.

- Mam własny. Zawsze lubiłam polować.

- Dlaczego nie poszłaś z nimi dzisiaj? - dociekała dziewczyna.

- Bo chciałam się nauczyć, jak robić tę czyszczącą substancję. I mam trochę ubrań, które chcę oczyścić i naprawić. - Ayla wstała i poszła w kierunku ceremonialnej izby. Nagle zatrzymała się i powiedziała: - Mam coś, co chciałabym wszystkim pokazać. Czy ktoś z was widział przeciągacz nici? - Zobaczyła zdziwione spojrzenia i przeczące potrząsanie głowami. - Jeśli poczekacie chwilę, wezmę mój i pokażę.

Ayla wróciła po chwili z przyborami do szycia i ubraniami, które chciała naprawić. Wszyscy stłoczyli się wokół, żeby zobaczyć jeszcze jedną zdumiewającą rzecz, jaką przynieśli podróżnicy. Z woreczka Ayla wyjęła mały pojemnik - zrobiony z lekkiej, pustej w środku kości ptaka - i wytrząsnęła z niego dwie kościane igły. Podała jedną Solandii.

Kobieta dokładnie zbadała wypolerowany do gładkości miniaturowy oszczep. Z jednej strony zakończony był ostrym szpicem, trochę jak szydło. Drugi koniec był nieco grubszy i ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że miał przeborowaną na wylot dziurkę. Zastanowiła się przez chwilę i nagle zrozumiała, do czego to służy.

- Powiedziałaś, że to przeciągacz nici? - spytała i podała przedmiot Laronii.

- Tak, pokażę, jak tego używać. - Ayla oddzieliła cienkie włókno ścięga z grubszego pasma. Zmoczyła koniuszek i wygładziła go w szpic, a potem poczekała, aż wyschnie. Włókno stwardniało, ale zachowało nadany mu kształt. Przewlekła je przez dziurkę w końcu maleńkiego oszczepu z kości słoniowej i odłożyła na bok. Następnie wzięła małe narzędzie z krzemienia z ostrym czubkiem i użyła go do zrobienia dziurek blisko krawędzi ubrania, którego ścięgi puściły wzdłuż bocznego szwu, a kilka przedarło skórę. Nowe dziurki były nieco dalej niż pierwotne. Po zrobieniu dziurek na nowy szew Ayla zaczęła demonstrować nowe narzędzie. Włożyła czubek kościanej igły w dziurkę w skórze i chwytając za wystającą część, przeciągnęła igłę wraz z nitką na drugą stronę.

- Oooh! - Siedzący w pobliżu ludzie, szczególnie kobiety, wydali westchnienie zachwytu. "Patrzcie na to!" "Nie musiała wyskubywać nici, po prostu ją przeciągnęła". "Mogę spróbować?"

Ayla puściła kawałek ubrania wokół, pozwoliła im na eksperymenty, wyjaśniała, pokazywała i opowiadała, jak wpadła na ten pomysł i jak wszyscy w Obozie Lwa pomogli jej to udoskonalić i wykonać.

- To jest świetnie zrobione szydło - zawyrokowała Solandia po starannym zbadaniu przedmiotu.

- To zrobił Wymez z Obozu Lwa. On zrobił także wiertła, jakimi przewiercono tę dziurkę, przez którą przechodzi nić - powiedziała Ayla.

- Bardzo trudno zrobić takie narzędzie - zauważył Losaduna.

- Jondalar mówi, że Wymez to jedyny łupacz krzemienia, jakiego zna, który jest równie dobry jak Dalanar, a może trochę lepszy.

- To wielka pochwała - rzekł Losaduna. - Wszyscy przyznają, że Dalanar jest mistrzem wśród łupaczy. Jego umiejętności są słynne nawet po tej stronie lodowca, wśród Losadunai.

- Ale także Wymez jest mistrzem.

Wszyscy odwrócili się ze zdziwieniem na dźwięk tego głosu i zobaczyli Jondalara, Laduniego i wielu innych, którzy właśnie wchodzili do jaskini, niosąc zabitego koziorożca.

- Mielicie szczęście! - powiedziała Yerdegia. - Jeśli mogę, to chciałabym dostać skórę. Chciałam wełny koziorożca na posłanie do Zaślubin Madenii. - Spieszyła się ze swoją prośbą, żeby nikt jej nie ubiegł.

- Matko! - szepnęła zażenowana Madenia. - Jak możesz mówić o Zaślubinach?

- Madenia musi najpierw odbyć Pierwszy Rytuał, zanim zaczniemy mówić o Zaślubinach - odezwał się Losaduna.

- Jeśli o mnie chodzi, to może dostać tę skórę, niezależnie od tego, do czego chce jej użyć - odparła Laronia. W prośbie Yerdegii dostrzegła cień chciwości. Nieczęsto polowali na te nieuchwytnie dzikie kozły, więc ich futro było rzadkością. Ceniono zwłaszcza to zimowe, o gęstej sierści, zanim jeszcze zaczynało linieć na wiosnę.

- Mnie też nie zależy. Yerdegia może je sobie wziąć - powiedziała Solandia. - Świeże mięso koziorożca będzie miłą odmianą w jadłospisie, niezależnie od tego, kto dostanie skórę, a szczególnie na Festiwalu Matki.

Wielu innych ludzi przytaknęło i nikt nie zgłosił zastrzeżeń. Yerdegia próbowała ukryć triumfujący uśmiech. Szybką prośbą zapewniła sobie cenne futro, dokładnie tak, jak

planowała.

- Świeże mięso będzie smaczne z suszonymi cebulami, które przyniosłam, a mam także czarne jagody.

Wszyscy znowu spojrzeli na otwór wejściowy. Ayla zobaczyła młodą kobietę, której wcześniej nie widziała, z niemowlęciem na ręku i małą dziewczynką przytuloną do nogi, za którymi stał młody mężczyzna.

- Filonia! - chórem wykrzyknęło wiele osób.

Laronia i Laduni rzucili się ku niej, a za nimi wszyscy inni. Młoda kobieta najwyraźniej nie była tu kimś obcym. Po gorących uściskach na powitanie Laronia wzięła niemowlę, a Laduni podniósł małą dziewczynkę, która podbiegła do niego, i posadził ją sobie na ramionach. Z zadowolonym uśmiechem patrzyła z góry na wszystkich.

Jondalar stał koło Ayli i uśmiechał się do tych szczęśliwych ludzi.

- Ta dziewczynka mogłaby być moją siostrą! - wykrzyknął.

- Filonio, popatrz, kto tu jest - powiedział Laduni, prowadząc młodą kobietę w ich kierunku.

- Jondalarze, to naprawdę ty? - zawołała zaskoczona. - Nie myślałam, że kiedykolwiek wrócicie. Gdzie jest Thonolan? Chciałabym mu kogoś przedstawić!

- Nie ma go już, Filonio. Chodzi po następnym świecie -odparł Jondalar.

- Och! Tak mi przykro. Chciałam, żeby spotkał Thonolię. Jestem pewna, że to jest dziecko z jego ducha.

- Też jestem tego pewien. Wygląda tak samo jak moja siostra, która urodziła się przy tym samym co on ognisku. Chciałbym, żeby moja matka mogła ją zobaczyć, ale myślę, że ucieszy ją sama świadomość tego, że coś po nim pozostało na tym świecie, dziecko z jego ducha.

Młoda kobieta dostrzegła Aylę.

- Ale nie wróciłeś sam.

- Nie, nie wrócił sam - powiedział Laduni - ale poczekaj, aż zobaczysz jego pozostałych towarzyszy podróży. Nie będziesz chciała uwierzyć.

- Przyszliście w samą porę. Jutro mamy Festiwal Matki -dodała Laronia.

Ludzie z Jaskini Świętego Gorącego Źródła z wielkim entuzjazmem oczekiwali na Festiwal na Cześć Matki. W środku zimy, kiedy życie na ogół było puste i nudne, przybyli Ayla z Jondalarem i wnieśli wystarczająco zamętu, by utrzymać jaskinię w podnieceniu przez długi czas, a opowieści o nich i ich wizycie będą wzbudzać zainteresowanie przez wiele lat. Od momentu, kiedy wjechali na końskich grzbietach z Wilkiem, Który Lubi Dzieci, wszyscy nie ustawiali w domysłach i spekulacjach. Mieli niezwykle historie do opowiedzenia, frapujące nowe pomysły i fascynujące narzędzia, takie jak miotacz oszczepów i przeciągacz nici.

Teraz wszyscy mówili o czymś magicznym, co ta kobieta ma pokazać podczas ceremonii, co ma coś wspólnego z ogniem, jak ich płonące kamienie. Losaduna wspomniał o tym podczas wieczornego posiłku. Goście obiecali także dać pokaz rzucania oszczepu z miotacza na polu przed jaskinią, żeby wszyscy go mogli zobaczyć, a Ayla miała zademonstrować, czego można dokonać procą. Nic jednak nie podnieciło takiej ciekawości jak misterium związane z ogniem.

Ayla stwierdziła, że nieustanne zainteresowanie innych może być równie męczące, choć w inny sposób, co ciągle podróżowanie. Przez cały wieczór ludzie zasypywali ją pytaniami, starali się poznać jej opinie i przemyślenia na tematy, o których nic nie wiedziała. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, poczuła się zmęczona i nie miała ochoty na dalsze rozmowy. Zaraz po zmroku odeszła od zgromadzenia przy ognisku w środkowej części jaskini, by się położyć. Wilk poszedł z nią razem, a Jondalar zaraz potem, dając ludziom możliwość swobodnego plotkowania i spekulacji na ich temat.

W miejscu wyznaczonym dla nich w ceremonialnej i mieszkalnej izbie Losaduny pokręcili się chwilę, żeby dokończyć przygotowań do następnego dnia, po czym wpełzli w futra. Jondalar objął ją i miał zamiar popieścić, co Ayla zawsze traktowała jako "sygnał" do kochania się, ale zdawała się zdenerwowana i roztargniona, chciał zresztą oszczędzić własnych sił. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć na Festiwalu Matki, i Losaduna napomknął, że dobrze byłoby powstrzymać się z honorowaniem Matki przed specjalnym rytuałem, który razem planowali.

Rozmawiał z Tym Który Służy Matce o swoich obawach co do możliwości posiadania dzieci urodzonych przy jego ognisku, o tym, czy Matka uzna jego ducha za godnego do rozpoczęcia nowego życia. Postanowili w prywatnym rytuale przed świętem zaapelować



bezpośrednio do niej o pomoc.

Ayla długo jeszcze leżała bezsennie, słysząc równomierny oddech śpiącego obok niej mężczyzny. Była zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Często zmieniała pozycję, starając się nie przeszkadzać Jondalarowi swoim niespokojnym przewracaniem. Choć zdrzemnęła się, głęboki sen nie nadchodził i jej myśli błądziły dziwnymi ścieżkami, kiedy dryfowała między obrazami na jawie a niespokojnymi snami...

*Ląka była pokryta bujną, świeżą zielenią wiosny i rozjaśniona kolorowymi kwiatami o różnych barwach. W oddali stroma skarpa kremowego koloru, podziurawiona jaskiniami i poznaczona czarnymi pasmami, które okrężały skalne nawisy, niemal lśniła w świetle rzucającym z wysoka, z jasnego, lazurowego nieba. Odbite promienie słoneczne załamywały się w wodzie rzeki płynącej wzdłuż podnóża skały. Rzeka w pewnych miejscach to zbliżała się do skały, to oddalała.*

*Na płaskiej przestrzeni za rzeką stał mężczyzna i przypatrywał się jej, mężczyzna z klanu. Odwrócił się i poszedł w kierunku skarpy; opierał się na lasce i powlóczył stopą, a jednak szedł w szybkim tempie. Nie dał jej żadnego znaku, ale wiedziała, że ma za nim iść. Pospieszyła ku niemu i kiedy się zrównali, zerknął na nią swoim zdrowym okiem. Było ciemnobrązowe, pełne współczucia i mocy. Wiedziała, że narzuta z niedźwiedziej skóry okrywa kikot ramienia, które amputowano w łokciu, kiedy był chłopcem. Jego babka, słynna znachorka, odcięła bezużyteczny, sparaliżowany członek, kiedy został dotknięty gangreną po zranieniu przez jaskiniowego niedźwiedzia. Creb stracił oko podczas tego samego, strasznego spotkania.*

*Kiedy zbliżyli się do skalnej ściany, zauważyła dziwną formację niedaleko wierzchu kamiennego nawisu. Podłużny, nieco spłaszczony i ukształtowany jak kolumna kamień narzutowy, ciemniejszy niż kremowa skała macierzysta z wapienia, która go podtrzymywała, przechylał się przez krawędź niczym zamrożony w miejscu w momencie upadku. Kamień nie tylko robił wrażenie, jakby miał w każdej chwili spaść, co ją niepokoiło, ale wiedziała również, że jest z jakiegoś powodu ważny; coś, o czym powinna była pamiętać, coś, co zrobiła czy miała zrobić - lub czego zrobić nie powinna była.*

*Przymknęła oczy i starała się przypomnieć, o co chodzi. Zobaczyła ciemność, gęstą, aksamitną, namacalną ciemność, tak całkowicie bez światła, jak tylko może być w jaskini głęboko we wnętrzu góry. W oddali pojawiło się maleńkie, migocące światełko i wymacała drogę uzdłuż wąskiego korytarza w jego kierunku. Kiedy się zbliżyła, zobaczyła Creba z innymi Mogurami i nagle przeraziła się. Nie chciała tego wspomnienia i szybko otworzyła oczy.*

*Była na brzegu małej rzeki, która wiała się wzdłuż podstawy ściany skalnej. Spojrzała na drugi brzeg i zobaczyła Creba, mozolnie wspinającego się ścieżką w kierunku pochyłego kamienia narzutowego. Znalazła się tuż za nim i teraz nie wiedziała, jak przeszła przez rzekę, żeby go dogonić. Zawołała do niego:*

*- Creb, przepraszam. Niechcący poszłam za tobą do jaskini. Odwrócił się i znowu przywołał ją, ruchem ręki, oznaczającym, że trzeba się spieszyć.*

*- Szybko - pokazał jej znak już zza rzeki, która stała się szersza i głębsza oraz pełna lodu. - Nie czekaj dłużej! Spiesz się! Lód się rozrastał i odsuwał go coraz dalej.*

*- Poczekaj na mnie! Creb, nie zostawiaj mnie tutaj! -krzyknęła.*

*- Aylo! Aylo, obudź się! Znowu coś ci się śni. - Jondalar łagodnie ją potrząsał.*

Otworzyła oczy i poczuła niezmierną stratę i dziwnie intensywny strach. Zobaczyła pokryte skórą ściany, czerwonawy żar z paleniska i niewyraźną sylwetkę trzymającego ją mężczyzny. Wyciągnęła ręce i przywarła do niego.

*- Musimy się spieszyć, Jondalarze! Musimy natychmiast stąd odejść.*

*- Pójdziemy, jak tylko będziemy mogli. Ale jutro jest Festiwal Matki i musimy zdecydować, co nam potrzebne do przejścia przez lód.*

*- Lód! Musimy przejść przez rzekę z lodu!*

*- Tak, wiem. - Trzymał ją mocno i starał się ją uspokoić. -Musimy jednak przemyśleć, jak to zrobimy z końmi i Wilkiem. Będziemy potrzebowali żywności i sposobu na zdobycie wody dla nas wszystkich. Tam na górze lód jest mocno zamrożony.*

*- Creb powiedział, żeby się spieszyć. Musimy iść!*

*- Jak tylko będziemy mogli, Aylo. Przyrzekam, jak tylko będziemy mogli. - Jondalar poczuł silny niepokój. Rzeczywiście powinni już ruszyć w drogę i przekroczyć lodowiec tak szybko, jak to jest możliwe, ale czyż mogli odejść przed Festiwalem Matki?*

Późne popołudniowe słońce przeświecało przez gałęzie drzew, które załamywały skrzące się promienie, ale nie przesłaniały oślepiającego światła. Na wschodzie pokryte lodem szczyty górskie kapały się w ciepłej, różowawej łunie, która zdawała się emanować z samego lodu, a była odbiciem lśniącej kuli, która obniżała się między gorejące chmury. Nadciągał wieczór, ale Ayła i Jondalar nadal znajdowali się na polu przed jaskinią, choć Jondalar był tylko obserwatorem, jak wszyscy inni.

Ayła odetchnęła głęboko, ale nie wypuściła powietrza, żeby para nie zasłaniała jej widoku, kiedy przymierzała się do rzutu. Jeden z kamieni, które trzymała w ręce, włożyła do

kieszonki procy, zakręciła nią i rzuciła, puszczając jeden koniec. Potem przesunęła szybko dłonią po procy, zaczynając od końca, który nadal trzymała w ręku; złapała luźny koniec, włożyła drugi kamień w kieszonkę, zakręciła i rzuciła znowu. Potrafiła rzucać dwoma kamieniami szybciej, niż ktokolwiek to sobie potrafił wyobrazić.

- Ooch! Patrzcie na to! - Ludzie, którzy stali u dużego otworu wejściowego do jaskini, obserwując pokazy rzucania oszczepów miotaczem i kamieni procą, również odetchnęli i dawali wyraz swojemu zdziwieniu i uznaniu. - Myślałem, że świetna jest z tym miotaczem, ale jest jeszcze lepsza z procą.

- Mówiła, że trzeba ćwiczeń, aby celnie rzucać oszczepem, ale ile ćwiczeń trzeba było, żeby tak rzucać kamieniami? - odezwał się Larogi. - Chyba łatwiej jest nauczyć się używać miotacza oszczepów.

Pokaz zakończył się. Zapadała ciemność. Laduni wystąpił przed zgromadzonych ludzi i oznajmił, że uczta jest prawie gotowa.

- Będzie podana przy środkowym palenisku, ale najpierw Losaduna chce poświęcić ten Festiwal Matce przy Ceremonialnym Ognisku i Ayla da nam jeszcze jeden pokaz. To, co nam pokaże, jest zdumiewające.

Podeksycytowani ludzie zaczęli wracać do jaskini i Ayla zauważyła, że Madenia rozmawia z kilkoma przyjaciółmi i uśmiecha się, co ją bardzo ucieszyło. Wielu ludzi mówiło o tym, jak cieszy ich jej ponowne włączenie się do życia grupy, choć nadal była nieśmiała i zamknięta w sobie. Ayla pomyślała, że postawa otoczenia ma bardzo duże znaczenie. Inaczej niż w jej przypadku, kiedy wszyscy uważali, że Broud ma prawo do przymuszania jej, gdy tylko tego zechce, i uważali, że to ona jest dziwaczna, opierając mu się i go nienawidząc - Madenia miała poparcie ziomków. Stali po jej stronie. Byli oburzeni na tych, którzy ją zgwałcili, rozumieli, jakim koszmarem było to przeżycie, i chcieli naprawić wyrządzone jej zło.

Kiedy wszyscy usadowili się wokół Ceremonialnego Ogniska, Ten Który Służy Matce wyszedł z cienia i stanął za płonącym ogniem, otoczonym kołem niemal identycznych wielkością kamieni. Podniósł mały patyk, którego koniec umoczony był w żywicy, przytknął go do ognia, aż się zapalił, odwrócił się i podszedł do kamiennej ściany jaskini.

Jego ciało zasłaniało widok i Ayla nie mogła zobaczyć, co robi, ale kiedy rozbłysła spoza niego jasność, wiedziała, że zapalił jakiś rodzaj ognia, prawdopodobnie lampę. Wykonał kilka ruchów i zaczął śpiewnie recytować znajomą litanie, powtarzając różne imiona Matki, tak jak podczas oczyszczającego rytuału Madenii. Przywoływał ducha Matki.

Kiedy cofnął się i odwrócił twarzą do zgromadzenia, Ayla zobaczyła, że światło

pochodziło z kamiennej lampy, którą zapalił w niszy skalnej ściany. Płomień rzucał tańczące cienie małej dunai i oświetlał pięknie wyrzeźbioną figurę kobiety z obfitymi atrybutami macierzyństwa - dużymi piersiami i okrągłym brzuchem, nie ciężarym, ale dobrze zaopatrzoną w zapasy tłuszczu.

- Wielka Matko Ziemio, Początku Wszystkiego i Twórczyni

Wszelkiego Życia, Twoje dzieci przyszły, żeby okazać swoje uznanie, żeby Ci podziękować za wszystkie Twoje Dary, duże i małe, żeby Cię uczcić - zaintonował Losaduna, a ludzie jaskini dołączyli się. - Za skały i kamienie - kości krainy, które swoim duchem żywią glebę, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za glebę, która swoim duchem żywi rośliny, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za rośliny, które rosną i karmią swym duchem zwierzęta, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za zwierzęta, które oddają swego ducha, by karmić zjadaczy mięsa, przyszliśmy oddać Ci cześć. I za wszystko, co oddaje swego ducha, by nakarmić, odziać i osłonić Twoje dzieci, przyszliśmy oddać Ci cześć.

Wszyscy znali te słowa, nawet Jondalar się włączył, chociaż wymawiał je w zelandonii. Wkrótce Ayla też zaczęła powtarzać zwrot o oddawaniu czci, a chociaż nie znała pozostałych słów, wiedziała, że są ważne i że ich nigdy już nie zapomni.

- Za Twojego wielkiego, żarzącego się syna, który rozświetla dzień, i Twojego jasnego, świecącego towarzysza, który pilnuje nocy, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za Twoje życiodajne wody płodowe, które wypełniają rzeki i morza oraz spadają deszczem z nieba, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za Twój Dar Życia i Twoje błogosławieństwo dla kobiet, by dawały życie, tak jak Ty to czynisz, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za mężczyzn, którzy zostali stworzeni do pomocy kobietom w trosce o nowe życie i z których ducha tworzysz nowe życie w kobietach, przyszliśmy oddać Ci cześć. Za Twój Dar Przyjemności, który mężczyźni i kobiety czerpią wzajem od siebie i który otwiera kobietę tak, by mogła rodzić, przyszliśmy oddać Ci cześć. Wielka Matko Ziemio, Twoje dzieci zebrały się dzisiaj razem, żeby oddać Ci cześć.

Głęboka cisza wypełniła jaskinię po tej wspólnej inwokacji. Potem zapłakało niemowlę i wydało się to jak najbardziej właściwe.

Losaduna cofnął się i zdawało się, że zanika w cieniu. Solan-dia wstała, wzięła stojący obok Ceremonialnego Ogniska kosz i wysypała popiół i ziemię na płomień, gasząc ceremonialny ogień. Zapadła niemal całkowita ciemność. Z tłumy rozległo się kilka zdziwionych achów i ochów i wszyscy wyczekująco pochyliли się do przodu. Jedyne światło dochodziło z małej lampy, która paliła się w niszy, co spowodowało, że tańczące cienie figurki Matki zdawały się rosnać, aż wypełniły całą przestrzeń. Chociaż nigdy przedtem nie

wygaszano w ten sposób ognia, Losaduna natychmiast docenił dramatyczny efekt.

Goście i mieszkańcy Ceremonialnego Ogniska przećwiczyli wszystko wcześniej i każde z nich wiedziało, co ma robić. Ayla poszła w ciemności do innego paleniska. Uznano, że możliwości ognistego kamienia najlepiej i z najbardziej dramatycznym efektem zostaną pokazane przez wykrzesanie nowego ognia w zimnym palenisku natychmiast po wygaszeniu ceremonialnego ogniska. Dobra hubka z wysuszonych mchów została umieszczona w tym drugim palenisku wraz z podpałką i kilkoma większymi patykami. Brunatny węgiel zostanie dodany po chwili, żeby podtrzymać ognisko.

Odkryli podczas ćwiczeń, że wiatr pomagał iskrze, szczególnie przeciąg stworzony przez otwarcie wejścia do ceremonialnej izby, i Jondalar stał obok skórzanej zasłony. Ayla przyklęła z pirytem żelaza w jednej ręce i kawałkiem krzemienia w drugiej, uderzyła je o siebie, tworząc dużą, długotrwałą iskrę, która była jasno widoczna w ciemności. Znowu uderzyła dwa kamienie razem, trzymając je pod nieco innym kątem, co sprawiło, że iskra spadła na hubkę. To był sygnał dla Jondalara, który uchylił zasłonę. Ayla poczuła zimny powiew, pochyliła się nisko nad żarzącym się wysuszonym mchem i lekko dmuchnęła. Nagle mech wybuchnął płomieniem, który ogarnął również podpałkę, i rozległ się chór zdumionych i podnieconych głosów. W ciemnym pomieszczeniu płomień rzucał czerwony blask, oświetlał twarze wszystkich i wydawał się większy, niż był w istocie.

Ludzie zaczęli mówić, gwałtownie i z podnieceniem, pełni zdumienia i zachwytu, co rozładowało napięcie. W przeciągu kilku chwil - jaskini zdawało się, że stało się to niemal natychmiast - ogień został rozpalony. Ayla dosłyszała kilka komentarzy: "Jak ona to zrobiła?" "Jak można tak prędko wzniecić ogień?" W Ceremonialnym Ognisku rozpalono ponownie ogień. Ten Który Służy Matce stanął między dwoma paleniskami i przemówił:

- Większość ludzi, która tego nie widziała, nie wierzy, że kamienie mogą się palić, a jednak płonące kamienie są darem Wielkiej Matki Ziemi dla Losadunai. Nasi goście także otrzymali dar, ognisty kamień. Kamień, z którego rodzi się ognista iskra, kiedy zostanie uderzony krzemieniem. Ayla i Jondalar ofiarowują nam jeden taki kamień, nie tylko do użytku, ale również po to, byśmy mogli go rozpoznać, jeśli gdzieś go znajdziemy. W zamian proszą o wystarczającą ilość żywności i innych zapasów na przeprawę przez lodowiec.

- To już im obiecałem - odezwał się Laduni. - Jondalar ma u mnie przysługę zobowiązanie i o to właśnie mnie poprosił -choć nie jest to dużo. I tak dalibyśmy im żywność.  
- Rozległ się potakujący szmerek wśród zebranych ludzi.

Jondalar wiedział, że Losadunai daliby im żywność, tak samo jak on i Ayla daliby im ognisty kamień, ale nie chciał, by później żałowali podarowanej żywności, jeśli ich własne

zapasy będą na wyczerpaniu, a wiosna będzie spóźniona. Chciał, żeby czuli, iż zyskują na tej wymianie, i chciał jeszcze czegoś. Wstał.

- Daliśmy Losadunai ognisty kamień, żeby posłużył wszystkim, ale więcej jest w moim żądaniu, niż mogłoby się wydawać. Potrzebujemy czegoś więcej niż żywności i zapasów dla nas samych. Nie podróżujemy we dwójkę. Towarzyszą nam dwa konie i wilk i musimy przeprowadzić je przez lodowiec. Potrzebujemy żywności dla siebie i dla nich, a co ważniejsze - będziemy potrzebować wody. Dla Ayli i dla mnie wystarczyłyby bukłaki pełne śniegu lub lodu, które noszone pod tuniką roztopiłyby się na wystarczającą dla nas i może dla Wilka ilość wody, ale konie dużo piją. Nie możemy stopić wystarczającej ilości w ten sposób. Powiem otwarcie: potrzebny nam sposób na noszenie lub topienie takich ilości wody, by wystarczyła na przeprawę nas i koni przez lodowiec.

Zewsząd zaczęły padać różne propozycje, ale Losaduna uciszył zebranych.

- Pomyślmy o tym i spotkajmy się jutro, żeby przedyskutować najlepszy sposób. Dzisiaj jest Festiwal.

Pobyt Jondalara i Ayli dostarczył im dość podniecenia, by ożywić spokojne zwykle zimowe miesiące jaskini, i materiał na wiele opowieści na Letnim Spotkaniu. Teraz przybysze podarowali ognisty kamień i, dodatkowo, niczym wyzwanie postawili przed nimi wyjątkowy problem do rozwiązania, fascynującą intelektualną i praktyczną zagadkę, która da im szansę na wyętnienie sił umysłowych. Podróźni znaleźli chętnych i gorliwych pomocników.

Madenia przyszła do Ceremonialnego Ogniska, żeby zobaczyć pokaz ognistego kamienia, i Jondalar nie mógł nie zauważyć, że bardzo uważnie mu się przyglądała. Uśmiechnął się do niej kilka razy, na co zareagowała rumieńcem i odwróceniem wzroku. Kiedy zgromadzenie zaczęło się rozchodzić, podszedł do niej.

- Halo, Madenio. Co myślisz o ognistym kamieniu?

Czuł do niej pociąg, jaki często odczuwał do nieśmiałych kobiet przed ich Pierwszym Rytuałem, które nie wiedziały, czego się mają spodziewać, i trochę się bały, a szczególnie do tych, które on sam miał zapoznać z Darem Przyjemności Matki. Zawsze lubił pokazywać im Jej Dar i miał do tego specjalne wyczucie, dlatego też tak często go o to proszono. Obawy Madenii miały podstawę, nie były to nieokreślone lęki większości młodych kobiet, i możliwość pokazania jej, że dar ten jest radością, a nie bólem, uznałby za wyzwanie.

Jondalar spojrział na nią swoimi niezwykłymi, niebieskimi oczyma i zapragnął, by mogli tu zostać aż do letnich rytuałów Losadunai. Szczerze pragnął pomóc jej w przełamaniu obaw i istotnie go pociągała, co znalazło odbicie na jego twarzy i wzmogło jego czar.

Przystojny i wrażliwy mężczyzna uśmiechnął się do niej tak, że zabrakło jej tchu.

Nigdy wcześniej Madenia nie doświadczyła takiego uczucia. Całe jej ciało zdawało się gorące, niemal w ogniu, i miała nieprzepatną ochotę dotknąć go i poczuć jego dotknięcie, ale nie miała pojęcia, co zrobić z takimi uczuciami. Spróbowała się uśmiechnąć, potem zawstydzona otworzyła szeroko oczy i przestraszyła się własnej śmiałości. Wycofała się i niemal pobiegła do swojej izby. Jej matka zobaczyła tę ucieczkę i poszła za nią. Jondalar widział już podobne reakcje. Młode kobiety często tak reagowały na niego i to wzmagало tylko ich atrakcyjność.

- Co zrobiłeś temu biednemu dziecku, Jondalarze? Spojrzał na kobietę, która zadała pytanie, a uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

- A może nie muszę pytać? Pamiętam, że kiedyś to spojrzenie niemal mnie oszołomiło. Twój brat był jednak również pełen uroku.

- I pozostawił cię w błogosławionym stanie. Dobrze wyglądasz, Filonio. Widać, że jesteś szczęśliwa.

- Tak, Thonolan rzeczywiście zostawił mi część swojego ducha i jestem szczęśliwa. Ty także wyglądasz na szczęśliwego człowieka. Gdzie spodcałeś Aylę?

- To długa historia, ale ona uratowała mi życie. Było już zbyt późno na uratowanie Thanolana.

- Słyszałam, że zabił go lew jaskiniowy. Takie to smutne. Jondalar kiwnął głową i przymknął z bólu oczy

- Matko? - powiedziała mała dziewczynka. To była Thonolia, która trzymała za rękę najstarszą córkę Solandii. - Czy mogę jeść przy ognisku Salii i bawić się z wilkiem? Wiesz, on lubi dzieci.

Filonia spojrzała na Jondalara z niepokojem.

- Wilk nie zrobi jej krzywdy. Naprawdę lubi dzieci. Zapytaj Solandię. Zabawia jej niemowlę. Wilk wyrósł razem z dziećmi i Ayla go wytresowała. I masz rację, to jest nadzwyczajna kobieta, zwłaszcza w stosunku do zwierząt.

- Możesz pójść, Thonolio. Nie myślę, by ten mężczyzna pozwolił ci na coś, co mogłoby wyrządzić ci krzywdę. Jest bratem człowieka, po którym masz swoje imię.

Nagle rozległy się podniesione głosy. Spojrzeli, żeby zobaczyć, o co chodzi, a dziewczynki odbiegły razem.

- Kiedy ktoś się zabierze za tego... tego Charoliego? Jak długo matka musi czekać? - Yerdegia robiła wyrzuty Laduniemu. -Może powinnyśmy zwołać Radę Matek, skoro mężczyźni niczego nie potrafią zrobić. Jestem pewna, że zrozumieją inną matkę i szybko

wydadzą wyrok.

Losaduna podszedł do Laduniego, żeby udzielić mu poparcia. Zwołanie Rady Matek było na ogół ostatecznością. Mogło to mieć bardzo poważne następstwa i korzystano z tego tylko wtedy, kiedy nie można było znaleźć żadnego innego sposobu na rozwiązanie problemu.

- Nie bądźmy pochopni, Yerdegio. Posłaniec do Tomasiego powinien być lada chwila z powrotem. Z pewnością możesz jeszcze trochę poczekać. I Madenia jest w znacznie lepszym stanie, nie sądzisz?

- Nie jestem taka pewna. Uciekła do naszego ogniska i nie chce mi powiedzieć, co się stało. Mówi, że to nic takiego i żebym się nie przejmowała, ale jak mogę się nie martwić?

- Mogłabym jej powiedzieć, co się stało - szepnęła Filonia -ale nie jestem pewna, czy Yerdegia by zrozumiała. Ona ma jednak rację. Coś trzeba zrobić z Charolim. Wszystkie jaskinie o tym mówią.

- A co można zrobić? - spytała podchodząca Ayla.

- Nie wiem - odparła Filonia, uśmiechając się do niej. Ayla przyszła wcześniej obejrzeć jej niemowlę i najwyraźniej cieszyło ją trzymanie go na ręku. - Zdaje mi się jednak, że Laduni ma dobry plan. Chce, żeby wszystkie jaskinie działały wspólnie i razem przyprowadziły z powrotem tych młodych mężczyzn. Ma zamiar porozdzielać członków tej bandy i w ten sposób uwolnić ich spod wpływu Charoliego.

- To wygląda na dobry pomysł - powiedział Jondalar.

- Problemem jest jaskinia, z której Charoli pochodzi. Nie wiadomo, czy Tomasi, który jest krewnym matki Charoliego, zgodzi się na to. Będziemy wiedzieć więcej, gdy wróci posłaniec, ale mogę zrozumieć Yerdegie. Gdyby coś takiego kiedykolwiek zdarzyło się Thonolii... - Potrząsnęła głową, niezdolna do wypowiedzenia dalszych słów.

- Sądzę, że większość ludzi rozumie uczucia Madenii i jej matki - odparł Jondalar. - Ludzie są na ogół porządni, ale jeden łajdak może wszystkim przysporzyć kłopotu.

Ayla, pamiętając Attarę, myślała to samo.

- Ktoś idzie! Ktoś idzie! - Larogi i wielu innych wbiegło do jaskini z krzykiem, a Ayla zdziwiła się, co robili na dworze po ciemku. W kilka chwil potem do jaskini wszedł mężczyzna w średnim wieku.

- Rendoli! Przychodzisz w samą porę - powiedział Laduni z widoczną ulgą. - Pozwól, wezmę twój plecak i przyniosę ci coś gorącego do picia. Zdążyłeś na Festiwal Matki.

- To jest posłaniec, którego Laduni wysłał do Tomasiego - wyjaśniła Filonia.

- No i co miał do powiedzenia? - zażądała odpowiedzi Yerdegia.



- Yerdegio - odezwał się Losaduna - daj człowiekowi odpocząć. Dopiero wszedł!

- Nie szkodzi - odrzekł Rendoli, zdjął plecak i wziął kubek gorącej herbaty od Solandii. - Charoli ze swoją bandą napadli na jaskinię ludzi mieszkających nieopodal pustkowia, gdzie oni się chowają. Ukradli żywność i broń i niemal zabili kogoś, kto ich próbował powstrzymać. Ta kobieta jest ciężko ranna i nie ma pewności, że wyzdrowieje. Wszystkie jaskinie są pełne gniewu. Kiedy usłyszeli, co stało się Madenii, była to ostatnia kropla. Mimo pokrewieństwa z matką Charoliego Tomasi jest gotów przyłączyć się do innych jaskiń i pójść za nimi w pościg, żeby ich złapać i położyć kres ich występkom. Tomasi zwołał spotkanie tylu jaskiń, ile było można ściągnąć - dlatego tak długo nie wracałem. Czekałem na to spotkanie. Większość pobliskich jaskiń przysłała ludzi. Musiałem podejmować decyzje za naszą.

- Nie wątpię, że podjąłeś właściwe decyzje - powiedział Laduni. - Cieszę się, że byłeś na miejscu. Co oni sądzą o mojej propozycji?

- Już ją zaakceptowali, Laduni. Każda jaskinia wyśle wywiadowców, żeby ich wytropić - niektórzy już są w drodze. Jak banda zostanie znaleziona, wyruszą myśliwi wszystkich jaskiń i przyprowadzą ich z powrotem. Nikt nie chce dłużej znosić ich wybryków. Tomasi chce ich złapać przed Letnim Spotkaniem. -Mężczyzna zwrócił się do Yerdegii: - Wszyscy chcą, żebyś tam była, wniosła oskarżenie i zażądała zapłaty.

Yerdegia była niemal zadowolona, ale nadal martwiła ją niechęć Madenii do uczestnictwa w ceremonii, która oficjalnie uczyniłaby z niej kobietę i, przy odrobinie szczęścia, umożliwiłaby jej posiadanie dzieci - jej potencjalnych wnuków.

- Z przyjemnością wniosę oskarżenie i żądanie zapłaty, ale jeśli Madenia nie zgodzi się na uczestnictwo w Pierwszym Rytuale, możecie być pewni, że o tym nie zapomnę.

- Mam nadzieję, że do lata zmieni zdanie. Widzę w niej poprawę, po przejściu przez oczyszczającą ceremonię. Zaczęła wychodzić i rozmawiać z ludźmi. Myślę, że Ayla przyczyniła się do tego - powiedział Losaduna.

Gdy Rendoli odszedł do swojej izby, Losaduna podchwycił wzrok Jondalara i skinął do niego. Razem poszli do Ceremonialnego Ogniska. Ayla miała ochotę im towarzyszyć, ale wyczuła ze sposobu ich zachowania, że chcą być sami.

- Ciekawe, co zamierzają zrobić - zastanawiała się.

- Myślę, że to jakiś osobisty rytuał. - Odpowiedź Filonii jeszcze bardziej podnieciła ciekawość Ayli.

- Przyniosłeś coś, co sam zrobiłeś? - spytał Losaduna.

- Zrobiłem ostrze. Nie miałem czasu go oprawić, ale zrobiłem, najlepiej jak umiałem. -

Jondalar wyjął z zanadru tuniki skórzane zawiniątko. Rozwinął je i pokazał małe kamienne ostrze z niewyretuszowaną krawędzią, tak ostre, że można się nim było golić. Jeden koniec był zaokrąglony w szpic. Drugi kończył się trzpieniem, który można było wpasować w uchwyt.

Losaduna uważnie je obejrzał.

- To jest mistrzowskie wykonanie. Jestem pewien, że zostanie przyjęte.

Jondalar odetchnął z ulgą. Nie zdawał sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia się niepokoił.

- A coś, co należy do niej?

- To było trudne. Podróżujemy tylko z tym, co niezbędne, i ona przeważnie wie, gdzie wszystko jest. Ma kilka rzeczy zapakowanych osobno, na ogół podarków od różnych ludzi, i nie chciałem ich ruszać. Potem przypomniałem sobie, że może to być coś bardzo małego, byle było bardzo osobiste. - Z tej samej paczuski Jondalar wyjął małe przedmiot i tłumaczył dalej: -Nosi amulet, mały, ozdobiony woreczek z przedmiotami z jej dzieciństwa. Jest dla niej bardzo ważny i zdejmuje go tylko do kąpieli, a i to nie zawsze. Zdjęła go, kiedy poszliście do świętego, gorącego źródła i odciąłem jeden z paciorków z dekoracji. Losaduna uśmiechnął się.

- Dobrze! To znakomite! I bardzo sprytne. Widziałem ten amulet, to bardzo osobista rzecz. Zawini je oba razem i daj mi.

Jondalar wykonał, co mu kazano, ale Losaduna dostrzegł jego pytający wzrok.

- Nie mogę ci powiedzieć, gdzie to schowam, ale Ona będzie wiedziała. Dobrze, najpierw muszę ci wyjaśnić parę rzeczy i zadać kilka pytań.

Jondalar skinął głową.

- Spróbuję na nie odpowiedzieć.

- Chcesz, żeby przy twoim ognisku urodziło się dziecko, dziecko Ayli, czy tak?

- Tak.

- Wiesz, że dziecko urodzone przy twoim ognisku może nie być z twojego ducha?

- Tak.

- Co o tym myślisz? Czy ma dla ciebie znaczenie, czyj duch będzie użyty?

- Wolałbym, żeby to był mój duch, ale... mój duch może się nie nadawać. Może nie jest wystarczająco mocny albo Matka nie może go użyć, czy też nie chce. I tak nigdy nie ma pewności, czyj duch został użyty, lecz jeśli Ayli urodzi się dziecko, urodzi się przy moim ognisku, to wystarczy. Myślę, że sam poczułbym się niemal jak matka - powiedział Jondalar i widać było, że jest to uczciwa odpowiedź.

Losaduna skinął głową.

- Dobrze. Dzisiaj będziemy czcić Matkę, więc jest to bardzo pomyślna pora. Wiesz, że te kobiety, które najgorliwiej czczą Matkę, zostają najczęściej pobłogosławione. Ayla jest piękną kobietą i nie będzie miała kłopotu ze znalezieniem mężczyzny lub mężczyzn, którzy zechcą z nią dzielić przyjemności.

Ten Który Służy Matce zobaczył zachmurzoną twarz Jondalara i zrozumiał, że należy on do tych, którym trudno pogodzić się z faktem, że jego ukochana kobieta wybiera kogoś innego, choćby tylko na czas ceremonii.

- Musisz ją zachęcać, Jondalarze. To jest na cześć Matki i niezmiernie ważne, jeśli naprawdę chcesz, żeby Ayla urodziła dziecko przy twoim ognisku. Widziałem wiele razy, że to skutkuje. Wiele kobiet niemal natychmiast zachodzi w ciążę. Matka może być tak z ciebie zadowolona, że może nawet użyć twojego ducha, szczególnie jeśli ty także we właściwy sposób ją uhonorujesz.

Jondalar przymknął oczy i skłonił głowę, ale Losaduna zobaczył, że ma zaciśnięte szczęki. Nie będzie mu łatwo.

- Ona nigdy nie uczestniczyła w Festiwalu na Cześć Matki. A co jeśli... jeśli nie zechce nikogo innego? - spytał Jondalar. - Czy powinienem jej odmówić?

- Musisz ją zachęcać do dzielenia się z innymi, ale wybór, oczywiście, należy do niej. Podczas Festiwalu Matki nigdy nie wolno ci odmówić kobiecie, a szczególnie nie tej, którą wybrałeś na towarzyszkę życia. Nie martwiłbym się tym jednak, Jondalarze. Większość kobiet poddaje się atmosferze i nie ma kłopotów z korzystaniem z Festiwalu Matki. Ale to dziwne, że Ayla została wychowana bez wiedzy o Matce. Nie wiedziałem, że istnieją ludzie, którzy jej nie uznają.

- Ludzie, którzy ją wychowali, byli... niezwykli pod wieloma względami.

- Niewątpliwie. A teraz poprośmy Matkę.

Poprośmy Matkę. Poprośmy Matkę. Jondalar powtarzał w myślach te słowa, kiedy szedł na sam tył ceremonialnej przestrzeni. Nagle przypomniał sobie, jak mu mówiono, że jest wybrańcem Matki, tak obdarzonym, że żadna kobieta nie może mu odmówić, nawet sama Doni; tak faworyzowanym, że jeśli kiedykolwiek poprosi Matkę o cokolwiek, jego prośba zostanie spełniona. Ostrzeżono go również, by był ostrożny: może otrzymać to, o co poprosi. W tej chwili miał gorącą nadzieję, że jest to prawda.

Zatrzymali się przy niszy z płonąca lampką.

- Podnieś dunai i trzymaj ją w obu dłoniach - poinstruował Ten Który Służy Matce.

Jondalar sięgnął do niszy i delikatnie podniósł figurkę Matki. Była to jedna z najpiękniejszych rzeźb, jakie kiedykolwiek widział. Ciało było doskonale uformowane.

Figurka, którą trzymał w dłoni, wyglądała, jakby artysta wyrzeźbił ją z żywego modelu dobrze zbudowanej, postawnej kobiety. W swoim życiu widział wystarczająco wiele nagich kobiet, by wiedzieć, jak wyglądają. Ręce, spoczywające na okazałych piersiach, były zaledwie zaznaczone, ale i tak widać było palce oraz bransolety na przegubach. Nogi schodziły się w rodzaj kołka do wetknięcia w ziemię. Najbardziej zadziwiała głowa. Większość doni, jakie widział, miała rodzaj gałki w miejscu głowy, czasami z twarzą obramowaną linią włosów, ale bez zaznaczonych rysów. Ta doni miała wyszukaną fryzurę złożoną z szeregu podłużnych loków, pokrywających całą głowę. Poza różnicą kształtu nic nie pokazywało, gdzie jest tył, a gdzie przód głowy.

Po bliższym przyjrzeniu się figurce zdumiało go, że zrobiona była z wapienia. Znacznie łatwiej było rzeźbić w kości czy drewnie, a ta figurka była tak doskonale wykończona i tak piękna, że trudno mu było uwierzyć, iż ktoś wyciosał ją z kamienia. Przy tej robocie musiano stępić wiele krzemienych narzędzi.

Nagle Jondalar zdał sobie sprawę z tego, że Losaduna śpiewnie recytuje. Był tak pochłonięty studiowaniem figurki, że z początku tego nie zauważył. Znał już wystarczającą liczbę słów w losadunai, by zrozumieć kilka z imion Matki, i wiedział, że Losaduna rozpoczął rytuał. Czekał, mając nadzieję, że jego zachwyt nad pięknem rzeźby nie oderwał go od potężniejszej, duchowej istoty ceremonii. Chociaż doni była symbolem Matki i uważano ją za miejsce spoczynku dla jednej z jej wielu duchowych form, wiedział, że wyrzeźbiona figurka nie jest Wielką Matką Ziemią.

- Teraz zastanów się i własnymi słowami, prosto z serca, poproś Matkę o to, czego chcesz - powiedział Losaduna. - Dunai w twoich rękach pomoże ci skupić myśli i uczucia. Pamiętaj, że to, o co prosisz, sprawia przyjemność Matce Wszystkich.

Jondalar przymknął oczy, żeby pomyśleć i skoncentrować się.

- Wielka Matko Ziemi! Był czas w moim życiu, kiedy sądziłem... że pewne rzeczy, które zrobiłem, mogły Cię rozgniewać. Nie chciałem wzniecić Twojego gniewu, ale... to się zdarzyło. Był czas, kiedy myślałem, że nigdy nie znajdę kobiety, którą mógłbym naprawdę pokochać, i zastanawiałem się, czy to z powodu Twojego gniewu o... te rzeczy.

Coś bardzo złego musiało zdarzyć się w życiu tego mężczyzny. Jest takim dobrym człowiekiem i wydaje się tak pewny siebie; trudno uwierzyć, że przecierpiał tyle wstydu i zmartwień - pomyślał Losaduna.

- Potem, kiedy przeszedłem drogę poza kraniec Twojej rzeki i straciłem... brata, którego kochałem bardziej niż kogokolwiek na świecie, przywiodłaś Aylę w moje życie i wreszcie zrozumiałem, co to znaczy miłość. Jestem wdzięczny za Aylę. Gdyby w moim życiu

nie było nikogo innego, żadnej rodziny, żadnych przyjaciół, nadal byłbym szczęśliwy, dopóki byłaby ze mną Ayia. Ale jeśli byś zechciała, Wielka Matko Ziemio, pragnę poprosić o... dziecko. Dziecko urodzone przez Aylę, urodzone przy moim ognisku i, jeśli to możliwe, dziecko z mojego ducha albo z mojej esencji, jak wierzy Ayla. Jeśli to nie jest możliwe, jeśli mój duch nie jest... wystarczający, pozwól Ayli urodzić dziecko, którego ona pragnie, i pozwól, by się urodziło przy moim ognisku, by mogło być dzieckiem mojego serca.

Jondalar zaczął już odstawiać doni na miejsce, ale wstrzymał się i znowu objął figurkę obiema dłońmi.

- Jeszcze jedna rzecz. Jeśli Ayla kiedykolwiek zajdzie w ciążę z dzieckiem z mojego ducha, chciałbym mieć tego pewność.

Interesująca prośba - pomyślał Losaduna. Większość mężczyzn chciałaby to wiedzieć, choć właściwie nie przywiązywali do tego wagi. Ciekawe, dlaczego ma to takie znaczenie dla niego. I co miał na myśli, mówiąc o dziecku z jego esencji... jak wierzy Ayla? Chciałbym ją spytać, ale to jest osobisty rytuał. Nie mogę jej powtórzyć niczego, co on tu powiedział. Może kiedyś uda się z nią o tym porozmawiać z filozoficznego punktu widzenia.

Ayla obserwowała obu mężczyzn, jak opuszczali Ceremonialne Ognisko. Była pewna, że dokonali tego, co zamierzali, ale niższy mężczyzna miał pytający wyraz twarzy i ramiona ułożone tak, jakby czegoś mu brakowało, wysoki zaś był cały sztywny i sprawiał wrażenie dość nieszczęśliwego, choć zdecydowanego. Ich dziwny wygląd tym bardziej rozbudził jej ciekawość.

- Mam nadzieję, że zmieni zdanie - usłyszała głos Losaduny, kiedy podeszli bliżej. - Myślę, że najlepszym sposobem na przezwycięzenie tego straszliwego doświadczenia jest odbycie Pierwszego Rytuału. Będziemy jednak musieli bardzo starannie dobrać dla niej mężczyznę. Chciałbym, żebyś tu został, Jondalarze. Wydaje mi się, że ona się tobą interesuje. Dobrze jest widzieć jej cieplejsze uczucia w stosunku do mężczyzny.

- Chciałbym pomóc, ale nie możemy zostać. Musimy odejść, tak szybko, jak to możliwe, jutro albo najdalej pojutrze.

- Masz rację, oczywiście. Pora roku może się zmienić lada chwila. Uważajcie na oznaki irytacji.

- Amok! - powiedział Jondalar.

- Co to jest amok? - spytała Ayla.

- Przychodzi razem z fenem, stapiaczem lodu, wiosennym wiatrem - odparł Losaduna.

- Wiatr przychodzi z południowego zachodu, ciepły i suchy, i dość silny, by wyrwać drzewa z

korzeniami. Topi śnieg tak szybko, że wysokie zasy potrafią zniknąć w jeden dzień, a jeśli zaskoczy was na lodowcu, możecie go już nie przejść. Lód topi się pod nogami i wciąga ludzi w głębokie szczeliny albo może rozlać rzekę w poprzek drogi czy otworzyć otchłań przed tobą. Przychodzi tak szybko, że takie złe duchy jak mróz nie nadążają z ucieczką. Wymiata je z kryjówek i pcha przed sobą. Dlatego właśnie złe duchy jadą na czele stapiacza śniegu i zwykle przybywają tuż przed nim. One przynoszą amok. Jeśli wiesz, czego się spodziewać, i potrafisz nad tym zapanować, może to być ostrzeżenie, ale znaki są niewyraźne i nie jest łatwo wykorzystać złe duchy dla własnej korzyści.

- Skąd wiadomo, że złe duchy przybyły? - spytała Ayla.

- Jak już powiedziałem, uważaj, czy nie czujesz się rozdrażniona. Mogą sprowadzić chorobę, a jeśli już jesteś chora, mogą ją pogorszyć, ale najczęściej robią tak, że chcesz się kłócić i bić. Niektórzy ludzie wpadają w szał, ale wszyscy wiedzą, że to z powodu amoku, i na ogół się ich nie wini - chyba że wyrządzą poważną szkodę czy kogoś zranią, a nawet wtedy wiele się wybacza. Potem wszyscy się cieszą, ponieważ stapiacz śniegu przynosi nowy wzrost, nowe życie, ale boją się amoku.

- Chodźcie jeść! - To odezwała się Solandia; nie zauważyli, kiedy podeszła. - Ludzie już nakładają sobie drugą porcję. Jeśli się nie pospieszycie, nic nie zostanie.

Poszli do centralnego ogniska, gdzie palił się duży ogień, podsycany przez podmuchy od wejścia jaskini. Choć nie ubrani tak jak na mrozy na zewnątrz, większość ludzi nosiła jednak ciepłe ubrania w nie osłoniętej przestrzeni jaskini, gdzie było zimno i wietrznie. Pieczony udziec koziorożca był surowy przy kości, ale wszystkim smakowało świeże mięso. Ugotowano także gęstą zupę na suszonym mięsie, tłuszczu mamucim, kilku suszonych bulwach i górskich czarnych borówkach - resztkach z zapasów warzyw i owoców. Ludzie doczekać się nie mogli świeżej, wiosennej zieleni.

Surowy mróz trwał jednak nadal i mimo tęsknoty do wiosny Jondalar pragnął, by zima potrwała jeszcze trochę, aż przejdą przez lodowiec, który wciąż jeszcze był przed nimi.

Po posiłku Losaduna oznajmił, że coś zostanie podane przy Ceremonialnym Ognisku. Ayla i Jondalar nie zrozumieli słowa, ale wkrótce dowiedzieli się, że chodzi o gorący napój. Smak był przyjemny i w jakiś niewyraźny sposób znajomy. Ayli zdawało się, że to jest lekko sfermentowany sok owocowy przyprawiony ziołami. Zdziwiła się, kiedy Solandia jej powiedziała, że głównym składnikiem jest sok brzozowy, choć sok z owoców też został dodany.

Okazało się, że smak mylił. Napój był znacznie mocniejszy, niż sądziła. Zapytała o to Solandię, która przyznała, że na tę moc składały się przede wszystkim zioła. Ayla zdała sobie sprawę, że znajomy smak pochodził od piołunu, bardzo silnego zioła, które mogło być niebezpieczne - spożyte w zbyt dużych ilościach lub używane zbyt często. Trudno go było rozpoznać, bo smak piołunu maskowały smaczne i wonne inne zioła, w tym marzanka wodna. Zaciekawilo ją, co jeszcze jest w tym napoju, i starannie zaczęła go analizować.

Spytała Solandię o to mocne ziele, wspominając kryjące się w nim niebezpieczeństwo. Solandia wyjaśniła, że tej rośliny, którą nazywała absynt, używano bardzo rzadko i tylko do napoju podawanego podczas Festiwalu Matki. Ze względu na uświęcony charakter napoju Solandia na ogół niechętnie zdradzała jego składniki, ale pytania Ayli były tak ścisłe i wykazywały taką znajomość rzeczy, że musiała na nie odpowiedzieć. Ayla zrozumiała, że napój był czymś całkowicie innym, niż się wydawał. To, co początkowo wzięła za prosty, smaczny, łagodny płyn, okazało się potężną, skomplikowaną mieszanką, zrobioną umyślnie, by pobudzić spontaniczność, odprężyć i ułatwić nawiązywanie kontaktów, co było pożądane podczas Festiwalu na Cześć Matki.

Kiedy ludzie zaczęli gromadzić się przy Ceremonialnym Ognisku, Ayla zauważyła, że napój wyostrzył jej zmysły, ale wkrótce ogarnęła ją przyjemna ociężałość i zapomniała o dalszej analizie. Zobaczyła Jondalara i wielu innych, którzy rozmawiali z Madenią. Zostawiła Solandię i skierowała się ku nim. Wszyscy mężczyźni patrzyli, jak podchodziła, i podobało im się to, co widzieli. Uśmiechnęła się i Jondalar poczuł falę miłości, jaką ten uśmiech zawsze w nim wywoływał. Nie będzie łatwo podporządkować się instrukcji Losaduny i zachęcać ją do pełnej swobody dla uhonorowania Matki, pomimo odprężającego napoju, jaki wmusił w niego Ten Który Służy Matce. Odetchnął głęboko i jednym haustem wypił resztę płynu ze swojego kubka.

Wśród grupy, która gorąco powitała Aylę, byli Filonia i jej towarzysz życia, Daraldi,

którego przedstawiono jej wcześniej.

- Masz pusty kubek - powiedział. Zacerpnął płynu z drewnianej miski i napełnił kubek Ayli.

- Możesz nalać mnie także - rzekł Jondalar przesadnie serdecznym tonem. Losaduna zauważył jego wymuszony przyjacielski ton, ale nie sądził, by spostrzegli to inni. Dostrzegła to jednak jeszcze jedna osoba. Ayla zerknęła na niego, zobaczyła zaciśnięte szczęki i wiedziała, że coś go niepokoi; zauważyła również szybkie spojrzenie Losaduny. Coś się między nimi działo, ale płyn działał na nią coraz silniej i odłożyła tę zagadkę na później. Nagle zamkniętą przestrzeń wypełniło bicie bębna.

- Zaczęły się tańce! - zawołała Filonia. - Chodź, Jondalarze. Pokażę ci kroki. - Ujęła go za rękę i poprowadziła na środek.

- Ty także idź, Madenio - namawiał Losaduna.

- Tak - wtrącił Jondalar. - Chodź też. Znasz kroki? - Uśmiechał się do niej i Ayli zdawało się, że się trochę odprężył.

Przez cały dzień Jondalar zwracał uwagę na Madenię i kilka razy z nią rozmawiał. Choć nadal nieśmiała i małowówna, Ma-denia była w pełni świadoma obecności tego wysokiego mężczyzny. Za każdym razem, kiedy spojrzał na nią swoimi zniewalającymi oczyma, czuła przyspieszone bicie serca. Gdy wziął ją za rękę, by poprowadzić do tanecznego kręgu, przeszyły ją zimne i gorące dreszcze naraz i nie mogłaby mu się oprzeć, nawet gdyby próbowała.

Filonia zachmurzyła się na moment, ale zaraz uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Obie możemy nauczyć go kroków - powiedziała i poprowadziła oboje do tańca.

- Czy mogę pokazać... - zaczął Daraldi do Ayli, właśnie kiedy Laduni powiedział: - Bardzo chętnie... - Uśmiechnęli się obaj i zamilkli, każdy dając drugiemu szansę na dokończenie zdania.

Ayla uśmiechnęła się do nich obu.

- Może razem pokażecie mi kroki.

Daraldi energicznie kiwnął głową na zgodę, a Laduni szeroko uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym każdy wziął ją za jedną rękę i powiedli ją do miejsca, gdzie zbierali się tańczący. Podczas gdy ludzie ustawiali się w koło, pokazywano gościom podstawowe kroki; na dźwięk fletu wszyscy wzięli się za ręce. Dźwięk ten zaskoczył Aylę. Nie słyszała fletu od czasu, kiedy Manen grał na Letnim Spotkaniu Mamutoi. Czy jeszcze nie upłynął rok od tamtej chwili? Wydawało się, że minęło już tak dużo czasu, a wiedziała, że nigdy ich więcej nie zobaczy.



Zamrugła gwałtownie, żeby odpędzić łzy, ale rozpoczął się taniec i nie miała czasu na roztrząsanie wspomnień. Z początku łatwo było zachować rytm, muzyka jednak przyspieszyła i stała się bardziej skomplikowana. Ayla stanowiła niewątpliwe centrum zainteresowania. Wszyscy obecni mężczyźni uważali, że jest nieodparcie urocza. Tłoczyli się wokół niej, ubiegali o jej względy, rzucali aluzje, a nawet - pod przykrywką żartu - otwarte zaproszenia. Jondalar flirtował z Madenią i bardziej otwarcie z Filo-nią, ale widział każdego mężczyznę kręcącego się koło Ayli.

Tanec stał się bardziej złożony, z zawitymi krokami i zamianą miejsc. Ayla tańczyła ze wszystkimi. Śmiała się z dowcipów i rubasznym uwag. Ludzie napełniali kubki, pary wycofywały się do odosobnionych kątów. Laduni wskoczył w środek koła i dał solowy pokaz tańca. Pod koniec dołączyła się do niego Laronia.

Ayla chciała się napić i wielu ludzi poszło z nią razem po napój. Koło niej znalazł się Doraldi.

- Też bym trochę chciała - powiedziała Madenią.

- Przykro mi - odezwał się Losaduna i przykrył dłonią jej kubek. - Nie miałaś jeszcze Rytuału Pierwszej Przyjemności, moja droga. Musisz się zadowolić herbatą. - Madenią skrzywiła się i zaczęła protestować; poszła jednak po kolejny kubek niewinnego naparu, który piła.

Losaduna nie zamierzał pozwolić jej na korzystanie z jakichkolwiek przywilejów kobiecości, dopóki nie przejdzie przez ceremonię, która obdarzała kobiecością, i robił wszystko, co mógł, by zachęcić ją do odbycia tego ważnego rytuału. Jednocześnie dawał znać wszystkim, że pomimo swojego straszliwego przeżycia została oczyszczona, przywrócona do pierwotnego stanu i jest przedmiotem takich samych ograniczeń co każda inna dziewczyna u progu kobiecości, oraz że należy jej się taka sama szczególna opieka i delikatność. Uważał, że to jedyny sposób, by kiedykolwiek przyszła do siebie po tym bezlitosnym ataku i wielokrotnym gwałcie.

Ayla i Daraldi byli ostatni w kolejce do napoju i kiedy wszyscy inni rozeszli się, zostali sami. Zwrócił się do niej:

- Aylo, jesteś tak piękna.

Kiedy dorastała, zawsze mówiono, że jest zbyt wielka i brzydka. Choć Jondalar mówił jej wiele razy, iż jest piękna, brała jego słowa jedynie za wyraz miłości. Nie uważała siebie za urodziwą i poczuła się zdziwiona.

- Nie - odpowiedziała ze śmiechem. - Nie jestem piękna. Jej odpowiedź zaskoczyła go. Nie takich słów się spodziewał.

- Ależ... ależ jesteś - wyjąkał.

Przez cały wieczór Daraldi próbował wzbudzić jej zainteresowanie i chociaż rozmawiała z nim ciepło i po przyjacielsku oraz najwyraźniej podobał jej się taniec, podczas którego poruszała się z naturalnym wdziękiem, co zachęcało go w jego wysiłkach, nie był w stanie wykrzesać tej iskry, która mogłaby zaprowadzić dalej. Wiedział, że jest pociągającym mężczyzną, a to był Festiwal Matki, nie był jednak w stanie przekazać jej swoich pragnień. Wreszcie zdecydował się na większą bezpośredniość.

- Aylo - powiedział i objął ją w talii. Poczł, że zeszywniała na moment, ale nie ustawał i pochylił się blisko do jej ucha. -Jesteś piękną kobietą - wyszeptał.

Zwróciła się do niego twarzą, ale zamiast przytulić się odsunęła się od niego. Objął ją drugim ramieniem, żeby ją przyciągnąć bliżej. Odchyliła się do tyłu, położyła mu ręce na ramionach i spojrzała prosto w twarz.

Ayla nie w pełni pojmowała prawdziwe znaczenie Festiwalu Matki. Uważała, że to po prostu radosne i przyjacielskie zgromadzenie, chociaż mówili o "uhonorowaniu" Matki, a wiedziała, co to na ogół znaczyło. W miarę jak coraz więcej par, a czasami troje lub więcej ludzi, odchodziło w ciemność i chowało się za zasłonami, zaczynała rozumieć więcej, ale dopiero kiedy spojrzała na Daraldiego i zobaczyła jego poządanie, pojęła wreszcie, czego od niej oczekiwał.

Przyciągnął ją ku sobie i pochylił się, chcąc pocałować. Ayla czuła jego żar i zareagowała z niejakim ciepłem. Położył rękę na jej piersi i starał się sięgnąć pod tunikę. Był przystojny, uczucie nie było nieprzyjemne, czuła się odprężona i w nastroju, ale chciała trochę czasu na przemyślenie sytuacji. Trudno jej było się opierać, umysł miała zamącony; nagle usłyszała rytmiczne dźwięki.

- Wróćmy do tancerzy - powiedziała.

- Po co? I tak nie ma już dużo tańczących.

- Chcę pokazać taniec Mamutoi - oznajmiła. Zgodził się. Już zareagowała; mógł poczekać jeszcze chwilę.

Kiedy doszli do tancerzy, Ayla zobaczyła, że nadal był tam Jondalar. Tańczył z Madenią. Trzymał jej obie ręce i pokazywał kroki tańca, którego się nauczył od Sharamudoi. Filonia, Losa-duna, Solandia i kilkoro innych klaskali rytmicznie w dłonie; grający na flecie i na bębnie znaleźli partnerów.

Ayla i Daraldi dołączyli się do klaskania. Pochwyciła wzrok Jondalara i zaczęła uderzać dłońmi w uda, tak jak to robili Mamutoi. Madenią cofnęła się i odsunęła, kiedy Jondalar włączył się w skomplikowany rytm klaskania Ayli. W chwilę potem poruszali się

razem, odsuwali i okrążali się wzajemnie, patrząc na siebie przez ramię. Kiedy stanęli twarzą w twarz, wyciągnęli do siebie ręce. Od chwili, kiedy Ayla podchwyciła wzrok Jondalara, nie widziała nikogo innego. Ogólne ciepło i przyjacielskie uczucia do Daraldiego zniknęły na widok pożądania i miłości w niebieskich oczach, w które patrzyła.

Intensywność uczuć między nimi była oczywista dla wszystkich. Losaduna przypatrywał im się przez chwilę i niepostrzeżenie kiwnął głową. Było jasne, że Matka oznajmiła swoje życzenie. Daraldi wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Filonii. Oczy Madenii otwały się szeroko. Wiedziała, że widzi coś rzadkiego i cudownego.

Kiedy Ayla i Jondalar przestali tańczyć, wpadli sobie w ramiona, niepomni obecności innych ludzi. Solandia zaczęła klaskać i wkrótce inni dołączyli się do tego wyrazu pochwały. Dźwięk wreszcie do nich dotarł. Nieco zażenowani cofnęli się o krok od siebie.

- Zdaje się, że jest jeszcze kilka kropli napoju - powiedziała Solandia. - Może go dokończymy?

- To dobry pomysł! - Jondalar jednym ramieniem obejmował Aylę. Nie miał już zamiaru jej puścić.

Daraldi podniósł dużą drewnianą miskę, żeby wylać resztki świątecznego napoju i spojrzął na Pilonie. Właściwie jestem szczęściarzem - pomyślał. Jest piękną kobietą i urodziła dwoje dzieci przy moim ognisku. To jest Festiwal Matki, ale nigdzie nie jest powiedziane, że muszę ją czcić z inną kobietą niż moja własna partnerka.

Jondalar wypił duszkiem swój napój, odstawił kubek, nagle chwycił Aylę na ręce i zaniósł ją na ich posłanie. Czowała się dziwnie oszołomiona, pełna radości, niemal jakby uciekła przed czymś nieprzyjemnym, ale jej radość blakła w porównaniu z radością Jondalara. Obserwował ją przez cały wieczór, widział, jak pragnęli jej wszyscy mężczyźni, próbował dać jej okazję, jak to doradzał Losaduna, i był pewien, że wybierze kogoś innego.

Sam mógł wiele razy pójść z kimś innym, ale nie chciał odejść, dopóki nie był pewny, że ona już wybrała. Zamiast tego przestawał z Madenią, wiedząc, że nie jest jeszcze dostępna dla żadnego mężczyzny. Miło mu było przebywać z nią, widzieć, jak się odpręża w jego obecności, doceniać załączki jej kobiecości. Chociaż nie miałby za złe Filonii, gdyby poszła z kimś innym, był zadowolony, że została w pobliżu. Bardzo nie chciałby zostać sam, gdyby Ayla wybrała kogoś innego. Rozmawiali o wielu sprawach, o Thonolanie i ich wspólnej podróży, o jej dzieciach, szczególnie o Thonolii, o Daraldim i o tym, jak bardzo jest do niego przywiązana. Jondalar nie potrafił jednak zmusić się do mówienia o Ayli.

Potem, wreszcie, kiedy przyszła do niego, z trudem mógł w to uwierzyć. Ostrożnie położył ją na posłaniu, spojrzął na nią i zobaczył miłość w jej oczach, a gardło ścisnęło mu się

boleśnie od powstrzymywanych łez. Zrobił dokładnie tak, jak kazał mu Losaduna, dał jej wszystkie szansę, nawet ją próbował zachęcać, ale przysła do niego. Zastanawiał się, czy był to znak od Matki, mówiący, że jeśli Ayla zajdzie w ciążę, będzie to dziecko z jego ducha.

Zmienił pozycję ruchomej zasłony, osłaniającej ich od reszty ludzi, ale kiedy wstała, żeby rozebrać się, pchnął ją z powrotem na posłanie.

- Ta noc należy do mnie. Sam chcę zrobić wszystko.

Położyła się z uśmiechem i poczuła dreszczyk oczekiwania. Wyszedł za zasłonę i przyniósł płonący patyk, od którego zapalił małą lampkę w niszy. Nie dawała dużo światła, zaledwie pozwalała cokolwiek dojrzeć. Zaczął zdejmować z niej ubranie, ale nagle zatrzymał się.

- Czy sądzisz, że z tym znajdziemy drogę do gorącego źródła? - spytał, wskazując na lampę.

- Mówią, że to wycieńcza mężczyznę, zmiękcza jego męskość.

- Uwierz mi, dzisiaj to się nie stanie - powiedział z uśmiechem.

- W takim razie chodźmy, to może być zabawne.

Nałożyli kurty, wzięli lampę i cicho poszli do wyjścia. Losaduna pomyślał, że idą się załatwić, ale nagle zrozumiał i uśmiechnął się. Gorące źródła nigdy mu nie przeszkodziły na długo. Czasami wręcz dawały mu dodatkowe opanowanie. Nie tylko jednak Losaduna ich obserwował.

Dzieci nigdy nie wyłączano z Festiwalu Matki. Uczyły się umiejętności i czynności, jakich oczekiwano od nich po dorós-nięciu, przez obserwowanie dorosłych. Kiedy bawiły się, często naśladowały starszych i zanim były faktycznie zdolne do prawdziwego aktu seksualnego, chłopcy podskakiwali na dziewczynkach, imitując swoich ojców, a dziewczynki udawały, że rodzą lalki, naśladowując swoje matki. Wkrótce po osiągnięciu dojrzałości dzieci inicjowano do stanu dorosłości przy pomocy rytuałów, które nie tylko dawały im przywileje, ale również obowiązki dorosłego, choć mogło jeszcze upłynąć wiele lat, zanim zawierały trwałe związki. Dzieci rodziły się w swoim czasie, kiedy Matka decydowała się na pobłogosławienie kobiety, ale zdumiewająco rzadko zdarzało się to w przypadku bardzo młodych dziewcząt. Wszystkie dzieci były chciane; utrzymywała je i opiekowała się nimi cała rodzina oraz bliscy krewni, z których składała się jaskinia.

Madenia obserwowała Festiwal Matki, od kiedy pamiętała, ale tym razem nabrał on nowego znaczenia. Obserwowała wiele par - nie wydawało się, by komukolwiek stała się krzywda, tak jak jej, mimo że niektóre kobiety wybierały wielu mężczyzn -ale szczególnie interesowali ją Ayla i Jondalar. Gdy tylko wyszli z jaskini, nałożyła kurtę i poszła za nimi.

Znaleźli namiot o podwójnych ściankach i weszli do środka, ciesząc się z parnego gorąca. Stanęli wewnątrz, rozejrzeli się i postawili lampkę na podwyższonym, ziemnym ołtarzu. Zdjęli kurty i usiedli na sfilcowanych, wełnianych podkładkach, które pokrywały podłogę.

Jondalar ściągnął obuwie Ayli, po czym zdjął swoje. Całował ją przeciągle i z miłością, podczas gdy rozwiązywał rzemienie jej tuniki oraz wewnętrznego odzienia i ściągnął je z niej przez głowę. Pochylił się i pocałował oba sutki. Rozwiązał nogawice z futrem w środku i krótkie spodni, które miała pod spodem. Zsunął je z niej, zatrzymując się, żeby popieścić pokryty miękkimi włoskami wzgórek - żadne z nich nie zawracało sobie głowy nakładaniem wierzchnich nogawic, z futrem na zewnątrz. Potem rozebrał się sam i objął ją, zachwycony dotykiem jej nagiej skóry. Zapragnął wziąć ją natychmiast. Poprowadził ją jednak do parującego basenu, zanurzyli się i poszli do miejsca do mycia. Jondalar nabrał z miski pełną garść miękkiego mydła i zaczął je wcierać w plecy i pośladki Ayli, na razie omijając jej nęcające, ciepłe i wilgotne miejsce. Mydło było gładkie i śliskie, zachwycające w zetknięciu z jej skórą. Ayła zamknęła oczy, czuła pieśczętę jego rąk, które najlepiej wiedziały, jak sprawić jej przyjemność, i całkowicie poddała się jego cudownie gładkiemu dotykowi, który wywoływał w niej drzenie.

Nabrał kolejną garść i rozsmarował na jej nogach, podnosząc każdą stopę i czując jej lekki dreszcz, kiedy załaskotał ją w podeszwy. Odwrócił ją i stanął przed nią. Całował ją długo, delikatnie i powoli, wsłuchując się w jej reakcje. Czuł podniecenie, a jego męskość zdawała się poruszać z własnej woli, wyciągając się w jej kierunku i starając się jej dosięgnąć.

Kolejną garść mydła zaczął rozsmarowywać pod jej pachami, pieścił cudownie śliską pianą pełne, jędrne piersi, czuł sutki, twardniejące pod dotykiem jego dłoni. Przejmujące dreszcze przebiegały przez całe ciało Ayli, kiedy dotykał jej niesłychanie wrażliwych sutków, i zbiegały się w miejscu ukrytym głęboko w jej ciele, które go pragnęło. Jęknęła, kiedy obsunął ręce na jej brzuch i uda. Nadal namydlonymi rękami pieścił jej fałdy, znalazł miejsce jej przyjemności i lekko potarł. Potem wziął miskę do splukiwania, nabrał wody z gorącego basenu i oblał kobietę. Wylał na nią jeszcze wiele misek, zanim z powrotem poprowadził do basenu.

Siedzieli przytuleni na kamiennej ławie, cali zanurzeni, tylko głowy wystawały im ponad powierzchnię wody. Następnie Jondalar wziął Aylę za rękę i jeszcze raz wyprowadził ją z basenu. Położył ją na miękkich podściółkach i przez chwilę tylko na nią patrzył - rozgrzaną i moką, i czekającą na niego.

Ku jej zaskoczeniu najpierw rozchylił jej uda i przesunął językiem przez całą długość

fałdów. Jej specyficzny, słonawy smak zniknął. To było nowe doświadczenie, smakować ją bez wyczuwania jej smaku, ale kiedy zachwycał się nowością, usłyszał jej jęki i nagły krzyk. Zdawało się to tak nagie, ale Ayla czuła, że jest całkiem gotowa. Rosło w niej podniecenie, sięgało szczytu, przez jej ciało przebiegały wstrząsy rozkoszy i nagle znowu poczuł jej smak.

Wyciągnęła po niego ręce i naprowadziła. Wyprężyła się ku niemu, kiedy się zagłębiał, i oboje westchnęli z głębokim zachwytem. Kiedy wysunął się, niemal do bólu zapragnęła, by wszedł z powrotem. Czuł gorąc jej wnętrza i niemal osiągnął pulsujący wybuch. Kiedy znowu się cofnął, wiedział, że jest gotowy, i z ust wydarł mu się przeciągły jęk. Podciągnęła się do niego i nagły wybuch wypełnił jej głębie, mieszając się z jej gorącą wilgocią. Ich okrzyki zabrzmiały jednocześnie.

Leżał na niej przez chwilę, ponieważ pamiętał, że uwielbiała jego ciężar na sobie. Kiedy wreszcie przetoczył się na bok i spojrział na nią, zobaczył jej rozmarzony uśmiech i musiał ją pocałować. Ich języki zetknęły się, badały ostrożnie i łagodnie i Aylę znowu ogarnęło podniecenie. Zauważył jej reakcję i sam poczuł to samo. Tym razem bez wielkiego pośpiechu całował jej usta, potem oczy, uszy i wrażliwe, łaskotliwe miejsca na szyi. Obsunął się niżej i znalazł jej brodawki piersiowe. Bez pośpiechu ssał i przygryzał jedną, podczas gdy ręką pieścił i uciskał drugą, aż zaczęła się do niego przyciskać, chcąc więcej i więcej, w miarę jak narastało jej podniecenie.

I jego także. Wyczerpana męskość zaczęła znowu nabrzmiewać i kiedy poczuła to, usiadła nagle i pochyliła się, żeby wziąć ją do ust i pomóc. Położył się na plecach, żeby rozkoszować się wrażeniami, jakie przeszywały mu całe ciało, kiedy brała do ust tyle, ile mogła, ssała mocno, a potem puszczała i pozwalała opaść z powrotem. Znalazła twardą krawędź pod spodem i szybko przeciągnęła po niej językiem; potem, odciągając trochę namiętnie, okrążyła językiem gładką żołądką coraz szybciej i szybciej. Jęczał w takt ognistych fal, które go zalewały, i nagle chwycił ją i odwrócił, aż była nad nim, i sięgnął, żeby posmakować gorących płatków jej kwiatu.

Niemal w tym samym momencie poczuli, jak wspinają się wyżej i wyżej, a kiedy znowu czuł jej smak, odsunął się, odwrócił ją tak, że znalazła się na kłęczkach, wsunął się w nią i znowu poczuł jej pełną głębię. Odpowiadała mu na każde pchnięcie, kołysanie, ruch, wejście i wysunięcie, i nagle to znowu przyszło; najpierw ona, a przy następnym ruchu on - poczuli cudowną falę wspianiałego Daru Matki.

Oboje opadli wyczerpani, przyjemnie, cudownie, ociążale wyczerpani. Nagle powiało chłodne powietrze, ale się nie ruszyli i nawet na chwilę zasnęli. Kiedy się obudzili, wstali i znowu się umyli, a potem wymoczyli w gorącej wodzie. Kiedy wyszli, ze zdziwieniem

znaleźli przy wejściu czyste, suche, aksamitnie miękkie skórzane ręczniki, które ktoś im zostawił.

Madenia wracała do jaskini pełna uczuć, jakich nigdy przedtem nie doznała. Poruszyła ją namiętność Jondalara, jego czułość i dbałość o zaspokojenie partnerki, jak również gorąca reakcja Ayli i jej całkowite oddanie, ufność bez zastrzeżeń. To było tak odmienne od jej koszmarnego przeżycia! Ich przyjemności były porywcze, ale nie brutalne; nie było to branie dla zaspokojenia żądzy drugiego, lecz dawanie i dzielenie się, żeby ofiarować sobie wzajemnie przyjemność i zaspokojenie. Ayła mówiła prawdę; Przyjemności Matki mogą być podniecającą, cielesną rozkoszą, radosnym i pełnym przyjemności świętowaniem wzajemnej miłości.

Była podniecona i nie miała pojęcia, co ma z tym zrobić. Miała łzy w oczach. W tym momencie pragnęła Jondalara. Pragnęła, by to on dzielił z nią rytuał kobiecości, choć wiedziała, że nie jest to możliwe. Zdecydowała jednak, że jeśli spotka kogoś do niego podobnego, zgodzi się na ceremonię i Rytuał Pierwszej Przyjemności na następnym Letnim Spotkaniu.

Następnego ranka nikt nie był szczególnie ożywiony. Ayła zrobiła napój na "dzień potem", jaki przygotowywała na poświęteczne bóle głowy w Obozie Lwa, choć składników starczyło jej tylko dla ludzi z Ceremonialnego Ogniska. Starannie sprawdziła zapas antykoncepcyjnych ziół, które brała co rano, i uznała, że starczy jej do następnego lata, kiedy będzie mogła zebrać więcej. Na szczęście potrzebne były tylko niewielkie ilości.

Przed południem Madenia przysła odwiedzić gości. Uśmiechając się nieśmiało do Jondalara, oznajmiła, że postanowiła wziąć udział w Pierwszym Rytuale.

- To wspaniale, Madenio. Nie pożałujesz - rzekł wysoki, cudownie łagodny mężczyzna. Spojrzała na niego z takim uwielbieniem w oczach, że się pochylił, pocałował ją w policzek, dotknął jej karku i odetchnął ciepłym powietrzem w jej ucho. Wyprostował się i uśmiechnął do niej, aż się zagubiła w jego niezwykłych, niebieskich oczach. Serce biło jej tak szybko, że z trudem oddychała. W tym momencie Madenia najbardziej pragnęła, by Jondalar mógł być tym, który zostanie wybrany na jej Rytuał Pierwszej Przyjemności. Potem zawstydziała się w obawie, że on w jakiś sposób odgadnie jej myśli. Nagle wybiegła z pomieszczenia.

- Wielka szkoda, że nie mieszkamy bliżej Losadunai - powiedział, patrząc za nią. - Chciałbym pomóc tej młodej kobiecie, lecz jestem pewny, że kogoś znajdą.

- Tak, z pewnością. Mam tylko nadzieję, że nie oczekuje zbyt wiele. Powiedziałam jej,

że któregoś dnia znajdzie kogoś takiego jak ty, Jondalarze, bo tyle przecierpiała, iż jej się to należy. Chciałabym, by tak się stało, ze względu na nią. Nie ma jednak wielu mężczyzn takich jak ty.

- Wszystkie młode kobiety mają wielkie nadzieje i oczekiwania, ale przed pierwszym razem mogą to sobie tylko wyobrazić.

- Ona jednak już coś wie na ten temat.

- Oczywiście, wszystkie wiedzą mniej więcej, czego się spodziewać. Każda przecież widziała mężczyzn i kobiety.

- U niej chodzi o coś więcej, Jondalarze. Jak myślisz, kto nam zostawił te suche ręczniki zeszłej nocy?

- Myślałem, że to Losaduna albo Solandia.

- Położyli się dużo wcześniej; sami czcili Matkę. Spytałam ich. Nawet nie wiedzieli, że poszliśmy do świętych wód - chociaż Losaduna wydawał się bardzo z tego zadowolony.

- Jeśli nie oni, to kto... Madenia?

- Jestem tego prawie pewna. Jondalar zmarszczył czoło w skupieniu.

- Tak długo podróżowaliśmy sami... Nigdy tego właściwie nie powiedziałem przedtem, ale... Czuję... nie wiem... opór przed publicznym okazywaniem uczuć, nie jestem tak swobodny, kiedy wokół są ludzie. Zeszłej nocy myślałem, że jesteśmy sami. Gdybym wiedział, że ona tam jest, chyba nie zachowywałbym się tak... nieopanowanie.

Ayla uśmiechnęła się.

- Wiem. - Była coraz bardziej świadoma tego, że nie lubił ukazywać swojej głębokiej wrażliwości, i cieszyła się, że potrafił to czynić wobec niej tak w słowach, jak i w czynach. - Cieszę się, że nie wiedziałeś, ze względu i na mnie, i na nią.

- Dlaczego na nią?

- Sądzę, że to ją przekonało do ceremonii kobiecości. Widziała mężczyzn i kobiety, którzy dzielili się przyjemnościami, dość często, by o tym nie myśleć, aż do momentu, kiedy ci mężczyźni ją zgwałcili. Potem mogła myśleć tylko o bólu i o grozie sytuacji, w której użyto jej jak rzeczy, bez myśli o tym, że jest kobietą. To trudno wytłumaczyć, Jondalarze. Coś takiego sprawia, że czujesz się... okropnie.

- To z pewnością prawda, ale myślę, że jest w tym coś więcej. Po pierwszym czasie miesięcznym, lecz przed Pierwszym Rytualem, kobieta jest najbardziej narażona - i najbardziej pożądana. Wszystkich mężczyzn ciągnie do niej, może dlatego, iż nie wolno jej tknąć. W każdym innym czasie kobieta ma swobodę wyboru mężczyzny, ale w tym okresie jest to dla niej niebezpieczne.



- Jak Latie, której nie wolno było nawet rozmawiać z jej braćmi. Mamut mi to wyjaśnił.

- Może nie całkiem. To dziewczyna ma wtedy okazać powściągliwość, a to nie zawsze jest łatwe. Jest centrum uwagi; każdy mężczyzna jej chce, szczególnie młodszy, i może jej być trudno się oprzeć. Wszędzie za nią chodzą, na wszelkie sposoby próbują ją namówić, by się im oddała. Niektóre dziewczyny ulegają, zwłaszcza te, które muszą długo czekać do Letniego Spotkania. Jeśli jednak pozwoli, by otworzył ją mężczyzna bez właściwych rytuałów, jest... zdobywa złą opinię. Jeśli to się wyda, a czasami Matka błogosławi ją, zanim zostanie kobietą, aby wszyscy się dowiedzieli, że została otwarta - ludzie potrafią być okrutni. Składają winę na nią i wyśmiewają ją.

- Ale dlaczego winią dziewczynę? Powinni winić mężczyzn, którzy nie dawali jej spokoju - powiedziała Ayla, oburzona niesprawiedliwością.

- Ludzie mówią, że jeśli nie potrafiła okazać opanowania, brak jej przymiotów niezbędnych do przyjęcia odpowiedzialności macierzyństwa i przywództwa. Nigdy nie zostanie wybrana do Rady Matek czy Sióstr, czy jakkolwiek nazywa się rada najwyższej instancji wśród jej ludu, traci więc status i jest mniej atrakcyjna na towarzyszkę życia. Nie traci statusu swojej matki ani swojego ogniska - nie odbiera jej się niczego, z czym się urodziła - ale nigdy nie wybierze jej mężczyzna o wysokim statusie ani nawet taki, który ma możliwości zdobycia wyższego statusu. Myślę, że Madenia bała się tego również - zakończył Jondalar.

- Nic dziwnego, że Yerdegia powiedziała, iż została zrujnowana. - Zatrokana Ayla zmarszczyła czoło. - Jondalarze, czy jej ludzie uznają oczyszczający rytuał Losaduny? Wiesz, że jak raz została otwarta, nigdy nie może powrócić do poprzedniej formy.

- Myślę, że tak. To nie jest tak, że okazała brak opanowania. Została zgwałcona i ludzie są wystarczająco oburzeni na Charoliego, żeby tego użyć przeciwko niemu. Może będzie kilku wątpiących, ale nie zabraknie jej również obrońców.

Ayla milczała przez chwilę.

- Ludzie są skomplikowani, prawda? Czasami zastanawiam się, czy cokolwiek jest takie, jak się wydaje.

- Myślę, że to się uda, Laduni - powiedział Jondalar. - Naprawdę się uda! Powtórzmy to jeszcze raz. Użyjemy miskowej łódki do transportu ziarna i siana oraz wystarczającej ilości płonących kamieni, żeby topić lód na wodę, jak również dodatkowych kamieni do zbudowania ogniska i ciężkiej mamuciej skóry do kładzenia pod kamienie, żeby nie zapadły

się w lód, kiedy będą gorące. Żywność dla nas i dla Wilka możemy nieść w koszach pakowych i nosidłach.

- To będzie ciężki ładunek - rzekł Laduni - ale nie musicie gotować wody - to oszczędzi płonące kamienie. Musicie tylko stopić lód na wodę dla koni, siebie i wilka. Nie musi być gorąca, ale pilnujcie, by nie była lodowata. Powinniście pić dużo, nie próbujcie na tym oszczędzać. W ciepłych ubraniach, często odpoczywając i pijąc wystarczającą ilość wody, będziecie mogli oprzeć się zimnu.

- Myślę, że powinni to wypróbować, aby zobaczyć, ile kamieni będzie im potrzeba - powiedziała Laronia.

Ayla spojrzała na towarzyszkę życia Laduniego i przytaknęła.

- To dobry pomysł.

- Ale Laduni ma rację, to będzie ciężki ładunek - dodała Laronia.

- Musimy przejrzeć nasze rzeczy i pozbyć się wszystkiego, co nie jest absolutnie niezbędne - zauważył Jondalar. - Nie będziemy zbyt wiele potrzebować. Jak już znajdziemy się po drugiej stronie, nie będziemy daleko od Obozu Dalanara.

Już mieli ze sobą tylko to, co niezbędne. Co jeszcze mogą zostawić? - myślała Ayla, gdy zebrani rozchodzili się. Madenia podeszła do niej i poszła z nią do jej postania. Dziewczyna nie tylko zadurzyła się w Jondalarze, ale zaczęła traktować Aylę jak bohaterkę, której oddawała niemal nabożną cześć, z czym Ayla czuła się nieswojo. Lubiła jednak Madenię i spytała ją, czy chce jej towarzyszyć przy sortowaniu rzeczy.

Ayla zaczęła rozpakowywać i rozkładać swój dobytek i próbowała przypomnieć sobie, jak wiele razy już to robiła podczas tej podróży. Trudno będzie dokonać wyboru. Wszystko miało dla niej jakieś szczególne znaczenie, ale jeśli mają razem z Whin-ney, Zawodnikiem i Wilkiem przedostać się na drugą stronę tego groźnego lodowca, o co Jondalar martwił się od samego początku, musi zostawić tak dużo, jak to tylko jest możliwe.

W pierwszej paczce był piękny strój z miękkiej skórki kozic, подарowany jej przez Roshario. Podniosła go i rozłożyła przed sobą.

- Oooo! Jakie piękne! Te naszyte ozdoby i krój, nigdy nie widziałam niczego podobnego - powiedziała Madenia i nie mogła się powstrzymać przed dotknięciem stroju. - I takie miękkie! Nigdy nie dotykałam niczego tak miękkiego.

- Dostałam to od kobiety z Sharamudoi, którzy mieszkają daleko stąd, niedaleko ujścia Wielkiej Matki Rzeki, gdzie jest to naprawdę wielka rzeka. Nie masz pojęcia, jak jest olbrzymia. Sharamudoi to właściwie dwa ludy. Shamudoi mieszkają na lądzie i polują na kozice. Znasz te zwierzęta? - spytała Ayla. Madenia przecząco pokręciła głową. - To są

górskie zwierzęta, podobne do koziorożca, ale mniejsze.

- Tak, znam je, ale my je inaczej nazywamy.

- Ramudoi są ludźmi rzeki i łowią olbrzymie jesiotry - to takie wielkie ryby. Razem wymyślili specjalny sposób wyprawiania skór kozic, który sprawia, że są takie miękkie i elastyczne.

Ayla podniosła wyhaftowaną tunikę i pomyślała o Sharamudoi, których spotkała latem. Zdawało się to tak dawno. Mogła zostać z nimi; nadal nie miałyby nic przeciwko temu, choć wiedziała, że ich już nigdy więcej nie zobaczy. Nie chciała myśleć o pozostawieniu daru od Roshario. Zobaczyła jednak błyszczące z zachwyty oczy Madenii i zdecydowała się.

- Czy chciałabyś ten strój, Madenio?

Madenia cofnęła gwałtownie ręce, jakby dotykała czegoś gorącego.

- Nie mogę! To dar dla ciebie.

- Musimy zmniejszyć nasz ładunek. Myślę, że Roshario by-iaby zadowolona, gdybyś to przyjęła, bo tak się tym zachwycasz. To miał być strój na Zaślubiny, ale ja już jeden mam.

- Jesteś pewna? - spytała Madenia.

Ayla widziała jej błyszczące oczy, pełne niewiary, że mogłaby posiadać tak piękny, egzotyczny ubiór.

- Tak, jestem pewna. Może się nada na twoje Zaślubiny. Myśl o tym jako o darze ode mnie, żebyś mnie nie zapomniała.

- Nie potrzebuję daru, by ciebie pamiętać - powiedziała Ma-donia ze łzami w oczach. - Nigdy cię nie zapomnę. Dzięki tobie może będę miała któregoś dnia Zaślubiny, a jeśli tak, to będę nosiła ten strój. - Nie mogła się doczekać, żeby pokazać to matce i wszystkim przyjaciółom i rówieśnikom na Letnim Spotkaniu.

Ayla była zadowolona ze swojej decyzji.

- Chcesz zobaczyć mój strój zaślubinowy?

- Och, tak.

Ayla odpakowała tunikę, którą zrobiła dla niej Nezzie, kiedy planowała połączenie się z Ranekiem. Była koloru ochry, koloru jej włosów. W tunikę były owinięte rzeźba konia i dwa niemal doskonale dopasowane kawałki bursztynu o miodowej barwie. Madenii trudno było uwierzyć, że Ayla posiadała dwa stroje tak egzotycznie piękne, a jednak tak różne, ale bała się powiedzieć zbyt dużo ze strachu, że Ayla będzie się czuła zobowiązana podarować jej również ten.

Ayla przypatrywała się tunice i próbowała zdecydować, co ma zrobić. Nagle zdecydowanie potrząsnęła głową. Nie, nie może się z tym rozstać, to jest jej zaślubinowa

tunika. Będzie ją miała na sobie, kiedy połączy się z Jondalarem. W jakiś sposób jest w niej również cząstka Raneca. Podniosła małego konia z kości słoniowej i machinalnie go głaskała. Również to zatrzyma. Pomyślała o Ranecu i zastanowiła się, co się z nim dzieje. Nikt jej nigdy nie darzył większą miłością i nigdy go nie zapomni. Połączyłaby się z nim i byłaby szczęśliwa, gdyby nie kochała tak bardzo Jondalara.

Madenia próbowała pohamować swoją ciekawość, ale wreszcie nie wytrzymała.

- Co to za kamienie?

- Nazywają się bursztyny. Dostałam je od przywódczyni Obozu Lwa.

- Czy ta rzeźba to twój koń? Ayla uśmiechnęła się do niej.

- Tak, to jest wyrzeźbiona Whinney. Zrobił to dla mnie mężczyzna o śmiejących się oczach i skórze koloru sierści Zawodnika. Nawet Jondalar powiedział, że nigdy nie widział lepszego rzeźbiarza.

- Mężczyzna z brązową skórą? - spytała z niedowierzaniem Madenia.

Ayla uśmiechnęła się sucho. Nie mogła jej winić za jej wątpliwości.

- Tak. Jest z Mamutoi i na imię ma Ranec. Jak go pierwszy raz zobaczyłam, nie mogłam się powstrzymać i gapiłam się na niego. Obawiam się, że to było bardzo niegrzeczne zachowanie. Powiedziano mi, że jego matka była taka ciemna jak... kawałek tego płonącego kamienia. Mieszkała daleko na południe, z drugiej strony wielkiego morza. Mężczyzna z Mamutoi imieniem Wymez wybrał się w długą podróż. Połączył się z nią i urodziła syna przy jego ognisku. Zmarła w drodze powrotnej, więc wrócił tylko z chłopcem. Jego siostra go wychowała.

Madenia zadygotała z podniecenia. Myślała, że na południu są tylko ciągnące się bez końca góry. Ayla podróżowała tak daleko i tyle widziała. Może któregoś dnia ona także wybierze się w podróż i spotka mężczyznę o brązowej skórze, który wy-rzeźbi dla niej pięknego konia, i ludzie będą jej dawać piękne ubrania, i znajdzie konie, na których będzie jeździć, i wilka kochającego dzieci, i mężczyznę jak Jondalar, który z nią razem pojedzie na koniach w daleką podróż. Madenia zatraciła się w marzeniach o wielkiej przygodzie.

Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Ayla. Ubóstwiała tę piękną kobietę, której życie było tak podniecające, i miała nadzieję, że pewnego dnia będzie do niej choć trochę podobna. Ayla mówiła dziwnym akcentem, ale to tylko dodawało jej tajemniczości, i chyba też doznała gwałtu jako dziewczynka? Przewyciężyła to, lecz rozumiała uczucia innych. Otoczona ciepłem, miłością i zrozumieniem, Madenia zaczynała przychodzić do siebie po tym koszmarnym przeżyciu. Zaczynała wyobrażać sobie siebie samą, dorosłą i mądrą, jak opowiada o swoim doświadczeniu młodej dziewczynie, która przeżyła podobny atak, żeby jej

pomóc w uporaniu się z sytuacją.

Madenia marzyła na jawie i patrzyła, jak Ayla podnosi starannie zapakowaną paczkę. Trzymała ją w rękach, ale jej nie otwierała; wiedziała dobrze, co jest w środku, i nie miał zamiaru tego zostawić.

- Co to jest? - spytała dziewczyna, kiedy Ayla odłożyła paczkę.

Ayla znowu ją podniosła; sama tego już od dość dawna nie widziała. Rozejrzała się, by się upewnić, że Jondalara nie ma w pobliżu, i rozwiązała supeł. W środku znajdowała się śnieżnobiała tunika, ozdobiona ogonami gronostaja. Oczy Madenii zrobiły się olbrzymie i okrągłe.

- To jest białe jak śnieg! Nigdy nie widziałam takiej białej skóry.

- Sposób robienia białej skóry jest tajemnicą Ogniska Żurawia. Nauczyłam się tego od starej kobiety, która posiadała tę umiejętność od matki - wyjaśniła Ayla. - Nie miała komu przekazać tej wiedzy, więc gdy ją o to poprosiłam, zgodziła się.

- Sama to zrobiłaś?

- Tak. Dla Jondalara, ale on o tym nie wie. Dam mu to, kiedy dojdziemy do jego domu, może na Zaślubiny.

Gdy podniosła tunikę, ze środka wypadła mniejsza paczuszka. Madenia widziała, że to jest męska tunika. Nie było na niej żadnych ozdób, poza gronostajowymi ogonami; żadnych wyhaftowanych wzorów, żadnych muszli ani paciorków, nic z tego jednak nie było potrzebne. Dekoracja by tylko przeszkadzała. Prostota tuniki, jej śnieżna białość były wystarczające.

Ayla otworzyła małą paczuszkę. Wewnątrz znajdowała się dziwna figurka kobiety z wyrzeźbioną twarzą. Gdyby Madenia właśnie nie podziwiała jednej cudownej rzeczy za drugą, przestraszyłaby się; dunai nigdy nie miały twarzy. W jakiś sposób jednak zdawało się słuszne, że to Ayla ma taką dunai.

- Jondalar wyrzeźbił ją dla mnie - wyjaśniła Ayla. - Powiedział mi, że zrobił to, by pochwycić mojego ducha na moją ceremonię kobiecości, na pierwszy raz, kiedy pokazał mi Dar Przyjemności. Nie było z nami nikogo innego, ale nikt nie był nam potrzebny. Jondalar odprawił ceremonię. Potem dał mi to, żebym schowała, ponieważ uważał, że w tym jest wielka moc.

- Z pewnością - powiedziała Madenia. Nie miała ochoty tego dotknąć, ale nie wątpiła, że Ayla potrafi panować nad zawartą w figurce mocą.

Ayla wyczuła jej niepokój i szybko zapakowała figurkę z powrotem. Włożyła ją do środka starannie złożonej tuniki i owinęła w miękkie, zszyte razem skóry królicze, które stanowiły opakowanie, a wszystko związała rzemieniami.

Kolejna paczka zawierała kilka z podarków otrzymanych przy ceremonii adopcyjnej, kiedy została zaliczona w poczet Mamu-toi. Zatrzyma je. Zabierze też torbę znachorską, kamienie ogniste i przybory do krzesania ognia, przybory do szycia, jedną zmianę odzieży, filcowe wyściółki butów, śpiwory i broń myśliwską. Obejrzała miski i sprzęt do gotowania i zostawiła tylko najbardziej niezbędne. Z decyzją na temat namiotu, sznurów i reszty wyposażenia będzie musiała poczekać na Jondalara.

Miały już opuścić izbę, kiedy pojawił się Jondalar. Wraz z kilkoma innymi właśnie wrócił z wyprawy po brunatny węgiel i wszedł, by posortować swoje rzeczy. Za nim weszli inni, w tym Solandia i jej dzieci razem z Wilkiem.

- Naprawdę zaczęłam polegać na tym zwierzęciu i będzie mi go brakowało. Nie zechciałabyś go zostawić? - odezwała się Solandia.

Ayla dała znak Wilkowi. Mimo całej swej miłości do dzieci natychmiast do niej podszedł, stanął przy jej nodze i patrzył wyczekująco.

- Nie, Solandio. Nie mogłabym.

- Tak myślałam, ale musiałam zapytać. Ciebie mi też będzie brakowało, wiesz o tym dobrze.

- A ja będę tęsknić za wami. Najtrudniejsze w tej podróży jest zaprzyjaźnianie się z ludźmi i odchodzenie od nich, kiedy się wie, że już się ich nigdy więcej nie zobaczy - odparła Ayla.

- Laduni - odezwał się Jondalar, podnosząc płat kości słoniowej z wrytymi na nim dziwnymi znakami. - Talut, przywódca Obozu Lwa, zrobił tę mapę krainy daleko na wschód, pokazującą pierwszą część naszej podróży, Chciałem to zatrzymać na pamiątkę. To nie jest niezbędne, ale i tak nie chciałbym tego wyrzucić. Przechowasz to dla mnie? Kto wie, może któregoś dnia przyjdę po to.

- Dobrze, przechowam. - Laduni wziął mapę z kości słoniowej i obejrzał ją. - To wygląda interesująco. Może mi wyjaśnisz te znaki przed odejściem. Mam nadzieję, że kiedyś tu wrócisz, ale jeśli nie, może ktoś idący tą samą drogą będzie miał miejsce i będę ci ją mógł wysłać.

- Zostawiam także kilka narzędzi. Możesz je zatrzymać albo wyrzucić. Nie lubię rozstawać się z młotkiem kamiennym, do którego jestem przyzwyczajony, ale jestem pewien, że uda mi się znaleźć nowy, jak tylko dojdziemy do Lanzadonii. Dalanar ma zawsze zapasowe. Zostawię także moje kościane młotki i kilka ostrzy. Zabiorę jednak topór i siekiere do rąbania lodu.

Przeszedł do platformy i zapytał:

- Co zabierasz, Aylo?

- Wszystko jest tutaj, na posłaniu.

Wśród jej rzeczy Jondalar zobaczył tajemniczą paczkę.

- Cokolwiek w tym jest, musi być bardzo cenne.

- Będę to nosić - odparła Ayła.

Madenia uśmiechnęła się przebiegle, zadowolona, że Ayła dopuściła ją do tajemnicy.

- A co z tym? - spytał, wskazując na inną paczkę.

- To są prezenty od Obozu Lwa - odrzekła i pokazała mu zawartość. Dostrzegł piękny grot, który dostała od Wymeza, i wziął go, żeby pokazać Laduniemu.

- Popatrz na to.

Było to duże ostrze, dłuższe od jego dłoni i równie jak dłoń szerokie, ale nie grubsze niż czubek jego małego palca, zwięzające się do ostrego szpica.

- Jest obrobione dwustronnie - powiedział Laduni, obracając je w rękach. - Ale jak udało mu się zrobić je takie cienkie? Myślałem, że obrabianie kamienia z obu stron to dość toporna technika, dobra do robienia siekier i podobnych rzeczy, lecz to nie jest toporne. To jest najwspanialsza rzemieślnicza robota, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Wymez to zrobił - rzekł Jondalar. - Mówiłem ci, że to mistrz. Ogrzewa krzemień przed obróbką. To zmienia właściwości kamienia oraz ułatwia odłupywanie mniejszych płatków i dlatego może uzyskać taką cienkość. Nie mogę się doczekać, żeby to pokazać Dalanarowi.

- Jestem pewien, że to doceni - odparł Laduni.

Jondalar oddał grot Ayli. Starannie zapakowała go z powrotem.

- Myślę, że weźmiemy tylko pojedynczy namiot, jako osłonę od wiatru - oznajmił.

- A co z płachtą podłogową? - spytała Ayła.

- Już mamy tak ciężki ładunek kamieni, że bardzo nie chciałbym brać więcej, niż niezbędne.

- Na lodowcu będziemy zadowoleni, jeśli płachta oddzieli nas od lodu.

- Chyba masz rację.

- A co ze sznurami?

- Naprawdę myślisz, że ich potrzebujemy?

- Radziłbym je zabrać - powiedział Laduni. - Sznury mogą się bardzo przydać na lodowcu.

- Jeśli tak uważasz, to je weźmiemy - odpowiedział Jondalar.

Poprzedniego wieczoru zapakowali wszystko, co mogli, i resztę czasu spędzili na

pożegnaniach z ludźmi, których tak bardzo polubili w czasie swojego krótkiego pobytu u nich. Yerdegia chciała szczególnie porozmawiać z Ayla.

- Chciałam ci podziękować, Aylo.

- Nie ma potrzeby dziękować. To my jesteśmy wdzięczni wszystkim.

- Za to, co zrobiłaś dla Madenii. Uczciwie mówiąc, nie jestem pewna, co zrobiłaś czy co jej powiedziałaś, ale wiem, że to zaważyło. Zanim przyszliście, chowała się po ciemnych kątach i pragnęła umrzeć. Nie chciała rozmawiać ze mną ani słyszeć nawet o zostaniu kobietą. Myślałam, że wszystko przepadło. Teraz jest niemal taka jak dawniej i cieszy się na Pierwszy Rytuał. Mam tylko nadzieję, że nie zmieni już zdania przed Letnim Spotkaniem.

- Myślę, że wszystko ułoży się dobrze, jeśli wszyscy nadal będziecie jej pomagać. Sądzę, iż poparcie bliskich stanowiło największą pomoc.

- I tak chcę, żeby Charoli został ukarany - powiedziała Yerdegia.

- Wszyscy tego pragną. Teraz, kiedy wszyscy zgodzili się go schwytać, myślę, że nie ominie go kara. Madenia będzie pomszczona, odbędzie Pierwszy Rytuał i zostanie kobietą. Jeszcze doczekasz się wnuków, Yerdegio.

Rano wstali wcześniej, zapakowali resztę rzeczy i wrócili do jaskini na ostatni wspólny posiłek z Losadunai. Wszyscy się zebrali, by ich pożegnać. Losaduna nauczył Aylę jeszcze kilku wierszy i był bliski łez, kiedy objęła go na pożegnanie. Szybko odszedł, żeby porozmawiać z Jondalarem. Solandia nie ukrywała swoich uczuć i mówiła im, jak żałuje, że odchodzą. Nawet Wilk zdawał się pojmować, że już nie zobaczy więcej dzieci, i one to też rozumiały. Polizał buzię niemowlęcia i po raz pierwszy Mi-cheri rozplakał się.

Kiedy wyszli z jaskini, zaskoczyła ich Madenia. Nałożyła wspaniałe strój, który dostała od Ayli, przyłgnęła do niej i starała się opanować płacz. Jondalar powiedział jej, że jest piękna, i naprawdę tak uważał. Ubranie przydawało jej niezwyklej urody oraz dojrzałości i pozwalało dostrzec w niej przyszłą kobietę.

Wsiedli na konie, wypoczęte i chętne do drogi, i odwrócili się, żeby spojrzeć na ludzi zebranych u wejścia do jaskini. Wyróżniła się wśród nich Madenia. Była jednak jeszcze niemal dzieckiem i machała im z twarzą zalaną łzami.

- Nigdy was nie zapomnę, żadnego z was! - zawołała i uciekła do jaskini.

Odjechali w kierunku Wielkiej Matki Rzeki, która była tu zaledwie strumieniem. Ayla myślała, że ona też nigdy nie zapomni Madenii ani jej ludzi. Jondalarowi także było smutno żegnać się, ale jego myśli zaprzętały trudności, jakie ich jeszcze czekały. Wiedział, że najtrudniejsza część podróży jest ciągle przed nimi.



Jondalar i Ayla kierowali się na północ, z powrotem w kierunku Dunaju - Wielkiej Matki Rzeki, która ich prowadziła przez tak dużą część ich podróży. Kiedy dotarli do niej, skręcili na zachód i szli wzdłuż biegu rzeki ku jej źródłom, ale wielki szlak wodny zmienił swój charakter. Nie była to już potężna, wijąca się rzeka, która z ociężałą godnością przelewała swe wody przez płaskie równiny, zbierała niezliczone dopływy i masy mułu osadowego, a następnie rozdzielała się na odnogi i tworzyła starorzecza. W pobliżu swych źródeł była żwawym, mniejszym strumieniem, który toczył się po szerokim, skalistym łóżysku, pędząc w dół ze stromych zboczy górskich. Wiodąca na zachód trasa wzdłuż wartkiej rzeki okazała się stałą wspinaczką w górę i prowadziła coraz bliżej do nieuniknionego spotkania z grubą warstwą nigdy nie topniejącego lodu, pokrywającego rozległy płaskowyż.

Kształt lodowców dopasowywał się do konturów krajobrazu. Te, które pokrywały szczyty górskie, były stromymi lodowymi kopułami, te na płaskim gruncie rozlewały się jak naleśnik, niemal równej grubości, wznosząc się nieco pośrodku, pozostawiając za sobą zwirowe półki i wyłobione zagłębienia, które potem zamieniały się w jeziora i stawy. Najdalej wysunięty na południe kraniec olbrzymiej, kontynentalnej czapy lodu, której niemal płaska powierzchnia była równie wysoka co otaczające ją góry, oddzielało zaledwie pięć stopni szerokości geograficznej od północnej krawędzi górskich lodowców. Kraina ta była najzimniejszą na Ziemi.

Lodowiec, o który tak się martwił Jondalar, a który nadal leżał na zachód od nich, był lodowcem płaskowyżu, miniaturową wersją potężnej czaszy lodu, która rozprzestrzeniała się przez równiny kontynentu na północy.

Z każdym krokiem Ayla i Jondalar wznosili się coraz wyżej. W czasie wspinaczki starali się jak najbardziej oszczędzać ciężko obciążone konie i częściej szli, niż jechali. Ayla szczególnie martwiła się o Whinney, która wlokła większość zapasów płonących kamieni. Mieli nadzieję, że zapewnią one przeżycie ich czworonożnym towarzyszom na lodowcu, dokąd konie nigdy nie poszłyby samodzielnie.

Oba konie niosły na grzbietach ciężki ładunek, choć ciężar Whinney był nieco mniejszy, gdyż dodatkowo ciągnęła za sobą włók. Ładunek Zawodnika był tak wysoko zapakowany, że był nieco nieporęczny, lecz i nosidła ludzi nie należały do lekkich. Tylko wilk był wolny od dodatkowego obciążenia i Ayla zaczęła przypatrywać się jego

nieskrępowanym ruchom i myśleć, że on także powinien nieść trochę bagażu.

- Cały ten wysiłek po to, żeby mieć kamienie - zauważyła Ayla pewnego poranka, kiedy zarzucała na plecy nosidła. - Niejeden uznałby nas za dziwadła, które wloką tak ciężki ładunek kamieni pod górę.

- Znacznie więcej ludzi uznałoby za dziwne podróżowanie z koźmi i wilkiem - odparował Jondalar - ale skoro mamy przeprowadzić zwierzęta przez lodowiec, musimy wtargać na górę te kamienie. I jest coś, z czego możemy się cieszyć.

- Co takiego?

- Że łatwo nam będzie po drugiej stronie.

Górny bieg rzeki przecinał przedgórza tak potężnego górskiego łańcucha, że podróżnicy nie mieli pojęcia nawet o jego prawdziwych rozmiarach. Losadunai mieszkali na południe od rzeki, pośród masywnych gór wapiennych, na dużych obszarach stosunkowo równych płaskowyżów. Choć zdarte przez całe wieki działania wiatru i wody, szczyty były wystarczająco wyniosłe, by przez okrągły rok chlubić się lśniącymi koronami lodu. Między rzeką a górami znajdowała się kraina drzemiącej roślinności pokrywającej fliszowy osad na piaskowcu. Lekki płaszcz zimowego śniegu pokrywał rośliny i niższe partie nietopniejącego lodu.

Dalej na południe, połyskujące w słońcu jak olbrzymie czerepy połamanego alabastru, wyniosłe turnie środkowej strefy, niemal odrębne pasmo w olbrzymiej masie spiętrzonych ziemi, szybowały wysoko nad pobliskimi wzniesieniami. Podróżnicy kontynuowali wspinaczkę ku wyższemu, zachodniemu łańcuchowi. Towarzyszył im milczący szereg środkowych gór, ponad którymi wyrastała para wyszczerbionych szczytów.

Na północy, za rzeką, wznosił się stromo prastary masyw krystaliczny. Gdziekolwiek wyrastały strome skały, a cały obszar pokrywały płaskie bloki kamienia. Tu i ówdzie widoczne były łąki. Przed nimi, na zachodzie, zaokrąglone wzgórza, niektóre z małymi lodowymi koronami, przekraczały zamrożoną rzekę, żeby połączyć się z lodem młodszego, sfałdowanego łańcucha południowego pasma.

Suchy, sypki śnieg padał rzadziej, w miarę jak zbliżali się do najzimniejszej części kontynentu, obszaru między najdalej na północ wysuniętym lodowcem górskim a dochodzącymi najdalej na południe mackami olbrzymich, skuwających kontynent czap lodu. Nawet przewiewane wiatrami stopy lessowe wschodnich równin nie dorównywały surowością temu dojmującemu zimnu. Przed spustoszeniem spowodowanym lodowcem ratował tę krainę tylko wpływ zachodniego oceanu.

Płaskowyżowy lodowiec byłby niemożliwy do przejścia, gdyby nie powietrze

ogrzewane przez nie zamrożony ocean, które stawiało czoło naporowi lodu. Wpływ klimatu morskiego umożliwiał przedostanie się do zachodnich stepów i tundr. Dzięki niemu również lodowiec nie docierał do krainy Zelandonii, nie było tu ciężkiej pokrywy lodowej, która pokrywała inne kraje na tej samej szerokości geograficznej.

Jondalar i Ayla z łatwością wpadli z powrotem w rytm podróżowania, choć Ayli zdawało się, że wędrują już od wieków. Marzyła o osiągnięciu celu. Kiedy brnęli przez monotony zimowy krajobraz, przelatywały jej przez głowę myśli o spokojnej zimie w ziemiance Obozu Lwa. Z przyjemnością wspominała drobne zdarzenia, nie pamiętając o rozpacz, która zaciemniała jej życie przez cały ten czas, kiedy myślała, że Jondalar przestał ją kochać.

Choć wodę otrzymywali przez topienie, na ogół z lodu rzeczno zamiast ze śniegu - kraj był pusty i nagi, z niewielką ilością śnieżnych zasp - Ayla uznała, że istnieją pewne dobre strony mrozu. Dopływy Wielkiej Matki Rzeki były mniejsze i solidnie zamrożone, co ułatwiało ich przekraczanie. Zawsze jednak spieszyli się, żeby osiągnąć drugi brzeg, ponieważ w dolinach rzek i strumieni szalały gwałtowne wiatry. Silne porywy niosły mroźne powietrze z obszarów wysokiego ciśnienia w południowych górach, obniżając jeszcze bardziej temperaturę.

Dygocząc z zimna mimo grubej futrzanej odzieży, Ayla poczuła ulgę, kiedy wreszcie przedostali się przez szeroką dolinę i dotarli do osłaniającej bariery pobliskich pagórków.

- Tak mi zimno! - powiedziała, szcękając zębami. - Tak bym chciała, żeby się trochę ociepliło. Jondalar przestraszył się.

- Nie mów tego, Aylo!

- Dlaczego?

- Musimy przejść lodowiec, zanim pogoda się zmieni. Ciepły wiatr oznacza fen, stapiacz lodu, który stanowi koniec zimy. Wtedy musielibyśmy pójść dookoła, po północnej stronie, przez terytorium klanu. To zabierze znacznie więcej czasu, a z problemami, które mają z Charolim, nie sądzę, by byli zbyt przyjaźni.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i spojrzała na północny brzeg rzeki. Po pewnym czasie odezwała się:

- Oni mają lepszy teren.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nawet stąd widać, że tam są równiny z dobrą trawą, a to ściąga zwierzęta, na które można polować. Z tej strony rosną na ogół karłowate sosny - to oznacza piaszczystą ziemię i

marną trawę, poza nielicznymi miejscami. Obszar ten znajduje się bliżej lodowca, więc jest tu zimniej i bardziej ubogo.

- Chyba masz rację - powiedział Jondalar, podziwiając jej przenikliwość. - Nie wiem, jak tu wygląda latem, byłem tu tylko zimą.

Ocena Ayli była poprawna. Gleba północnych równin doliny wielkiej rzeki składała się głównie z warstwy lessu na podłożu skały wapiennej i była żyźniejsza niż na południowym brzegu. W dodatku górskie lodowce na południu podchodziły bliżej, co dawało ostrzejsze zimy i chłodniejsze lata, zaledwie dość ciepłe, by stopić zgromadzony śnieg i wierzchnią warstwę gleby do linii śnieżnej poprzedniego lata, a i to nie całkiem. Większość lodowców znowu rosła, powoli, ale wystarczająco, żeby zmienić istniejące środowisko; od nieco cieplejszej przerwy z powrotem do zimnego okresu, ostatniego już pochodu lodowców przed długim okresem topnienia, który zostawił lód tylko w okolicach podbiegunowych.

Uśpione na zimę drzewa nie pozwalały Ayli na ich zidentyfikowanie, dopóki nie skosztowała czubka gałązki, pączka czy kawałka wewnętrznej kory. Tam, gdzie olchy dominowały koło rzeki i wzdłuż płytkich dolin jej dopływów, wiedziała, że latem będzie torfowe zalewisko; tam, gdzie były przemieszane z wierzbami i topolami, będzie najmokrzey, trafiające się zaś od czasu do czasu jesiony, wiązy i graby, niewiele większe niż zdrewniałe zarośla, wskazywały na suchszy grunt. Rzadkie karłowate dęby, walczące o przetrwanie w osłoniętych niszach, zaledwie dawały przedsmak potężnych borów dębowych, które pewnego dnia pokryją ten kraj przy bardziej umiarkowanej temperaturze. Na piaszczystych wrzosowiskach w ogóle nie było drzew, bo ziemia tam była jedynie w stanie wykarmić wrzosa, kolcolisty, rzadkie trawy, mchy i porosty

Niektóre zwierzęta i ptaki dobrze się czuły nawet w tym lodowatym klimacie; mnóstwo było przystosowanych do zimna zwierząt stepów i gór i polowanie nie nastęczało trudności. Rzadko tylko używali zapasów, jakie otrzymali od Losadunai, ponieważ chcieli je zachować na przeprawę przez lodowiec. Dopiero na zamrożonej pustyni będą musieli polegać wyłącznie na zapasach, które nieśli.

Ayla zobaczyła niezwykłą karłowatą sowę śnieżną i wskazała ją Jondalarowi. Nabral wielkiej wprawy w znajdowaniu głuszców, które smakowały podobnie do jego ulubionych, białopiórych pardw, szczególnie kiedy Ayla przyrządzała je na swój specjalny sposób. Ich wielobarwność pozwalała na lepszy kamuflaż w terenie nie całkiem pokrytym śniegiem. Jondalarowi zdawało się, że było tu więcej śniegu, kiedy przechodził tędy poprzednim razem.

Na klimat tego obszaru wpływało zarówno kontynentalne powietrze ze wschodu, jak i morskie z zachodu, co widać było po niezwykłym zestawie zwierząt i roślin, które rzadko

występowały obok siebie. Przykładem tego były dla Ayli małe, pokryte futrem stworzonka, mimo że zimą rzadko widziała myszy, ko-szatki, nornice, susły i chomiki, chyba że rozkopywała ziemię, by dobrać się do ich gniazd po ukrytą tam żywność. Czasami jednak łapała także zwierzęta dla Wilka lub dla nich samych, szczególnie jeśli trafiła na olbrzymiego chomika, choć na ogół zostawiała je na pastwę kun, lisów i małych dzikich kotów.

Na wysokich płaskowyżach i wzdłuż rzecznych dolin często widywali włochate mamuty, na ogół stada spokrewnionych samic, niekiedy z jednym samcem, który wędrował wraz z nimi dla towarzystwa, choć zimą samce często zbierały się we własne grupy. Nosorożce były na ogół samotnikami, poza samicami z jednym czy dwoma małymi. W cieplejszych porach roku żyło tam wiele żubrów, turów i najrozmaitszych gatunków jeleni, od potężnego megacerosa do małej i nieśmiałej sarny, ale na zimę zostawiały tu tylko renifery. W ich miejsce zeszyły ze swoich wysoko położonych pastwisk muflony, kozice i koziorożce. Jondalar nigdy też nie widział takiej liczby wołów piżmowych.

Wydawało się, że tego roku populacja wołów piżmowych osiągnęła najwyższy poziom w ich cyklu rozwoju. Następnego roku ich liczba zmniejszy się prawdopodobnie do minimum, na razie jednak Ayła i Jondalar stwierdzili, że miotacze oszczepów raz jeszcze dowodzą swej wartości. Przy zagrożeniu woły piżmowe, szczególnie samce, formowały ciasny krąg, z pochylonymi rogami skierowanymi na zewnątrz, żeby chronić cielaki i krowy. W ten sposób mogły się bronić skutecznie przed większością drapieżników, ale nie przed miotaczami oszczepów.

Nie podchodząc zbyt blisko, żeby nie narazić się na groźbę nagłego wypadu jakiegoś zwierzęcia, Ayła i Jondalar mogli wybrać sobie dowolne zwierzę spośród stojącej przed nimi grupy i rzucić oszczepem z bezpiecznej odległości. Było to niemal zbyt łatwe, choć musieli dokładnie celować i rzucać z wielką siłą, żeby przebić grube futro.

Przy takiej różnorodności zwierzyzny nie brakowało im mięsa i często zostawiali gorsze kawałki innym drapieżnikom i padlinożercom. Nie była to kwestia marnotrawstwa, ale konieczności. Posiłki z chudego mięsa, choć pełnego protein, często zostawiały wrażenie niedosytu. Wewnętrzna kora drzew i napoje z igieł i czubków gałązek zaspokajały ich potrzeby tylko częściowo.

Wszystkożerni ludzie mogli przeżyć na najrozmaitszym pożywieniu, którego zasadniczym składnikiem było białko, ale samo białko nie starczało. Zdarzało się, że ludzie umierali z braku choć jednego produktu warzywnego i tłuszczów, mimo dostępu do protein. Podczas podróży przy końcu zimy, kiedy było bardzo niewiele roślinnej żywności, tłuszcze były sprawą zasadniczą dla przeżycia, ale o tej porze roku większość zwierząt już sama

zużyła swoje zapasy. Podróżnicy wybierali mięso i wnętrzności, które zawierały najwięcej tłuszczu, i zostawiali chude kawałki albo oddawali je Wilkowi. On znajdował wystarczająco pożywienia po drodze, w lasach i na równinach.

Jeszcze jeden rodzaj zwierząt zamieszkiwał ten rejon i chociaż zawsze zwracali na nie uwagę, ani Ayla, ani Jondalar nie mogli się zmusić do polowania na konie. Ich wierzchowce czuły się dobrze na paszy z suchej trawy, mchów, porostów, a nawet małych gałązek i cienkiej kory.

Ayla i Jondalar podróżowali na zachód wraz z biegiem rzeki, kierując się nieco na północ wraz z rzeką, która okrążała masyw górski. Kiedy rzeka wykrciła nieco na południowy zachód, Jondalar wiedział, że są już niedaleko. Depresja między pradawną północną wyżyną i górami na południu szła nieco pod górę ku dzikiemu terenowi o poszarpanych turniach. Minęli miejsce, gdzie trzy strumienie łączyły się razem, by stworzyć łatwo rozpoznawalny początek Wielkiej Matki Rzeki, przeszli jeden z nich i poszli dalej lewym brzegiem środkowego koryta, wzdłuż Środkowej Matki. O tym właśnie strumieniu powiedziano Jondalarowi, że jest uważany za prawdziwą Matkę Rzekę, choć równie dobrze mógłby to być każdy z pozostałych dwóch.

Dojście do początków wielkiej rzeki nie było tym głębokim przeżyciem, jakiego Ayla się spodziewała. Wielka Rzeka Matka nie wypływała z jednego, ściśle określonego miejsca, jak na przykład wielkie morze śródłądowe, do którego uchodziła. Nie było żadnego wyraźnego początku i nawet granice północnego terytorium, uważanego za tereny płaskogłowych, nie były jasno widoczne, ale Jondalar poznawał okolicę. Sądził, że są blisko samego lodowca, choć już od dłuższego czasu szli po śniegu i trudno było stwierdzić to z pewnością.

Choć było dopiero popołudnie, postanowili zacząć szukać miejsca na obozowisko i przeszli do prawego brzegu górnego dopływu. Postanowili się zatrzymać kilka kroków dalej, tuż za korytem dość dużego strumienia, który spływał z północnej strony. Ayla zobaczyła odsłoniętą ławicę żwiru koło rzeki i zatrzymała się, żeby zebrać gładkie, okrągłe kamienie, znakomite do procy. Schowała je w swoim woreczku. Pomyślała, że może potem pójdzie zapolować na pardwy albo białe zające.

Wspomnienia krótkiego pobytu u Losadunai zamazywały się już, wyparte niepokojem o lodowiec przed nimi. Piechotą, ciężko obciążeni, podróżowali o wiele wolniej, niż to zaplanowali, i Jondalar obawiał się, że koniec długiej zimy przyjdzie zbyt prędko. Nigdy nie dawało się przewidzieć przybycia wiosny, ale tego roku miał nadzieję, że będzie spóźniona.

Rozjuczyli konie i rozbili obóz. Ponieważ było jeszcze wcześniej, postanowili zapolować na świeże mięso. Poszli w kierunku rzadkiego lasu i znaleźli ślady jelenia, co zaskoczyło ich oboje i zaniepokoiło Jondalara. Miał nadzieję, że powrót jeleni nie jest oznaką zbliżającej się wiosny. Ayla przywołała Wilka i ruszyli przez las gęsiego. Pierwszy szedł Jondalar, za nim Ayla, a na końcu Wilk, tuż przy jej nodze. Nie chciała, by rzucił się w pościg i wystraszył im zwierzynę. Szli po śladach w kierunku wysokiego głazu. Ayla zobaczyła, że ramiona Jondalara opadły i z jego postawy zniknęło napięcie tropiciela. Zrozumiała, dlaczego, kiedy ze śladów zorientowała się, że jeleni pobiegł szybko. Coś go najwyraźniej wystraszyło.

Oboje zamarli na dźwięk niskiego warkotu Wilka. Coś wyczuł, a oni nauczyli się doceniać jego ostrzeżenia. Ayla była pewna, że słyszy dźwięki bijatyki z drugiej strony wystającego z ziemi i zagradzającego im drogę głazu. Spojrzeli na siebie; Jondalar także je słyszał. Poszli powoli do przodu, okrążając gład. Nagle rozległy się krzyki, odgłos upadku czegoś ciężkiego na ziemię i niemal natychmiast ostry krzyk bólu.

Na ten dźwięk dreszcz przebiegł Ayli po grzbiecie, dreszcz rozpoznania.

- Jondalarze! Ktoś ma kłopoty! - krzyknęła i popędziła wokół kamienia.

- Poczekaj, Aylo! To może być niebezpieczne! - zawołał za nią ostrzegawczo, ale już było za późno. Uchwycił mocno oszczep i pobiegł za nią.

Po drugiej stronie głazu wielu młodych mężczyzn walczyło z kimś na ziemi, kto bez powodzenia próbował się od nich uwolnić. Inni robili wulgarnie uwagi pod adresem mężczyzny pochylającego się na klęczkach nad osobą, którą dwóch innych mężczyzn próbowało utrzymać w leżącej pozycji.

- Pospiesz się, Danasi! Jak ci jeszcze pomóc? Widzisz, że nie przestaje walczyć.

- Może trzeba mu pomóc to znaleźć.

- Po prostu nie wie, co się z tym robi.

- No to daj szansę komuś innemu.

Ayli mignęły jasne włosy i z uczuciem gniewnego obrzydzenia zrozumiała, że przytrzymują kobietę i co chcą z nią zrobić. Kiedy biegła ku leżącej, zrozumiała coś jeszcze. Może to był kształt nogi lub ramienia, czy też dźwięk głosu, ale nagle pojęła, że to była kobieta z klanu - blondynka z klanu! Ostłupiała, ale tylko na moment.

Wilk warczał, chętny do bójki, ale patrzył na Aylę i czekał.

- To musi być Charoli i jego banda! - powiedział nadbiegający Jondalar.

Rzucił swój plecak z kołczanem i kilkoma długimi krokami dopadł trzech mężczyzn molestujących kobietę. Chwycił tego, który był nad nią, za plecy kurty i za kark i

szarpnięciem odrzucił go od kobiety. Przekroczył przez nią, zwinął pięść i walnął mężczyznę w twarz. Tamten opadł na ziemię. Dwóch innych patrzyło przez chwilę z osłupieniem, potem puścili kobietę i zaatakowali obcego. Jeden skoczył mu na plecy, a drugi uderzał go pięściami w twarz i piersi. Jondalar zrzucił tego, który uczeplił się jego pleców, dostał solidny cios w ramię i oddał stojącemu przed nim mężczyźnie potężnym uderzeniem w brzuch.

Kobieta, która zaczęła się wycofywać, kiedy mężczyźni rzucili się na Jondalara, pobiegła w kierunku drugiej walczącej grupy. Kiedy uderzony mężczyzna związał się z bólu, Jondalar zwrócił się do drugiego. Ayla zobaczyła, że pierwszy napastnik znowu próbuje się podnieść.

- Wilk! Pomóż Jondalarowi! Bierz tego człowieka! - rozkazała zwierzęciu.

Wielki wilk z zapalem rzucił się do walki, a Ayla zrzuciła swój plecak, zdjęła procę owiniętą wokół głowy i sięgnęła do woreczka po kamienie. Jeden z trójki walczących z Jondalarem mężczyzn znowu leżał na ziemi, a drugi z przerażeniem w oczach unosił ręce, żeby osłonić się przed olbrzymim wilkiem, który go atakował. Zwierzę uniosło się na zadnie łapy i wbiło zęby w rękaw grubej, zimowej kurty. Wilk wyrwał cały rękaw, a jednocześnie pięść Jondalara wylądowała z całą siłą na szczęce trzeciego mężczyzny.

Ayla włożyła kamień do procy i skupiła uwagę na drugiej grupie walczących. Jeden z mężczyzn podniósł ciężką kościaną maczugę w obu rękach i szykował się do ciosu. Szybko rzuciła kamień i patrzyła, jak maczuga pada na ziemię. Drugi, który trzymał oszczep i groził komuś leżącemu na ziemi, patrzył z niedowierzaniem na upadek swego przyjaciela. Potrząsał głową i nie zauważył następnego kamienia, ale wrzasnął z bólu, kiedy został trafiony. Oszczep potoczył się po ziemi, a on złapał się za swoje zranione ramię.

Sześciu mężczyzn walczyło z jednym, leżącym na ziemi, i wciąż nie mogli mu dać rady. Proca Ayli wyeliminowała dwóch, a kobieta, którą napadli, waliła trzeciego z dobrym skutkiem - unosił ramiona, starając się tylko bronić. Kolejny, który zanadto zbliżył się do mężczyzny na ziemi, zwałił się z nóg od potężnego ciosu. Ayla miała dwa kamienie w pogotowiu. Rzuciła jeden, mierząc w mięsień uda, i dała w ten sposób mężczyźnie na ziemi - mężczyźnie z klanu - szansę. Choć siedział, chwycił najbliższego stojącego i cisnął nim w następnego napastnika.

Kobieta z klanu rzuciła się ponownie z wściekłością na mężczyznę, z którym walczyła. Kobiety klanu nie były przyzwyczajone do walki, lecz nie brakowało im siły. Woląaby raczej poddać się niż walczyć we własnej obronie z mężczyzną, który chciał z nią zaspokoić swoje potrzeby, tym razem jednak broniła swojego rannego towarzysza życia.

W młodych mężczyznach chęć do dalszej walki całkowicie jednak wygasła. Jeden



leżał nieprzytomny u stóp mężczyzny z klanu, z rany w głowie sączyła mu się krew i pokrywała brudne włosy, a obok rozlewał się siniak. Drugi rozcierał swoje ramię i bojaźliwie patrzył na kobietę z procą gotową do rzutu. Pozostali byli posiniaczeni i pobici, jeden z zapuchniętym i zamykającym się okiem. Trzej z nich - ci, którzy atakowali kobietę - zbili się w przerażoną grupkę, kucnąwszy na ziemi ze strachu przed wilkiem, który stał nad nimi na straży z wyszczerzonymi kłami i złowrogim warkotem w gardzieli.

Jondalar, którego dosięgnęło kilka uderzeń, nie wyrządzając mu specjalnej krzywdy, podszedł, żeby się przekonać, czy Ayla nie jest ranna, po czym przyjrzał się leżącemu mężczyźnie. Nagle uświadomił sobie, że jest to mężczyzna z klanu. Właściwie wiedział o tym od początku, kiedy tylko się zbliżyli, ale dopiero w tym momencie w pełni dotarło to do jego świadomości. Zdziwił się, że mężczyzna nadal leży. Odciągnął jednego z napastników na bok i przewrócił go na plecy; był nieprzytomny, ale oddychał. I wtedy zobaczył, dlaczego mężczyzna z klanu nie wstaje.

Przyczyna była jasno widoczna. Udo jego prawej nogi, tuż nad kolaniem, było wygięte pod nienaturalnym kątem. Jondalar patrzył z nabożną grozą na mężczyznę. Ze złamaną nogą stawiał opór sześciu ludziom! Wiedział, iż płaskogłowi są silni, ale nie sądził, że aż tak silni i tak zajadli. Ten mężczyzna musiał mieć silne bóle, ale nie pokazywał tego po sobie.

Nagle inny człowiek, który nie brał udziału w walce, buńczucznie wkroczył na polankę. Spojrzał na sponiewieranych członków swojej bandy i uniósł brwi. Wszyscy ci młodzi ludzie skręcali się z zażenowania pod jego pogardliwym wzrokiem. Nie wiedzieli, jak wytłumaczyć to, co się stało. W jednej chwili molestowali i zabawiali się parą płaskogłowych, którzy na swoje nieszczęście znaleźli się na ich drodze, a w następnej byli zdani na łaskę kobiety, która rzucała kamieniami, bardzo twardymi kamieniami, wielkiego mężczyzny z pięściami twardymi jak głazy i największego wilka, jakiego kiedykolwiek widzieli! Żeby już nie wspomnieć dwóch płaskogłowych.

- Co się stało? - zapytał.

- Twoi ludzie wreszcie dostali nieco za swoje - odparła Ayla. - Na ciebie też przyjdzie kolej.

Kobieta była zupełnie obca. Skąd wiedziała, że to są jego ludzie, czy też w ogóle cokolwiek o nich? Mówiła jego językiem, ale z dziwnym akcentem, i zastanawiało go, kim ona jest. Na dźwięk głosu Ayli kobieta z klanu odwróciła głowę i uważnie jej się przyjrzała, choć nie było to widoczne dla nikogo. Mężczyzna z guzem na głowie odzyskiwał przytomność i Ayla poszła zobaczyć, jak poważnie został zraniony.

- Zostaw go - powiedział mężczyzna, ale jego zuchowatości kłam zadawał strach, jaki

wyczuła w jego głosie.

Ayla zatrzymała się, otwarcie zmierzyła go wzrokiem i zrozumiała, że zaprotestował jedynie na pokaz, nie zaś dlatego, że naprawdę troszczył się o rannego.

Kontynuowała więc badanie.

- Przez kilka dni będzie go bolała głowa, ale nic mu nie będzie. Gdybym naprawdę chciała zrobić mu krzywdę, nie powstrzymałabym siły rzutu. Byłby już martwy, Charoli.

- Skąd znasz moje imię? - wybuchnął młody mężczyzna. Był bardzo przestraszony, ale starał się tego nie okazać. Skąd ta obca kobieta wiedziała, kim on jest?

Ayla wzruszyła ramionami.

- Wiemy dużo więcej niż to, jak ci na imię.

Zerknęła w kierunku pary z klanu. Większości ludzi wydaliby się niewzruszeni, ale Ayla widziała szok i niepokój w subtelnych zmianach w wyrazie ich twarzy i postawie. Z niepokojem obserwowali Innych, starając się coś zrozumieć z dziwnego obrotu wydarzeń.

Na razie - myślał mężczyzna - nie grozi nam chyba dalszy atak, ale ten duży mężczyzna, dlaczego pomógł... czy wydawał się im pomagać? Dlaczego mężczyzna z Innych miałby walczyć z ludźmi swojego własnego rodzaju, żeby pomóc ludziom z klanu? A ta kobieta? Jeśli to jest kobieta. Używała znanej mu broni sprawniej niż większość mężczyzn, jakich znał. Co to za kobieta, która posługuje się bronią? Przeciwno mężczyznom swojego rodzaju? Jeszcze bardziej niepokojący był wilk. Zdawał się grozić tym, którzy chcieli wyrządzić krzywdę jego kobiecie... jego własnej, wyjątkowej, nowej kobiecie. Może totemem wysokiego mężczyzny jest Wilk... Ale totemy to duchy, a to jest prawdziwy wilk. Mógł jednak wyłącznie czekać. Ukryć ból i czekać.

Ayla spostrzegła, że zerknął na Wilka, domyślała się jego obaw i postanowiła zaszokować ich jeszcze bardziej. Gwizdnęła przenikliwie, nagląco, niczym nawołyujący ptak, ale takiego ptaka nikt nigdy nie słyszał. Wszyscy wpatrzyli się w nią ze strachem, lecz gdy nic się nie stało, odprężyli się. Zbyt wcześnie: Wkrótce usłyszeli tętent kopyt i pojawiły się dwa konie, kobyła i niezwykle ciemnobrązowy ogier, które podeszły do kobiety.

Co to za niesamowitości? Czy już jestem martwy i w świecie duchów? - zdumiewał się mężczyzna z klanu.

Konie wystraszyły młodych mężczyzn jeszcze bardziej niż ludzi z klanu. Choć pokrywali to sarkazmem i pyszałkowatością oraz podbechtywali się wzajemnie do coraz bardziej wyzywających i haniebnych czynów, każdy z nich miał głębokie poczucie winy pomieszane ze strachem. Każdy był pewien, że któregoś dnia jego postęпки staną się znane i zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Kilku właściwie pragnęło mieć to już za sobą,

dopóki sprawy nie zajdą zbyt daleko, o ile już nie było za późno.

Danasi, przedmiot prześmiewek, ponieważ miał trudności z okiełznaniem kobiety z klanu, rozmawiał o tym z dwoma innymi, którym ufał. Płaskogłowe kobiety to jedna rzecz, ale tamta dziewczyna, jeszcze nawet nie kobieta, płakała i walczyła. To prawda, że to było bardzo podniecające - kobiety w tym okresie są zawsze podniecające - ale potem niezmiernie się wstydził i bał zemsty Duny. Co im zrobi? A teraz nagle pojawiła się obca kobieta z dużym jasnowłosym mężczyzną - czy nie mówiono, że kochanek Duny jest wyższy i jaśniejszy od wszystkich mężczyzn? I wilk! I konie, które przyszły na jej wezwanie. Nikt jej przedtem nie widział, a jednak wiedziała, kim są. Miała dziwną wymowę, musi być z bardzo daleka, ale zna ich język. Jakim językiem mówią tam, skąd przyszła? Czy jest dunai? Duchem Matki w ludzkiej formie? Danasi zadygotał.

- Czego od nas chcecie? - odezwał się Charoli. - Nie przeszkadzaliśmy wam. Po prostu zabawialiśmy się z płaskogłowy-mi. Co jest ziego w zabawach ze zwierzętami?

Jondalar widział, że Ayla z trudem próbuje się opanować.

- A Madenia? - spytał. - Też jest zwierzęciem?

Wiedzą! Młodzi mężczyźni spojrzeli po sobie i zwrócili wzrok na Charolię, po wskazówce. Akcent mężczyzny był inny niż kobiety. Był z Zelandonii. Jeśli Zelandonii wiedzą, nie będą mogli tam pójść się ukryć, udając, że są w podróży, jak to sobie planowali. Kto jeszcze o tym wie? Czy jest gdzieś miejsce, gdzie będą mogli się schować?

- Ci ludzie nie są zwierzętami - powiedziała Ayla z lodowatym gniewem w głosie, który spowodował, że Jondalar uważnie się jej przyjrzał. Nigdy nie widział jej ogarniętej taką wściekłością, lecz była tak opanowana, że nie był pewien, czy ci młodzi ludzie to dostrzegli. - Jeśli byliby zwierzętami, czy próbowalibyście je przymuszać? Czy gwałcicie wilki? Albo konie? Nie, szukacie kobiety, a żadna was nie chce. To są jedyne kobiety, jakie możecie znaleźć. Oni jednak nie są zwierzętami. - Zerknęła na parę ludzi z klanu. - To wy jesteście zwierzętami! Jesteście jak hieny! Węszycie w śmietnikach i cuchniecie zgnilizną, cuchniecie waszą własną ohydą. Ranicie ludzi, gwałcicie kobiety, kradniecie, co do was nie należy. Powiem wam, że jeśli nie wrócicie teraz, straciecie wszystko. Nie będziecie mieli żadnej rodziny, żadnej jaskini i nigdy nie będziecie mieli kobiety przy ognisku. Spędzicie życie jak hieny, zawsze zabierając resztki po innych i okradając własnych ludzi.

- O tym też wiedzą! - wyrwało się jednemu z mężczyzn,

- Nic nie mów! - rozkazał Charoli. - Oni nie mają o niczym pojęcia, tylko zgadują.

- Wiemy - powiedział Jondalar. - Wszyscy wiedzą. - Choć nie mówił bezbłędnie w ich języku, doskonale go rozumieli.

- Tak twierdzisz, ale my nawet nie wiemy, kim jesteś - odparł Charoli. - Jesteś obcy, nawet nie jesteś z Losadunai. Nie wrócimy. Nikogo nie potrzebujemy. Mamy własną jaskinię.

- To dlatego musicie kraść żywność i gwałcić kobiety? -zapytała Ayla. - Jaskinia bez kobiet przy ogniskach nie jest żadną jaskinią.

Charoli próbował przybrać lekceważący ton.

- Nie musimy tego wysłuchiwać. Będziemy brać, co chcemy i kiedy chcemy - żywność, kobiety. Nikt nas jak dotąd nie powstrzymał i nikt tego nie zrobi w przyszłości. Chodźcie, odejdzimy stąd - powiedział i odwrócił się.

- Charoli! - zawołał Jondalar i kilkoma krokami dogonił młodego mężczyznę.

- Czego chcesz?

- Mam coś dla ciebie - rzekł wysoki mężczyzna. Nagle bez ostrzeżenia Jondalar zwinął pięść i walnął nią w twarz Charoliego. Ogłuszający cios zwałił go z nóg.

- To za Madenię! - rzucił Jondalar, patrząc w dół na powalonego mężczyznę. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Ayla spojrzała na oszołomionego młodego człowieka. Strużka krwi spłynęła mu z kącika ust, ale Ayla nie ruszyła z pomocą. Dwóch jego przyjaciół pomogło mu się podnieść. Ayla skierowała uwagę na bandę młodych mężczyzn, każdemu się uważnie przyglądając. Była to żałośnie wyglądająca zgraja, zaniedbani i brudni, w ubraniach podartych na strzępy i poplamionych. Wychudłe twarze zdradzały głód. Nic dziwnego, że ukradli żywność. Potrzebowali pomocy i wsparcia rodziny i przyjaciół z jaskini. Prawdopodobnie swobodne uganianie się z bandą Charoliego traciło już swój urok i byli gotowi do powrotu.

- Szukają was - powiedziała. - Wszyscy uznali, że posunęliście się za daleko, nawet Tomasi, który jest krewnym Charoliego. Jeśli wrócicie do waszych jaskiń i przyjmiecie karę, będziecie mieli szansę powrotu do rodzin. Jeśli jednak będziecie zwlekać, aż was znajdą, wasz los będzie gorszy.

Czy po to tu przyszła? Ostrzec ich, zanim będzie za późno? Jeśli wrócą sami, zanim ich znajdą, i spróbują wynagrodzić krzywdy, to jaskinie przyjmą ich z powrotem?

Kiedy banda odeszła, Ayla zbliżyła się do ludzi z klanu. Obserwowali ze zdumieniem zarówno bezpośrednią konfrontację Ayli z mężczyznami, jak i cios Jondalara, którym ogłuszył przywódcę bandy. Mężczyźni klanu nigdy nie uderzali innych mężczyzn klanu, ale mężczyźni Innych byli dziwacznymi. Wyglądem przypominali trochę mężczyzn, ale nie zachowywali się jak oni, szczególnie ten, który został uderzony. Wszystkie klany o nim wiedziały i siedzący na ziemi człowiek musiał przyznać, że poczuł pewną satysfakcję na widok jego upadku. Był jeszcze bardziej zadowolony, kiedy sobie poszli.

Teraz chciał tylko, żeby tych dwoje też odeszło. Ich postępowanie było tak niespodziewane, że go niepokoiło. Chciał tylko wrócić do klanu, choć nie wiedział, jak to zrobi ze złamaną nogą. Następny gest Ayli kompletnie zaskoczył tak mężczyznę, jak i kobietę z klanu. Nawet Jondalar widział ich osłupienie. Ayła usiadła na ziemi przed mężczyzną ze skrzyżowanymi nogami i skromnie spuściła wzrok.

Jondalar też był zdziwiony. Siadała tak przed nim kilka razy, na ogół kiedy miała coś ważnego do powiedzenia i nie umiała znaleźć słów, by to wyrazić, ale teraz po raz pierwszy zobaczył użycie tej postawy w jej właściwym kontekście. Był to wyraz szacunku. Prosiła o pozwolenie zwrócenia się do niego. Teraz jednak Jondalara zdumiał widok Ayli, tak mądrej i niezależnej, zwracającej się z taką uległością do płaskogłowego. Próbowwała mu kiedyś wyjaśnić, że jest to kwestia uprzejmości, tradycji, sposobu komunikacji, i nie ma w tym nic poniżającego, ale Jondalar wiedział, że żadna kobieta z Zelandonii czy jakkolwiek inna kobieta, jaką znał, nigdy nie zwracałaby się w ten sposób do drugiego człowieka, mężczyzny czy kobiety.

Ayła siedziała, cierpliwie czekając, żeby mężczyzna klepnął ją w ramię, i nie była nawet pewna, czy język gestów tych ludzi jest taki sam jak język klanu, w którym się wychowała. Mieszkali bardzo daleko od siebie i ci ludzie wyglądali nieco inaczej. Po drodze zauważała jednak podobieństwa wielu języków, choć znikwały one, im dalej od siebie ludzie żyli. Mogła tylko mieć nadzieję, że język gestów tych ludzi też będzie podobny.

Sądziła, że znajomość języka znaków, tak jak cała wiedza i wzorce zachowań, tkwi zagrzebana w podobnych do instynktu pokładach pamięci, z którymi rodziło się każde dziecko. Jeśli ci ludzie klanu wywodzili się z tych samych pradawnych początków jak jej bliscy, ich język powinien być co najmniej podobny.

Czekała w zdenerwowaniu i zaczęła się zastanawiać, czy ten mężczyzna w ogóle rozumie, o co jej chodzi. Wtedy poczuła klepnięcie na ramieniu i głęboko nabrała oddechu. Od tak dawna nie rozmawiała z nikim z klanu, od czasu, kiedy rzucono na nią klątwę... Musi o tym zapomnieć. Nie może pozwolić, by ci ludzie domyślili się, że dla klanu jest martwa, bo przestaną ją widzieć, jak gdyby nie istniała. Podniosła wzrok na mężczyznę i oboje zaczęli się sobie przyglądać.

Nie widział w niej ani cienia rysów klanu. Była kobietą Innych. Nie przypominała tych dziwnie zdeformowanych mieszanek duchów, których tak dużo rodziło się ostatnimi czasy. Ale skąd ta kobieta nauczyła się poprawnej formy zwracania się do mężczyzny?

Ayła od wielu lat nie widziała człowieka z klanu, a jego oblicze było prawdziwą twarzą klanu, choć niezupełnie taką samą jak ludzi, których znała. Włosy i broda miały

jaśniejszy kolor i zdawały się miękkie i nie tak kręcone. Jego oczy również były jaśniejsze, brązowe, a nie niemal czarne jak oczy jej ludzi. Rysy miał wyrazistsze: wały nadczołowe były grubsze, nos ostrzejszy, szczęki bardziej wystające, czoło bardziej skośne i głowa dłuższa.

Ayla zaczęła mówić gestami i słowami codziennego języka klanu Bruna, języka, którego się nauczyła jako dziecko. Natychmiast okazało się, że jej nie rozumiał. Potem on wydał kilka dźwięków. Ton i barwa głosu były typowe dla klanu, mówił dość gardłowo, niemal połykając większość samogłosek, i wyczuła się, żeby go zrozumieć. Miał złamaną nogę i pragnęła mu pomóc, ale chciała także dowiedzieć się więcej o nim i jego towarzysze. W pewien sposób lepiej się czuła w obecności tych ludzi niż wśród Innych. Aby mu jednak pomóc, musi się z nim porozumieć, musi go zrozumieć. Znowu przemówił i zrobił kilka gestów. Gesty sprawiały wrażenie znajomych, ale nie mogła zrozumieć ich sensu, a jego słowa były jej całkowicie obce. Czy język jej klanu był tak odmienny, że nie będzie w stanie porozumieć się z klanami tego regionu?

Ayla zastanawiała się, w jaki sposób porozumieć się z mężczyzną z klanu, i zerknęła na młodą kobietę, która siedziała obok, zdenerwowana i nieszczęśliwa. Nagle przypomniała sobie Zgromadzenie Klanu i spróbowała prądawnego, formalnego i w zasadzie milczącego języka, którego używano przy zwracaniu się do świata duchów i do porozumiewania się z innymi klanami o odmiennych językach codziennych.

Mężczyzna potaknął i wykonał gest. Ayla poczuła ogromną ulgę i podniecenie, ponieważ go zrozumiała i on rozumiał ją. Ci ludzie pochodzą z tych samych źródeł co jej klan! Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, ten mężczyzna miał tego samego przodka co Iza i Creb. Nagle przypomniała sobie dziwną wizję i pojęła, że ona także pochodzi z tych samych korzeni, ale jej linia odchyliła się i poszła inną ścieżką.

Jondalar patrzył na nich zafascynowany. Miał trudności ze śledzeniem ich szybkich, płynnych ruchów i rozumiał, że ten język był znacznie bardziej skomplikowany i pełen niuansów, niż sądził. Kiedy Ayla uczyła ludzi Obozu Lwa języka gestów klanu, żeby po raz pierwszy w swoim życiu Rydag mógł się z nimi porozumieć - uczyła formalnego języka, ponieważ był dla chłopca łatwiejszy - dała im tylko podstawy. Chłopiec zawsze najbardziej lubił rozmawiać z nią. Jondalar domyślił się, że Rydag mógł się z nią porozumiewać pełniej niż z kimkolwiek innym, ale dopiero teraz zaczął rozumieć zasięg i głębię tego języka.

Aylę zdziwiło, że mężczyzna przeskoczył przez formalności prezentacji. Nie ustalił imion, miejsc czy linii pokrewieństwa.

- Kobieto z Innych, ten mężczyzna chce wiedzieć, gdzie nauczyłaś się mówić.

- Kiedy ta kobieta była małym dzieckiem, rodzina i ludzie zginęli w trzęsieniu ziemi.

Klan wychował tę kobietę.

- Ten mężczyzna nie zna klanu, który przyjął dziecko Innych - zagestykułował.

- Klan tej kobiety żyje bardzo daleko. Czy mężczyzna zna rzekę znaną Innym jako Wielka Matka?

- To granica - odparł niecierpliwie.

- Rzeka płynie na znacznie większą odległość, niż ludzie myślą, uchodzi do wielkiego morza daleko na wschodzie. Klan tej kobiety mieszka za ujściem Wielkiej Matki.

Spojrzał z niedowierzaniem i uważnie jej się przyjrzał. Język ludzi klanu obejmował zrozumienie nieświadomych ruchów i gestów ciała, co niemal uniemożliwiało mówienie nieprawdy, Inni, którzy posługiwali się dźwiękami, byli odmienni. Nie mógł być pewien tego,

co mu przekazywała. Nie widział żadnych oznak nieprawdy, ale jej opowieść wydawała się nieprawdopodobna.

- Ta kobieta podróżuje od początku zeszłej ciepłej pory roku - dodała.

Znowu się zniecierpliwił i Ayla zrozumiała, że ma silne bóle.

- Czego ta kobieta chce? Inni odeszli, dlaczego kobieta nie odchodzi? - Wiedział, że prawdopodobnie uratowała mu życie i pomogła jego towarzysze, co oznaczało, że miał wobec niej zobowiązanie; to czyniło ich niemal krewnymi. Ta myśl była niepokojąca.

- Ta kobieta jest znachorką. Ta kobieta zbada nogę mężczyzny.

Parsknął pogardliwie.

- Ta kobieta nie może być znachorką. Ta kobieta nie jest z klanu.

Ayla nie spierała się. Pomyślała przez chwilę i postanowiła spróbować inaczej.

- Ta kobieta chciałaby porozmawiać z mężczyzną z Innych -poprosiła. Wyraził zgodę skinieniem głowy. Wstała, cofnęła się o krok, odwróciła i poszła porozmawiać z Jondalarem.

- Jak ci się udaje z nim porozumieć? - zapytał. - Widzę, że próbujesz, ale twój klan mieszka tak daleko, że zastanawiam się, jak ci to właściwie idzie.

- Zaczęłam od codziennego języka mojego klanu i zupełnie nie mogliśmy się zrozumieć. Powinnam była wiedzieć, że ich powszednie gesty i słowa nie będą takie same, ale kiedy użyłam pradawnego języka formalnego, nie mieliśmy żadnych kłopotów ze zrozumieniem się.

- Czy naprawdę dobrze rozumiem? Czy mówisz, że klan ma język, który jest rozumiany przez wszystkich? Niezależnie od tego, gdzie mieszkają? Trudno w to uwierzyć.

- Może trudno, ale ten pradawny język tkwi w ich wspomnieniach.

- Chcesz powiedzieć, że rodzą się z umiejętnością mówienia w ten sposób? Każde niemowlę to potrafi?

- Niezupełnie. Rodzą się z tymi wspomnieniami, ale muszą zostać "nauczeni", jak ich używać. Nie jestem pewna, jak to funkcjonuje, nie mam tych wspomnień, ale to wydaje się bardziej "przypominaniem" im o tym, co już wiedzą. Na ogół wystarcza jedno przypomnienie. To dlatego uważali, że nie jestem zbyt inteligentna. Uczenie się szło mi powoli, dopóki nie nauczyłam się szybkiego zapamiętywania, a nawet potem nie było to łatwe. Rydag miał wspomnienia, ale nie miał nikogo, kto by go nauczył... przypomniał mu. Dlatego przed moim przyjściem nie znał języka gestów.

- Ty wolno się uczysz! Nigdy nie widziałem nikogo, kto by tak szybko uczył się języków. Zlekceważyła tę uwagę.

- To coś innego. Myślę, że Inni mają specjalną pamięć do słów, ale uczymy się



wymawiać dźwięki, które są wokół nas. Żeby nauczyć się innego języka, trzeba zapamiętać inny zestaw dźwięków, a czasami inny sposób ich zestawiania. Nawet jeśli nie mówisz płynnie, możesz się porozumieć. Jego język jest trudniejszy dla Innych, ale moje problemy nie polegają na zrozumieniu go. Problemem jest zobowiązanie.

- Zobowiązanie? Nie rozumiem.

- On ma straszliwe bóle, ale nigdy tego nie okaże. Chcę mu pomóc, chcę nastawić złamaną kość. Nie wiem, jak dostaną się z powrotem do klanu, ale o to możemy się martwić później. Najpierw muszę nastawić nogę. Jednak on już jest nam wiele dłużny, a wie, że skoro rozumiem jego język, rozumiem również pojęcie zobowiązania. Jeśli uważa, że uratowałam mu życie, to jest to dług pokrewieństwa. Nie chce być nam nic więcej dłużny - powiedziała Ayla, próbując wyjaśnić bardzo skomplikowane pojęcie w przystępny sposób.

- Co to jest "dług pokrewieństwa"?

- To jest zobowiązanie... - Ayla próbowała znaleźć proste wyjaśnienie. - Na ogół występuje między myśliwymi klanu. Jeśli jeden mężczyzna uratuje życie drugiemu, to "posiada" część jego ducha. Uratowany od śmierci oddaje kawałek swojego ducha za przywrócenie do życia. Ponieważ nikt nie chce, żeby jakiś kawałek jego ducha umarł - poszedł na następny świat, zanim on sam jest gotów tam pójść - jeśli więc inny człowiek posiada część jego ducha, zrobi wszystko, by temu człowiekowi uratować życie. To czyni z nich krewnych bliższych niż bracia.

- To ma sens. - Jondalar pokiwał głową.

- Kiedy mężczyźni polują razem - ciągnęła dalej Ayla - muszą sobie pomagać i często ratują sobie wzajemnie życie, tak więc część ducha każdego z nich na ogół należy do pozostałych. To czyni z nich krewnych w sposób, który wykracza poza więzy rodzinne. Łowcy w klanie mogą być spokrewnieni, ale pokrewieństwo rodzinne nie może być silniejsze niż więź między łowcami, ponieważ nie mogą nikogo faworyzować. Każdy musi polegać na każdym.

- To jest mądre - powiedział zamyślony Jondalar.

- To jest zwane długiem pokrewieństwa. Ten mężczyzna nie zna obyczajów Innych, a nie ma o nich wysokiego mniemania po tym, co już się dowiedział.

- Znajac Charoliego i jego bandę, nie można mu się dziwić.

- To ma głębsze znaczenie, Jondalarze. Z pewnością nie podoba mu się myśl zostania naszym dłużnikiem.

- Powiedział ci to wszystko?

- Nie, oczywiście, że nie, ale język klanu to coś więcej niż gesty. To również sposób

siedzenia czy stania, wyraz twarzy, drobiazgi, które coś znaczą. Wyrosłam w klanie. Te rzeczy są tak samo częścią mnie, jak są częścią jego. Wiem, czym się martwi. Jeśli zaakceptuje mnie jako znachorkę klanu, to będzie łatwiej.

- Co to ma za znaczenie? - zapytał Jondalar.

- To znaczy, że ja już posiadam część jego ducha.

- Przecież go nie znasz! Jak możesz posiadać część jego ducha?

- Znachorka ratuje życie. Może żądać kawałka ducha każdego, kogo uratuje, i w niedługim czasie może "posiadać" kawałki ducha wszystkich. Kiedy więc kobieta zostaje znachorką, oddaje część swojego ducha klanowi i w zamian otrzymuje część ducha każdej osoby z klanu. W ten sposób, niezależnie od tego, kogo uratuje, dług już jest spłacony. To dlatego znachorką ma własny status. - Ayła zamyśliła się i po chwili powiedziała: -Po raz pierwszy cieszę się, że nie odebrano mi duchów klanu... -Zamilkła.

Jondalar chciał coś powiedzieć, ale zobaczył, że patrzy w pustkę, i zrozumiał, że się nad czymś zamyśliła.

- ...kiedy rzucono na mnie klątwę śmierci - dokończyła zdanie. - Długo się tym martwiłam. Po śmierci Izy Creb zabrał jej części duchów z powrotem, żeby nie poszły z nią do następnego świata. Kiedy jednak Broud rzucił klątwę na mnie, nikt mi ich nie odebrał, chociaż dla klanu jestem martwa.

- Co by się stało, gdyby oni o tym wiedzieli? - zapytał Jondalar, dyskretnym ruchem głowy wskazując na obserwujących ich dwoje ludzi z klanu.

- Przestałabym dla nich istnieć. Nie widzieliby mnie; nie pozwoliliby sobie na widzenie. Mogłabym stać tuż przed nimi i krzyżeć i nie słyszeli by mnie. Myśleliby, że jestem złym duchem, który próbuje ich zwabić na następny świat - odparła Ayła, przymknęła oczy i wstrząsnęła się na samo wspomnienie.

- Ale dlaczego powiedziałaś, że cieszysz się, bo nadal masz kawałki duchów?

- Ponieważ nie mogę mówić jednej rzeczy i mieć na myśli inną. Nie mogę kłamać. Od razu by to poznał. Mogę jednak powstrzymać się od powiedzenia czegoś. To jest dozwolone, z uprzejmości, dla zachowania pewnych rzeczy dla siebie. Nie muszę mu powiedzieć o klątwie, chociaż prawdopodobnie zorientuje się, że coś ukrywam, ale mogę powiedzieć, że jestem znachorką klanu, bo to jest prawda. Nadal jestem znachorką. Nadal posiadam kawałki ducha. - Nagle zachmurzyła się. - Ale któregoś dnia naprawdę umrę, Jondalarze. Jeśli pójdę na następny świat z kawałkami ducha każdego członka klanu, co się z nimi stanie?

- Nie wiem, Aylo.

Wzruszyła ramionami i odsunęła tę myśl od siebie.

- No cóż, teraz muszę się martwić o ten świat. Jeśli zaakceptuje mnie jako znachorkę klanu, nie będzie musiał się tak przejmować długiem w stosunku do mnie. Już jest niedobrze, że ma dług pokrewieństwa wobec jednego z Innych, ale byłoby gorzej, gdyby to była kobieta, szczególnie kobieta, która posługuje się bronią.

- Polowałaś przecież, kiedy mieszkałaś z klanem - przypomniał jej Jondalar.

- To był wyjątek, uczyniony tylko dlatego, że przeżyłam miesiąc klątwy śmierci za polowanie procą. Brun na to pozwolił, ponieważ ochronił mnie mój totem, Lew Jaskiniowy. Traktował to jako sprawdzian i myślę, że to mu wreszcie dało powód zaakceptowania kobiety o tak potężnym totemie. To on dał mi mój myśliwski talizman i nazwał mnie Kobieta Która Poluje.

Ayla dotknęła skórzanego woreczka, który zawsze nosiła zawieszony u szyi, i pomyślała o pierwszym, prostym, ściągającym rzemykiem woreczku, który zrobiła dla niej Iza. Jako jej matka, Iza włożyła do środka kawałek czerwonej ochry, kiedy Ayla została przyjęta do klanu. Tamten amulet w niczym nie przypominał pięknie ozdobionego woreczka, jaki nosiła teraz, a który dostała od Mamutoi podczas ceremonii adopcyjnej, ale nadal zawierał jej specjalne znaki, włącznie z tamtym kawałkiem czerwonej glinki. Były w nim wszystkie znaki, jakie otrzymała od swojego totemu, jak również zaplamiony na czerwono owal z kła mamuciego, który był jej talizmanem myśliwskim, i czarny kamień, mały kawałek czarnego dwutlenku manganu, który zawierał cząstki ducha ludzi klanu, dany jej, kiedy została znachorką klanu Bruna.

- Jondalarze, myślę, że pomogłoby, gdybyś ty z nim porozmawiał. Jest niepewny. Jego sposób życia jest głęboko zakorzeniony w tradycjach, a zdarzyło się tutaj tak wiele niezwykłych rzeczy. Gdyby mógł porozmawiać z mężczyzną, nawet mężczyzną z Innych, nie zaś z kobietą, mogłoby to uśmierzyć jego obawy. Pamiętasz, jakim znakiem mężczyzna pozdrawia mężczyznę?

Jondalar wykonał ruch i Ayla kiwnęła głową. Wiedziała, że gestowi brakowało finezji, ale jego znaczenie nie ulegało wątpliwości.

- Na razie nie próbuj pozdrawiać kobiety. To byłoby wyrazem złego smaku i mogłoby to uznać za obrazę. Nie należy do dobrych obyczajów i nie jest właściwe, by mężczyźni zwracali się do kobiet bez powodu, szczególnie obcy, i będzie ci na to potrzebna jego zgoda. Z krewnymi nie zachowuje się takich formalności, a bliski przyjaciel może zaspokoić z nią swoje potrzeby - mieć przyjemności - choć uważa się za uprzejme zapytanie najpierw o zgodę jej towarzysza.

- Zapytanie o zgodę jego, a nie jej? Dlaczego kobiety pozwalają się traktować tak,

jakby były mniej ważne od mężczyzn? - zdziwił się Jondalar.

- Oni tak nie myślą. Wiedzą, że kobiety i mężczyźni są tak samo ważni, ale mężczyźni i kobiety klanu bardzo się od siebie różnią - próbowała wyjaśnić Ayla.

- Oczywiście, że się różnią. Wszędzie mężczyźni się różnią od kobiet... co stwierdzam z przyjemnością.

- Nie chodzi mi tylko o różnice, które widać. Potrafisz zrobić wszystko to, co kobieta, poza urodzeniem dziecka, i chociaż jesteś silniejszy, ja umiem zrobić niemal to samo, co ty. Jednak mężczyzna z klanu nie może wykonać wielu rzeczy, które robią kobiety, tak jak kobieta z klanu nie może zajmować się tym, czym mężczyźni. Kiedy nauczyłam się polować, wielu było bardziej zdumionych tym, że byłam zdolna się tego nauczyć i że tego chciałam, niż że złamałam obyczaje klanu. Nie zdziwiliby się bardziej, gdybyś ty urodził dziecko. Myślę, że kobiety były bardziej zaskoczone niż mężczyźni. Taki pomysł nigdy nie przyszedłby do głowy kobiecie z klanu.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż klan i Inni są bardzo do siebie podobni - powiedział Jondalar.

- Bo są. Pod pewnymi względami są jednak bardziej odmienni, niż to sobie potrafisz wyobrazić. Nawet ja sobie tego nie mogę wyobrazić, a przez pewien czas byłam jedną z nich. Jesteś gotów z nim porozmawiać?

- Chyba tak.

Wysoki blondyn podszedł do potężnie zbudowanego, krępego mężczyzny, który nadal siedział na ziemi z nogą wygiętą pod nienaturalnym kątem. Ayla szła za nim. Jondalar usiadł przed mężczyzną i zerknął na Aylę, która kiwnęła aprobowująco głową. Nigdy nie był tak blisko dorosłego płaskogłowego i do głowy przyszedł mu Rydag. Patrząc na tego mężczyznę, widział teraz wyraźniej, że chłopiec nie należał w pełni do klanu. Jondalar wspomniał to dziwne, mądre, chorowite dziecko i uświadomił sobie, że rysy Rydaga były w porównaniu z tym człowiekiem o wiele łagodniejsze - przyszło mu na myśl słowo "zmiękczone". Twarz mężczyzny była duża, szeroka i długa, ostro wysunięta, z wielkim, wypukłym nosem. Broda, która wyglądała na świeżo przyciętą, nie w pełni przesłaniała cofniętą szczękę bez podbródka.

Owłosienie twarzy przechodziło w masę lekko skrzyconych, jasny obraz owych włosów, pokrywających potężną, wydłużoną czaszkę, zaokrągloną z tyłu. Ciężkie wały nadoczodołowe zajmowały niemal całe niskie i silnie cofnięte czoło. Jondalar musiał się powstrzymać, by nie dotknąć własnego wysokiego czoła i wysoko sklepionej czaszki. Rozumiał, dlaczego nazywano ich płaskogłowymi. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął taką głowę jak jego własna, tylko trochę większą i zrobioną z materiału tak podatnego jak mokra

glina, i zmienił jej kształt, spłaszczając od góry i od strony czoła, a cały nadmiar spychając do tyłu.

Ciężkie łuki brwiowe podkreślały krzaczaste brwi, a w jego złoto nakrapianych, niemal orzechowych oczach widać było ciekawość, inteligencję i ból. Jondalar rozumiał, dlaczego Ayla chce mu pomóc.

Czuł się niezdarne, kiedy wykonał gest pozdrowienia; dodał mu jednak otuchy wyraz zdziwienia na twarzy mężczyzny z klanu, który powtórzył pozdrowienie. Jondalar nie był pewien, co powinien teraz zrobić. Pomyślał, jak by się zachował, gdyby spotkał obcego człowieka z innej jaskini czy obozu, i spróbował przypomnieć sobie znaki, jakich się nauczył razem z Rydagiem.

Zaczął wykonywać gesty:

- Ten mężczyzna jest nazywany... - wymówił swoje imię i miejsce pochodzenia - Jondalar z Zelandonii.

Było to zbyt melodyjne, zbyt pełne sylab, zbyt dużo naraz dla człowieka z klanu. Potrząsnął głową, jakby próbował odetkać ucho, przechylił ją, jak gdyby to mogło mu pomóc w lepszym słyszeniu, i stuknął w pierś Jondalara.

Nie było trudno zrozumieć, o co mu chodziło. Jondalar powtórzył gest na: "Ten mężczyzna jest nazwany..." i bardzo wolno wymówił swoje imię, ale tym razem tylko imię:

- Jondalar.

Mężczyzna przymknął oczy, skupił się, spojrzął, odetchnął głęboko i powiedział głośno:

- Dyondar.

Jondalar uśmiechnął się i potaknął. Głos był głęboki i wypowiedziane słowo miało dziwną jakość, jakby nie w pełni zostało wyartykułowane, a samogłoski zostały połączony, ale było wystarczająco podobne do jego imienia. I dziwnie znajome. Nagle zrozumiał. Oczywiście! Ayla! Jej słowa nadal miały tę samą jakość, choć nie tak wyraźną. To był jej niezwykle akcent. Nic dziwnego, że nikt nie mógł go rozpoznać. To był akcent klanu, a nikt nie wiedział, że oni potrafią mówić!

Ayla zdziwiła się, że mężczyzna tak dobrze wymówił imię Jondalara. Miała wątpliwości, czy sama wypowiedziała je równie dobrze przy pierwszej próbie. Zaczęła się zastanawiać, czy ten mężczyzna już wcześniej kontaktował się z Innymi. Jeśli został wybrany do reprezentowania swoich ludzi czy nawiązania jakiegoś kontaktu z Innymi, wskazywałoby to na jego wysoki status. Zrozumiała, że tym bardziej ma powody do ostrożności przed długami pokrewieństwa z Innymi, szczególnie z Innymi o nieznanym statusie. Nie chciałby

umniejszyć swojego statusu, ale zobowiązanie jest zobowiązaniem i czy chciał to przyznać, czy nie, zarówno on, jak i jego towarzyszka życia nadal potrzebowali pomocy. W jakiś sposób mu się o przekonać, że choć są z Innych, rozumieją znaczenie statusu i są godni związku.

Mężczyzna siedzący przed Jondalarem uderzył się w pierś i lekko przechylił do przodu.

- Guban - powiedział.

Jondalar miał tyle samo kłopotów z powtórzeniem jego imienia, co Guban z wymówieniem "Jondalar". Guban równie wspaniałomyślnie zaakceptował złą wymowę.

Ayli ulżyło. Wymiana imion to niedużo, ale zawsze jakiś początek. Zerknęła na kobietę i znowu zaskoczył ją kolor włosów, jaśniejszy niż jej własny. Jej głowę pokrywały miękkie, puszyste loki, tak jasne, że niemal białe. Była bardzo młoda i bardzo atrakcyjna. Prawdopodobnie druga kobieta przy jego ognisku. Guban był mężczyzną w sile wieku, a ta kobieta pochodziła prawdopodobnie z innego klanu i była nie lada zdobyczą.

Kobieta zerknęła na Aylę i szybko odwróciła wzrok. Ayla zastanawiała się: czy naprawdę widziała troskę i strach w oczach tamtej? Przyjrzała jej się uważnie, ale z równą dyskrecją. Czy jest nieco grubsza w talii? Czy jej płachta nie opina się trochę zbyt ciasno na piersiach? Ona jest w ciąży! Nic dziwnego, że jest zatroskana. Mężczyzna ze źle zaleczonym złamaniem nogi nie będzie już w pełni sił. I chociaż ten mężczyzna ma może wysoki status, niewątpliwie spoczywają na nim również poważne obowiązki. Ayla uznała, że w jakiś sposób musi przekonać Gu-bana, by pozwolił sobie pomóc.

Obaj mężczyźni siedzieli na ziemi i przyglądali się sobie wzajemnie. Jondalar nie był pewien, co uczynić w następnej kolejności, a Guban czekał, żeby zobaczyć, co zrobi. Wreszcie, w desperacji, zwrócił się do niej.

- Ta kobieta to Ayla - powiedział, używając prostych gestów i wymawiając jej imię.

Najpierw Ayla pomyślała, że popełnił gafę, ale widząc reakcję Gubana, uznała, że może nie stało się źle. Tak szybkie jej przedstawienie oznaczało wysoki szacunek dla niej, właściwy dla pozycji znachorki. Kiedy zaczął mówić dalej, zastanowiło ją, czy odczytał jej myśli.

- Ayla to uzdrowicielka. Bardzo dobra uzdrowicielka. Dobre leki. Chce pomóc Gubanowi.

Dla mężczyzny z klanu gesty Jondalara były jak niemowlęce gaworzenie. Nie było w nich żadnych niuansów, żadnych odcieni, lecz jego szczerłość była oczywista. Spotkanie mężczyzny z Innych, który w ogóle umiał posługiwać się językiem znaków, było samo w

sobie niespodzianką. Większość z nich paplała, mamrotała albo warczała jak zwierzęta. Byli jak dzieci w swoim zamięłowaniu do dźwięków, ale przecież Inni nie byli uważani za specjalnie inteligentnych.

Kobieta jednak wykazywała zdumiewającą umiejętność porozumiewania się i oddawania wszelkich niuansów, z wielką skromnością i dyskrecją tłumaczyła subtelne odcienie tego, co Dy-ondar chciał powiedzieć, ułatwiając im komunikację i nie powodując niczyjego zażenowania. Choć zdawało się niepojęte, by wychował ją klan i by przybyła z tak daleka, mówiła tak doskonale, iż można by niemal uwierzyć, że jest z klanu. Guban nigdy nie słyszał o klanie, o którym wspomniała ta kobieta, a znał ich wiele, ale codzienny język, jakim się posłużyła na początku, był mu całkowicie nie znany. Nawet język klanu jego złotowłosej nie był tak obcy, a jednak ta kobieta z Innych znała pradawne gesty i potrafiła ich używać sprawnie i z wielką precyzją. Rzadkie to, jak na kobietę. Miał wrażenie, że coś ukrywa, lecz nie mógł być tego pewien. Była w końcu Inna i przecież nie mógł spytać. Kobiety, szczególnie znachorki, lubią zachowywać pewne rzeczy w tajemnicy.

Czuł w złamanej nodze pulsujący ból, który z trudem wytrzymywał. Przez cały czas musiał go świadomie opanowywać. Czyż ona może być znachorką? Nie jest z klanu. Nie ma więc właściwych wspomnień. Dyondar twierdzi, że jest uzdrowicielką, i mówił o jej umiejętnościach z wielkim przekonaniem... i noga jest złamana. Guban zacisnął zęby. Może jest uzdrowicielką; Inni też muszą mieć uzdrowicieli, ale to jeszcze nie czyni z niej znachorki klanu. Już ma tak wielkie zobowiązania wobec nich. Sam dług pokrewieństwa wobec tego mężczyzny byłby wystarczającym nieszczęściem, ale wobec kobiety? Kobiety, która posługuje się bronią?

A jednak gdzie byliby teraz on i jego złotowłosa bez ich pomocy? Jego złotowłosa... i już oczekująca dziecka. Na myśl o niej zrobiło mu się miękko na sercu. W życiu nie czuł takiego gniewu jak wtedy, gdy ci mężczyźni pogonili za nią i próbowali ją zgwałcić. To dlatego zeskoczył ze szczytu skały. Wspinaczka na szczyt zabrała mu dużo czasu i nie mógł równie długo schodzić z powrotem.

Widział ślady jelenia i wspiął się na górę, żeby zobaczyć, czy uda mu się na coś zapolować, podczas gdy ona zdrapywała wewnętrzną korę i wbijała czopy na sok, który niebawem zacznie się podnosić. Mówiła, że wkrótce się ociepli, chociaż niektórzy jej nie wierzyli. Wciąż jeszcze była obca, ale powiedziała, że ma na to wspomnienia i po prostu wie. Chciał dać jej możliwość pokazania innym, że wie, co mówi, i dlatego zgodził się zabrać ją na wyprawę, chociaż znał niebezpieczeństwo... ze strony tamtych mężczyzn. Było jednak bardzo zimno i miał nadzieję, że uda się ich uniknąć, jeśli będą blisko lodowca. Szczyt głazu

wydawał się dobrym miejscem, żeby rozejrzeć się po okolicy. Potworny ból, kiedy wylądował ciężko na ziemi i usłyszał trzask pękającej kości, spowodował zawroty głowy, ale nie mógł się poddać. Mężczyźni rzucili się na niego i musiał walczyć, niepomny na ból. Zalała go fala ciepła na wspomnienie, jak rzuciła mu się na pomoc. Zdziwił się, widząc, że uderza jednego z mężczyzn. Nigdy nie słyszał o żadnej kobiecie, która by to zrobiła, i nikomu o tym nie powie, ale bardzo się cieszył, że tak usilnie próbowała mu pomóc.

Zmienił nieco pozycję i opanował ostry, przejmujący ból. Problemem jednak nie był ból. Dawno temu nauczył się nad nim panować. Trudniej było pozbyć się obaw. Co się stanie, jeśli nie będzie mógł więcej chodzić? Złamana noga czy ręka zrasta się długo, a jeśli kości zrosną się źle, wykrzywione, zniekształcone lub za krótkie... a jeśli nie będzie mógł polować?

Jeśli nie będzie mógł polować, straci status. Nie będzie już przywódcą. Obiecał przywódcy jej klanu, że się nią zaopiekuje. Była ulubienicą, lecz on miał wysoki status, a ona chciała z nim pójść. Powiedziała mu nawet, w zaciszu ich własnych futer, że prosiła o niego.

Jego pierwsza kobieta nie była zbyt szczęśliwa, kiedy przyszedł do domu z młodą i piękną drugą kobietą, ale była dobrą kobietą z klanu. To ona dbała o ognisko, więc zachowała status Pierwszej Kobiety. Obiecał jej, że będzie nadal opiekował się nią i jej dwiema córkami. Nie miał nic przeciwko temu. Chociaż zawsze pragnął syna, miło było mieć przy ognisku córki jego towarzyszkę życia, choć niebawem dorosną i odejdą.

Jeśli jednak nie będzie w stanie polować, nie będzie mógł się nikim opiekować. Będzie jak starzec, i to klan będzie musiał roztoczyć nad nim opiekę. A jego piękna złotowłosa, która może urodzi syna, jak zaopiekuje się nią? Nie będzie jej trudno znaleźć innego mężczyznę, ale sam ją straci.

Jeśli nie będzie mógł chodzić, nie dojdzie nawet do jaskini klanu. Będzie musiała sprowadzić dla niego pomoc. Jeśli nawet nie potrafi sam dojść do domu, już straci wiele w oczach klanu, a będzie znacznie gorzej, jeśli złamana noga źle się zrosnie, straci sprawność myśliwego i nigdy więcej nie będzie mógł polować.

Może powinien porozmawiać z tą uzdrowicielką Innych, mimo że jest kobietą, która używa broni. Musi mieć wysoki status, Dyondar bardzo ją szanuje, a jego status też musi być wysoki, inaczej nie byłby połączony ze znachorką. Zmusiła tych mężczyzn do odejścia w równym stopniu co on... ona i wilk. Dlaczego wilk im pomagał? Widział, jak mówiła do zwierzęcia. Sygnał był prosty i jasny, powiedziała mu, żeby czekał opodal, przy drzewie koło koni, a wilk ją zrozumiał i posłuchał. Nadal tam siedział i czekał.

Guban odwrócił wzrok. Trudno było myśleć nawet o tych zwierzętach bez głębokiego strachu przed duchami. Co innego mogło przyciągnąć do nich wilka i konie? Co innego



mogło sprawić, że zwierzęta zachowywały się tak... niepodobnie do zwierząt?

Widział, że złotowłosa jest zatroskana; czy mógł jej to mieć za złe? Ponieważ Dyondar uznał za stosowne okazać szacunek wobec swojej kobiety, może słuszne będzie wspomnieć i własną. Nie chciał, żeby myśleli, iż status, jaki miała dzięki niemu, był niższy. Guban wykonał bardzo dyskretny gest do kobiety, która ich obserwowała i wszystko widziała, ale - jak dobra kobieta klanu - potrafiła niemal zniknąć z oczu.

- Ta kobieta to... - zagestykułował, dotknął jej ramienia i powiedział: - Yorga.

Jondalar miał wrażenie, że usłyszał dwa przełknięcia przedzielone wibrującym R. Nie wiedział, jak się zabrać za powtórzenie tego dźwięku. Ayla spostrzegła jego trudności i musiała wymyślić sposób eleganckiego wybrnięcia z sytuacji. Powtórzyła imię w sposób, w który Jondalar mógł je wymówić, ale zwróciła się do niej jako kobieta.

- Yorga - i dodała gestami: - Ta kobieta cię pozdrawia. Ta kobieta jest nazwana... - bardzo wolno i wyraźnie powiedziała: -Ayla. - Potem, zarówno gestami, jak i słowami, żeby Jondalar zrozumiał, powiedziała: - Ten mężczyzna o imieniu Dyondar też chce pozdrawić kobietę Gubana.

Nie w ten sposób zostałyby to dokonane w klanie - pomyślał Guban. To jednak byli Inni i nie kryło się w tym nic obraźliwego. Ciekawiło go, jak zachowa się Yorga.

Yorga błyskawicznie zerknęła na Jondalara i z powrotem wbiła wzrok w ziemię. Guban nieznacznie zmienił pozycję, tyle tylko, by dać jej znać, że jest zadowolony. Uznała istnienie Jondalara, ale nie zrobiła niczego więcej.

Jondalar był mniej dyskretny. Nigdy nie znajdował się tak blisko ludzi klanu... i był zafascynowany. Patrzył na nią znacznie dłużej. W rysach jej twarzy dostrzegał wyraźne podobieństwo do Gubana. Już przedtem zauważył, że była krzepka, ale niska, wzrostu dziewczynki. Jego zdaniem daleko jej było do piękności, poza jasnoblonde, puszystymi lokami, ale potrafił zrozumieć, dlaczego Guban mógł ją uważać za urodziwą. Nagle uświadomił sobie, że Guban go obserwuje, kiwnął niedbale głową i odwrócił wzrok. Mężczyzna z klanu groźnie na niego patrzył; będzie musiał być ostrożniejszy.

Gubanowi nie podobała się uwaga, z jaką Jondalar przyglądał się jego kobiecie, ale wyczuł, iż nie było w tym braku szacunku. Z coraz większym trudem opanowywał ból. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tej uzdrowicielce.

- Porozmawiam z twoją... uzdrowicielką, Dyondar - zasignalizował.

Jondalar zrozumiał go i skinął głową. Ayla szybko podsunęła się bliżej i usiadła w pełnej szacunku pozycji przed Gubanem.

- Dyondar powiedział, że ta kobieta jest uzdrowicielką. Kobieta mówi, że jest

znachorką. Guban chce wiedzieć, jak kobieta Innych może być znachorką klanu.

Ayla jednocześnie z gestami wymawiała słowa, żeby Jondalar dokładnie rozumiał, co mówi do Gubana:

- Kobieta, która mnie wzięła, która mnie wychowała, była znachorką najwyższej rangi. Iza pochodziła ze starodawnej linii znachorek. Iza była jak matka i trenowała tę kobietę jak córkę, urodzoną w jej linii znachorek. - Ayla widziała, że był nadal sceptyczny, ale zaciekawiony i chciał wiedzieć więcej. - Iza wiedziała, że ta kobieta nie ma wspomnień, jakie ma jej prawdziwa córka.

Guban przytaknął, oczywiście, że nie miała.

- Iza zmusiła tę kobietę do zapamiętywania, kazała powtarzać i powtarzać, pokazywała i jeszcze raz pokazywała, aż znachorką wiedziała, że ta kobieta nie straci tego, co zapamiętała. Ta kobieta ćwiczyła i powtarzała wiele razy z zapałem, żeby nauczyć się sztuki znachorki.

Choć jej gesty nadal były formalne i stylizowane, zaczęła używać bardziej powszedniego języka.

- Iza powiedziała mi, że także pochodzę z długiej linii znachorek, znachorek Innych. Iza powiedziała, że myślę jak znachorką, ale nauczyła mnie myśleć o uzdrowicielstwie jak kobieta z klanu. Ta kobieta nie urodziła się ze wspomnieniami znachorki, ale wspomnienia Izy są teraz moimi wspomnieniami. Iza zachorowała, miała chorobę kaszlu, której nawet ona nie potrafiła wyleczyć, i zaczęłam robić coraz więcej. Nawet przywódca był zadowolony, kiedy opatrzyłam jego oparzenie, ale Iza przydawała klanowi statusu. Kiedy była zbyt chora, żeby pójść na Zgromadzenie Klanu, a jej prawdziwa córka była nadal zbyt młoda, przywódca i Mog-ur zdecydowali, że zrobią mnie znachorką. Powiedzieli, że ponieważ mam jej wspomnienia, jestem znachorką z jej linii. Inni Mog-urowie i przywódcy na Zgromadzeniu Klanu nie chcieli się na początku zgodzić, ale wreszcie oni także mnie zaakceptowali.

Ayla widziała, że Guban jest zaciekawiony, i wyczuwała, że chce jej uwierzyć, ale nadal ma wątpliwości. Zdjęła z szyi ozdobny woreczek, rozwiązała rzemyk i wysypała zawartość na dłoń. Podniosła mały, czarny kamień i pokazała mu.

Guban wiedział, co to jest; czarny kamień, który zostawiał ślady, był świętością. Nawet najmniejszy kawałek mógł zawierać cząstki ducha wszystkich ludzi w klanie. Dawano go znachorce, kiedy odbierano jej cząstkę ducha. Amulet, który nosiła, był jednak dziwny, zrobiony w sposób typowy dla Innych, lecz przedtem nie wiedział, że w ogóle nosili amulety. Może nie wszyscy Inni byli okrutnymi ignorantami.

Guban zauważył inny z przedmiotów z jej amuletu, wskazał go i spytał:

- Co to jest?

Ayla włożyła resztę przedmiotów z powrotem do amuletu i odłożyła go na ziemię, żeby móc odpowiedzieć.

- To jest mój talizman łowiecki.

To nie może być prawda - pomyślał Guban. To pokaże, że nie mówi prawdy.

- Kobiety klanu nie polują.

- Wiem, ale nie urodziłam się w klanie. Zostałam wybrana przez totem klanu, który opiekował się mną i przywiódł do klanu, a mój totem chciał, żebym polowała. Nasz Mog-ur sięgnął wstecz i znalazł stare duchy, które mu powiedziały. Zrobili specjalną ceremonię. Nazwali mnie: Kobieta Która Poluje.

- Jaki totem wybrał ciebie?

Ku zdziwieniu Gubana Ayla podniosła tunikę, rozwiązała rzemień przytrzymujący w pasie jej nogawice i obsunęła lewą na tyle, by pokazać udo. Cztery równoległe linie, blizny zostawione przez pazury, które ją zraniły, kiedy była małą dziewczynką, były wyraźnie widoczne.

- Moim totemem jest Lew Jaskiniowy.

Kobieta z klanu wstrzymała oddech. To zbyt silny totem dla kobiety. Będzie jej trudno mieć dzieci.

Guban mruknął, że zrozumiał. Lew Jaskiniowy był najsilniejszym myśliwskim totemem, totemem mężczyzny. Nigdy nie słyszał, by kobieta go miała, a jednak taki znak wycinano na prawym udzie chłopca, którego totemem był Lew Jaskiniowy, po

zabiciu przez niego pierwszego dużego zwierzęcia i gdy stał się już mężczyzną.

- To jest na lewej nodze. Znaki wycina się na prawej nodze mężczyzny.

- Jestem kobietą, nie mężczyzną. Lewa strona jest stroną kobiecą.

- Twój Mog-ur cię oznaczył?

- Sam Lew Jaskiniowy mnie oznaczył, gdy byłam dzieckiem, tuż zanim klan mnie znalazł.

-To wyjaśniałoby używanie broni - powiedział Guban - ale co z dziećmi? Czy mężczyzna o włosach koloru włosów Yorgi ma dość silny totem, by przewyciężyć twój?

Jondalarowi zrobiło się nieprzyjemnie. Sam się nad tym zastanawiał.

- Lew Jaskiniowy wybrał go także i zaznaczył. Wiem, ponieważ Mog-ur powiedział mi, że Lew Jaskiniowy mnie wybrał i zostawił znaki na mojej nodze, żeby to pokazać, tak samo jak Niedźwiedź Jaskiniowy wybrał jego i zabrał mu oko...

Guban usiadł, najwyraźniej wstrząśnięty. Zapomniał o formalnym języku, ale Ayla i

tak go zrozumiała.

- Mogor Jednooki! Ty znasz Mogora Jednookiego?

- Żyłam przy jego ognisku. On mnie wychował. On i Iza byli rodzeństwem i po śmierci jej towarzysza wziął ją i jej dzieci. Na Zgromadzeniu Klanu mówiono do niego Mogur, ale dla tych, którzy mieszkali przy jego ognisku, był Crebem.

- Również na naszych Zgromadzeniach Klanu mówi się o Mogorze Jednookim i jego potężnej... - Miał zamiar powiedzieć więcej, ale powstrzymał się. Mężczyźni nie powinni mówić o prywatnych, tajemniczych, męskich ceremoniach w obecności kobiet. To wyjaśniało również jej świetną znajomość pradawnych gestów, skoro uczył ją Mogor Jednooki. Guban przypomniał sobie również, że wśród rodzeństwa Mogora Jednookiego była szanowana znachorka z pradawnej linii. Nagle Guban się odprężył i na twarzy ukazał mu się przelotny grymas bólu. Odetchnął głęboko i spojrzał na Aylę, która siedziała przed nim ze spuszczoneym wzrokiem, w pozycji prawdziwej kobiety klanu. Klepnął jej ramię.

- Wielce szanowana znachorko, ten mężczyzna ma... mały problem. - Guban znowu wykonywał gesty pradawnego, milczącego języka Klanu Niedźwiedzia Jaskiniowego. - Ten mężczyzna prosi, by znachorka obejrzała nogę. Noga może być złamana.

Ayla zamknęła oczy i odetchnęła. Udało jej się go przekonać. Pozwoli na leczenie swojej nogi. Zwróciła się do Yorgi i powiedziała jej, żeby przygotowała posłanie dla niego. Złamana kość nie przebiła skóry i sądziła, że będzie jej znowu mógł w pełni używać. Żeby jednak zaleczyła się właściwie, musi zostać wyprostowana, nastawiona poprawnie i owinięta korą brzożową, która ją usztywni, tak by nie mógł nią poruszać.

- Naprostowanie będzie bolesne, ale mam coś, co odpręży mięśnie w nodze i uśpi go. - Zwróciła się do Jondalara: - Czy mógłbyś przenieść tutaj nasze rzeczy? Wiem, że to ciężka robota, z tymi wszystkimi płonącymi kamieniami, ale chcę rozbić dla niego namiot. Nie mieli zamiaru nocować poza jaskinią, a musi mieć ochronę przed mrozem, szczególnie że dam mu środek nasenny. Będziemy również potrzebowali drewna na opał i trzeba będzie ściąć drzewo na łupki. Kiedy będzie spał, poszukam kory brzożowej i może zrobię mu kule. Później zechce z pewnością chodzić.

Jondalar patrzył, jak przejmuje dowództwo, i uśmiechnął się do siebie. Nie podobała mu się zwłoka, nawet jednodniowa, ale także chciał pomóc. Poza tym Ayla teraz nie odejdzie. Mógł tylko mieć nadzieję, że to nie zabierze zbyt wiele czasu.

Jondalar udał się z końmi do obozowiska i załadował wszystkie rzeczy. Po powrocie rozjuczył zwierzęta i poprowadził na polankę, gdzie mogły szukać suchej trawy. Było tam

trochę stojącego siana, ale większość leżała płasko na ziemi pod starym śniegiem. Polanka była nieco oddalona od ich nowego obozowiska, ale zwierzęta mniej niepokoiły ludzi z klanu, kiedy znajdowały się poza zasięgiem wzroku. Zdawali się uważać te oswojone zwierzęta za kolejny przejaw dziwnego zachowania się Innych, ale Ayla zauważyła, że Gubanowi i Yordze wyraźnie ulżyło, kiedy nienaturalnie posłuszne zwierzęta zniknęły im z oczu. Była zadowolona, że Jondalar o tym pomyślał.

Gdy tylko powrócił, Ayla wyjęła z kosza swoją torbę znachor-ską. Mimo że Guban postanowił zaakceptować ją jako znachorkę, z ulgą popatrzył na starą torbę zrobioną z wydrzej skóry na sposób klanu, funkcjonalną i bez żadnych ozdób. Ayla postanowiła trzymać również Wilka z daleka i zwierzę, zawsze ciekawe ludzi, z którymi Ayla i Jondalar się zaprzyjaźniali, nie wykazywało żadnej ochoty na zbratanie się z ludźmi klanu. Wilk wydawał się zadowolony z tego, że może stać opodai, czujny, iecz w żaden sposób nie zagrażający nikomu. Ayla zastanawiała się, czy wyczuwał ich niepokój.

Jondalar pomógł Ayli i Yordze zanieść Gubana do namiotu. Zdziwiła go waga mężczyzny, ale sama masa mięśni w ciele tak silnym, że sześciu mężczyzn zaledwie dawało radę go przytrzymać, musiała dodawać ciężaru. Jondalar zdawał sobie również sprawę, że przeniesienie musiało być dla Gubana bardzo bolesne, choć przybrał on obojętny wyraz twarzy. Jondalar zastanawiał się, czy rzeczywiście odczuwa ból, aż Ayla mu wyjaśniła, że taki stoicyzm był wpajany mężczyznom klanu od dzieciństwa. To jedynie wzmogło szacunek Jondalara dla niego. Nie należał do rasy słabeuszy.

Również kobieta była zadziwiająco silna, nie tak jak mężczyzna, ale niedużo mu ustępowała. Potrafiła podnieść taki sam ciężar jak Jondalar, a nacisk jej dłoni był nieprawdopodobnie potężny; a jednak widział, że używa rąk z wielką precyzją i opanowaniem. Intrygowało go odkrywanie różnic i podobieństw między ludźmi klanu i jego własnym rodzajem. Nie był pewien, kiedy to się stało, ale w pewnym momencie uświadomił sobie, że już w żaden sposób nie kwestionuje faktu ich człowieczeństwa. Choć oczywiście odmienni, bez wątplenia byli ludźmi, nie zaś zwierzętami.

Ayla użyła w końcu kilku płonących kamieni, żeby mieć gorętszy ogień do szybszego przygotowania napoju z bielunia, i dodała rozgrzane kamienie do gotowania bezpośrednio do wody. Guban odmówił jednak wypicia całej porcji. Twierdził, że nie chce zbyt długo czekać na ustąpienie skutków nasennego płynu, Ayla sądziła jednak, że częściowo powodem były jego wątpliwości, czy bieluń jest prawidłowo spreparowany. Przy pomocy Yorgi i Jondalara Ayla nastawiła kość nogi i zrobiła solidne łupki. Kiedy było po wszystkim, Guban wreszcie zasnął.

Yorga upierała się przy przygotowaniu posiłku, chociaż żenowało ją zainteresowanie Jondalara procesem gotowania i smakami. Wieczorem, przy ognisku, zaczął strugać parę kuł dla Gubana, podczas gdy Ayla bliżej zapoznawała się z Yorgą i wyjaśniała jej, jak przygotowywać przeciwbólowy lek. Ayla opisała sposób używania kuł i tłumaczyła potrzebę wyściółki pod pachami. Yorgę nie przestawała zdumiewać wiedza Ayli na temat klanu, ale już wcześniej zauważyła "akcent" Ayli. Po pewnym czasie opowiedziała Ayli o sobie, a Ayla tłumaczyła jej opowieść Jondalarowi.

Yorga chciała zebrać wewnętrzną korę i sok pewnych drzew. Guban poszedł razem z nią, żeby ją chronić, ponieważ tak wiele kobiet zostało zaatakowanych przez bandę Charoliego, iż żadnej kobiecie nie pozwalano dłużej chodzić samej, mimo że stanowiło to obciążenie dla klanu. Mężczyźni mieli mniej czasu na polowanie, gdyż musieli towarzyszyć kobietom. Dlatego też Guban postanowił wspinać się na skałę, żeby rozejrzeć się za zwierzętami, podczas gdy Yorga zbierała korę. Ludzie Charoliego myśleli, że jest sama, i prawdopodobnie nie zaatakowaliby jej, gdyby widzieli Gubana. Kiedy jednak Guban zobaczył atak, zeskoczył ze skały, żeby jej bronić.

- Zdumiewające, że złamał tylko jedną nogę - powiedział Jondalar, patrząc na wysokość kamiennej ściany.

- Kości ludzi klanu są ciężkie i grube - powiedziała Ayla. - Nie łamią się zbyt łatwo.

- Ci mężczyźni nie musieli być tak brutalni - mówiła dalej gestami Yorga. - Przybrałabym właściwą pozycję, gdyby dali mi sygnał i gdybym nie słyszała jego krzyku. Wtedy wiedziałam, że stało się coś bardzo złego.

Yorga kontynuowała swoją opowieść. Kilku mężczyzn rzuciło się na Gubana, podczas gdy trzech próbowało przymusić Yorgę. Nie musieli być tak brutalni, poddałaby się im, gdyby umieli dać jej właściwy sygnał. Miała zamiar im ulec, póki nie zaatakowali Gubana. Po jego okrzyku bólu zrozumiała, że coś mu się stało, próbowała więc wyrwać się trzymającym ją mężczyznom. Wtedy dwóch rzuciło ją na ziemię. I nagle pojawił się Jondalar, pobił Innych, a wilk na nich skoczył i ich gryzł.

Spojrzała filuternie na Aylę.

- Twój mężczyzna jest bardzo wysoki i jego nos jest bardzo mały, ale kiedy zobaczyłam, jak bije tamtych, pomyślałam o nim jak o dziecku.

Ayla patrzyła zdziwiona i nagle uśmiechnęła się.

- Nie całkiem zrozumiałem, co powiedziała albo co przez to rozumie - odezwał się Jondalar.

- Zażartowała.

- Zażartowała? - Jondalar nie wiedział, że płaskogłowi potrafili żartować.

- Powiedziała, mniej więcej, że chociaż jesteś brzydkim mężczyzną, kiedy przyszedłeś jej z pomocą, była gotowa cię pocałować - odparła Ayła i wyjaśniła Yordze swoje słowa.

Kobieta zawstydyła się, ale zerknęła na Jondalara, a potem spojrzała znowu na Ayłę.

- Jestem wdzięczna twojemu wysokiemu mężczyźnie. Może, jeśli dziecko, które noszę, będzie chłopcem i jeśli Guban pozwoli mi na zaproponowanie imienia, powiem mu, że Dyondar to nie jest takie złe imię.

- To nie był żart, Aylo, prawda? - Jondalar był sam zdziwiony własnym wzruszeniem.

- Nie, nie sędzę, żeby to był żart, ale ona może tylko zaproponować, a dla chłopca z klanu takie imię może być kłopotliwe, ponieważ jest niezwykle. Guban jednak może się zgodzić. Jak na człowieka z klanu jest wyjątkowo otwarty na nowe pomysły. Yorga opowiedziała mi o ich związku i myślę, że się w sobie zakochali, co jest dość rzadkie. Większość związków jest zaplanowana i uzgodniona.

- Dlaczego sądzisz, że się zakochali? - spytał Jondalar. Zaciekawiał go romans w klanie.

- Yorga jest drugą kobietą Gubana. Jej klan mieszka dość daleko stąd. Guban tam poszedł, żeby zanieść wiadomość o dużym Zgromadzeniu Klanu, na którym miano dyskutować na nasz, Innych, temat. Chcieli porozmawiać o bandzie Charoliego, która napada na ich kobiety - powiedziałam jej o planach Losadunai, żeby położyć temu kres - ale, jeśli ją dobrze zrozumiałam, jakaś grupa Innych zwróciła się do dwóch klanów z propozycją wymiany handlowej.

- To zdumiewające!

- Tak. Największym problemem jest porozumienie się, ale mężczyźni klanu, włącznie z Gubanem, nie ufają Innym. Kiedy Guban był z wizytą w jej klanie, zobaczył Yorgę, a ona jego. Guban jej zapragnął, lecz jako przyczynę swojego zainteresowania podał to, że chce się bardziej związać z odległymi klanami, by mogli dzielić się nowościami, szczególnie nowymi pomysłami. Przyprowadził ją ze sobą. Mężczyźni z klanu tego nie robią. Większość z nich powiedziałyby o swoich zamiarach przywódcy, wróciła, przedyskutowała sprawę ze swoim własnym klanem i dała pierwszej kobiecie szansę przyzwyczajenia się do myśli, że będzie dzieliła ognisko z inną.

- Pierwsza kobieta jego ogniska o tym nie wiedziała? To jest odważny człowiek - powiedział Jondalar.

- Jego pierwsza kobieta ma dwie córki. On chce kobiety, która urodzi syna. Mężczyźni z klanu przywiązują wielką wagę do synów swoich towarzyszek życia i, oczywiście, Yorga

ma nadzieję, że jej dziecko będzie chłopcem. Miała trochę problemów z przyzwyczajeniem się do nowego klanu - niechętnie ją zaakceptowali - i jeśli noga Gubana nie zrosnie się należycie i Guban straci status, boi się, iż ją będą o to obwiniać.

- Nic dziwnego, że była taka zmartwiona i nieszczęśliwa.

Ayla o jednym nie wspomniała Jondalarowi: powiedziała Yordze, że ona także jest w drodze do domu swojego mężczyzny, gdzie nie zna nikogo. Nie chciała przysparzać mu jeszcze zmartwień, ale nadal niepokoiła się, czy jego ludzie ją zaakceptują.

Ayla i Yorga bardzo chciały, by w przyszłości była możliwość wzajemnych odwiedzin i wymiany doświadczeń. Czują się niemal spokrewnione, ponieważ istniał dług pokrewieństwa między Gubanem i Jondalarem. Ponadto Yorga czuła się bliższa Ayli, mimo że dopiero co ją poznała, niż jakiegokolwiek innej kobiecie w klanie Gubana. Ale klan i Inni nie odwiedzali się wzajemnie.

Guban obudził się w środku nocy, ale był nadal oszołomiony. Rano całkiem oprzytomniał, lecz czuł się fizycznie wyczerpany. Kiedy po południu Jondalar wsunął głowę pod namiot, Gubana zdziwiła własna radość na widok tego wysokiego mężczyzny, nie wiedział jednak, do czego służą kule, które Jondalar trzymał w rękach.

- Używałem takich kul po zaatakowaniu mnie przez lwa - wyjaśnił Jondalar. - Pomagają chodzić.

Guban bardzo się tym zainteresował i chciał je natychmiast wypróbować, ale Ayla nie pozwoliła. To było zbyt wcześnie. Wreszcie Guban ustąpił, ale dopiero po zapewnieniu, że wypróbuje je następnego dnia. Wieczorem Yorga powiedziała Ayli, że Guban chce porozmawiać z Jondalarem o ważnych sprawach i prosi o jej pomoc w tłumaczeniu rozmowy. Ayla wiedziała, że sprawy są poważne, domyślała się, o co mu chodzi, i starała się wyjaśnić Jondalarowi, na czym mogą polegać trudności.

Guban nadal martwił się, że ma dług pokrewieństwa wobec Ayli, przekraczający uznaną wymianę duchów ze znachorką, ponieważ z bronią w ręku pomogła uratować mu życie.

- Musimy go przekonać, że jest to dług wobec ciebie, Jondalarze. Powiedz mu, że jesteś moim towarzyszem życia, a ponieważ jesteś za mnie odpowiedzialny, wszelki dług wobec mnie jest właściwie długiem wobec ciebie.

Jondalar zgodził się i po kilku wstępnych uprzejmościach zaczęli poważną dyskusję.

- Ayla jest moją towarzyszką życia, należy do mnie - powiedział, a Ayla tłumaczyła wszystko na płynne gesty. - Jestem za nią odpowiedzialny, długi wobec niej są długami wobec mnie. - Potem, ku zdziwieniu Ayli, dodał: - Ja też mam zobowiązanie, które ciąży mi



na duszy. Mam dług pokrewieństwa wobec klanu.

Gubana to zaciekało.

- Ten dług bardzo mi ciąży, ponieważ nie wiem, jak go spłacić.

- Opowiedz mi o tym - zasygnalizował Guban. - Może potrafię pomóc.

- Napadł na mnie lew jaskiniowy, jak Ayla ci już mówiła. Zostałem naznaczony, wybrany przez Lwa Jaskiniowego, który jest teraz moim totemem. Ayla mnie znalazła. Byłem bliski śmierci, a mój brat, który był ze mną, już chodził w świecie duchów.

- Głęboko ci współczuję. Ciężko jest stracić brata. Jondalar tylko skinał głowę.

- Gdyby Ayla mnie nie znalazła, ja także byłbym martwy, ale kiedy Ayla była dzieckiem i była bliska śmierci, klan ją przyjął i wychował. Gdyby klan nie wziął Ayli, kiedy była dzieckiem, nie przeżyłaby. Gdyby Ayla nie żyła i nie została nauczona sztuki leczniczej przez znachorkę klanu, ja nie byłbym żywy. Chodziłbym teraz po następnym świecie. Zawdzięczam życie klanowi, ale nie wiem, jak spłacić ten dług ani komu.

Guban kiwał głową ze zrozumieniem. To był poważny problem i wielki dług.

- Mam prośbę do Gubana - powiedział Jondalar. - Ponieważ Guban ma dług pokrewieństwa wobec mnie, proszę go, by w zamian zaakceptował mój dług wobec klanu.

Mężczyzna z klanu z powagą rozważał prośbę, ale był wdzięczny, że została mu przedstawiona. Wymiana długów pokrewieństwa była znacznie łatwiejsza do przyjęcia niż zawdzięczenie życia Innemu i oddanie mu części swego ducha. Wreszcie skinał głowę i odparł z wielką ulgą:

- Guban akceptuje wymianę.

Guban zdjął z szyi amulet i otworzył go. Wytrząsnął zawartość na rękę i wybrał jeden przedmiot. Był to ząb, jeden z jego własnych mlecznych zębów trzonowych. Jego zęby nie były popsute, ale były starte w specyficzny sposób, głównie dlatego, że używał ich również jako narzędzi. Ząb, który trzymał w ręce, też był starty, ale nie tak bardzo jak zęby stałe.

- Proszę, przyjmij to na znak pokrewieństwa - rzekł.

Jondalar zmieszał się. Nie wiedział, że odbędzie się wymiana osobistych talizmanów jako symbol wymiany długów, i nie miał pojęcia, co może dać mężczyźnie z klanu, co byłoby równie pełne znaczenia. Nie zabrali zbyt wielu rzeczy ze sobą i miał bardzo mało do podarowania. Nagle go olśniło. Z pętli przy pasie wyjął woreczek i wytrząsnął jego zawartość na dłoń. Guban patrzył zdziwiony. Na dłoni Jondalara leżało wiele pazurów i kły niedźwiedzia jaskiniowego, którego zabił poprzedniego lata na początku ich długiej wędrówki. Wyciągnął do Gubana jeden z zębów.

- Proszę, przyjmij to na znak pokrewieństwa.

Guban opanował swój zachwyty. Ząb niedźwiedzia jaskiniowego był potężnym talizmanem; przydawał wysokiego statusu, a przez podarowanie takiego zęba okazywało się obdarowanemu wielki szacunek. Był zadowolony, że ten mężczyzna z Innych uznał jego pozycję i że dług należny całemu klanowi został spłacony w tak odpowiedni sposób. Zrobi na reszcie klanu nie lada wrażenie, kiedy im opowie o tej wymianie. Przyjął znak pokrewieństwa, zamknął go w dłoni i zacisnął pięść.

- Dobrze! - powiedział Guban zdecydowanym tonem, jakby dobijał targu. Następnie wyraził prośbę: - Ponieważ teraz jesteśmy krewnymi, powinniśmy znać miejsce zamieszkania naszych klanów i zasięg terytoriów.

Jondalar opisał, gdzie znajduje się jego dom - większość terytorium z drugiej strony lodowca należała do Zelandonii lub ich krewnych - potem określił położenie Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Guban opisał położenie swojej jaskini i Ayla odniosła wrażenie, że nie mieszkają tak daleko od siebie, jak sądziła.

Zaczęli rozmawiać o Charolim. Jondalar mówił o problemach, jakie ten młody człowiek stwarza dla wszystkich, i opowiedział ze szczegółami plany powstrzymania go. Guban uznał tę informację za tak ważną, że postanowił przekazać ją innym klanom, i zaczął się zastanawiać, czy to złamanie nogi nie okazało się w sumie korzystne. Guban będzie miał dużo do opowiedzenia klanowi. Nie tylko to, że Inni sami mają kłopoty z tym mężczyzną i planują powstrzymanie go, ale że istnieją Inni, którzy są skłonni walczyć z ludźmi swojego rodzaju, by pomóc ludziom z klanu. Istnieje również para, która potrafi mówić!

Kobieta, która mówi bardzo dobrze, i mężczyzna z ograniczoną, ale użyteczną zdolnością porozumiewania się, co może być tym bardziej cenne, że jest mężczyzną, a teraz także krewnym. Takie kontakty z Innymi, zrozumienie i wiedza o nich, mogą dodać mu powagi, szczególnie jeśli znowu będzie mógł w pełni używać nogi.

Wieczorem Ayla nałożyła opatrunek z kory brzoźowej. Guban zasnął w bardzo dobrym nastroju. I noga niemal go nie bolała.

Ayla zbudziła się rano z uczuciem niepokoju. Znowu miała dziwny sen, bardzo wyraźny; widziała jaskinie i Creba. Wspomniała o tym Jondalarowi; rozmawiali o tym, jak przetransportują Gubana do jego ziomek. Jondalar zaproponował użycie koni, ale bardzo martwił się dalszą zwłoką. Ayla sądziła, że Guban nigdy się na to nie zgodzi. Oswojone konie niezmiernie go niepokoiły.

Po wstaniu pomogli Gubanowi wyjść z namiotu i podczas kiedy Ayla i Yorga przygotowywały poranny posiłek, Jondalar pokazywał, jak używać kuł. Guban upierał się, że je wypróbuje, mimo zastrzeżeń ze strony Ayli, i po niedługim ćwiczeniu był zdziwiony ich

skutecznością. Mógł naprawdę chodzić zupełnie bez obciążania złamanej nogi.

-Yorga! - zawołał Guban do swojej kobiety po odłożeniu kuł. - Przygotuj się do odejścia. Pójdziemy po posiłku. Pora powrócić do klanu.

- To zbyt wcześnie - zaprotestowała Ayla. - Noga musi odpocząć, bo nie zrośnie się poprawnie.

- Noga będzie odpoczywać, jak będę chodzić za pomocą tego. - Wskazał ręką kulę.

- Jeśli musicie już iść, możesz pojechać na koniu - powiedział Jondalar.

Guban spojrzał zaskoczony.

- Nie! Guban chodzi na własnych nogach. Za pomocą tych patyków do chodzenia. Zjemy razem jeszcze jeden posiłek z nowymi krewnymi i potem pójdziemy.

Po posiłku obie pary przygotowały się do odejścia każda w swoją stronę. Kiedy Guban i Yorga byli gotowi, popatrzyli po prostu przez chwilę na Aylę i Jondalara, unikając wzrokiem wilka i dwóch obładowanych koni. Potem Guban oparł się na kulach i kuśtykając, odszedł. Yorga poszła za nim.

Nie było żadnych pożegnań, żadnych podziękowań. Nie było w obyczaju komentować czyjeś odejścia, było to czymś oczywistym, a akty pomocy czy dobroci, szczególnie ze strony krewnych, uważano za naturalne. Zaakceptowane zobowiązania nie wymagały podziękowań, tylko odwzajemnienia, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ayla wiedziała, jak trudno byłoby Gubanowi, gdyby kiedykolwiek miał się im odwzajemnić. Jego zdaniem był im dłużny więcej, niż kiedykolwiek będzie w stanie odplacić. Otrzymał nie tylko z powrotem swoje życie, otrzymał szansę zachowania swojej pozycji, swojego statusu, co znaczyło dla niego więcej niż po prostu pozostanie wśród żywych - szczególnie gdyby przypadł mu los kaleki.

- Mam nadzieję, że nie muszą iść zbyt daleko. Nie jest łatwo pokonywać większe odległości za pomocą tych kuł - powiedział Jondalar. - Boję się, czy dojdzie.

- Dojdzie - odparła Ayla - niezależnie od tego, jak daleko musi iść. Wróciłby nawet bez kuł, choćby miał się czołgać przez całą drogę. Nie martw się, Jondalarze. Guban jest mężczyzną z klanu. Dojdzie... albo umrze, próbując.

Czoło Jondalara zmarszczyło się w zamyśleniu. Patrzył, jak Ayla ujęła postronek Whinney, kiwnął głową i ujął cugle Zawodnika. Mimo niepokoju o Gubana musiał przyznać, że ucieszyła go jego odmowa jazdy na koniu z powrotem do klanu. Już zbyt często zwlekali po drodze.

Od obozowiska jechali wśród rzadko rosnących drzew, aż wspięli się na wyżynę; zatrzymali się i spojrzeli w tył, na drogę, którą przebyli. Wysokie sosny, stojące prosto jak wartownicy, pilnowały brzegów Matki Rzeki, jak daleko wzrok sięgał; wijąca się wstęga drzew wkraczała i rozprzestrzeniała się na zboczach gór tłoczących się z południa.

Stromy teren przed nimi chwilowo wyrównał się i sosnowy las, który zaczynał się przy rzece, pokrywał teraz niewielką dolinę. Zsiedli z koni, żeby je przeprowadzić między gęsto rosnącymi drzewami, i weszli w przestrzeń półcieni o głębokiej i niesamowitej ciszy. Proste, ciemne pnie utrzymywały niskie korony szeroko rozłożonych gałęzi z długimi igłami,

które nie dopuszczały światła słonecznego i hamowały wzrost poszycia.

Warstwa brązowych igieł, nagromadzona przez stulecia, tłumiała odgłos ludzkich kroków i końskich kopyt.

U stóp jednego z drzew Ayla zobaczyła kolonię grzybów i przyklęła, żeby je zbadać. Mocno zamarzły, pochwycone przez nagły mróz ubiegłej jesieni, który nigdy nie zelżał. Teraz jednak nie było widać żadnego śniegu, który zdradzałby porę roku. Zdawać by się mogło, że pora zbiorów została uwięziona i jest trzymana w zawieszaniu, zakonserwowana w spokojnym, zimnym lesie. Wilk pojawił się nagle koło Ayli i wsunął pysk w jej gołą dłoń. Poklepała go po łbie, spostrzegła parę jego oddechu i swojego własnego i odniosła wrażenie, że jedynie ich mała grupa podróżników jest tu żywa. Po drugiej stronie doliny droga szła ostro pod górę i wkrótce pojawiły się lśniące jodły srebrzyste, których kolor podkreślały majestatyczne, ciemnozielone świerki. Długoigłe sosny karłowaciały w miarę wysokości i wreszcie zniknęły, zostawiając świerki i jodły, by dalej maszerowały wzdłuż Środkowej Matki.

Podczas jazdy Jondalar powracał myślami do ludzi klanu, nigdy już nie będzie w stanie myśleć o nich jako o czymś innym niż ludzie. Będę musiał przekonać mojego brata. Mógłby spróbować nawiązać z nimi kontakt - jeśli nadal jest przywódcą. Kiedy zatrzymali się na odpoczynek i gorącą herbatę, Jondalar powiedział Ayli o swoich przemyśleniach.

- Jak dojdziemy do domu, porozmawiam z Joharranem o ludziach klanu, Aylo. Skoro inni mogą z nimi handlować, to my też możemy. Powinien też wiedzieć, iż spotykają się z odległymi klanami, żeby przedyskutować problemy, jakie mają z nami. To może oznaczać kłopoty, a nie chciałbym walczyć z armią takich Gubanów.

- Nie sądzę, żeby był powód do pośpiechu. Podjęcie decyzji zabierze im dużo czasu. Wszelka zmiana jest dla nich trudna.

- A co z handlem? Myślisz, że byliby chętni?

- Myślę, że Guban nie byłby od tego. Chce więcej wiedzieć o nas, był gotów wypróbować kule, choć odmówił jazdy na koniu. Przyrowadzenie do domu takiej niezwyklej kobiety z odległego klanu też coś o nim mówi. Ryzykował, choć ona naprawdę jest piękna.

- Uważasz, że jest piękna?

- A ty nie?

- Mogę zrozumieć, dlaczego Guban tak myśli.

- Myślę, że to, co człowiek uważa za piękno, zależy od tego, kim jest.

- Tak, i ja uważam, że ty jesteś piękna. Ayla uśmiechnęła się, tym bardziej przekonując go o swojej urodzie.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- To prawda, wiesz? Pamiętasz, jak wszyscy zalecali się do ciebie podczas Ceremonii Matki? Czy ci powiedziałem, jaki byłem szczęśliwy, że wybrałaś mnie? - Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Ayla przypomniała sobie coś, co powiedział do Gubana.

- No cóż, przecież należę do ciebie. - Uśmiechnęła się i dodała: - Dobrze, że nie najlepiej mówisz językiem klanu. Guban poznałby, że nie mówisz prawdy, kiedy powiedziałeś, że jestem twoją towarzyszką życia.

- Nie, nie poznałby. Może nie mieliśmy jeszcze Zaślubin, ale w sercu uważam, że już jesteśmy towarzyszami życia. To nie było kłamstwo.

- Ja też tak to czuję - powiedziała cicho i spuściła wzrok, głęboko wzruszona. - Tak było, odkąd spotkaliśmy się w dolinie.

Jondalar poczuł tak gorącą falę miłości, że w jakiś sposób chciał jej dać wyraz. Wyciągnął do niej ręce i objął ją, czując w tym momencie, że w tych kilku słowach doświadczył Ceremonii Zaślubin. Nie odgrywało żadnej roli, czy odbędzie ceremonię uznaną przez jego ludzi. Zgodzi się na to, oczywiście, żeby ucieszyć Aylę, ale dla niego było to bez znaczenia. Jedyne, co musi uczynić, to bezpiecznie doprowadzić ją do domu.

Nagły powiew wiatru przejął go zimnem, rozwiewając falę ciepłych uczuć i budząc dziwny nastrój. Wstał, odszedł od ciepła rzucanego przez ognisko i głęboko odetchnął. Zachłusnął się, kiedy wysuszające, lodowate powietrze przeniknęło mu do płuc. Ukrył twarz w futrzanej kapuzie i ściągnął ją ciasno, żeby ciepło ciała ogrzewało powietrze, które wdychał. Chociaż absolutnie nie chciał poczuć ciepłego wiatru, wiedział, że taki dojmujący mróz jest niezmiernie niebezpieczny.

Na północ od nich wielki kontynentalny lodowiec wyciągał macki w południową stronę, jakby starając się otoczyć piękne lodowe góry swoim przytłaczającym, mroźnym objęciem. Znajdowali się w najzimniejszej krainie świata, między błyszczącymi skalistymi szczytami a niezmiernym północnym lodem, w samym środku zimy. Powietrze było wysuszone przez kradnący wilgoć lodowiec, żarłocznie przywłaszczający sobie każdą kroplę, żeby powiększyć swoją opasłą, miazdzącą skały masę, by przetrwać zaciekły atak letniego gorąca.

Walka między lodowcowym zimnem i topiącym wszystko ciepłem o panowanie nad Wielką Matką Ziemią znalazła się niemal w martwym punkcie, ale następowało przesilenie; lodowiec zwyciężał. Jeszcze raz zdobędzie nowe terytoria i osiągnie swój najdalej wysunięty na południe punkt, zanim znowu zostanie pobity i wycofa się do rejonów podbiegunowych.

Ale nawet tam będzie tylko wyczekiwał stosownej chwili.

Gdy kontynuowali swoją wędrówkę pod górę, każda chwila zdawała się zimniejsza od poprzedniej. Nieubłagane zbliżało się ich spotkanie z lodowcem. Koniom było coraz trudniej znajdować paszę. Uschnięta, zwiędła trawa koło strumienia twardego lodu leżała płasko na zamrzniętym gruncie.

Jechali w milczeniu, ale po rozbiciu obozu rozmawiali, przytuleni w ciepłe namiotu.

- Yorga ma piękne włosy - powiedziała Ayla i opatulila się szczelniej futrami.

- Tak, są piękne - odparł Jondalar z przekonaniem.

- Tak chciałabym, żeby Iza mogła je zobaczyć albo ktokolwiek z klanu Bruna. Oni zawsze sądzili, że moje włosy są niezwykle, choć Iza uważała je za moją jedyną ozdobę. Kiedyś były tak jasne jak jej, ale ściemniały.

- Kocham kolor twoich włosów, Aylo, i sposób, w jaki spadają falami, kiedy ich nie wiążesz - rzekł Jondalar i dotknął kosmyka przy jej twarzy.

- Nie wiedziałam, że ludzie klanu mieszkają tak daleko od półwyspu.

Jondalar widział, że nie myślała o włosach ani czymkolwiek bliskim i osobistym. Myślała o ludziach z klanu, tak jak on to robił wcześniej.

- Guban jednak wygląda inaczej. Wydaje się... nie wiem, to trudno wyrazić. Jego brwi są cięższe, nos większy, twarz bardziej... wystająca. Wszystko w nim wydaje się bardziej... wyraziste, w jakiś sposób bardziej z klanu. Myślę, że jest również bardziej umięśniony niż Brun. Nie zdawał się także zauważać zimna tak bardzo. Ciało miał ciepłe w dotyku, chociaż leżał na zamrzniętej ziemi. I jego serce bije szybciej.

- Może przyzwyczaili się do zimna. Laduni mówił, że sporo ich mieszka na północ stąd, a tam prawie się nie ociepla, nawet w lecie - powiedział Jondalar.

- Może masz rację. Myślę jednak podobnie. Co cię skłoniło do powiedzenia Gubanowi, że masz dług pokrewieństwa wobec klanu? To był najlepszy argument, jakiego mogłeś użyć.

- Nie wiem. Ale to prawda. Naprawdę zawdzięczam życie klanowi. Gdyby cię nie wzięli, nie przeżyłabyś, a w takim wypadku i ja bym zginął.

- I nie mogłeś mu dać lepszego talizmanu niż ten ząb niedźwiedzia jaskiniowego. Szybko zrozumiałeś ich sposób myślenia, Jondalarze.

- Nie jest taki odmienny, Zelandonii także są bardzo ostrożni w sprawie zobowiązań. Każde zobowiązanie, nie spłacone w momencie pójścia do następnego świata, daje temu, któremu jesteś dłużny, panowanie nad twoim duchem. Słyszałem, że są wśród Tych Którzy

Służą Matce tacy, co próbują utrzymać ludzi w roli dłużników, żeby móc panować nad ich duchami, ale to chyba tylko plotki. Tylko dlatego, że ludzie to powtarzają, nie musi to być prawdą.

- Guban wierzy, że duchy jego i twój są teraz splecione, w tym życiu i w następnym. Częstka twojego ducha będzie mu zawsze towarzyszyła, tak samo jak częstka jego ducha tobie. Dlatego był taki niespokojny. Stracił częstkę, kiedy uratowałeś mu życie, ale oddałeś mu swoją, więc nie ma już dziury, nie ma pustki.

- Nie tylko ja uratowałem mu życie. Zrobiłaś co najmniej tyle samo, a nawet więcej.

- Ale ja jestem kobietą, a kobieta z klanu nie jest tym samym, co mężczyzna z klanu. Nie jest to równa wymiana, ponieważ kobieta nie może zrobić tego, co mężczyzna. Nie ma na to wspomnień.

- Jednak to ty nastawiłaś mu kości i umożliwiłaś mu w ten sposób powrót do domu.

- I tak by wrócił. Nie o to się martwiłam. Bałam się, że jego noga nie zrośnie się prawidłowo i nie będzie mógł polować.

- Czy to tak źle nie móc polować? Czy nie mógłby robić czegoś innego? Jak ci chłopcy z S'Armunai?

- Status mężczyzny z klanu zależy od jego sprawności łowieckiej, a jego status znaczy dla niego więcej niż życie. Ma przy ognisku dwie kobiety. Pierwsza kobieta ma dwie córki, a Yorga jest w ciąży. Obiecał zająć się nimi wszystkimi.

- A jeśli nie będzie mógł? - zapytał Jondalar. - Co stanie się z nimi?

- Nie głodowałyby, klan by się nimi zajął, ale ucierpiałyby ich status; ich sposób życia, żywność i odzież, okazywany im szacunek - to wszystko zależy od statusu. I straciłby Yorgę. Jest młoda i piękna, inny mężczyzna wziąłby ją z przyjemnością, ale jeśli urodzi syna, którego Guban zawsze pragnął, zabierze go ze sobą.

- Co się stanie, kiedy będzie już zbyt stary na polowanie?

- Stary człowiek może rezygnować z polowania stopniowo i z godnością. Starzec mieszka z synami swojej towarzyszką życia albo z córkami, jeśli nadal przebywają w tym samym klanie, i nie jest obciążeniem dla całego klanu. Zoug wyćwiczył umiejętności polowania procą i nadal przynosił coś do jaskini, a szanowano nawet porady Dorva, choć był niemal ślepy. Guban jest jednak mężczyzną w sile wieku i przywódcą. Nagła utrata tego wszystkiego dobiłaby go.

Jondalar skinął głową.

- Chyba rozumiem. Nie martwiłbym się tak bardzo, gdybym nie mógł polować. Jeśliby się jednak stało coś, co uniemożliwiłoby mi obróbkę krzemienia, byłbym bardzo



nieszczęśliwy -Zamyślił się i dodał: - Bardzo dużo dla niego zrobiłaś, Aylo. Nawet jeśli kobiety klanu są inne, to to się powinno liczyć. Czy nie mógł przynajmniej tego uznać?

- Guban wyraził mi swoją wdzięczność, ale dyskretnie, tak jak należy.

- To musiało być bardzo dyskretne. Ja tego nie widziałem. -Jondalar miał zdziwiony wyraz twarzy

- Zwracał się do mnie bezpośrednio, nie poprzez ciebie, i zważał na moje opinie. Pozwolił swojej kobiecie rozmawiać z tobą, co stawiało mnie w równej pozycji z nią, a ponieważ on ma bardzo wysoki status, więc jej status także jest wysoki. Ciebie również bardzo cenił. Powiedział ci komplement.

- Tak?

- Uważał, że twoje narzędzia są dobrze wykonane, i podziwiał twoje rzemiosło. W innym wypadku nie zaakceptowałby kuł ani twojego znaku pokrewieństwa - wyjaśniła Ayła.

- A co mógł zrobić? Ja przyjąłem jego ząb. To dziwny podarek, ale zrozumiałem jego znaczenie. Przyjąłbym każdą rzecz od niego, cokolwiek by to było.

- Gdyby uznał, że to nie jest właściwa rzecz, odmówiłby, ale ten znak to coś więcej niż podarek. Zaakceptował poważne zobowiązanie. Gdyby nie miał dla ciebie szacunku, nie przyjąłby kawałka twojego ducha jako wymianę za swój. Zbyt wysoko siebie ceni. Wolałby raczej mieć pustkę, dziurę, niż zaakceptować część niegodnego ducha.

- Masz rację. W obyczajach ludzi klanu jest wiele znaczeń, odcieni i symboli. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się to zrozumieć - rzekł Jondalar.

- Czy zdaje ci się, że z Innymi jest odmiennie? Nadal mam trudności ze zrozumieniem wszystkich odcieni zachowań, ale twoi ludzie są bardziej tolerancyjni. Twoi ludzie częściej podróżują i odwiedzają innych i są bardziej przyzwyczajeni do obcych. Jestem pewna, że popełniałam błędy, ale wybacza mi, ponieważ byłam gościem, i wiedzieli, że obyczaje moich ludzi mogą być odmiennie.

- Aylo, moi ludzie są również twoimi - odparł łagodnie Jondalar.

Spojrzała na niego, jakby go w pierwszej chwili nie zrozumiała. Potem powiedziała:

- Mam nadzieję, że tak jest, Jondalarze. Mam nadzieję.

W miarę wspinaczki świerki i jodły rosły coraz rzadziej i stawały się coraz bardziej skarłowaciałe, lecz tym razem widok na otaczające góry przesłaniały im nawisy skalne. Na zakręcie rzeki górski strumień wpadał do Środkowej Matki, która w tym miejscu spływała z wyższego poziomu. Mroźące krew w żyłach powietrze chwyciło i unieruchomiło wodę w momencie spadania, a silne, suche wiatry wyrzeźbiły ją w dziwne i groteskowe kształty.

Karykatury żywych stworzeń, uchwycone przez mróz, wydawały się czekać z niecierpliwością, jakby wiedziały, że zmiana pory roku i ich uwolnienie nie są już odległe.

Podróżnicy prowadzili ostrożnie konie przez spiętrzony, połamany lód dookoła zamrożonego wodospadu na wyższy poziom i tam się zatrzymali, urzeczeni widokiem masywnego, płaskiego lodowca przed nimi. Widzieli już go przelotnie wcześniej; teraz wydawał się dość blisko, by można go było dotknąć, lecz w rzeczywistości majestatyczny, ponury lód znajdował się znacznie dalej.

Śledzili wzrokiem krętą trasę zamrożonego strumienia, póki nie zniknął im z oczu. Pojawił się wyżej, wraz z kilkoma wąskimi odnogami, które wypływały z lodowca jak garść srebrzystych wstążek, ozdabiających masywną czapę lodu. Płaskowyż okalały poszarpane, ostre, zamrożone szczyty, tak oślepiająco białe, że odcień lodowcowego błękitu zdawał się tylko odbiciem czystej, głębokiej barwy nieba.

Bliźniacze, wysokie turnie na południu, przedtem towarzyszące im w wędrówce, dawno zniknęły z pola widzenia. Inne, które pojawiły się dalej na zachodzie, przesunęły się teraz na wschód, ale nadal lśniły szczyty południowego łańcucha, który kroczył razem z nimi.

Na północy widać było podwójne granie starszych skał, ale masyw, który wyznaczał północną krawędź rzecznej doliny, pozostał za nimi na zakręcie, tam gdzie rzeka zawracała ze swojego najbardziej na północ położonego punktu, tuż przed miejscem, gdzie spotkali ludzi z klanu. Kiedy wspinali się w południowo--zachodnim kierunku, ku źródłom, rzeka była bliżej nowej wyżyny z wapienia, która teraz stanowiła jej północną granicę.

Roślinność zmieniała się wraz z wysokością. Na kwaśnych glebach, które cienką warstwą pokrywały nieprzepuszczalne, skaliste podłoże, świerki i srebrzyste jodły ustąpiły miejsca modrzewiom i sosnom, ale nie byli to już ci sami wyniośli strażnicy z niższych poziomów. Podróżnicy doszli do strefy górskiej tajgi, karłowatych, wiecznie zielonych drzew, których korony utrzymywały pokrywę ze sprasowanego śniegu i lodu, cementującego gałęzie przez większą część roku. Miejscami rosły dość gęsto, ale każdy pęd, wystarczająco odważny, by wysunąć się ponad inne, był szybko przycinany przez wiatr i mróz, co wyrównywało wierzchołki wszystkich drzew do identycznego poziomu.

Małe zwierzęta poruszały się swobodnie wzdłuż ścieżek, jakie wydeptały pod drzewami, ale duża zwierzyna torowała sobie drogę przez gąszcz siłą. Jondalar postanowił odejść od małego strumienia bez nazwy, jednego z wielu, które niżej uformują początek wielkiej rzeki, i pójść szlakiem wytyczonym przez duże zwierzęta przez gęstwinę karłowatych drzew.

Kiedy zbliżali się do granicy strefy leśnej, drzewa rosły coraz rzadziej i spostrzegli, że

teren przed nimi jest całkowicie ich pozbawiony. Życie jednak było wytrwałe. Niskie krzewy, zioła i trawy, częściowo ukryte pod płaszczem śniegu, nadal bujnie porastały rozległe hale.

Podobne, choć znacznie większe rejonry istniały na niżej położonych terenach północnego kontynentu. W kilku osłoniętych miejscach przetrwało nieco drzew liściastych z bardziej umiarkowanych klimatów, a na niższych wysokościach bardziej odporne drzewa iglaste pojawiały się w strefie podbiegunowej na północ od nich. Jeszcze dalej na północ drzewa, jeśli w ogóle występowały, były na ogół karłowate. Ze względu na rozległe lodowce odpowiednikami wysoko położonych hal, które otaczały wieczny lód górski, były rozległe stepy i tundry, gdzie przeżyć mogły tylko te rośliny, które w skróconym czasie przechodziły swój roczny cykl rozwoju.

Powyżej linii lasów wiele odpornych roślin przystosowało się do surowego środowiska. Ayla z ciekawością śledziła te zmiany i żałowała, że nie ma czasu na ich dokładne zbadanie. Górski rejon, w którym wyrosła, był położony znacznie bardziej na południe i, przede wszystkim ze względu na ocieplający wpływ śródłądowego morza, występowała tam roślinność typowa dla chłodnego klimatu umiarkowanego. Fascynowały ją te rośliny tutaj, które egzystowały na wyższych poziomach mroźnego, suchego regionu.

Wyniosłe wierzby, rosnące niemal nad każdą rzeką, strumieniem czy potoczkiem i wszędzie tam, gdzie było choć trochę wilgoci, tutaj były niskimi krzakami, a wysokie i solidne brzozy oraz sosny przeradzały się w małe krzewy, które płożyły się po ziemi. Czarne jagody i czernice rozrastały się jak gruby dywan, ale nie były wyższe niż dziesięć centymetrów. Ciekawiło ją, czy - tak jak te, które rosły blisko północnego lodowca - też rodziły normalnej wielkości, ale słodsze i dziksze owoce. Chociaż nagie szkielety zwiędłych gałęzi były dowodem istnienia wielu roślin, nie zawsze wiedziała, co to za gatunek, czy też na ile różne są te, które wydawały się jej znajome, i bardzo chciałyby wiedzieć, jak te hale wyglądają w cieplej porze roku.

Podróżując zimą, Ayla i Jondalar nie mieli okazji zobaczyć wiosennego i letniego piękna gór. Żadne dzikie róże czy rododendrony nie zabarwiały krajobrazu różowymi kwiatami; żadne krokusy czy zawilce, piękne szafirowe goryczki czy żółte narcyzy nie odważały się walczyć z ostrym wiatrem; i żadne pierwiosnki czy fiołki nie pokażą wielobarwnego przepychu, dopóki nie przyjdzie pierwsze ciepło wiosny. Nie było dzwonek, rozsponek, starców zwyczajnych, stokrotek, lilii, skalnic, goździków, tojadów ani pięknych, małych szarotek, żeby rozbić lodowatą monotonię zamarzniętych, zimowych hal.

Przed ich oczyma rozpościerał się jednak inny, napawający nabożnym lękiem, widok. W poprzek ich drogi leżała oślepiająca forteca połyskliwego lodu. Błyszczała w słońcu jak

wspaniały, wielościenny diament. Jej czysta, krystaliczna biel jarzyła się świetlistymi, niebieskimi cieniami, ukrywającymi jej skazy: rozpadliny, tunele, jaskinie i wydrążenia, które przecinały ten gigantyczny klejnot.

Doszli do lodowca.

Kiedy podróżnicy zbliżyli się do szczytu zniszczonego erozją kikuta pradawnej góry, zwieńczonej koroną z lodu, nie byli nawet pewni, czy wąski górski strumień koło nich nadal jest tą samą rzeką, która tak długo im towarzyszyła. Maleńka ścieżka lodu niczym nie odróżniała się od wielu innych zamarzniętych strumyków, które czekały na wiosnę, żeby uwolniła ich nurt i żeby mogły popędzić w dół po krystalicznych skałach płaskowyżu.

Wielka Matka Rzeka, wzdłuż której szli od jej szerokiej delty, gdzie wylewała swoje wody do śródlądowego morza, wielki szlak wodny, który prowadził ich kroki przez tak dużą część ich żmudnej wędrówki, zniknął. Wkrótce zostawią za sobą również małe, zlodowaciałe strumyczki. Zabraknie pocieszającej obecności rzeki, wskazującej im drogę. Będą musieli kontynuować swoją podróż na zachód, kierując się wyłącznie słońcem i gwiazdami oraz tym, co Jondalar zapamiętał z poprzedniej drogi.

Ponad wysokimi halami roślinność występowała bardziej sporadycznie. Tylko porosty i mchy, typowe dla skał i piargów, oraz kilka innych rzadkich roślin potrafiły znaleźć oparcie dla swej trudnej egzystencji. Ayla zaczęła dawać koniom siano, które wieźli ze sobą. Bez grubej, włochatej sierści ani konie, ani wilk nie przeżyłyby, natura jednak zaadaptowała je do mrozu. Bez własnego futra ludzie radzili sobie na swój sposób. Zabierali futra zwierząt, na które polowali; bez nich nie byliby w stanie przeżyć. Ale też bez ochrony futer i ognia ich przodkowie nigdy nie zaszliby tak daleko na północ.

Dla koziorożców, kozic i muflonów te wysokogórskie hale oraz sąsiednie urwiska były domem i często je można było tu spotkać, choć zwykle nie tak późną zimą, konie jednak były rzadkością na tej wysokości. Nawet łagodniejsze zbocza masywu nie zachęcały na ogół ich krewniaków do wspinaczki, Whinney i Zawodnik stąpały jednak pewnie. Z nisko pochyłonymi łbami konie brnęły po pochyłości i dźwigały zapasy wraz z brunatnymi płonącymi kamieniami, które miały stanowić o życiu i śmierci dla nich wszystkich. Ludzie, którzy prowadzili konie tam, gdzie same normalnie by nie przeszły, rozglądali się za płaskim miejscem na rozbić namiotu i rozłożenie obozowiska.

Wszyscy byli zmęczeni walką z intensywnym mrozem i ostrym wiatrem oraz wspinaczką po stromym terenie. To była wyczerpująca praca. Nawet wilk wołał trzymać się blisko i nie wyprawiał się na samodzielne wycieczki.

- Taka jestem zmęczona - powiedziała Ayla, kiedy próbowali rozbić namiot w ostrych

porywach wiatru. - Zmęczona wiatrem i mrozem. Zdaje mi się, że już nigdy nie będzie ciepło. Nie wiedziałam, że istnieje takie zimno.

Jondalar kiwnął głową, zgadzając się z jej słowami, ale wiedział, że mróz, który ich jeszcze czeka, będzie gorszy. Zobaczył, jak zerknęła na wielką masę lodu i odwróciła wzrok, jakby nie chciała jej widzieć, i podejrzewał, że niepokoi się czymś więcej niż tylko zimnem.

- Czy naprawdę mamy przejść cały ten lodowiec? - spytała wreszcie, przyznając się do swoich obaw. - Czy to jest możliwe? Nie wiem nawet, jak wdrapiemy się na górę.

- To nie jest łatwe, ale możliwe. Zrobiliśmy to z Thonolanem. Chciałbym poszukać najlepszego miejsca do wprowadzenia koni na szczyt, póki jeszcze jest jasno.

- Mam wrażenie, że podróżujemy od zawsze. Jak daleko musimy jeszcze iść, Jondalarze?

- Jeszcze mamy kawałek drogi do Dziewiątej Jaskini, ale nie aż tak daleko, a skoro tylko przejdziemy lodowiec, znajdziemy się bardzo blisko jaskini Dalanara. Zatrzymamy się tam na trochę. Będziesz miała szansę poznać nie tylko jego, ale i Jerikę, i wszystkich. Nie mogę się doczekać, żeby pokazać Dalanaro-wi i Joplai to, czego się nauczyłem od Wymeza. Nawet jednak jeśli zostaniemy tam na trochę, powinniśmy dojść do domu przed latem.

Aylę ogarnęła rozpacz. Latem! Ale teraz jest zima. Gdyby naprawdę wiedziała, jak długa będzie ta podróż, może nie byłaby taka chętna do pójścia z Jondalarem do jego domu. Mogła usilniej próbować go przekonać, żeby zostali z Mamutoi.

- Podejźmy bliżej lodowca - powiedział Jondalar - i poszukajmy najlepszej drogi pod górę. Potem powinniśmy sprawdzić, czy wszystko mamy, i przygotować się do drogi przez lodowiec.

- Będziemy musieli użyć kilku płonących kamieni na ognisko dziś wieczorem. Tu nie ma żadnego opału. I będziemy musieli stopić lód na wodę... przynajmniej nie będziemy mieli kłopotu ze znalezieniem lodu.

Poza kilkoma małymi zakamarkami w ogóle nie było śniegu w okolicy ich obozowiska, a bardzo mało go leżało podczas drogi w górę zbocza. Jondalar był tu tylko raz przedtem, ale zdawało mu się, że teraz było znacznie bardziej sucho. Miał rację. Znajdowali się na tyłach gór; nieczęsty śnieg, który padał na tym terenie, przychodził na ogół później, gdy już zaczynała się zmieniać pora roku. W drodze w dół z lodowca zaskoczyła go z Thonolanem burza śnieżna.

Podczas zimy cieplejsze, naładowane wilgocią powietrze przy-wiane znad zachodniego oceanu wznosiło się po zboczach, aż docierało do dużej, płaskiej przestrzeni lodu, nad którą był ośrodek wysokiego ciśnienia. Ta różnica ciśnień dawała efekt potężnego

leja, który wsysał wilgotne powietrze nad olbrzymi masyw lodu. Powietrze oziębiało się, kondensowało i zamieniało w śnieg, który spadał wyłącznie na leżący pod nim lód, karmiąc zgłodniały żołądek wymagającego lodowca.

Opady występowały jedynie ponad lodem pokrywającym cały szczyt zniszczonego erozją i zaokrąglonego, starodawnego masywu. Ochłodzone powietrze, pozbawione wszelkiej wilgoci, opadało i pędziło w dół zboczami, nie przynosząc już śniegu poza krawędzie lodowca.

Ayla i Jondalar szli wzdłuż podnóża lodowca, szukając najłatwiejszej drogi, i zauważyli, że gdzieś tam ziemia i głazy zostały wydarte, chyba dość niedawno, przez jęczory posuwającego się lodu. Lodowiec rósł. W wielu miejscach pradawna skała była odsłonięta. Masyw, sfałdowany i podniesiony przez niezmierne naciski, które stworzyły góry na południu, był kiedyś solidnym blokiem krystalicznego granitu, łączącym się z podobnym masywem na zachodzie. Siły, które napierały na nieruchome, stare góry, najstarsze skały na Ziemi, zostawiły po sobie ślad w postaci wielkiej rozpadliny, uskoku, który przedzielił blok skalny. Pośrodku szerokiego rowu tektonicznego o stromych zboczach płynęła rzeka. Jondalar chciał jednak iść w kierunku południowo-zachodnim, przejść lodowiec po przekątnej i zejść z niego łagodniejszym zboczem. Chciał przekroczyć rzekę bliżej jej źródeł, wysoko w południowych górach, powyżej miejsca, gdzie - opłynąwszy pokryty lodowcem masyw - wpadała do uskoku.

- Skąd się to wzięło? - spytała Ayla i podniosła do góry mały przedmiot. Składał się z dwóch drewnianych krążków przymocowanych do ramki, która trzymała je sztywno i dość blisko siebie, ze skórzanymi rzemykami z każdej strony. Pośrodku drewnianych krążków wycięte były wąskie szpary, biegnące przez całą niemal długość, prawie przedzielając je na pół.

- Zrobiłem to, zanim ruszyliśmy w drogę. Jedne są dla ciebie. To jest na oczy. Czasami odbłask od lodu jest tak silny, że widzisz tylko biel - ludzie nazywają to śnieżną ślepotą. Na ogół przechodzi po pewnym czasie, ale oczy mogą się bardzo zaczerwienić i boleć. To ci ochroni oczy. Dalej, nałóż - rzekł Jondalar. Zobaczył, że niezdarnie próbuje nałożyć osłony i dodał: - Popatrz, pokażę ci. - Założył te niezwykle okulary od słońca i związał rzemykami z tyłu głowy

- Jak możesz cokolwiek widzieć? - spytała Ayla. Zaledwie dostrzegała jego oczy przez wycięte szparki, ale nałożyła parę, którą jej dał. - Widać niemal wszystko! Trzeba tylko obrócić głowę, żeby widzieć to, co jest z boku. - Była zdziwiona. Nagle uśmiechnęła się. -

Wyglądasz tak zabawnie z tymi dużymi oczami, jak jakiś dziwny duch... albo chrząszcz. Może duch chrząszcza.

- Też wyglądasz zabawnie - odpowiedział z uśmiechem -ale te owadzie oczy mogą ci uratować życie. Na lodzie musimy widzieć, gdzie stąpamy.

- Ta wyściółka butów z wełny muflona od matki Madenii bardzo się przyda - powiedziała Ayla, wkładając ją w poręczne miejsce, skąd łatwo ją będzie wydostać. - Nawet kiedy jest mokra, utrzymuje ciepło stóp.

- Na lodowcu będziemy wdzięczni za dodatkową parę.

- Kiedy mieszkałam z klanem, wkładałam turzycę do obuwia.

- Turzycę?

- Tak. Utrzymuje ciepło i szybko wysycha.

- To warto wiedzieć - powiedział Jondalar i podniósł but. -Nałóż buty z podeszwami z mamuciej skóry Są niemal całkowicie wodoszczelne, odporne i twarde. Lód potrafi być bardzo ostry, a skóra mamucia jest dość szorstka, żeby się nie ślizgała. Aha, będzie nam potrzebny topór do rąbania lodu. - Dołożył narzędzie do sterty, którą przygotowywał. - I powróż. Także dobre, mocne sznury. Będziemy potrzebowali namiotu, śpiworów, żywności, oczywiście. Czy możemy zostawić nieco przyborów kuchennych? Nie będzie nam potrzeba wiele na lodowcu, a możemy potem dostać trochę rzeczy od Lanzadonii.

- Będziemy jeść podrózną żywność. Nie będę gotować, a do topienia lodu postanowiłam używać tego skórzanego garnka na ramie, który dostałam od Solandii. Będę go wieszala bezpośrednio nad ogniem. To będzie najszybszy sposób, a przecież nie musimy gotować wody, wystarczy stopić lód.

- Upewnij się, że masz oszczep na podorędziu.

- Po co? Nie ma przecież żadnych zwierząt na lodowcu.

- Nie, ale możesz używać oszczepu do sprawdzania drogi przed sobą i upewnienia się, że lód jest solidny A co ze skórą mamucią? - spytał Jondalar. - Nosimy ją ze sobą od samego początku, ale czy jej naprawdę potrzebujemy? Jest ciężka.

- To dobra skóra, miła w dotyku i elastyczna, i jest dobrą, wodoszczelną pokrywą na lódkę. Powiedziałeś, że na lodowcu pada śnieg. - Ayla bardzo nie chciała wyrzucać tej skóry.

- Możemy przecież używać namiotu jako pokrywy.

- To prawda, ale... - Ayla zacisnęła usta, zastanawiała się. Nagle zauważyła coś innego. - Skąd wzięłeś te pochodnie?

- Laduni mi dał. Wstaniemy na długo przed wschodem słońca i potrzebne nam będzie oświetlenie do pakowania się. Chcę wejść na szczyt, zanim słońce stanie wysoko na niebie,

kiedy wszystko jeszcze jest solidnie zamrożone. Nawet przy takim mrozie słońce potrafi trochę stopić lód, a wspinaczka będzie wystarczająco trudna i bez tego.

Położyli się wcześniej, ale Ayla nie mogła zasnąć. Była zdenerwowana i podniecona. To był ten lodowiec, o którym Jondalar mówił od początku.

- Co... co się stało? - spytała wyrwana ze snu Ayla.

- Nic się nie stało. Pora wstawać - odparł Jondalar i podniósł pochodnię. Wepchnął drzewce w żwir i podał jej parujący kubek herbaty. - Rozpaliłem ognisko. Tutaj masz trochę herbaty.

Uśmiechnęła się, a Jondalar był bardzo zadowolony. Przygotowywała jego poranną herbatę niemal każdego dnia ich podróży i był szczęśliwy, że choć raz wstał pierwszy i zrobił herbatę dla niej. Właściwie w ogóle nie zasnął. Nie mógł. **Był** zbyt zdenerwowany, zbyt podniecony i zbyt zmartwiony.

Wilk obserwował ludzi, a światło ognia odbijało mu się w ślepiach. Wyczuwał coś niezwykłego, podskakiwał i biegał tam i z powrotem. Konie też były rozbrykane, parskały, rżały i wydmuchiwały kłęby pary. Ayla stopiła lód na wodę i sypnęła im ziarna. Wilkowi dała placuszek żywności podróźnej, a drugi podzieliła między siebie i Jondalara. Przy świetle pochodni spakowali namiot, śpiwory i kilka przyborów. To i owo zostawiali na miejscu - pusty pojemnik na ziarno, kilka kamiennych narzędzi, ale w ostatniej chwili Ayla rzuciła mamucią skórę na brunatny węgiel w łódce.

Jondalar wziął pochodnię, żeby oświetlać drogę. Ujął postronek Zawodnika i ruszył, ale migotliwe światło pochodni tylko przeszkadzało. Widział mały oświetlony krąg tuż przed sobą, ale niewiele więcej, nawet gdy trzymał pochodnię wysoko nad głową. Księżyc był niemal w pełni, i uznał, że łatwiej mu będzie znaleźć drogę bez pochodni. Wreszcie rzucił ją na ziemię i pomaszerował w ciemności. Ayla szła za nim i po kilku chwilach ich oczy przyzwyczyły się do otoczenia. Za nimi pochodnia nadal paliła się na żwirze.

W świetle księżyca, któremu do pełni brakowało tylko pasemka, potworny bastion z lodu połyskiwał niesamowitym, efemerycznym światłem. Ciemne niebo było upstrzone gwiazdami, każda w aureoli mgiełki, powietrze ostre i trzaskające mrozem; bezkształtny eter naładowany własnym życiem.

Przy całym panującym mrozie powietrze było jakby bardziej stężone w pobliżu wielkiej ściany lodu, ale Ayla miała dreszcze nie od mrozu, lecz z nabożnej grozy i oczekiwania. Jondalar zobaczył jej błyszczące oczy i usta lekko uchylone w szybszym i głębszym oddechu. Jej podniecenie zawsze budziło w nim żądze i poczuł drgnienie w



lędźwiach. Potrząsnął jednak głową. Teraz nie było czasu. Lodowiec czekał.

Jondalar wyjął ze swoich nosideł długi powróż.

- Musimy związać się razem.

- Konie też?

- Nie. Możemy utrzymać wzajemnie nasz ciężar, ale jeśli konie się ześlizgną, pociągną nas za sobą. - Choć myśl o utracie Zawodnika lub Whinney była nieznośna, najbardziej troszczył się o bezpieczeństwo Ayli.

Ayla zaszępiła się, ale kiwnęła głową na zgodę.

Rozmawiali szeptem. Milcząca masa lodu wyciszyła im głos. Nie chcieli zakłócić jego wspaniałości ani uprzedzić o tym, że zamierzają przypuścić na niego atak.

Jondalar związał jeden koniec sznura wokół pasa, a drugi wokół Ayli. Zwinął luźny sznur pomiędzy nimi i przełożył rękę przez zwój, by nieść go na ramieniu. Potem każde z nich chwyciło za postronek swojego konia. Wilk musiał dać sobie radę sam.

Zanim ruszyli, Jondalara na moment ogarnęła panika. Co sobie wyobrażał? Jak mógł sądzić, że przeprawi Aylę i konie przez lodowiec? Powinni byli pójść okrężną drogą. Zabrałoby to więcej czasu, ale byłoby bezpieczniejsze. Po chwili jednak wkroczył na lód.

U podstawy lodowca często otwierała się poniżej lodu głęboka jama, albo też nawisła półka lodowa rozciągała się nad zgromadzonym żwirem lodowcowej moreny zwałowej. W miejscu, które wybrał Jondalar, nawis obsunął się, ułatwiając wejście. Lód był tu przemieszany ze żwirem, co dawało pewniejszy grunt pod stopami. Poczawszy od obsuniętej krawędzi, ogromny wał morenowy prowadził w górę po zboczu lodowca niczym dobrze wytyczony szlak, urywając się tuż przy szczycie, i nie wydawał się zbyt stromy ani dla nich, ani dla koni. Przedostanie się przez górną krawędź może stanowić problem, ale nie będą wiedzieli, jak duży, dopóki tam nie dojdą.

Zaczęli iść w górę, Jondalar na przodzie. Zawodnik przez moment stawiał opór. Jego ładunek był teraz mniejszy, lecz nadal był nieporęczny i większa stromizna zaniepokoiła konia. Jedno kopyto poślizgnęło się, ale złapał równowagę i z pewnym wahaniem poszedł za Jondalarem. Następnie przyszła kolej na Aylę i Whinney z włókiem. Jednak kobyła, która ciągnęła te drażki od tak dawna i przez tak zróżnicowane tereny, była do nich przyzwyczajona, a szeroko rozstawione pale pomagały jej utrzymać równowagę.

Wilk zamykał pochód. Był niżej przy ziemi i jego stwardniałe podeszwy łap zabezpieczały przed poślizgnięciem. Wyczuwał jednak niebezpieczeństwo grożące jego towarzyszom podróży i szedł za nimi, jakby pilnując tyłów i wypatrując niewidzialnej groźby.

W jasnym świetle księżyca lśniły poszarpane baszty z nagiego lodu, a lustrzane

powierzchnie płaskich przestrzeni nabrały głębokiej czerni niczym stojące, czarne stawy. Nietrudno było zobaczyć morenę, która zsypywała się w dół, jak powolna rzeka piachu i kamieni, ale nocne światło zamazywało wymiary i perspektywę i nie pozwalało dostrzec szczegółów.

Jondalar szedł powoli i ostrożnie, prowadząc swojego konia wokół różnych przeszkód. Ayla troszczyła się bardziej o znalezienie najlepszej ścieżki dla kobyły niż o własne bezpieczeństwo. W miarę jak zbocze stawało się bardziej strome, konie, którym przeszkadzała zarówno stromizna, jak i ciężki ładunek, walczyły o zachowanie równowagi. Kiedy Jondalar wprowadził Zawodnika na ostrą stromiznę tuż przed szczytem, koń się potknął, zarżał i próbował stanąć dęba.

- Chodź, Zawodnik - namawiał Jondalar i ciągnął napięty postronek, jak gdyby mógł siłą wciągnąć konia. - Już prawie jesteśmy na górze, dasz radę.

Ogier uczynił wysiłek, ale kopyta ślizgały mu się po zdradliwym lodzie pod cienką warstwą śniegu i Jondalar czuł, że postronek ściąga go z powrotem. Poluzował najpierw, a potem w ogóle puścił. W ładunku były rzeczy, których bardzo nie chciał stracić, a utrata zwierzęcia byłaby ogromnie bolesna, obawiał się jednak, że ogier nie da rady wdrapać się na górę.

Kiedy jednak kopyta natrafiły na żwir, Zawodnik przestał się ześlizgiwać, uniósł łeb i rzucił się do przodu. Nagle był już poza krawędzią, zgrabnie przeskoczył wąską szczelinę w lodzie i stanął na płaszczyźnie. Jondalar klepał go i gorąco chwalił. Zauważył, że kolor nieba przeszedł od czerni do ciemnoniebieskiego indygo i że na wschodzie zaczynało się lekko rozjaśniać.

Potem poczuł szarpnięcie sznura, który trzymał na ramieniu. Ayla musi ześlizgnąć się z powrotem - pomyślał i poluzował sznur. Pewnie doszła do stromizny. Nagle sznur zaczął prześlizgiwać mu się przez palce, aż poczuł ostre szarpnięcie w pasie. Z pewnością trzyma postronek Whinney - pomyślał. Musi go puścić.

Chwycił sznur obiema rękami i zawołał:

- Puść, Aylo! Ściągnie cię na dół razem ze sobą!

Ayla jednak nie słyszała, a jeśli słyszała, nie rozumiała. Whinney zaczęła wspinać się po stromiznie, ale jej kopyta nie znajdowały żadnego oparcia i ciągle się ześlizgiwała. Ayla trzymała postronek, jak gdyby sądziła, że uda jej się uchronić kobyłę od upadku, ale sama też ześlizgiwała się w dół. Jondalar zobaczył, że przyciągnęło go niebezpiecznie blisko krawędzi. Rozejrzał się za czymś, czego mógłby się przytrzymać, i złapał postronek Zawodnika. Ogier zarżał.

Spadek Whinney zahamował jednak włók. Jeden z drągów ugrzązł w szczelinie i podparł kobyłę na tyle, że odzyskała równowagę. Potem jej kopyta natrafiły na zasęp śnieżną, która ją utrzymała, a chwilę później znalazła żwir. Jondalar poczuł, że nacisk na powróż ustał, i puścił postronek Zawodnika. Wbił stopę w pęknięcie w lodzie i zaczął ciągnąć za sznur, który miał uwiązany wokół pasa.

- Daj mi trochę luzu! - zawołała Ayla, która trzymała postronek Whinney, podczas gdy kobyła parła do przodu.

Nagle Jondalar zobaczył Aylę nad krawędzią i wciągnął ją na górę. Potem pojawiła się Whinney. Przeskoczyła nad szczeliną i stanęła na płaskim lodzie, końce drągów włóka sterczały w powietrzu, a miskowa łódka opierała się na samej krawędzi, którą właśnie pokonali. Różowe pasmo pojawiło się na porannym niebie, zakreślając horyzont, a Jondalar odetchnął z niezmierną ulgą.

Nagle Wilk przeskoczył przez krawędź i popędził do Ayli. Już miał na nią skoczyć, ale nie czuła się zbyt pewnie na nogach i dała mu znak, żeby usiadł. Cofnął się, spojrzął na Jondalara i konie. Uniósł łeb i po kilku wstępnych ujadaniach zawył swoją głośną i przeciągłą wilczą pieśń.

Chociaż wspięli się na stromiznę i lód się tu wyrównywał, nadal nie byli jeszcze na właściwym szczycie lodowca. Przy krawędzi widniały pęknięcia i połamane kawały rozszerzającego się lodu, które zostały wypchnięte do góry. Jondalar przeszedł przez wzgórek śniegu, który pokrywał poszarpaną, połupaną stertę lodu, i wreszcie stanął na płaskiej powierzchni lodowca. Zawodnik poszedł za nim, spod kopyt posypała się w dół kaskada połamanych kawałków, które toczyły się i odbijały z klekotem. Jondalar trzymał naprężony sznur, kiedy Ayla stąpała po jego śladach. Wilk wybiegł naprzód, a Whinney szła za Ayla.

Niebo przybrało przelotny i wyjątkowy odcień niebieskiej zorzy porannej, gdy skrzące się promienie światła wysuwały się spoza krawędzi Ziemi. Ayla spojrzała wstecz na strome podejście i nie mogła pojąć, jak udało im się wdrapać po tym zboczach. Z góry nie wydawało się to możliwe. Odwróciła się, żeby pójść dalej, i zaparło jej dech w piersiach.

Wschodzące słońce wyjrzało ponad krawędź z oślepiającym wybuchem światła i oświetliło nieprawdopodobną scenę. Na zachodzie rozciągała się przed nimi płaska, oślepiąco biała płaszczyna bez jakichkolwiek znaków wyróżniających. Niebo nad nią miało niebieski odcień, jakiego nigdy w życiu nie widziała. W jakiś sposób zaabsorbowało odbicie czerwonego brzasku oraz niebieskozielone tony lodowca, a jednak pozostawało niebieskie. Był to kolor niebieski o tak oszałamiającej jaskrawości, że zdawał się żarzyć własnym światłem i zamieniać w kolor, którego nie sposób opisać. Na odległym horyzoncie

południowo-zachodnim kolor zamieniał się w zamglony czarno-niebieski.

W miarę jak słońce wznosiło się na wschodzie, na zachodnim krańcu blakł obraz niemal pełnego kręgu, który świecił z taką wspaniałą jasnością na czarnym niebie podczas pierwszej części ich drogi na lodowiec, jeszcze przed świtem; teraz było to tylko niewyraźne wspomnienie wcześniejszej świetności. Nic nie przerywało nadziemskiego splendoru olbrzymiej pustyni zamrożonej wody; żadne drzewo, skała, żaden ruch nie zakłócał majestatu pozornie jednolitej powierzchni.

Ayla gwałtownie wypuściła oddech. Nie wiedziała, że go powstrzymywała.

- Jondalarze! To jest wspaniałe! Dlaczego mi nie powiedziałeś? Przeszłabym dwukrotnie większą odległość, byle tylko móc to zobaczyć.

- To jest wspaniałe widowisko - powiedział, uśmiechając się na widok jej reakcji, choć sam był równie oszołomiony. - Nic nie mogłem ci o tym powiedzieć. Nigdy tego nie widziałem. Nieczęsto panuje tu taki spokój. Śnieżycy tu na górze potrafi być równie widowiskowa. Ruszajmy, dopóki jest dobra widoczność. Podłoże nie jest tak solidne, jak się wydaje, a palące słońce może powodować powstawanie szczelin i obsuwanie się nawisów.

Ruszyli przez płaszczyznę lodu, a poprzedzały ich własne długie cienie. Wkrótce zrobiło im się za gorąco w ciężkich futrzanych okryciach. Ayla zaczęła zdejmować kurtkę z kapuzą,

- Zdejmij ją, jeśli chcesz, ale się nie odsłaniaj. Słońce tutaj może cię mocno przypalić, i to nie tylko z góry. Kiedy słońce świeci na lód, pali także od spodu.

Małe, pierzaste chmury zaczęły zbierać się późnym porankiem. W południe zbiły się w duże chmury kłębiaste. Po południu podniósł się wiatr. Kiedy Ayla i Jondalar postanowili zatrzymać się i stopić śnieg i lód na wodę, Ayla z przyjemnością założyła znowu swoją ciepłą futrzaną kurtkę. Słońce ukryło się za pełnymi wilgoci chmurami, które prószyły na podróżników lekkim, suchym śniegiem. Lodowiec rósł.

Płaskowyż lodowcowy, przez który szli, zrodzony został na szczytach poszarpanych skał daleko na południu. Wilgotne powietrze, wznoszące się po zboczach tych wysokich barier, kondensowało się w kropelki, ale o tym, czy spadną jako zimny deszcz, czy też jako śnieg, decydowała temperatura. Lodowców nie stworzyło ciągłe zamarzanie; powstały z powodu akumulacji śniegu z jednego roku na drugi, który z czasem zamieniał się w płyty lodu, skuwające wreszcie cały kontynent. Mimo kilku gorących dni dojmujący mróz w zimie w połączeniu z chłodnym, pochmurnym latem, które nie było w stanie całkowicie stopić pozostałego po zimie śniegu i lodu, przechylał szalę na korzyść epoki lodowcowej.

Tuż poniżej wyniosłych wież południowych gór, zbyt stromych, by mógł się na nich utrzymać śnieg, formowały się małe niecki, kotliny przytulone do ścian baszt; i to one były miejscem narodzin lodowców. Kiedy lekki, suchy śnieg zbierał się w zagłębieniach wysoko w górach, tworzył w pęknięciach i szczelinach niewielkie ilości zamarzającej wody; następnie lód rozszerzał się, powodując obluzowywanie ton kamienia, i w tym miejscu gromadziło się więcej śniegu. Wreszcie waga nagromadzonego śniegu sprasowywała delikatne płatki w zbite, okrągłe kulki lodu: w firm, lód ziarnisty.

Firm nie tworzył się na powierzchni, ale głęboko w kotlinie, a kiedy napadało więcej śniegu, cięższe, zbite kulki firnu wypływały poza krawędzie. Kiedy zbierało się ich coraz więcej, niemal doskonale okrągłe kulki lodu sprasowywały się razem tak mocno pod wpływem ciężaru wyższych warstw, że część energii wyzwalała się jako ciepło. Topiły się na moment w punktach zetknięcia i natychmiast zamarzały na nowo, jak zlutowane razem. W miarę jak warstwy lodu stawały się coraz grubsze, większe ciśnienie zmieniało ich strukturę molekularną w solidny, krystaliczny lód, ale z pewną różnicą: ten lód płynął.

Zbity lód lodowcowy, uformowany pod olbrzymim ciśnieniem, był gęstszy; a jednak dolne poziomy wielkiej masy lodu płynęły równie gładko co dowolny płyn. Rozdzielając się przed przeszkodami, takimi jak wyniosłe szczyty górskie, i łącząc się znowu po drugiej stronie - często zabierając ze sobą duże partie kamieni - lodowiec częściowo dopasowywał się do rzeźby terenu, ale mełł skałę i zmieniał jej kształt. Rzeki solidnego lodu miały swe prądy i wiry, stojące stawy i pędzące nurty, ale poruszały się w zupełnie innym tempie - ociężałe i powoli. Przesunięcie się o centymetry zabierało lata. Czas jednak nie miał znaczenia. Czasu nie brakowało. Jak długo przeciętna temperatura utrzymywała się poniżej punktu krytycznego, lodowiec karmił się i rósł.

Górskie kotliny nie były jedynym miejscem narodzin lodowców. Lodowce formowały się także na płaskim gruncie i kiedy raz pokryły wystarczającą przestrzeń, ich ochładzający efekt rozszerzał wytrącanie śniegu z antycyklonów na cały swój obszar; grubość lodu była wszędzie niemal taka sama.

Lodowce nigdy nie były całkiem suche. Trochę wody zawsze przeciekało w dół, a źródłem jej było topnienie spowodowane przez własny nacisk mas lodu. Woda wypełniała małe pęknięcia i szczeliny, a kiedy ochładzała się i zamarzała, rozszerzała się w różnych kierunkach. Szybkość tego ruchu zależała od pochyłości powierzchni lodowca, nie zaś od pochyłości gruntu pod spodem. Przy większym nachyleniu woda wewnątrz spływała szybciej. Lodowce rosły gwałtowniej zaraz po powstaniu, w pobliżu dużych mórz i oceanów lub w górach, gdzie wysokie szczyty zapewniały obfite opady śniegu. Zwalniały po urośnięciu,

ponieważ ich rozległa powierzchnia odbijała promienie słoneczne i powietrze nad ich centrum stawało się zimniejsze i chłodniejsze, co wpływało na zmniejszenie opadów śniegu.

Lodowce w górach na południu rozrosły się od wysokich szczytów, pokryły doliny do poziomu wysokich górskich przełęczy i przelały się przez nie. Podczas wcześniejszego okresu wzrostu górskie lodowce wypełniły głęboki rów oddzielający ich przedgórze od starodawnego masywu. Weszły na wyżynę i rozprzestrzeniły się aż do starych, zniszczonych gór północnego pasma. Lód cofnął się podczas okresowego ocieplenia - właśnie się kończącego - i stopił w nizinnej dolinie, tworząc wielką rzekę i długie jezioro morenowe, ale płaskowyżowy lodowiec, przez który mieli przejść, pozostał zamrożony.

Nie mogli zbudować ogniska bezpośrednio na lodzie i mieli zamiar użyć miskowej łódki jako podstawy dla rzecznych kamieni, które nieśli ze sobą, by na nich rozpaść ogień. Najpierw jednak musieli wysypać z łódki wszystkie płonące kamienie. Ayla podniosła mamucią skórę i nagle uświadomiła sobie, że równie dobrze mogli jej użyć. Nawet jeśli się trochę przypali, nie będzie to miało znaczenia. Ucieszyła się, że zabrała ją ze sobą. Wszyscy, włącznie z końmi, napili się trochę wody i coś zjedli.

Podczas postoju słońce całkowicie ukryło się za ciężkimi chmurami i zanim znowu wyruszyli w drogę, zaczął padać obfity, nieprzerwany śnieg. Północny wiatr był niepowstrzymanie przez lodową przestrzeń; nic mu nie stało na drodze na tym olbrzymim, płaskim masywie. Zaczynała się burza śnieżna.

Śnieg padał coraz gęściej, a siła wiatru z północnego zachodu nagle się wzmogła. Lodowate powietrze uderzyło w nich z taką siłą, że popchnęło ich, jakby byli równie nieważcy co otaczająca ich biała zasłona śnieżna.

- Chyba lepiej przeczekajmy to! - zawołał Jondalar, przekrzykując wycie wiatru.

Z wysiłkiem starali się postawić namiot, a lodowate podmuchy chwyciły ich małe schronienie, wrywały kołki z lodu, wydymały skóry i łopotały nimi. Gwałtowny, silny wiatr groził, że wyrwie skórzane płachty z rąk dwojga drobnych, żywych stworzeń, które próbowały przedostać się przez lodowiec i odważały się stać na drodze gwałtownej śnieżycy, jaka szalała na jego płaskiej powierzchni.

- Jak utrzymamy ten namiot? - spytała Ayla. - Czy zawsze tu jest tak źle?

- Nie przypominani sobie, by tak mocno kiedyś wiało, ale taka zawierucha nie jest niczym nadzwyczajnym.

Konie stały ze spuszczoneymi łbami, stoicko znosząc burzę. Obok nich Wilk kopał dla siebie jamę w śniegu.

- Może uda się tak postawić konia, by przytrzymał skraj namiotu, dopóki nie zabezpieczymy go porządnie kołkami - zaproponowała Ayla.

Skończyło się na tym, że użyli obu koni zarówno do wzniesienia prowizorycznego namiotu, jak i jego przytrzymania. Przerzucili skórzaną płachtę namiotową przez ich grzbiety, po czym Ayla nakłoniła Whinney, żeby stanęła na podgiętej krawędzi, mając nadzieję, że kobyła nie będzie się zanadto poruszać i nie puści płachty. Ayla i Jondalar przytulili się blisko do siebie, Wilk skulił się koło ich kolan i tak siedzieli, niemal pod brzuchami koni, na drugiej krawędzi namiotu, zagiętej pod nimi.

Zanim nawałnica minęła, zrobiło się ciemno i musieli przenocować w tym samym miejscu, najpierw jednak porządnie rozbili namiot. Rano Aylę zdziwiły ciemne plamy na krawędzi, na której stała Whinney. Zastanawiała się, skąd się wzięły, a jednocześnie szybko zwijali obóz, żeby wyruszyć jeszcze wczesnym rankiem.

Drugiego dnia przebyli większy kawałek drogi, pomimo konieczności wspinania się na wypchnięte bryły lodowe i obchodzenia wielu ziejących szczelin, które wszystkie szły w tym samym kierunku. Po południu znowu wyła burza, choć wiatr nie był tak gwałtowny jak poprzedniego dnia. Wcześniej też się skończyła i mogli ruszyć dalej późnym popołudniem.

Pod wieczór Ayla zauważyła, że Whinney kuleje. Serce zabiło jej szybciej i poczuła

przyptyw strachu, kiedy spojrzała uważniej i zobaczyła czerwone plamy na lodzie. Podniosła jedno kopyto Whinney i zbadała je. Było przecięte do żywego ciała i krwawiło.

- Jondalarze, spójrz na to. Ma pokaleczone nogi. Co się stało? Jondalar spojrzał, a potem zbadał kopyta Zawodnika. Znalazł ten sam rodzaj uszkodzeń i zachmurzył się.

- To pewnie od lodu - orzekł. - Lepiej obejrzyj także łapy Wilka.

Poduszki łap wilka też były pokaleczone, ale nie tak poważnie jak końskie kopyta.

- Co zrobimy? - spytała Ayła. - Są niezdolne do drogi, albo wkrótce będą.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, iż lód może być tak ostry, że pokaleczy im kopyta - powiedział zrozpaczony Jondalar. - Staralem się wszystko przewidzieć, ale o tym nie pomyślałem. - Jondalar był pełen poczucia winy.

- Kopyta są twarde, ale nie są z kamienia. Raczej przypominają paznokcie. Mogą zostać uszkodzone. Jondalarze, zwierzęta nie mogą iść dalej. Są tak pokaleczone, że po jeszcze jednym dniu marszu w ogóle nie będą mogły chodzić. Musimy im pomóc.

- Ale co możemy zrobić?

- No cóż, mam moją torbę znachorską. Mogę opatrzyć ich rany.

- Ależ nie możemy tu zostać, aż się zaleczą.. A jak tylko znowu zaczną chodzić, rany się odnowią. - Mężczyzna przerwał i przymknął oczy. Nie chciał nawet myśleć o tym, co samo się nasuwało, a tym bardziej wypowiadać tego na głos. Widział jednak tylko jedno wyjście. - Aylo, będziemy musieli je zostawić - powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił.

- Zostawić? Co to znaczy "zostawić"? Nie możemy zostawić Whinney ani Zawodnika. Gdzie znajdą wodę? I paszę? Tu nie ma co jeść, nawet czubków gałęzi. Umrą z głodu albo zamarzną. Nie możemy tego zrobić! - Na twarzy Ayli malowała się rozpacz. - Nie możemy ich tutaj zostawić! Nie możemy!

- Masz rację, nie możemy ich tak tutaj zostawić. To byłoby okrutne. Znadto by cierpiały... ale... mamy oszczepy i miotacze...

- Nie! Nie! - krzyknęła Ayła. - Nie pozwolę ci!

- To lepiej niż zostawić je tutaj na powolną śmierć, na cierpienie. Nie jest tak, że nikt nigdy nie polował na konie. Większość ludzi to robi.

- Ale nasze konie są inne. Whinney i Zawodnik to przyjaciele. Tyleśmy razem przeszli. Pomagali nam. Whinney uratowała mi życie. Nie mogę jej zostawić.

- Nie chcę ich zostawiać, tak samo jak i ty, ale co innego możemy zrobić? - Sama myślała o zabiciu ogiera, z którym od tak dawna podróżował, była niemal nie do zniesienia, a znała przecież uczucia Ayli wobec Whinney

- Zawróćmy! Po prostu pójdziemy z powrotem. Mówiłeś, że jest inna droga, dookoła!



- Już szliśmy po tym lodzie przez dwa dni i konie są właściwie niezdolne do dalszej drogi. Możemy spróbować zawrócić, ale boję się, że nie dojdą - powiedział Jondalar. Nie był również pewny, czy i Wilk da radę. Miał wyrzuty sumienia. - Przepraszam, Aylo. To moja wina. Pomysł przechodzenia przez lodowiec z końmi był całkowitą głupotą. Powinniśmy byli pójść dłuższą, okrężną drogą, ale obawiam się, że teraz jest już za późno.

Ayla zobaczyła, że ma łzy w oczach. Nieczęsto widziała go we łzach. Choć płacz nie był czymś niezwykłym dla mężczyzn Innych, Jondalar zawsze starał się ukrywać swoje uczucia. W pewien sposób czyniło to jego miłość do niej tym intensywniejszą. Otwierał się niemal całkowicie wyłącznie przed nią i tym bardziej go za to kochała, nie mogła jednak zrezygnować z Whinney. Ten koń był jej przyjacielem; jedynym przyjacielem, jakiego miała w dolinie przed przyjściem Jondalara.

- Musimy coś zrobić, Jondalarze! - łkała.

- Ale co? - Nigdy nie czuł się tak całkowicie bezradny, niezdolny do wymyślenia jakiegoś rozwiązania.

Ayla otarła oczy i zamarzające na policzkach łzy i powiedziała:

- No cóż, na razie mogę zająć się ich ranami. Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Wstała i wzięła torbę znachorską. - Musimy rozpalić porządne ognisko, dość gorące, żeby zagotować wodę, nie tylko stopić lód.

Zdjęła mamucią skórę znad brunatnego węgla w łódce i rozpostarła ją na lodzie. Zobaczyła plamy spalenizny, ale stara, gruba skóra nie była zniszczona. Ułożyła rzeczne kamienie w innym miejscu, ale blisko środka skóry, jako podstawę na ognisko. Przynajmniej nie muszą się martwić o oszczędzanie opału. Większość będą mogli zostawić.

Milczała, nie mogła mówić, a Jondalar również nie miał nic do powiedzenia. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne. Przemyślenia, plany i przygotowania przed tą wyprawą przez lodowiec po to tylko, żeby zatrzymało ich coś, czego nawet nie brali pod uwagę. Ayla wpatrywała się w nieduży ogień. Wilk podczołgał się do niej i zawył cicho, nie z bólu, ale dlatego, że wiedział, iż coś jest nie w porządku. Ayla jeszcze raz zbadała mu łapy. Nie były w zbyt złym stanie. Łatwiej mu było uważać, gdzie stawia łapy, i starannie wylizywał z nich śnieg i lód na każdym postoju. Nie chciała myśleć o jego utracie.

Od pewnego czasu nie wspominała Durca, choć pamięć i ból po nim były ciągle żywe. Teraz jej myśli pobiegły do niego. Czy zaczął już polować z klanem? Czy nauczył się używać procy? Uba z pewnością jest dla niego dobrą matką i opiekuje się nim, szyje mu ubrania, gotuje dla niego, robi mu ciepłą odzież zimową.

Ayla zadygotała z zimna i pomyślała o pierwszej zimowej odzieży, jaką zrobiła dla

niej Iza. Uwielbiała kapuzę z królika, którą nosiło się futrem do środka. Zimowe obuwie też miało futro wewnątrz. Przypomniała sobie, jak tupała i dreptała w miejscu w swoich nowych butach, i pamiętała, jak robiło się proste zimowe obuwie. To był po prostu kawałek skóry z futrem, zebrany i ściągnięty rzemykiem w kostce. Po pewnym czasie dopasowywały się do kształtu stopy, ale na początku były dość niezdarne, to jednak było częścią uroku nowych butów. Wpatrywała się nadal w ogień i czekała, aż woda się zagotuje. Coś jej nie dawało spokoju. Coś ważnego, tego była pewna. Coś o...

Nagle zachłysnęła się oddechem.

- Jondalarze! Och, Jondalarze! Wydawało mu się, że jest wstrząśnięta.

- Co jeszcze złego się stało, Aylo?

- Nic złego, stało się coś dobrego - krzyknęła. - Właśnie sobie coś przypomniałam!

Uznał, że zachowuje się dziwnie.

- Nie rozumiem - powiedział. Zastanawiał się, czy myśl o utracie koni nie zakłóciła jasności jej umysłu. Wyszarpnęła ciężką skórę mamucią spod paleniska, rozsypując na niej płonące węgle.

- Daj mi nóż, Jondalarze. Twój najostrzejszy nóż.

- Mój nóż?

- Tak, twój nóż. Zrobię buty dla koni!

- Co zrobisz?

- Zrobię buty dla koni i dla Wilka także. Z tej skóry mamuciej !

- Jak można zrobić buty dla koni?

- Wytnę krążki ze skóry, potem zrobię dziurki wokół krawędzi, przeciągnę rzemyk i zawiążę wokół pęciny koni. Skoro mamucia skóra chroni nasze nogi przed ostrym lodem, z pewnością ochroni je także - wyjaśniła Aylo.

Jondalar pomyślał przez chwilę, starając się sobie wyobrazić to, co opisała; potem uśmiechnął się.

- Aylo! To chyba zadziała. Na Wielką Matkę, to zadziała! Co za cudowny pomysł! Skąd ci to przyszło do głowy?

- W taki sposób Iza robiła buty dla mnie. Tak ludzie klanu robią obuwie. Rękawice także. Próbuję sobie przypomnieć, jakie buty mieli Guban i Yorga. Trudno powiedzieć, bo po pewnym czasie dopasowują się do kształtu stóp.

- Starczy tej skóry?

- Powinno. Zanim ognisko na nowo się rozpali, dokończę przygotowanie tego leku na ich rany i może zrobię trochę herbaty dla nas. Nie piliśmy niczego gorącego od dwóch dni i

pewnie nie będziemy mieli więcej okazji przed zejściem z lodowca. Musimy oszczędzać opał, ale kubek gorącej herbaty będzie teraz bardzo dobry.

- Myślę, że masz rację! - zgodził się z nią Jondalar, uśmiechał się i znakomicie się czuł.

Ayla bardzo starannie zbadała każde kopyto obu koni, obcięła poszarpane miejsca, nałożyła maść, którą przygotowała, i zawiązała na nich buty z mamuciej skóry. Z początku próbowały strząsnąć te dziwne rzeczy z kopyt, ale były bardzo mocno przywiązane i po pewnym czasie konie przyzwyczyły się do nich. Z kolei przymocowała skórzane kaptcie Wilkowi. Szarpał i żuł skórę, próbując pozbyć się zawady, ale on też po chwili przestał z nimi walczyć. Jego olbrzymie wilcze łapy były w znacznie lepszym stanie.

Następnego ranka ładunek był lżejszy; spalili sporo węgla brunatnego, a skórę mamucią zużyli na buty dla zwierząt. Podczas odpoczynku Ayla rozjuczyła konie, a potem wzięła sama nieco większy ciężar. Nie mogła jednak nieść nawet w przybliżeniu tyle, ile były w stanie unieść silne konie. Pomimo wędrowki ich kopyta zdawały się w lepszym stanie następnego ranka. Wilk zachowywał się całkowicie normalnie, i Ayla oraz Jondalar odetchnęli z wielką ulgą. Buty okazały się mieć jeszcze jedną, nieoczekiwaną zaletę: funkcjonowały jak rodzaj rakiet śnieżnych, tam gdzie śnieg był głębszy, i duże, ciężkie zwierzęta nie zapadały się tak głęboko.

Kolejne dni wędrowki wyglądały podobnie. Największy odcinek drogi pokonywali do południa, popołudnia przynosiły śnieg i wiatr o różnej intensywności. Czasami udawało im się jeszcze kawałek przejść po burzy, czasami musieli zostawać na noc w miejscu, w którym złapała ich popołudniowa burza. Raz musieli zatrzymać się na dwa dni, żadna jednak z burz śnieżnych nie była tak gwałtowna jak ta pierwszego dnia.

Powierzchnia lodowca nie była tak płaska i gładka, jak im się to wydawało pierwszego dnia w błyszczącym słońcu. Brnęli przez głębokie zasy miękkiego, suchego śniegu, naniesionego przez lokalne śnieżyce. W innych miejscach, tam gdzie wiatry oczyściły powierzchnię, potykali się o ostre występy i ześlizgiwali do płytkich rowów. Stopa potrafiła ugrząść w wąskiej szczelinie, a kostka wykręcić się na nierównej powierzchni. Nawałnice spadały na nich bez ostrzeżenia, ostre wiatry wiały niemal bez przerwy i stale obawiali się niewidocznych szczelin pokrytych kruchymi mostkami czy nawisami ze śniegu.

Obchodzili otwarte pęknięcia, szczególnie blisko centrum lodowca, gdzie w suchym powietrzu było tak mało wilgoci, że nie starczało śniegu do ich wypełnienia. I mróz, ostry, przejmujący do szpiku kości mróz nigdy nie ustępował. Oddech zamarzał im wokół ust; kropla wody, wylana z kubka, zamarzała, zanim docierała na ziemię. Wystawiona na surowe

wiatry i ostre słońce skóra ich twarzy popękała, łuszczyła się i poczerniała. Nieustannie groziły odmrożenia.

Przemęczenie zaczynało dawać o sobie znać. Pogorszyła się ich szybkość reakcji i zdolność osądu sytuacji. Wściekła burza, która zaczęła się popołudniem, trwała przez całą noc. Rano Jon-dalar chciał jak najszybciej wyruszyć. Stracili dużo więcej czasu, niż planowali. Przy tak ostrym mrozie stopienie lodu na wodę wymagało wyższej temperatury, i ich zapas płonących kamieni gwałtownie się zmniejszał.

Ayla przeszukiwała swoje nosidła; potem zaczęła szukać wokół śpiwora. Nie pamiętał, ile już dni byli na lodowcu, ale jej zdaniem było już tych dni zbyt wiele.

- Co robisz, Aylo? Pospiesz się! - burknął Jondalar.

- Nie mogę znaleźć moich osłon na oczy.

- Mówiłem ci, żebyś ich nie zgubiła. Chcesz oślepnąć? -Wybuchnął nagłym gniewem.

- Nie, nie chcę oślepnąć. Jak myślisz, dlaczego ich szukam? -odparowała mu Ayla. Jondalar chwycił jej śpiwór i gwałtownie nim potrząsnął. Drewniane gogle upadły na ziemię.

- Następnym razem pamiętaj, gdzie je kładziesz. A teraz ruszmy się wreszcie.

Szybko spakowali obóz, ale Ayla była obrażona i nie rozmawiała z Jondalarem. Podeszedł do niej i raz jeszcze sprawdził wszystkie wiązania, tak jak to zawsze robił. Ayla chwyciła postronek Whinney i poszła pierwsza, zabierając konia, zanim Jondalar miał szansę sprawdzić jej ładunek.

- Nie sądzisz, że sama wiem, jak załadować rzeczy na mojego konia? Powiedziałeś, że chcesz wreszcie ruszyć w drogę. Po co marnujesz czas? - rzuciła mu przez ramię.

Jondalar pomyślał gniewnie, że po prostu starał się zachować ostrożność. Ona przecież nawet nie zna drogi. Poczekajmy, aż zacznie chodzić w kółko. Wtedy przyjdzie i poprosi, żebym prowadził. Podążył za nią.

Ayla była przemarznięta i zmęczona wyczerpującym marszem. Brnęła do przodu, nie zwracając uwagi na otoczenie. Jeśli tak mu na tym zależy, no to się pospieszę - myślała. Jeśli kiedykolwiek zejdziemy z tego lodu, mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę lodowca.

Wilk nerwowo biegał między Ayla na przodzie i Jondalarem z tyłu. Nie podobała mu się ta nagła zmiana szyku marszowego. Wysoki mężczyzna zawsze szedł na przodzie. Wilk wybiegł przed kobietę, która brnęła na oślep, obojętna na wszystko poza mrozem i własnymi urażonymi uczuciami. Wilk zatrzymał się nagle tuż przed nią, blokując jej drogę.

Ayla obeszła go, prowadząc za sobą kobyłę. Obiegł ją i znowu zatrzymał się przed nią. Zignorowała go. Szarpnął ją za noga-wicę; odsunęła go na bok. Przebiegł kawałek do przodu, usiadł i zaskomlał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Przeszła koło niego. Popędził z powrotem

do Jondalara, zatańczył tuż przed nim na tylnych łapach i zawył, podbiegł kilka kroków w kierunku Ayli, znowu zawył i zawrócił znowu do Jondalara.

- Co jest, Wilk? - spytał Jondalar, który wreszcie zauważył podniecenie zwierzęcia.

Nagle usłyszał przerażający dźwięk, przytłumiony łoskot. Gwałtownie podniósł głowę i zobaczył przed sobą fontannę lekkiego śniegu.

- Nie! Och, nie! - zawołał i rzucił się do przodu. Kiedy śnieg opadł, ujrzał samotne zwierzę stojące na krawędzi ziejącej rozpadliny. Wilk podniósł łeb i zawył przeciągłym, zrozpaczonym wyciem.

Jondalar rzucił się na ziemię na krawędzi rozpadliny i spojrzał w dół.

- Aylo! - zawołał z rozpaczą. - Aylo! - W żołądku czuł ciężki kamień. Wiedział, że to jest beznadziejne. Nigdy go nie usłyszysz. Leżała martwa na dnie głębokiej szczeliny w lodzie.

- Jondalarze?

Z daleko doszedł go cichutki, przestraszony głos.

- Aylo? - Z przypiływem nadziei jeszcze raz spojrzał w dół. Głęboko w szczelinie, na wąskiej półce z lodu, która wystawała ze ściany głębokiego rowu, stała przerażona kobieta. - Aylo, nie ruszaj się! - rozkazał. - Stój bez ruchu. Ta półka także może się oberwać.

Żyje - pomyślał. Trudno w to uwierzyć. To cud. Ale jak ją stamtąd wydostanę?

Wewnątrz lodowej przepaści Ayła przytuliła się do ściany, trzymając się mocno występow i szpar, sparaliżowana ze strachu. Brnęła przez sięgający do kolan śnieg, pogrążona we własnych myślach. Była zmęczona, zmęczona tym wszystkim: zmęczona zimnem, zmęczona walką o każdy krok w głębokim śniegu, zmęczona lodowcem. Marsz po lodzie wyczerpał całą jej energię i była zmordowana do ostatnich granic. Choć nie ustawała w marszu, marzyła wyłącznie o dojściu do końca potężnego lodowca. Z ponurych rozmyślań wyrwał ją głośny trzask. Lód obsunął jej się spod stóp i nagle przypomniało jej się trzęsienie ziemi sprzed wielu lat. Instynktownie starała się czegoś chwycić, ale spadający śnieg i lód nie dawały żadnego oparcia. Czuła, że spada, niemal dusząc się w lawinie śniegu, ze śnieżnego mostu, który się pod nią załamał, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób znalazła się na wąskiej lodowej półce.

Spojrzała w górę, obawiając się nawet tego ruchu ze strachu, że zmiana w rozłożeniu wagi jej ciała może obluzować jej niepewną podporę. Ponad nią niebo było niemal czarne i zdawało jej się, że dostrzega niewyraźne migotanie gwiazd. Od czasu do czasu odłamek lodu czy garstka śniegu odrywały się powoli od krawędzi i spadające w dół drobinki obsypywały wystraszoną kobietę.

Występ, na którym stała, stanowił część starszej warstwy, od dawna zagrzebanej pod

śniegiem. W istocie był to duży, poszarpany głaz narzutowy, który został oderwany od solidnej skały, kiedy lód powoli wypełniał dolinę. Majestatycznie płynąca rzeka lodu zbierała wielkie ilości ziemi, piachu, żwiru oraz głazów i z wolna przesuwała do środka, gdzie prąd był szybszy. Moreny te formowały na powierzchni długie wstęgi rumowiska, w miarę tego, jak przesuwały się razem z prądem. Kiedy temperatura podniesie się z czasem na tyle, by stopić potężne lodowce, zostaną po nich wały morenowe, składające się z nieposegregowanych bloków i okruchów skalnych.

Czekała, bojąc się poruszyć i stojąc absolutnie nieruchomo, i słyszała ciche szemrania oraz przytłumione dudnienia z wnętrza głębokiej lodowej rozpadliny. Z początku myślała, że się przesłyszała. Masa lodowa nie była jednak tak solidna, jak się wydawało na jej twardej powierzchni. Bez ustanku dopasowywała się, rozszerzała, zmieniała i przesuwała. Nagły huk przy otwarciu nowej szczeliny czy też zamknięciu się innej na powierzchni lub we wnętrzu lodowca wzbudzał drgania przebiegające przez całą, dziwnie lepka masę. Wielkie góry z lodu były podziurawione katakumbami: korytarze kończyły się nagle, długie galerie zakręcały się i wiły, wznosiły w górę lub opadały w dół; kieszonki i jaskinie otwierały się i nagle zamykały.

Ayla zaczęła rozglądać się na boki. Lodowe ściany żarzyły się jasnym, niesłychanie intensywnie niebieskim światłem, w którym były też głębokie odcienie zielonego. Z nagłym wstrząsem uświadomiła sobie, że widziała już przedtem ten kolor, ale tylko w jednym miejscu. Oczy Jondalara były tego samego, intensywnie niebieskiego koloru! Tęskniła, by je znowu zobaczyć. Popękane płaszczyzny wielkiego lodowego kryształu dawały wrażenie tajemniczych, migotliwych ruchów tuż poza jej polem widzenia. Zdawało jej się, że jeśli wystarczająco szybko obróci głowę, zobaczy jakieś efemeryczne kształty znikające w lśniących ścianach. Była to jednak tylko iluzja, gra kątów i światła. Krystaliczny lód odfiltrowywał niemal całe czerwone spektrum ze światła słonecznego i zostawiał tylko głęboki kolor niebieskozielony, krawędzie zaś i płaszczyzny zabarwionych lustrzanych połączeń bawiły się w załamywanie światła i odbijanie jedna drugiej.

Ayla poczuła nowy prysznic ze śniegu i spojrzała w górę. Zobaczyła głowę Jondalara, wystającą poza krawędź rozpadliny, a potem długi sznur zaczął się ześlizgiwać w jej kierunku.

- Zawiąż sznur wokół pasa, Aylo, i upewnij się, że mocno związałaś węzły. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa.

Jondalar ugryzł się w język; znowu to zrobił. Dlaczego zawsze musi ją sprawdzać, skoro wie, że Ayla jest w pełni zdolna wykonać to sama? Po co mówi jej całkowicie oczywiste rzeczy? Sama dobrze wie, że sznur musi być mocno związany. To dlatego tak się

rozniewała i pomaszerowała przodem, a teraz znalazła się w niebezpieczeństwie... ale powinna jednak być rozsądniejsza.

- Jestem gotowa, Jondalarze! - zawołała Ayla po owinięciu się sznurem i zawiązaniu go na wiele supłów. - Te supły się nie rozwiążą.

- Dobrze. Teraz trzymaj się sznura. Wciągniemy cię.

Ayla poczuła, że sznur się napiął i uniósł ją z półki. Stopy kiwały jej się w powietrzu, powoli przesuwano się w kierunku krawędzi rozpadliny. Zobaczyła twarz Jondalara i jego piękne niebieskie oczy, pełne przerażenia. Chwyła jego rękę, pomógł jej przeleźć przez krawędź. Znowu była na powierzchni, a Jondalar niemal rozgniał ją w swoich ramionach. Przywarła do niego ze wszystkich sił.

- Myślałem, że cię już nic nie uratuje. Przepraszam, że na ciebie krzychałem. Wiem, że potrafisz załadować swojego konia. Ja się po prostu zanadto wszystkim przejmuję.

- Nie, to moja wina. Nie powinnam być tak nieostrożna z osłonami na oczy. I za nic nie powinnam była tak pobiec naprzód. Nie znam dobrze lodu.

- Ale ja ci pozwoliłem, a powinienem był mieć więcej rozsądku.

- Powinnam była mieć więcej rozsądku - powiedziała jednocześnie Ayla. Oboje uśmiechnęli się na tę niezamierzoną zgodność słów.

Ayla poczuła szarpnięcie w pasie i zobaczyła, że drugi koniec sznura był przymocowany do brązowego ogiera. Zawodnik wyciągnął ją z rozpadliny. Próbowała rozwiązać węzły przy pasie, a Jondalar trzymał ogiera. Wreszcie musiała nożem przeciąć sznur. Zrobiła tyle supłów i ściągnęła je tak mocno - a zacisnęły się dodatkowo podczas podnoszenia - że nie dawały się rozwiązać.

Po okrążeniu szczeliny, która niemal spowodowała nieszczęście, poszli dalej przez lód na południowy zachód. Coraz bardziej martwili się kurczeniem zapasu płonących kamieni.

- Jak daleko mamy jeszcze do drugiej strony, Jondalarze? - spytała Ayla rano, kiedy stopiła wodę dla wszystkich. - Nie zostało nam zbyt dużo płonących kamieni.

- Wiem. Miałem nadzieję, że już tam będziemy. Burze nas opóźniły bardziej, niż sądziłem, i martwię się, że pogoda się zmieni, jak jeszcze będziemy na lodzie. To może się zdarzyć bardzo szybko. - Jondalar uważnie przyjrzał się niebu. - Boję się, że przyjdzie już wkrótce.

- Dlaczego?

- Zastanawiałem się nad tą głupią sprzeczką, zanim wpadłaś w szczelinę. Pamiętasz, jak wszyscy nas ostrzegali przed złymi duchami, które lecą u czoła stapiacza lodu?

- Tak! Solandia i Yerdegia mówiły, że się jest wtedy bardzo rozdrażnionym, a ja byłam rozdrażniona. Nadal jestem. Dostyc mam tego lodu, zmuszam się do dalszego marszu. Czy to może o to chodzić?

- Nad tym się właśnie zastanawiałem. Aylo, jeśli to jest prawda, to musimy się spieszyć. Jeśli fen złapie nas na lodowcu, możemy wpaść w jakąś szczelinę.

Starali się bardziej oszczędzać brunatny węgiel i pili wodę zaledwie stopioną. Oboje zaczęli nosić pod kurtami bukłaki pełne śniegu, żeby ciepłem ciała stopić nieco wody dla siebie i Wilka. Oszczędności jednak nie były wystarczające. Nie mogli w ten sposób stopić dość wody dla koni i kiedy spalili ostatnie płonące kamienie, nie mieli ich czym poić. Skończyła im się również pasza, ale woda była ważniejsza. Ayla zauważyła, że konie zaczęły ssać lód, i bardzo się tym niepokoiła. Odwodnienie i jedzenie lodu mogło je tak oziębic, że nie będą w stanie utrzymać wystarczającej temperatury ciała, by nie zamarznąć na lodowcu.

Po rozbiciu namiotu oba konie przyszły do niej po wodę, ale mogła im dać wyłącznie parę łyków ze swojego przydziału i odłamać kilka kawałków lodu. Tego dnia nie było popołudniowej burzy i szli bez przerwy, aż zrobiło się tak ciemno, że niewiele widzieli. Przebyli tego dnia spory kawałek drogi i powinna była się z tego cieszyć, ale ogarnął ją dziwny niepokój. Trudno jej było zasnąć. Próbowwała otrząsnąć się z tego nastroju, wmawiała w siebie, że po prostu niepokoi się o konie.

Również Jondalar długo leżał bezsennie. Zdawało mu się, że horyzont się przybliżył, bał się jednak, że tylko to sobie wyobraża, i nie chciał o tym wspominać. Wreszcie zdrzemnął się, lecz zbudził się znowu w środku nocy i stwierdził, że również Ayla nie śpi. Wstali przy pierwszej, nieznacznej zmianie czerni w błękit i ruszyli w drogę, kiedy gwiazdy jeszcze były na niebie.

Późnym porankiem wiatr zmienił kierunek i Jondalar był teraz pewny, że sprawdziły się jego najgorsze obawy. Wiatr nie tyle był ciepły, ile mniej zimny i wiał z południa.

- Prędzej, Aylo! Musimy się spieszyć - powiedział i niemal zaczął biec. Kiwnęła głową i dotrzymała mu kroku.

W południe niebo było czyste, a rześki wiatr, który owiewał im twarze, wydawał się niemal gorący. Wichura wzmogła się na tyle, że zwolniła ich marsz, i szli, pochylając się, pod wiatr. Ciepło, owiewające mroźną powierzchnię lodu, było śmiertelną pieszczotą. Zasy suchego śniegu stały się mokre i zbite i wkrótce zmieniły się w breję. Małe kałuże wody zaczęły pojawiać się w zagłębieniach. Pogłębiały się i nabierały żywego, niebieskiego koloru, który zdawał się emanować ze środka lodu, ale idący ludzie nie mieli czasu ani serca na podziwianie tego zjawiska.



Konie z łatwością zaspokajały swoje pragnienie, ale teraz było to małą pociechą.

Podniosła się delikatna mgła, która utrzymywała się blisko powierzchni lodu; ciepły południowy wiatr znosił ją, zanim zdołała się wznieść zbyt wysoko. Jondalar wymacał drogę przed sobą długim oszczepem, ale i tak niemal biegł. Ayla z trudem nadążała. Marzyła o wskoczeniu na grzbiet Whinney i pozwoleniu kobyle na zabranie jej stąd, ale w lodzie pokazywało się coraz więcej pęknięć. Jondalar był niemal pewien, że horyzont się przybliżył, ale nisko leżąca mgła zakłócała ocenę odległości.

Po powierzchni lodu zaczęły płynąć małe potoczki, które łączyły rozlane kałuże; było zdradliwie ślisko. Rozbryzgując wodę na wszystkie strony, szli do przodu i czuli lodowaty chłód, który przenikał, a potem chlupotał im w butach. Nagle, o kilka kroków przed nimi, odpadła duża połać, zdawało się, solidnego lodu, otwierając ziejącą przepaść. Wilk szczeknął i zawył, konie się spłoszyły, rżąc ze strachu. Jondalar skręcił i szedł wzdłuż krawędzi rozpadliny, szukając drogi wokół niej.

- Jondalarze, ja już nie mogę. Jestem wykończona. Muszę odpocząć - powiedziała Ayla łkającym głosem i nagle się rozplakała. - Nigdy już nie dojdziemy

Zatrzymał się, zawrócił i zaczął ją pocieszać.

- Prawie jesteśmy na miejscu, Aylo. Popatrz. Widzisz, jak blisko jest krawędź lodu?

- Ale omal nie wpadliśmy do szczeliny, a niektóre kałuże zrobiły się niebieskimi dziurami i wpadają do nich strumienie.

- Chcesz zostać tutaj? Ayla odetchnęła głęboko.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wiem, czemu tak płaczę. Jeśli zostaniemy tutaj, to z pewnością zginiemy

Jondalar znalazł drogę wokół dużej rozpadliny, ale kiedy znowu zawrócili na południe, zaczął wiać wiatr o sile równej poprzednim, północnym podmuchom i poczuli, że temperatura jeszcze wzrosła. Strumyki zamieniły się w potoki, które płynęły po lodzie we wszystkie strony i rozrastały się w rzeki. Ominęli jeszcze dwa duże pęknięcia i zobaczyli widok poza lodowcem. Przebiegli ostatni kawałek drogi i spojrzeli w dół. Dotarli na drugą stronę.

Wodospad mlecznomętnej wody, mleko lodowcowe, był tuż pod nimi, wytryskując z podstawy lodowca. W oddali, poniżej linii śniegu, zobaczyli cienką pokrywę jasnej zieleni.

- Chcesz tu przez chwilę odpocząć? - spytał Jondalar, ale wyglądał na zaniepokojonego.

- Chcę tylko zejść z tego lodu. Możemy odpocząć, kiedy dojdziemy do tej łąki.

- Jest dalej, niż ci się zdaje. To nie jest miejsce, w którym można się spieszyć czy być

nieostrożnym. Zwiążemy się razem sznurami i myślę, że powinnaś iść pierwsza. Jeśli się poślizgniesz, mogę utrzymać twój ciężar. Idź ostrożnie. Możemy prowadzić konie.

- Nie, chyba nie powinniśmy. Lepiej zdjąć z nich ładunki, całą uprzęż i włók, i pozwolić im samym na znalezienie drogi -powiedziała Ayla.

- Może masz rację, ale wtedy musielibyśmy zostawić tu wszystkie rzeczy... chyba...

Ayla zobaczyła, na co miał skierowany wzrok.

- Włóżmy wszystko do łódki i spuścimy ją na dół!

- Poza małą paczką absolutnie niezbędnych rzeczy, którą możemy wziąć ze sobą - dodał z uśmiechem.

- Jeśli wszystko przywiążemy i będziemy patrzeć, w którą stronę zjeżdża, to będziemy ją mogli potem znaleźć.

- A jeśli się połamie?

- Co się może połamać?

- Rama może pęknąć - odparł Jondalar. - Ale nawet jeśli pęknie, skóra prawdopodobnie utrzyma wszystko razem.

- I wszystko, co będzie w środku, nadal będzie bezpieczne?

- Powinno. - Jondalar uśmiechał się. - Myślę, że to dobry pomysł.

Po przepakowaniu łódki Jondalar podniósł małą paczuszkę z niezbędnymi przedmiotami, a Ayla podprowadziła Whinney. Ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, szli wzdłuż krawędzi, szukając drogi w dół. Jakby w zadośćuczynieniu za wszystkie opóźnienia i niebezpieczeństwa, które przetrwali podczas przeprawy, wkrótce znaleźli niezbyt ostre zbocze wału morenowego, pełne żwiru, które dawało możliwości zejścia. Znajdowało się tuż obok bardziej stromej zbocza z lodu. Podciągnęli tam łódkę; Ayla odczepiła włók. Zdjęli uprzęż z obu koni, ale zostawili im buty ze skóry mamuciej. Ayla sprawdziła, czy są bezpiecznie zawiązane; dopasowały się do kształtu końskich kopyt i przylegały teraz dokładnie. Podprowadzili konie na szczyt moreny.

Whinney parsknęła i Ayla zawołała ją jej końskim imieniem, najbardziej jej znajomym, oraz przemówiła językiem gestów i końskich dźwięków.

- Whinney, musisz sama odszukać drogę w dół. Nikt inny nie potrafi znaleźć oparcia dla twoich kopyt tak dobrze jak ty sama.

Jondalar uspokajał młodego ogiera. Zejście będzie niebezpieczne, wszystko może się zdarzyć, ale przynajmniej udało im się przeprowadzić konie na drugą stronę. Na dół muszą zejść same. Wilk biegał nerwowo tam i z powrotem wzdłuż krawędzi lodowca. Zachowywał się tak samo jak wtedy, gdy bał się wskoczyć do rzeki.

Ponaglana przez Aylę Whinney pierwsza przeszła przez krawędź, ostrożnie szukając drogi w dół. Zawodnik szedł tuż za nią i wkrótce ją wyprzedził. Zwierzęta doszły do śliskiego miejsca, nabrały prędkości i szybko zaczęły się obsuwać. Znajdą się na dole bezpiecznie - albo nie - zanim dotrą tam Ayla z Jondalarem.

Wilk z podkulonym ogonem zawodził na szczycie, nie wstydząc się okazać strachu na widok schodzących koni.

- Zepchnijmy łódkę i ruszajmy. Na dół jest daleko i nie będzie to łatwa droga - powiedział Jondalar.

Kiedy podepchnęli łódkę bliżej stromego lodowego zbocza, Wilk nagle do niej wskoczył.

- Myśli pewnie, że przygotowujemy się do przeprawy przez rzekę - rzekła Ayla. - Tak bym chciała, żebyśmy mogli spłynąć w dół po tym lodzie.

Jednocześnie spojrzeli na siebie i zaczęli się uśmiechać.

- Jak myślisz? - spytał Jondalar.

- Dlaczego nie? Powiedziałaś, że się nie rozpadnie.

- A my?

- Spróbujmy, to zobaczymy!

Przełożyli inaczej rzeczy, żeby zrobić miejsce, i wleźli do łódki razem z Wilkiem. Jondalar posłał cichą prośbę do Matki i jednym z drągów z włóka odepchnął łódkę.

- Trzymaj się! - krzyknął, kiedy łódka zachwiała się na krawędzi.

Od razu nabrali szybkości i na początku zjeżdżali prosto w dół. Potem uderzyli w jakiś występ i łódka odbiła się oraz obróciła wokół swej osi. Zboczyli, podjechali pod nieduże wzniesienie i nagle znaleźli się w powietrzu. Oboje krzyczeli z pełnym strachem i podnieceniem. Wylądowali ze wstrząsem, który podrzucił ich wszystkich, włącznie z wilkiem, i łódka znowu okręciła się dookoła, podczas gdy oni kurczowo trzymali się burt. Wilk próbował leżeć płasko na dnie i jednocześnie wystawiać nos za burtę.

Ayla i Jondalar trzymali się ze wszystkich sił; tylko tyle mogli zrobić. W żaden sposób nie panowali nad okrągłą łódką, która pędziła w dół po zboczu lodowca. Pędziła zygzakami, odbijała się i kręciła w kółko, jakby podskakując z radości, ale była ciężko obciążona, wystarczająco, by się nie wywrócić. Mężczyzna i kobieta krzyczeli mimowolnie, ale nie mogli powstrzymać uśmiechów. To była najszybsza, najbardziej podniecająca jazda, jakiej zaznali w życiu, ale jeszcze się nie skończyła.

Nie pomyśleli o tym, gdzie się skończy, i kiedy zbliżali się do podnóża, Jondalar przypomniał sobie, że na ogół duża szpara oddzielała lodowiec od gruntu poniżej. Twarde

lądownie na żwirze mogło ich wyrzucić i spowodować poważne obrażenia albo jeszcze gorzej. Pierwsze dźwięki, jakie usłyszał, nie zrobiły na nim wrażenia. Dopiero kiedy z twardym podskokiem i ogromnym pluskiem wpadli w środek ryczącego wodospadu mętnej wody, zrozumiał, że ich zjazd po mokrym, śliskim lodzie doprowadził ich ku rzece wody roztopowej, która tryskała z podstawy lodowca.

Wylądowali u podstawy wodospadu z kolejnym pluskiem i wkrótce spokojnie popłynęli środkiem małego jeziora mętnej zielonej wody roztopowej. Wilk był tak szczęśliwy, że skakał między nimi i oblizywał im twarze. Wreszcie usiadł, uniósł łeb i zawył z radości.

Jondalar spojrział na siedzącą kobietę.

- Aylo, daliśmy radę! Daliśmy radę! Przeszliśmy lodowiec! Przytaknęła z szerokim uśmiechem.

- Ale ten zjazd był niebezpieczny - dodał. - Mogło nas poranić czy wręcz zabić.

- Może to było niebezpieczne, ale zabawa była wspaniała - odparła Ayła, której oczy nadal błyszczały podnieceniem.

Jej entuzjazm był zaraźliwy i mimo całego niepokoju o bezpieczne doprowadzenie jej do domu musiał się uśmiechnąć.

- Masz rację. To było wspaniałe przeżycie i w jakimś sensie właściwe zakończenie. Nigdy więcej nie będę chyba próbował przeprawy przez lodowiec. Dwa razy w jednym życiu to zupełnie wystarczy. Cieszę się jednak, że to zrobiłem, i będę mógł o tym opowiadać, a tej jazdy nigdy nie zapomnę.

- Teraz zostaje nam tylko dostanie się na ląd - powiedziała Ayła i pokazała w kierunku brzegu - a potem znalezienie Whin-ney i Zawodnika.

Słońce chyliło się ku zachodowi i pomiędzy jego oślepiającym światłem a zwodnymi cieniami zmierzchu na horyzoncie trudno było cokolwiek zobaczyć. Wieczorny chłód znowu obniżył temperaturę poniżej punktu zamarzania. Na obrzeżach jeziora widzieli bezpieczny czarny szlam pokrywający twarde grunty, zmieszany z płatami śniegu, ale nie wiedzieli, jak się tam dostać. Nie mieli żadnego wiosła, a drągi zostawili na szczycie.

Jezioro jednak tylko na oko było nieruchome; prąd denny, powodowany przez spływy z lodowca, powoli popychał ich do brzegu. Gdy znaleźli się już blisko, wyskoczyli z łódki i wyciągnęli ją na ląd. Wilk otrząsnął się, rozpryskując wodę, ale ani Ayła, ani Jondalar nie zwrócili na to uwagi. Obejmowali się z radości i ulgi, że wreszcie naprawdę dosięgnęli stałego lądu.

- Daliśmy radę! Niemal jesteśmy w domu. Niemal jesteśmy w domu - powtarzał

Jondalar. Trzymał Aylę w ramionach i był wdzięczny, że jest z nim razem i że może ją obejmować.

Śnieg wokół jeziora zaczynał na nowo zamarzać, zmieniając wilgotną breję w twardey lód. Trzymając się za ręce, przeszli w zapadającej ciemności przez żwir i dotarli do suchego terenu. Nie było tam drewna na opał, ale się tym nie przejmowali. Zjedli trochę podróźnej żywności i popili wodą z bukłaków. Rozpięli namiot i rozłożyli futrzane śpiwory, ale zanim się położyli, Ayla spojrzała jeszcze na mroczny krajobraz, zastanawiając się, gdzie są konie.

Gwizdnęła na Whinney. Miała nadzieję, że usłyszy dźwięk kopyt, ale konie się nie pojawiły. Spojrzała w górę na kłębiące się chmury i gwizdnęła znowu. Było zbyt ciemno na szukanie ich teraz; będą z tym musieli poczekać do rana. Ayla wpełzła do futer obok leżącego Jondalara i wyciągnęła rękę do wilka, który zwinął się w kłębek z jej strony pościania. Pomyślała jeszcze raz o koniach i zapadła w głęboki sen.

Mężczyzna spojrzał na rozrzucone blond włosy kobiety. Jej głowa leżała wygodnie w zagłębieniu jego ramienia. Zrezygnował z natychmiastowego wstawania. Nie było już potrzeby pośpiechu, ale po niepokojach została jakaś dziwna pustka. Musiał sobie powtarzać, że przeszli już lodowiec; nie muszą się więcej spieszyć. Jeśli chcą, mogą leżeć w futrach przez cały dzień.

Lodowiec został za nimi i Ayla jest bezpieczna. Zadrżał na wspomnienie wypadku i mocniej ją objął. Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Uwielbiała na niego patrzeć. Przyćmione światło wewnątrz namiotu łagodziło intensywność jego niebieskich oczu, a jego czoło - tak często pomarszczone w skupieniu czy niepokoju - było teraz gładkie. Przejechała lekko palcami po czole i reszcie twarzy

- Wiesz, zanim cię zobaczyłam, próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda mężczyzna. Nie mężczyzna z klanu, ale taki jak ja. Nigdy mi się to nie udawało. Jesteś piękny, Jondalarze.

Jondalar roześmiał się.

- Aylo, kobiety są piękne, nie mężczyźni,

- Jacy są w takim razie mężczyźni?

- Możesz powiedzieć, że ktoś jest silny albo odważny.

- Jesteś silny i odważny, ale to nie to samo, co piękny. Jak określisz mężczyznę, który jest piękny?

- Przystojny, chyba. - Jondalar był nieco zażenowany. Aż nazbyt często nazywano go przystojnym.

- Przystojny. Przystojny - powtórzyła Ayla. - Wolę "piękny". Piękny, to rozumiem.

Jondalar roześmiał się znowu, donośnym, serdecznym śmiechem. Ta niepowstrzymana radość była niespodziewana i Ayla złapała się na tym, że się na niego gapi. Był tak poważny podczas całej podróży. Uśmiechał się, ale rzadko śmiał się głośno.

- Jeśli chcesz mówić na mnie: piękny, to proszę bardzo - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Jak mogę mieć zastrzeżenia, kiedy piękna kobieta mówi, że jestem piękny?

Ayla czuła, że całe ciało dygotało mu ze śmiechu, i sama zachichotała.

- Uwielbiam, kiedy się śmiejesz, Jondalarze.

- A ja uwielbiam ciebie, zabawna kobieto.

Trzymał ją nadal, kiedy przestali się śmiać. Czuł dotyk jej ciepłych, pełnych piersi, dotknął jednej i jednocześnie zaczął ją całować. Wsunęła język w jego usta i gwałtownie go zapragnęła. Zdała sobie sprawę, że nie miała go od tak dawna. Przez cały czas na lodowcu oboje byli tak niespokojni i wyczerpani, że nie byli w nastroju i nie potrafili się wystarczająco odprężyć, aby taki nastrój wytworzyć.

Wyczuł jej podniecenie i nagły przyływ własnego pragnienia. Przewrócił ją na plecy, nie przerywając pocałunku; odsunął futra i całował jej szyję, kark i piersi. Zamknął wargi na jednym twardym sutku i zaczął ssać.

Jęknęła, kiedy ostry dreszcz niewiarygodnej przyjemności przeszył ją z taką intensywnością, że z trudem chwytiała oddech. Osłupiała na swoją własną reakcję. Zaledwie jej dotknął, a już była gotowa i tak chętna. Czy naprawdę od tak dawna tego nie robili? Przycisnęła się do niego.

Jondalar sięgnął w dół, żeby dotknąć miejsca przyjemności między jej udami, wyczuł twardy wzgórek i potarł. Krzyknęła kilka razy i nagle osiągnęła szczyt. Była gotowa, czekała na niego.

Poczuł nagły przyływ ciepłej wilgoci i zrozumiał jej gotowość. Jego potrzeba wzrosła i dorównywała jej. Odpychając futra, żeby nie zawadzały, otworzyła się dla niego. Wyprężoną męskością sięgnął w jej głębię i wszedł.

Przyciągnęła go do siebie. Usłyszał krzyk zachwytu. Potrzebowała go i to, co czuł, przekraczało rozkosz, było czymś więcej niż przyjemnością.

Był równie gotowy co i ona. Wysunął się, wszedł z powrotem, a potem już tylko jeszcze jeden raz i nagle nie było możliwości powstrzymania. Poczuł, że fala się podnosi, dociera i przelewa. Skończył kilkoma ostatnimi ruchami i odprężył się, leżąc na niej.

Leżała spokojnie z zamkniętymi oczyma, czuła na sobie jego ciężar i było jej cudownie. Nie chciała się poruszyć. Kiedy wreszcie uniósł się i spojrzał na nią, musiał ją

pocałować. Otworzyła oczy.

- To było cudowne, Jondalarze.

- Szybko poszło. Byłaś gotowa, oboje byliśmy gotowi. I przed chwilą miałaś taki przedziwny uśmiech na twarzy.

- To dlatego, że jestem taka szczęśliwa.

- Ja też - powiedział, pocałował ją jeszcze raz i przetoczył się na bok.

Leżeli spokojnie razem i znowu się zdrzemnęli. Jondalar obudził się pierwszy i patrzył na nią, jak spała. Dziwny uśmiezek pojawił się znowu i chciał wiedzieć, o czym śni. Nie mógł się oprzeć. Delikatnie ją pocałował i pogłaskał jej piersi. Otworzyła oczy. Źrenice miała rozszerzone, oczy ciemne i pełne głębokich tajemnic.

Pocałował obie powieki, potem ucho i piersi. Uśmiechnęła się, kiedy sięgnął w dół i pogłaskał miękkie włoski. Była wrażliwa, ale nie całkiem gotowa, i zapragnął nagle, by był to dopiero początek, nie zaś zakończenie. Nagle przycisnął ją gwałtownie, zaczął całować, głaskać całe ciało, piersi, biodra, uda. Nie mógł utrzymać rąk z dala od niej, jak gdyby wypadek, w którym niemal ją utracił, spowodował potrzebę równie głęboką co rozpadlina, która ją niemal zabrała. Nie mógł się jej dość nadotykać, dość mocno trzymać, dość kochać.

- Nigdy nie myślałem, że potrafię pokochać - powiedział, znowu się rozprężył i leniwie głaskał jej zagłębienie talii z tyłu oraz gładkie pośladki. - Dlaczego musiałem wędrować aż poza ujście Wielkiej Matki Rzeki, żeby znaleźć kobietę, którą mogłem pokochać?

Myślał o tym od momentu obudzenia się i uświadomienia sobie, że są niemal w domu. Dobrze było mieć lodowiec za sobą, ale teraz był pełen wyczekiwania, ciekaw, jak się ma jego rodzina i przyjaciele, i bardzo już chciał ich zobaczyć.

- Ponieważ mój totem przeznaczył cię dla mnie. Lew Jaskiniowy cię prowadził.

- W takim razie dlaczego Matka spowodowała, że urodziliśmy się tak daleko od siebie?

Ayla uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Uczyłam się, ale nadal wiem bardzo mało o drogach Matki, a niewiele więcej o opiekuńczych duchach totemów klanu, ale jedno wiem na pewno: znalazłeś mnie.

- A potem niemal cię straciłem. - Ogarnął go nagły strach. - Aylo, co począłbym, gdybym cię stracił? - Głos miał ochryply z emocji, które rzadko pokazywał tak otwarcie. Odwrócił się, przykrył jej ciało swoim i schował twarz w jej włosach. Trzymał ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać. - Co począłbym bez ciebie?

Przycisnęła się do niego. Pragnęła znaleźć sposób, by stać się jego częścią, i z

wdzięcznością otworzyła się dla niego, kiedy poczuła jego nabrzmiewającą potrzebę. Wzięła ją z gwałtownością równą jego miłości, a ona oddała mu się z równie wielką gorliwością.

Wszystko poszło jeszcze szybciej i napięcie ich niepohamowanych uczuć przeszło - wraz z wybuchem wyzwolenia - w gorącą lunę. Przytrzymała go, kiedy poruszył się, w próbie przedłużenia intensywności chwili.

- Nie chciałam żyć bez ciebie, Jondalarze - powiedziała Ayla, nawiązując do rozmowy, którą przerwali na miłość. - Część mnie poszłaby z tobą do świata duchów i nigdy już nie byłabym cała. Ale my mamy szczęście. Pomyśl o tych wszystkich, którzy nigdy nie znajdują miłości, i tych, którzy kochają bez wzajemności.

- Jak Ranec?

- Tak, jak Ranec. Nadal serce mnie boli, kiedy myślę o nim. Jondalar zsunął się z niej i usiadł.

- Żał mi go. Lubiłem Raneca, albo raczej mógłbym lubić. - Nagle bardzo zapragnął ruszyć już w drogę. - W ten sposób nigdy nie dojdziemy do Dalanara - powiedział i zaczął zwijać futra. - Nie mogę się doczekać, żeby go znowu zobaczyć.

- Najpierw jednak musimy znaleźć konie - odparła Ayla.



Ayla wstała i wyszła przed namiot. Mgła leżała nisko przy ziemi, a powietrze było zimne i wilgotne w zetknięciu z jej nagim ciałem. W odległości słyszała szum wodospadu, ale go nie widziała, bo gęsta mgła przysłaniała kraniec jeziora, podłużnego zbiornika zielonkawej wody, tak mętnej, że była niemal nieprzezroczysta.

Była pewna, że nie żyły tam żadne ryby, tak samo jak na brzegach nie rosły żadne rośliny; środowisko było zbyt nowe, zbyt surowe, by mogło się tu rozwinąć życie. Była tu tylko woda i skały, klimat pradawnych początków, zanim zaczęło się życie, odwieczny czas. Ayla zdrząła i poczuła smak straszliwej samotności Wielkiej Matki Ziemi, zanim urodziła wszelkie życie.

Zatrzymała się, żeby się załatwić, a potem pospieszyła przez żwirowy brzeg, weszła do wody i przykucnęła. Woda była lodowata i zamulona. Chciała się wykapać - nie było to możliwe podczas całej drogi przez lodowiec - ale nie w tej wodzie. Nie przeszkadzało jej zimno, ale chciała czystej, świeżej wody. Zawróciła do namiotu, żeby się ubrać i pomóc Jondalarowi w pakowaniu. Idąc, spojrzała przez zamglony krajobraz bez śladu życia na daleki zarys drzew poniżej. Nagle uśmiechnęła się.

- Tu jesteście! - powiedziała i głośno gwizdnęła.

Jondalar wypadł z namiotu. Uśmiechał się równie szeroko jak Ayla na widok dwóch galopujących ku nim koni. Wilk biegł za nimi i Ayli zdawało się, że wygląda na bardzo z siebie zadowolonego. Rankiem nie było go przy namiocie i zaczęła się zastanawiać, czy powrót koni był w jakiejś części jego zasługą. Potrząsnęła głową, rozumiejąc, że pewnie nigdy się tego nie dowie.

Przywitali konie uściskami, klepięciami, przyjacielskim drapaniem i ciepłymi słowami. Ayla obejrzała je dokładnie, żeby zobaczyć, czy się nie poraniły. Na prawym tylnym kopycie Whinney brakowało buta i kobyła drgnęła, kiedy Ayla badała tę nogę. Może przełamała lód na brzegu lodowca i wyciągając kopyto, oberwała but oraz posiniaczyła nogę? To było jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło jej na myśl.

Ayla zdjęła pozostałe buty kobyły, podnosząc każdą nogę, żeby rozwiązać rzemienie, a Jondalar stał blisko i uspokajał zwierzę. Zawodnik nadal miał wszystkie swoje kaptcie, chociaż Jondalar zauważył, że przetarły się na krawędziach; nawet skóra mamuta nie mogła długo przetrwać na końskich kopytach.

Kiedy zebrali wszystkie swoje rzeczy na stertę i poszli, żeby przyciągnąć bliżej łódkę,

odkryli, że jej dno jest przemoknięte i nasączone wilgocią. Było też naddarte.

- Nie chciałbym więcej jej próbować w tym przeprawie przez rzekę - powiedział Jondalar. - Jak myślisz, może ją zostawić?

- Musimy, chyba że sami chcemy ją ciągnąć. Nie mamy drągów na włók. Zostawiliśmy je na górze, kiedy zjechaliśmy po lodzie, a tu nie ma drzew na nowe.

- To załatwia sprawę! Dobrze, że nie musimy więcej targać kamieni, a na tyle odciążyliśmy ładunek, że wszystko chyba moglibyśmy nosić sami, nawet bez koni.

- Gdyby nie wróciły same, to właśnie musielibyśmy robić, szukając ich - stwierdziła Ayla - i bardzo się cieszę, że nas znalazły.

- Też się o nie martwiłem.

Kiedy schodzili w dół stromym, południowo-zachodnim zboczem pradawnego masywu, który na swym zniszczonym erozją szczycie dźwigał groźne pole lodowe, spadł lekki deszcz i wyflukał brudny śnieg z ocienionych zagłębień w świerkowym lesie, przez który przechodzili. Pastelowa zieleń zabarwiała brunatną ziemię pochyłej łąki i pomalowała czubki pobliskich krzewów. Poniżej, przez rozwiewaną tu i ówdzie wilgotną mgłę, migąła im rzeka, wijąca się z zachodu na północ, wciśnięta przez otaczające ją góry w głęboką, wąską dolinę. Na południe za rzeką poszarpane przedgórze alpejskie pokrywała mgła, ale ponad nią wznosiły się widmowo wysokie szczyty, do połowy stoków okryte lodem.

- Polubisz Dalanara - mówił Jondalar, kiedy wygodnie jechali koło siebie. - Polubisz wszystkich Lanzadonii. Większość z nich należała kiedyś do Zelandonii.

- Dlaczego postanowił założyć nową jaskinię?

- Nie wiem. Byłem bardzo mały, kiedy rozstali się, on i moja matka, i tak naprawdę to go nie znałem, dopóki nie zamieszkałem u niego. Wtedy uczył mnie i Joplayę obróbki kamienia. Zdaje się, że zdecydował się osiąść i założyć nową jaskinię dopiero po spotkaniu Jeriki, a wybrał to miejsce, bo znalazł kopalnię krzemienia. Ludzie już opowiadali o krzemieniach Lanzadonii, kiedy byłem chłopcem - wyjaśnił Jondalar.

- Jerika jest jego towarzyszką życia, a... Joplaya... jest twoją kuzynką, czy tak?

- Tak. Bliską kuzynką. Jest córką Jeriki urodzoną przy ognisku Dalanara. Także jest dobrym łupaczem krzemienia, ale nie mów jej, że ci o tym powiedziałem. Straszna z niej przekora, zawsze dowcipkuje. Ciekawe, czy znalazła towarzysza życia. Wielka Matko! Minęło tyle czasu. Zdumieją się na nasz widok!

- Jondalarze! - nagle szepnęła Ayla. Stała w miejscu. - Spójrz tam, koło tych drzew. To jelen! Mężczyzna uśmiechnął się.

- Złapmy go! - powiedział, sięgnął po oszczep i miotacz i popędził Zawodnika kolanami. Choć jego metoda kierowania wierzchowcem nie była taka sama jak Ayli, po blisko roku wędrówki był równie dobrym jeźdźcem jak ona.

Zawróciła Whinney niemal jednocześnie - cieszyła się, że jest wolna i nie skrępowana włókiem - i włożyła oszczep do miotacza. Przestraszony szybkim ruchem jeleni popędził w wysokich podskokach, ale pogonili za nim, zachodząc go z obu stron, i za pomocą miotaczy oszczepów bez trudu rozprawili się z młodym, niedoświadczonym zwierzęciem. Sprawili go, wycięli swoje ulubione kawałki i odłożyli trochę dobrego mięsa jako dar dla ludzi Dalanara, a potem pozwolili Wilkowi wybrać, co chce, z reszty.

Pod wieczór natknęli się na wartki, bulgoczący, czysty strumień i szli wzdłuż jego biegu, aż dotarli do dużego pola z kilkoma drzewami i zaroślami koło wody. Postanowili wcześniej rozbić obóz i upiec trochę mięsa jelenia. Deszcz ustał i nie było już powodu do pośpiechu, choć musieli sobie o tym świadomie przypominać.

Następnego ranka Ayła wyszła przed namiot i stanęła w niemy podziwie, oszołomiona widokiem. Krajobraz wydawał się nierzeczywisty, jakby z jakiegoś wyjątkowo żywego snu. Wydawało się niemożliwe, że dopiero parę dni temu znosili najsurowszą zimę, a teraz nagle była wiosna!

- Jondalarze! Och, Jondalarze. Chodź i zobacz!

Zaspany mężczyzną wysunął głowę przez otwór namiotu i Ayła zobaczyła, jak uśmiecha się coraz szerzej.

Znajdowali się na znacznie niżej położonym terenie i deszczowa mżawka oraz mgła ustąpiły jasnemu słońcu. Błękitne niebo ozdabiały białe chmurki. Drzewa i zarośla pokrywały świeże, jasnozielone liście, a trawa na polu wyglądała, jakby ją można było jeść. Pełno było kwiatów - żonkile, lilie, orliki, irysy i wiele innych. Ptaki najrozmaitszych kolorów i gatunków latały i szybowwały w powietrzu, ćwierkając i śpiewając.

Ayła знаła większość z nich - drozdy, słowiki, orzechówki, czarne dzięcioły i gajówki - i gwizdała ich pieśni wraz z nimi. Jondalar wstał i wyszedł z namiotu, patrząc z podziwem, jak cierpliwie wabiła do siebie szarą dzierzbę.

- Nie rozumiem, jak ty to robisz - powiedział, kiedy ptak odfrunął.

Ayła uśmiechnęła się.

- Mam zamiar zrobić coś świeżego i pysznego na śniadanie.

Wilka znowu nie było i Ayła domyślała się, że pobiegł na wycieczkę albo na polowanie; wiosna podnieciła jego także. Poszła w kierunku koni, które pośrodku wiosennej łąki pasły się na delikatnych, krótkich źdźbłach słodkiej trawy. To był sezon bogactwa, czas

wzrostu w całej krainie.

Przez większą część roku rozległe równiny otaczające kilometrowej grubości płyty lodu, jak również wysokogórskie łąki, były suche i mroźne. Tylko skąpe deszcze czy śniegi spadały na ziemię; lodowce na ogół pochłaniały większość wilgoci krążącej w powietrzu. Choć wieczna zmarzlina była równie rozprzestrzeniona na tych starodawnych stepach co w wilgotniejszej tundrze późniejszych czasów, przywiewane przez lodowce wiatry utrzymywały lato bez wilgoci, ziemię zaś suchą i twardą, z niewielką ilością bagien. Zimą wiatry zwiewały śnieg w zasy i zostawiały duże połacie gruntu nagie, bez pokrywy śnieżnej, za to porośnięte trawą wysuszoną na siano, paszą, na której karmiły się niezliczone rzesze olbrzymich, trawożernych zwierząt.

Nie wszystkie jednak tereny trawiaste były takie same, Niezmierna obfitość równin epoki lodowcowej nie tyle zależała od ilości opadów - pod warunkiem, że była ona wystarczająca -ile od tego, kiedy występowały; decydowało połączenie wilgoci i wysuszających wiatrów we właściwych proporcjach i we właściwym czasie.

Ze względu na kąt padania promieni słonecznych, na niższych terenach słońce zaczynało rozgrzewać ziemię wkrótce po zimowym przesileniu. Tam, gdzie nagromadziło się dużo śniegu czy lodu, większość wczesnych wiosennych promieni słonecznych odbijała się z powrotem w atmosferę, a niewielka ich ilość, zaabsorbowana i zamieniona w ciepło, musiała być zużyta do stopienia śnieżnej pokrywy, zanim mogły tam rosnąć rośliny

Na tych jednak pradawnych terenach trawiastych, gdzie wiatry odsłoniły nagą ziemię, słońce wpuszczało swoją energię w ciemną glebę i było gorąco witane. Suche, górne warstwy wiecznej zmarzliny zaczynały się rozgrzewać i topić, a chociaż nadal było zimno, bogactwo słonecznej energii pobudzało nasiona i rozgałęzione korzenie do wypuszczania pędów. Do rozwoju niezbędna im jednak była woda.

Połyскиiwy lód opierał się ogrzewającym promieniom wiosny i odbijał z powrotem światło słoneczne. Przy tak jednak wielkiej ilości wilgoci, nagromadzonej w płatach dochodzących do wysokości gór, lód nie potrafił całkowicie odeprzeć zalotów słońca czy pieszczot ciepłych wiatrów. Szczyty lodowca zaczynały się topić, woda spływała w dół szczelinami i z wolna wypełniała strumienie, a potem rzeki, które latem niosły ten cenny płyn do wysuszonej ziemi. Jeszcze ważniejsze były mgły, podnoszące się z lodowcowej masy zamrożonej wody, ponieważ napełniały niebo deszczowymi chmurami.

Wiosną ciepło promieni słonecznych powodowało, że lodowiec oddawał wilgoć, zamiast ją pochłaniać. To był niemal jedyny okres na przestrzeni całego rocznego cyklu, kiedy deszcz padał nie na lodowiec, ale na spragnioną i płodną ziemię, która go otaczała. Lato

epoki lodowcowej potrafiło być gorące, ale było krótkie; pradawna wiosna była długa i wilgotna, a wzrost roślin nagły i obfity.

Również zwierzęta epoki lodowcowej rosły wiosną, kiedy wszystko było świeże, zielone i pełne pożywnych składników, których potrzebowały. Wiosna - niezależnie od tego, czy jest sucha, czy bujna - jest tą porą roku, kiedy młodym zwierzętom rosną kości, a starym kły i rogi, czy też wyrastają nowe i większe poroża, kiedy zrzucają grube zimowe futro i porastają nowym. Ponieważ wiosna zaczynała się wcześniej i trwała długo, sezon rośnięcia zwierząt również był długi, co sprzyjało ich olbrzymim rozmiarom i imponującym ozdobom.

Podczas długiej wiosny wszystkie gatunki korzystały z zielonej obfitości bez ograniczeń, ale pod koniec sezonu współzawodniczyły zajadle o dojrzewające i mniej pożywne czy też gorzej strawialne trawy i zioła. Nie wiodły sporu o to, kto będzie jadł pierwszy czy kto zje najwięcej, ani o granice. Stadne zwierzęta równin nie broniły określonych terytoriów. Migrowały na wielkie odległości i były wysoce społeczne, szukały towarzystwa innych zwierząt swojego rodzaju podczas wędrówek i dzieliły swoje środowisko z innymi, które przystosowały się do otwartych stepów. Kiedy jednak więcej niż jeden gatunek zwierząt miał niemal identyczny typ konsumpcji i styl życia, nieodmiennie jeden z nich przeważał. Ten drugi musiał wyewoluować nowe sposoby wykorzystania innej niszy, spożytkowania jakichś innych elementów dostępnej żywności, musiał powędrować na nowe tereny lub wymrzeć. Niewiele spośród rozmaitych gatunków trawożernych zwierząt bezpośrednio współzawodniczyło o dokładnie tę samą paszę. Między sobą walczyły jedynie samce tego samego gatunku i tylko w okresie godowym. Często sama demonstracja szczególnie imponującego poroża, rogów czy kłów wystarczała do ustalenia przewagi i prawa do rozmnażania się - genetycznie nieodparte przyczyny dla rozwinięcia wspaniałych ozdób, do których zachęcała wiosenna obfitość.

Gdy tylko jednak kończył się przepych wiosenny, życie wędrownych mieszkańców stepów wchodziło w stałe koleiny i nigdy nie było ono łatwe. Latem zwierzęta musiały utrzymać ogromne rozmiary osiągnięte wiosną, a jednocześnie odpaść się i zgromadzić tłuszcz na ciężki okres zimowy. Jesienią dla jednych przypadał okres godowy, dla innych był to czas obrastania gęstym futrem i czynienia różnorodnych zabiegów ochronnych przed mrozem. Najcięższa jednak była zima; zimą musiały przeżyć.

Zima określała szansę przetrwania w tej krainie; zima decydowała, kto będzie żył, a kto umrze. Była trudna dla samców, które miały większą objętość ciała i ciężkie ozdoby do podtrzymania lub ponownego wyhodowania. Była trudna i dla samic, które choć mniejsze, musiały nie tylko utrzymać się same, ale również wykarmić następne pokolenie. Szczególnie

jednak niebezpieczna była dla młodych osobników, którym brak było rozmiarów dorosłych na zmagazynowanie zapasów i które spożyły-kowały wszystko, co nagromadziły, na rośnięcie. Jeśli udało im się przeżyć pierwszy rok, miały dużo większe szansę.

Na suchych, mroźnych, pradawnych stepach w pobliżu lodowców tak wielka różnorodność zwierząt mogła przeżyć tylko dlatego, że typ odżywiania i tryb życia jednego gatunku wpasowywał się w nisze zostawione przez inne gatunki. Również drapieżniki wybierały sobie różne ofiary. Jednak pomysłowy i przedsiębiorczy nowy gatunek, który nie tyle przystosowywał się do środowiska, ile zmieniał środowisko do swoich potrzeb, zaczynał wywierać coraz większy wpływ.

Ayla była dziwnie milcząca podczas odpoczynku nieopodal bulgocącego strumienia górskiego, gdzie dokończyli pieczeni jeleniej i zieleniny przygotowanych rano.

- Teraz już jest niedaleko. Zatrzymaliśmy się tu obok z Tho-nolanem na początku naszej podróży - powiedział Jondalar.

- Tu jest pięknie - odpowiedziała, ale tylko częściowo była świadoma oszałamiająco pięknego widoku.

- Dlaczego jesteś taka cicha, Aylo?

- Myślałam o twoich krewnych. To mi uświadomiło, że ja nie mam żadnych krewnych.

- Masz krewnych! A co z Mamutoi? Czy nie jesteś Aylą z Mamutoi?

- To nie to samo. Tęsknię za nimi i zawsze będę ich kochać, ale nie było tak trudno od nich odejść. O wiele trudniej było wtedy, kiedy musiałam zostawić Durca. - W jej oczach widać było ból.

- Aylo, rozumiem, że musiało być bardzo trudno zostawić syna. - Objął ją. - Nic go nie zastąpi, ale może Matka da ci inne dzieci... kiedyś... może dzieci z mojego ducha.

Zdawało się, że go nie słyszy.

- Powiedzieli, że Durc jest zdeformowany, ale nie był. Był jednym z klanu, ale był także mój. Był częściowo z klanu i częściowo z Innych. Nie uważali, że ja jestem zdeformowana, tylko brzydka, no i byłam wyższa od wszystkich mężczyzn z klanu... wielka i brzydka...

- Aylo, nie jesteś wielka i brzydka. Jesteś piękna. I pamiętaj, że moi krewni są twoimi krewnymi.

Spojrzała na niego i rzekła z uśmiechem:

- Dopóki nie przyszedłeś, nie miałam nikogo, Jondalarze. Teraz mam ciebie i może,

którego dnia, twoje dziecko. To byłoby wspaniałe.

Jej uśmiech uspokoił go, a tym bardziej jej słowa o dziecku. Spojrzał na pozycję słońca.

- Nie dojdziemy dzisiaj do jaskini Dalanara, jeśli się nie pospieszymy. Chodź, Aylo, koniom potrzeba trochę ruchu. Po-ścigajmy się przez tę łąkę. Nie zniósłbym jeszcze jednej nocy w namiocie, skoro jesteś tak blisko.

Wilk wypadł spomiędzy drzew, pełen energii i chęci do zabawy Podskoczył, oparł łapy na piersiach Ayli i polizał ją po twarzy. To jest moja rodzina - pomyślała, i złapała go za futro na karku. Wspaniały wilk, wierna i cierpliwa kobyła, pełen werwy ogier i mężczyzna, cudowny, kochający mężczyzna. Wkrótce spotka jego rodzinę.

W milczeniu zapakowała kilka rzeczy; nagle zaczęła wyciągać coś z innej paczki.

- Jondalarze, idę się wykąpać w tym strumieniu i nałożę czystą tunikę oraz nogawice - powiedziała i zrzuciła tunikę, którą miała na sobie.

- Dlaczego nie poczekaasz, aż dojdziemy na miejsce? Zamarzniesz, Aylo. Ta woda jest prawdopodobnie prosto z lodowca.

- Wszystko mi jedno, nie zamierzam spotykać twoich krewnych cała brudna i w poplamionym ubraniu.

Doszli do rzeki, mętnozielonej od spływów z lodowca i wezbranej, choć jeszcze nie tych rozmiarów, jakie osiąga późną wiosną. Skręcili na wschód, pod prąd, aż znaleźli miejsce dość płytkie, by przepawić się na drugą stronę, a potem poszli pod górę na południowy wschód. Późnym popołudniem doszli do łagodnego zbocza, które wyrównywało się niedaleko skalnej ściany. Ciemny otwór jaskini schowany był pod skalnym nawisem.

Plecami do nich siedziała na ziemi młoda kobieta pośrodku odłupanych kawałków i buł krzemienia. Jedną ręką trzymała przebijak, zaostriżony drewniany kołek, który przytykała do rdzenia ciemnoszarego kamienia, i w skupieniu przygotowywała się do uderzenia przebijaka ciężkim kościanym młotkiem, trzymany w drugiej ręce. Była tak pochłonięta pracą, że nie zauważyła Jondalara, który cicho podkrał się z tyłu.

- Ćwicz, Joplayo. Któregoś dnia będziesz równie dobra jak ja - powiedział z szelmowskim uśmiechem.

Kościany młotek opadł pod niewłaściwym kątem i rozbił wiór, który właśnie miała odłupać. Okręciła się gwałtownie z wyrazem osłupienia na twarzy.

- Jondalar! Och, Jondalarze! To naprawdę ty! - krzyknęła i rzuciła się w jego ramiona. Objął ją w tali, podniósł i zakręcił w powietrzu. Przywarła do niego, jakby go nigdy nie

chciała puścić. - Matko! Dalanarze! Jondalar wrócił! Jondalar przyszedł z powrotem!

Z jaskini wybiegli ludzie, a starszy mężczyzna, równie wysoki co Jondalar, popędził ku nim. Chwycili się za ręce, odstąpili o krok, żeby na siebie popatrzeć, i znowu się uściskali.

Ayla dała znak Wilkowi, który przycisnął się do jej nóg, a sama stała nieco z tyłu i patrzyła, trzymając postronki obu koni.

- A więc wróciłeś! Tak długo cię nie było. Już myślałem, że nie wrócisz - powiedział mężczyzna.

Nagle ponad ramieniem Jondalara dojrzał coś zdumiewającego. Dwa konie z przywiązanymi koszami oraz pakunkami i ze skórami zarzuconymi na grzbietach, a także wielki wilk stały tuż obok wysokiej kobiety ubranej w futrzaną kurtę i nogawice niezwyklego kroju, ozdobione nieznanymi wzorami. Kapuzę miała odrzuconą do tyłu i ciemnozłote włosy spadały jej falami wokół twarzy. Jej rysy były zdecydowanie cudzoziemskie, trochę jak nieznany krój jej odzieży, ale to przydawało jej jeszcze urody.

- Nie widzę twojego brata, ale nie wróciłeś sam - rzekł mężczyzna.

- Thonolan nie żyje - odparł Jondalar i mimowolnie przykrył oczy. - Też bym już nie żył, gdyby nie Ayla.

- To strasznie smutne. Lubiałem tego chłopca. Willomar i twoja matka będą rozpaczać. Widzę jednak, że dalej podoba ci się ten sam typ kobiet. Zawsze pociągały cię piękne Zelandoni.

Jondalara zdziwiło, że uznał Aylę za Tę Która Służy Matce. Spojrzał na nią, otoczoną zwierzętami, i nagle zobaczył ją oczyma starszego mężczyzny. Uśmiechnął się. Podszedł do skraju łąki, wziął postronek Zawodnika i poszedł z powrotem, a za nim Ayla z Whinney i Wilkiem.

- Dalanarze z Lanzadonii, powitaj, proszę, Aylę z Mamutoi. Dalanar wyciągnął obie ręce, dłońmi do góry, w geście szczerości i przyjaźni. Ayla chwyciła je swoimi rękami.

- W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi - powiedział Dalanar.

- Pozdrawiam cię, Dalanarze z Lanzadonii - odpowiedziała Ayla z właściwą ceremonialnością.

- Świetnie mówisz naszym językiem jak na kogoś, kto pochodzi z tak daleka. Poznanie cię jest przyjemnością. - Uśmiech zaprzeczał formalności słów. Zauważył jej dziwną wymowę i niezmiernie go to zaintrygowało.

- Jondalar nauczył mnie mówić - powiedziała, z trudem powstrzymując się przed gapieniem się na niego. Zerkała na Jondalara, potem znowu na Dalanara, osłupiała ich



podobieństwem.

Długie, jasne włosy Dalanara były nieco rzadsze i był trochę obszerniejszy w talii, ale miał te same, intensywnie niebieskie oczy - tylko kilka więcej zmarszczek w kącikach - to samo wysokie czoło, z nieco głębszymi zmarszczkami. Również głos miał tę samą wysokość, ten sam ton. Akcentował nawet słowo przyjemność w ten sam sposób, nadając mu cień dwuznaczności. To było niesamowite. Ciepło jego rąk wywołało w niej drżenie. Jego podobieństwo do Jondalara na moment zmyliło również jej ciało.

Dalanar wyczuł tę reakcję i uśmiechnął się uśmiechem Jondalara, rozumiejąc przyczynę i czując za to sympatię do niej. Z tym dziwnym akcentem musiała przyjść z bardzo daleka - pomyślał. Kiedy mężczyzna puścił jej ręce, nagle podszedł do niego wilk, zupełnie bez strachu. Wsunął łeb w dłoń Dalanara, żądając uwagi, jakby go dobrze znał. Ku własnemu zdziwieniu Dalanar zorientował się, że klepie to piękne zwierzę po łbie, jakby głaskanie dużego, żywego wilka było rzeczą zupełnie naturalną.

Jondalar uśmiechał się szeroko.

- Wilk myśli, że jesteś mną. Wszyscy zawsze mówili, że jesteśmy do siebie podobni. Za chwilę będziesz na grzbiecie Zawodnika. - Podsunął Dalanarowi postronek.

- Powiedziałeś: "na grzbiecie Zawodnika"?

- Przez prawie całą drogę jechaliśmy na grzbietach tych koni. Zawodnik to imię, jakie nadałem ogierowi - wyjaśnił Jondalar. - Koń Ayli nazywa się Whinney, a ta wielka bestia, której się tak spodobałeś, ma na imię Wilk. To jest słowo mamutoi na wilka.

- Jakim cudem udało ci się znaleźć wilka i konie...? - zaczął Dalanar.

- Dalanarze, jak ty się zachowujesz? Czy nie sądzisz, że inni też chcą ją poznać i posłuchać ich opowieści?

Ayla, wciąż lekko wzburzona zadziwiającym podobieństwem Dalanara do Jondalara, odwróciła się, żeby zobaczyć, kto to powiedział - i znowu zagapiła się. Kobieta nie przypominała żadnego znanego Ayli człowieka. Jej ściągnięte w kok włosy były kruczoczarne, z pasmami siwizny na skroniach. Uwagę Ayli zwróciła jednak jej twarz. Była okrągła i płaska, z wystającymi kośćmi policzkowymi, małym nosem i ciemnymi, skośnymi oczyma. Uśmiech kobiety zaprzeczał surowości jej głosu i Dalanar rozpromienił się, patrząc na nią.

- Jerika! - wykrzyknął Jondalar z uśmiechem zachwyty.

- Jondalar! Jak dobrze, że wróciłeś! - Objęli się z widoczną przyjemnością. - Skoro ten mój wielki niedźwiedź nie umie się zachować, to może ty przedstawisz mnie swojej towarzyszce podróży? A potem możesz mi powiedzieć, dlaczego te zwierzęta stoją spokojnie

i nie uciekają.

Stała między dwoma mężczyznami, którzy ją zupełnie przytłaczali. Byli dokładnie tego samego wzrostu, a czubek jej głowy zaledwie sięgał połowy ich klatki piersiowej. Poruszała się szybko i energicznie. Przypominała Ayli ptaka, a jej drobna postać wzmacniała jeszcze to wrażenie.

- Jeriko z Lanzadonii, powitaj, proszę, Aylę z Mamutoi. To dzięki niej zwierzęta tak się zachowują - powiedział Jondalar i patrzył na niedużą kobietę z takim samym promiennym uśmiechem jak Dalanar. - Ona ci lepiej wytłumaczy, dlaczego nie uciekają.

- Witaj u nas, Aylo z Mamutoi - odparła Jerika i wyciągnęła do niej ręce. - I zwierzęta też, jeśli możesz obiecać, że nadal będą się tak niezwykle zachowywały. - Zerknęła niespokojnie na Wilka.

- Pozdrawiam cię, Jeriko z Lanzadonii. - Ayla odpowiedziała jej uśmiechem. Uścisk ręki małej kobiety był zdumiewająco mocny i Ayla zgadywała, że taki jest również jej charakter. - Wilk nikomu nie robi krzywdy, chyba że ktoś zagrozi jednemu z nas. Jest przyjacielski, ale bardzo opiekuńczy. Konie są trochę zdenerwowane obcymi i mogą stanąć dęba, jeśli ktoś zbyt blisko do nich podejdzie, co może być niebezpieczne. Lepiej będzie, żeby na początku ludzie trzymali się od nich z daleka, dopóki się nie przyzwyczają.

- To brzmi rozsądnie i cieszę się, żeś nam o tym powiedziała. - Kobieta spojrzała na Aylę z niepokojącą bezpośredniością. - Przebyłaś daleką drogę. Mamutoi mieszkają za ujściem Dunaju.

- Znasz krainę Łowców Mamutów? - spytała zdziwiona Ayla.

- Tak, a nawet krainę położoną dalej na wschodzie, ale niewiele z tego pamiętam. Hochaman z przyjemnością ci o tym opowie. Nic nie cieszy go bardziej niż nowy człowiek, który jeszcze nie słyszał jego opowieści. Razem z moją matką przyszedł z kraju niedaleko Bezczesnego Morza, z samego jego krańca, dokąd dochodzi ląd. Urodziłam się podczas wędrówki. Mieszkaliśmy z wieloma ludami, czasami przez wiele lat. Pamiętam Mamutoi. Dobrzy ludzie. Świetni myśliwi. Chcieli, żebyśmy z nimi zostali.

- Dlaczego nie zostaliście?

- Hochaman nie był gotowy do osiadłego życia. Marzył o podróży na kraniec świata, żeby zobaczyć, jak daleko rozciąga się ląd. Spotkaliśmy Dalanara niedługo po śmierci mojej matki i postanowiliśmy zostać tu i pomóc mu założyć kopalnię krzemienia. Ale Hochaman dożył spełnienia swoich marzeń. - Jerika zerknęła na swojego wysokiego towarzysza życia. - Przeszedł całą drogę od Bezczesnego Morza na wschodzie do Wielkich Wód na zachodzie. Kilka lat temu Dalanar pomógł mu zakończyć podróż, właściwie niósł go na plecach przez

większość drogi. Hochaman rozplakał się, kiedy zobaczył wielkie zachodnie morze i zmył łyż słońcą wodą. Teraz niewiele już chodzi, ale nikt nie odbył tak długiej podróży jak Hochaman.

- I ty, Jeriko - dodał z dumą Dalanar. - Podróżowałaś niemal równie daleko.

- Hmm - wzruszyła ramionami - nie miałam wyboru. Ale przed chwilą zbeształam Dalanara, a teraz sama zbyt dużo mówię.

Jondalar objął talię młodej kobiety, którą pierwszą spotkali przed jaskinią.

- Chciałabym poznać twoją towarzyszkę podróży - powiedziała.

- Oczywiście, przepraszam. Aylo z Mamutoi, to jest moja kuzynka, Joplaya z Lanzadonii.

- Witam cię, Aylo z Mamutoi - rzekła i wyciągnęła obie ręce.

- Pozdrawiam cię, Joplayo z Lanzadonii. - Ayła nagle zawstydzila się swojego akcentu i ucieszyła, że ma na sobie czystą tunikę pod kurtą. Joplaya była równie wysoka jak ona sama, może nawet odrobinę wyższa. Odziedziczyła wysokie kości policzkowe po matce, ale jej twarz nie była taka płaska, a nos przypominał nos Jondalara, tylko był mniejszy i delikatniejszy. Gładkie, czarne brwi dorównywały kolorem długim, czarnym włosom, a gęste czarne rzęsy otaczały nieco skośne, jak u matki, oczy, tyle że oślepiająco zielone! Joplaya była oszałamiająco piękną kobietą.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała Ayła. - Jondalar tak często o tobie opowiadał.

- Cieszę się, że mnie nie całkiem zapomniał - odparła Joplaya. Cofnęła się o krok i ramię Jondalara znowu owinięło się wokół jej talii.

Wokół tłoczyli się inni ludzie i Ayła została formalnie przedstawiona wszystkim członkom jaskini. Wszyscy byli ciekawi kobiety, którą przyprowadził Jondalar, ale czuła się nieswojo pod ostrzałem ich badawczych spojrzeń i dociekliwych pytań. Ucieszyła się, kiedy Jerika to przerwała.

- Z pewnością możemy zachować kilka pytań na później. Myślę, że oboje mają dużo do opowiedzenia, ale teraz są zmęczeni. Chodź, Aylo, pokażę ci, gdzie się możecie zatrzymać. Czy zwierzęta wymagają czegoś specjalnego?

- Muszę tylko je rozjuczyć i znaleźć im pastwisko. Wilk będzie z nami w środku, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała Ayła.

Zobaczyła, że Jondalar jest pogrążony w rozmowie z Joplaya, i sama zaczęła zdejmować pakunki z koni, ale pospieszył ku niej, żeby pomóc przenieść rzeczy do jaskini.

- Chyba wiem, gdzie koniom będzie najlepiej - rzekł. - Zabiorę je tam. Czy chcesz zostawić postronek na Whinney? Mam zamiar przywiązać Zawodnika na długim sznurze.

- Nie, wolę nie. Ona nie odejdzie od Zawodnika. - Ayła zauważyła, że czuł się tu jak u

siebie, nawet nie zapytał, czy może zostawić w tamtym miejscu konie. Ale dlaczego miałby to robić? Ci ludzie to jego krewni. - Pójdę z tobą, żeby ją uspokoić.

Poszli do małej, porośniętej trawą dolinki ze strumykiem płynącym pośrodku. Towarzyszył im Wilk. Jondalar przywiązał bezpiecznie Zawodnika i ruszył z powrotem.

- Idziesz? - zapytał.

- Jeszcze chwilę zostanę z Whinney.

- No to mógłbym zanieść rzeczy.

- Tak, idź. - Wyraźnie chciał wrócić, ale nie miała mu tego za złe. Dała znak wilkowi, żeby z nią został. Dla niego też wszystko było nowe. Wszyscy potrzebowali czasu na przyzwyczajenie się, poza Jondalarem. Kiedy wróciła, rozejrzała się za nim i zobaczyła go pogrążonego w rozmowie z Joplaya. Zawahała się, czy im przeszkodzić.

- Ayło! - zawołał, kiedy ją zauważył. - Mówiłem właśnie Joplai o Wymezie. Pokażesz jej potem grot oszczepu, który ci dał?

Skinęła głową. Jondalar znowu zwrócił się do Joplai:

- Poczekaj, aż to zobaczysz. Mamutoi są świetnymi łowcami mamutów i robią groty oszczepów z krzemienia, nie z kości. Krzemień łatwiej przebija grubą skórę, szczególnie że groty są cienkie. Wymez wynalazł nowy sposób obróbki. Grot jest łupany obustronnie, ale nie jak toporne siekiery. Rozgrzewa kamień -i to stanowi o różnicy. Odchodzą delikatniejsze, cieńsze wiórki. Potrafi zrobić grot dłuższy od mojej dłoni, a tak cienki i ostry, że trudno w to uwierzyć.

Stali tak blisko siebie, że ich ciała dotykały się, kiedy Jondalar z zapalem wyjaśniał szczegóły nowej technologii. Ich niewymuszona poufałość niepokoiła Aylę. Mieszkali razem podczas dorastania. Jakie sekrety jej zawierał? Jakie radości i smutki przeżywali razem? Jakie niepowodzenia i triumfy spotkały ich wspólnie, kiedy uczyli się trudnej sztuki obróbki krzemienia? O ile Joplaya znała go lepiej niż ona sama?

Przedtem oboje byli obcy wśród ludzi, których spotykali podczas podróży. Teraz tylko ona była obca.

Jondalar znowu zwrócił się do Ayli:

- Może pójdę i wezmę ten grot. W którym jest koszu?

Powiedziała mu i uśmiechnęła się nerwowo do ciemnowłosej kobiety, ale nie rozmawiały ze sobą. Jondalar wrócił niemal natychmiast.

- Joplayo, powiedziałem Dalanarowi, żeby przyszedł. Bardzo chcę mu pokazać ten grot. Poczekaj, zaraz zobaczysz.

Ostrożnie rozwinął opakowanie paczuszki i w momencie, kiedy podszedł Dalanar,

wyjął pięknie zrobiony, krzemienny grot. Dalanar wziął go z rąk Jondalara i uważnie obejrzał.

- To jest dzieło mistrza! Nigdy nie widziałem tak wspaniałego rzemiosła! - wykrzyknął Dalanar. - Spójrz na to, Joplayo. Jest obrobione dwustronnie, ale zdejmowano z tego bardzo cienkie i małe płatki. Pomyśl o opanowaniu ręki i koncentracji, jakiej to wymaga. Ten krzemień jest inny w dotyku i ma inny połysk.

Wydaje się niemal... oleisty. Skąd to wzięłeś? Czy na wschodzie jest inny rodzaj krzemienia?

- Nie, to jest nowy proces obróbki, wynaleziony przez mężczyznę z Mamutoi o imieniu Wymez. To jedyny łupacz krzemienia, który ci dorównuje, Dalanarze. On rozgrzewa buły krzemienne. To od tego krzemień ma taki połysk, a co więcej, po rozgrzaniu daje się zdejmować delikatniejsze płatki - wyjaśniał z wielkim ożywieniem Jondalar.

Ayla złapała się na tym, że go obserwuje.

- One niemal odłupują się same - to daje taką kontrolę. Pokażę ci, jak on to robi. Nie potrafię tego tak dobrze jak on - muszę jeszcze nad tym popracować - ale zobaczysz, o co tu chodzi. Póki jesteśmy tutaj, chciałbym zebrać trochę dobrego krzemienia. Za pomocą koni możemy nosić spore ciężary, a chciałbym zabrać do domu trochę krzemienia z Lanzadonii.

- To także jest twój dom, Jondalarze - powiedział cicho Dalanar. - Ale tak, oczywiście, jutro możemy pójść do kopalni i wydobyć trochę świeżych buł. Chciałbym zobaczyć, jak się to robi, lecz czy to naprawdę jest grot do oszczepu? Jest taki cienki, wydaje się niemal zbyt kruchy, żeby tym polować.

- Oni używają tych grotów do polowania na mamuty. To prawda, że łatwiej się łamią, ale ostry krzemień lepiej przebija grubą skórę niż kościane groty, a poza tym potrafi wślizgnąć się między żebra. Mam coś jeszcze do pokazania. Wymyśliłem to, kiedy w dolinie Ayli leczyłem się z ran zadanych przez lwa jaskiniowego. To jest miotacz oszczepów. Z takim miotaczem można rzucić oszczep dwukrotnie dalej. Poczekaj, aż zobaczysz, jak to działa!

- Zdaje się, że mamy przyjść na jedzenie, Jondalarze - powiedział Dalanar. U wejścia do jaskini stało kilkoro ludzi i przyzywali ich ruchem ręki. - Wszyscy chcą posłuchać twoich opowieści. Chodź do środka, gdzie będzie wygodnie i wszyscy cię będą słyszeć. Droczyś się z nami tymi zwierzętami, które wykonują twoje życzenia, i uwagami o lwach jaskiniowych, miotaczach oszczepów, nowych sposobach łupania krzemienia. Jakie jeszcze przygody i cuda masz w zanadrzu?

Jondalar roześmiał się.

- Nawet nie zaczęliśmy. Uwierzysz, że widzieliśmy kamienie, które rozpalają ogień, i

kamienie, które się palą? Domostwa zrobione z kości mamutów, ostrza z kości słoniowej, które przeciągają nici, olbrzymie łodzie używane do łowienia ryb tak wielkich, że trzeba by pięciu mężczyzn twojego wzrostu, jeden na drugim, żeby sięgnąć od łba do ogona.

Ayla nigdy nie widziała Jondalara tak szczęśliwego i odprężonego, tak swobodnego i nieskrępowanego, i zrozumiała, jak cieszy go przebywanie wśród swoich ludzi.

W drodze do jaskini objął zarówno Aylę, jak i Joplayę.

- Wybrałaś już towarzysza życia, Joplayo? - zapytał. - Nie widziałem nikogo, kto zdawałby się rościć sobie prawo do ciebie. Joplaya roześmiała się.

- Nie, czekałam na ciebie, Jondalarze.

- Aha, znowu żarty - powiedział Jondalar ze śmiechem. Odwrócił się do Ayli, żeby jej wytłumaczyć. - Bliscy kuzyni nie mogą się łączyć w związek.

- Wszystko zaplanowałam - mówiła dalej Joplaya. - Mieliśmy uciec razem i założyć własną jaskinię, tak jak to zrobił Dalanar. Ale, oczywiście, przyjmowalibyśmy tylko łupaczy krzemienia. - Jej śmiech wydawał się wymuszony i nie odrywała wzroku od Jondalara.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodziło, Aylo - powiedział Jondalar, zwracając się do Ayli, ale ścisnął talię Jopłai. - Zawsze dowcipkuje. Joplaya to najgorsza przekora, jaką znam.

- Ayla nie była pewna, czy rozumie, na czym polega dowcip.

- Ale poważnie, Joplayo, z pewnością co najmniej jesteś komuś obiecana.

- Echozar prosił, ale jeszcze się nie zdecydowałam.

- Echozar? Chyba go nie znam. Czy jest z Zelandonii?

- Nie, z Lanzadonii. Przyłączył się do nas parę lat temu. Dalanar uratował mu życie, znalazł go prawie utopionego. Chyba jest nadal w jaskini. Jest nieśmiały. Zrozumiesz, dlaczego, jak go zobaczysz. Wygląda... no cóż, inaczej. Nie lubi spotykać obcych i mówi, że nie pójdzie z nami na Letnie Spotkanie Zelandonii. Jest jednak bardzo miły, jak się go już pozna, i wszystko zrobiłby dla Dalanara.

- Wybieracie się na Letnie Spotkanie w tym roku? Mam nadzieję, że tak, przynajmniej na Zaślubiny. Ayla i ja zostaniemy połączeni. - Tym razem uściskał Aylę.

- Nie wiem - powiedziała Joplaya ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podniosła głowę i spojrzała na niego. - Zawsze wiedziałam, że nie połączysz się z tą Maroną, która czekała na ciebie, kiedy poszedłeś na wędrowną, ale nie przypuszczałam, że przyprowadzisz ze sobą kobietę z podróży.

Jondalar zarumienił się na wzmiankę o kobiecie, której obiecał połączenie przed odejściem, i nie zauważył, że Ayla zeszytniała, kiedy Joplaya pospieszyła w kierunku mężczyzny, który właśnie wychodził z jaskini.

- Jondalarze! Ten mężczyzna! - Dosłyszał zaskoczenie w jej głosie i spojrzął na nią. Była bardzo blada.

- Co się stało, Aylo?

- Wygląda jak Dure! A może tak mój syn będzie wyglądał, jak dorośnie. Jondalarze, ten człowiek jest częściowo z klanu!

Jondalar spojrzął na niego. To była prawda. Mężczyzna, którego Joplaya popychała ku nim, miał rysy ludzi klanu. Kiedy podeszli, Ayła zauważyła jedną uderzającą różnicę między nim a mężczyznami z klanu. Był niemal tak wysoki jak ona.

Gdy był już blisko, zrobiła gest ręką. Był to subtelny gest, ledwie zauważalny dla kogokolwiek innego, ale duże, brązowe oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytał, odpowiadając jej takim samym gestem. Miał niski głos, ale czysty i wyraźny. Nie miał żadnych trudności z mówieniem; widomy znak, że jest mieszanką.

- Wychował mnie klan. Znaleźli mnie, kiedy byłam małą dziewczynką. Nie pamiętam żadnej innej rodziny.

- Klan cię wychował? Przekleli moją matkę, ponieważ mnie urodziła - powiedział z goryczą. - Jaki klan wychowałby ciebie?

- Tak mi się zdawało, że to nie jest akcent mamutoi - wtrąciła Jerika. Wokół nich stało teraz wielu ludzi.

Jondalar nabrał powietrza i wyprostował się. Wiedział, że sprawa pochodzenia Ayli wypłynie wcześniej czy później.

- Kiedy ją spotkałem, Jeriko, w ogóle nie umiała mówić, a przynajmniej nie słowami. Ale uratowała mi życie, kiedy zaatakował mnie lew jaskiniowy. Została zaadoptowana przez Mamutoi do Ogniska Mamuta, ponieważ jest tak świetną uzdrowicielką.

- Jest Mamutem? Tą Która Służy Matce? A gdzie jej znak? Nie widzę tatuażu na policzku - powiedziała Jerika.

- Ayła nauczyła się uzdrowicielstwa od kobiety, która ją wychowała, znachorki ludzi, których ona nazywa klanem - płasko-głowych - ale jest równie dobra co każda Zelandoni. Mamut dopiero zaczął ją wprowadzać w tajniki Służby Matce, zanim odeszliśmy. Nigdy nie przeszła inicjacji. Dlatego nie ma tatuażu - wyjaśnił Jondalar.

- Wiedziałem, że jest Zelandoni. Musi być, żeby tak panować nad zwierzętami, ale jak mogła nauczyć się uzdrowicielstwa od płaskogłowej kobiety?! - wykrzyknął Dalanar. - Zanim spotkałem Echozara, myślałem, że to rodzaj zwierząt. Wiem od niego, że potrafią się porozumiewać w jakiś sposób, a ty teraz mówisz, że mają uzdrowicieli. Powinieneś mi być

powiedzieć, Echozarze.

- Skąd mogłem wiedzieć? Nie jestem płaskogłowym! - Echo-zar wypluł niemal to słowo. - Znałem tylko moją matkę i An-dovana.

Aylę zdziwiła jadowitość w jego głosie.

- Powiedziałeś, że twoja matka została przeklęta? A jednak przeżyła, żeby cię wychować? Musiała być niezwykłą kobietą.

Echozar spojrział prosto w szaroniebieskie oczy wysokiej blondynki. Nie było w nich wahania, próby uniknięcia jego wzroku. Czuł dziwny pociąg do tej kobiety, której nigdy przedtem nie widział, czuł się przy niej bezpiecznie.

- Niewiele o tym mówiła. Napadło na nią kilku mężczyzn, którzy zabili jej towarzysza życia, kiedy próbował jej bronić. Był bratem przywódcy jej klanu i ją obwiniano za jego śmierć. Przywódca powiedział, że sprowadziła nieszczęście. Później jednak, kiedy zorientowała się, że będzie miała dziecko, wziął ją na drugą kobietę przy swoim ognisku. Kiedy ja się urodziłem, orzekł, że to dowód, iż jest kobietą przynoszącą nieszczęście. Nie tylko doprowadziła do śmierci swojego towarzysza życia, ale jeszcze urodziła zdeformowane dziecko. Rzucił na nią klątwę, klątwę śmierci.

Mówił do tej kobiety bardziej otwarcie niż do kogokolwiek innego i dziwił się samemu sobie.

- Nie jestem pewien, co to znaczy "klątwa śmierci". Tylko raz mi o tym wspomniała, a i wtedy nie mogła dokończyć. Wyjaśniła, że wszyscy się od niej odwrócili, jakby jej nie widzieli. Powiedzieli, że ona już nie żyje, i chociaż próbowała zmusić ich, żeby na nią spojrzeli, zachowywali się, jakby jej tam nie było, jakby była martwa. To musiało być straszne.

- I było - cicho powiedziała Ayla. - Bardzo jest ciężko żyć, kiedy nie istniejesz dla tych, których kochasz. - Jej oczy zamgliły się od wspomnień.

- Matka wzięła mnie i odeszła, żeby umrzeć, zgodnie z klątwą, ale znalazł ją Andovan. Już wtedy był stary i żył samotnie. Nigdy mi nie powiedział, dlaczego opuścił swoją jaskinię, chodziło o jakiegoś okrutnego przywódcę...

- Andovan... - przerwała mu Ayla. - Czy był z S'Armunai?

- Tak, chyba tak. Nie mówił dużo o swoich ludziach.

- Wiemy coś o ich okrutnym przywódcy - rzekł ponuro Jon-dalar.

- Andovan się nami opiekował - ciągnął swą opowieść Echozar. - Nauczył mnie polować. Nauczył się języka gestów mojej matki, ale ona nigdy nie potrafiła powiedzieć więcej niż kilka słów. Ja nauczyłem się obu języków. Bardzo była zdziwiona, że potrafiłem



wymawiać słowa. Andovan zmarł parę lat temu, a razem z nim jej chęć życia. Klątwa śmierci wreszcie ją dopadła.

- Co zrobiłeś wtedy? - spytał Jondalar.

- Żyłem sam.

- To nie jest łatwe - odezwała się Ayla.

- Nie, to nie jest łatwe. Próbowałem znaleźć kogoś, kto by mnie przyjął. Żaden klan nie pozwalał mi nawet się zbliżyć. Rzucali we mnie kamieniami i mówili, że jestem zdeformowany i przynoszę nieszczęście. Także żadna jaskinia nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Mówili, że jestem ohydą ze zmieszanych duchów, pół człowiekiem i pół zwierzęciem. Po pewnym czasie przestałem próbować. Nie chciałem dłużej być sam. Pewnego dnia skoczyłem z urwiska do rzeki. Następne, co pamiętam, to twarz Dalanara. Zabrał mnie do swojej jaskini. A teraz jestem Echozar z Lanzadonii - zakończył z dumą, zerkając na wysokiego mężczyznę, którego wielbił.

Ayla pomyślała o swoim synu, wdzięczna, że został zaakceptowany jako niemowlę, i wdzięczna, że istnieli ludzie, którzy go kochali i chcieli, kiedy musiała go zostawić.

- Echozarze, nie czuj nienawiści do ludzi twojej matki - powiedziała. - Oni nie są źli, oni są tylko tak pradawni, że trudno im się zmienić. Ich tradycje są tak bardzo stare, że nie rozumieją nowości.

- I to są ludzie - Jondalar zwrócił się do Dalanara. - To jedna z rzeczy, których się dowiedziałem w tej podróży. Spotkaliśmy parę tuż przed wejściem na lodowiec - to inna historia - i oni planują spotkanie na temat kłopotów, jakie mają z niektórymi z nas, szczególnie z grupą młodych mężczyzn z Losadunai. Ktoś nawet zwrócił się do nich w sprawie wymiany handlowej.

- Płaskogłowi mają spotkania? Handel? Ten świat zmienia się szybciej, niż jestem w stanie zrozumieć - zdziwił się Dalanar. - Nie uwierzyłbym w to przed poznaniem Echozara.

- Ludzie mogą mówić na nich: płaskogłowi i zwierzęta, ale ty wiesz, że twoja matka była dzielną kobietą, Echozarze - powiedziała Ayla i wyciągnęła do niego obie ręce. - Wiem, co to znaczy nie mieć ludzi. Teraz jestem Ayla z Mamutoi. Czy powitasz mnie, Echozarze z Lanzadonii?

Ujął jej ręce i poczuła, że się trzęsą.

- Witam cię, Aylo z Mamutoi.

Jondalar postąpił krok naprzód z wyciągniętymi rękami.

- Pozdrawiam cię, Echozarze z Lanzadonii.

- Witam cię, Jondalarze z Zelandonii, ale ciebie nie trzeba tu witać. Słyszałem o synu

ogniska Dalanara. Nie ma wątpliwości, że urodziłeś się z jego ducha. Jesteś tak do niego podobny.

Jondalar uśmiechnął się złośliwie.

- Wszyscy tak mówią, ale czy nie uważasz, że on ma większy nos?

- Ja tak nie uważam. Myślę, że twój nos jest większy od mojego - roześmiał się Dalanar i objął ramiona młodszego mężczyzny. - Chodźcie do środka. Jedzenie stygnie.

Ayla zwlekała jeszcze chwilę, żeby porozmawiać z Echoza-rem, a kiedy odwróciła się do wejścia, zatrzymała ją Joplaya.

- Chciałabym porozmawiać z tobą, Aylo. Echozarze, nie odchodź jeszcze. Chcę pomówić także z tobą. - Echozar szybko odsunął się, żeby zostawić obie kobiety same, ale Ayla zdążyła jeszcze zobaczyć wyraz uwielbienia w jego oczach, kiedy patrzył na Joplayę.

- Aylo, ja... ja chyba wiem, dlaczego Jondalar cię kocha. Chciałam powiedzieć... Chciałam życzyć wam obojgu szczęścia.

Ayla przyglądała się ciemnowłosej kobiecie. Wyczuła w niej jakąś zmianę, zamknięcie się, jakieś ponure zdecydowanie. Nagle Ayla zrozumiała, dlaczego tak się nieswojo przy niej czuła.

- Dziękuję, Joplayo. Bardzo go kocham. Niezmiernie byłoby trudno żyć bez niego. Zostawiłoby mi to pustkę wewnątrz, którą bardzo trudno byłoby znieść.

- Tak, bardzo trudno znieść - powtórzyła Joplaya, na moment przymykając oczy.

Jondalar wyrzwał z jaskini.

- Nie chcecie jeść?

- Idź, Aylo. Ja jeszcze muszę najpierw coś zrobić.

Echozar zerknął na duży kawałek obsydianu i odwrócił wzrok. Fałdy na błyszczącej, czarnej powierzchni zniekształcały jego odbicie, ale nic nie mogło go zmienić, dzisiaj zaś nie chciał siebie widzieć. Miał na sobie tunikę ze skóry jeleniej, obramowaną futrem i ozdobioną paciorkami z wydrążonych kości ptasich, pofarbowanymi kolcami i ostrymi zębami zwierzęcymi. Nigdy nie posiadał niczego równie wspaniałego. Joplaya zrobiła to dla niego na ceremonię, podczas której został oficjalnie zaadoptowany do Pierwszej Jaskini Lanzadonii.

Idąc do miejsca zgromadzeń w środku jaskini, czuł dotyk miękkiej skóry i wygładzał ją z szacunkiem, bo wiedział, że zrobiły to jej ręce. Sama myśl o niej niemal bolała. Kochał ją od samego początku. To ona mówiła do niego, słuchała go, próbowała go włączyć w życie jaskini. Gdyby nie ona, nie odważyłby się stanąć przed tymi wszystkimi Zelandonii na Letnim Spotkaniu, a kiedy zobaczył, jak mężczyźni tłoczą się wokół niej, chciał umrzeć. Przez całe miesiące zbierał odwagę, by ją poprosić; jak ktokolwiek z jego wyglądem mógł się ośmielić zamaryć choćby o takiej kobiecie jak ona? Kiedy nie odmówiła, obudziła się w nim nadzieja. Tak długo jednak nie dawała żadnej odpowiedzi, że był pewien, iż to jej sposób odmowy.

Potem, w dniu przyjscia Ayli i Jondalara, zapytała go, czy nadal jej chce, a on nie mógł w to uwierzyć. Czy jej chce! Nigdy niczego tak nie pragnął w swoim życiu. Czekał, aż będzie mógł porozmawiać z Dalanarem na osobności. Goście jednak bez przerwy byli przy nim. Nie chciał im przeszkadzać. I bał się zapytać. Odwagi dodawała mu tylko myśl, że mógłby stracić tę jedyną szansę na szczęście prześcigające jego najśmielsze marzenia.

Dalanar powiedział, że Joplaya jest córką Jeriki i będzie to musiał z nią przedyskutować. Zapytał tylko, czy Joplaya się zgodziła i czy Echozar ją kocha. Czy ją kocha? Wielka Matko, czy ją kocha!

Echozar stanął wśród niecierpliwie oczekujących ludzi i serce zabiło mu szybciej, kiedy zobaczył, że Dalanar wstał i podszedł do paleniska pośrodku jaskini. Mała drewniana rzeźba krągłej postaci kobiecej wbita była w ziemię przed ogniskiem. Obfite piersi, pełen brzuch i szerokie pośladki doni wyrzeźbiono realistycznie, ale głowa była tylko gałką bez rysów, a ramiona i nogi zaledwie zaznaczone. Dalanar stanął koło ogniska i zwrócił się do zebranej grupy:

- Po pierwsze, chcę oznajmić, że znowu pójdziemy w tym roku na Letnie Spotkanie Zelandonii, i zapraszamy wszystkich, którzy chcą się dołączyć. To daleka droga, ale mam nadzieję, że uda mi się namówić jedną z młodszych Zelandoni na powrót z nami i przystanie

do nas. Nie mamy Lanzadoni, a potrzebujemy Tej Która Służy Matce. Rozrastamy się, wkrótce założymy Drugą Jaskinię i któregoś dnia Lanzadonii będą mieli własne Letnie Spotkania. Mamy jeszcze jeden powód, żeby pójść. Nie tylko związek Ayli i Jondalara zostanie uświęcony Zaślubinami, my też mamy przyczynę do świętowania w tym roku.

Dalanar podniósł drewniany symbol Wielkiej Matki Ziemi i skinął głową. Echozar był zdenerwowany, chociaż wiedział, że to tylko ceremonia zapowiedzi, znacznie prostsza niż wymyślne Zaślubiny z ich oczyszczającymi rytuałami i zakazami. Kiedy oboje stanęli przed nim, Dalanar zaczął:

- Echozarze z Pierwszej Jaskini Lanzadonii, Synu Kobiety Pobłogosławionej przez Doni, poprosiłeś Joplayę, córkę Jeriki, towarzyszkę życia Dalanara, żeby została twoją towarzyszką życia. Czy tak jest?

- Tak jest - odpowiedział Echozar tak cichym głosem, że ledwie go było słychać.

- Joplayo, córko Jeriki, towarzyszkę życia Dalanara...

Słowa były inne, ale znaczenie ich było identyczne i Aylą wstrząsały łkania na wspomnienie podobnej ceremonii, kiedy stała koło ciemnego mężczyzny, który patrzył na nią tak, jak Echozar patrzył na Joplayę.

- Aylo, nie płacz, to radosna okazja - powiedział Jondalar, czule ją obejmując.

Nie mogła mówić; wiedziała, co się czuje, kiedy się stoi obok niewłaściwego mężczyzny. Dla Joplai jednak nie było żadnej nadziei, nawet w marzeniach, że pewnego dnia mężczyzna, którego kocha, odrzuci dla niej uświęcone obyczaje. Nie wiedział nawet, że go kochała, a ona nie mogła o tym mówić. Był kuzynem, bliskim kuzynem, niemal bratem, niedostępnym mężczyzną - i kochał inną. Ayla czuła ból Joplai i łkała u boku mężczyzny, którego obie kochały.

- Myślałam o tym, jak stałam tak koło Raneca - wykrztusiła wreszcie.

Jondalar pamiętał to aż nazbyt dobrze. Poczul ból w piersiach oraz ucisk w gardle i mocniej ją objął.

- Ej, kobieto, wkrótce mnie też doprowadzisz do płaczu. Zerknął na Jerikę, która siedziała wyprostowana z godnością, a łzy ciekły jej po policzkach.

- Dlaczego kobiety zawsze płaczą przy takich okazjach? Jerika spojrzała na Jondalara z nieodgadnionym wyrazem twarzy, potem na Aylę cicho łkającą w jego objęciach.

- Pora, żeby związała się z kimś i zapomniała o niemożliwych do spełnienia marzeniach. Nie możemy wszystkie mieć doskonałych mężczyzn - szepnęła cicho i odwróciła się.

- Czy Pierwsza Jaskinia Lanzadonii akceptuje ten związek? - spytał Dalanar.

- Akceptujemy - odparli wszyscy jednogłośnie.

- Echozarze, Joplayo. Złożyliście obietnicę połączenia się. Oby Doni, Wielka Matka Ziemia, pobłogosławiła wasz związek -zakończył przywódca i drewnianą rzeźbą dotknął głowy Echo-zara oraz brzucha Joplai. Odstawił doni na miejsce przed ogniskiem i wepchnął jej ostro zakończone nogi w ziemię, żeby stała bez podparcia.

Para odwróciła się w kierunku zgromadzonych ludzi i powoli zaczęła obchodzić środkowe palenisko. W uroczystej ciszy nie-wystawiony smutek tej pięknej kobiety przydawał jej jeszcze więcej urody. Idący obok niej mężczyzna był odrobinę niższy Jego wielki, haczykowaty nos sterczał nad ciężką, wystającą szczęką bez podbródka. Nawisłe wąsy nadoczodołowe łączyły się pośrodku, podkreślone jeszcze przez gęste, krzaczaste brwi, które przecinały czoło jedną, prostą linią. Ramiona miał bardzo muskularne, a potężną, beczkową klatkę piersiową i długie ciało podtrzymywały krótkie, owłosione i wygięte łukowato nogi. Te cechy odziedziczył po klanie. Nie można go było jednak nazwać płaskogłowym. Odmienne od nich jego czoło nie przechodziło ukośnie w dużą, wydłużoną i spłaszczoną głowę, od której pochodziło ich miano. Czoło Echozara wznosiło się równie prosto i wysoko nad łukami brwiowymi co czoło każdego innego członka jaskini. Echozar był jednak nieprawdopodobnie brzydki. Był przeciwieństwem idącej obok niego kobiety. Jedyne oczy, dominujące w twarzy, były piękne: duże, błyszczące, brązowe i tak pełne czułego uwielbienia dla kobiety, którą kochał, że przewyciężały nawet niewymowny smutek wokół niej.

Nawet jednak widomy dowód miłości Echozara nie mógł złagodzić bólu Ayli na widok Joplai. Ukryła twarz na piersiach Jondalara, bo patrzenie zanadto bolało, i starała się pokonać nieutulony żal spowodowany głębokim zrozumieniem losu Joplai. Kiedy para po raz trzeci okrążyła ognisko, ludzie przerwali milczenie i wstali, żeby im złożyć życzenia pomyślności. Ayła stała z tyłu i próbowała opanować się. Wreszcie, ponaglana przez Jondalara, podeszła z nim razem, żeby życzyć im szczęścia.

- Joplayo, tak się cieszę, że będziesz obchodzić swoje Zaślubiny razem z nami - powiedział Jondalar i uścisnął ją. Przywarła do niego. Zdziwiła go intensywność jej objęć. Miał niepokojące wrażenie, że żegna się z nim, jakby go już nigdy nie miała zobaczyć.

- Nie muszę życzyć ci szczęścia, Echozarze - powiedziała Ayła. - Życzę ci, żebyś zawsze był tak szczęśliwy jak teraz.

- Czy może być inaczej z Joplayą? - spytał. Spontanicznie go uściskała. Dla niej nie był brzydki, miał przyjemny, znajomy wygląd ludzi klanu. Zamarł na chwilę; urodziwe kobiety nie obejmowały go często, i wezbrały w nim ciepłe uczucia dla tej złotowłosej piękności.

Potem Ayla zwróciła się do Joplai. Spojrzała w jej zielone oczy, a słowa, które miała zamiar wypowiedzieć, zamarły jej na ustach. Z bolesnym szlochem wyciągnęła ręce do Joplai, przytłoczona jej biernym pogodzeniem się z losem. Joplayą ją objęła, klepała po plecach, jakby to Ayla potrzebowała pociechy.

- Tak jest dobrze, Aylo - odezwała się Joplayą głuchym głosem. Oczy miała suche. - Co innego mogę zrobić? Nigdy nie znajdę mężczyzny, który będzie mnie kochał tak jak Echozar. Już od dawna wiedziałam, że się z nim połączę. Po prostu nie było powodu dłużej czekać.

Ayla cofnęła się o krok i starała się opanować łzy, które wypłakiwała za kobietę niezdolną do płaczu, i zobaczyła, że Echozar podsunął się bliżej. Z wahaniem objął Joplayę w talii, nadal niezupełnie wierząc w to, co się stało. Bał się, że się obudzi i to wszystko okaże się snem. Nie wiedział, że obejmuje tylko cień kobiety, którą kochał. To nie miało znaczenia. To mu wystarczało.

- No cóż, nie. Nie widziałem tego na własne oczy - mówił Hochaman - i wtedy w to nie wierzyłem. Ale jeśli ty możesz jeździć na koniu i kazać wilkowi chodzić za sobą, to dlaczego ktoś inny nie miałby jeździć na grzbiecie mamuta?

- Gdzie, mówisz, to się działo? - spytał Dalanar.

- Daleko na wschodzie, zaraz po naszym wyruszeniu w drogę. To musiał być czteropalczasty mamut.

- Czteropalczasty mamut? Nigdy o czymś takim nie słyszałem - odezwał się Jondalar - nawet od Mamutoi.

- Nie oni jedni polują na mamuty i nie mieszkają dość daleko na wschód. Uwierz mi, że są jeszcze stosunkowo bliskimi sąsiadami. Jeśli naprawdę pójdziesz na wschód i dojdiesz blisko do Bezmiernego Morza, znajdziesz tam mamuty o czterech palcach. One są także ciemniejsze, niektóre prawie czarne.

- No tak, skoro Ayla mogła jeździć na grzbiecie lwa jaskiniowego, nie wątpię, że ktoś mógł się nauczyć jeździć na mamucie. A ty jak sądzisz? - spytał Jondalar, patrząc na Aylę.

- Jeśli uda się go złapać, kiedy jeszcze jest bardzo młody... Sądzę, że niemal każde zwierzę można czegoś nauczyć, jeśli się je od małego wychowuje wśród ludzi. Co najmniej tego, żeby nie bało się ludzi. Mamuty są inteligentne, mogą się dużo nauczyć. Patrzyliśmy, jak łamią lód na wodę. Wiele innych zwierząt także z tego korzystało.

- Potrafią też wywahać wodę na dużą odległość - rzekł Hochaman. - Na wschodzie jest bardziej sucho i ludzie tam zawsze mówią: "Jak zabraknie ci wody, poszukaj mamuta".

Potrafiają dość długo obywać się bez wody, jeśli muszą, ale w końcu zawsze cię do wody doprowadzą.

- To dobrze wiedzieć - powiedział Echozar.

- Tak, szczególnie jeśli się dużo podróżuje - dodała Joplaya.

- Nie zamierzam zbyt dużo podróżować.

- Ale przyjdiesz na Letnie Spotkanie Zelandonii? - upewniał się Jondalar.

- Oczywiście, na nasze Zaślubiny - odparł Echozar. - I chcę was jeszcze raz zobaczyć.

- Uśmiechnął się niepewnie. - Miło by było, gdybyś razem z Aylą zamieszkał tutaj.

- Tak. Mam nadzieję, że oboje zastanowicie się nad naszą propozycją - wtrącił Dalanar. - Wiesz przecież, Jondalarze, że to zawsze jest i będzie twój dom, a nie mamy uzdrowiciela, poza Jeriką, która nie ma właściwego treningu. Potrzebujemy też Lan-zadoni i oboje uważamy, że Ayla doskonale by się nadawała. Moglibyście odwiedzić twoją matkę i wrócić z nami po Letnim Spotkaniu.

- Uwierz mi, Dalanarze, doceniamy twoją propozycję - powiedział Jondalar - i rozważymy ją.

Ayla zerknęła na Joplayę. Była milcząca, zamknięta w sobie. Lubiła tę kobietę, ale na ogół rozmawiały o błahostkach. Ayla nie mogła przezwyciężyć własnego smutku na myśl o jej sytuacji - sama była zbyt blisko czegoś podobnego - i jej własne szczęście nieustannie przypominało jej o bólu Joplai. Chociaż bardzo wszystkich polubiła, cieszyła się, że rano ruszają w drogę.

Szczególnie brakować jej będzie Jeriki i Dalanara, przysłuchiwania się ich ożywionym "dyskusjom". Kobieta była bardzo drobna; kiedy Dalanar wyciągał rękę poziomo, mogła wyprostowana przejść pod nią bez trudu, miała jednak nieugiętą wolę. Była przywódczynią jaskini w nie mniejszym stopniu, niż on był przywódcą, i głośno argumentowała, kiedy jej opinia odbiegała od jego. Dalanar z powagą jej wysłuchiwał, ale zdecydowanie nie zawsze ustępował. Na pierwszym miejscu stawiał zawsze dobro swoich ludzi i często dyskutował z nimi sprawy, lecz sam podejmował większość decyzji, jak każdy urodzony przywódca. Nigdy nie stawiał żądań, po prostu wzbudzał szacunek.

Na początku Ayla nie zrozumiała, co się dzieje, ale potem lubiła przysłuchiwać się ich kłótniom, nie starając się nawet ukryć uśmiechu na widok kobiety wielkości dziecka prowadzącej zajadłą debatę z gigantycznym mężczyzną. Najbardziej zdumiewał ją sposób, w jaki przerywali gwałtowne dyskusje czułym słowem czy rozmową o czymś innym, jak gdyby wcale przed sekundą nie rzucali się sobie do oczu, a potem podejmowali znowu walkę na słowa, jakby byli najbardziej zaciekłymi wrogami. Kiedy już znajdowali rozwiązanie, kłótnie

były natychmiast zapomniane. Zdawali się lubić te intelektualne pojedynki i mimo całej różnicy ich wymiarów była to walka równych. Nie tylko kochali się wzajemnie, ale mieli dla siebie nawzajem wielki szacunek.

Kiedy Ayla z Jondalarem wyruszyli w dalszą drogę, pogoda była ciepła i wiosna w pełnym rozkwicie. Dalanar przekazał pozdrowienia dla Dziewiętej Jaskini Zelandonii i raz jeszcze przypomniał im o swojej propozycji. Oboje czuli szczerą zaproszenia, ale ze względu na Joplayę Ayla nie mogła myśleć o osiedleniu się wśród Lanzadonii. To byłoby zbyt trudne dla nich obu, ale tego nie mogła wytłumaczyć Jondalarowi.

Wyczuwał dziwne napięcie między tymi dwiema kobietami, choć zdawały lubić się wzajemnie. Joplaya zachowywała się również inaczej w stosunku do niego. Trzymała się bardziej na dystans, nie żartowała i nie przekomarzała się na swój normalny sposób. Zdziwiła go jednak gwałtowność jej pożegnalnego uścisku. Miała łzy w oczach. Przypomniał jej, że nie idzie w daleką podróż, że właśnie wrócił i wkrótce się znowu zobaczą na Letnim Spotkaniu.

Odczuwał wielką ulgę z powodu tak ciepłego przyjęcia ich obojga i na pewno zastanowi się nad propozycją Dalanara, szczególnie jeśli Zelandonii nie będą skłonni zaakceptować Ayli. Dobrze było wiedzieć, że istnieje gdzieś miejsce dla nich, ale mimo całej miłości dla Dalanara i Lanzadonii w głębi serca jego ludem byli Zelandonii. Jeśli to tylko będzie możliwe, wśród nich chciał mieszkać z Aylą.

Gdy wreszcie ruszyli, Ayla poczuła, jakby ciężar spadł jej z barków. Nawet podczas deszczów cieszyła się z ocieplenia, a słoneczne dni były zbyt piękne, żeby się długo smucić. Była zakochaną kobietą, podróżującą ze swoim mężczyzną do ich nowego domu, na spotkanie jego ludzi. Nadal miała na ten temat mieszane uczucia, była pełna nadziei i niepokoju.

Jechali przez tereny, które Jondalar znał, i z podnieceniem witał każdy znajomy punkt orientacyjny, a często opowiadał, co się tam zdarzyło. Przejechali przez przełęcz między dwoma szczytami górskimi i dalej wzdłuż rzeki, która wiała się i zakręcała, lecz prowadziła ich we właściwym kierunku. Zostawili ją u źródeł i przeprawili się przez kilka dużych rzek, płynących z północy na południe przez szeroką dolinę, potem wspięli się na duży masyw z kilkoma wulkanami, jednym nadal dymiącym, innymi wygasłymi. Idąc przez płaskowyż, minęli kilka gorących źródeł.

- Jestem pewien, że to początek rzeki, która przepływa tuż przed Dziewiątą Jaskinią - powiedział pełen entuzjazmu Jondalar. - Prawie jesteśmy na miejscu, Aylo. Możemy być w domu przed wieczorem.



- Czy to są te gorące źródła, o których mi mówiłeś?  
- Tak. Nazywamy je Uzdrawiającymi Wodami Doni.  
- Zostańmy tu na noc - zaproponowała.  
- Ale jesteśmy prawie na miejscu, niemal u kresu podróży, a tak długo mnie tutaj nie było.

- Dlatego właśnie chcę tu spędzić noc. To jest koniec naszej podróży. Chcę się wykapać w gorącej wodzie i spędzić noc tylko z tobą, zanim spotkamy wszystkich twoich krewnych.

Jondalar spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Masz rację. Po tak długim czasie co znaczy jedna noc więcej? I to jest ostatni raz, kiedy będziemy sami. Ponadto -jego uśmiech stał się cieplejszy - lubię być z tobą koło gorących źródeł.

Rozbili namiot na miejscu, które najwyraźniej było już kiedyś używane. Ayli zdawało się, że konie były podniecone, kiedy puściła je wolno, by mogły się paść na świeżej trawie. Zobaczyła młode liście podbiału i szczawiu. Zebrała ich trochę i znalazła ponadto kilka wiosennych grzybów, a potem kwiaty dzikiej jabłoni i pędy czarnego bzu. Wróciła do obozowiska, trzymając przed sobą połę tuniki jak kosz, pełną świeżej zieleniny i innych smakołyków.

- Zdaje się, że planujesz ucztę - powiedział Jondalar.

- To niezły pomysł. Widziałam gniazdo i chcę pójść tam i sprawdzić, czy są w nim jaja.

- A co myślisz o tym? - zapytał i podniósł pstrąga. Ayli uśmiechnęła się z zachwytem.

- Zauważyłem go w strumieniu, wystrugałem gałąź w dławik i nadziałem na nią robaka. Ta ryba złapała tak szybko, że wyglądało niemal, jakby na mnie czekała.

- Zdecydowanie zadatki na ucztę!

- Ale z tym się nie spieszy, prawda? - powiedział Jondalar. -Myślę, że teraz wolałbym gorącą kąpiel. - W jego niebieskich oczach pojawiło się pragnienie, co wywołało jej żywą reakcję.

- Cudowny pomysł - odparła, wysypała wszystko z tuniki na ziemię koło ogniska i poszła prosto w jego ramiona.

Siedzieli obok siebie, trochę odsunięci od ognia, z uczuciem nasycenia i całkowitego odprężenia, i obserwowali tańczące iskry, które szybowały ku górze. Wilk drzemał opodal. Nagle uniósł łeb i nastawił uszy w kierunku ciemnego płaskowyżu. Usłyszeli głośne,

przeciągłe rżenie, ale nie było znajome. Na to odpowiedziała kobyła, a potem Zawodnik.

- Tam jest obcy koń - powiedziała Ayla i skoczyła na równe nogi. Noc była bezksiężycowa i trudno było cokolwiek dojrzeć.

- Nie znajdziesz drogi do nich w tej ciemności. Poczekaj, spróbuję znaleźć coś na pochodnię.

Whinney zarżała znowu, obcy koń parsknął i usłyszeli bicie odbiegających kopyt.

- To ułatwia sprawę - zdecydował Jondalar. - Dziś jest za późno. Myślę, że już jej nie ma na łące. Koń ją znowu porwał.

- Tym razem zdaje mi się, że poszła, bo sama chciała. Wydawała się zdenerwowana. Powinam była zwracać na nią większą uwagę. To jej okres godowy. Jestem pewna, że to był ogier, i myślę, że Zawodnik pobiegł za nimi. Jest jeszcze zbyt młody, ale inne kobyły też są w okresie godowym i pociągają go.

- Jest za ciemno, żeby teraz szukać, ale znam tę okolicę. Możemy je wytropić rano.

- Poprzednim razem, kiedy zabrał ją brązowy ogier, wróciła do mnie sama, a potem urodziła Zawodnika. Myślę, że znowu poszła, by począć dziecko - powiedziała Ayla, siadając ponownie przy ognisku. Spojrzała na Jondalara i uśmiechnęła się. - To się wydaje właściwe, żebyśmy obie naraz były w ciąży.

Zrozumienie jej słów zabrało mu chwilę.

- Obie... w ciąży... naraz? Aylo! Czy chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży? Będziesz miała dziecko?

- Tak - odparła, kiwając potakująco głową. - Będę miała twoje dziecko, Jondalarze.

- Moje dziecko? Będziesz miała moje dziecko? Aylo! Aylo! - Podniósł ją, zakręcił w koło i pocałował. - Jesteś pewna? Jesteś pewna, że będziesz miała dziecko? Duch mógł przyjść od kogoś z mężczyzn z jaskini Dalanara, czy nawet od Losadunai... To w porządku, jeśli tego właśnie chce Matka.

- Mój czas księżycowy minął bez krwawienia i czuję się w ciąży. Nawet mam trochę mdłości rankami. Niezbyt dużo jednak. Myślę, że poczęliśmy dziecko po zejściu z lodowca. I to jest twoje dziecko, Jondalarze, jestem tego pewna. Nie może być niczyje inne. Poczęte z twojej esencji. Esencji twojej męskości.

- Moje dziecko? - powiedział z zachwytem i zdumieniem. Położył rękę na jej brzuchu.

- Masz tu moje dziecko? Tak bardzo tego chciałem. - Odwrócił wzrok i zamrugał gwałtownie.

- Wiesz, nawet poprosiłem o to Matkę.

- Powiedziałeś mi przecież, że Matka zawsze daje ci to, o co poprosisz. - Uśmiechnęła się na widok jego szczęścia. - Powiedz: poprosiłeś o chłopca czy dziewczynkę?

- Po prostu o dziecko. Wszystko jedno, jakiej płci.

- To nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli ja tym razem poproszę o dziewczynkę? Potrząsnął przecząco głową.

- Po prostu twoje dziecko i może moje.

- Kłopot z tropieniem koni polega na tym, że one poruszają się o wiele szybciej od nas - powiedziała Ayła.

- Ale ja chyba wiem, dokąd poszły - odparł Jondalar - i znam drogę na skróty, przez tamten szczyt.

- A jeśli ich tam nie ma?

- To wrócimy tutaj i znowu znajdziemy ich ślad, ale ślady szły w tym kierunku. Nie martw się, Aylo. Znajdziemy je.

- Musimy. Tyle przeszliśmy razem. Nie mogę jej teraz pozwolić na powrót do stada.

Jondalar prowadził do osłoniętej łąki, na której często dawniej widywał konie. Znaleźli ich tam wiele. Rozpoznanie przyjaciółki nie zabrało Ayli zbyt wiele czasu. Zeszli na skraj trawiastej doliny; Jondalar pilnował Ayli, niespokojny trochę, że wysiła się bardziej, niż powinna. Zagwizdała znajomy zew.

Whinney uniosła łeb i pogalopowała ku niej, a za nią biegł duży, jasny ogier i młody, brązowy koń. Jasny ogier zboczył, żeby wyzwać młodego, który szybko się odsunął. Choć był podniecony obecnością klaczy, nie był gotów stawić czoła doświadczonemu przywódcy stada. Jondalar z miotaczem oszczepów w ręku pobiegł w kierunku Zawodnika, gotowy bronić go przed potężnym zwierzęciem, ale młodego ogiera ochroniło jego własne zachowanie. Jasny ogier zawrócił ku chętej kobyle.

Ayfa stała z rękami zarzuconymi wokół karku Whinney, kiedy dobiegł do nich ogier i stanął dęba. Whinney odsunęła się od kobiety i zarżała w odpowiedzi. Jondalar zbliżył się, prowadząc Zawodnika na solidnym rzemieniu, i patrzył z niepokojem.

- Może spróbujesz założyć jej uzdę? - powiedział.

- Nie. Będziemy musieli tu przenocować. Ona jeszcze nie jest gotowa do powrotu. Robią dziecko i Whinney tego pragnie. Chcę jej na to pozwolić.

Jondalar zgodził się.

- Czemu nie? Nie ma żadnego pośpiechu. Możemy tu rozłożyć obóz. - Patrzył na Zawodnika, który wrywał się w kierunku stada. - On też chce się dołączyć do innych. Myślisz, że mogę mu pozwolić?

- Chyba nigdzie stąd nie pójda. To duża łąka, lecz jeśli odejda, możemy wspiąć się wyżej i zobaczyć, w którą stronę idą. Pobyt z innymi końmi może mu dobrze zrobić. Może się

od nich czegoś nauczyć.

- Chyba masz rację. - Zdjął uzdę z Zawodnika i patrzył, jak galopuje po łące. - Ciekawe, czy Zawodnik będzie kiedyś ogierem stada. I będzie miał przyjemności z tymi wszystkimi kobyłami? - I może spowoduje, że zaczną w nich rosnąć źrebaki.

- Równie dobrze możemy znaleźć teraz miejsce na obóz i rozgościć się tutaj - powiedziała Ayla. - I pomyśleć o upolowaniu czegoś do zjedzenia: W tych drzewach przy strumieniu mogą być cietrzewie.

- Szkoda, że nie ma tutaj gorącego źródła. To zadziwiające, jak gorąca kąpiel potrafi odprężyć.

*Ayla patrzyła z wielkiej wysokości w dół, na nie kończący się bezmiar wody. W przeciwnym kierunku, jak daleko mogła dojrzeć, rozciągały się trawiaste stepy. Niedaleko była znajoma górską łąka z małą jaskinią w skalistej ścianie na jej skraju. Przy ścianie rosły leszczynowe krzaki, zasłaniając wejście.*

*Bała się. Padał śnieg i tarasował wejście, ale kiedy odsunęła krzaki i wyszła z jaskini, była wiosna. Kwiaty kwitły i ptaki ćwierkały. Wszędzie było nowe życie. Z jaskini dochodził głośny płacz noworodka.*

*Szła za kimś w dół zbocza i na biodrze niosła dziecko. Ten ktoś kulał i opierał się na lasce. W płachcie na plecach coś niósł, co bardzo sterczało. To był Creb i ochraniał jej noworodka. Zdawało się, że idą bez końca. Przemierzali wielkie odległości, idąc przez góry i rozległe równiny, aż doszli do trawiastej doliny. Często przebywały tam konie.*

*Creb stanął, zdjął wybruszoną płachtę i położył ją na ziemi. Zdawało jej się, że zobaczyła wewnątrz białe kości, ale z płachty zbiegł młody, brązowy koń i pobiegł do jasnożółtej kobyły. Gwizdnęła na nią, ale kobyła ruszyła galopem razem z jasnym ogierem.*

*Creb odwrócił się i przywołał ją do siebie, ale nie całkiem zrozumiała jego gest. To był codzienny język, jakiego nie znała. Wykonał inny gest.*

*- Chodź, możemy tam dojść przed zmrokiem.*

*Znalazła się w długim tunelu głęboko w jaskini. Z przodu zamigotało światło. To był otwór na zewnątrz. Szła stromą ścieżką wzdłuż ściany z kremowobiałego kamienia za mężczyzną, który stawiał długie, niecierpliwe kroki. Znała to miejsce i spieszyła się, żeby go dogonić.*

*- Poczekaj! Poczekaj na mnie! Idę. - zawołała.*

*- Aylo! Aylo! - Jondalar ją potrząsał. - Coś złego ci się śniło?*

- Coś dziwnego, ale nie złego - powiedziała. Wstała, poczuła falę mdłości i położyła się z powrotem w nadziei, że to przejdzie.

Jondalar machał skórzaną płachtą przed jasnym ogierem, Wilk obszcze kiwał go, a Ayla wsuwała uzdę na łeb Whinney. Miała tylko mały ciężar do niesienia. Zawodnik, bezpiecznie przywiązany do drzewa, nosił większość ładunku.

Ayla wskoczyła na grzbiet kobyły i popędziła ją galopem wzdłuż krańca długiej łąki. Ogier pogonił za nimi, ale zwolnił, kiedy zanadto oddalili się od pozostałych kobył. Wreszcie zatrzymał się, stanął dęba i zarżał, przyzywając Whinney. Znowu stanął dęba i popędził z powrotem do stada. Kilka ogierów już próbowało skorzystać z jego nieobecności. Zbliżył się pędem i znowu stanął dęba, rżąc wyzwanie. Ayla nadal popędzała Whinney, ale trochę zwolniła. Kiedy usłyszała bicie kopyt za sobą, zatrzymała się i poczekała na Jondalara na Zawodniku i na Wilka.

- Jak się pospieszymy, to możemy tam dojść przed zmrokiem - powiedział Jondalar.

Jechali ramię przy ramieniu. Ayla miała dziwne uczucie, że już to raz przeżyła.

- Myślę, że obie będziemy miały dzieci, drugie dziecko dla każdej z nas, a przedtem miałyśmy synów. Cieszę się. Będziemy wspólnie przeżywać ten okres.

- Będziesz miała wielu ludzi, z którymi wspólnie będziesz przeżywać ciężę - odparł Jondalar.

- Na pewno, ale miło będzie przeżywać to razem z Whinney, ponieważ obie zaszłyśmy w ciężę podczas tej podróży. - Przez chwilę jechali w milczeniu. - Ona jest jednak znacznie młodsza ode mnie. Jestem za stara na dziecko.

- Nie jesteś stara, Aylo. To ja jestem stary.

- Tej wiosny skończyłam dziewiętnaście lat. To dużo jak na rodzenie dziecka.

- Jestem znacznie starszy. Teraz mam już więcej niż dwadzieścia trzy lata. To dużo jak na mężczyznę, który po raz pierwszy zakłada własne ognisko. Czy wiesz, że byłem w podróży przez pięć lat? Ciekawe, czy ktokolwiek mnie rozpozna.

- Oczywiście, że cię poznają. Dalanar nie miał żadnych problemów ani Joplaya - odrzekła Ayla. Wszyscy go będą znali, ale nikt nie będzie znal mnie - pomyślała.

- Patrz! Widzisz tę skałę? Zaraz za zakrętem rzeki? Tam zabiłem moje pierwsze zwierzę. - Jondalar nieco szybciej popędził Zawodnika. - To był duży jelen. Nie wiem, czego bałem się bardziej - tych wielkich rogów czy chybienia celu i powrotu z pustymi rękami.

Ayla uśmiechnęła się, zadowolona z jego radości, ale sama nie miała tu czego wspominać. Znowu będzie obca. Wszyscy będą się jej przypatrywać i pytać o jej dziwny

akcent i o to, skąd pochodzi.

- Tutaj mieliśmy kiedyś Letnie Spotkanie - pokazywał Jondalar. - Wszędzie były zbudowane paleniska. To było pierwsze Spotkanie, gdy już zostałem mężczyzną. Och, jak dumnie kroczyłem, próbowałem udawać całkiem dorosłego, ale tak się bałem, że żadna dziewczyna nie zaprosi mnie na Pierwszy Rytuał. Nie musiałem się martwić. Zaproszono mnie na trzy i to mnie przeraziło jeszcze bardziej.

- Tam są jacyś ludzie i patrzą na nas - zauważyła Ayla.

- To jest Czternasta Jaskinia! - odparł i pomachał ręką. Nikt mu nie odpowiedział. Zamiast tego ludzie zniknęli pod głębokim nawisem.

- To pewnie z powodu koni - powiedziała Ayla. Jondalar zachmurzył się, a potem potrząsnął głową.

- Przyzwyczajają się.

Mam nadzieję - pomyślała Ayla - i ja też, bo jedyna znana rzecz tutaj to Jondalar.

- Aylo! To tutaj! Dziewiąta Jaskinia Zelandonii. Spojrzała we wskazywanym kierunku i zbladła gwałtownie.

- Zawsze łatwo ją znaleźć, bo ma ten głaz na szczycie. Widzisz, tam, gdzie wygląda, jakby kamień był gotów się stoczyć? Nie spadnie jednak, chyba że wszystko się zawali. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Aylo, co się stało? Jesteś taka blada.

Zatrzymała się.

- Widziałam już to miejsce, Jondalarze.

- Jak mogłaś? Nigdy tu przedtem nie byłaś.

Nagle zrozumiała wszystko. To jaskinia z moich snów! Ta, która pochodzi ze wspomnień Creba - pomyślała. Teraz wiem, co próbował mi powiedzieć w tych snach.

- Powiedziałam ci, że mój totem przeznaczył cię dla mnie i wysłał cię, byś poszedł i mnie znalazł. Chciał, żebyś zabrał mnie do domu, do miejsca, w którym duch mojego Lwa Jaskiniowego będzie szczęśliwy. To jest to. Ja też przyszedłam do domu, Jondalarze. Twój dom jest moim domem - powiedziała Ayla.

Uśmiechnął się; zanim jednak mógł jej odpowiedzieć, usłyszeli głos wykrzykujący jego imię:

- Jondalar! Jondalar!

Spojrzeli w górę, na ścieżkę prowadzącą pod nawis skalny i zobaczyli młodą kobietę.

- Matko! Szybko! Jondalar wrócił. Jondalar jest w domu! I ja również - pomyślała Ayla.

## Podziękowania

Każda z książek serii DZIECI ZIEMI stanowiła szczególne wyzwanie, od początku jednak, od naszkicowania zarysów sagi, "księga podróży" była najtrudniejsza i najbardziej interesująca, tak jeśli chodzi o przygotowanie, jak i pisanie. WIELKA WĘDRÓWKA wymagała również od autorki dodatkowych podróży, w tym ponownej wizyty w Czechach oraz wyprawy na Węgry, do Austrii i Niemiec, żeby pójść wzdłuż części Dunaju (Wielkiej Matki Rzeki). Chcąc umieścić akcję w epoce lodowcowej, jeszcze więcej czasu trzeba było poświęcić na studia literatury.

Ponownie zaciągnęłam wielki dług wdzięczności wobec dr. Jana Jelinka, emerytowanego dyrektora Instytutu Antropologicznego w Brnie na Morawach za jego niewyczerpaną dobroć, pomoc oraz wnikliwe obserwacje i interpretacje bogatych znalezisk z górnego paleolitu w tym regionie.

Jestem również wdzięczna dr. Bohuslavowi Klimie, Archeo-logický Ústav CSAV, za wspaniałe wina z jego własnej winnicy koło Dolní Yestonice, a jeszcze bardziej za hojność w dzieleniu się dorobkiem całego swojego życia: wiedzą i informacjami o tym tak ważnym wczesnym stanowisku archeologicznym.

Chciałabym również podziękować dr. Jiriemu Svobodzie, Archeo-logický Ústav CSAV, za informacje o jego zdumiewających nowych odkryciach, które niezmiernie wzbogaciły naszą wiedzę o wczesnych przodkach dzisiejszego człowieka, żyjących ponad 250 tysięcy lat temu, kiedy lodowiec pokrywał jedną czwartą globu.

Doktor Oldze Soffer, która jest w Stanach Zjednoczonych wiodącym ekspertem ludów środkowej i wschodniej Europy w okresie górnego paleolitu, przekazuję wyrazy bezgranicznej wdzięczności za stałe dostarczanie mi informacji o najnowszych odkryciach, przysyłanie najnowszych prac naukowych, w tym rezultatów badań nad najwcześniejszą sztuką ceramiczną w historii ludzkości.

Chciałabym podziękować dr. Milfordowi Wolpoffowi z Uniwersytetu Michigan za jego cenne uwagi podczas naszych dyskusji na temat rozmieszczenia populacji na północnych kontynentach podczas ostatniej epoki lodowcowej, kiedy nasi ludzcy przodkowie koncentrowali się na pewnych wybranych obszarach, zostawiając większość Ziemi, choć bogatą w życie zwierzęce, bez ludzi.

Znalezienie kawałków łamigłówek, które były niezbędne do stworzenia fikcyjnego świata prehistorycznej przeszłości, było wyzwaniem, złożenie ich razem - kolejną trudnością.

Po przestudiowaniu dostępnych prac na temat lodowców i otaczającego je środowiska nadal nie udawało mi się stworzyć sobie całkiem jasnego obrazu tych północnych krain, tak bym mogła poruszać moich bohaterów po ich świecie. Pozostawały pytania, sprzeczne ze sobą teorie - niektóre nie wydawały się zbyt dobrze przemyślane - kawałki, które nie pasowały do siebie.

Wreszcie z ulgą i narastającym entuzjazmem przeczytałam pracę, przejrzystą i przemyślaną, która rzuciła ostre światło na świat epoki lodowcowej. Odpowiadała na moje pytania i umożliwiła mi dopasowanie pozostałych kawałków z innych źródeł, jak również moich własnych przemyśleń w taki sposób, bym mogła z nich uczynić logiczną całość. Będę dozgonnie wdzięczna R. Dale'owi Guthriemu za jego artykuł *Mammals of the Mammoth Steppe as Paleoenvironmental Indicators*, str. 307-326, z *Paleoecology of Beringia* (wyd. David M. Hopkins, John V. Matthews, Jr., Charles E. Schweger i Steven B. Young, Academic Press, 1983). Bardziej niż jakakolwiek inna praca ten artykuł pomógł, by moja książka stała się zwartą, wyczerpującą i zrozumiałą całością.

Ponieważ włochate mamuty symbolizują epokę lodowcową, znaczny wysiłek został poświęcony, by ożywić te prehistoryczne olbrzymy. Moje badania obejmowały wszystko, co mogłam znaleźć na temat mamutów oraz - ponieważ są tak blisko spokrewnione - współczesnych słoni. Wśród tych źródeł szczególnie wyróżnia się *Elephant Memories: Thirteen Years in the Life of an Elephant Family* dr Cynthii Moss (William Morrow & Co., Inc., 1988). Mam dług wdzięczności wobec dr Moss za jej wiele lat badań oraz inteligentną i świetnie dającą się czytać książkę.

Poza badaniami troską pisarza jest także słowna warstwa opowieści i jakość ukończonej pracy. Na zawsze wdzięczna będę Laurie Stark, dyrektorze Crown Publishing Group, która dopilnowała, by ukończony manuskrypt stał się dobrą książką. Była odpowiedzialna za wszystkie cztery książki i w zmieniającym się świecie wysoko cenię ciągłość oraz niezmiennie wysoką jakość, jaką im nadała.

Jestem również wdzięczna Betty A. Prashker, redaktorowi naczelnemu, wiceprezesowi, a co ważniejsze - znakomitej redaktorze, która doprowadza - czy raczej matkuje - oddany przeze mnie maszynopis do jego końcowej formy.

Moje bezmierne dzięki dla światowej klasy, pierwszorzędnego agenta literackiego, Jean V. Naggar, która na Olimpiadzie Literackiej zdobyłaby złoty medal!

I wreszcie dla Raya Auela - miłość i uznanie, dla których nie ma słów.